



NIMITZ CLASS

PATRICK

ROBINSON

THE *SUNDAY TIMES* BESTSELLER

PATRICK ROBINSON

Arnold Morgan #1 Klasa Nimitz

Przełożył: Jacek Manicki

Tytuł pozaseryjny 168 pozycja książkowa Wydawnictwa Puls Patrick Robinson NIMITZ CLASS Przełożył: Jacek Manicki

© Patrick Robinson

Wydanie pierwsze: Wydawnictwo Puls Londyn 1999

Wszystkie prawa zastrzeżone All rights reserved

Printed and bound by the Bath Press ISBN 1 85917 080 3

Klasę NIMItZ dedykuję oficerom i marynarzom United States Navy oraz Royal Navy... wszystkim tym, którzy na pokładach okrętów wojennych wyruszają w morze, by czasem zajrzeć tam w oczy śmierci.

PODZIĘKOWANIA

Głównym konsultantem, który przez długie miesiące pracy nad tą powieścią służył mi swą radą, był admirał sir John (Sandy) Woodward, dowódca grupy operacyjnej na południowym Atlantyku podczas wojny o Falklandy w roku 1982. '»

Niektórzy uważają admirała Woodwarda, byłego głównodowodzącego sił morskich, za najlepszego stratega morskiego ostatnich czasów. Ale może bardziej znany jest jako jeden z najwybitniejszych ekspertów od broni podwodnej w dziejach Royal Navy. „Moja rola w powstawaniu»Klasy NIMITZ«- powiedział kiedyś -to dopilnowanie, by powieść była wiarygodna i utrzymana w granicach prawdopodobieństwa, w których fikcja nie przytłacza realiów".

Jego uwagi były wnikliwe i bardzo krytyczne. Jakimś cudem nadal darzę admirała sympatią.

W tych rzadkich przypadkach, kiedy Sandy bywał nieosiągalny, z prośbą o techniczną ekspertyzę zwracałem się do mojego przyjaciela kapitana Davida Harta Dyke'a, innego oficera Royal Navy w stanie spoczynku, który również walczył mężnie przeciwko artylerii i bombom argentyńskich sił powietrznych na południowym Atlantyku w 1982 roku.

Moim głównym doradcą do spraw Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych był kapitan Peter O'Connor, dowódca krążownika rakietowego USS „Yorktown". Jestem mu dozgonnie wdzięczny za cierpliwość i czas, jaki mi poświęcił. Inny Wirgińczyk, wiceadmirał Robert F. Dunn, opisał mi plastycznie przebieg dnia powszedniego na pokładzie lotniskowca marynarki Stanów Zjednoczonych.

Wielu oficerom służby czynnej po obu stronach Atlantyku z jednostek zarówno pod-, jak i

nawodnych, którzy bezinteresownie

—

7

wprowadzali mnie w tajniki technik dowodzenia, składam niniejszym gorące podziękowania i bardzo boleję nad tym, że nie zdołam ich tu wszystkich wymienić.

Dziękuję też Alanowi Friedmanowi, autorowi „Spider's Web”, za przybliżenie mi tematyki machinacji finansowych bardziej podejrzanych spośród środkowowschodnich reżimów.

Na koniec chciałbym podziękować mojemu staremu przyjacielowi i koledze, Joe'emu Farrelowi z Chadds Ford w Pensylwanii, który przeczytawszy z uwagą maszynopis powieści, zredagował żargon wojskowy oraz pomógł tak zróżnicować język Amerykanów i Anglików, żeby, jak to określił, amerykańscy piloci myśliwców nie wypowiadali się jak Winston Churchill.

Ponieważ to on przedstawił mnie kapitanowi O'Connorowi, puszczyć mu ową uchybienie w niepamięć.

«

POKŁAD LOTNISKOWCA KLASY

NIMITZ

Długość 1 048 stóp (322, 9 metrów)

=. Katapulta nr 1 Katapulta nr 2*

Deflektory (oścylacze)

DZIÓB

Hangar

Katapulta nr 4 –

Katapulta nr 3

Deflektory (odchylacze) strumienia gazów wylotowych

Sieć zabezpieczająca Artyleria bliskiego zasięgu

Samonadmuchające si tratwy ratunkowe

LEWA BURTA

KLOPS

Świetlna tablica obok lądowiska ', która pomaga pilotom oceniać na bieżąco czy z prawidłowej wysokości podchodzą do lądowania na okręcie.

Centrum kontroli lotów

Liny przechwytyjące

Winda nr 4

–Mostek nawigacyjny

–Główny mostek kontroli lotów

Wysepka

PRAWA BURTA

Radar przeszukiwania powietrza Winda nr 3

PLATFORMA KONTROLI LĄDOWAŃ (LSO) Sygnalista kontroli lądowań stojący na tej platformie utrzymuje łączność radiową z pilotami, naprowadzając ich na pokład i oceniając jakość lądowania każdego pilota

Artyleria bliskiego zasięgu

RUFA

Lądujący idealnie F-14 dotyka podwoziem pokładu w odległości 15 stóp od jego rufowej krawędzi.

Wysepka

Liny przechwytyjące

Winda nr 4

–Mostek nawigacyjny

–Główny mostek kontroli lotów

PRAWA BURTA

Radar przeszukiwania powietrza Winda nr 3

1 Centrum kontroli lotów

PLATFORMA KONTROLI LĄDOWAŃ (LSO) Sygnalista kontroli lądowań stojący na tej platformie utrzymuje łączność radiową z pilotami, naprowadzając ich na pokład i oceniając jakość lądowania każdego pilota.

Artyleria bliskiego zasięgu

RUFA

Lądujący idealnie F-14 dotyka podwoziem pokładu w odległości 15 stóp od jego rufowej krawędzi.

OD AUTORA

Wyobraźcie sobie nowojorski Empire State Building położony na boku i sunący z szybkością trzydziestu węzłów po oceanie, wyobraźcie sobie do tego wielką, spienioną falę dziobową, która przelewa się nad jego masztem radiowym, i już mniej więcej wiecie, jak wygląda stutysięcznotonowy lotniskowiec marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych na patrolu.

Ten wart cztery miliardy dolarów okręt wojenny, mierzący tysiąc sto stóp długości kolos zaopatrywany w energię przez własną elektrownię jądrową, to lotniskowiec klasy Nimitz, klasy wywodzącej swą nazwę od nazwiska urodzonego w Teksasie admirała z okresu drugiej wojny światowej, Chestera W. Nimitza. Był on autorem zasadzki, w której w czerwcu 1942 roku, w bitwie o Mid-way, flota Stanów Zjednoczonych zadała miażdżący cios Japończykom, zatapiając cztery najświetniejsze lotniskowce admirała Yamamoto oraz niszcząc 332 jego samoloty.

Współczesne lotniskowce tej klasy, przemierzające pod jego nazwiskiem oceany, panują niepodzielnie, gdziekolwiek się znajdują, nad strefą powietrza, morza i lądu w promieniu 500 mil. Ale olbrzymy klasy Nimitz nie pływają samotnie. Towarzyszy im zazwyczaj mała flotylla złożona z krążowników rakietowych, niszczycieli i fregat oraz dwóch okrętów podwodnych. Ta tak zwana Grupa Uderzeniowa Lotniskowca (Carrier Battle Group), pływająca w klasycznym luźnym szyku operacyjnym, określana jest w marynarce skrótem CVBG.

CVBG to niekwestionowany pan powietrza, oceanu oraz mrocznych, złowrogich połaci królestw rozciągających się pod jego powierzchnią. Admirał, który nią dowodzi, widzi ze swojego mostka największy, najszybszy, najgroźniejszy okręt wojenny, jaki kiedykolwiek zbudowano. Jest Wielkim Wodzem XXI wieku.

Jądro liczącej 10 jednostek grupy nawodnej stanowi lotniskowiec z 80 samolotami myśliwko-szturmowymi na pokładzie. Otacza go płynąca luźnym szykiem eskorta złożona z okrętów uzbrojonych w pociski kierowane. Szlak przecierają im wysforowane daleko do przodu atomowe okręty podwodne admirała.

Mniejszych krajów utrzymujących nowoczesne siły zbrojne -Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec – nie stać na wystawienie choćby jednego porównywalnego zespołu bojowego. Nawet Rosja ze swoją gigantyczną, dogorywającą flotą niezdolna jest sprostać potędze amerykańskiej Grupy Uderzeniowej Lotniskowca. USA mają takich dwanaście, a koszty eksploatacji samego tylko lotniskowca sięgają 440 milionów dolarów rocznie.

Pięćdziesiąt pięć procent pieniędzy łożonych co roku na obronę przez wszystkie kraje świata przypada na Pentagon. Załoga każdego lotniskowca to rzesza 6000 ludzi, w tym blisko 600 oficerów.

Głęboko pod pokładem, w brzuchu okrętu, kucharze co dwadzieścia cztery godziny przygotowują 18 tysięcy posiłków, plus małą przekąskę dla nocnej, tak zwanej psiej wachty, trwającej od północy do czwartej rano. Trzy razy dziennie na dźwięk zaczyna się rozpakowywanie, na trudną do wyobrażenia skalę, pudeł z zapasami żywności. Czasami w powietrzu aż gęsto jest od setek błyszczących puszek ravioli czy pulpetów, rzucanych jednocześnie przez rozpakowувaczy pomocnikom kucharzy, a przez nich – kucharzom.

Lotniskowiec ma 24 piętra wysokości od kilu po wierzchołek masztu, szerokość jego pokładu lotniskowego wynosi 260 stóp, a zanurzenie – 40 stóp. Dwa duże reaktory atomowe G. E. PWR zapewniają mu praktycznie nieograniczony zasięg, a czas przebywania w morzu limitowany jest jedynie wytrzymałością załogi. Ponadto okręt wyposażony jest w 4 turbiny parowe o łącznej mocy 260 tysięcy koni mechanicznych, a popychają go w przód 4 wały napędowe, każdy rozmiarów stuletniej kalifornijskiej sekwoi.

Z 6000 członków załogi, 3084 troszczy się tylko o bezpieczne prowadzenie tego okrętu wojennego po oceanach. Reszta, czyli 2800 osób, to personel lotniczy odpowiedzialny za operacje powietrzne oraz konserwację samolotów. Admirał, który decyduje o strategii i taktyce Grupy Uderzeniowej, dba o optymalne wykorzystanie siły ognia oraz nadzoruje inwigilację potencjalnego przeciwnika, ma do swojej dyspozycji 70-osobowy sztab, w tym 25

oficerów. Jego centrum operacyjne to kwintesencja zaczepno-obronnej doktryny marynarki Stanów Zjednoczonych.

Admirał może, jeśli chce, podprowadzać zbrojne ramię Stanów Zjednoczonych tak blisko granicy nieprzyjaciela, jak żaden jeszcze dowódca w dziejach. Może swobodnie pływać po wodach międzynarodowych. Jest mobilny, samowystarczalny i śmiertelnie niebezpieczny dla każdego przeciwnika. W trzewiach okrętu spoczywają pociski z nuklearnymi głowicami bojowymi.

Lotniskowiec asekurowany z obu stron wyposażony w system obronny AEGIS krążowniki rakietowe, których sterowana komputerowo artyleria jest w stanie razić i rozbijać ataki z powietrza przypuszczane z dwukrotną prędkością dźwięku. Niszczyciele Grupy Uderzeniowej dbają o likwidację zagrożeń powietrznych, nawodnych i podwodnych. Fregaty rakietowe z helikopterami LAMPS na pokładzie stanowią zaporę przeciwko okrętom podwodnym, która może sięgać setki mil w każdym kierunku.

Okręty podwodne Grupy, które, jeśli to konieczne, mogą latami pozostawać w zanurzeniu, patrolują setki mil kwadratowych, oczyszczając drogę lotniskowcowi i jego asyście. Uzbrojone w niewiarygodnie celne, sterowane przewodowo torpedy oraz pociski samonaprowadzające, przeznaczone są w zasadzie do zwalczania swych odpowiedników po stronie nieprzyjaciela.

Rozbudowany system elektroniczny splata Grupę w ciasną sieć łączności, którą przekazywany jest minuta po minucie, z jednego centrum dowodzenia do drugiego, z okrętu na okręt, stan operacyjny tej ruchomej komórki o prawie niewyobrażalnej potędze. Grupa Uderzeniowa Lotniskowca zdolna jest do jednoczesnego eliminowania zagrożeń z powietrza, z powierzchni morza i z jego głębin.

Jej broń zaczepną stanowią bombowce – 20 niechybiających celu samolotów przystosowanych do operowania w każdych warunkach atmosferycznych, postrach każdego wrogiego Stanom Zjednoczonym okrętu, plus 20 ponaddźwiękowych myśliwsko-szturmowych FA-18 hornet. Do obrony Grupy Uderzeniowej i (lub) osłaniania bombowców służy 20 kolejnych myśliwców – przeważnie potężnie uzbrojonych, wyposażonych w pociski kierowane tomcatów F-14 i ponaddźwiękowych super-tomcatów F-14D. W razie zagrożenia można je wyrzucać w powietrze po dwa na raz z pięcioakrowego pokładu startowego za pomocą parowych ka-tapult – prędkość od zera do 150 mil na godzinę osiągają w 2 sekundy.

Do tego w skład sił powietrznych Grupy wchodzi zazwyczaj 4 patrolowe prowlery EA-6B o niezrównanej zdolności całkowitego zakłócania pracy nieprzyjacielskich radarów, a tym samym oślepienia każdego przeciwnika, który staje się następnie łatwym celem dla amerykańskich samolotów szturmowych. Kolejna specjalistyczna, naszpikowana nowoczesną elektroniką maszyna na pokładzie to S3 viking, zwiadowczo-szturmowy samolot torpedowy, który potrafi sondować z powietrza głębiny i niszczyć nieprzyjacielskie okręty podwodne w odległości setek mil od głównej grupy.

W hangarach pod pokładem stoi zwykle w gotowości flota 8 helikopterów – bojowe cobry, sea kingi i najczęściej 1 wielki transportowiec CH-53, który potrafi przenosić na ląd oddziały szturmowe bądź śpieszących z odsieczą marines w sile do 55 ludzi.

Własne wyrzutnie pocisków i artyleria czynią z lotniskowca klasy NIMITZ najciężej uzbrojony okręt wojenny, jaki kiedykolwiek pływał po morzach i oceanach. Dzięki podwójnemu kadłubowi i szczelnym przedziałom wzdłuż linii wodnej jest on najtrudniejszą do zatopienia jednostką w dziejach marynarki.

Każda dobra drużyna potrzebuje rozprawdzającego, i w CVBG rolę taką spełnia samolot kontroli i wczesnego ostrzegania E2C hawkeye. Ta ciężka maszyna lotnictwa morskiego, ze skomputeryzowanym centrum operacyjnym na pokładzie i charakterystyczną wielką kopułą radaru na grzbiecie, wykryje praktycznie każdego nieprzyjaciela, usiłującego podejść niepostrzeżenie do lotniskowca w promieniu tysiąca mil.

Lotnictwo uderzeniowe lotniskowca jest szybkie i dalekosiężne, a sam lotniskowiec potrafi przebyć 500 mil dziennie, kontrolując bez przerwy strefę, w której się aktualnie znajduje. Ponieważ do mórz i oceanów świata dostęp ma czterdzieści z czterdziestu dwóch krajów sprzymierzonych z Ameryką, można śmiało powiedzieć, że w zasięgu amerykańskiej Grupy Uderzeniowej Lotniskowca leży również 85 procent powierzchni lądowej tej planety i 95 procent zamieszkującej ją populacji.

Jednak niewiele z tych setek milionów osób zdaje sobie sprawę, że życie we względnym spokoju zawdzięcza żelaznej obronnej pięści Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Większość sądzi, że bezpieczeństwo zapewniają im ONZ, NATO albo jakaś uosi-europejska doktryna obronna. Kiedy jednak przychodzi co do czego, pozostaje tylko amerykańska Grupa Ude-

rzeniowa Lotniskowca – pływająca forteca oceaniczna. Tylko ona jest w stanie pojawić się błyskawicznie u wybrzeży potencjalnego agresora.

Nieosiągalne dla ataku z powietrza ani z powierzchni morza, praktycznie niezatopialne przez jakąkolwiek konwencjonalną broń podwodną, otoczone szczelnym murem myśliwców, pocisków kierowanych i elektroniki śledzącej, chronione dwadzieścia cztery godziny na dobę przez przemiatające, sterowane komputerowo pole radarowe, dysponujące własnym bombowym lotnictwem uderzeniowym...

Lotniskowce Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Ameryki określić można chyba jednym tylko słowem: niepokonane.

Prawie.

LISTA GŁÓWNYCH POSTACI

Wyższe dowództwo wojskowe Prezydent Stanów Zjednoczonych (zwierzchnik Sił Zbrojnych

Stanów Zjednoczonych) Generał Josh Paul (przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów

Połączonych)

Wiceadmirał Arnold Morgan (dyrektor Agencji Bezpieczeństwa

Narodowego)

Grupa Uderzeniowa Lotniskowca USS „Thomas Jefferson”

Konradmirał Zack Carson (oficer flagowy) Kapitan Jack Baldrige (oficer operacyjny Grupy)

Kapitan Carl Rheinegen (kapitan „Jeffersona”) Porucznik William R. Howell (pilot myśliwca)

Porucznik Freddie Larsen (operator radaru pokładowego) Porucznik Rick Evans (sygnalista

kontroli lotów) Podporucznik Jim Adams (szef obsługi urządzeń przechwytyjąco-

–hamowniczych)

Kapitan Art Barry (dowódca USS „Arkansas”) Komandor podporucznik Chuck Freeburg (szef systemów

zwalczania okrętów podwodnych na USS „Hayler”) Porucznik Joe Farrell (pilot marynarki wojennej)

Wyższe dowództwo marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych

Admirał Scott F. Dunsmore (szef operacji morskich – CNO) Wiceadmirał Freddie Roberts (zastępca CNO) Admirał Gene Sadowski (szef operacji morskich w dowództwie

Pacyfiku)

18

Admirał Albie Lambert (szef operacji morskich Floty Pacyfiku) Wiceadmirał Schnider (szef wywiadu sił morskich) Wiceadmirał Archie Carter (dowódca Siódmej Floty)

Personel marynarki wojennej Stanów jednoczonych

Komandor porucznik Bill Baldrige (wywiad sił morskich) Komandor porucznik Jay Bamberg (adiutant CNO)

USS „Columbia”

Komandor Cale „Boomer” Dunning (dowódca) Komandor porucznik Jerry Curran (szef systemów bojowych) Komandor porucznik Lee O'Brien (główny mechanik) Komandor porucznik Mike Krause (zastępca dowódcy) Formacja SEAL Marynarki Stanów Zjednoczonych Admirał John Bergstorm (dowódca, dowództwo sił specjalnych

SPECWARCOM) Porucznik Russell Bennett (dowódca plutonu, zespół SEAL

Nr 3)

Komandor Ray Banford (koordynator misji SEAL) Podporucznik David Mills (sternik SDV)

Politycy oraz personel prezydencki

Robert MacPherson (sekretarz obrony)

Harcourt Travis (sekretarz stanu)

Dick Stafford (rzecznik prasowy Białego Domu)

Sam Haynes (doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego)

Louis Fallon (szef personelu Białego Domu)

Oficerowie CIA

Jeff Zepeda (ekspert do spraw Iranu)

Major Ted Lynch (specjalista od spraw finansów Środkowego

Wschodu)

Członkowie rodzin

Grace Dunsmore (żona CNO) Elizabeth Dunsmore (córka CNO) Emily Baldrige (matka Jacka i Billa) Ray Baldrige (brat Jacka i Billa) Margaret Baldrige (żona Jacka)

19

**Personel Royal Navy Admiral sir Peter Elliott (oficer flagowy sił podwodnych [FOSM])
Kapitan Dick Greenwood (szef sztabu FOSM) Porucznik Andrew Waites (porucznik flagowy)
Admirał sir Iain MacLean (FOSM w stanie spoczynku) Komandor porucznik Jeremy Shaw
(dowódca HMS „Unseen”)**

Członkowie rodzin

Lady MacLean („Annie”, żona sir Iaina) Laura Anderson (córka sir Iaina i Lady MacLean)

Starsi oficerowie innych państw

**General David Gavron (attache wojskowy przy ambasadzie Izraela
w Waszyngtonie)**

Wiceadmirał Witalij Ranków (szef wywiadu sił morskich Rosji)

Personel marynarek wojennych innych państw

Starszy marynarz Karim Aila (wartownik portowy, Irańska

Marynarka Wojenna) Porucznik Jurij Sapronow (Rosyjska Marynarka Wojenna,

Sewastopol)

PROLOG

Daleko w Morzu Egejskim, między kontynentalnym wybrzeżem Grecji a wydłużonym zachodnim cyplem Krety, leży dzika, niegościnna wyspa Kithira. Jest to długa na co najwyżej dwadzieścia mil, urwista skała osadzona w środku połyskliwego, roziskrzonego morza.

Wody wzdłuż wschodniego skraju Morza Śródziemnego zdaje się podświetlać od spodu czyste, przezroczyste światło. To lazurowy raj dla przyjezdnych amatorów nurkowania, ale miejsce niewdzięczne i bezlitosne dla miejscowych rybaków. Ryb już tu mało, a życie ciężkie jak zawsze.

Był początek lipca, piąta rano kolejnego upalnego dnia. Niedawno wzeszło słońce, wzdłuż południowego, skalistego wybrzeża wyspy sunęła Jódź rybacka. Na dziobie, zwiesiwszy nogi za prawą burłę, siedział szesnastoletni Dimitrios Morakis.

Poprzedniego ranka zgubił jedyną sieć, jaką miała jego rodzina, i teraz nieogolony ojciec stał nachmurzony przy rumplu. Mężczyzna był w duchu dumny ze złotoskórego syna. Papatrywał spod oka na etruski nos potomka, lustrzane odbicie jego własnego nosa, i na wielkie dłonie, zbyt silne, jak na takiego młodego, szczupłego chłopaka; genetyczny dar odziedziczony po długiej linii kithirańskich rybaków.

Duma dumą, ale zły humor nie opuszczał Stephanosa.

–Lepiej dla ciebie będzie, jak ją znajdziemy – burknął, choć nie musiał.

Lekka poranna bryza marszczyła powierzchnię morza i rozwiewała od czasu do czasu szkarłatno-fioletowy opar snujący się nad wodą, a wtedy ląd ukazujący się na wschodzie zdawał się unosić.

Się wypatrzyli mniej więcej tam, gdzie Stephanos spodziewał się ją znaleźć. Niezmiennie egejskie prądy zniosły ją na stercząca z morza skałkę. Zgubione sieci od wieków zatrzymywały się na tych właśnie skałach.

Gorsza sprawa, że sieć się o coś zaczepiła. Dimitrios mozolił się już w wodzie dobre pół godziny i wciąż nie mógł jej wyciągnąć.

–Zahaczyła się gdzieś głęboko – krzyknął do ojca. – Wróć na łódź po nóż i zanurkuję.

Parę minut później chłopiec skoczył głową w dół do wody i przebierając energicznie nogami popłynął w głąb. W kryształowo przezroczystej wodzie szybko znalazł koniec sieci opleciony wokół dwóch kamieni i zakleszczony w szczelinie między nimi. Musi ją przeciąć, innego wyjścia nie widział.

Przytrzymał się lewą ręką kamienia i ciął nożem na ukos. Wyszarpnął splątany kłęb z klinowatej szczeliny między kamieniami. Przebywał już pod wodą dwadzieścia cztery sekundy i zaczynało mu brakować powietrza.

Drogę ku powierzchni zatarasował chłopcu pokaźny ciężar, który zniemacka spoczął mu na barkach. Dimitrios szarpnął się, odepchnął od siebie dwa czarne buciory i ku swemu przerażeniu stwierdził, że w buciorach tkwi wzdęte ciało topielca uwięzionego za rękę między starożytnymi skałami Kithirii.

Druga ręka, ogryziona do kości przez ryby, kołysała się leniwie na porannym płynie. Sparaliżowany strachem Dimitrios patrzył na białą, spuchniętą głowę z pustymi oczodołami, głowę szczerzącą półgębkiem zęby w groteskowym uśmiechu, a zęby te wyzierały spod częściowo oddartego od czaszki ciała. Był to istny demon, tak właśnie Dimitrios wyobrażał sobie samego diabła.

Krztuszając się z obrzydzenia, patrzył zahipnotyzowany, jak przerażający trup odprawia tuż pod powierzchnią swój upiorny taniec, jak w świetle jasnych promieni egejskiego słońca porusza w zwolnionym tempie swobodną ręką i obiema nogami.

W końcu chłopiec otrząsnął się z transu, odwrócił i zawierzał nogami z determinacją duszącego się człowieka, zdjętego śmiertelną trwogą, którego gna myśl, że widmo znajdzie sposób, by się uwolnić, i podąży za nim.

W drodze ku powierzchni obejrzał się jeszcze przez ramię i dopiero teraz dostrzegł jasny odbłask na granatowym materiale

PAKISTAN

IRAN

OMAN

SOKOTRA

JV " P tAK*i • '

INDIE

Strefa operacyjna, Grupy „Thomasa Jeffersona”: – średnica 400 mil morskich

–

MORZE ARABSKIE I STREFA OPERACYJNA GRUPY UDERZENIOWEJ LOTNISKOWCÓW

ROZDZIAŁ PIERWSZY

22 kwietnia 2002. Ocean Indyjski. Na pokładzie lotniskowca USA „Thomas Jefferson”. 9S, 92E. Szybkość 30.

Już po raz drugi wymachali go znad pokładu. Po raz drugi porucznik William R. Howell otworzył przepustnicę wielkiego prze-chwytyjąco-szturmowego tomcata F-14, odbił w prawo i nabierając wysokości patrzył na strzałkę szybkościomierza, która przemieściła się płynnie ze stu pięćdziesięciu na dwieście osiemdziesiąt węzłów.

–Tomcat dwa-zero-jeden – głos sygnalisty kontroli lotów stojącego na rufie lotniskowca był nadal spokojny – mamy dalej zapaskudzony pokład... musieliśmy cię znowu wymachać... to tylko rozlany olej... nic poważnego, powtarzam: nic poważnego.

–Tomcat dwa-zero-jeden. Zrozumiałem – powiedział cicho i powoli porucznik Howell. – Robię jeszcze jedną rundkę. Podejdziemy znowu z dwunastu mil.

Uniósł minimalnie nos myśliwca i poczuł skurcz żołądka. Było to zawsze wrażenie przelotne, ale uświadamiało człowiekowi, że sadzanie jakiegokolwiek samolotu pośrodku morza na wąskim, pochylonym, długim na siedemset pięćdziesiąt stóp, kołyszącym się lądowisku pozostaje sprawdzianem umiejętności i odporności psychicznej każdego pilota, gdzie w grę wchodzi śmierć i życie. Większości nowicjuszy dopiero po dwóch miesiącach przestają drżeć kolana po każdym lądowaniu. Piloci gorzej wyszkoleni albo mniej odporni psychicznie znajdują sobie zazwyczaj pracę na lądzie stałym, zasiadając za sterami transportowców, albo giną. Każdego roku rozbija się około dwudziestu samolotów z amerykańskich lotniskowców.

–Cholera – mruknął z tylnego miejsca porucznik Freddie Larsen, operator radaru pokładowego. – Stu facetów nie może przez pół godziny wytrzeć głupiej kałuży rozchlapanego oleju. Co, u diabła? – Żaden z nich nie miał jeszcze dwudziestu ośmiu lat, ale obaj zdążyli już opanować do perfekcji nonszalancję pilota marynarki wojennej stojącego w obliczu natychmiastowej śmierci z ponaddźwiękową prędkością. Zwłaszcza Howell.

–Licho wie – mruknął ten ostatni, prowadząc rozpędzonego tomcata między rozproszonymi, niskimi chmurkami, które śmigały za szybą kabiny potwornego dwustatecznikowego samolotu bojowego, mknącego jak pocisk z prędkością blisko, pięciu mil na minutę. – Widziałeś kiedy lądowanie myśliwca na oleju rozlanym na pokładzie lotniskowca?

–Mhm.

–Nic przyjemnego. Jeśli maszyna wpadnie ci w poślizg i zboczy z linii prostej, możesz pozabijać kupę chłopaków. Zwłaszcza jeśli w coś wyrznieś i samolot stanie w płomieniach, a to masz prawie jak w banku.

–Postaraj się tego uniknąć, dobra?

Freddie wyczuł, jak Howell przymyka przepustnicę przed wprowadzeniem tomcata w lewy skręt. Usłyszał znajomy gang wytracających ciąg silników i żeby zniwelować siłę odśrodkową, przechylił się w bok niczym motocyklista, którym swego czasu był.

F-14 to właściwie motocykl, tyle że ze skrzydłami o rozpiętości sześćdziesięciu czterech stóp. Przy małych prędkościach jest nadspodziewanie wrażliwy na podmuchy wiatru, ma dwa twarde jak deski, niewygodne siedzenia i silnik o mocy wystarczającej, by zmienić go w raketę rozwijającą prędkość równą dwóm machom -a to ni mniej, ni więcej, tylko tysiąc czterysta węzłów, niemal graniczna prędkość, jaką przetrwać może pilot myśliwca.

Utrzymując wciąż prędkość w okolicach dwustu osiemdziesięciu węzłów, Howell wszedł w szeroki nawrót. Tomcat przechylił się na skrzydło o blisko dziewięćdziesiąt stopni, silniki zawyły potępieńczo. Lotniskowiec znikł Howellowi z oczu, widok przesłoniły mu przemykające przed kabiną chmurki, których ciemne cienie były skazą na błękitie morza w dole. Rozciągał się pod nimi najmniej uczęszczany szlak morski, trzy i pół tysiąca mil kwadratowych środkowego Oceanu Indyjskiego między afrykańską wyspą Madagaskar a skalistym zachodnim wybrzeżem Sumatry.

Lotniskowiec ze swą eskortą – Grupa Uderzeniowa licząca w sumie dwanaście jednostek, w tym dwa atomowe okręty podwodne -płynął w kierunku amerykańskiej bazy morskiej na Diego Garcia, małego atolu pięćset mil na południe od równika, jedyne anglo-amerykańskiego azylu w tej części świata.

Atol ten to schronienie Amerykańskiej Grupy Uderzeniowej, miejsce, gdzie admirałowie o przekrwionych z niewyspania oczach oraz tak samo niewyspani ludzie z ich sztabów testują nowe systemy broni rakietowej, nowe okręty wojenne i bez ustanku katapultują z pokładów lotniskowych asów lotnictwa morskiego. To nie miejsce dla ludzi małego serca. To symulowany teatr działań wojennych, do którego wstęp mają tylko najlepsi synowie narodu... ludzie „z ikłą”, jak to określił nieśmiertelny Tom Wolfe. Każdy służy tu przez nie kończące się sześć miesięcy.

Zszedłszy na tysiąc dwieście stóp, porucznik Howell połączył się ponownie z kontrolerem lądowań na lotniskowcu:

–Wieża, tu tomcat dwa-zero-jeden z ośmiu mil. Podchodzę znowu. – Był oszczędny w słowach.

Myśliwiec zaczął wytracać wysokość, wycie silników narosło do wysokiego G, od którego popękałyby kieliszki na półce każdego baru. Howell, odseparowany przez słuchawki i gogle od świata zewnętrznego, przemiótł oczyma horyzont wypatrując 100 000-to-nowego lotniskowca.

–Zrozumiałem, tomcat dwa-zero-jeden – zatrzeszczał inter-com. – Pokład masz już wyczyszczony... widzę cię... idziesz, pilnuj wysokości i kierunku. Wiatr z południowego zachodu, w porywach trzydzieści węzłów. Mamy go wciąż w dziób. Możesz siadać. ' t

–Zrozumiałem, wieża... sześć mil.

Wszyscy piloci marynarki wojennej latający tym szybkim myśliwcem hołdują specyficznej manierze zrelaksowanego, beznamiętnego porozumiewania się z kontrolą lotów. Niektórzy dopatrują się w tym zwyczajnego naśladownictwa najsłynniejszego asa myśliwskiego Ameryki, generała Chucka Yeagera, pilota oblatywacza, który w roku 1947 jako pierwszy przekroczył barierę dźwięku w supertajnym bellu X-1.

Prawie każdy młody pilot marynarki, rozmawiając z wieżą, stara się wczuwać w osobowość generała Yeagera i podrabiać rozwlekłość i flegmę wypowiedzi tego chłopaka z zabitej deskami zachodniej Wirginii. Nawet w obliczu katastrofy mówi bez pośpie-

chu, z lodowatym chłodem. „Mam mały pożarek w prawym silnyku, odcinam dopływ paliwa, dolece na jednym. Przekręćcie my pokład lotniskowy ździebko bardziej pod wiatr. Nie bójcie nic”.

Porucznik William R. Howell naśladował generała najlepiej ze wszystkich. I łatwiej mu to przychodziło. Bo jeśli chodzi o ścisłość, to nie był wcale porucznikiem Williamem R. Howellem. Był Billy-Rayem Howellem, którego ojciec, metodysta z Południa, dawniej górnik węglowy, prowadził teraz sklepik z mydłem i powidłem w Hamlin, rodzinnym miasteczku Chucka Yeagera, zamieszkiwanym przez niespełna tysiąc dusz miejscowości w okręgu Lincoln nad Mud River w zachodnich dolinach Apallaphów, o rzut kamieniem od granicy ze stanem Kentucky. Podobnie jak Chuck Yeager, Billy-Ray opowiadał o „sztukach” złowionych w Mud River, był synem człowieka, który zastrzelił swego czasu parę niedźwiedzi, i nie mógł się doczekać, kiedy podrałuje do chaty i zobaczy z tatą.

Ujmując w dłoń drążek sterowy F-14, Bill-Ray Howell stawał się generałem Yeagerem. Myślał jak generał, mówił jak on i w sytuacji kryzysowej działał tak, jak jego zdaniem czyniłby to generał. Nieważne, że wielki Chuck odszedł już w stan spoczynku i osiadł w Kalifornii. Billy-Raya to nie interesowało, on, wzbijając się w powietrze, tworzył z Chuckiem Yeagerem nieformalny, mistyczny, zachodniowirginijski tandem i czuł się prawowitym następcą swojego idola. Był zdania, że tradycyjny, wiejski styl życia wśród orzechowców okręgu Lincoln hartował tych, którzy tam dorastali. I prawie nie miał wątpliwości, że pan Yeager przyznałby mu rację.

Ta strategia przynosiła efekty. Billy-Ray zrealizował swoje chłopięce marzenie i został pilotem morskim. Lata nauki, lata szkolenia, cały czas w czołówce. Wszyscy w lotnictwie morskim wiedzieli, że młody Billy-Ray Howell zajdzie daleko i wysoko. Wiadomo było o tym już w chwili, kiedy ukończył z wyróżnieniem Akademię Lotnictwa Morskiego Stanów Zjednoczonych.

Nikogo nie dziwiło mistrzostwo, z jakim rozpoczynając szkolenie na myśliwcach odrzutowych, harcował po niebie starymi T2 buckeye'ami nad Whiting Field, na wschód od Pensacola na północnym zachodzie Florydy.

Teraz też głos docierający do strefy kontroli lotów swoim opanowaniem i beznamiętnością przypominał do złudzenia ton generała Yeagera:

–Wieża, tu tomcat dwa-zero-jeden z czterech mil. Coś mi tu nie gra... pomryguje lampka awarii podwozia. Nie czuję, żeby mi się kółka zblokowały. Może coś nie tak z żarówką.

–Wieża do tomcata dwa-zero-jeden. Zrozumiałem. Przeleć jakieś pięćdziesiąt stóp nad pokładem z szybkością dwustu węzłów. Chłopaki przyjrzą się z bliska twojemu podwoziu.

–Zrozumiałem, wieża... idę.

Sygnalista kontroli lądowań stojący na odsłoniętym, smaganym przez wiatr pokładzie lotniskowca i przekazujący drogą radiową instrukcje pilotowi, obserwował tomcata 201, oddalone jeszcze o czterdzieści pięć sekund, ponad dwudziestotonowe latające bydlę, które walcząc z nieprzewidywalnymi nad Oceanem Indyjskim podmuchami wiatru podchodziło do lądowania dwa stopnie względem poziomu. Powierzchnia morza była mocno sfalowana i kołysał się też sam idący z szybkością piętnastu węzłów okręt. Odchylenia od poziomu dochodziły do półtora stopnia w obie strony, co oznaczało, że końce pokładu – dziób i rufa – co trzydzieści sekund przemieszczały się o sześćdziesiąt stóp na przemian to w górę, to w dół. Podchodzący pod silny, gorący wiatr samolot czekała nielicha przeprawa; w tych warunkach wyczucie momentu odpowiedniego na dotknięcie kołami pokładu byłoby sprawdzianem umiejętności i wyszkolenia dla każdego pilota. Ale najpierw musiały się wysunąć podwozie.

Sygnalista kontroli lądowań, porucznik Rick Evans, chudy pilot myśliwski rodem z Georgii, stał teraz na lewej rufowej ćwiartce pokładu lotniskowca i obserwował tomcata 201 przez lornetkę. Widział już, że podwozie nie wyszło, że nie otworzyły się nawet klapy. Myślał gorączkowo. Wiedział, że Billy-Ray Howell znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Awaria podwozia to koszmar spędzający sen z oczu każdemu pilotowi czy to cywilnemu, czy wojskowemu. Ale tutaj, na pełnym morzu, taka awaria była po stokroć groźniejsza.

Myśliwiec nie ląduje jak cywilne samoloty pasażerskie, które schodzą łagodnym, niemal płaskim ślizgiem, by w ostatniej fazie, kilka stóp nad długim na milę pasem startowym, wyrównać lot i łagodnie dotknąć kołami betonu. Tutaj nie ma na to czasu. Ani miejsca. Piloci morscy spadają dwudziestodwutonowymi tomca-tami wprost na pokład z szybkością stu sześćdziesięciu węzłów i modlą się, żeby hak hamowniczy zaczepił o rozciągniętą w poprzek pokładu linę przechwytyjącą.

Podczas takiego lądowania siła działająca na podwozie jest astronomiczna. Tytaniczne amortyzatory muszą przejąć i wchłonąć cały ciężar spadającego z impetem samolotu. Jeśli hak ha-mowniczy nie natrafi na linę przechwytyjącą, pilot ma jedną dwudziestą sekundy na reakcję i „zrobienie kaczkę”, czyli otwarcie przepustnicy, wybicie się z dziobu z powrotem w powietrze i odlot w prawo z lakonicznym komentarzem: „Podchodzę jeszcze raz”.

Najmniejszy choćby problem z hydrauliką wypuszczania podwozia pociąga za sobą przerwanie operacji lądowania i niemal bez wyjątku spisanie samolotu na straty. Ponieważ marynarka woli się pożegnać z wartym trzydzieści pięć milionów dolarów samolotem niż z dwoma pilotami, których wyszkolenie kosztuje dwa miliony dolarów od osoby. Woli też, żeby maszyna wpadła raczej do oceanu, niż wywołała na pokładzie groźny pożar, jakim może się skończyć lądowanie na brzuchu. Nie wspominając już o niebezpieczeństwie utraty kolejnych czterdziestu zaparkowanych na pokładzie samolotów, a kto wie, czy nie całego okrętu, gdyby płomień dotarły do milionów galonów paliwa lotniczego.

Każdy na pokładzie lotniskowym wiedział już, że Billy-Ray i Freddie prawie na pewno będą musieli opuścić maszynę katapultując się z kabiny. Była to operacja niebezpieczna i mrożąca krew w żyłach. Pilot mógł w jej trakcie stracić nogę, rękę, a nawet życie.

–Jezusie święty – jęknął z rozpaczą porucznik Evans.

Cały zespół sygnalistów przesuwiał się już na wszelki wypadek w stronę głębokiego, wymoszczonego miękko kanału, by wskakując tam ratować życie, jeśli Billy-Ray straci panowanie nad sterami i tomcat wyrznie w rufę lotniskowca. W pogotowiu czuwały wszystkie drużyny strażackie.

–Mostek. Ster cztery stopnie w prawo. Kurs dwa-jeden-zero. Chcę mieć co najmniej trzydzieści węzłów nad pokładem. Szybkość stosowna.

Słysząc już było ryk silników nadlatującego Tomcata, a poczta pantoflowa lotniskowca działała pełną parą. Billy-Ray cieszył się niemal powszechną sympatią. Ożenił się zaledwie przed rokiem i połowa personelu bazy lotnictwa morskiego nad Pax River w Marylandzie była na jego ślubie. Panna młoda, Suzie Danford, wysoka, ciemnowłosa córka admirała Skipa Danforda, poznała kędzierzawego, ciemnookiego Billy-Raya, chłopaka o szerokich barach górnik i przekornym uśmiechu, pod koniec szkolenia w Pensacola, nim Billy wszedł do elity pilotów marynarki wojennej.

Teraz odczekiwała samotnie w Marylandzie nie kończące się sześć miesięcy pierwszej tury jego służby na morzu. Tak jak wszystkie żony pilotów żyła w ciągłym lęku przed niespodziewanym pukaniem do drzwi, przed telefonem z bazy lotnictwa morskiego, z którego dowie się, że jej Billy-Ray wybił wielką dziurę w Oceanie Indyjskim. I nie było w tym nic melodramatycznego. Około dwudziestu procent pilotów marynarki wojennej ginie w pierwszych dziewięciu latach służby. Suzie Danford Howell miała dwadzieścia sześć lat i ze śmiercią była już oswojona. I obawa, że mąż podzieli los Jeffa McCalla, Charliego Rowlanda oraz Dave'a Redlanda nie dawała jej spać po nocach. Czasami myślała, że z tego wszystkiego zwariuje. Starła się jednak tłumić swe lęki.

Nie wiedziała, w jak śmiertelnym niebezpieczeństwie znalazł się teraz jej mąż. Nie ma praktycznie żadnych wslazań na wypadek awarii podwozia. Tutaj nic się nie da zrobić, pilotowi pozostaje tylko szarpnąć maszyną w dół, a zaraz potem w górę. Przy łucie szczęścia może doprowadzić do odblokowania zakleszczonych kół, a ich wysunięcie się zasygnalizuje wtedy gasnąca lampka awaryjna. Ale czasu jest na to mało. Jeśli skończy się paliwo, tomcat F-14 runie w dół niczym dwudziestotonowa bryła betonu i jak meteor przebije fale Oceanu Indyjskiego... „Billy-Ray Howell i Freddie mają kłopoty” – niosło się po lotniskowcu.

Stojący po stronie wieży podporucznik Jim Adams, potężny czarny mężczyzna z południowego Bostonu we fluorescencyjnej żółtej kamizelce, rozmawiał przez radiotelefon z operatorami hydrauliki przygotowującymi pod pokładem liny przechwytyjące, które miały w równe dwie sekundy wyhamować i osadzić w miejscu rozpędzonego tomcata.

Wielki Jim, starszy mechanik urządzeń przechwytyjąco-hamowniczych, wydał już rozkaz nastawienia systemu na przejęcie walącego o pokład z szybkością stu sześćdziesięciu węzłów i siłą pięćdziesięciu tysięcy funtów tomcata, którego pilot ściska w dłoni manetkę przepustnicy na wypadek, gdyby hak nie zaczepił się o linę. Ale Jim wiedział, że są problemy... Billy-Ray Howell był tam w górze w poważnych tarapatach.

Wielki Jim kochał Billy-Raya. Ich rozmowom o baseballu nie było końca. Jim utrzymywał, że zostałby jak nic legendarnym pałkarzem, gdyby tylko dano mu szansę zagrania w bostońskiej drużynie Red Sox, Billy-Ray zaś opowiadał, jakim to był miotaczem w szkole średniej w Hamlin. W przyszłym roku zbiegały im się

wiosenne urlopy i wybierali się pokibicować przez cztery dni Red Soxom, którzy trenowali w tym czasie na Florydzie. W tej chwili Wielki Jim oddałby wszystko za szansę przejrzenia i naprawienia podwozia tomcata. Stał na pokładzie i odmawiał szeptem odwieczną modlitwę załogi lotniczej: „Boże, żeby się tylko nie rozwalił, Boże, żeby wyszedł cało”.

*

–Hydraulika mu nawaliła? – krzyknął z mostka kapitan Carl Rheinegen do starszego sygnalisty kontroli lądowań na rufie. – Nie pozwólcie mu lądować. Trzymajcie go w górze i na dystans!

Wielki, wodoodporny telefon w dłoni porucznika Ricka Evan-sa znowu zatrzeszczał. Głos pilota w słuchawce był nadal opanowany.

–Wieża, tu tomcat dwa-zero-jeden. U mnie wciąż bryndza. Próbowałem potrząsnąć nim parę razy. Ale nic z tego. Lampka dalej świeci. Mogę przelecieć nad rufą i spróbować jeszcze raz, ale z tą hydrauliką coś chyba nie tak. Wolałbym utrzymać szybkość na dwustu pięćdziesięciu i od razu zawrócić. Nabrać trochę powietrza pod skrzydła. Nie ma strachu. Drażek trochę ciężko chodzi. Ale wachę mamy. Daj znać, co ci bardziej odpowiada.

F-14 gnał prosto na rufę dwa razy szybciej niż metroliner kursujący przez New Jersey i z dziesięć razy bardziej ogłuszającym rykiem. Za szybko, ale wciąż wysoko.

–Wieża do tomcata dwa-zero-jeden. Dodaj gazu i odbijaj teraz. Nie przelatuj. Powtarzam, nie przelatuj.

–Zrozumiałem – powiedział spokojnie Billy-Ray Howell, pchnął manetkę przepustnicy i pociągnął do siebie drążek. Maszyna przyspieszyła, ale zamiast poderwać się w górę, zanurkowała w kierunku krańca pokładu lotniskowego. Dwa pociski phoenix podczepione wciąż pod skrzydłami mogły roznieść pół pokładu w strzępy. – Tomcat dwa-zero-jeden – podjął nie tracąc zimnej krwi Billy-Ray – dam trochę w bok i odejdę znad lewej burty. – Osadzonymi głęboko oczyma obserwował pędzący mu na spotkanie, rozkołysany pokład lotniskowy. Próbował wyrównać lot, ale znarowiony tomcat już go nie słuchał.

Rick Evans, wlepiając wzrok w tomcata spadającego ku lewemu skrajowi pokładu lotniskowego, poderwał do ust telefon.

–Skaczcie, Billy-Ray, katapulta!

Freddiemu Larsenowi przemknęło przez myśl, że pilot uważa może katapultowanie za oznakę słabości lub braku zimnej krwi.

–Wajcha, Bill y-R a y! – wrzasnął po raz pierwszy w swej karierze operatora radaru pokładowego. – Na miłość boską, wajcha!!

W momencie kiedy tomcat mijał o włos maszt lotniskowca, prawa pięść Williama R. Howella rąbnęła w dźwignię katapulty. Eksplozja umieszczonego pod fotelem kompaktowego ładunku wyrzuciła go głową naprzód z kokpitu. Freddie wyprysnął z kabiny pół sekundy po nim. Gwałtowność dwóch następujących po sobie detonacji pozbawiła ich na chwilę przytomności. Freddie ocknął się pierwszy i zobaczył tomcata zarywającego nosem w ocean jakieś dwadzieścia stóp na lewo od dziobu lotniskowca oraz wysoką na pięćdziesiąt stóp fontannę wody sięgającą niemal pokładu lotniskowego.

Ale oni byli już bezpieczni. Odzyskując przytomność Billy-Ray ujrzał najpierw nad sobą rozkołysaną czaszę spadochronu, a potem spieniony, biały kilwater lotniskowca pod nogami. Kiedy lądowali z Freddie'em w wodzie, z pokładu lotniskowego podrywał się już w ryczącym wirze powietrza śmigłowiec Sea King. Załoga pokładowa wyłaziła z kryjówek. Przerwano wszystkie operacje lądowania i startu," i krztuszący się wodą w rozkołysanym oceanie, podtopiony mimo wodoszczelnego kombinezonu ratunkowego Billy-Ray Howell usłyszał grzmiący bosko głos szefa drużyny ratowniczej, który wrzeszczał przez tubę:

–Bez nerw, chłopaki, tylko bez nerw, odepnijcie spadochrony i spokojnie czekajcie, zaraz tam będziemy!

Wielki śmigłowiec zawisł nad ich głowami. Dziewiętnastoletni praktykant szkoły morskiej skoczył z linami do wody i podpłynął do oszołomionych pilotów.

–W porządku, chłopaki? – spytał.

–Gorzej by nam było teraz w tym zakichanym F-1 4 – wykrztusił Billy-Ray.

Zaskrzypiała wyciągarka, napięły się liny i trzydzieści pięć sekund później, rozdygotani, zszokowani, ale już bezpieczni, znaleźli się w śmigłowcu. Freddie miał złamaną rękę, Billy-Ray rozcięty łuk brwiowy, a zalewająca mu twarz krew ujmowała pewności siebie jego uśmiechowi.

Śmigłowiec wylądował po lewej stronie pokładu. Czekają już tam trzech felczerów i sanitariusze z noszami. Porucznik Rick Evans też dygotał i powtarzał w kółko:

–Rany, aleście się skąpali, chłopaki, aleście się skąpali.

Na dwóch oszołomionych, poturbowanych pilotów czekał w powadze mały komitet powitalny. Wielki Jim Adams wbrew wszelkim zasadom obowiązującym w marynarce wojennej przepchnął się przez ten tłumek i wyjął Billy-Raya ze śmigłowca jak dziecko z łóżeczka.

–Żebyś mi już nigdy więcej nie umierał, skubańcu – wymruczał tuląc go do piersi w potężnych ramionach. – Słyszysz? – Wszyscy widzieli łzy spływające się po twarzy Wielkiego Jima.

Potem inicjatywę przejął personel medyczny. Obu pilotom zaaplikowano środek przeciwbólowy i przypasano ich do noszy na kółkach. Cała procesja, teraz w sile około czternastu chłopów, wszyscy przejęci i połączeni więzią ludzi, którzy na co dzień zaglądną w oczy śmierci, skierowała się do windy.

–Billy-Ray, ty durny kutafonie – odezwał się pierwszy Freddie. – Trzeba było walnąć w tę dźwignię parę sekund wcześniej.

–Chrzanisz, boś potłuczony, Freddie. Uderzyłem w sam raz. Ciutkę wcześniej, a siedziałbyś teraz pewnie jak Szymon Słupnik na czubku masztu.

–Aha, a ciut później i puszczałibyśmy teraz bańki nosem na dnie tego zawszonego Oceanu Indyjskiego.

–Cholera, ty niewdzięczna łajzo – odparował Billy-Ray. – Życie ci uratowałem. Ale mam teraz na głowie większe niż ty zmartwienia. Wiesz, że Suzie dostanie zawału, jak się o tym dowie? Chyba będę musiał zwalić wszystko na ciebie.

–Wierzyć się nie chce – powiedział Freddie i próbując się uśmiechnąć, wyciągnął zdrową rękę, by uścisnąć drżącą jeszcze dłoń pilota. – Musimy to jeszcze kiedyś powtórzyć!

Strata dużego myśliwca tomcat uważana jest powszechnie za wypadek stawiający pod znakiem zapytania dalszą karierę. Po takiej wpadce, która kosztuje Wuję Sama trzydzieści pięć milionów dolarów, w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych prawie zawsze szuka się kozła ofiarnego. Kapitan i admirał, którzy będą się musieli gęsto z tego tłumaczyć, sami mieli pytań bez liku. Czy przyczyną był błąd pilota? Czy przyczyną był błąd załogi pokładu lotniskowego? Kto przeprowadzał przegląd techniczny i dopuszczał do lotu maszynę przed wywindowaniem jej do ostatniej po-

dróży na pokład? Czy oficer odpowiedzialny za ostateczną kontrolę przeprowadzaną na moment przed startem coś przeoczył? Czy przypadkiem awarii nie zapowiadało coś, co oficer startowy powinien był zauważyć?

Pentagon zażąda wstępnego raportu na wczoraj. W związku z czym wszczęto natychmiast oficjalne dochodzenie. Pierwsi wkroczyli na scenę eksperci od hydrauliki. Jeszcze tego samego wieczoru złożyli wizytę we wspaniale wyposażonym szpitalu lotniskowca i przeprowadzili rutynowe wywiady z Billy-Rayem oraz z Freddie'em, któremu chirurdzy zdążyli już nastawić złamaną rękę.

Nikt z załogi latającej nie wierzył w błąd pilota i wszyscy ' wiedzieli, że porucznik William R. Howell wytrwał w kabinie dosłownie do ostatniej chwili, byle tylko bezpiecznie przeprowadzić swoją rozwijającą dwieście węzłów bombę czasową ponad burtą okrętu. Starsi oficerowie dojdą bez wątpienia do tego samego wniosku, a wtedy trzeba będzie zadać serię naprawde trudnych

pytań działowi technicznemu i jego specjalistom od hydrauliki.

*

Wstępne dochodzenie w sprawie wypadku trwało, a tymczasem w Grupie Uderzeniowej Stanów Zjednoczonych na patrolu życie toczyło się utartym trybem. Na mostku admirałskim, jak zwykle pod nieobecność samego admirała, dowodził kapitan Jack Baldrige, oficer operacyjny Grupy Uderzeniowej. W tej chwili naradzał się on piętro niżej, w radarowo-elektronicznym centrum nerwowym okrętu, z szefem działań taktycznych i szefem systemów zwalczania broni podwodnej. Było to pomieszczenie, przynajmniej z pozoru, jak zawsze, pulsujące największą aktywnością na gigantycznym lotniskowcu. Pogrążone w półmroku, oświetlane głównie bursztynową poświatą sączącą się z komputerowych ekranów, wypełnione gwarem przyciszonych rozmów, egzystowało zawsze w jakimś dziwnym, własnym widmowym światku, zaludnianym przez rój młodych techników wlepiających w skupieniu oczy w ekrany radarów, które przeczesywały bez ustanku oceany i powietrze.

Jack Baldrige był krępy, porywczym Kansańczykiem z Wielkich Równin Środkowego Zachodu. Pochodził z małego miasteczka Burdett w okręgu Pawnee, położonego czterdzieści mil na północny wschód od Dodge City. Wywodził się ze starej mary-

narskiej rodziny, która od lat wysyłała swych synów do walki na morzu, ale każdy z nich wracał z czasem na rodzinne ranczo, by hodować tam bydło. Ojciec Jacka dowodził niszczycielem na Atlantyku podczas drugiej wojny światowej, jego młodszy brat Bill służył w randze komandora porucznika w biurze Wywiadu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych i stacjonował pod Waszyngtonem; Jackowi nie chciało się w to wierzyć, ale młody Bill był już uznanym ekspertem od broni nuklearnej, jej bezpieczeństwa, przechowywania i rozmieszczenia.

Krążyły pogłoski, że czterdziestoletni Jack zostanie wkrótce kontradmirałem. Poza marynarką wojenną świata nie widział, był najzdolniejszym dowódcą w całej Grupie Uderzeniowej, prawą ręką admirała Grupy, i z tej racji dźwigał na swych barkach pokaźny ciężar odpowiedzialności. Bill, młodszy z braci Baldrid-ge'ów, choć wyglądał jak kowboj, jeździł konno jak kowboj i jak kowboj prowadził służbowe samochody marynarki, też daleko zaszedł. Nie był, co prawda, urodzonym dowódcą, ale jego naukowe dokonania z zakresu fizyki i broni jądrowej wywarły na szefach marynarki takie wrażenie, że ci poczuli się zobowiązani do nagrodzenia go za nie wysoką rangą. Bill, chłodny, trzeźwo myślący naukowiec wojskowy, uchodził za specja od sytuacji kryzysowych, z których często znajdował wyjścia, na jakie nikt jakoś wcześniej nie wpadł. Kilku starszych wiekiem admirałów nie przepadało za jego nieortodoksyjnymi metodami, ale Bill Baldrige miał wielu zwolenników.

Podczas gdy Jack wiódł stateczny żywot żonatego, stąpającego mocno po ziemi, wybitnego kapitana marynarki, to o życiu osobistym trzydziestosześcioletniego Billa można było powiedzieć tylko tyle, że ma imponującą sieć łóżek rozsianych po całym Waszyngtonie, i nic nie wskazuje na to, by zamierzał zerwać ze stanem kawalerskim oraz zrezygnować z miłosnych podbojów na szlaku od Dodge City po Arlington w Wirginii. Jack przymykał oczy na prowadzenie się brata i traktował go z niewyczerpaną pobłażliwością.

Kapitan Baldrige prowadził naradę w elektronicznym centrum operacyjnym na kilku frontach naraz. Przepływali nad Grzbietem Wschodnioindyjskim, który biegnie z północy na południe wschodnim skrajem basenu środkowoindyjskiego, i kapitan Rheinegen, dowódca okrętu, nakazał przed chwilą niewielką zmianę kursu. Głębokość oceanu wynosiła tutaj zaledwie milę, ale rosła

narskiej rodziny, która od lat wysyłała swych synów do walki na morzu, ale każdy z nich wracał z czasem na rodzinne ranczo, by hodować tam bydło. Ojciec Jacka dowodził niszczycielem na Atlantyku podczas drugiej wojny światowej, jego młodszy brat Bill służył w randze komandora porucznika w biurze Wywiadu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych i stacjonował pod Waszyngtonem; Jackowi nie chciało się w to wierzyć, ale młody Bill był już uznanym ekspertem od broni nuklearnej, jej bezpieczeństwa, przechowywania i rozmieszczenia.

Krążyły pogłoski, że czterdziestoletni Jack zostanie wkrótce kontradmirałem. Poza marynarką wojenną świata nie widział, był najzdolniejszym dowódcą w całej Grupie Uderzeniowej, prawą ręką admirała Grupy, i z tej racji dźwigał na swych barkach pokaźny ciężar odpowiedzialności. Bill, młodszy z braci Baldrid-ge'ów, choć wyglądał jak kowboj, jeździł konno jak kowboj i jak kowboj prowadził służbowe samochody marynarki, też daleko zaszedł. Nie był, co prawda, urodzonym dowódcą, ale jego naukowe dokonania z zakresu fizyki i broni jądrowej wywarły na szefach marynarki takie wrażenie, że ci poczuli się zobowiązani do nagrodzenia go za nie wysoką rangą. Bill, chłodny, trzeźwo myślący naukowiec wojskowy, uchodził za specja od sytuacji kryzysowych, z których często znajdował wyjścia, na jakie nikt jakoś wcześniej nie wpadł. Kilku starszych wiekiem admirałów nie przepadało za jego nieortodoksyjnymi metodami, ale Bill Baldrige miał wielu zwolenników.

Podczas gdy Jack wiódł stateczny żywot żonatego, stąpającego mocno po ziemi, wybitnego kapitana marynarki, to o życiu osobistym trzydziestosekstoletniego Billa można było powiedzieć tylko tyle, że ma imponującą sieć łóżek rozsianych po całym Waszyngtonie, i nic nie wskazuje na to, by zamierzał zerwać ze stanem kawalerskim oraz zrezygnować z miłosnych podbojów na szlaku od Dodge City po Arlington w Wirginii. Jack przymykał oczy na prowadzenie się brata i traktował go z niewyczerpaną pobłażliwością.

Kapitan Baldrige prowadził naradę w elektronicznym centrum operacyjnym na kilku frontach naraz. Przepływali nad Grzbietem Wschodnioindyjskim, który biegnie z północy na południe wschodnim skrajem basenu środkowoindyjskiego, i kapitan Rheinegen, dowódca okrętu, nakazał przed chwilą niewielką zmianę kursu. Głębokość oceanu wynosiła tutaj zaledwie milę, ale rosła

stopniowo w miarę posuwania się kursem północno-zachodnim i wkrótce miała osiągnąć cztery mile. Kapitan Baldrige wyliczył już, że tomcat, tonąc, spoczął na grzbiecie jakieś pięć tysięcy stóp pod powierzchnią.

Sprawdził pozycje wszystkich jednostek grupy i zgodził się ze swym szefem systemów zwalczania broni podwodnej, że cztery podwodne „kontakty” były fałszywe; przeprowadził krótką rozmowę z kontrolerem sonaru i operatorami radaru; połączył się z kompilatorem obrazu powierzchni. Wysłuchał rozmowy celowniczego wyrzutni pocisków kierowanych z operatorem detektora powierzchni i odebrał na kodowanym kanale meldunek od kapitana Arta Barry'ego, nowojorczyka dowodzącego 11000-tonowym krążownikiem rakietowym „Arkansas”, który płynął aktualnie w odległości jakichś ośmiu mil na prawo od ich dziobu. Meldunek brzmiał tajemniczo: „Kansas City Royals 2 Yankees 8. Pięć docłów. Art”.

–Bęcwał – burknął Baldrige. – Na dowcipy mu się zebrało. Utopiliśmy właśnie w tym zabitym dechami oceanie wart trzydzieści pięć milionów dolarów samolot, a on ściąga z satelity wyniki spotkań baseballowych. – Naturalnie jego reakcja byłaby zupełnie inna, gdyby komunikat brzmiał: Royals 8 Yankees 2. – Lekkoduch Art. Od razu widać, co dla niego ważniejsze.

Baldrige zerknął na zegarek i zgodnie ze swym zwyczajem zabrał się do •'wprowadzania nieoficjalnego wpisu do osobistego dziennika. Najpierw zapisał datę i godzinę w formacie przyjętym w marynarce: „221700KWIE02” (dzień, godzina – piąta zero zero po południu – a dalej miesiąc i rok). Potem zanotował pozycję okrętu – Ocean Środkowoindyjski, 9S (9 stopień szerokości geograficznej południowej), 91E (91 stopień długości geograficznej wschodniej). Dalej następował właściwy tekst: „Dzień pod psem. Royals 2 Yankees 8. Tomcata diabli wzięli. Billy-Ray i Freddie ranni, ale bezpieczni”. On też miał słabość do Billy-Raya Howella.

*

221709KW1E02 41 30N, 29E. Kurs 180. Szybkość 4.

–Być może na zero-trzydzieści, odległość dziesięć mil.

Zerknij, Ben. Może się nada?

#

–Dziękuję... tak... nanieś go, Georgy. To parowiec, i chyba wystarczająco powolny. Jeśli będzie szedł dalej na szparę z szybkością pasującą do naszego harmonogramu, bierzemy go. Siadaj mu na ogon... ale utrzymuj bezpieczną odległość, Georgy.

–Kontakt za dwie godziny. 221912.

–Zaczynają nas szukać. Czas upłynął godzinę temu. Przyszedł właśnie pierwszy sygnał o wypadku okrętu podwodnego, Ben.

–Dobrze. Co powiedziałaś chłopakom? '

–To, co ustaliliśmy. Cisza w eterze w związku ze specjalnymi tajnymi ćwiczeniami. Na nic nie odpowiadamy. Wkrótce przestaną. Już nie istniejemy.

–W porządku. Za niecałą godzinę będzie ciemno. Przygotujmy się do przejścia. Uważaj na światło na Rumineleteri Fortress na północno-zachodnim cyplu, kiedy je zobaczysz, przystępuj od razu do akcji... podejdź do celu najbliżej jak się da.

–Zrozumiałem. Chociaż nikomu się to jeszcze nie udało, prawda? Co, Ben?

–Mój Nauczyciel powiedział mi kiedyś, że to możliwe.

–Ben, nie mówię twoim językiem, a angielskim też władam gorzej od ciebie. Ale wiem, że to cholernie ryzykowne. Są tam bardzo zdradliwe prądy poprzeczne. Płynizny przy prawym brzegu, w tej cieśninie pod dużym mostem. Cholera! A jak na którąś wejdziemy i utknjemy? Spędzimy resztę życia w więzieniu.

–Jeśli zrobisz dokładnie tak, jak to omawialiśmy, Georgy, to na nic nie wejdziemy.

–Ale pamiętaj, że prujemy przez sam środek portu z szybkością dziewięciu węzłów, zostawiając za sobą diabelnie szeroki biały ślad. Zauważą go, Ben. Musieliby być ślepi, żeby nie zauważyć.

–Ile razy mam ci powtarzać? Niczego nie zauważą, jeśli będziesz się trzymał tuż za rufą Greka, pośrodku jego kilwa-teru. On tak samo jak ty nie będzie chciał wejść na mieliznę. Będzie omijał z daleka płytkie miejsca. Zaczynamy, Georgy.

–Nadal mi się to nie podoba.

–Nie musi. Rusz aj!

–Pamiętaj, że jak się nie uda, to z twojej winy.

–Jeśli się nie uda, to nie będzie miało znaczenia, z czyjej winy".

222004.

–Zajmij naszą pozycję wcześniej i zaaklimatyzuj się na niej, zanim dotrzemy do wejścia. Wybierz sobie jakiś dobrze widoczny w nocy punkt orientacyjny na przewodniku. Najlepiej światło pozycyjne.

–Ten leniwy Grek nie gasi ich nawet w dzień.

–Zauważyłem. Rufowe ma na wysokości dziesięciu metrów.

–A jego radar, Ben?

–Nie wykryje nas tuż za sobą, a jeśli nawet, to pomyśli, że to jego własny kilwater. Ten facet to żaden orzeł. Nie pamięta nawet o gaszeniu świateł pozycyjnych.

–A inne statki w kanale?

–Wchodzące do portu będą się trzymały jednej strony, wychodzące w morze drugiej. Martwię się tylko o kursujące w poprzek promy. Dlatego właśnie pokonujemy najwęższe odcinki między 0200 a 0500, kiedy, mam przynajmniej taką nadzieję, na żaden z nich się nie nadziejemy. Brakowałoby tylko, żebyśmy się wpasowali w taki pchający się tuż za tyłkiem naszego greckiego przewodnika.

–Jak to,,jest, Ben, że orientujesz się we wszystkim o wiele lepiej ode mnie?

–Jest tak głównie dlatego, że ja nie mogę sobie pozwolić na błędy. A poza tym mam genialnego Nauczyciela... błyskotliwego, niecierpliwego, przebiegłego, aroganckiego... Zachowaj spokój, Georgy. I rób, jak mówię. Już wystarczająco

ciemno. Namierzajmy jego światło i podchodźmy. *

281400KWIE02. 9S, 74E. Kurs 010. Szybkość 12.

Osiem mil od Diego Garcia pogoda się pogorszyła, ciepły wiatr to nasilał się, to słabł, bardzo utrudniając życie pilotom. Sygnaliści kontroli lądowań z pokładu lotniskowca USS „Thomas Jeffer-

son" siedzieli w swojej kryjówce i korzystając z chwili względnego spokoju rozmawiali z pilotami siedmiu nadlatujących maszyn, które kończyły powietrzny patrol bojowy, z czego cztery krążyły na wysokości ośmiu tysięcy stóp i w odległości dwudziestu mil od okrętu, czekając na swoją kolejkę.

Trwające cały dzień ćwiczenia obejmowały próbne loty z szybkością ponaddźwiękową oraz liczne lądowania i starty. Strzeliły już dwie opony, w tym jedna w myśliwcu szturmowym FA-18 Hornet, który w wyniku tego, przyhamowany przez linę przechwytną, zoczył ostro w lewo i o mało nie grzmotnął w stojący tam bombowiec A-6E Intruder.

Wszystkim kończyło się już paliwo. Napięcie rosło. Załoga pokładu lotniskowego przygotowywała się do przyjęcia w pierwszej kolejności rozprawiającego hawkeye, samolotu wczesnego ostrzegania z charakterystyczną kopułą radaru na grzbiecie, o wiele większego od sześciu myśliwców czekających jeszcze w kolejce do lądowania.

Dyrygował Jim Adams. W żółtym, widocznym z odległości wielu mil kubraku, w słuchawkach na głowie, przebiegał w myślach punkty procedury i wywrzaskiwał do telefonu komendy dla zespołu obsługującego urządzenie hydrauliczne pod pokładem.

–Przygotować się na hawkeye, dwie minuty.

Wiedział, że system hydrauliki jest już odpowiednio nastawiony i teraz omiół wzrokiem pokład, upewniając się, czy nie wala się po nim choćby najmniejszy paproch. Tutaj nikt nie miewa okazji do drugiego podejścia. Byle okrucieństwo do odrzutowego silnika może go rozwalić. Pękająca linę przechwytną może zabić kilkunastu ludzi i zmieść samolot za burtę.

Jim spojrzał w górę, pod wiatr. Hawkeye nadlatywał z hukiem, liny rozpięte w poprzek pokładu prężyły się gotowe przechwycić jego hak hamowniczy. Gigantyczny tłok hydrauliczny pod pokładem szykował się do zamortyzowania kontrolowanej kolizji 75000-funtowego samolotu z pokładem i do zatrzymania maszyny.

–Idzie!! – zawył Jim do hydraulików. Słowo to oznaczało „Jest blisko, przygotować się”.

Mijały sekundy.

–Gotowi! – Podstawowa komenda: wszyscy odsunąć się od urządzeń hydraulicznych.

I teraz, kiedy hawkeye spadał z grzmotem na rufę, Jim Adams wrzasnął:

–Styk!

Wszystkie pary oczu na pokładzie wpiły się w hak wleczony przez maszynę. Słowa tonęły w huku silników. Niebo mieniło się w strumieniach gorących gazów wylotowych. Koła rąbnęły o powierzchnię pokładu z szybkością stu sześćdziesięciu węzłów, lina przechwytyjąca porwana przez hak hamowniczy pomknęła w ślad za nimi, wyciągając się błyskawicznie w geometryczne V. Sekundę później hawkeye zatrzymał się kilka jardów od końca pokładu lotniskowego, grzmot jego silników szybko zamierał.

Natychmiast rozpętało się pozorne pandemonium. Załoga pokładowa rzuciła się hurmem do maszyny, by odtoczyć ją na miejsce postojowe. Jim Adams wrzeszczał do telefonu, nakazując zmianę nastaw hydrauliki, sygnaliści kontroli lądowań zajmowali stanowiska, jeden z nich rozmawiał rzeczowo z pilotem pierwszego tomcata:

–Dobra, jeden-zero-sześć, idziesz... wiatr w porywach 35, pilnuj toru podejścia, stąd wygląda nieźle... klapy w dół... hak w dół... mam cię... możesz siadać.

Porucznik William R. Howell był już z powrotem w powietrzu. Latał teraz z nowym radarowcem i z wielkim plastrem na łuku brwiowym. Jim Adams prowadził go precyzyjnie jak zawsze. Wy-wrzeszczał jedną po drugiej swoje komendy: „Idzie... Gotowi... Styk!”, a po udanym lądowaniu zasypał Billy-Raya uniwersalnymi okrzykami „Dobra robota!... Tak trzymać, Billy-Ray!” Pierwsze lądowanie pilota po wypadku wzbudza zawsze pewne napięcie. Freddiemu Larseąowi pozwolono obserwować je z wieży kontroli lotów. Gdyby miał zdrową rękę, nagroziłby siadającego wzorowo na pokładzie Billy-Raya oklaskami.

–Moja szkoła – wrzasnął bez zastanowienia. – Ekstra, Billy-Ray!

Nawet dowódca „Thomasa Jeffersona”, kapitan Rheinegen, który jak wszyscy dowódcy lotniskowców też był kiedyś pilotem morskim, pozwolił sobie na lekki uśmiech.

Przyszła kolej na wymianę załogi pokładowej przed zbliżającymi się nocnymi ćwiczeniami. Stanowiska zajmował personel startowy, ogromnymi windami wywożono samoloty ze znajdujących się pod pokładem hangarów. Przy myśliwcach bombardujących krzątały się ekipy mechaników, piloci wspinali się do kabin, znowu zaskakiwały z rykiem silniki, umundurowani ludzie, wielu z nich w swoim dziewczym rejsie, zajmowali stanowiska. Pierwszy

#

hörnety były już gotowe do startu. Czerwone światło na wysepce sygnalizowało: „Cztery minuty do startu”.

Po dwóch minutach zapłonęło światło bursztynowe. Członek załogi kucający obok przedniego koła myśliwca dał pilotowi znak, że ma podkołować do przodu, a następnie zaczepił linę katapuły.

Zapaliło się światło zielone. Porucznik Skip Martin, „strzelec”, wycelował w pilota prawą ręką, a lewą uniósł i pokazał dwa palce: „Pełna moc”. Potem wszystkich pięć palców: „Dopalacze...” Pilot zasalutował formalnie i pochylił się w przód, przygotowując się na gwałtowne przeciążenie następujące w momencie wystrzeliwania z katapuły.

Strzelec, nie odrywając oczu od kabiny, zasalutował i uginając nogi w kolanach dotknął pokładu dwoma palcami lewej dłoni. Machnął ręką: „Naprzód”. Członek załogi klęczący w kanale tuż przy lewej dyszy myśliwca wduśli przycisk katapuły trzy i pochylił się; hydrauliczny mechanizm szarpnął horneta w przód. Maszyna, tryskając z dysz strumieniami powietrza, z wizgiem i ogłuszającym rykiem silników pomknęła po pokładzie. Wszyscy obserwatorzy, nawet weterani, wstrzymali oddechy, kiedy samolot wyprysnął poza pokład lotniskowca, zawisł na moment nad wodą, a potem, kładąc się na lewe skrzydło, zaczął się piąć mozolnie w górę.

–Wieża do horneta jeden-sześć-zero, całkiem nieźle... kurs 54, szybkość 400, wejdź na 8000.

–Hornet jeden-sześć-zero, wykonuję.

*

281835KWIE02. 35N, 21E. Kurs 270. Szybkość 5.

–Ben, mamy drgania. Dziób wibruje.

–CHOLERA! Będziemy się musieli jak najszybciej zatrzy-. mać i wynurzyć, żeby to naprawić. Nie wolno nam przebyć z takim czymś choćby jednej mili więcej.

–Nie ma sprawy. Naprawię to. Jak tylko się ściemni. Bardzo tu spokojnie.

290523KWIE02.

–Przynajmniej już nie trzęsie. Ale naprawdę szkoda mi twego człowieka. Wiem, że to zabrzmi bezdusznie. I z góry przepraszam. Ale mam nadzieję, że nigdy nie znajdą jego ciała.

–Nie ma czasu na dalsze poszukiwania. Nikt tu nie zawinił. Po prostu zdradliwa fala. Miałem

już do czynienia z podobnymi wypadkami. Zmówmy teraz za niego szczerą, katolicką modlitwę.

–Chciałbym ją z tobą zmówić.

041900MAJ02. 7S, 72E. Kurs 270. Szybkość 10.

W sekcji personelu lotniczego mesy „Thomasa Jeffersona”, – który krążył nadal po Ocenie Indyjskim w rejonie Diego Garcia, Wielki Jim Adams wydawał przyjęcie. Cztery godziny wcześniej odebrał wiadomość, że jego żona Carole powiła ich pierworodnego – dziewięcioletniego chłopczyka, który będzie się nazywał Carl Edward Adams. Jak wyjaśnił Jim, zostało to ustalone przed dwoma laty – pierwsze imię po długoletnim outfielderze Red Sox, Carlu Yastrzemskim, drugie po legendarnym hitterze Red Sox, Tedzie Williamsie.

Teraz malutki Carl Edward był już na świecie i lotnicy z lotniskowca celebrowali to wydarzenie oddając się ponadto swym dwóm głównym umiejętnościom – delectowaniu się dwiema puszkami piwa (ostatnio pozwalano im na nie w sześćdziesiąty dzień w morzu), tak by starczyły na około cztery godziny, i wyrażaniu szczerego współczucia innym mieszkańcom planety Ziemia, nie zaangażowanym w ekspediowanie odrzutowych myśliwców z pokładów największych lotniskowców świata.

Kapitan Roger Peterson, dowódca jednego z niszczycieli Grupy, który bawił na okręcie z wizytą i próbował zjeść spokojnie, w ustronnym kąciku, posiłek w towarzystwie kapitana Rheinege-na, zauważył zgryźliwie, że trzeba załogi składającej się z ponad trzech tysięcy ludzi, żeby ci hałaśliwi, skrzydlaci herosi w białych szalikach mogli sobie polatać.

Nikt tego nie słyszał, a nawet gdyby, to i tak by się tym zbytnio nie przejął. Bo każdy pilot wie, że wszyscy żyjący inaczej, a więc i podwodniacy (zwłaszcza podwodniacy), eksperci od pocisków kierowanych, artylerzyści i stratedzy współczesnego pola walki, nie dorastają i nigdy nie dorosną im do pięt.

Tymczasem Wielki Jim stał i sącząc drugą, ostatnią z przysługującej mu racji, puszkę mrożonego piwa, wygłaszał mowę, w

której oznajmiał wszem i wobec, że wybiera porucznika Howella na ojca chrzestnego swego potomka, Carla Edwarda. Wywołało to okrzyki protestu, że niby Billy-Ray jest bezbożnym kmiotem i biedny mały Carl Edward na całe życie zostanie pozbawiony moralnego autorytetu.

Billy-Ray wstał i powiedział im, że jego zdaniem tego rodzaju krytyka to zwyczajne „pieprzenie”, bo jego tato mieszkający w Hamlin jest metodystą i regularnie uczęszcza do kościoła, i że on osobiście uważa siebie za idealnego kandydata.

Na to wstał Wielki Jim i przyznał, że Billy Ray jest jego drugim kandydatem, ale ponieważ Yastrzemeskiego nie było akurat pod ręką, chcąc nie chcąc zamiast baseballisty musiał wybrać kmiotka. Tak czy inaczej, przykazał Carole, żeby rodziła, kiedy on będzie na morzu, bo dzięki

temu jego pierwszego wypuszczą na ląd, kiedy „Thomas Jefferson” zawinie we wrześniu do macierzystego portu.

*

041500MAJ02. 36N, 3W. Kurs 270. Szybkość 5.

–W porządku, Ben, jest wyspa. Niewiele widać, kiepska widoczność.

–Ktoś na niej mieszka?

–Nie wiem. Może paru hiszpańskich rybaków, ale teraz ani żywego ducha. Może twój Nauczyciel twierdzi, że jest tam miasto wielkości Moskwy, którego nikt jeszcze nie zauważył.

–Nie. Też mi powiedział, że nikogo tam nie ma.

–No, a masz jakiś plan przejścia cieśniny?

–Nie, nie mam żadnych wytycznych poza tą, żeby nas nie złapano. Na pewno nieraz tędy pływałeś.

–Tak, ale dawno temu, a Amerykanie mają teraz lepszy sprzęt. Ostatnim razem coś zwąchali. Może zdradziło mnie zdjęcie z satelity. No i jaki cud teraz uczynisz, Ben? Jak prześlizniemy się niezauważeni?

–W zasadzie, Georgy, sposób jest tylko jeden. Iść bardzo powoli, bardzo cicho i mieć nadzieję w Bogu, że nikt nas nie zauważy.

45

–Z tym nie będzie problemu. Zgoda. Spodziewasz się wiadomości od szefa?

–Na razie nie. Dopiero w ostatniej fazie. Może kiedy dojdzie do spotkania z tankowcem. A może wcale.

–No dobra. Wymyślę jakąś historyjkę dla załogi. Ale to długa podróż.

–Po wykonaniu zadania zostaną sowicie wynagrodzeni. Od tej pory musimy znowu przedsięwziąć nadzwyczajne środki ostrożności. Przez czterdzieści osiem godzin pozostaniemy przy cichym napędzie. Szybkość pięć węzłów.

Tylko naprawdę po cichutku, Georgy, proszę. *

061200MAJ02. Fort Meade, stan Maryland.

Wiceadmirał Arnold Morgan, dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, niski, siwowłosy Teksasczyk o twardym spojrzeniu, siedział w ponurym nastroju za biurkiem. Zazwyczaj prowadził trzy rozmowy telefoniczne naraz, wywarkując rozkazy i łącząc się poprzez satelitę

ze swoimi rozszanymi po całym świecie agencjami. Miał opinię żarłocznego, niebezpiecznego pająka, który czyha pośrodku ogromnej, elektronicznej sieci wywiadu marynarki wojennej. Na ogół tylko obserwował. Ale kiedy przemówił, ludzie na czterech kontynentach i opływających je oceanach zrywali się na baczność.

W tej chwili admirał był zaintrygowany. Na jego biurku leżało rozłożone opasce, najnowsze wydanie «Jane's Fighting Ships», brytyjskiej biblii okrętów wojennych całego świata. Nie spodziewał się znaleźć w niej odpowiedzi, no i jej nie znalazł. Nie znalazł jej też w innych trzech przeznaczonych do użytku wewnętrznego informatorach marynarki wojennej, które też leżały na jego biurku.

Późnym wieczorem poprzedniego dnia kanałem satelitarnym dotarł do niego pewien meldunek. Nie był pilny ani alarmujący, niewiele nawet z niego wynikało. Mimo to coś w jego treści wzbudziło czujność Arnolda Morgana. A brzmiała ona następująco: „050438MAJ02 gibraltarska stacja nasłuchowa zarejestrowała bardzo krótki, przelotny kontakt na bardzo cichą jednostkę. Pozyskane dane niewystarczające do jednoznacznego sklasyfikowania – słyszalna, skompresowana kawitacja, jeden wał, pięć skrzydeł, napęd prawdopodobnie nienuklearny. Żadnych informa-

cji o przemieszczeniach w tym czasie i w tym rejonie jednostek sojusznicznych".

Admirał Morgan zrozumiał z tego tyle, że tam, po drugiej stronie Atlantyku, ktoś o bardzo wyczulonym słuchu przez jakieś dwadzieścia do trzydziestu sekund uchem wyławiał z wody podejrzany odgłos, charakterystyczny dla łodzi podwodnej o nie-nuklearnym napędzie. Jednostka miała jeden wał napędowy i pięcioskrzydłową śrubę. Płynęła prawdopodobnie w sporej odległości od brzegu, niemal na pewno w zanurzeniu i wygenerowała ten hałas albo nieostrożnie przyśpieszając, albo unosząc śrubę na głębokość zbyt małą w stosunku do zadanych obrotów. Być może wskutek chwilowego przegłębienia na dziób, rozumował admirał, który sam był kiedyś podwodniakiem i swego czasu dowodził nawet atomowym okrętem podwodnym.

Za tamtych starych dobrych czasów jednostkę produkcji sowieckiej można było bez trudu rozpoznać po liczbie skrzydeł śruby. Sowieci trwali z uporem przy śrubach cztero- albo sześćskrzydłowych, podczas gdy kraje zachodnie przeszły na nieparzystą liczbę skrzydeł – trzy, pięć albo siedem. Gdyby admirał Morgan zacisnął teraz mocno powieki i przeniósł się wspomnieniami dwadzieścia trzy lata wstecz do czasów, kiedy sam siadywał w pomieszczeniu hydrolokacyjnym, usłyszałby znowu to charakterystyczne, wryte w pamięć „suisz-suisz-suisz-suisz-suisz-suisz" skrzydeł obracającej się gdzieś daleko śruby okrętu podwodnego starego typu należącego do marynarki Związku Radzieckiego.

Teraz zidentyfikowanie okrętu podwodnego na podstawie odgłosów wydawanych przez jego śrubę napędową było zadaniem

0 wiele trudniejszym. Źródłem tego rodzaju hałasów mogły być nawet nowoczesne, ciche trawlerzy rybackie, które przyśpieszając gwałtownie płoszą ławicę ryb. Ale kapitana Morgana nie interesowali rybacy. Jedynym skradającym się pięcioskrzydłowym skur-kowańcem, jaki mógł przyciągnąć jego uwagę, był tylko okręt podwodny. I zaraz będzie wiedział, czy właśnie z nim ma tutaj do czynienia.

Admirał Morgan był bowiem niedościgłym mistrzem w rozpoznawaniu okrętów wojennych innych państw. Nie zazna spokoju, dopóki nie ustalą, co to był za kontakt, kto, u diabła, tam płynie

1 gdzie go, cholera, niesie. Do tego stopnia zdeterminowało go samo podejrzenie, że może to być okręt podwodny.

Po pięciu minutach spędzonych przy komputerze admirał wiedział już, że nie mogła to być łódź brytyjska ani amerykańska. Nieco więcej czasu zajęło mu ustalenie, że nie była to również jednostka francuska ani hiszpańska.

Wiadomo mu było o jednej łodzi podwodnej produkcji rosyjskiej pływającej pod banderą Izraela, ale ta wyszła na Atlantyk przed czterema tygodniami. A zatem to nie oni. Ci przekłeci Irańczycy kupili od Rosjan trzy takie, ale wszystkie trzy obserwowano ostatnio w Zatoce Perskiej, i nie mogły w tak krótkim czasie znaleźć się tak daleko od domu.

Kilka starych, zdezelowanych rosyjskich łodzi mieli Indonezyjczycy, ale tymi gratami strach było wypuścić się za falochron. W 1995 roku dwie nowiutkie łodzie klasy Kilo sprawili sobie Algierczycy, ale o ile wiedział, obie były teraz z powrotem w Petersburgu, gdzie przechodziły modernizację. Jedną mieli Polacy na Bałtyku i jedną Rumuni na Morzu Czarnym, ale obie stały w portach, gdzie je ostatnio widziano. Libijskiej Kilo wiodło się nie lepiej niż jej sześciu poprzedniczkom klasy Foxtrot, z których dwie zatoniły – nie widziano jej na morzu od roku. Ileś tam łodzi podwodnych mieli również Chińczycy. Ale ci nie mieli żadnego interesu w cieśninie.

Poszedł już na całość i zadzwonił do Moskwy, do swojego odpowiednika z rosyjskiej marynarki wojennej. Czasy się zmieniły i żyli teraz ze sobą w najlepszej komitywie. Rosjanie zapewnili go bez zająknięcia, że żadna z ich łodzi o napędzie dieslowskim od osiemnastu miesięcy nie przechodziła przez Cieśninę Gibraltarską.

Zresztą jedyny' rosyjski diesel, jaki mógł wchodzić w grę, miał przed trzema tygodniami wypadek na Morzu Czarnym i zatonął z całą załogą na pokładzie. Spoczywał teraz gdzieś na dnie, siedemset metrów pod wodą. Wciąż go szukali, ale jak dotąd znaleźli tylko jego dryfujące specjalne boje lokalizacyjne i trochę śmiecia.

Admirał Morgan czuł się tym wszystkim zbity z tropu. Wciąż kręcił się w kółko. Skoro jeden ze speców od sonaru marynarki Stanów Zjednoczonych utrzymuje, że słyszał cichą śrubę, to znaczy, że w jego umyśle musiało się zrodzić jakieś podejrzenie. Tylko nieliczna garstka ludzi potrafi wychwycić uchem te subtelne, odległe fale dźwiękowe, a jeszcze mniej liczna je rozpoznać. I jeśli ten człowiek z Gibraltaru twierdzi, że zidentyfikował jeden wał na-

pedowy i pięcioskrzydłową śrubę, to je zidentyfikował. Ale facet nie tylko pofatygował się, żeby o tym zameldować, w meldunku swym zawarł również zawołowane osobiste podejrzenie, że była to „prawdopodobnie” jednostka o napędzie nienuklearnym.

Nasz człowiek chyba tylko podejrzewa, że była to łódź podwodna, myślał Morgan. Kontakt był krótkotrwały. A wszystkie krótkotrwałe kontakty mają to do siebie, że przypominają łamanie szyfrów – jeśli dysponuje się jedynie małą próbką, to niewiele z niej wynika. Tyle tylko że chciałoby się wiedzieć więcej. Na przykład jaki był konkretnie typ tej łodzi i do kogo należała?

Ale nasi nowi przyjaciele z Moskwy zaprzeczają – a po co mieliby kłamać? Mało tego, że utrzymujemy pokojowe stosunki; gdyby mieli taki kaprys i przez cały rok kursowali sobie w te i w te po Atlantyku, stawiając na nogi wszystkie nasze stacje nasłuchowe, moglibyśmy im tylko naskoczyć. Cholera, nawet gdyby przyniosło ich do wirginijskiej bazy w Norfolk, to pozostawałoby nam jedynie poczęstować ich kawą.

Kiedy po raz pierwszy rzucił okiem na ten meldunek, nic nie zrozumiał. I nadal nie rozumiał. Fakty zdawały się wzajemnie wykluczać – i to doprowadzało go do szewskiej pasji.

Pięćdziesięciosiedmioletni Arnold Morgan był człowiekiem nawiedzonym, domagającym się bezwzględnie pasujących do siebie, uporządkowanych faktów. Ta skaza charakteru kosztowała go już dwa małżeństwa i napięte stosunki z dziećmi. W marynarce cieszył się opinią najlepszego z dotychczasowych szefa wywiadu. Jeśli można mu było coś zarzucić, to tylko to, że miał tendencje do zbytniego wdawania się w szczegóły, które niektórzy uważali za mało istotne.

–Nie uznaję nie przystających do siebie faktów – powiedział stanowczo do pustego gabinetu. – Taką mam, panowie, zasadę. – I wprowadził tę uwagę oraz wszystkie rezultaty swoich przemyśleń dotyczących widmowego kontaktu do swojej imponującej komputerowej bazy danych. Na pocieszenie pozostawała mu jedynie świadomość, że jeśli to rzeczywiście była łódź podwodna, to gdzieś, kiedyś wyjdzie to na jaw i problem sam się rozwiąże.

Postanowił, że do tego czasu odłoży sprawę ad acta jako podejrzenie zabałaganioną. A admirał nie tolerował bałaganu pod żadną postacią. Zwłaszcza bałaganu podwodnego, bo ten bywał zawsze zarówno kosztowny, jak i kłopotliwy.

–A może to był jednak zwyczajny trawler rybacki – zwrócił się do pustego gabinetu. – Może naszego człowieka poniosła ździebko wyobraźnia. Hmm.

A po chwili, ożywiając się wyraźnie, dorzucił:

–Chyba że któryś sukinsyn łże w żywe oczy.

t

ROZDZIAŁ DRUGI

271300MAJ02. 6S, 73E. Kurs 340. Szybkość 12.

Konradmirał Zack Carson, jeden z niewielu wciąż pływających, najwyższych rangą oficerów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, wspomagany przez swój najstarszy personel sztabowy, borykał się metodycznie z mnóstwem detali związanych nieodłącznie z prowadzeniem działań wojennych na skalę, jakiej ta planeta jeszcze nie oglądała.

Siedział w wielkim, obitym skórą fotelu w admiralskiej sali operacyjnej na trzecim poziomie wysepki, trzydzieści stóp nad czteroipółakrowym pokładem lotniskowym swojego okrętu flagowego USS „Thomas Jefferson”.

Od dwóch tygodni szli przez Ocean Indyjski z grubsza kursem WNW i ogromny lotniskowiec mijał teraz od północy samotny tropikalny atol Diego Garcia. Osiemset pięćdziesiąt mil w kierunku NNE mieli przylądek Komoryn, najdalej na południe wysunięty punkt subkontynentu indyjskiego. Idąc dalej tym samym kursem, „Thomas Jefferson” osiągnie swoją strefę patrolową na Morzu Arabskim – granatowe, rojące się od rekinów wody, mniej więcej czterysta pięćdziesiąt mil na zachód od ruchliwego portu morskiego Bombaj – po przebyciu jeszcze tysiąca sześciuset mil morskich.

Admirał Carson spodziewany był na pozycji w tym niespokojnym, nieprzewidywalnym akwenie za osiem dni. Miał tam, u samych wrót Zatoki Perskiej, zniechęcać swoją wzbudzającą respekt obecnością wszystkich tych, którym zamarzyłoby się kwestionowanie prawa tankowców z całego świata do swobodnego dostępu do mnóstwa terminali surowej ropy naftowej, które ciągną się od cieśniny Ormuz po Irak. Jego obecność w tym miejscu pogłębi też nieuchronnie, i tak sięgając już punktu wrzenia, nie-

–

nawiść znacznej części krajów islamskich do narodu amerykańskiego. Ale taki już jest los dowódcy Grupy Uderzeniowej. A wysoki, mierzący sobie ponad metr osiemdziesiąt wzrostu,

pięćdzie-sięciosześćoletni Kansańczyk Zack Carson dawno pogodził się z faktem, że nie każdy wymachuje radośnie chorągiewką, kiedy na horyzontach Środkowego Wschodu zamajaczy jego gigantyczny okręt.

Miał pod swoją komendą pociski kierowane wszelkich typów do zwalczania celów nad-, na- i podwodnych, małą, wielozadaniową armię powietrzną, całe baterie artylerii zdolne do rażenia przeciwnika tysiącami pocisków na godzinę. A głęboko w trzewiach tego wielkiego okrętu oraz na dwóch atomowych łodziach podwodnych Grupy spoczywały jeszcze inne pociski – pociski o tak kolosalnej sile niszczącej, że nawet Zackowi Carsonowi ciarki chodziły po plecach, ilekroć pomyślał o konsekwencjach ich wykorzystania. Admirał i jego zwierzchnicy z Pentagonu mogli, gdyby otrzymali taki rozkaz, zniszczyć praktycznie prawie cały świat. I to w bardzo krótkim czasie.

Nie miał tego, co prawda, w swoich planach, ale Grupa Uderzeniowa Stanów Zjednoczonych musiała przez cały czas pozostawać w najwyższej gotowości bojowej w myśl zasady wyznawanej przez szefów" sztabów, nie wspominając już o bezkompromisowym republikaninie z południowego zachodu, aktualnym lokatorze Białego Domu: „Skoro już tyle to kosztuje, to lepiej, żeby działało, i to działało dobrze, w porę, bez pudła”.

Tak więc teraz admirał Carson, pogrążony w rozmowie z krajanem z Kansas, kapitanem Jackiem Baldrige'em, upewniał się, czy intensywny program zeszłomiesięcznych ćwiczeń bojowych przekształcił całą sześciotysięczną załogę jego okrętu w najlepszych z najlepszych. Od kucharzy po nawigatorów, od sonarowców po mechaników, od strażaków po pilotów myśliwskich, od rada-rowców po artylerzystów – dowódca Grupy Uderzeniowej nie mógł sobie pozwolić na tolerowanie choćby jednego słabego ogniwa w łańcuchu podległych mu służb, jednego szwankującego systemu, jednego niedoszkołonego oficera – zero niedoróbek. To była pierwsza linia frontu, główny punkt obronno-zaczepeknej doktryny Stanów Zjednoczonych. Admirał, łatwo wpadający w bardziej swobodny ton języka prerii, powtarzał często swoim najbliższym oficerom: „Ja pierwszy nadstawię tyłka, a dopiero dużo później w Gabiniecie Ovalnym połapią się co i jak”.

ROZMIESZCZENIE OKRĘTÓ W GRUPY UDERZENIOWEJ Ingraham

Fife _ O'Bannon Batfish -li. O' Ki s iL Arkansas L " J" Arctic fc- Port Royal Thomas
Jefferson " Vicksburg Mendel Riv ine \ -ii. Hayler " :rs

Kaufman 0 Skala |- 50

Godzina 21.03, 8 lipca 2002 roku

53

Od kilku tygodni admirał wyciskał siódme poty z całej Grupy Uderzeniowej. Dwa razy dziennie dawał szczegółowe wytyczne dotyczące ćwiczeń, które miały ostatecznie scalić w jeden sprawnie funkcjonujący organizm szesnastotysięczną rzeszę ludzi służących na dwunastu okrętach Grupy.

Krażowniki rakietowe Aegis ćwiczyły dopóty, dopóki nie ulegało już wątpliwości, że przechwycą i strącą każdy nadlatujący pocisk, choćby mknął z podwójną szybkością dźwięku.

Dowódcom łodzi podwodnych wysforowanych daleko przed resztę Grupy Uderzeniowej uzmysłowiono szczególne zainteresowanie admirała ich pracą. Nie dość, że upatrywał on w tych patrolowo-szturmowych podwodnych rekinach skuteczną siłę ofensywną, to w dodatku przypisywał im krytyczną rolę pierwszej linii Grupy do zwalczania zagrożeń podwodnych – rolę niszcycieli swoich nieprzyjacielskich odpowiedników. Po kilku tygodniach nie kończących się ćwiczeń i patroli na głębokich wodach Oceanu Indyjskiego określenie „niezawodny” można było odnieść do wszystkich systemów, a zwłaszcza do śmiercionośnych, kierowanych przewodowo torped, równie skutecznych wobec okrętów nawodnych, jak i podwodnych.

Zack Carson, służący od początku na jednostkach nawodnych, a w młodości również pilot, bardzo chciał być kiedyś pod-wodniakiem. Nie został nim tylko z obawy, że nie przebrnie gęstego sita kwalifikacyjnego – zajęcia i egzaminy z fizyki, elektroniki, mechaniki, hydrologii, nawigacji oraz techniki jądrowej – przez jakie przepuszczani byli ci marynarze-naukowcy, zanim powierzono im dowództwo okrętu podwodnego Stanów Zjednoczonych. Dowódcy okrętów podwodnych są obecnie elitą wszystkich zachodnich marynarek wojennych, a Zack Carson nie był do końca przekonany, czy ma to akademickie zacięcie, jakiego wymaga od kapitanów służba pod wodą.

Wyrobił sobie markę niedoścignętego stratega pola walki, eksperta od lotnictwa morskiego, artylerii i broni rakietowej, taktyka na wielką skalę, dowódcy, który maluje szerokimi, pewnymi pociągnięciami pędzla, ale nigdy nie odbiega zbyt daleko od drobiaz-gowości swego fachu. Wszyscy lubili admirała Carsona za jego język rewolwerowca z kansaskich wyżyn – zresztą miał paru takich wśród swych bezpośrednich przodków – oraz za zdystansowaną

nonszalancję okazywaną w warunkach kryzysowych, cechę co

prawda pozorną, ale i tak cenioną wysoko w centrum operacyjnym każdego okrętu.

I wszystko to osiągnął wiejski chłopak ze Środkowego Zachodu, który urodził się i dorastał w Tribune, małej miejscinie pośrodku bezkresnych prerii okręgu Greely, tuż nad granicą stanów Kansas i Kolorado. Do terenów tych pasuje jak ulał określenie „pustkowie”. Rozległy, płaski, liczący sobie sześćset dwadzieścia mil kwadratowych okręg Greely ma tylko dwa małe miasteczka. Oba leżą przy wąskiej lokalnej szosie 96, która zaczyna się jakieś sto osiemdziesiąt mil na wschód, niedaleko Great Bend nad rzeką Arkansas.

To najrzadziej zaludniona część kraju z populacją nie przekraczającą jednej setnej średniej dla rolniczych terenów Ameryki. Jak okiem sięgnąć – tylko falująca na wietrze pszenica i łąki, krajobraz tak przytłaczająco monotony, że aż podniosły. Imiona takie jak Elija, Zachariah, Jethro, Willard, Jeremiah i Ethan są pod tamtejszym bezkresnym niebem na porządku dziennym. Wysoki, szczupły Zachariah Carson był synem Jethro Carsona uprawiającego tysiąc akrów odziedziczonej po przodkach prerii. I ojciec, i syn mieli wyblakłe na słońcu włosy koloru słomy "i błękitne oczy często spotykane u farmerów z prerii i dalekomorskich marynarzy.

Być może to młodość spędzona pośród rozkołysanych wiatrem, ciągnących się po horyzont łąnów pszenicy obudziła z czasem w Zacku Carsonie tęsknotę za oceanem. Ale sięgając później pamięcią wstecz, dochodził do wniosku, że zawsze ciągnęło go do marynarki. Na gospodarstwie zostawało dwóch braci, lecz staremu Jethro Carsonowi omal serce nie pękło, kiedy jego najstarszy chłopiec, ukończywszy lat osiemnaście, spakował manatki i ruszył z najrzadziej zaludnionego stanu Ameryki w wielki świat, by wstąpić tam do Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis stan Maryland. Był to największy sukces edukacyjny w dziejach szkoły średniej w Tribune.

Trochę niezdarne, krzywo uśmiechnięty, oszczędny w słowach Zack Carson wprawiał w osłupienie kolejne komisje egzaminacyjne Marynarki Wojennej swoją dogłębną znajomością sztuki prowadzenia wojny na morzu. Miał dwadzieścia sześć lat, kiedy utopiwszy za burtą lotniskowca uszkodzony myśliwiec odrzutowy, zrezygnował z kariery w lotnictwie morskim i jako niespełna trzydziestosześcioletek dowodził już fregatą. W trzy lata później został kapitanem niszczyciela rakietowego, a mając lat czterdzieści osiem

objął komendę na gigantycznym lotniskowcu „Dwight D. Eisenhower”, nazwanym tak po innym jeszcze chłopcu z Kansas.

Po czterech latach awansowano go na kontradmirała, a w roku 2000 zaszczycono powierzeniem dowództwa nad Grupą Uderzeniową, której okrętem flagowym był najnowszy lotniskowiec Stanów Zjednoczonych „Thomas Jefferson”. Pięć miesięcy później Zack Carson poprosił o przydzielenie mu w charakterze oficera operacyjnego Grupy Uderzeniowej innego farmerskiego syna z Kansas, kapitana Jacka Baldrige'a, który pochodził z Burdett, oddalonego o sto dwadzieścia mil szosą 96 od Tribune. Obaj z Jackiem byli żonaci i mieli po dwie córki; ich rodziny mieszkały

teraz w San Diego w Kalifornii, gdzie stacjonował „Thomas Jeffer-

son.

Stanowili swoje przeciwieństwo. Dobrze zbudowany, mający posłuch u załogi Baldrige reagował energicznie i zdecydowanie na wszelkie zagrożenia i sytuacje kryzysowe, w jakich znalazł się jego okręt. Admirał Carson w takich okolicznościach, po wydaniu serii chrząknięć, wymrukiwał: „Dajcie mi, chłopcy, parę minut na zastanowienie... panikować zaczniemy, kiedy zlecą nam się tu jak muchy do gówna zupaki na inspekcję”.

Pod presją admirał Carson stawał się ostrożny, rozważny, cyniczny, podejrzliwy. I zdecydowany. Kapitan Baldrige był człowiekiem czynu: naprawić to natychmiast, posłać po to, posłać po tamto, dawać 'te wydruki, sprawdzić ten system, wysłać patrol powietrzny... nie ufam sukinsynom.

Tworzyli budzący respekt tandem. Kiedy któryś z nich się odzywał, na baczność prężyło się całe Bojowe Centrum Informacji. Bo kiedy rozkaz wydawał kapitan Baldrige, był to rozkaz pochodzący od samego admirała. A na wielkim lotniskowcu rzadko taki rozkaz kwestionowano.

W tej chwili rozważali obaj celowość zarządzenia jeszcze jednej tury zmasowanych lotów nocnych w ramach przygotowań do zbliżającej się wielkiej gry wojennej przeciwko patrolującej aktualnie Morze Arabskie Grupie Uderzeniowej, którą mieli zluzować. Kreślono już założenia taktyczne i jak zawsze do tych czysto ćwiczebnych manewrów wszyscy zainteresowani podchodzili z najwyższą powagą. Była to bowiem okazja do sprawdzenia gotowości bojowej na niemal realnym polu walki.

Manewry takie mogą z jednej strony złamać karierę, z drugiej - dać nowy impuls. Kosztują krocie, ale tylko w ten sposób mary-

narka Stanów Zjednoczonych może symulować warunki wojenne i oceniać wyszkolenie oraz predyspozycje swych kluczowych graczy. W zbliżającej się grze wojennej „Thomas Jefferson” miał odeprzeć atak schodzącej z posterunku na Morzu Arabskim Grupy Uderzeniowej skupionej wokół siostrzanego stutysięcznika klasy Nimitz, USS „George Washington”.

Poczynając od ustalonej godziny rozpoczęcia „ataku” agresor, wykorzystując wszelkie dostępne mu siły i sprzęt, uciekając się do elektronicznych metod zwodzenia i dezinformowania przeciwnika, nie przebijając w środkach, będzie się starał podejść jak najbliżej atakowanego lotniskowca i „zbić” go. Choć w rzeczywistości luf nie opuści ani jeden pocisk, wyrzutni ani jedna rakietka, nie spadnie ani jedna bomba, to broniący się odniosą takie wrażenie, kiedy podniósłszy słuchawkę telefonu usłyszą fatalny komunikat: „Admirale, z przykrością informujemy, że nasza łódź podwodna wyszła na pozycję trzy mile od pańskiej lewej burty i trzy minuty temu odpaliła dwie torpedy, obie z głowicami jądrowymi. Przeszedł pan do historii. Dobrego dnia, wpadniemy później na kawkę!”.

Podczas trwających trzy dni manewrów okręty raketowe odpierać muszą niekończące się, zmasowane „ataki” z powietrza; systemy komputerowe i radarowe rejestrują każdy szczegół i monitorują na bieżąco sytuację na każdej jednostce floty. Do normalnych ruchów otwierających należą dokładne rozpoznanie oraz wysondowanie dyspozycji i rozmieszczenia jednostek grupy przeciwnej, a także zastosowanych przez nią metod kamuflażu. Krok drugi to przejście zamiarów przeciwnika i przyjętego przezeń planu walki, bez zdradzania własnych intencji. Zazwyczaj „zwycięstwo” przypada w udziale broniącym się, bo podejście do lotniskowca jest praktycznie niemożliwe. A jego pociski kierowane zniszczą każdy atak raketowy przypuszczony z większej odległości. I przy okazji „zatopią” kilka okrętów nawodnych i podwodnych napastnika.

Radar wiszącego nad polem bitwy Hawkeye'a kontroluje strefę o promieniu setek mil, tak więc atak z powierzchni wody nie wchodzi właściwie w rachubę. Zdarzają się jednak przypadki spenetrowania podczas tych manewrów zewnętrznych warstw broniącej się Grupy Uderzeniowej Lotniskowca; konsekwencje dla odpowiedzialnych za to „przegrywających” dowódców są wielce nieprzyjemne. Żaden czysto obronny system nie jest w stu procentach skuteczny. Czasami coś się przez niego przedrze.

Pytanie tylko, czy jednostka, która dokona takiego wylomu, może stworzyć poważniejsze zagrożenie. Jeśli nawet będzie to bez wątpienia ostatnia akcja w jej karierze. Manewry bowiem to właściwie egzamin mający wyłonić przyszłych wyższych dowódców pola walki. Dla dowództwa marynarki, rzecz jasna, jest swego rodzaju pocieszeniem, że poważnie zagrozić Grupie Uderzeniowej Stanów Zjednoczonych może tylko druga taka Grupa. W tej lidze nie ma, jak dotąd, innych, równorzędnych drużyn. Mimo to dowódcy broniący się w tych kosztujących miliony dolarów grach wojennych czują się jak na cenzurowanym i nie oczekują litości ze * strony przeciwnika.

Dlatego właśnie admirał Zack Carson i kapitan Jack Baldrige naradzali się teraz z kilkoma szefami służb, czy nie zarządzić na lotniskowcu jeszcze jednych nocnych ćwiczeń, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę, jak wykończeni są już piloci i personel obsługi pokładowej.

Opinie co do celowości podjęcia takiej decyzji były podzielone, ale kapitan Baldrige znał dobrze swego odpowiednika z lotniskowca „George Washington”.

–Ten sukinsyn zaatakuje w nocy – argumentował. – Odczeka cierpliwie i podejdzie nas pod osłoną ciemności. Dobrze gościa znam. To przebiegły lis, poluje po zmroku. Musimy czekać na niego w powietrzu i przechwycić dobre sto mil od celu.

–Wiecie, chłopcy – powiedział powoli admirał Carson – znałem admirała, który osiemnaście lat temu przegrał taką grę wojenną z małą grupą fregat Royal Navy, z którą wtedy współpracowaliśmy. Właśnie tutaj, w Zatoce Perskiej.

Angole oświetlili swego niszczyciela jak choinkę, wynaleźli faceta, który znał bengalski i udając statek wycieczkowy na dziesięć mil podpłynęli do lotniskowca. Stamtąd oznajmili, że wystrzelili właśnie w kierunku „celu” tuzin pocisków kierowanych Exocet. Wiele osób miało ubaw po pachy. Ale w Waszyngtonie nikt się nie śmiał. Ten admirał miał grube nieprzyjemności. Wołałbym, żeby nam się coś takiego nie przytrafiło.

Popieram więc Jacka. Dzisiaj wieczorem wznawiamy loty. Uprzedźcie „Arctic”, że przed zmrokiem wszyscy mają być na stanowiskach.

W chwilę później, zanim jeszcze przygotowano rozkazy dotyczące nocnych ćwiczeń lotniczych, poczta pantoflowa okrętu, która działa na głównym górnym pokładzie, tam gdzie kwaterują piloci,

pracowała już pełną parą. Zbierały się dywizjony, piloci podtrzymywali się wzajemnie na duchu przed nerwówką nocnych lądowań, sygnaliści kontroli lądowań sprawdzali harmonogramy. Część mechaników i hydraulików kierowała się już do olbrzymich hangarów na niższym poziomie – pieczary wielkości trzech boisk futbolowych wysokiej na dziesięć i na dwieście pięćdziesiąt metrów długiej.

Był to garaż myśliwców przechwytyjąco-szturmowych, bombowców i samolotów rozpoznawczych. Mieściły się tu również wydziały obsługi samolotów, magazyny części zamiennych oraz warsztat naprawczy silników odrzutowych. Bezpośrednio ponad dziobowym krańcem hangaru znajdowały się masywne, hydraulicz-no-parowe suwadła katapult – królestwo podporucznika Jima Adamsa, który dzisiejszej nocy miał pełnić obowiązki szefa mechaników urządzeń przechwytyjąco-hamowniczych na pierwszej wachcie.

Tymczasem z pokładu lotniskowego, gdzie w tropikalnej duchocie przygotowywano do ponownego startu tomcaty, hornety, A-6E intrudera (śmiercionośny bombowiec przystosowany do lotów we wszelkich warunkach atmosferycznych, zakłócający pracę radarów EA-6B) i wszędobylskiego hawkeye – zaczynał już dolatywać narastający warkot sprawdzanych silników.

*

271600MAJ02. 15S, 3W. Kurs 165. Szybkość 8.

–W porządku, Ben, Świętą Helenę mamy chyba teraz mniej więcej sto mil od prawej burty. Zaczynamy się rozglądać za tankowcem. Paliwo na ukończeniu. Żeby się tylko pojawił.

–Pojawi się, Georgy, pojawi. Za jakieś dwie, trzy godziny, tuż przed zmierzchem. Od tygodnia nie widzieliśmy żadnego statku, czyli jesteśmy chyba samiutcy.

–To wielki ocean, Ben. Jakby coś poszło nie tak, to i za pół roku by nas tu nie znaleźli.

–Właśnie o to chodzi, żeby nas nie znaleziono, jeśli coś pójdzie nie tak. Odpukać, ale w takim przypadku płynicie choćby wplaw do Afryki. Pamiętaj, co ci mówiłem o Świętej Helenie. Po Waterloo Anglicy zesłali na nią dożywotnio Napoleona. Zmarł tam po sześciu latach. Kto wie, czy nie zajęlibyśmy celi po nim. Idź najciszej jak się da.

–Idę cicho, Ben. Musisz przyznać. Na razie żadnego potknięcia, co?

–Jedno małe, Georgy. Tylko jedno, w cieśninie. Pamiętasz? O mało nie wyskoczyłem ze skóry.

–Wyskoczyłbyś, gdybyśmy uderzyli w ten tankowiec. Przecież wiesz, że musiałem przyspieszyć.

–Nie mam do ciebie pretensji, Georgy, tylko że Amerykanie są w tamtym rejonie bardzo, ale to bardzo skrupulatni. Ktoś mógł nas usłyszeć.

–To trwało tylko dwadzieścia sekund, Ben.

–Amerykanom tyle wystarczy. Są bardzo wyczuleni na czyjeś błędy. Miejmy nadzieję, że nikt się nie połapał.

–Jeśli się nawet połapał, to dawno machnęli ręką. Przez tydzień nie widziałem ani jednego samolotu.

–Tak, to prawda. Ale na przyszłość uważajmy. Utrzymuj tę prędkość i poczynając od tej chwili rozglądaj się przez dwie godziny za tankowcem.

–Dobrze, Ben, ty tu jesteś szefem.

«

*

290900MAJ02 USS „Thomas Jefferson”. 5N, 68E. Kurs 325. Szybkość 30. W połowie drogi między Grzbietem Carlsberskim a Male-diwami. 2500 sążni.

–Okay. Jest potwierdzenie godziny rozpoczęcia. Dwunasta. „George'a Washingtona” mamy jakieś pięćset mil na północ od siebie. To oznacza, że jego okręty podwodne mogły już podejść na odległość trzystu mil. Wyślijmy natychmiast oba nasze okręty podwodne w sektory północno-wschodni i północno-zachodni. I zarządzmy najwyższą gotowość od dziesiątej. Za cholere nie ufam ich oficerowi operacyjnemu Grupy. Drań mógł już zacząć, nie czekając na wyznaczoną godzinę, a gównu to będzie kogo obchodziło, kiedy damy plamę. Lepiej nie ryzykować.

Gorączkujący się na mostku admirałskim kapitan Baldrige stanowił całkowite przeciwieństwo swego zwierzchnika, który najspokojniej w świecie rozwiązywał krzyżówkę z niedzielnej «Eag-le'a» przysłanego mu przez kogoś w Wichity.

–Spokojnie, Jack – wymruczał admirał Carson. – Nie zaatakują nas przed wybiciem godziny

pod ścisłą obserwacją satelitarną. Od razu by się wydało. Może jeszcze kawy? Jesteśmy przygotowani.

–Ja też się wcale nie spodziewam ataku z powietrza przed zmrokiem, nie ufam tylko ich łodziom podwodnym. Nie ufam zresztą żadnym łodziom podwodnym, z wyjątkiem tych, które znajdują się pod naszą bezpośrednią komendą. Tych facetów szkolą na najpodstępniejsze łajzy w marynarce. To silniejsze od nich. I znają mniej więcej naszą pozycję. Lepiej więc zarządzić pełną gotowość, włączyć wszystkie czujniki, i te aktywne, i pasywne. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

–Słowo na dziewięć liter, zaczynające się aa „t” – powiedział lakonicznie admirał Carson, podnosząc na niego wzrok – przebiegły rzymski cesarz.

–Mussolini – burknął niezdecydowanie Jack Baldrige.

–Blisko. Ale lepiej pasowałby chyba Tyberiusz. Z niego też był kawał przechery.

–Nadawałby się na podwodniaka – zauważył kwaśno Baldrige, nie dając po sobie poznać, w jakie zdumienie wprawia go wszechstronność wiedzy zgromadzonej pod strzechą słomianych włosów tego wiejskiego chłopaka. – W każdym razie ja wolę nie ryzykować z tymi nieprzyjacielskimi łodziami podwodnymi i za pańskim przyzwoleniem uszczelnię na pierwszych trzydzieści sześć godzin kordon środków zwalczania broni podwodnej.

–Przyzwalam, Jack, po co mają nas przydybać z opuszczonymi gaciami. Ale, naturalnie, nie zapomnisz skrócić nieco bardziej na zachód, bo w tamtym kierunku będziemy latali. Ich łodzie podwodne stanowią dla nas największe zagrożenie. Masz rację.

010430CZER02. Billy-Ray Howell z ozdrowieńcem Fred-die'em prowadzili już osiem tomcatów do domu po „skasowaniu” wszystkich sił szturmowych „George'a Washingtona” – radar haw-keye'a wykrył nadlatujące maszyny w odległości dwustu pięćdziesięciu mil, ale oni wstrzymywali ogień, dopóki nie nabrali całkowitej pewności. Zlokalizowane i „storpedowane” zostały obie łodzie podwodne przeciwnika, w tym jedna w odległości stu mil od lotniskowca. Drugą, wykrytą przez radar, kiedy wynurzyła się na głębokość peryskopową o dwadzieścia mil od burty „Thomasa

Jeffersona”, załatwiły helikoptery wyposażone w broń do zwalczania okrętów podwodnych.

–Za blisko ich, cholera, dopuściliśmy – warknął kapitan Baldrige z nieskrywaną pretensją do operatorów. I zwracając się do admirała, dorzucił: – Ależ podstępne szuje z tych podwodniaków. Mówiłem. Wszystkiego się można po sukinsynach spodziewać.

–Mnie nie musicie o tym mówić, kapitanie – odparł admirał. – Od lat spędzają mi sen z powiek. I likwiduję ich w czasie tych manewrów z najwyższą rozkoszą. Was właściwie lubię. Im nie ufam. Ale podziwiam, wy zaś wyraźnie ich nienawidzicie.

–Sukinsyny – powtórzył Jack Baldrige.

Manewry dobiegły końca, „Jefferson” odniósł walne zwycięstwo. Od zmroku do świtu wiązki radarowe cięły niebo i ocean, a podwodniacy wytrwale szukali się nawzajem w głębinach. Obie łodzie podwodne admirała Carsona przetrwały tę noc nietknięte i tuż przed świtem wielki Kansańczyk obwieścił zakończenie ćwiczeń. W niespełna godzinę mógł swoimi pociskami kierowanymi i torpedami zniszczyć „nieprzyjacielski” lotniskowiec. „George'owi Washingtonowi” z całej eskorty został tylko jeden okręt.

–Trzeba ich było zatopić – wyburczał Baldrige.

–A po co? – mruknął admirał. – Sytuacja i tak była jasna. Nasze chłopaki, a zwłaszcza piloci, odwalili dziś w nocy kawał porządnej roboty.

Tuż po północy załamała się pogoda. Wiatr przybrał na sile, a niska powłoka ciężkich chmur bardziej niż zwykle utrudniała lądowanie. Sarfioloty siadały jeden po drugim na pokładzie. Jak dotąd nie zdarzyło się jeszcze, żeby hak hamowniczy któregoś nie natrafił na linę przechwytną.

Przy wzmagającym się wietrze i deszczu siekącym rozkołysany pokład czekano na ostatnią maszynę – schodzącego ze służby na dużej wysokości hawkeye'a. Podporucznik Adams, kolejną noc pełniący obowiązki szefa urządzeń hamowniczo-przechwytnych, trwał na

stanowisku, wpatrzony w ledwie widoczne w ciemnościach światła pozycyjne wielkiego radarowego samolotu.

Sygnalista kontroli lądowań stojący na lewej rufowej ćwiartce pokładu utrzymywał kontakt radiowy z pilotem hawkeye, porucznikiem Mike'em Morleyem z Georgii, byłym obrońcą futbolowej reprezentacji marynarki. Morley był dobry zawsze, ale swoją prawdziwą klasę pokazywał dopiero w warunkach realnego zagrożę-

nia, w nocy, w niesprzyjających warunkach atmosferycznych. W tej chwili realizował operację nocnego lądowania przy złej widoczności. Schodził z sześciu mil, z wysokości tysiąca dwustu stóp.

Sygnalista starał się dodać nadlatującej załodze otuchy.

–Okay, Mike. Cztery-osiem-zero, bardzo dobrze... pilnuj wysokości... uważaj na tor podejścia...

Milę przed lotniskowcem E-2C hawkeye schodził nadal jak po sznurku i sygnalista słyszał w słuchawkach spokojny głos Morleya:

–Okay, mam was. Dziewięć tysięcy funtów.

Widzieli już silne snopy reflektorów lądowniczych osadzonych w skrzydłach samolotu, który miotany podmuchami wiatru w nos opadał szybko na rufę lotniskowca. Kto żyw wyległ na pokład „Jeffersona”, żeby obserwować powrót do domu ostatniego z nocnych wojowników.

–Idzie! – wrzasnął w ciemność Jim Adams.

Słysząc już było wyraźnie grzmot silników podwieszonych pod rozpostarte na ponad dwadzieścia pięć metrów skrzydła hawkeye'a zbliżającego się niczym groźny, rozsierdzony obcy z kosmosu, pod ciężarem którego pokład nie zarwie się tylko dzięki wzmocnionej konstrukcji rufowej części kadłuba okrętu. W mroku zamajaczyły znajoma biała gwiazda w błękitnym kole, czerwony pasek, pojedyncze słowo NAVY.

–Gotowi! – wydarł się Adams, a po paru sekundach ryknął: -Styk! – 1 w tym samym momencie pilotowany przez Mike'a Morleya rozprawiający „Jeffersona”, przemknąwszy pięć metrów nad rufą, rąbnął kołami o pokład. Wyczuwając, że hak zaczepił o linę przechwytną, Mike przymknął przepustnicę. Szybkość w nie-' spełna trzy sekundy spadła ze stu osiemdziesięciu węzłów do zera. Na czole Mike'a Morleya perliły się kropelki potu; za nic nie przyznałby się przed nikim, jak wali mu teraz serce.

–Nieźle wyszło – powiedział spokojnie, opuszczając kabinę

hawkeye'a. – Dzięki, chłopaki, za sprowadzenie.

*

171430CZER02. 26S, 48E. Kurs 040. Szybkość 8.

–Jesteś pewien, Ben, że obchodzimy tę wielką wyspę po zewnętrznej? Nieprzyjemnie się tam robi.

–Zapewniam cię, że byłoby nieprzyjemniej, gdyby nas przydybali między wyspą a kontynentem. Te wody patroluje

teraz Flota Atlantycka. Nie sądzę, żeby były obserwowane z satelity, ale nie mogę ryzykować wykrycia przez amerykańskie okręty wojenne. Są, ogólnie mówiąc, strasznie nerwowe. Nasz widok bardzo by je zainteresował.

–Jankeskie bękarty, co? Będziemy się trzymać od nich z dala.

–Tak, Georgy. Na razie trzymamy się od nich z dala – i nie tylko od nich.

–Co z tankowaniem? Zbiorniki już w połowie puste.

–Przy tej szybkości paliwa starczy ci jeszcze na dobre siedem tysięcy mil. Jesteśmy jakieś tysiąc siedemset pięćdziesiąt mil od Grzbietu Carlsberskiego. Stamtąd jeszcze tylko dwieście pięćdziesiąt mil do naszego punktu tankowania. Wszystko gra, Georgy.

–Okay, czyli mamy się rozglądać za tankowcem za jakieś dziesięć dni?

Właśnie. Jak tam załoga?

–Nieźle. Trochę długo to trwa i nuda daje się we znaki, ale wkrótce się rozerwiemy, prawda?

–Pamiętaj, że twoi chłopcy, cała pięćdziesiątka, zdają sobie sprawę, że wykonują ważną misję w służbie matuszki Rosji. Powinieneś im o tym przypomnieć.

–Dużo ryzykujemy, Ben. Wątpię, czy zobaczę jeszcze dom. Niezależnie od wyniku.

–Swojego domu może już nie zobaczysz. Ale będziesz miał drugi, gdzie indziej. Wszystkim się zajmujemy.

i

l

*

261200CZER02. Na pokładzie „Thomasa Jeffersona”. 21N, 64E. Kurs 005. Szybkość 10.

Na trzy tygodnie przed datą stawienia się na pozycji Grupa Uderzeniowa admirała Carsona znajdowała się czterysta mil na południowy zachód od Karaczi oraz sześćset mil na południowy wschód od Bandar-e Abbas, bazy irańskiej marynarki wojennej u wejścia do Cieśniny Ormuz. Od zachodu mieli wybrzeże Omanu, od północy złowrogie pasma górskie sięgające wybrzeży Beludżys-tanu.

Na bezpośrednie polecenie admirała kapitan Baldrige zwołał naradę szefów głównych służb.

ważniejsi operatorzy z Bojowego Centrum Informacji, szef działań taktycznych, szef służb zwalczania zagrożeń podwodnych, szef służb zwalczania zagrożeń powietrznych, dowódca sił podwodnych, dowódca samego lotniskowca, kapitan Rheinegen, szef sił powietrznych, komandor Bob Hulton. Przybyło też sześciu wyższych dowódców z innych jednostek Grupy, w tym kapitan Art Barry z krążownika raketowego „Arkansas”, kibic nowojorskich Yankees i dobry kolega Jacka Baldrige'a, przetransportowany tu śmigłowcem z oddalonej o trzydzieści mil zachodniej flanki Grupy.

Dla kilku z obecnych była to pierwsza w życiu tura służby na Morzu Arabskim i Zack Carson uznał za stosowne wyjaśnić im wszystkim, po co się tu znaleźli, oraz uzmysłowił oficerom ich sztabów krytyczny charakter tej właśnie misji.

–Wiem, panowie, że niemożliwie tu gorąco i z pozoru niewiele się dzieje – zagaik. – Ale wierzcie mi, to w tej chwili najbardziej zapalny punkt na świecie. Środkowym Wschodem targają najsilniejsze od 1990 roku napięcia. Jak zawsze chodzi o prawo własności do szybów naftowych; nie muszę panom chyba uświadamiać, że wszystkie baryłki tego obrzydlistwa przechodzą co do jednej właśnie tędy. Jezu, jak pewnie zdążyliście już zauważyć, więcej tu tankowców niż ryb.

Polityka Departamentu Stanu jest bardzo prosta. Dopóki siedzimy tu jak kwoka na jajach, nikt się za bardzo nie wychyli, nikt nie zabierze się do majstrowania przy prawie gwarantującym swobodny ruch tankowców w Zatoce Perskiej. Gdyby jednak zabrakło nas na tych wodach, może rozpętać się piekło.

Irańczycy nienawidzą Irakijczyków i vice versa. Izraelczycy nienawidzą Irakijczyków bardziej niż Irańczycy. Irakijczycy tylko czekają, żeby dokonać następnego skoku na Kuwejtczyków. Saudyjczycy, dzięki wielkości i bogactwie swego kraju, są cholernie dobrze zorganizowani i kontrolują największe pole naftowe na ziemi – to, na które w 1990 ostrzył sobie ząbki Saddam.

Nie muszę chyba panom mówić, jakie by to było zagrożenie dla pokoju na świecie, gdyby wydarzyło się coś, co doprowadziłoby do wyeliminowania tego wielkiego pola naftowego z wolnego rynku. Jeśli chcecie, mogę wam pokrótce naświetlić konsekwencje; Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Japonia byłyby zmuszone wziąć się za rączki i ruszyć na wojnę o naftę, nawet gdybyśmy mieli na dobre odebrać krajom arabskim całą tę cholerną działkę. I zrobiłaby się chryja. Przypominacie sobie zapewne, jak

w roku 1991 USA wysłały w ten rejon pięć Grup Uderzeniowych Lotniskowców, siłę wystarczającą, by w razie potrzeby zająć cały Półwysep Arabski.

Ale, panowie, dopóki tu jesteśmy, parkujemy przy samym brzegu i od czasu do czasu składamy okolicznościową wizytę w cieśninie, nikt, ale to nikt nie wyrwie się z niczym nieprzemyślanym. A gdyby znalazł się dureń, który wykonałby jakiś agresywny ruch, byłbym zmuszony przywołać go do porządku i w imieniu naszego głównodowodzącego przypomnieć, że jak amen w pacierzu możemy zetrzeć go z mapy świata. Słyszałem ostatnio, jak na spotkaniu z Kolegium Szefów Sztabów Połączonych, nawiązując do tego tematu, prezydent powiedział, że nie będzie tolerował ładnych wybryków ze strony tych przeklętych ręcznikogłowych, bez względu na to, jakie plemię reprezentują.

Nasze zadanie, panowie, to dbać o czystość wód, na których operujemy, o higienę powietrza i morza, które nas otacza. Najmniejszego zagrożenia. Z czyjejkolwiek strony. To dlatego hawkeye niemal bez przerwy jest na patrolu. To dlatego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę wpatrujemy się w niebo, dlatego satelity prowadzą obserwacje, to dlatego musimy pilnować, żeby powierzchnia morza i powietrze były przez cały czas wolne od wszystkiego, co niezidentyfikowane, a w domyśle: wrogie.

Bo ja nie przesadzam, panowie. Gdyby nie my, mogłoby tu dojść do karczemnej rozróby. A naszym przywódcom nie byłoby to w smak i, co gorsza, na nas bez wahania zrzuciliby odpowiedzialność. Krótko mówiąc, panowie, wnosimy wielki wkład w utrzymanie pokoju w tej szczurzej dziurze. Dajmy więc z siebie wszystko, bądźmy zawsze gotowi wyprowadzić stosowny do okoliczności cios. Prezydent tego od nas oczekuje. Oczekują tego szefowie sztabów. I oczekuję ja.

Mam nadzieję, chłopcy, że będziecie najlepszym zespołem, z jakim kiedykolwiek przyszło mi pracować. A więc bądźmy bardzo czujni. Obserwujmy bacznie wszystkie ruchy w tym akwenie. I wracajmy za sześć tygodni do domu z wysoko podniesionymi czołami. Znam mnóstwo ludzi, którzy nie potrafią zrozumieć, po co my się tu w ogóle pętamy. Ale my to wiemy, a to w końcu najważniejsze. Dziękuję wam, panowie, a teraz byłbym wdzięczny, gdybyście zechcieli spożyć ze mną lunch; zamówiłem trochę steków.

Wszyscy siedzący przy admirałskim stole orientowali się doskonale w zawłościach sytuacji politycznej na Środkowym Wscho-

dzie. I doskonale zdawali sobie sprawę z potencjalnego niebezpieczeństwa grożącego Amerykanom, którzy służą w tym rejonie świata. Ale mimo to lubili być od czasu do czasu zapewniani, jakimi to ważnymi trybikami są w napędzającym ten świat mechanizmie. Zważywszy stosunkowo skromne korzyści finansowe, jakie czerpali ze swej pracy, nie było to żądanie zbyt wygórowane. A prostolinijny, dosadny sposób, w jaki zaspokajał ten kaprys Zack Carson, sprawiał, że przepadali za nim wszyscy podkomendni. Wszyscy, bez wyjątku.

»

*

271500CZER02. 5N, 68E. Kurs 355. Szybkość 3.

–Mogę utrzymać tę pozycję najwyżej przez trzy godziny, Ben. Mam nadzieję, że tankowiec się pojawi. Paliwo na ukończeniu i załoga o tym wie. Kiepsko, co? Zaczynają się denerwować.

–Bardziej by się denerwowali, znając rzeczywisty cel naszej misji, nie uważasz, Georgy? Powiedz im, żeby się nie denerwowali. Tankowiec będzie tam najdalej za cztery godziny. Wypatrujcie go przed dziobem po prawej. Płynie do was z szybkością dwunastu węzłów. O dwudziestej pierwszej będziemy już szli dalej na północ z pełnymi zbiornikami.

*

280935CZER02.21N, 6E. Kurs 005. Szybkość 10. Bojowe Centrum Informacji „Thomasa Jeffersona”.

–Czy ktoś łączył się już z magazynami na Diego Garcia? Mają nam przysłać COD-em „krytyczne dla misji” części zamienne do lustrzanego celownika lądowań.

–Łączyłem się z nimi o szóstej, ale zrobię to jeszcze raz przed startem samolotu. Części zamienne do celownika skończyły się nam zeszłej nocy.

*

281130CZER02. 9N, 67E. Kurs 355. Szybkość 8. 200 mil od punktu tankowania.

Oficer wachtowy: Do kapitana w sterowni.

Głos Georgy'ego: Co jest?

–Namierzyłem właśnie dwusilnikowy samolot na wysokości trzydziestu tysięcy stóp, prawdopodobnie turbośmigłowy. Kurs identyczny z naszym. Należy chyba do marynarki Stanów Zjednoczonych. Nie stanowi zagrożenia. Ale mówi pan, że to tajna misja.

–Dobra robota, poruczniku. Wpadnę rzucić okiem...

–Cześć, Ben, namierzyliśmy właśnie samolot. Jest bardzo wysoko i leci na północ, ale mój oficer wachtowy twierdzi, że to maszyna marynarki amerykańskiej i chyba ma rację. To na pewno amerykański turbośmigłowiec wojskowy.

–No i co w tej sytuacji zamierzasz?

–Ja? Nic nie zamierzam, Ben. Ten pilot to zwyczajny kierowca ciężarówki. Nie stanowi dla nas żadnego zagrożenia.

–Tak, Georgy, może mówić tylko człowiek, którego kraj nigdy nie prowadził wojny łodziami podwodnymi. Powiem ci coś i chcę, żebyś to sobie zapamiętał raz na zawsze. A przynajmniej dopóki pracujesz dla mnie.

Nauczył mnie tego Nauczyciel. W tej grze każdy człowiek jest przeciwko tobie. Zakładaj zawsze, że każdy, kogo obojętne w jakiej od siebie odległości namierzyłeś, też ciebie zauważył. Zakładaj zawsze, że naślą kogoś na ciebie. Zazwyczaj wcześniej, niż się spodziewasz. Zwłaszcza jeśli masz do czynienia z Amerykanami.

–Pozwól mi zerknąć jeszcze raz, Ben.

–Ani mi się waż. Zakładam już, że wywęszył nas samolot amerykańskiej marynarki wojennej. Musimy teraz zmylić trop. Nie możemy ryzykować, Georgy. Daj natychmiast ster na zero-pięć-zero. Płyniemy na północny wschód ku wybrzeżom Indii. Jeśli w ciągu dwóch najbliższych dni namierzą nas znowu, stwierdzą, że kierujemy się na Bombaj i uznają za Hindusa, czyli jednostkę neutralną, a nie za niezidentyfikowaną, czyli potencjalnie wrogą.

Ta zmiana marszruty będzie nas kosztowała półtora dnia. Ale nie wypadamy z interesu. Utrzymuj ten kurs aż do odwołania.

*

281400CZER02. 21N, 64E. „Thomas Jefferson”.

Grupa Uderzeniowa patrolująca Morze Arabskie płynie luźnym szykiem rozrzucona w promieniu pięćdziesięciu mil. Jeden z sygnalistów kontroli lądowań stoi na rufie i rozmawia z nadlatującym samolotem transportowym COD z bazy na Diego Garcia. Maszyna wiezie pocztę dla wszystkich jednostek Grupy, plus okazałych rozmiarów paki z częściami zamiennymi, do jednego z radarowych systemów sterowania rakietami oraz do lustrzanego celownika lądowań. Pilot latał kiedyś na phantomach i jest weteranem lądowań na lotniskowcach. Ma ich za sobą trzysta.

Wiatr był wyjątkowo słaby, morze spokojne, widoczność idealna, i porucznik Joe Farrell z Pensylwanii, posadziwszy gładko samolot na pokładzie, nawet się specjalnie nie zainteresował, czy hak pewnie natrafił na linię przechwytyjącą.

Maszynę odholowano na miejsce postojowe pod wysepką i przystąpiono do rozładunku, porucznik Farrell udał się zaś na krótką odprawę, po której zamierzał coś przekąsić, bo po czterogodzinnym locie zaczynało mu burczeć w brzuchu. Przekraczając próg grodzi usłyszał za sobą okrzyk:

–Hej, Joe, siemanko!

Odwrócił się i spojrzał w roześmianą gębę porucznika Ricka Evansa, sygnalisty kontroli lądowań, który sprowadzał go na pokład. '

–Siemasz, Ricky, jak leci, stary... chodź na kawkę. Kopę lat. Zrobili cię już admirałem?

–Mają w przyszłym tygodniu – zachichotał porucznik. – Tak słyszałem. – Znali się już czternaście lat, jeszcze ze szkoły lotnictwa morskiego w Pensacola.

Zmierzając do sali odpraw omal nie wpadli na porucznika Williama R. Howella, który idąc tyłem opowiadał jakiś dowcip kapitanowi Baldrige'owi.

–Czołem, Ricky – zawołał Billy-Ray. – Co, fajrant na dzisiaj?

–Tak jakby. Zaraz, to porucznik Joe Farrell? Przyleciał właśnie z Diego Garcia z pocztą i częściami do radaru.

–My to się już chyba gdzieś spotkaliśmy – powiedział wesoło Billy-Ray.

–

–W samej rzeczy – przytaknął Farrell. – Byłem z całą resztą marynarki na twoim ślubie.

Roześmieli się wszyscy. Kapitan Baldrige wyciągnął rękę.

–Miło mi pana poznać, poruczniku – powiedział. – Jak lot?

–Nie narzekam, sir. Na południu sporo niskich monsunowych chmur, ale i dużo czystego nieba. Żadnych problemów. Tankowców w dole jak mrówek.

–No dobrze, chłopcy, zostawiam was i idę odetchnąć świeżym powietrzem... na razie...

–Aha, jedna sprawa, sir – zawołał za nim Farrell. – Może zainteresuje pana, że widziałem, a przynajmniej wydaje mi się, że widziałem, łódź podwodną. Jakieś tysiąc mil stąd, na zachód od Malediwów.

Kapitan Baldrige zatrzymał się jak wryty i obrócił na pięcie. Już się nie uśmiechał.

–W którą stronę szła?

–Na północ, "sir, w tym samym kierunku co ja.

–Dlaczego sądzicie, że to była łódź podwodna?

–No... pewien to nie jestem, sir. Zauważyłem tylko krótki biały ślad na wodzie. Ale żadnego statku tam nie było, sam kilwater. Pomyślałem sobie, że to „pióropusz" podniesionego peryskopu łodzi podwodnej. Ale głowy bym nie dał.

–To mógł być Pakistańczyk – mruknął kapitan Baldrige. – Płynął pewnie 40 Karaczi. Ale macie rację. Na tych wodach rzadko spotyka się łodzie podwodne, chyba że nasze, a ta z pewnością do nas nie należała.

–Tak czy inaczej, sir, pomyślałem sobie, że nie zaszkodzi panu powiedzieć.

–Dobrze zrobiliście, poruczniku. Bystroocy piloci to podstawa tej marynarki. Dziękuję wam.

–I jeszcze jedno, sir... Straciłem ją w pewnym momencie z oczu, ale w parę minut później, kiedy nad tym miejscem przelatywałem, znowu się pojawiła. Może to był duży wieloryb.

–Tak. To możliwe. Ale mimo wszystko dziękuję, poruczniku -powiedział kapitan. – Przed lunchem zgłóście to w Bojowym Centrum Informacji. Podajcie im dokładne współrzędne miejsca, gdzie dokonaliście obserwacji, dobrze? Mówicie, że kierowała się na północ?

–Tak, sir. Już tam idę.

*

291130CZER02. 11N, 68E. Kurs 050. Szybkość 7.

–Okay, Georgy, chyba wystarczy. Skoro do tej pory nie wszczęli poszukiwań, to już nie przylecą. Poza tym zeszliśmy spory kawał z linii lotu tamtego amerykańskiego samolotu, gdyby, jak przypuszczam, wracał tą samą drogą na Diego Garcia.

–Mam dać ster w lewo na kurs trzy-trzy-zero?

–Tak, daj trzy-trzy-zero.› r

*

012000LIP02. „Thomas Jefferson”. 21N, 63E. Kurs 215. Szybkość 10.

Okręt szedł pod wiatr, załoga przygotowywała się do nocnych lotów ćwiczebnych. Jack Baldrige i Zack Carson jedli w kajucie admirała nieformalną, roboczą kolację.

–Na waszym miejscu nie przejmowałbym się tak sprawą, w której tyle jest niewiadomych – powiedział z uśmiechem admirał Carson. – Po pierwsze, nie wiadomo, czy to faktycznie był okręt podwodny. Po drugie, nie wiemy, do kogo mógłby należeć; po trzecie, nie znamy jego szybkości ani kursu w tym właśnie momencie. Po czwarte, nie orientujemy się, jakie mógłby mieć zamiary. Po piąte, co nas to w końcu obchodzi? O ile mi wiadomo, wojny z nikim nie prowadzimy. W każdym razie nie dzisiaj. Jedyne kraje arabskie w tym rejonie, które dysponuje okrętami podwodnymi, to Iran, a nasz satelita twierdzi, że wszystkie trzy stoją teraz grzecznie w Bandar-e Abbas.

W każdym razie twierdził tak trzy dni temu, a zapewniam was, że gdyby któryś z nich się stamtąd ruszył, od razu byśmy o tym wiedzieli. Z Oceanem Indyjskim graniczą w tym rejonie jeszcze dwa państwa. Oba mają okręty podwodne, ale oba są więcej niż przyjazne Stanom Zjednoczonym.

Moim zdaniem nie ma się czym przejmować, chyba że ta wielkooka, cycata przystojniaczka, która rządzi Pakistanem, ni z tego, ni z owego się na nas obraziła. Jezu, przecież ona skończyła Harvard, dobrze mówię? Jest po naszej stronie. Jeszcze jednego cheesburgera?

«__1

–Ma pan rację, admirał – roześmiał się Baldrige. – Jeśli to nawet okręt atomowy i kieruje się na nas, to i tak zdążymy go przechwycić, zanim zdoła za blisko podejść. Ostatnie ćwiczenia

pokazały, że potrafimy wykryć najcichszych tego świata. Dobra

myśl, wrzucmy na ruszt jeszcze jednego burgera.

*

051700LIP02. 19N, 64E. Kurs 045. Szybkość 4.

* – No, Georgy, to by było na tyle. Mimo naszej małej wycieczki do Indii, jesteście tu o czasie. Monsuny też nie kazały na siebie czekać i pogodę mamy jak na zamówienie. Chyba nas jednak nie wykryli. W tej chwili jest sto dwadzieścia mil na północ od ciebie. Zbiorniki mamy pełne i jeśli nie przyłapią nas na podejściu, to mało prawdopodobne, żeby odcięli nam potem odwrót. Całkiem możliwe, że w ogóle nie przyjdzie im do głowy, że istniejemy.

–Chyba masz rację, Ben. Zawsze ją masz. Ale niepokoi mnie... dlaczego oni się tak miotają?

–Przewrażliwiony jesteś, Georgy. Według mnie słyszymy odgłosy rutynowych czynności patrolowych. Płyniemy dalej z szybkością poniżej pięciu węzłów i podkradamy się cichutko jak myszki. Sprawdźmy instalacje, może da się trochę poprawić czułość sonarów. Pogoda pod psem i mało co widać.

i

*

071145LIP02. W Bojowym Centrum Informacji starego 8000-tonowego niszczyciela klasy Spruance, USS „Hayler”, płynącego dwadzieścia pięć mil od prawej burty „Thomasa Jeffersona”, szef służb zwalczania zagrożeń podwodnych, komandor Chuck Freeburg zżymał się na złą pogodę. Jaskinia elektronicznych środków prowadzenia walki, w której siedział – pogrążona w padającej od konsol, widmowo bursztynowej poświacie salka – kołysała się w poprzek i wzdłuż w rytm morza burzącego się pod zakutym w stalowy pancerz kadłubem. Wtem na ekranie taktycznym pojawił się nowy namiar: 5136 NZN.

72

–Szef zwalczania zagrożeń podwodnych do kompilatora powierzchni – zwrócił się natychmiast Freeburg do kompilatora powierzchni morza. – Czego dotyczy namiar 5136?

–Stanowisko trzy zgłosiło zanikający kontakt radarowy z niezidentyfikowanym obiektem. Cztery obroty przemiatające. Za mało danych do określenia kursu i szybkości.

–Zrozumiałem. Niezidentyfikowany obiekt. Ostatni zdjęty

namiar 5136. Zgłóście to do centrali.

*

071146LIP02. Na mostku admiralskim „Thomasa Jeffersona”, 22N, 64E. Kurs 035. Szybkość 12.

Na skutek wysokiej fali odwołano wszystkie loty maszyn sta-łopłatowych.

–Panie admirale – zameldował poprzez interkom kapitan Baldrige – mam zanikający kontakt radarowy pięćdziesiąt mil na południowy wschód. Jest ostatni namiar.

–Który to już dzisiaj, Jack?

–Chyba piętnasty, panie admirale. To pewnie ta pogoda.

–Tak, ale nie wolno nam ich lekceważyć. Postaw od tej strony • zaporę z pław akustycznych. Jeśli to okręt podwodny, usłyszymy go, kiedy przyśpieszy. Jeśli nie będzie zwiększał szybkości, to nie stanowi zagrożenia. A jak to nie okręt podwodny, to pies z tym tańczył. Nie będę tracił czasu na podglądanie mew.

–Tak jest, sir. Bez przerwy się tu kręca. Podejrzewam, że przyciąga je jakiś podmorski prąd.

–Tak czy siak, nie będziemy panikować z powodu jakichś głupich czterech impulsów radaru. Kurs i szybkość te same, ale miejcie oczy szeroko otwarte. Daj mi znać, Jack, jakby wyszło coś nowego.

071430LIP02. 20N, 64E. Kurs 320. Silna fala. Szybkość 3.

–O cholera! Widziałeś? Jezu święty! Przed chwilą widziałem pławę akustyczną z prawej burty. O mało w nią nie stuknęliśmy. Musieli nas usłyszeć. Jezusie Nazareński! Ben! Czterdzieści metrów od nas spadła pława akustyczna. Musieli wysłać samolot do zwalczania okrętów podwod-

73

nych. Krąży teraz nad nami. Jezus, Maria! Ben, nie wygramy z amerykańską Grupą Uderzeniową, rozniosą nas na strzępy.

–Uspokój się, Georgy. Spokój. Utrzymuj szybkość poniżej trzech węzłów, nie słyszą nas przy niej, i nasłuchuj. Spróbuj też pozbyć się z głosu tego historycznego tonu. Zdenerwujesz tylko wszystkich, ze mną włącznie. Idź powoli naprzód. I na miłość boską, nie panikuj. Pogadamy w twojej kajucie...

–Nie panikuj, mówisz! Jezu! Ben, ściągną fregaty i helikoptery, osaczą nas, wpadliśmy jak szczur w pułapkę. Kurwa, Ben. Jankeskie sukinsyny... pozabijają nas i nikt się nawet nie dowie. O, kurwa.

–Zamknij się, Georgy! Pozwól sobie przypomnieć, że mamy takie samo jak oni prawo przebywać na tych wodach. Nic nam nie zrobią, jeśli nie będą mieli pewności, że coś przeciwko nim knujemy. W razie czego mogę się podać za indyjskiego oficera. Znam od biedy urdu, a mój angloindyjski jest na tyle dobry, żeby zmylić amerykańskiego dowódcę.

Nie mają prawa przeszukać tego okrętu, nie popełniliśmy przeciwko nikomu żadnego wykroczenia. A więc uspokój się z łaski swojej.

–Twarda z ciebie sztuka, Ben. Ale o czymś zapomniałeś. Amerykanów stać na wszystko. To kowboje, bez pytania pociągają za cyngiel. Poruszą ziemię, żeby się wywiedzieć, coś my za jedni. Zgnijemy w więzieniu. Jak ten francuski wypierdek Napoleon.

’,*

071600LIP02. 21N, 64E. Bojowe Centrum Informacji „Thomasa Jeffersona”.

–Tak, słyszałem wracające sea kingi. Nic nie znalazły. To by znaczyło, że nie podchodzi nas żadna atomowa łódź podwodna.

–To by znaczyło, że prawdopodobnie nic nas nie podchodzi. Z zapory też nie ma żadnych sygnałów. Nic dziwnego przy tej pogodzie. Idę o zakład, że to była jakaś większa ryba. Gdyby kręcił się tu okręt podwodny, usłyszelibyśmy go. Na pewno byśmy usłyszeli.

–Usłyszelibyśmy, gdyby to był okręt atomowy. Ale kapitan Baldrige nie wygląda mi na przekonanego. Już trzy razy w ciągu dwóch godzin tu wpadał.

*

072300LIP02. 20N, 64E. Kurs 340. Szybkość 3. Tam i z powrotem czteromilowym torem patrolowym.

–Siedzimy tu jak myszy pod miotłą, Georgy, i czekamy. Nie ma sensu się zbliżać do tych pław akustycznych, które zrzucili. Myślę, że za dzień albo dwa nasz wielki okręt sam do nas wróci.»

Mamy przynajmniej czas dobrze się ustawić. Jesteśmy mniej więcej w środku i wątpię, żeby nas tu szukali. Za dwa do trzech dni będzie po wszystkim. Rąbnjemy we właściwe miejsce o mniej więcej właściwym czasie. Jakie nastroje wśród załogi? Co im powiedziałaś?

–To, co ustaliliśmy, Ben. Nadal myślą, że to specjalne ćwiczenia, tajny test nowej broni atomowej. Powiedziałem im, że wina za złamanie zakazu prób jądrowych spadnie na Hindusów. Ale możemy mieć z nimi kłopot, kiedy wyjdzie w końcu szydło z worka. Tylko wtedy będzie już za późno, a na razie nikt nic nie wie. Nie wie nawet André. Ale oficerom powiem zaraz po fakcie. Zajmą się załogą. Może z początku trochę

się zdenerwują, ale im przejdzie. I tak nie mają wyboru. *

081758LIP02. „Thomas Jefferson”. 21N, 62E. Kurs 220. Szybkość 10.

Pogoda fatalna. Bardzo silne podmuchy monsunu. Zack Carson i Jack Baldrige wyteżają wzrok, ale przez zaparowane szyby w oknach mostka admirałskiego widzą tylko ciemne, oleiste morze sieczone deszczem ograniczającym widoczność do kilku mil. Odwołano wszystkie nocne loty maszyn stałopłatowych.

–Dziwna pogoda, panie admirale. Taka szarość i plucha kojarzą się człowiekowi z przenikliwym chłodem. Kiedy w Kansas tak się zaciągnie, szczękamy z zimna zębami.

–To południowo-zachodni monsun, Jack. Ciepły wiatr od równika niosący ze sobą cały tegoroczny przydział deszczu dla

Indii; następna dostawa dopiero na wiosnę przyszłego roku. Czy nie kłąłbyś w żywy kamień na miejscu tutejszego rolnika?

Stali przez chwilę w milczeniu. Pokład lotniskowy był wyludniony i na okręcie panowała dziwna cisza. Tylko sporadycznie mącił ją szturm szkwału na wysepkę gigantycznego

lotniskowca, który parł przez wypiętrzające się, to znów zapadające ospale morze czterdzieści metrów w dół. Szli pod wiatr, po przekątnej strefy patrolowej obejmującej sto dwadzieścia mil kwadratowych.

Mrużąc oczy, Zack Carson odnosił wrażenie, że jest teraz w okręgu Greely i w szarówce deszczowego letniego wieczoru spogląda na ciągnące się po horyzont pole pszenicy. Rzadko miał okazję podziwiać urozmaicone, pofałdowane pejzaże. Praktycznie całe życie spędził pośród krajobrazów płaskich jak stół – równin Kansas i bezkresnych połaci oceanów. Pomyślał o ojcu, starym, owdowiałym przed dziesięcioma laty Jethro Carsonie, który pomimo że stuknął mu już ósmy krzyżyk, nadal trzymał się dzielnie i uprawiał te swoje setki akrów. I powziął postanowienie, że odwiedzi go z całą rodziną na jesieni, kiedy piękno pamiętanych z młodości, ciepłych, rozfalowanych łąk wprost zapiera dech w piersiach.

–Chyba nie sądzisz, że coś nas naprawdę podchodzi, co, Jack?

–Nie, panie admirale. Nie sądzę. Ale każdy kontakt trzeba zweryfikować. Nie po to tu jestem, żeby przechodzić nad takimi incydentami do porządku dziennego. Zwłaszcza że mamy do czynienia z tymi podstępными gnojkami. Ale gdyby po naszej strefie kręcił się jakiś obcy, to chyba już byśmy go mieli.

–Też tak myślę, Jack. Tylko że te rosyjskie diesle były przy szybkościach poniżej pięciu węzłów dosyć ciche.

–Zgoda, ale aż tak ciche nie były. I z pewnością usłyszelibyśmy je nawet przy takiej pogodzie.

081800LIP02. 20N, 64E. Kurs 155. Szybkość 3.

–Jest, Georgy, na lewo od naszego dziobu, wraca z północnego wschodu.

–Na moje oko jakieś trzy do czterech godzin. Jesteś pewien, że tego chcesz, Ben?

–Jestem, mój kraj jest i mój Bóg również. Twój doradca •finansowy też byłby chyba pewien.

76

–Nie chcę podchodzić bliżej niż na pięć tysięcy metrów. To ustrojstwo jest bardzo głupie i bardzo duże. Działa tylko na czas. Odmierza cztery minuty. Może wizualnie udałoby się dokładniej określić odległość. Ale niekoniecznie.

–Sprawdź wszystkie systemy, Georgy. Ostatni raz. Długą drogę przebyliśmy dla tej chwili. Szkoda tylko, że nie udało się tego zrobić cztery dni temu. Byłoby bardziej poetycko.

* s

082103LIP02. Starszy bosman Sam Howlett z 9000-tonowego krążownika rakietowego klasy Ticonderoga „Port Royal”, operującego w pobliżu lotniskowca, postanowił się przewietrzyć. Wszedł na lewą burtę okrętu i w tym momencie bure niebo rozbłysło niespodziewanie oślepiającym światłem. Kilka sekund później powietrzem targnął ogłuszający grzmot. Zaskoczony Howlett próbował instynktownie chwycić się relingu, ale potężny podmuch odrzucił go w bok i ściął z nóg. Bosman runął jak kłoda, roztrzaskując sobie czaszkę o pokład. Tracąc przytomność zauważył jeszcze, jak wali się wyrwany z zamocowań maszt systemów danych bojowych SQ28. Wielki okręt wojenny przechylił się na prawą burtę i gigantyczny maszt potoczył się w tamtą stronę, miazdząc po drodze młodego oficera na górnym pokładzie przy mostku.

Helikopter LAMPS zmieciony podmuchem z pokładu lotniskowego w kierunku rufy zgniótł tam dwóch członków załogi. Urwany wirnik niesiony prądem powietrza pękł w locie na dwoje, ścinając głowę dwudziestotrzyletniemu mechanikowi. Dwóch innych ludzi wylądowało w morzu sto metrów od burty.

Pod ciężarem walącego się masztu radaru dziobowego zarwał się pokład. Ścięty hydrant pożarowy wpadł do zejściówki, przygniótł tam dwóch marynarzy i wyrzucając pod ciśnieniem setki galonów wody morskiej utopił ich. Na nic się zdały wysiłki podoficera z dwudziestoletnim stażem, który nie bacząc na zalewającą twarz krew i trzy pęknięte żebra, płacząc z bezsilnej wściekłości próbował ich uwolnić.

Na mostku doszło do istnej rzezi. Odłamany wierzchołek głównego masztu przebił niczym

oszczep sufit i zabił na miejscu zastępcę dowódcy okrętu, komandora Teda Farrera. Podmuch wytlukł wszystkie szyby w oknach od strony lewej burty i jeden z odłamków szkła niemal obciął prawą rękę młodemu nawigatoro-

wi, porucznikowi Richowi Pitmanowi. Twarz oficera wachtowego zmieniła się w krwawą miazgę. W kącie leżał martwy młody praktykant Ray Cooper, świeżo upieczony małżonek. Wrzaski i jęki straszliwie okaleczonych marynarzy już do końca życia miały prześladować kapitana Johna Schmeikela.

Raptowność katastrofy, która nie wiedzieć skąd spadła na okręt, sparaliżowała na jakiś czas „Port Royal”. Nikt nie miał pojęcia, co ją spowodowało. Kapitan Schmeikel wydał rozkaz zajęcia stanowisk bojowych. Celowniczo wie wszystkich nieuszkodzonych dział i wyrzutni pocisków kierowanych szukali gorączkowo niewidzialnego wroga, co bez radaru, bez łączności, bez kontaktu z innymi jednostkami Grupy Uderzeniowej było zadaniem skazanym z góry na niepowodzenie.

*

*

082103LIP02. Na pokładzie 8000-tonowego niszczyciela klasy Spruance „O'Bannon”, również płynącego w niewielkiej odległości od lotniskowca, nikt nie zdążył nawet mrugnąć. Podmuch powietrza uderzył w okręt z boku, omal nie przewracając go stępką do góry, ciskając marynarzy na grodzie. Ale prawdziwe szkody wyrządziła dopiero idąca w ślad za nim fala pływowa. Na śródkręcie prostującego się „O'Bannona” natarła góra wody. Tym razem przechył był jeszcze większy i zalany już gorącym olejem kambuz ogarnęła pożoga. Rozerwały się dwie beczki z olejem, sięgające sufitu płomień poparzyły ciężko trzech kucharzy – dwudziestoczteroletni Alan Brennan umrze później z odniesionych ran, a jego pomocnik, dziewiętnastoletni Brad Kershaw straci dwoje oczu.

Fala zmiotła za burtę ośmiu ludzi. Trzej z nich uderzyli w locie o gródź i do wody wpadli już nieprzytomni. Pomimo szybkiej akcji ratowniczej i heroicznych wysiłków załogi żaden nie odzyskał już przytomności.

Do katastrofy doszło w maszynowni. Łuk elektryczny strzelający z głównego wyłącznika prądu poparzył strasznie twarz starszemu bosmanowi Jedowi Mangone'owi, dwóm młodym mechanikom zmiażdżył nogi wielki generator, który właśnie naprawiali. Nigdy nie mieli już chodzić. Na mostku rozgrywały się sceny przypominające te z „Port Royal”. Fruwające odłamki szyb z wytłuczonych okien zmieniły go w strefę działań wojennych, groteskowy szkarłat-no-szklany koszmar, z którego nikt nie wyszedł niezadrażniony.

Kapitan Bill Simmonds, któremu założono później sześćdziesiąt trzy szwy na twarzy, stanął sam za spływającym krwią sterem, zarządził alarm bojowy i klnąc zanik łączności, darł się na całe

gardło, żeby ktoś skontaktował go z okrętem flagowym.

082103LIP02. 20N, 64E. Kurs 230. Szybkość 25.,

USS „Arkansas”, płynący dwadzieścia cztery mile na północny wschód od lotniskowca, zgodnie z wprowadzoną przez admirała zasadą częstej zmiany rozmieszczenia jednostek grupy, co miało utrudnić wszelkim obcym radarom zlokalizowanie samego lotniskowca, zmieniał właśnie kurs, by wrócić na swoją poprzednią pozycję w strefie wewnętrznej.

–Mostek do kapitana. Panie kapitanie, zaobserwowałem przed chwilą silny rozbłysk w mroku na południowym zachodzie. Jakby wyładowanie atmosferyczne, ale jakieś dziwne.

–Tu kapitan, zrozumiałem. Już tam idę.

–Bojowe Centrum Informacji do mostka dowodzenia. Sonar zarejestrował silną podwodną eksplozję. Namiar dwa-cztery-pięć...

–Panie kapitanie, sonar zarejestrował silną podwodną eksplozję... namiar dwa-cztery-pięć... Skręcam tam.

–Dobrze. Co się dzieje?

I w tym momencie potężny grzmot targnął nocnym powietrzem. Poleciały szyby i na mostek wdarł się podmuch sprasowanego powietrza.

Głos kapitana utonął w poświście wiatru i chaosie, jaki ogarnął mostek. Oficer wachtowy, miotając się wśród tnącego gradu okruchów szkła i poranionych marynarzy, usiłował przywrócić porządek.

W ślad za pierwszym podmuchaem zrywał się wiatr innego rodzaju, osobliwie nienaturalny wiatr, ciepły i podstępny niczym tajfun, przemiatający ocean, napierający coraz silniej na nadbudówki i instalacje radarowe wielkiego krążownika „Aegis”, przyhamowujący rozpędzoną, 11 000-tonową masę okrętu wojennego.

–Jezu! Co się dzieje? Trzęsienie ziemi?

–Rany, panie kapitanie, ale pierdyknęło! Czuje pan, jak okręt się kiwa? I czemu wiatr skręcił

o całe dwadzieścia stopni? Morze też jakieś dziwne, faluje pod niewłaściwym kątem.

–Niech mnie kule biją... to ci musiało być zaburzenie. Chyba... chwileczkę... – Nie ryzykuj, Art, przemknęło przez myśl kapitanowi. – D o b r a... oficer wachtowy, wariant 1A.

Kapitan został na mostku, a tymczasem na dole, w pomieszczeniu sonaru, operatorzy odtwarzali zapis domniemanej podwodnej erupcji, która nastąpiła przed chwilą kilka mil od okrętu. Nie słyszeli jednak złowróżbnego, przypominającego brzęk szkła odgłosu, który niesie się zawsze echem poprzez głębiny i odciska w pamięci, kiedy tonie wielki okręt. Zastępował go dziwny, przeciągły łoskot, który zamierał z wolna, wypierany przez niesamowitą ciszę. Nikt nie wiedział, co to jest.

To, co spowodowało tajemnicze, niewytłumaczalne zjawisko, wywołało też pewne zamieszanie w Bojowym Centrum Informacji 'USS „Arkansas". Siadła zupełnie łączność. Zgasł wielki, okrągły ekran radaru, który przekazuje obraz rozmieszczenia nawodnych jednostek Grupy Uderzeniowej, i oficer służb zwalczania zagrożeń powietrznych usiłował go ożywić. Ekran wydawał się tym ciemniejszy, że zgasły również wszystkie inne.

Kapitan Barry podszedł do swojego fotela i podniósł słuchawkę radiotelefonu UHF, by poprzez sieć łączności między-okrętowej połączyć się z Bojowym Centrum Informacji lotniskowca. Linia milczała. Flagowy okręt nie odpowiadał. W tle słyhać jednak było zakłócany trzaskami głos z jednej z fregat płynących po zewnętrznej, jakieś siedemdziesiąt mil na południe, wywołujący uparcie lotniskowiec: „Jefferson... tu Kauffman... Kontrola łączności radiowej... Odbiór". Ale „Kauffmanowi" też nikt nie odpowiadał. Art Barry przeszedł na kanał szyfrowany i spróbował wywołać admirałskie centrum operacyjne. Bez powodzenia.

Następnie spróbował się połączyć poprzez kanał otwarty ze swoim kumplem od baseballu, Jackiem Baldrige'em. Jego telefon też milczał. Poprosił łącznościowców o nawiązanie łączności z lotniskowcem poprzez satelitę.

–Mamy poważny problem z łącznością satelitarną, sir... chwilowe trudności ze stabilizacją anteny. Próbujemy od kilku minut... udaje nam się sporadycznie złapać satelitę, ale „Jefferson" się nie odzywa. Wygląda na to, że siadły wszystkie kanały łączności z flagowym.

–Niech ktoś spróbuje wywołać Bojowe Centrum Informacji na „0' Kane". Operuje dzisiaj blisko lotniskowca, parę mil od niego. Powinni coś wiedzieć...

–Robimy to od jakiegoś czasu, sir, ale oni też milczą.

–Okay, to spróbujcie z „Haylerem”. Był jakieś dwadzieścia mil stamtąd, kiedy straciliśmy obraz powierzchni. Wywołajcie kapitana... tak, na otwartym UHF.

–Są, sir! Komandor Freeburg na szyfrowanym.

–Cześć, Chuck... Art Barry z tej strony. Potrafisz mi powiedzieć, co się tu, u licha, wyprawia... nie możemy się połączyć z lotniskowcem, siadła mi większość kanałów komunikacyjnych,,0'Kane " też się nie odzywa... u was to samo...? Jezu...! Kto?... Masz łączność z którąś z naszych łodzi podwodnych? Tak, porządnie rąbnęło... Bóg jeden wie! Idziesz zobaczyć, co się tam stało? Nie... nie rób tego. Zostań na pozycji, utrzymuj dalej ten sam kurs i szybkość. Sam podejść na ostatnie współrzędne „Jeffersona" i rozejrzę się... Na razie wprowadziłem wariant 1A i zaraz włączę liczniki promieniowania... też to lepiej zrób. Dzieje się coś dziwnego... Będę cię informował.

–Uwaga, kapitanie! Idzie fala... w życiu jeszcze takiej nie widziałem...!

Nie przebrzmiał jeszcze krzyk oficera wachtowego, kiedy ocean przed dziobem wybrzuszył się z widmową' powolnością niczym wzbierający wrzód i dwudziestometrowa ściana wody runęła na „Arkansas", zalewając pokład dziobowy, nacierając na wieżę; tysiące ton zielonego żywiołu spadło na działa i wyrzutnie pocisków kierowanych, pochłaniając cały okręt i wdzierając się z rykiem przez wybite okna na mostek.

Ale nowoczesny krążownik wyprostował się szybko i strząsając ocean z pokładów parł dalej w potokach morskiej wody ściekających kaskadami z kabłuba. Oficer wachtowy odprowadzał zdębiałym wzrokiem kolosalną falę, która niczym upiorny walec odtaczała się na północny zachód ku arabskim wybrzeżom.

Następna fala nie była nawet w przybliżeniu tak wielka, ale też zalała okręt, tak samo trzecia. Kolejne fale były coraz mniejsze i widząc, że morze się uspokaja, oficer wachtowy kazał sprawdzić, czy nie zmyło albo nie zdmuchnęło kogoś za burtę.

Upłynęło już dwadzieścia sześć minut od momentu, kiedy zaintrygowany dziwnym błyskiem na południowym horyzoncie zdecydował się powiadomić kapitana. „Arkansas" miał teraz łączność tylko z czterema z dziesięciu nawodnych okrętów wojennych Grupy Uderzeniowej. Wychodziło na to, że obowiązki dowódcy Grupy, przynajmniej do zgłoszenia się lotniskowca, spadają na Arta

Barry'ego. Zdołano już ustalić, że nie ucierpiała żadna z dwóch 4000-tonowych fregat raketowych „Ingraham” i „Kauffman”, to samo 8000-tonowy niszczyciel klasy Spruance „Fife”. Drugi niszczyciel klasy Spruance „Hayler”, podobnie jak „Arkansas” sponiewierany przez wiatr i wzburzone morze, dochodził już do pełnej gotowości bojowej.

Oba okręty podwodne „Batfish” oraz „L. Mendel Rivers” meldowały, że są nieuszkodzone i płyną na głębokości peryskopowej. Ich kapitanowie zamierzali pozostać na dotychczasowych pozycjach, czyli pięćdziesiąt mil, odpowiednio, na wschód i na zachód od dziobu lotniskowca, posuwać się dalej kursem i z szybkością przyjętymi dla formacji oraz utrzymywać stałą łączność.

–Drużyna w porządku – mruknął pod nosem Barry. – Tylko gdzie, u diabła, wcięło kapitana?

Wszyscy zgłaszali to samo tytaniczne podmorskie zaburzenie. Na „Ingrahama” i „Kauffmana” dopiero teraz natarła mniejsza, dwunastometrowa fala. Oba znajdowały się pięćdziesiąt mil od punktu ZULU ZULU (środek Grupy). „Hayler” i „Fife”, które płynęły w odległości dwudziestu pięciu mil od tego punktu, podobnie jak „Arkansas” miały już za sobą konfrontację z falą dwudziestometrową. W odróżnieniu od „Arkansas” „Hayler” przyjął ją na burtę i o mało nie przewrócił się do góry stępką.

Z sześciu brakujących okrętów, z którymi nie udało się jeszcze nawiązać łączności, na ekranie radaru przemiatania powierzchni można się było dopilczyć tylko pięciu. Wszystkie znajdowały się w pobliżu ZULU ZULU. Żaden z nich się nie poruszał, a jeśli nawet, to bardzo powoli. O godzinie 21.45 radar przemiatania powierzchni na „Arkansas” był już w pełni sprawny, dzięki czemu kapitan Barry zyskał lepsze rozeznanie w sytuacji.

Na ekranie swojego radaru miał teraz jak na dłoni dwanaście kontaktów, z czego jeden reprezentował jego okręt. Dwa okręty podwodne i pięć jednostek nawodnych znajdowało się w stosunkowo dobrym stanie; pięć innych, jak dotąd niezidentyfikowanych, utrzymywało się na powierzchni i płynęło wciąż na południowy zachód, ale nie udawało się z nimi nawiązać łączności.

Jednego okrętu brakowało.

O godzinie 21.50 na „Arkansas” rozryczał się pokładowy radiowęzeł: „Alarm radiacyjny! Alarm radiacyjny! Opuścić pokład. Zastosować wariant 1A. Zapoczątkować procedury przed-splukujące. Drużyny odkażające na stanowiska”. Ten oficjalny

rozkaz zakończyło tradycyjne, gromkie: „Bez jaj!” oznaczające w marynarce Stanów Zjednoczonych: bez zadawania zbędnych pytań, natychmiast, na jednej nodze.

Zatrzaśnięto wszystkie włazy, wszystkie okiennice, drzwi wszystkich zewnętrznych grodzi, wszystkie otwory wychodzące na świat zewnętrzny. Dopiero teraz można było bezpiecznie włączyć gazoszczelną wentylację wewnętrzną, dostarczającą świeże powietrze przez specjalne filtry, które odcedzą wszelkie radioaktywne cząstki. System podniósł ciśnienie wewnętrzne nieco powyżej atmosferycznego, co miało zapobiec przedostawaniu się śmiertelnie skażonego powietrza z zewnątrz do środka. Zamknięto wszystkie szyby wentylacyjne.

Okręt, zostawiając za rufą radioaktywną chmurę, parł na południe przez boczny wiatr monsunowy, a drużyny odkazające rozwijały już węże i przystępowały do splukiwania pokładów słoną wodą i ługiem z radioaktywnego opadu po wybuchu jądrowym. Krok w krok za nimi posuwały się drużyny kontrolne dokonujące pomiarów poziomego promieniowania w każdym zakamarku.

O godzinie dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt pięć kapitan Barry mógł sobie wreszcie zrobić przerwę. Potrzebował trochę czasu na ustalenie, co się w ogóle wydarzyło. Najwyraźniej doszło do eksplozji nuklearnej i musiał na gwałt stwierdzić, którego okrętu brakuje. Sześć jednostek nie odpowiadało albo nie mogło odpowiedzieć, a on miał ich na radarze tylko pięć.

Wpatrywał się przez parę minut w ekran, jakby chciał siłą woli wywołać ten szósty, brakujący kontakt pośrodku Grupy. Ale elektronika doby podboju kosmosu nie potrafiła udzielić odpowiedzi na interesujące go pytanie: kogo ubyło? Doszedł w końcu * do wniosku, że trzeba będzie się uciec do tradycyjnej metody „na oko”. Zarządził zmianę kursu.

–Wieża... tu kapitan... ster w lewo, dwa-trzy-pięć... szybkość flankowa... podchodzimy celem nawiązania kontaktu wzrokowego z jednostką Grupy wysuniętą najdalej na północny wschód... jej namiar 6031... może nie mieć zapalonych świateł pozycyjnych... uważać na znaki dawane wizualnymi lampami sygnałowymi.

O godzinie 23.09 kapitan Barry widział już na własne oczy wszystko, co chciał zobaczyć; przepatrując mroczne wody, przebijając wzrokiem ciemności, podchodził do każdej z pięciu jednostek, które wykrywał radar.

Zidentyfikował 49 000-tonowy tankowiec floty „Arctic” z pełnymi zbiornikami. Kilku ludzi z załogi odniosło lekkie obrażenia, siadły radar i łączność, ale poza tym statek był w siedemdziesięciu procentach sprawny. Zlokalizował groźny 9000-tonowy krążownik raketowy klasy Ticonderoga „Port Royal” z dziesięcioma zabitymi i dwudziestoma rannymi na pokładzie. Okręt miał zniszczoną antenę, poważnie uszkodzoną rufę, w tym znajdującą się tam wyrzutnię pocisków kierowanych, oraz przeciek w rejonie hangaru.

Znalazł również jego bliźniaczy okręt USS „Vicksburg”, który szczęśliwie przyjął wielką falę na dziób. Tu poważnie rannych nie było, jednostka nie odniosła również specjalnych uszkodzeń, zniszczeniu uległ tylko system anten. Następny ze zidentyfikowanych „O’Kane”, był pływającym wrakiem, ledwie unosił się na wodzie i czekał na pomoc.

Ostatnim z odnalezionych był niszczyciel klasy Spruance, bliźniak „Haylera” i „O’Bannona”, z wieloma rannymi na pokładzie, których liczby jeszcze nie ustalono. Fala pływowa omal nie przewróciła go do góry stępką. Poważnie uszkodzony, płynął co prawda, ale to wszystko, na co było go stać.

Wstrząśnięty kapitan Barry znowu wpatrywał się w ekran radaru, skupiając wzrok na tym jego fragmencie, gdzie powinien się znajdować lotniskowiec. Radar zakończył znajomy, beznamiętny obrót przemiatający. I nadal nic w miejscu, gdzie znajdował się niedawno potężny okręt wojenny. Próby nawiązania z nim łączności spełzały na niczym. „Thomas Jefferson” zniknął.

Kapitan Barty, jako dowódca drugiego w hierarchii Grupy okrętu, polecił swoim służbom łączności nawiązanie bezpośredniego kontaktu satelitarnego z kwaterą główną Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w Pearl Harbor, z głównodowodzącym sił Pacyfiku, admirałem Gene’em Sadowskim.

Rozmawiali niecałe trzy minuty. Zdania padały zwięzłe, dwaj długoletni oficerowie marynarki porozumiewali się ekonomicznym językiem swej profesji. Zaraz potem admirał Sadowski połączył się za pośrednictwem osobistej linii z Pentagonem. W Waszyngtonie była 13.18 czasu lokalnego, kiedy szef operacji morskich, admirał Scott F. Dunsmore, podnosił słuchawkę telefonu.

–Z przykrością informuję pana, sir – powiedział admirał Sadowski – że w wypadku, który wygląda na wybuch jądrowy, straciliśmy lotniskowiec „Thomas Jefferson”. Wszystko wskazuje na to, że zginęła cała sześćtysięczna załoga znajdująca się na pokładzie.

Obraz radarowy z „Thomasa Jeffersona” uwidaczniający jego pozycję w ramach Grupy Uderzeniowej Lotniskowców 8 lipca 2002 roku.

ROZDZIAŁ TRZECI

*

Poniedziałek, 8 lipca, 13.20

Admirał Scott Dunsmore od czterdziestu lat był oficerem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Służąc na okrętach wojennych zwiedził każdy zakątek globu. Ostatnio dowodził lotniskowcem klasy Nimitz podczas wojny w Zatoce Perskiej, gdzie stawiał czoło pociskom Saddama Husseina.

Swoje obecne stanowisko szefa marynarki wojennej piastował z najwyższą godnością. Wywodził się ze słynnej bostońskiej rodziny bankierskiej i upatrywano w nim następcę obecnego przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów Połączonych.

Jednak wszystkie te lata dowodzenia okrętami wojennymi i flotami, lata zdawania kolejnych egzaminów, uzyskiwania stopni naukowych i dyplomów, lata obracania się wśród najwybitniejszych polityków Ameryki nie przygotowały admirała Dunsmore'a na wstrząs, o jaki przyprawiły go słowa wypowiedziane przed chwilą przez admirała Gene'a Sadowskiego: „Wszystko wskazuje na to, że zginęła cała sześćotysięczna załoga znajdująca się na pokładzie”.

Przez dziesięć, może dwadzieścia sekund nie odzywał się, usiłował pozbierać myśli. Admirał Sadowski, zaniepokojony przedłużającą się ciszą w słuchawce, zaczynał już podejrzewać, że to znowu jakaś awaria łączności. W końcu Dunsmore odchrząknął, ale nie dane mu było jeszcze się odezwać, bo w tym momencie rozległo się energiczne pukanie i do gabinetu wpadł jak bomba jego starszy adiutant, młody komandor porucznik.

–Panie admirale, mam na linii Agencję Bezpieczeństwa Narodowego z Fort Meade, dzwoni Morgan we własnej osobie, na Morzu Arabskim wynikł poważny problem. Muszę z panem koniecznie pomówić. Mam przełączyć tę rozmowę do kogoś innego?

86

–Nie teraz – odparł admirał. – Powiedz admirałowi Morganowi, że oddzwonimy do niego, jak tylko załatwię ten telefon. – Dopiero w tym momencie po raz pierwszy zwrócił się do czekającego cierpliwie po drugiej stronie linii admirała Sadowskiego: – Na ile pewna jest ta informacja, admirale?

–Nie zawracałbym panu głowy, gdyby nie była pewna na sto procent, sir. „Arkansas”, jeden z krążowników rakietowych, udał się w rejon ostatniej znanej pozycji lotniskowca.

Zdecydował się na to, ponieważ na ekranie radaru w swym Bojowym Centrum Informacji obserwowali pięć kontaktów, a powinno być sześć. Odnalazł i zidentyfikował pięć okrętów, z

których wszystkie ucierpiały zdecydowanie wskutek wybuchu jądrowego. Zarejestrowano tam również duży opad radioaktywny.

Kapitan Barry z „Arkansas” porównał już swoje ustalenia z ustaleniami poczynionymi przez inne jednostki Grupy Uderzeniowej. Wszystkie są identyczne. „Thomas Jefferson” znikł, a rejon, w którym się ostatnio znajdował, jest silnie skażony radioaktywnie. Nie zaobserwowano śladu szczątków, ale operatorów sonarów bardzo zaniepokoiła silna eksplozja, która nastąpiła o godzinie dwudziestej pierwszej trzy. Na innych jednostkach też są zabici, w sumie dwudziestu do trzydziestu ludzi. Ale to tyle co nic w porównaniu z liczbą ofiar, jaką pociągnęła za sobą katastrofa lotniskowca.

– Tak. W dolinę śmierci odeszło sześć tysięcy – stwierdził admirał z nutką pogardy w głosie, sugerującą, że winą za tę tragedię obarcza głównodowodzącego sił Pacyfiku.

Gene Sadowski nie okazał cienia wzburzenia.

– Tak, sir – odparł, tłumiąc żal po stracie kilku osobistych przyjaciół. – Na to wygląda.

Admirał Dunsmore nie dosłuchał się w jego głosie szoku. Nie znali się przecież osobiście i mieli różne priorytety. Rezydującego w Waszyngtonie szefa marynarki wojennej czekały teraz najprzykrzejsze obowiązki, jakie mogą przypaść w udziale dowódcy w okresie pokoju – za trzydzieści minut musi stanąć przed przewodniczącym Kolegium Szefów Sztabów, a potem, prawdopodobnie, przed prezydentem Stanów Zjednoczonych. Każdemu z nich będzie musiał wyjaśnić, jak to się stało, że dowodzona przezeń marynarka straciła ponaddwukrotnie więcej oficerów i marynarzy służby czynnej, niż zginęło ich 7 grudnia 1941 roku w Pearl Harbor.

– Dziękuję, admirale – burknął. – Wdzięczny jestem za szybkie powiadomienie i prywatność pańskiego telefonu. Proszę czekać na

dalsze instrukcje. Niech Grupa Uderzeniowa zerwie całą łączność ze światem zewnętrznym, pozostawiając tylko kanały komunikacji z jednostkami floty oraz z kwaterą główną w Pearl Harbor. I dziękuję jeszcze raz za rzeczowość pańskiego meldunku.

Jasna cholera! – krzyknął, odłożywszy słuchawkę.

Wdusił przycisk interkomu, wzywając z powrotem do gabinetu komandora porucznika Jaya Bamberga. Młody oficer poruszał się z szybkością, jakiej admirał jeszcze u niego nie widział. W dwóch «susach pokonał odległość dzielącą drzwi od biurka i wyrzucił z siebie mrozącą krew w żyłach, lecz zdezaktualizowaną już sensacyjną wiadomość sprzed czterech minut, że admirał Morgan z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego „daje sobie głowę uciąć, że w wybuchu jądrowym, do jakiego doszło gdzieś na północnej połówce Morza Arabskiego, straciliśmy duży okręt wojenny”.

Jay Bamberg był wyraźnie wstrząśnięty.

–Morgan ma dowód w postaci przekazu satelitarnego – ciągnął. – Odebrali go z jednego z satelitów KH-11, który po tej ostatniej panice nadal fotografuje wszystkie podejścia do Zatoki. Mają wyraźne zdjęcie dokumentujące gwałtowny wzrost temperatury wody w samym środku Grupy Uderzeniowej „Thomasa Jeffersona”, którego przyczyną mogła być tylko próba jądrowa. Obawia się, że mogliśmy stracić lotniskowiec. Mówi, że nie przychodzi mu do głowy żadne inne wytłumaczenie tak potężnej eksplozji. Prosi, żeby pan natychmiast do niego oddzwonił. Ma nadzieję, że będzie iniał dla pana więcej informacji. Jezu Chryste! Dajesz wiarę?!... Eee... przepraszam, daje pan wiarę, sir?

Admirał Dunsmore pokręcił głową i odparł z rezygnacją:

–Dzwonił do mnie właśnie głównodowodzący sił Pacyfiku. Straciliśmy lotniskowiec, prawie na pewno w wypadku z bronią jądrową. Podobno nikt nie przeżył.

–Boże święty, sir.

–Tak. Boże święty... Połącz się teraz z admirałem Morganem... a potem z głównodowodzącym sił Pacyfiku. Powiedz Morganowi, że już wiemy, i zapytaj, czy mają jakieś konkrety. Zasugeruj mu też, żeby skontaktował się bezpośrednio z admirałem Sadowskim, a mnie umów za dziesięć minut z przewodniczącym. Zaznacz, że to sprawa najwyższej wagi.

Komandor porucznik Bamberg wybiegł z gabinetu, a admirał Dunsmore podjął walkę z własną wyobraźnią podsuwającą mu uparcie wizję amerykańskiego lotniskowca z sześcioma tysiącami

najlepszych synów narodu na pokładzie, który wyparowuje w jednej chwili o dziesięć tysięcy mil morskich od domu. Koncentrowanie się na konkretnych osobach fatalnie wpływa na ogólny przegląd sytuacji, ale poświęcił moment na wspomnienie znajomych. Nie mógł uwierzyć, że nigdy już nie zobaczy Zacka Carsona ani pogodzić się z myślą, że zginął Jack Baldrige.

Wstał, przeszedł w drugi koniec gabinetu, włożył marynarkę i przez kilka minut spacerował nerwowo tam i z powrotem. Z zadumy wyrwało go pukanie do drzwi. Do gabinetu wsunął głowę Jay Bamberg.

–Przewodniczący już na pana czeka – oznajmił cichym głosem.

Scott Dunsmore rzadko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, z takim

ociąganiem udawał się na spotkanie.

–Chodź ze mną – mruknął do Bamberga.

Wyszli razem na korytarz siódmy, skręcili w lewo i minawszy salutującego młodego marynarza na warcie, znaleźli się w Pierścieniu E, szerokiej, zewnętrznej obwodnicy Pentagonu, przy której mieszczą się naczelne dowództwa wszystkich trzech rodzajów sił zbrojnych – armii lądowej na trzecim poziomie, marynarki i sił powietrznych na czwartym. Gabinet przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów Połączonych znajduje się na poziomie drugim, bezpośrednio pod gabinetem sekretarza obrony. Każdy z pięciu korytarzy obiegających po zewnętrznej Pentagon na wszystkich pięciu poziomach liczy sobie ponad trzysta metrów długości. Ten największy na świecie biurowiec ma w sumie ponad dwadzieścia pięć kilometrów korytarzy, a kubaturą bije na głowę nowojorski Empire State Building.

W tym monstrualnym wojskowym labiryncie nie ma podobno dwóch takich punktów, które leżałyby o więcej niż siedem minut drogi od siebie. Admirał Dunsmore nie miałby teraz nic przeciwko temu, gdyby to było siedem godzin. Krótka podróż windą na dół, jeszcze parę kroków i w jego odczuciu nie upłynęło nawet siedem sekund, kiedy stał już w sekretariacie biura najwyższej figury w amerykańskich siłach zbrojnych, zwalistego, pięciogwiazdkowego generała, który tu gospodarzył, pięćdziesięcioletniego Josha R. Paula z Nowego Jorku, weterana z Wietnamu, dowódcy czołgu z wojny w Zatoce, najlepszego chyba pomocnika w dziejach futbolowej reprezentacji West Point.

–Nie powiem, żeby mi się uśmiechało tam wchodzić – mruknął admirał Dunsmore do Jaya Bamberga, nie spoglądając jednak

na niego. – Zaczekaj tutaj, dobrze? Może będą mi potrzebne posiłki.

–Dzień dobry, admirale – przywitał go przewodniczący. – Siadajcie. Może kawy? Dla siebie już zamówiłem. – Uśmiechnął się pogodnie. Jego niebieskie oczy popatrujące sponad oprawek okularów do czytania zauważyły natychmiast wyraz niemaskowanego zatroskania na spokojnej zazwyczaj twarzy wysokiego, pa-trycjuszowskiego szefa Marynarki Wojennej. – Co się stało?

–No więc, sir, może na wstępie proponuję, żebyśmy obaj wzięli na poważnie pod rozwagę ewentualność zmiany tego zamówienia z dwóch filiżanek kawy na butelkę brandy.

–O cholera. Jakaś afera?

–Afera, i to poważna, sir. Jestem niemal pewien, że wcięło nam lotniskowiec.

–No to pogońcie swoich chłopców do roboty, admirale. Niech go szybko szukają.

–Nie w tym rzecz, sir. Ja mówię o totalnym zniszczeniu lotniskowca marynarki Stanów Zjednoczonych z sześcioma tysiącami ludzi na pokładzie. Wypadek z bronią nuklearną na Morzu Arabskim.

General Josh Paul zacisnął zęby i wciągnął ze świstem powietrze w płuca.

–Jezus, Maria! Żartujecie. Nie wierzę. Siedzicie tu sobie spokojnie i wmawiacie mi, że stoimy wobec największego w dziejach Ameryki kryzysu okresu pokoju? Jesteście pewni, że jako szefowie Sztabów Połączonych nie śnimy tu czegoś w rodzaju Połączonego Sennego Majaku?

–Czy ja wyglądam na takiego, co majaczy przez sen, sir?

–Nie, Scott – przyznał łagodnie general Paul. – Nie wyglądacie. Wyglądacie mi na takiego, cholera, co ducha przed chwilą zobaczył.

–Sześć tysięcy duchów, jeśli chodzi o ścisłość, sir.

–Jezu...! Okay. A teraz spokojnie i po kolei.

–Dobrze, sir. Stutysięcznotonowy lotniskowiec „Thomas Jefferson” pełni służbę patrolową na Morzu Arabskim i znajduje się jakieś czterysta mil na południowy wschód od cieśniny Ormuz. Otacza go luźną formacją jego Grupa Uderzeniowa, no wie pan, krążowniki, niszczyciele, pół tuzina fregat, dwa okręty podwodne. Że nie wspomnę o lotnictwie. W sumie około osiemdziesięciu czterech samolotów na pokładzie i w hangarach.

W pewnej chwili z okrętów Grupy zaobserwowany zostaje potężny rozbłysk za horyzontem. Gdyby nie dyskryminatory poziomu głośności, operatorom sonarów na wszystkich jednostkach floty popękałyby bębenki w uszach. Przewala się seria wielkich fal, które omal nie zatapiają czterech okrętów, spore szkody wyrządza podmuch, przerwaniu ulega łączność i po dwudziestu minutach, góra po pół godzinie, dla dowódców dwóch dużych okrętów wojennych płynących na zewnątrz formacji nie ulega już wątpliwości, że lotniskowiec zniknął.

Łączności nie ma. Uruchomione zostają na powrót systemy radarowe, ale okręt flagowy jakby się pod ziemię zapadł. A wiatr niesie chmurę radioaktywną. Głównodowodzący sił Pacyfiku odbiera meldunek od kapitana Barry'ego z „Arkansas”. Barry to najstarszy stażem kapitan w Grupie. Przeszukał osobiście rejon, w którym znajdował się ostatnio lotniskowiec, i przejął teraz dowodzenie. Stopień pewności określa na sto procent. Admirał Morgan z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego ma zdjęcie satelitarne z zarejestrowanym wzrostem temperatury wody, który wywołać mogła tylko próba jądrowa.

–Chyba nie muszę pytać, czy lotniskowiec miał na pokładzie broń jądrową?

–Nie, sir. Nie musi pan.

–Okay. Niech pan wraca teraz do siebie i zaczyna gromadzić wszystkie informacje, jakie napłyną przez najbliższe dziesięć minut. Ja skontaktuję się z Białym Domem i zażądam natychmiastowego spotkania w cztery oczy z prezydentem. On sam zadecyduje, czy zaprosić na nie jeszcze kogoś. Intuicja mi podpowiada, że im mniej osób się o tym dowie w ciągu najbliższych dwóch godzin, tym lepiej. Za piętnaście minut proszę z powrotem do mnie. Zjedziemy moją windą, na dole będzie już czekał samochód.

–To ja mam z panem jechać, sir? – spytał z wyraźnym brakiem entuzjazmu admirał Dunsmore.

–Chyba nie sądzicie, że będę to załatwiał w pojedynkę? – odparował zgryźliwie przewodniczący. – Poza tym prezydenta na pewno trafi szlag. Wolałbym, żeby wyładował swoją furję na nas dwóch, a nie tylko na mnie.

–Tak, oczywiście, rozumiem – mruknął admirał. – Czeka go wygłoszenie orędzia do narodu. Nie będzie tym zachwycony. Kiedy chce pan poinformować prasę?

–To ustalimy z Białym Domem, a prasę w y poinformujecie.

–Tego się właśnie obawiałem, sir.

–To naprawdę ciężka przeprawa z gatunku tych, których w miarę możliwości zawsze staram się unikać. Niech się pan trzyma, admirale. Po tak wzburzonych wodach, na jakie teraz wchodzimy, żaden z nas jeszcze nie żeglował.

Pryncypialna poniekąd natura tej rozmowy wpłynęła na admirała mobilizująco. Ponury, odległy, nierealny wypadek gdzieś tam t na morzu wykrystalizował się gwałtownie w wyrazisty, namacalny koszmar wymagający pilnie zdecydowanych działań. Musi wyjaśnić okoliczności katastrofy; musi przedstawić sytuację prezydentowi Stanów Zjednoczonych w formie klarownej, rzeczowej, a przede wszystkim możliwej do przyjęcia. Dla pełnosprawnego intelektu nie ma rzeczy niemożliwych, wmawiał sobie.

–Ale, Boże, miej mnie w swej opiece, jeśli nie podołam -powiedział głośno. – Bo jak coś schrząnę, to prezydent powiesi mnie nie powiem za co, a może jeszcze gorzej. W sześć minut po wydaniu oświadczenia ludzie zaczną się domagać, żeby marynarce zabroniono wozić się po świecie z taką szokującą, samoniszczącą bronią.

Szef operacji morskich i komandor porucznik Bamberg udali się z powrotem na czwarty poziom gmachu, unosząc ze sobą monstrualną tajemnicę, która miała wkrótce sprowokować media do zadawania strasznych pytań, których tak chronicznie nie cierpią szefowie służb'... *

„Czy tego wypadku można było uniknąć?”... „Czy wielkie lotniskowce powinny być wyposażane w tego rodzaju broń?”... „Czy w ogóle taka broń powinna być w wyposażeniu sił zbrojnych?”... „Dlaczego nadal to robimy, skoro zmalowało zagrożenie atomowe ze strony Rosji?”... „Czy nie przed takimi właśnie wypadkami ostrzega od trzydziestu lat lobby antynuklearne?”... „Czy ma pan predyspozycje do rządzenia tym krajem?”... „Czy Pentagonu nie należałoby rozwiązać, skoro wszyscy tam są najwyraźniej stuknięci?”

Ale na stawienie czoła najważniejszemu pytaniu admirał nie był jeszcze gotowy. Ze zgrozą myślał o czekającej go konferencji prasowej, która prawie na pewno zwołana zostanie w Białym Domu. Ale pocieszała go świadomość, że prezydent będzie miał tego wieczoru o wiele większe zmartwienie.

Znalazłszy się z powrotem w swoim gabinecie, kazał Jayowi Bambergowi połączyć się ponownie z Gene'em Sadowskim, a sam

zadzwoił tymczasem do admirała Morgana z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Szef wywiadu był spokojny i opanowany; doradził szefowi operacji morskich jak najszybsze wydanie publicznego oświadczenia. Miał już telefon od szefa wywiadu morskiego Rosji i udał, że o niczym nie wie. Ale jego zdaniem w ciągu najbliższych dziewięćdziesięciu minut trzeba coś oficjalnie powiedzieć, bo zrobi to za nich ktoś inny.

Admirał Dunsmore szybko zakończył tę rozmowę, bo na linii czekał już głównodowodzący sił Pacyfiku. Gene Sadowski niewiele miał do dodania. Nadal było ciemno choć oko wykol i pogoda wciąż się pogarszała. Fregaty wołały nie ryzykować ponownego wchodzenia w skażony rejon „ostatniej znanej” pozycji. Nie było już wątpliwości co do losu „Thomasa Jeffersona”. Wielki lotniskowiec wyparował w nuklearnej kuli ognia, której oślepiającą jasność przytłumiły nieco niska pokrywa chmur, mgła i deszcz przykrywające Morze Arabskie w lipcu i sierpniu, kiedy to z południowego zachodu wieją monsuny.

Scott Dunsmore, zmobilizowawszy ostatnie, rezerwy samokontroli, kazał komandorowi porucznikowi Bambergowi połączyć się jeszcze raz z głównodowodzącym sił Pacyfiku, admirałem Sadowskim, i przekazać mu swoją opinię, w myśl której osierocona Grupa Uderzeniowa „Thomasa Jeffersona” powinna wrócić na Diego Garcia, przegrupować się tam, przeprowadzić najniezbędniejsze remonty i jak najszybciej skierować do swojego portu macierzystego, czyli do San Diego.

Potem wyszedł na szeroki korytarz Pierścienia E, udając się * na spotkanie, które w jego odczuciu mogło potencjalnie zapoczątkować zdradliwy, podyktowany politycznymi względami proces redukcji siły ognia Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych... siły ognia, która, poczynając od wprowadzenia pierwszych okrętów podwodnych Polaris aż po współczesną erę Tridentów i grup uderzeniowych lotniskowców, systematycznie rosła. Nikt z tłumów przewalających się Pierścieniem E nie zauważył, jak admirał rękawem granatowej marynarki mundurowej ociera ogorzałą twarz.

Generał Paul czekał już na Dunsmore'a w swoim gabinecie na drugim poziomie. Obaj szefowie w towarzystwie dwóch adiutantów zjechali windą do garażu w podziemiach Pentagonu. Samochód sztabowy stał cztery kroki od drzwi. Ledwie generał Paul i admirał Dunsmore zajęli w nim miejsca, wojskowy kierowca, pouczony, że

zadzwoił tymczasem do admirała Morgana z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Szef wywiadu był spokojny i opanowany; doradził szefowi operacji morskich jak najszybsze wydanie publicznego oświadczenia. Miał już telefon od szefa wywiadu morskiego Rosji i udał, że o niczym nie wie. Ale jego zdaniem w ciągu najbliższych dziewięćdziesięciu minut trzeba coś oficjalnie powiedzieć, bo zrobi to za nich ktoś inny.

Admirał Dunsmore szybko zakończył tę rozmowę, bo na linii czekał już głównodowodzący sił Pacyfiku. Gene Sadowski niewiele miał do dodania. Nadal było ciemno choć oko wykol i pogoda wciąż się pogarszała. Fregaty wołały nie ryzykować ponownego wchodzenia w skażony rejon „ostatniej znanej” pozycji. Nie było już wątpliwości co do losu „Thomasa Jeffersona”. Wielki lotniskowiec wyparował w nuklearnej kuli ognia, której oślepiającą jasność przytłumiły nieco niska pokrywa chmur, mgła i deszcz przykrywające Morze Arabskie w lipcu i sierpniu, kiedy to z południowego zachodu wieją monsuny.

Scott Dunsmore, zmobilizowawszy ostatnie rezerwy samokontroli, kazał komandorowi porucznikowi Bambergowi połączyć się jeszcze raz z głównodowodzącym sił Pacyfiku, admirałem Sadowskim, i przekazać mu swoją opinię, w myśl której osierocona Grupa Uderzeniowa „Thomasa Jeffersona” powinna wrócić na Diego Garcia, przegrupować się tam, przeprowadzić najniezbędniejsze remonty i jak najszybciej skierować do swojego portu macierzystego, czyli do San Diego.

Potem wyszedł na szeroki korytarz Pierścienia E, udając się na spotkanie, które w jego odczuciu mogło potencjalnie zapoczątkować zdradliwy, podyktowany politycznymi względami proces redukcji siły ognia Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych... siły ognia, która, poczynając od wprowadzenia pierwszych okrętów podwodnych Polaris aż po współczesną erę Tridentów i grup uderzeniowych lotniskowców, systematycznie rosła. Nikt z tłumów przewalających się Pierścieniem E nie zauważył, jak admirał rękawem granatowej marynarki mundurowej ociera ogorzałą twarz.

Generał Paul czekał już na Dunsmore'a w swoim gabinecie na drugim poziomie. Obaj szefowie w towarzystwie dwóch adiutantów zjechali windą do garażu w podziemiach Pentagonu. Samochód sztabowy stał cztery kroki od drzwi. Ledwie generał Paul i admirał Dunsmore zajęli w nim miejsca, wojskowy kierowca, pouczony, że

sprawa jest pilna, ruszył z piskiem opon i klimatyzowany wóz wyprysnął w wilgotną duchotę waszyngtońskiego letniego popołudnia, kierując się ku drodze 1-395.

–Powiedzieli już prezydentowi, co się stało? – spytał admirał.

–Nie. Wywołałem go z jakiegoś spotkania w sali posiedzeń i powiadomiłem, że wybieram się do niego w sprawie o tak doniosłych konsekwencjach, że wolę o niej nie wspominać przez telefon, bo nie ufam nawet centralce Białego Domu.

Wicie, jak on szybko kontaktuje. Powiedział tylko: „Świetnie. Przyjeżdżajcie. Czekam. Czy odwołać zaplanowane spotkania?” Poradziłem mu, żeby zarezerwował sobie czas na co najmniej dwie godziny. A właściwie powinienem był powiedzieć, że na dwa miesiące albo i lata.

–Czy na tego rodzaju spotkania umawia się pan za pośrednictwem szefa personelu Białego Domu?

–Nie. Za tego prezydenta założono bezpośrednią linię, przez którą przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów może się łączyć ze zwierzchnikiem sił zbrojnych. Odebrał ktoś inny, a ja tylko powiedziałem: „Mówi przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów z Pentagonu. Chcę rozmawiać z prezydentem w niecierpiącej zwłoki sprawie. Natychmiast”. To wystarczy. Po siedmiu sekundach był już przy aparacie. ‹.

Samochód sztabowy przeciął Potomak, z piskiem opon skręcił z 395 w zjazd na Maine Avenue, pomknął brzegiem na północ, a potem skręcił ostro w prawo, w krótką, szeroką aleję, która mija Mail, pomnik Waszyngtona, a następnie krzyżuje się z Constitution Avenue.

Kiedy kluczyli już między rządowymi budynkami, admirał Dunsmore zadał dwa pytania naraz:

–Przyjmie nas sam? Kto zaczyna?

–Będzie sam. Przynajmniej na początku. A zagaję ja. Potem przekażę pałeczkę w wasze niezawodne ręce.

–A gdzie pan będzie w trakcie składania przeze mnie wyjaśnień?

–Przykro mi to mówić, ale obok was.

–Zbliżamy się do wjazdu od West Executive Avenue, sir -oznajmił kierowca, przyhamowując.

Widać było na pierwszy rzut oka, że są oczekiwani. Wartownik przy bramie machnął tylko ręką na znak, że mają przejeżdżać, a w drzwiach agencji Secret Service wydali im natychmiast przepustki.

Eskortowani przez ochronę pomaszrowali prosto do zachodniego skrzydła, w jego południowo-zachodni róg, do Gabinetu Owalnego. Starszy agent zapukał tylko raz i otworzył drzwi. On i jego koledzy weszli do środka pierwsi, generał z admirałem za nimi. Prezydent podniósł się z za biurka, głową dał znak agentom, że mają poczekać na zewnątrz, wymienił uroczyste uściski dłoni z gośćmi – których obu dobrze znał – i zaprosił ich do zajęcia miejsc w dwóch solidnych fotelach stojących przed biurkiem.

Admirał zerknął przelotnie na portret generała Waszyngtona, przyjrzał się z podziwem pięknie rzeźbionemu łukowi nad półkami na książki i przeniósł wzrok na zalany słońcem południowy trawnik przed Białym Domem. Słyszał głos generała Paula:

–Panie prezydencie, mam smutny obowiązek poinformować pana, że przed trzema godzinami, w jakiegoś rodzaju wypadku z bronią jądrową na Morzu Arabskim, straciliśmy lotniskowiec Stanów Zjednoczonych. Na pokładzie było sześć tysięcy ludzi i wszystko wskazuje na to, że nikt nie ocalał.

Prezydent zawahał się, przytłoczony ciężarem tych słów.

–Czy na pewno nie ma mowy o jakiejś pomyłce, generale?

–Na pewno, sir.

–Boże wszechmogący! Sześć tysięcy zabitych? Poległo sześć tysięcy amerykańskich marynarzy? Jak mogło do tego dojść?

–Sam chciałbym wiedzieć, panie prezydencie. Ale od Morza Arabskiego dzieli nas całe dziesięć tysięcy mil. Nikt jak dotąd nie zginął w wypadku z bronią jądrową. Po prostu nie potrafię tego wyjaśnić. Może admirał Dunsmore będzie w stanie lepiej ode mnie naświetlić sytuację.

–Okay. Okay. Zachowujmy na razie spokój, choć czas pogania i przed upływem dwudziestu czterech godzin Stany Zjednoczone staną się obiektem z jednej strony – kpin, z drugiej – współczucia całego świata. No, Scott, świta ci coś? Masz jakąś hipotezę? Jakies domysły? Potrafisz mi opowiedzieć pokrótce, co się właściwie stało? Musimy chyba szybko przygotować jakieś oświadczenie. Ale najpierw wprowadźcie mnie w temat. Potem znajdę kogoś do pomocy.

Admirał zrelacjonował zwięźle fakty – pozycja „Thomasa Jeffersona” i reszty Grupy Uderzeniowej, nagła podwodna erupcja, opad radioaktywny, brak sonarowego potwierdzenia tonięcia dużego okrętu. Nagłe niewytłumaczalne zniknięcie lotniskowca.

Druzgocący, nieuchronny wniosek, że USS „Thomas Jefferson” wyparował w wyniku jakiejś nuklearnej katastrofy.

Wielki Oklahomczyk siedział przez chwilę nieruchomo za prezydenckim biurkiem, podpierając rękami brodę.

–Kto był oficerem flagowym? – zapytał znienacka.

–Zack Carson, sir.

–Tego się obawiałem usłyszeć – powiedział Prezydent. – Pochodzimy obaj z tej samej części świata.

Dla obu oficerów nie było to nowiną. Cała Ameryka wiedziała, że Prezydent urodził się i wychował w prowincjonalnym, położonym blisko granicy z Kansas miasteczku Panhandle w Oklahomie, gdzie jego rodzina hodowała bydło. Potem zrobił oszalamiającą karierę akademicką na wydziale prawa uniwersytetu Har-varda.

–Jestem zdania, panie prezydencie, że wobec skali tej narodowej katastrofy orędzie powinno zostać ogłoszone stąd. Proponowałbym, żeby szef operacji morskich złożył za czterdzieści pięć minut formalne oświadczenie przed dziennikarzami akredytowanymi przy Białym Domu. A wieczorem, około dwudziestej pierwszej albo nawet wcześniej, do narodu zwróci się pan.

–Zgadza się – zdecydował Prezydent. – Ale mam jedno pytanie. Jesteście, panowie, pewni, że to był wypadek?

Admirał Dunsmore drgnął, zaskoczony bezpośredniością pytania, które wcześniej czy później musiało paść. Zwlekał chwilę z odpowiedzią, wpatrując się w sztandary piechoty morskiej, marynarki wojennej i sił powietrznych stojące przy wysokich oknach gabinetu.

–Nie, sir – przyznał w końcu. – Tego nie możemy być pewni. Na tym etapie nikt nie może. Nie da się wykluczyć, że mamy do czynienia z atakiem ze strony niezidentyfikowanego nieprzyjaciela. Nie da się również wykluczyć aktu sabotażu. Dopóki jednak nie jesteśmy w posiadaniu żadnych dowodów na poparcie tej hipotezy, sir, nie widzę powodu rozbudzania podobnymi spekulacjami niezdrowych emocji.

Prezydent zamyślił się.

–Tak źle i tak niedobrze – mruknął w końcu. – Wypadek sugeruje niski stan wyszkolenia na naszych okrętach, a tego za wszelką cenę chciałbym uniknąć. Uwieńczony sukcesem atak na amerykański lotniskowiec, przeprowadzony być może przez gościa okutanego w samo prześcieradło, wprawiłby świat w wielką kon-

sternację, może nawet wywołałby panikę. Cała pieprzona liberalna prasa piałaby z zachwytu. Nie da się ukryć, panowie, stoimy przed wyborem mniejszego zła. A obojętne, z której strony na to spojrzeć, marynarka daje plamę.

–Ja postrzegam to tak – wtrącił się do dialogu marynarka-pre-zydent generał Paul. – Jeśli ten okręt rzeczywiście został zaatakowany, to pewnie z czasem znajdziemy na to dowody. Jednak na obecnym etapie nie widzę żadnej potrzeby podsuwania takiego wyjaśnienia prasie i opinii publicznej. I bez tego wybuchnie wielka żałoba, zaczniesz szukać winnego, posypią szyderstwa i kpiny. Po co do tego i tak już zagmatwanego równania dorzucać jeszcze podkopanie poczucia bezpieczeństwa publicznego?

–Jestem tego samego zdania – powiedział admirał Dunsmore. – Dostyc mamy na głowie. Sądzę, że w oficjalnym oświadczeniu należy użyć sformułowania „tragiczny wypadek na jednym z naszych lotniskowców”, choć mam uzasadnione wątpliwości, czy rzeczywiście był to wypadek. Niczego nie zyskamy sugerując, że jacyś niezidentyfikowani osobnicy nieustalonej narodowości zaatakowali Grupę Uderzeniową Stanów Zjednoczonych, zatapiając wart miliard dolarów lotniskowiec. Boże, jeśli człowiek nie jest już bezpieczny na pokładzie lotniskowca, chronionego przez własne szturmowo-przechwytyjące lotnictwo, krążowniki rakietowe i dwa atomowe okręty podwodne, to gdzie, u licha, można się czuć bezpiecznym?

–Z ust mi to wyjmujecie, panowie – podchwycił Prezydent. A potem z krzywym uśmiechem dorzucił: – Chyba wybaczyście mi, że wyszedłem z tak nieprawdopodobnym pomysłem?

Scott Dunsmore skinął łaskawie głową, ale w duchu pomyślał: „Po każdej wizycie u ciebie coraz lepiej rozumiem, dlaczego za- * siadasz w tym fotelu. Gdybyś służył w marynarce, zajmowałbyś mój. Albo, co bardziej prawdopodobne, generała”.

W pół godziny później personel Białego Domu rzucił się w wir przygotowań do konferencji prasowej. Generał Paul i admirał Dunsmore przeszli z sekretarzem prasowym, Dickiem Staffordem, oraz dwoma pisarzami do starej Sali Sytuacyjnej prezydenta Reagana, mieszczącej się w podziemiach zachodniego skrzydła.

Generał zajął się przygotowaniem i redakcją tekstu oświadczenia, natomiast admirał Dunsmore podszedł do stojącego w kącie telefonu i połączywszy się poprzez otwartą linię z Pentagonem zarządził naradę wyższych oficerów marynarki u siebie, na czwar-

tym poziomie, o godzinie dwudziestej drugiej, czyli zaraz po wygłoszeniu przez Prezydenta orędzia do narodu.

Odpowiedzialnym za organizację tego spotkania wyznaczył swojego zastępcę, admirała Freddie'ego Robertsa, i w bazie marynarki wojennej w San Diego służbowy odrzutowiec tankował już paliwo przed lotem do Waszyngtonu. Miał zabrać na pokład głównodowodzącego Floty Pacyfiku, dowódcę morskich sił nawodnych (na Pacyfiku oraz dowódcę sił morskich Stanów Zjednoczonych (Dowództwo Centralne i Środkowy Wschód), który przebywał akurat w San Diego. Po drodze miał się do nich jeszcze dosiąść dowódca kosmicznych i morskich systemów bojowych, który bawił akurat w Dallas z wizytą w pewnej firmie elektronicznej.

Admirał Dunsmore zażyczył też sobie obecności na naradzie admirała Morgana oraz młodego komandora porucznika z wywiadu marynarki wojennej, najlepszego eksperta od broni nuklearnej, brata jednego z oficerów z nieszczęsnego lotniskowca, Billa Baldrige'a. Podczas gdy w Białym Domu narastał monstrualny kryzys morski, ten ostatni pędził sto dwadzieścia kilometrów na godzinę swoim fordem mustangiem rocznik 1991 szeroką Suitland Parkway, gawędząc przez telefon komórkowy z kruczowłosą żoną senatora ze Środkowego Zachodu notorycznie zaniedbywaną przez męża.

–Nie, nie wiem jeszcze o co chodzi, ale zaczyna się dopiero o dziesiątej wieczorem. Możemy się umówić o wpół do trzeciej w Watergate. Mam jeszcze klucz. Tak, wiem, że jest na Hawajach, wyczytałem w gazecie.

Tymczasem Prezydent konferował w Gabinetcie Ovalnym ze swoim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego Samem Haynesem, szefem personelu Białego Domu Louistem Fallonem, oraz z sekretarzem obrony, który przyleciał właśnie helikopterem z Norfolk w Wirginii. Debatowano, jak zdjąć wszelką odpowiedzialność z Prezydenta, jak wybronić marynarkę i co zrobić, żeby nie było podstaw do porównywania politycznej stolicy kraju z mrowiskiem, w które ktoś wetknął kij.

Natomiast zaafierowany Dick Stafford kursował między Salą Sytuacyjną a Gabinetem Ovalnym, łamiąc sobie głowę nad okrągłymi, wyważonymi frazami, które byłyby w stanie spacyfikować zażarty szturm, jaki bez wątplenia przypuści prasa na przedstawicieli marynarki i urząd prezydenta.

Przemówienie pisane dla admirała Dunsmore'a było z tych dwóch o wiele łatwiejsze i o szesnastej trzydzięci admirał stanął przed nabitą do ostatniego miejsca salą prasową Białego Domu, by je odczytać:

–Przypadł mi w udziale smutny i niewdzięczny obowiązek powiadomienia państwa o zatonięciu lotniskowca Stanów Zjednoczonych „Thomas Jefferson” ... – zaczął.

Oświadczenie kończyło się słowami: „Na pokładzie było sześć tysięcy osób. Nikt nie ocalał”.

Przez dobre dziesięć sekund na sali panowała napięta cisza, jakby nikt nie dawał wiary tej paraliżującej wiadomości. Potem rozpętało się pandemonium rejestrowalne niemal w skali Richtera. Wszyscy obecni na sali dziennikarze, a było ich dwustu, wymachując notesami i mikrofonami, zerwali się jednocześnie na nogi, żądni bliższych informacji.

Admirał Dunsmore roztropnie uchylał się od odpowiadania na grad pytań wyrzaskiwanych ze wszystkich stron naraz.

–Kiedy to się dokładnie stało?

–Kiedy otrzymamy listę ofiar?

–Skąd wiadomo, że nikt nie ocalał?

–Czy to największa katastrofa okresu pokoju w wojskowej historii Stanów Zjednoczonych?

–Czy szef marynarki wojennej poda się do dymisji?

Pracownicy Białego Domu otoczyli natychmiast admirała żywym murem, a sekretarz prasowy zaczął apelować o spokój.

–Panowie... Panowie! To dzień wielkiej trage-d i i... Proszę! Postarajcie się zachowywać stosownie do okoliczności

Za późno. To nie była już konferencja prasowa. To było żerowisko: rekiny mediów zwęszyły zapach krwi. Wszystko jedno czyjej. Opadły biednego admirała Dunsmore'a niczym zmartwychwstałego Adolfa Hitlera. Błyskały flesze, fotoreporterzy walczyli łokciami i kolanami o miejsca dogodne do sfotografowania zdruzgotanego szefa operacji morskich. Nawoływania sekretarza prasowego tonęły w ogólnym tumultcie, który opadł nieco dopiero wówczas, kiedy reporterzy UPI, Associated Press i Reutera rozpierzchli się w poszukiwaniu ustronnego kąta. Waga sensacyjnej wiadomości, którą przekazywali stamtąd swoim redakcjom, wprawiała w wibracje telefony komórkowe w dłoniach.

Na rozkaz szefa personelu Białego Domu strażnicy z mańnes utworzyli kordon między pierwszym rzędem a podium i sekretarz prasowy kazał opróżnić salę.

Admirał Dunsmore eskortowany przez czterech mańnes nie zdążył jeszcze opuścić sali, kiedy w redakcjach brukowców układano już nagłówki do jutrzejszych wydań: „GINIE 6000 AMERYKAŃSKICH MARYNARZY – MARYNARKA POPEŁNIA ATOMOWE SAMOBÓJSTWO”... „JĄDROWA HEKATOMBA NA LOTNISKOWCU STANÓW ZJEDNOCZONYCH”... „SA-, MODESTRUKCJA AMERYKAŃSKIEGO LOTNISKOWCA”... „MARYNARKA UŚMIERCA NUKLEARNĄ EKSPLOZJĄ 6000 AMERYKANÓW’.

Bojowe zadanie uspokojenia nastrojów, przekonania rozhis-teryzowanej już opinii publicznej, że Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych nie jest bynajmniej dowodzona przez bandę maniaków o morderczych instynktach, spadało teraz na Prezydenta. W trakcie przygotowywania jego wystąpienia podano kolację dla dziesięciu osób – w tym Scotta Dunsmore'a i Josha Paula – na którą składały się kanapki z szynką i kawa. Podczas gdy z talerzy zniknęła kanapka za kanapką, trwało zmasowane bombardowanie amerykańskiego społeczeństwa szokującymi doniesieniami: o śmierci i zagładzie na dalekim oceanie, o wołającej o pomstę do nieba niekompetencji marynarki Stanów Zjednoczonych, o taktyce uników przyjętej przez wyższe dowództwo, doniesieniami sugerującymi rozmyślnie tuszowanie afery, obliczonymi na szerzenie konsternacji, niepokoju, a które nade wszystko miały wywołać głód informacji i sprowokować opinię publiczną do żądania bliższych szczegółów.

O dwudziestej trzydzięci admirał Dunsmore i generał Paul wyjechali z powrotem do Pentagonu. Mniej więcej w tym samym czasie odrzutowiec marynarki z San Diego przez Dallas wylądował w bazie sił powietrznych Andrews. Na pasie startowym czekał już helikopter marynarki, który miał przetransportować jego pasażerów prosto do Pentagonu.

Dwadzieścia pięć minut później Prezydent w idealnie skrojonym garniturze i czarnym jak smoła, jedwabnym krawacie, opuściwszy Gabinet Owalny, ruszył w towarzystwie Dicka Stafforda długim korytarzem na konfrontację z mediami; dla Stafforda już drugą tego dnia, dla Prezydenta pierwszą od sześciu tygodni. Nastrój tego ostatniego można było określić jako wyważoną pogardę.

Jego partia dominowała co prawda w senacie, ale czekająca nań teraz banda miała to w nosie. Musi wyteńczyć swój potężny intelekt, zmobilizować całą lisią przebiegłość, z której tak słynął, i w pojedynkę stawić tym sępom czoło.

Stafford ogłosił, że po przemówieniu odbędzie się ograniczona sesja „pytań i odpowiedzi”. Zaznaczył z góry, że służby wywiadowcze marynarki wojennej niewiele jeszcze ustaliły. Zaprasza jednak jutro na jedenastą przed południem do Pentagonu na walną konferencję prasową. Następnie poprosił o ciszę dla prezydenta Stanów Zjednoczonych, który wkroczył statecznie na podium i stanął przed setkami mikrofonów. Szumiały kamery, światła jupiterów oślepiały, atmosfera była pseudouroczysta.,

Prezydent mówił powoli, refleksyjnie, uciekając się do sprawdzonej metody hipnotyzowania licznej widowni. A w tej chwili miał jedną z najliczniejszych widowni telewizyjnych w dziejach. Kto wie, czy nie najliczniejszą.

–Rodacy, Amerykanie – zaczął. – Zwracam się do was w wieczór bezsprzecznie najbardziej ponurego dnia w całej historii Stanów Zjednoczonych, dnia, w którym na skutek nieszczęśliwego wypadku, wypadku jednego na miliard, niezrozumiałego dla naszych najwybitniejszych uczonych wojskowych, życie straciło kilka tysięcy najwartościowszych synów amerykańskiego narodu.

W naszych siłach zbrojnych nie doszło wcześniej do żadnego wypadku z bronią jądrową, a ogromna skala tego, który dzisiaj po południu zniszczył wielki lotniskowiec „Thomas Jefferson”, jest dla każdego z nas wstrząsem, napęła f współczuciem dla pogrążonych w głębokiej żałobie rodzin ludzi, którzy na nim służyli, żalem po stracie znajomych i przyjaciół.

Poczucie straty, jakie wszyscy teraz odczuwamy, ma zupełnie nowy wymiar. Ja również miałem przyjaciół służących na pokładzie „Thomasa Jeffersona”. I zdaję sobie doskonale sprawę, z jakim bólem wieść o ich śmierci przyjmują społeczności farmerskie z odludnych równin Kansas, z których obaj pochodzili. Jednym z nich był uwielbiany przez wszystkich, doświadczony admirał, drugim pierwszorzędnny kapitan, kandydat na najwyższe stanowisko w swym rodzaju wojsk.

Wiem też, ile osobistych tragedii rozgrywa się teraz w małych miasteczkach rozsianych wzdłuż wybrzeża Maine, w stanach New Hampshire, Massachusetts, Rhode Island, New York – New Jersey, Maryland, Wirginii, Zachodniej Wirginii i obu Karolinach... regionach, które tradycyjnie dostarczają naszej marynarce wojennej najlepszych dowódców. To samo w Georgii i na Florydzie. Na Południu i na Środkowym Zachodzie, a chyba przede wszystkim wzdłuż całego wybrzeża Kalifornii, zwłaszcza zaś w wielkim San Diego, które było portem macierzystym „Thomasa Jeffersona” oraz domem wielu pływających na nim ludzi. W tym miejscu poproszę was o wyrozumiałość i niedoszukiwanie się patetyczności w słowach, które za chwilę wypowiem. Bo oto pragnę oddać hołd tym największym amerykańskim patriotom, którzy w najmniej przewidywalny sposób złożyli najwyższą ofiarę swego powołania. Ale śmierć, śmierć, którą zadała im w ułamku sekundy nuklearna ognista kula, nie była dla nich tym, czym będzie ona dla nas, dla nas, którzy tak niewiele ryzykujemy, wiemy życie wolne w zasadzie od strachu i ciągłego napięcia. Za ludźmi, którzy zginęli na „Thomasie Jeffersonie”, śmierć i jej niewidzialne widmo szły zawsze krok w krok. Bowiem czas pokoju dla nas nie był czasem pokoju dla nich. Oni byli gwarantami tego pokoju. Oni nie korzystali z jego dobrodziejstw. Oni nam go nieśli; byli jego obrońcami i strażnikami,. Tak samo za życia, jak i po śmierci. Nie byli zwyczajnymi ludźmi. Byli ludźmi, którzy wypływają na okrętach w morze; którzy patrolują oceany świata pod flagą tego wielkiego narodu. To oni w naszym imieniu wymuszali pokój. Pax Americana – pokój na warunkach dyktowanych przez wielką, uspokajającą rękę Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pokój, bo my mówimy, że ma być pokój, bo my mówimy, że światowy wolny handel ma się odbywać bez ograniczeń... na pokojowych wodach. Pokój, bo my tak mówimy.

Ileż razy w okresach międzynarodowych napięć czytaliście słowa: „Stany Zjednoczone ostrzegły...”? Stany Zjednoczone mogły wysuwać takie ostrzeżenia tylko dzięki ludziom, którzy zginęli na „Thomasie Jeffersonie”. To byli wyjątkowi

Wiem też, ile osobistych tragedii rozgrywa się teraz w małych miasteczkach rozsianych wzdłuż wybrzeża Maine, w stanach New Hampshire, Massachusetts, Rhode Island, New York – New Jersey, Maryland, Wirginii, Zachodniej Wirginii i obu Karolinach... regionach, które tradycyjnie dostarczają naszej marynarce wojennej najlepszych dowódców. To samo w Georgii i na Florydzie. Na Południu i na Środkowym Zachodzie, a chyba przede wszystkim wzdłuż całego wybrzeża Kalifornii, zwłaszcza zaś w wielkim San Diego, które było portem macierzystym „Thomasa Jeffersona” oraz domem wielu pływających na nim ludzi. W tym miejscu poproszę was o wyrozumiałość i niedoszukiwanie się patetyczności w słowach, które za chwilę wypowiem. Bo oto pragnę oddać hołd tym największym amerykańskim patriotom, którzy w najmniej przewidywalny sposób złożyli najwyższą ofiarę swego powołania. Ale śmierć, śmierć, którą zadała im w ułamku sekundy nuklearna ognista kula, nie była dla nich tym, czym będzie ona dla nas, dla nas, którzy tak niewiele ryzykujemy, wiemy życie wolne w zasadzie od strachu i ciągłego napięcia. Za ludźmi, którzy zginęli na „Thomasie Jeffersonie”, śmierć i jej niewidzialne widmo szły zawsze krok w krok. Bowiem czas pokoju dla nas nie był czasem pokoju dla nich. Oni byli gwarantami tego pokoju. Oni nie korzystali z jego dobrodziejstw. Oni nam go nieśli; byli jego obrońcami i strażnikami Tak samo za życia, jak i po śmierci. Nie byli zwyczajnymi ludźmi. Byli ludźmi, którzy wypływają na okrętach w morze; którzy patrolują oceany świata pod flagą tego wielkiego narodu. To oni w naszym imieniu wymuszali pokój. Pax Americana – pokój na warunkach dyktowanych przez wielką, uspokajającą rękę Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pokój, bo my mówimy, że ma być pokój, bo my mówimy, że światowy wolny handel ma się odbywać bez ograniczeń... na pokojowych wodach. Pokój, bo my tak mówimy.

Ileż razy w okresach międzynarodowych napięć czytaliście słowa: „Stany Zjednoczone ostrzegły...”? Stany Zjednoczone mogły wysuwać takie ostrzeżenia tylko dzięki ludziom, którzy zginęli na „Thomasie Jeffersonie”. To byli wyjątkowi

ludzie. Nawet śmierć w bitwie była dla nich przedmiotem żartów: „Nie zaciągaj, jeśli nie masz poczucia humoru”, mawiali. Słowa od wieków towarzyszące naszym żołnierzom.

Każdy z ludzi pływających na tym wielkim okręcie wojennym miał świadomość, że w jego ładowniach przechowywana jest broń o potężnej sile niszczącej, wystarczającej aż nadto, by zmieść z powierzchni ziemi każdego wroga; tworzyli barykadę, za którą żyje w pokoju cały wolny świat. Ludzie z „Thomasa Jeffersona” to wiedzieli. Odprowadzając wzrokiem bombowce startujące z jego pokładu widzieli ogień i furję, które możemy skierować przeciwko każdemu agresorowi. Oni to wiedzieli.

Bo ci ludzie służyli w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych. I wiedzieli coś jeszcze. Wiedzieli mianowicie, że w tej najniebezpieczniejszej ze służb przyjdzie im być może, czy to podczas wojny, czy w okresie pokoju, złożyć najwyższą ofiarę. Że może się to stać w każdej chwili. Z tego również zdawali sobie sprawę. W ich życiu niewiele było dni, kiedy nie ocierali się o śmierć. Całe ich środowisko pracy najeżone było śmiertelnymi niebezpieczeństwami – szybkie odrzutowce lądujące z hukiem na pokładzie; pociski kierowane; wielkie działa i bomby; atomowe okręty podwodne. Ludzie ci, ludzie z Grupy Uderzeniowej „Thomasa Jeffersona”, zdawali sobie w pełni sprawę z przytłaczającej odpowiedzialności, jaka na nich ciąży. I wiedzieli, jak wielkim szacunkiem darzy się ich profesję, ich rodziny, każdy dzień ich życia. Zginęli nagle, wszyscy w kwiecie wieku... to o nich myślimy, śpiewając: „Za tych, co na morzu” – marynarski hymn.

A teraz chciałbym poprosić was wszystkich o chwilę refleksji nad sprawą, za którą oddali życie. Czy Stany Zjednoczone powinny dalej patrolować oceany świata? Czy nie lepiej, żeby dały sobie spokój, bo to zbyt niebezpieczne? Mam na ten temat wyrobione zdanie i sądzę, że wiem, co odpowiedziałby mi admirał, który dowodził „Thomasem Jeffersonem”, co odpowiedzieliby wszyscy z sześciotysięcznej załogi tego okrętu, po najmłodszych rangą, najmłodszych wiekiem. Czy warto? Czy USA powinny nadal brać na siebie takie

uciążliwe zobowiązanie i ryzykować po to, by nasz naród i większość świata mogły żyć bez lęku przed wrogiem? Czy warto? Czy to potrzebne? Czy powinniśmy to dalej robić? Ilekroć w przyszłości pojawi się to pytanie, wspomnimy z wdzięcznością ludzi z „Thomasa Jeffersona”. I ilekroć je usłyszymy, powinniśmy się zastanowić, co odpowiedzieliby oni, co odpowiedziałoby tych sześć tysięcy ludzi. Rodacy, Amerykanie. To byli żołnierze. To byli najwięksi Amerykanie. Patrioci. Ludzie honoru. Ludzie służby. Nie byli zwyczajnymi ludźmi. I odpowiedzieliby na to pytanie bez wahania. Czy warto? Tak. Jak najbardziej warto. Tak więc w ten najmroczniejszy z naszych wieczorów nie zdradzajmy ich ideałów. Nie wolno nam nawet dopuścić do siebie myśli, że zginęli nadaremnie. Uświadommy sobie, że zginęli za nas, pełniąc najniebezpieczniejszą ze służb, służbę, którą kochali i w której celowość wierzyli. Pozwólcie, że zwrócę się teraz do was z pokorną prośbą o modlitwę za nich i za ich rodziny. Zapewniam gorąco pogrążonych w żałobie, że w swym smutku nie są sami. Wszyscy bowiem jesteście teraz z nimi. Wraz z całą swoją rodziną łączę się z wami w modlitwie, i to nie tylko dzisiaj, lecz do kresu mych dni.

Życzę, by ta noc upłynęła wam wszystkim w miarę spokojnie, i modłę się, żeby nowy dzień przyniósł promyk światła i otuchy każdemu, kto kochał i podziwiał Amerykanów służących na „Thomasie Jeffersonie”.

Tu głos mu się załamał.

–Przykro mi, ale nie czuję się na siłach odpowiadać na pytania -rzekł cicho. I z godnością zszedł z podium, pozostawiając świat mediów i większość narodu poruszonych do głębi jego słowami.

Kiedy Dick Stafford podchodził do mównicy, by formalnie obwieścić, że orędzie prezydenta dobiegło końca, centrala Białego Domu obsługująca czterdzieści osiem tysięcy połączeń dziennie była już kompletnie zablokowana telefonami z całego kraju; tak samo centrale wszystkich sieci telewizyjnych. Tysiące Amerykanów dzwoniły nie tylko po to, by wyrazić swoje ogromne poparcie dla armii Stanów Zjednoczonych, ale również z pytaniami, gdzie kierować darowizny i kondolencje.

*

Dick Stafford, stary kumpel Prezydenta z okresu studiów w Harvardzie, wbiegł do Gabinetu Ovalnego.

–Panie prezydencie – powiedział z nebraskim akcentem, pochodził bowiem z Valentine w okręgu Cherry, położonego na północ od Snake River – zważywszy okoliczności, zupełnie nieźle wypadło.

–Dzięki, Dick. Wdzięczny ci jestem za pomoc. Szkoda tylko, że nie mogłem przyobiecąć czegoś rodzinom – odparł Prezydent z silnym akcentem północno-zachodniej Oklahomy-

–Jeszcze za wcześnie. Jeszcze nie teraz. Co nagfe, to po diable. Wiem, o co panu chodzi. I chyba intuicja dobrze panu podpowiada. Ale musi mi pan zaufać. Oczekajmy przynajmniej cztery dni, a wtedy wydamy kolejne oświadczenie. Niech się tymczasem rozkręci dochodzenie. Niech do weekendu cały ogień ściąga na siebie marynarka. A w weekend będziemy mieli trochę czasu na zaplanowanie w Camp David trzech nowych, osobnych inicjatyw prezydenckich, specjalne renty dla rodzin, dzień żałoby narodowej i prezydencki dekret, w myśl którego na wszystkich okrętach i we wszystkich bazach marynarki Stanów Zjednoczonych mają się co roku odbywać celebrowane nabożeństwa i uroczyste kolacje ku pamięci „Thomasa Jeffersona”, po wsze czasy. Te jeffersonowskie kolacje staną się z czasem tym, czym na wszystkich okrętach wojennych i we wszystkich bazach brytyjskiej Royal Navy są kolacje wieczoru trafalgarskiego.

–O, to mi się podoba. Mam nadzieję, że będę zapraszany. A nie,, czyni różnicę fakt, że Trafalgar to dla Anglii walne zwycięstwo, podczas gdy tragedię „Jeffersona” trudno nazwać naszym sukcesem?

–Najmniejszej. Poświęcenie to poświęcenie. Śmierć w służbie kraju jest chwalebna sama w sobie. Amerykańskie społeczeństwo na pewno to zrozumie i doceni. Uważam, że liberalna prasa i wszyscy liberalni demokraci popełniają niewybaczalny błąd krytykując od lat wojsko. Pamiętajmy, że prezydent Reagan z tego właśnie gabinetu zwiększył nasze nakłady na zbrojenia o blisko czterdzieści procent i został wybrany na drugą kadencję największą chyba w naszej historii różnicą głosów.

Powinniśmy też pamiętać, że duże pieniądze pompowane przez Reagana w armię doprowadziły w końcu do zadyszki Zwią-

—

zek Radziecki, który od tamtej pory przestał się liczyć jako nasz poważny przeciwnik militarny, i ostatecznie skruszyły żelazną kurtynę. Moim zdaniem zwyczajny zdrowy rozsądek podpowiada ludziom, że siły zbrojne Stanów Zjednoczonych dobrze wiedzą, co robią, i że żadne lewicujące dupki nie powinny im pchać kija w szprychy.

Prezydent uśmiechnął się do swego niskiego, krępego sekre-1 tarza prasowego. Strasznie mu się podobała ta kombinacja har-vardzkiego intelektu z naturalną skłonnością do używania słów w rodzaju „dupki”. I podobała mu się klarowność. Uwielbiał krystaliczną klarowność wypowiedzi Dicka Stafforda.

–1 co teraz? – spytał sekretarz prasowy.

–Myślę, że damy admirałowi Dunsmore'owi godzinę czasu na rozruch, a potem weźmiemy Sama Haynesa, pojedziemy do Pentagonu i posiedzimy trochę na tej jego naradzie. Musimy trzymać rękę na pulsie. Powiadom ich, żeby się nas tam spodziewali około północy.

*

Generał Paul zdecydował, że zwołana na 22.00 odprawa odbędzie się w silnie strzeżonej, prywatnej sali konferencyjnej wykorzystywanej przez szefów sztabów do cotygodniowych roboczych spotkań z sekretarzem obrony. To wewnętrzne sanktuarium armii Stanów Zjednoczonych, usytuowane w dziewiątym korytarzu drugiego poziomu Pierścienia E, było na tyle pojemne i dostojne, by pomieścić całą wyższą kadre dowódczą marynarki wojennej. Dzięki silnej ochronie nadawało się również na przyjęcie prezydenta i jego najbliższych doradców, gdyby ci się pojawili. A admirał Dunsmore i generał Paul uważali to za wielce prawdopodobne.

Na przybycie prezydenta miało czekać pięciu czterogwiazdko-wych admirałów, dwóch wiceadmirałów oraz jeden kontradmirał. Ponadto na sali znajdowało się dwóch komandorów poruczników – reprezentant admirała Morgana z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego oraz Bill Baldrige z wywiadu marynarki wojennej. Generał Paul zażyczył sobie, żeby naradzie przewodniczył Scott Dunsmore; w drugim końcu stołu przygotowano sześć krzeseł dla przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów Połączonych, prezydenta, sekretarza obrony oraz wyższych przedstawicieli personelu Białego Domu.

W oczekiwaniu na przybycie prezydenta utworzono komisję śledczą. Do czasu zebrania wstępnych danych i oszacowania uszkodzeń na innych okrętach miała rezydować w San Diego. Na jej przewodniczącego powołano głównodowodzącego Floty Pacyfiku, i ten zdążył już wezwać poprzez satelitę do bezzwłocznego stawienia się w Kalifornii kapitana Arta Barry'ego, przebywającego aktualnie na Diego Garcia. Kapitan Barry zaproponował, że zabierze ze sobą swego oficera wachtowego, który był naocznym świadkiem większości z tego, co można było zobaczyć. Wszystkim podobnym propozycjom dawano natychmiast zielone światło.

Prezydenta zaprezentowano ogólnie wszystkim obecnym, a on nie omieszkał przywitać się osobno z każdym, kogo znał z nazwiska. Kiedy przedstawiono mu komandora porucznika Baldrige'a, obszedł stół dookoła, by uścisnąć dłoń młodemu ekspertowi od broni jądrowej.

–Mój Boże, Bill, nie potrafię wyrazić, jak wstrząsnęła mną wieść o śmierci twojego brata. Chyba wiesz, że nasi rodzice znają się od lat... nie zapomnij przekazać ode mnie wszystkim najbliższym najszczerzych wyrazów współczucia.

Baldrige trzymał emocje pod żelazną kontrolą. Była to bez wątpienia najważniejsza narada, w jakiej dotychczas uczestniczył. Prawdopodobnie najważniejsza, w jakiej kiedykolwiek przyjdzie mu uczestniczyć, usiłował więc skoncentrować się i nie dopuszczać do siebie świadomości, że już nigdy nie ujrzy Jacka.

Słuchał zdawanej przez admirała Dunsmore'a relacji z dotychczasowych ustaleń. Nowe informacje napływające wąskim strumyczkiem ze Środkowego Wschodu potwierdzały to, co już wcześniej podejrzewano. Na okrętach stwierdzono duże skażenie radioaktywne, sonary nie zarejestrowały żadnego odgłosu uderzenia ani dźwięków towarzyszących zwykle przełamywaniu się okrętu bądź jego tonięciu. Jedynie potężny, stłumiony grzmot podmorskiej eksplozji. Wszystko wskazywało na to, że źródło tej eksplozji znajdowało się we wnętrzu wielkiego okrętu, gdzieś głęboko pod linią wodną, gdzie przechowywano duże nuklearne głowice bojowe oraz pociski kierowane. Jeden z magazynów broni znajdował się tuż nad kilem, około trzydziestu metrów od siedmiometrowej śruby napędowej. Miał wysokość pięciu pięter i kubaturę dużej kamienicy.

–Wystarczyłaby detonacja którejś z przechowywanych tam głowic bojowych, żeby cały okręt w mgnieniu oka wyparował –

ciągnął admirał Dunsmore. – Podejrzewam, że do wypadku doszło właśnie w tej części okrętu.

–Co mogłoby spowodować niespodziewany wybuch głowicy jądrowej? – wpadł mu w słowo Prezydent. – Jak w ogóle działa to draństwo?

–Myślę, że zasadę działania najlepiej potrafi nam objaśnić komandor porucznik Baldrige – odparł admirał Dunsmore.

–Detonacja głowicy jądrowej, panie prezydencie – zaczął Bill Baldrige – inicjowana jest swego rodzaju impulsem elektrycznym. Parametry tego impulsu trzeba odpowiednio nastawić. Najprostszymi detonatorami steruje przełącznik czasowy taktowany ma-

◀tym, dosyć skomplikowanym zegarem. Detonatory stosowane w głowicach jądrowych nie są typu uderzeniowego, jak w przypadku konwencjonalnych bomb.

Na przykład jądrową głowicę bojową torpedy nastawia się na wybuch po upływie określonego czasu, wyliczonego skrupulatnie na podstawie znanych pozycji okrętu atakującego oraz celu, tak żeby eksplodowała w bezpośredniej bliskości ofiary.

Szczerze mówiąc, panie prezydencie, trudno mi sobie wyobrazić, jak taka głowica mogłaby detonować samoistnie, bez świadomego udziału człowieka.

–Czy stąd wniosek, że należy brać pod uwagę możliwość sabotażu? – spytał szybko Prezydent.

–Taką ewentualność, panie prezydencie – odparł Baldrige zakładając, że to pytanie skierowane jest do niego – jeszcze trudniej mi sobie wyobrazić. Tego rodzaju broń znajduje się pod niewiarygodnie rygorystyczną strażą. Żeby wejść do strefy jej składowania, trzeba zdobyć specjalną przepustkę podpisaną przez Bóg wie ile osób. Musi ją pan okazać dwóm marine s, którzy pilnują wejścia. Do samej strefy składowania wkracza pan pod eskortą trzech żołnierzy służb uzbrojenia, w tym jednego oficera. Gdyby ktoś chciał się tam dostać nielegalnie, to najprawdopodobniej zastrzeliliby go jak pieska preriowego ci dwaj marines przy wejściu. Bez ostrzeżenia.

–Czy ktoś jest upoważniony do wchodzenia tam w pojedynkę? – spytał Prezydent.

–Nikt, panie prezydencie – wtrącił się admirał Arnold Morgan -z wyjątkiem admirała i kapitana okrętu. Wątpię też, żeby odmówiono tego prawa oficerowi operacyjnemu Grupy. Ale byłoby czymś niesłychanym, gdyby któryś z nich odwiedził strefę zbrojowni

bez co najmniej dwóch, a nawet trzech oficerów towarzyszących. Pan też nie zagląda sam do kotłowni Białego Domu.

To założenie zbyt nieprawdopodobne, żeby brać je pod uwagę. A zresztą do uzbrojenia głowicy bojowej potrzeba dwóch wysokiej klasy specjalistów, a oni musieliby mieć podpisane przepustki. Osobiście uważam, że hipoteza sabotażu nie wchodzi w ogóle w rachubę, chyba że wyobrazimy sobie jakiś maniacki spisek kadry oficerskiej okrętu, która chce się wraz z kolegami wysadzić w powietrze.

–Też tak myślę – przytaknął admira'l Dunsmore. Zawtórował mu pomruk aprobaty wszystkich siedzących przy stole.

–Właściwie nie dysponujemy żadnym dowodem, na podstawie którego można by coś wnioskować – dorzucił Dunsmore. – Wiemy tylko, że nastąpiła głębina erupcja i okręt znikł. Nie sądzę, by rozpatrywanie teorii sabotażu miało większy sens. Godna rozważenia za to jest chyba możliwość, że okręt został zaatakowany przez niezidentyfikowanego nieprzyjaciela.

Przy stole na kilkanaście sekund zaległa kompletna cisza. Pierwszy przerwał ją komandor porucznik Baldrige.

–Wiemy, że lotniskowiec zatopiła eksplozja jądrowa tak silna, że pod wpływem wytworzonego ciepła okręt wyparował, i to najprawdopodobniej bez śladu. Jeśli więc mamy przyjąć tę hipotezę, to chyba należałoby się zastanowić, w jaki sposób dotarła tam głowica bojowa.

–Istnieją tylko trzy możliwości – zauważył admira'l Dunsmore. – W pocisku kierowanym odpalonym z samolotu; w pocisku kierowanym odpalonym z okrętu; w torpedzie odpalonej z łodzi podwodnej.

Do dyskusji, przychodząc w sukurs szefowi operacji morskich, włączył się teraz admira'l Albie Lambert, głównodowodzący floty Pacyfiku, były dowódca Grupy Uderzeniowej Lotniskowca.

–Moim zdaniem pocisk nie mógł zostać odpalony z samolotu, a już na pewno nie z okrętu nawodnego ani podwodnego.

Hipotezę samolotu można od razu odrzucić, bo w rejonie znajdowało się w tym czasie pięć okrętów rakietowych przeczesujących radarami niebo, a trzy i pół godziny wcześniej hawkeye meldował, że przestrzeń powietrzna jest czysta w promieniu trzystu mil. Przed nim nic się nie ukryje. Nadlatującego pocisku kierowanego dalekiego zasięgu na pewno nie przeoczyłyby okręty. Straciłyby go najdalej trzydzieści sekund od chwili wykrycia. A zresztą,

kto by go wystrzelił? W tej części świata nikt nie dysponuje takimi środkami.

–Tym bardziej nie wchodzi w grę możliwość, że był to pocisk odpalony z okrętu – powiedział admirał Dunsmore. – Wiemy, że w promieniu kilkuset mil od Grupy nie było żadnego innego okrętu wojennego. Gdyby się tam zabląkał, Zack Carson i Jack Baldrige kazaliby mu natychmiast opuścić tę strefę. Nawet gdyby to była jakaś całkowicie niewidzialna jednostka, radarowcy zauważyliby przecież nadlatujący pocisk na pięciu różnych ekranach. Ci faceci potrafią wykryć mewę, a co dopiero jądrową głowicę bojową.

–No dobrze – odezwał się Prezydent. – A okręt podwodny?

–Bill? – zwrócił się admirał Dunsmore do komandora porucznika, który swoją karierę w marynarce zaczynał jako oficer służb uzbrojenia na atomowej łodzi podwodnej.

–Możliwe, ale wysoce nieprawdopodobne, chyba że z załogą szkoloną przez nas albo w Wielkiej Brytanii – odparł Baldrige. – Torpedy słyną ze swej głupoty. Bardzo trudno je zaprogramować i wcale nie tak łatwo wyposażyć w głowice jądrowe. Kiedy już się ma tak przygotowaną torpedę, wcale nie jest powiedziane, że osiągnie ona cel. Trzeba ją uzbroić, oszacować dokładnie, kiedy znajdzie się w pobliżu celu, a następnie nastawić precyzyjnie właściwy czas na zegarze detonatora. Żeby zwiększyć szanse trafienia, trzeba podejść blisko, naprawdę blisko, na odległość jakichś pięciu tysięcy metrów, ale nie bliżej, bo wtedy powstaje niebezpieczeństwo, że zatopi się samego siebie.

Moim zdaniem porwać na to mogliby się tylko ludzie świetnie wyszkoleni. Problem w tym, jak unikając wykrycia podprowadzić atakującą łódź podwodną wystarczająco blisko do Grupy Uderzeniowej. Ja oceniałbym szanse powodzenia takiego manewru na jedną do miliona, chociaż znajdują się przy tym stole panowie bardziej ode mnie kompetentni do oszacowania prawdopodobieństwa. Osobiście wolałbym nie próbować.

–Jako były dowódca grupy uderzeniowej – odezwał się admirał Albie Lambert – uważam, że do lotniskowca praktycznie nie sposób niepostrzeżenie podejść. Nie sposób przedrzeć się przez zapórę detektorów, urządzeń śledzących i radarów. Zdarzały się jednak przypadki, że obce łodzie podchodziły podczas ćwiczeń znacznie bliżej, niż wydawałoby się to możliwe. Znałem admirała podwod-

niaka z Royal Navy, który opowiadał mi, że pewnej nocy miał możliwość sforsowania bariery ochronnej Grupy Uderzeniowej Stanów Zjednoczonych. I gdyby z niej skorzystał, prawdopodobnie zatopiłby lotniskowiec.

Był to zresztą ten sam facet, który ośmieszył Grupę Uderzeniową Lotniskowca na Morzu Arabskim, podszywając się pod jakiegoś przekłętego Hindusa. Wtedy dowodził okrętem nawodnym. Ale to był chyba najlepszy podwodniak, jakiego miała marynarka brytyjska. Został w końcu szefem służb podwodnych Jej Królewskiej Mości. Jak widać, nie ma rzeczy niemożliwych.

–Myślę, że dla dobra tego spotkania – powiedział szef operacji morskich – z oceną prawdopodobieństwa ataku nuklearnego na nasz lotniskowiec powinniśmy się wstrzymać do czasu, kiedy dotrą do nas pełne meldunki z innych okrętów Grupy. Jutro z samego rana powinniśmy mieć już raport o uszkodzeniach innych jednostek. Jeśli przewodniczący wyrazi zgodę, proponuję, żebyśmy zebrali się tu ponownie jutro o godzinie czternastej» A tymczasem trzymajmy się hipotezy najbardziej prawdopodobnej i jak na razie najwygodniejszej, od strony zarówno politycznej, -jak i praktycznej, że mamy do czynienia z tragicznym wypadkiem z bronią jądrową, nad przyczyną którego zastanawiają się wciąż najlepsi naukowcy.

Prezydent skinieniem głowy wyraził swoją akceptację. Dick Stafford nachylił mu się do ucha:

–Nie zachęcajmy tych facetów, by doszukiwać się dziury w całym – szepnął. – Jeden mały przeciek z takiej wymiany domysłów i media dostaną amoku.

Prezydent ponownie skinął głową, a głośno powiedział:

–W tej chwili nie mamy nawet poważnego wroga. Rad jestem, że Scott chce pozostać przy hipotezie wypadku.

I na tym spotkanie się skończyło. Na uczestników czekały już samochody, które miały ich rozwieźć po hotelach. Bill Baldrige zerknął na zegarek, a potem wraz z Dickiem Staffordem, prezydentem i Samem Hayesem wyszedł z sali na długi korytarz. Prezydent zrównał krok z młodym naukowcem z Kansas.

–Tak, Bill, jeśli chodzi o wypadki, to z tak strasznym żaden z nas nie miał jeszcze do czynienia.

–Jeśli mam być szczery, panie prezydencie, to ta cała teoria wypadku kupy się nie trzyma.

–Co takiego? – Zdumiony Prezydent zatrzymał się jak wryty.

–Ten okręt został trafiony dużym pociskiem z nuklearną głowicą bojową – odparł Bill Baldrige. – Głowice nuklearne nie wybuchają same z siebie, przypadkowo. Nieprawdopodobne, to mało powiedziane, panie prezydencie. To jest wręcz niemożliwe. Ktoś w sobie tylko wiadomy sposób zaatakował i zatopił pański okręt, panie prezydencie. Ja nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

i»

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wtorek, 9 lipca, 02.10 ł,

Potwierdzając śmierć 6000 ludzi znajdujących się na pokładzie, rzecznik prasowy Pentagonu przyznał wczoraj późnym wieczorem, że nikt nie potrafi podać spójnej przyczyny eksplozji we wnętrzu gigantycznego lotniskowca.

«New York Times»

Dick Stafford obserwował Prezydenta rozmawiającego z Billem Baldrige'em. Szli szybko wyludnionym korytarzem drugiego poziomu Pierścienia E, cały czas tuż poza zasięgiem jego słuchu. Nagle zatrzymali się obaj, a wraz z nimi pozostali. Po chwili Prezydent odwrócił się.

–Dick, chcę jeszcze trochę pogadać z komandorem porucznikiem Baldrige'em – powiedział. – Wróci ze mną. Ty i Sam też. Niech ktoś odstawi samochód Billa pod Biały Dom, dobra?

Baldrige rzucił wysoko kluczyki i Stafford przechwycił je ' sprawnie lewą ręką, kiedy przelatywały mu nad głową.

–Stoper Huskersów „61", Uniwersytet Nebraski – powiedział.

Pięć minut później trójsamochodowa prezydencka kawalkada eskortowana przez ekipę Secret Service sunęła już poprzez noc na wschód, w kierunku Potomaku.

–No, Bill, co ci każe przypuszczać, że do tego nuklearnego wybuchu nie doszło przypadkowo? – spytał Prezydent.

–To nie przypuszczenie, panie prezydencie. Ja jestem tego stuprocentowo pewny. Żeby doszło do zainicjowania procesu eksplozji, ktoś musi uzbroić głowicę nuklearną i nastawić parametry impulsu elektrycznego. Wyzwolenie reakcji łańcuchowej zacho-

dzącej na poziomie atomów, neutronów i elektronów to bardzo delikatna operacja.

Przypadkowemu zapoczątkowaniu takiego procesu zapobiega specjalna konstrukcja jądrowych środków rażenia. Swego czasu uszkodzony samolot zgubił bombę atomową. Spadła do oceanu i nie wybuchła. Wybuchu nie spowoduje nawet mała bomba zrzucona na skład takiej broni. Cały rejon składowania broni jądrowej na okręcie również jest tak zaprojektowany, żeby wytrzymał znaczne narażenia i zapewniał bezwzględne bezpieczeństwo wszystkiemu, co jest w nim zgromadzone.

Jeśli w odpalonej torpedzie wyposażonej w głowicę nuklearną z jakiegoś powodu zawiedzie system detonowania, to ta nie wybuchnie, będzie płynęła, dopóki nie skończy się jej paliwo. A wtedy zatoni i spocznie na dnie, bezpieczna po wsze czasy dla środowiska. Wyłowiliśmy kiedyś bombę atomową, którą samolot Air Force zrzucił przez pomyłkę do morza. Znajdowała się w nienaruszonym stanie.

Te zabawki nie wybuchną, jeśli ktoś ich na wybuch nie nastawi. To dlatego nie Zdarzyło się jeszcze, żeby bomba atomowa eksplodowała przez pomyłkę. One wybuchają tylko wtedy, kiedy im się każe.

–Jezu – mruknął Prezydent. – A więc wyklucasz sabotaż?

–Zdecydowanie, panie prezydencie. Po pierwsze, nie sposób dostać się bez upoważnienia do rejonu składowania. A kiedy wchodzi pan tam legalnie, to nigdy sam. No i do uzbrojenia nuklearnej głowicy bojowej potrzeba dwóch ludzi dysponujących zestawem precyzyjnej aparatury. Tak więc hipoteza sabotażu zupełnie nie wchodzi w grę, chyba żeby ktoś z naczelnego dowództwa dostał pomieszania zmysłów i podjął świadomą decyzję uśmiercenia całej załogi okrętu. A nawet w takim przypadku nie dopuściłby do tego mój brat Jack Baldrige, tego jestem pewien.

Po raz pierwszy komandor porucznik stracił kontrolę nad swoimi emocjami. Prezydent, zauważając to, poklepał go po ramieniu.

–Nie wątpię, Bill – powiedział. – To był wielki człowiek i nie potrafię wyrazić, jak mi go brakuje.

Baldrige wdzięczny był ciemnościom, krępował się łez, które spływały mu po policzkach.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Przerwał je Prezydent.

–Bill – odezwał się cicho – czy nuklearna głowica jądrowa stosowana w torpedach jest wystarczająco silna, by odparować lotniskowiec?

–O, aż nadto, panie prezydencie. Pamięta pan tę grudkę semtexu, którą przed kilkoma laty wysadzono Baltic Exchange w Londynie, a przy okazji zdemolowano kilka okolicznych ulic.

–Mhm. Robota terrorystów z IRA, prawda?

–No właśnie. A więc ta grudka semtexu była, w mojej ocenie, odpowiednikiem dziewięćdziesięciu ton trotylu. Nuklearna głowica bojowa tej wielkości zamontowana w dwudziestojednocy-łowej torpedzie, takiej która zatopiła „Belgrano”, miałaby moc odpowiadającą jakimś sześćdziesięciu tysiącom ton trotylu, wystarczającą, by zmieść z powierzchni ziemi cały Nowy Jork.

–Jezu.

Samochody skręciły w bramę przy 1600 Pennsylvania Avenue. Minęła właśnie 2.30 w nocy. Prezydent poprosił Dicka Stafforda o zorganizowanie o ósmej rano spotkania przy śniadaniu w Białym Domu.

–Porozmawiamy o polityce. Chcę tam widzieć ciebie, Sama, sekretarza obrony, sekretarza stanu, admirała Morgana i nikogo więcej z marynarki... z wyjątkiem obecnego tu Billa w charakterze eksperta technicznego. Aha, i zaprosz jeszcze ze dwóch facetów z CIA, kogoś, kto ma jakieś pojęcie o Środkowym Wschodzie.

Prezydent wszedł do środka i udał się do swojej sypialni usytuowanej na drugim piętrze, Bill zaś, odetchnąwszy z ulgą, wsiadł do wiernego mustanga i wyjechał z powrotem na Pennsylvania Avenue. Na Washington Circle skręcił w lewo. Stamtąd * miał już tylko kawałek do apartamentu senatora Chapmana w Watergate. Zaraz za zakrętem uświadomił sobie, że jedzie wolniej niż zwykle. Rzadko, bo rzadko, ale zdarzało mu się już w życiu oprzeć pokusie spędzenia paru godzin seksualnego zapomnienia we wprawnych ramionach pani Aimee Chapman. Nie, dzisiaj tego nie robi. Nie chciał być sam. Miał nadzieję, że ona to zrozumie. Zrozumie, że przeżywa śmierć Jacka i w ogóle, zrozumie, jak ogromna wyrwa powstała w jego życiu po stracie brata.

Pani senatorowa okazała się wzorem wyrozumiałości. Wprowadziła go do gabinetu męża i tam zostawiła. Zatelefonował do San Diego, do Margaret, wdowy po Jacku. Tej nocy nikt z rodziny Baldridge'ow nie zamierzał się kłaść. Bill wisiał na telefonie

dobrze pół godziny i Aimee mogła się tylko domyślać, z jakim szokiem po drugiej stronie linii ma do czynienia. Tylko raz podniósł głos, a wtedy usłyszała stłumione słowa: „Mags, musisz stamtąd wyjechać... najszybciej jak się da... San Diego stanie się teraz istnym miastem duchów... zadzwoń do mamy, proszę cię... ona wszystko załatwi. Mags... musisz zabrać dziewczynki do Kansas.

Na aparacie telefonicznym w saloniku zamrugała lampka, co znaczyło, że Bill dzwoni pod jeszcze jeden numer, do matki. Wyszedł w końcu z gabinetu ze śladami łez na twarzy. Nalała mu drinka i tej nocy nawet nie próbowała nakłaniać swego długoletniego kochanka do żadnych nieprzyzwoitych ekscesów, zadowolając się skromnym pocałunkiem na dobranoc. Trzymała go w ramionach, dopóki nie zasnął, tak jak przed kilkoma laty, kiedy umarł mu ojciec.

Aimee została dziewczyną Billa, kiedy ten przybył do Annapolis. Miała wtedy siedemnaście lat. Zerwali ze sobą, kiedy Bill poznał córkę admirała Dunsmore'a i omal się z nią nie ożenił. Zeszli się znowu, kiedy ona była już żoną bogatego, ale nie interesującego się nią zbytnio polityka, który szybko wyrósł na senatora, ale niewiele ponad to.

Jack Baldrige był zawsze zdania, że Bill powinien się ożenić z Aimee. Ta piękna dziewczyna, drobna i ciemnowłosa po swej matce Francuzce, adorowała wysokiego, szczupłego Kansańczyka od chwili, kiedy ujrzała go po raz pierwszy na zabawie w Akademii Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Jak wiele młodych waszyngtońskich studentek nie potrafiła się oprzeć jego inteligencji, jego atletycznej budowie, którą zawdzięczał wywijaniu kowalskim młotem na farmie przez długie letnie miesiące, kiedy naprawiał słupy ogrodzeniowe. Owa kowbojska tężyzna okazała się jak znalazł dla młodego kadeta marynarki. Był szybszy, sprawniejszy i inteligentniejszy od większości chłopaków ze swojego roku. Gdyby mu na tym zależało, znalazłby bez trudu miejsce w reprezentacyjnej drużynie futbolowej uczelni.

Ale mu nie zależało. Był zbyt nieortodoksyjny, zbyt skłonny do tumiwizmu, do uchylania się od współzawodnictwa, jakby za cel w życiu obrał sobie dystansowanie się od wszystkiego i wszystkich. Właśnie ten stosunek do świata sprawił, że nie wstąpił na „kapitańską drabinę” w marynarce. Z tego samego powodu jak ognia wystrzegał się trwałego związku z jakąkolwiek kobietą.

Dochowywał wierności kawalerskiemu stanowi i ryzykował Bóg wie ile, nocując w Watergate, w apartamencie żony senatora Stanów Zjednoczonych na kilka godzin przed śniadaniem, które miał spożyć z czterdziestym trzecim prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Mimo to Bill Baldrige miał opinię wybijającego się młodego oficera. Dzięki pochodzeniu był na ty z kilkoma najwyższymi postawionymi osobistościami kraju. Wyróżniał się spośród rówieśników profesjonalną wiedzą morską oraz niepoślednimi osiągnięciami naukowymi. A cechy osobiste sprawiały, że potrafił łączyć te dwie zalety i wyrastać znacznie ponad swoją rangę.

W ostatecznym rozrachunku Bill Baldrige był odszczepieńcem. Mierzył sobie ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, z wyglądu przypominał młodszego, szczuplejszego Roberta Mitchuma, miał przenikliwe, niebieskie oczy, które spotyka się często u żeglarzy i mieszkańców równin, lecz trudno go było jednoznacznie zasufladkować. W mundurze wyglądał na zrelaksowanego, pewnego siebie oficera marynarki, w rodzimym Kansas zaś mógł z powodzeniem uchodzić za rasowego kowboja, który całe życie spędził

w siodle i poza równiny nosa nie wychylił.

*

Poranne gazety zachłystywały się doniesieniami o zatopionym lotniskowcu. „**NUKLEARNA EKSPLOZJA NISZCZY LOTNISKOWIEC STANÓW ZJEDNOCZONYCH – 6000 ZABITYCH – MARYNARKA SKONSTERNOWANA**”, krzyczał tłustymi wersalikami obwiedziony czarną ramką nagłówek z pierwszej strony «Washington Post».

Bill Baldrige przebiegł pobieżnie wzrokiem artykuł, poprawił krawat, zbiegł do mustanga i wrzuciwszy torbę na tylne siedzenie pojechał do Białego Domu.

Obaj oficerowie dowodzący z zatopionego lotniskowca „Thomas Jefferson” pochodzili z południowo-zachodniego Kansas. Admirał Zack Carson, dowódca Grupy Uderzeniowej, urodził się i wychował na farmie rolniczej nieopodal miasteczka Tribune w okręgu Greely. Jego zastępca, oficer operacyjny Grupy, kapitan Jack Baldrige, pochodził z Burdett leżącego przy szosie 156, na południowy zachód od

Great Bend. Pan Jethro Carson, osiemdziesięcioletni ojciec admirała, na wieść o tragedii doznał podobno załamania nerwowego i został odwieziony do szpitala.

«Garden City Telegram»

Do śniadania dla dziesięciu osób nakryto w sali konferencyjnej w zachodnim skrzydle Białego Domu. Prezydent oświadczył na wstępie, że ma to być zupełnie prywatna wymiana poglądów między zaufanymi ludźmi i nie życzy sobie robienia notatek. Usiadł u szczytu stołu, mając po jednej ręce sekretarza obrony Roberta MacPhersona, a po drugiej – sekretarza stanu Harcourta Travaisa. Resztę miejsc po lewej stronie stołu zajęli Dick Stafford, Sam Hayes i admirał Morgan. Krzesła po stronie prawej przeznaczone były dla admirała Schnidera, szefa Biura Wywiadu Marynarki Wojennej, dwóch ekspertów do spraw Środkowego Wschodu z CIA oraz dla Billa Baldrige'a, który zjawił się tuż przed Samem Hayesem.

Schnidera, który był bezpośrednim przełożonym Billa, zaskoczył nieco widok wchodzącego na salę podwładnego. To zaskoczenie stało się jeszcze wyraźniejsze, kiedy Prezydent spojrzął na młodego oficera i przywitał go wesołym: „Cześć, Bill. Dobrze spałeś? Rad cię widzę”.

–Panowie – zagaił Prezydent, kiedy za dwójką usługujących do stołu kelnerów zamknęły się drzwi – zebraliśmy się tu, żeby porozmawiać zupełnie nieoficjalnie. I chcę wyłożyć swoje karty na stół, zanim uznamy, że nasze grono należałoby powiększyć o przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów. Otóż dopuszczam możliwość, że „Thomas Jefferson” rzeczywiście został trafiony nieprzyjacielską torpedą uzbrojoną w nuklearną głowicę bojową.

Zawiesił głos, żeby dać swoim słowom czas na dotarcie do świadomości zebranych.

–Obecny tu Bill Baldrige – podjął po chwili – to jeden z najlepszych fizyków jądrowych naszego kraju, oficer marynarki wojennej z doktoratem obronionym w Massachusetts Institute of Technology. Bill powiedział mi, że jego zdaniem nie ma takiej możliwości, aby nuklearna głowica bojowa detonowała przypadkowo, zwłaszcza zaś głowica przechowywana w silnie strzeżonym rejonie składowania nuklearnych środków rażenia na lotniskowcu. Co więc nam pozostaje? Jedynie wrogi atak. Poprosiłem więc

panów do siebie, żeby usłyszeć od was, kto, jak i dlaczego mógł tego ataku dokonać.

–No cóż – odezwał się sekretarz MacPherson. – Niewiele krajów w tamtym regionie ma takie możliwości. Nasz wywiad twierdzi, że żadna grupa terrorystyczna nie byłaby w stanie przeprowadzić podobnej akcji bez znaczącego wsparcia ze strony państwa dysponującego bronią jądrową.

–Obierzmy lepiej metodę eliminacji, Bob. Zaczniemy od tego, kto byłby w stanie to zrobić, ale prawdopodobnie by nie chciał.

–Odpadają Brytyjczycy. Odpada Francja. Odpada Pakistan. Odpada Izrael. Wszystkie te kraje mają broń jądrową, ale nie wykorzystalyby jej ani nie udostępniły nikomu innemu. Odpadają Indie. Ich broń jądrowa jest raczej prymitywna, a poza tym nie przejawiają szczególnego fanatyzmu, jeśli chodzi o obronę swoich oceanów. Czyli pozostają tylko Rosjanie, którzy są potencjalnymi dostawcami broni, oraz Chińczycy, których z kilku powodów izolujemy. Mamy też uzasadnione obawy co do stanu zabezpieczenia arsenałów broni jądrowej w Rosji i na Ukrainie.

Broń, która teoretycznie zniszczyła lotniskowiec, musiała być kompatybilna z systemem, z którego została odpalona. To oznacza, że Rosjanie, jeśli to byli oni, musieliby dostarczyć jedno i drugie.

–A te maluchy z łodziami podwodnymi, Algieria, Rumunia, Polska – wtrącił się admirał Morgan. – Że nie wspomnę o Iranie.

–No właśnie, co z nimi? – podchwycił Dick Stafford. – Chyba można ich uważać za potencjalnych wrogów USA.

–Może najpierw ustalmy kto, a dopiero potem jak i dlaczego? – zaproponował Prezydent.

–Panie prezydencie – odezwał się Harcourt Travis, siwowłosa były profesor Harvardu – „Jefferson” operował na Morzu Arabskim i podejrzewam, że miał w planach przynajmniej jedno wejście do Zatoki Perskiej. Powinniśmy skupić się na państwach, które z takiego czy innego powodu chciałyby się pozbyć Ameryki z Zatoki. A takimi państwami są na pewno Iran, który dąży do dominacji w tym regionie, oraz z jeszcze bardziej oczywistych powodów: obłąkańczy reżim plus zadawniona animozja do USA, Irak. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny kraj, który nienawidziłby nas aż tak, by posunąć się do ludobójstwa, za jakie uznać należy zatopienie lotniskowca.

–Zakładam – wtrącił admirał Morgan – że każdy z panów zdaje sobie sprawę z nierealności przeprowadzenia takiego ataku przez okręt nawodny. W grę wchodzi tylko łódź podwodna.

–Takie jest też obecne stanowisko marynarki – przyznał Prezydent, przypominając sobie rozmowę z ubiegłej nocy. – Twierdzą, że Grupa Uderzeniowa z łatwością zniszczyłaby, a przynajmniej zauważyła nadlatujący pocisk kierowany wystrzelony z samolotu bądź z okrętu nawodnego. To się jeszcze okaże.

–Ja jestem co do tego przekonany – powiedział admirał Morgan. – Zresztą sprawdzałem dzisiaj rano, panie prezydencie. Na ani jednym ekranie radarowym nie zaobserwowano żadnego okrętu obcej bandery kręcącego się w pobliżu lotniskowca. Raporty już napłynęły. Sam kapitan Barry jest w tej chwili w drodze do San Diego. W Waszyngtonie należy się go spodziewać najdalej jutro po południu.

–Dobrze. Jakież postępy w wyjaśnianiu hipotezy z łodzią podwodną?

–Jako były oficer służb uzbrojenia na atomówce – odezwał się Baldrige – skłaniałbym się ku opinii, że środkiem przenoszenia tej głowicy bojowej była raczej torpeda niż pocisk lecący nad wodą. Torpeda odpalona z odległości jakichś pięciu tysięcy metrów. Chyba wspominałem już o tym w nocy: podchodząc bliżej, atakujący ryzykowałby, że podzieli los swojego celu.

Nie ma też takiej możliwości, żeby duża atomowa łódź podwodna przemknęła się niewykryta w okolice centrum Grupy Uderzeniowej Lotniskowca. Próbowaliśmy. Jeśli porusza się szybko, namierzamy ją detektorami pasywnymi, tak zwanymi szumona-miernikami. Jeśli wolno, aktywnymi sonarami, które wykryją każdy duży kadłub. Koniec, kropka. W normalnych warunkach Grupa Uderzeniowa bez trudu wykryje zbliżający się okręt podwodny z odległości trzydziestu mil. To nie była jednostka o napędzie atomowym. To musiał być bardzo cichy, nowoczesny, oceaniczny okręt podwodny napędzany silnikami Diesla.

–Kto takie ma? – spytał Prezydent.

–Dziesiątki państw – odparł Baldrige. – Brytyjczycy, Francuzi, Rosjanie, Chińczycy. Łatwiej wymienić kraje, które nimi nie dysponują. Ale idę o zakład, że admirał Morgan wie, gdzie znajduje się w tej chwili każdy z nich.

–Owszem, śledzimy bacznie ich ruchy – przyznał admirał. – A jeśli chodzi o wykonalność, to jedynym krajem, który podejrze-

wałbym o wykręcenie nam takiego numeru, jest Iran. Chcą się nas pozbyć z Zatoki, rząd mają naspikowany islamskimi fundamentalistami i posiadają trzy rosyjskiej produkcji łodzie podwodne klasy Kilo, z których wszystkie stacjonują w ich bazie morskiej w Bandar-e Abbas, położonej zaledwie czterysta mil morskich od rejonu operowania „Thomasa Jeffersona”.

Irańczycy już od kilku lat starają się stworzyć własną flotę podwodną. Od rosyjskiej floty czarnomorskiej kupili dwie przechodzone Kilo, potem, w 1996 roku, trafiła im się trzecia, o wiele nowsza. Ze zrobionego pięć dni temu zdjęcia satelitarnego wynika, że wszystkie trzy cumowały wtedy w Bandar-e Abbas. Pentagon ma już pewnie zdjęcia aktualne. Sprawdziłem. Nikt nie widział, żeby któraś z nich wychodziła ostatnio w morze. Podejrzewam więc, że na tych nowych zdjęciach dalej będą stały tam, gdzie stały.

–A jeśli nie? Jeśli któreś będzie brakowało? – spytał Prezydent.

–Wtedy mamy głównego podejrzanego – odparł admirał Morgan. – Mają motyw i łódź podwodną.

–A Irak? – spytał Prezydent. – Oni też mają te Kilo?

–Teoretycznie nie można tego wykluczyć. Ale mają kłopot z portami. Brak w nich niezbędnej infrastruktury do obsługi łodzi podwodnych. Nie ukryłoby się przed nami, gdyby je mieli. Jak dotąd, żadnej nie zauważyliśmy. Jeśli przyjąć, że w jakiś sposób udało im się kupić albo wynająć taką łódź od rosyjskiej floty czarnomorskiej, to musieliby ją przeprowadzić przez Bosfor na oczach naszych satelitów oraz Turków.

Potem musieliby przepłynąć całe Morze Śródziemne, przemknąć się niepostrzeżenie przez obserwowaną bacznie Cieśninę Gibraltarską, skierować na południe i opłynąć Afrykę, tankując gdzieś po drodze, bo to dobre pięć tysięcy mil, następnie wejść na Ocean Indyjski i kierując się na północ dotrzeć do Morza Arabskiego, tam zmylić wszystkie systemy obronne naszej Grupy Uderzeniowej i rozwalić lotniskowiec torpedą wyposażoną w głowicę jądrową.

Konkludując, panowie, taka łódź podwodna nie miałaby żadnego portu macierzystego. Po wykonaniu zadania pozbyliby się jej. A w takim przypadku znaleźlibyśmy coś, a przynajmniej kogoś. Jeśli nie my, to ktoś inny.

Audytorium milczało zafascynowane tym wywodem. Pierwszy otrząsnął się sekretarz obrony MacPherson.

–Arnoldzie – spytał – czy mamy przez to rozumieć, że skreślasz Irak z listy podejrzanych?

–No, niezupełnie. Przypuszczam, że teoretycznie oni mogliby coś takiego przeprowadzić, ale prawdę mówiąc, szczerze w to wątpię. Okręt podwodny to bardzo skomplikowane urządzenie. W długich rejsach operacyjnych musi nim dowodzić prawdziwy ekspert. Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby Irakijczycy byli w stanie uknuć i przeprowadzić podobną intrygę. Widzicie, panowie, do tego potrzeba człowieka nie tylko inteligentnego. To zadanie dla geniusza. Mam nadzieję, że znalazłoby się u nas paru tej klasy dowódców. Angole też chyba mają dwóch takich. A po tego rodzaju akcji człowiek jest wypalony jak gliniana skorupa. Irak? Odpada.

–Biorąc pod uwagę cały wykład, chyba tak – przyznał Prezydent. – Szanse jak jeden do miliona. A Iran?

–Jeśli z tych najnowszych zdjęć satelitarnych wyniknie, że wszystkie trzy ich łodzie podwodne stoją sobie spokojnie w porcie -odparł admirał Morgan – to oni też raczej odpadają. Bo w takim przypadku, żeby tego dokonać, musieliby powtórzyć dokładnie wszystkie kolejne ruchy, które opisałem na przykładzie Irakijczyków, a jakoś nie widzę irańskiego kapitana w sterowni łodzi podwodnej wykonującej tego rodzaju misję.

–No dobrze – wymamrotał Prezydent z ustami pełnymi jajeczniczy. – To jak w końcu było z tym „Jeffersonem”?

Wczoraj wieczorem, kiedy rozeszła się wieść o zatonięciu lotniskowca, San Diego przeżyło wstrząs. Baza marynarki wojennej zamarła – ponad trzy tysiące rodzin straciło nagle ojców, synów, mężów. Dla wielu ta noc nigdy się nie skończy. Najtragiczniejsza w dziejach marynarki katastrofa okresu pokoju wprawiła to miasto w szok, z którego może się ono już nigdy nie otrząsnąć. Takiej liczby rodzin tracących jednocześnie swoich bliskich nie było nawet po pamiętnym trzęsieniu ziemi, które w 1906 roku zniszczyło San Francisco.

«San Diego Chronicle»

–To musiał być wypadek – orzekł Harcourt Travis. – Innego wytłumaczenia nie ma.

–Racja... nie ma innego wytłumaczenia... to musiał być wypadek... nic innego nie pasuje. –
Zgromadzeni przy stole mężczyźni

przychylali się stopniowo do jednomyślnego wniosku, wniosku poprawnego politycznie. Wniosku rozsądnego. Do pełnej jednomyślności zabrakło jednak jednego głosu. Najmłodszego głosu na sali.

–To nie był wypadek – powiedział cicho Bill Baldrige.

Prezydent spojrział na niego zaskoczony. Pierwszy jednak zareagował MacPherson.

–Bill – powiedział – wiem, że przeżywasz osobistą tragedię, i wszyscy, jak tu siedzimy, liczymy się z twoją opinią i doceniamy twoją znajomość techniki. Ale musisz zrozumieć, że nie wolno nam wysuwać na oślep oficjalnych oskarżeń pod adresem innego państwa, nie mając cienia dowodu. Nawet spójnego scenariusza, który dałoby się dopasować do potencjalnych wrogich intencji domniemanego agresora. Ośmieszilibyśmy się tylko.

–To prawda – odparował Baldrige. – Ale ośmieszymy się jeszcze bardziej, jeśli okaże się, że jakiś sukinsyn rzeczywiście nas zaatakował.

Prezydent Stanów Zjednoczonych siedział przez dłuższą chwilę nieruchomo i wpatrywał się w komandora porucznika Baldrige'a.

–Być może – odezwał się w końcu, odrywając od niego wzrok. – Ale instynkt polityczny podpowiada mi, że należy stanowczo odrzucić hipotezę zakładającą, że to nie był wypadek.

–I nie zapominajcie, panowie – dorzucił MacPherson – że rozmawiamy tu o polityce. Nie uzgadniamy, co robić, lecz co mówić. Każde zdanie, jakie padnie oficjalnie z naszych ust, będzie miało ogromne reperkusje, zarówno w kraju, jak i na świecie. Musimy się wypowiadać z najdalej posuniętą dyplomacją. Musimy chronić prezydenta, rząd, marynarkę oraz morale narodu. Nie wspominając już o obronności kraju, jedno rzucone nieopatrnie słowo, że jesteśmy podatni na atak, jakkolwiek atak, może być... eee... zachętą do działania dla kogoś jeszcze.

–To nie mój problem, sir – odparował Baldrige. – Ja uczestniczę w tym posiedzeniu jako naukowiec i moim zadaniem jest ułożyć z mnogości znanych faktów cząstkowych jeden fakt wypadkowy. Nie do mnie należy cenzurowanie czyichś wypowiedzi. Zakładam, że chcecie, bym z badał, czy ktoś rzeczywiście zatopił nasz lotniskowiec? A jeśli tak, to kto? I jak? Potem trzeba będzie ustalić, czy to czasem nie początek całej serii podobnych aktów. Jeśli chcecie, mogę pracować po cichu, w tle. Skoro zacho-

dzi podejrzenie, że ktoś nas zaatakował, musimy to do końca wyjaśnić, nawet gdybyśmy mieli nigdy nie przyznać oficjalnie, że prowadzimy takie dochodzenie.

–To chyba rozsądne postawienie sprawy – przyznał admirał Morgan. – Od tej chwili zaczynamy się poruszać w dwóch odrębnych płaszczyznach działania. Według mnie, Bill ma rację. Musimy wyjaśnić, czy coś się nie szykuje. Zgłaszam się na ochotnika do poprowadzenia dochodzenia, może jako koordynator odpowiadający przed Scottem Dunsmore'em.

Chciałbym współpracować ściśle z admirałem Schniderem i mieć w zespole Billa Baldrige'a. Jest wystarczająco młody, by działać niekonwencjonalnie, i na tyle inteligentny, żeby nie dać się wyprowadzić w pole. Jest również wystarczająco arogancki, żeby nie dać się zbyć, a to ważna cecha, bo nie bardzo chcemy się dowiedzieć, co ustali. W takim układzie główni gracze: pan prezydent, Dick, Sam, Bob i personel sekretarza obrony, będą mogli poświęcić cały swój czas formalnemu śledztwu, informowaniu na bieżąco opinii publicznej i odpowiedniej obróbce podawanych do ogólnej wiadomości komunikatów o stanie dochodzenia; nie używam tu słowa manipulacja, bo nie mnie to oceniać. Ale rozumiem znaczenie formy, w jakiej ta katastrofa zaprezentowana zostanie światu.

A my tymczasem, nic nikomu nie mówiąc, wmieszamy się w szumowinę tego świata. Przy odrobinie szczęścia uda nam się może odkryć, do czego naprawdę zmierzają te śmiecie.

–Z mojego punktu widzenia o wiele lepiej narazić się na wykpienie przez prasę i oświadczyć, że był to wypadek, niż przyznać, że zostaliśmy zaatakowani – powiedział Dick Stafford. – To sto razy gorsze wyjście, bo media nie zostawiłyby wtedy na nas suchej nitki.

Wypadek wzbudza w społeczeństwie ludzki odruch współczucia. Za to po oświadczeniu, że był to atak, prasa i telewizja mogłyby wysunąć zarzut, że dopuszczono do niego wskutek karygodnej nieudolności, wyzwalając tym samym w ludziach furie; już oni to potrafią. Potem dobraliby się do prezydenta, do każdego republikańskiego senatora, do członków Komitetu Sił Zbrojnych, nie wspominając już o marynarce i Pentagonie. Dobrze radzę, niech nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, żeby upublicznić informację, jakoby lotniskowiec marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych zatopiony został przez torpedę. Jeśli chcecie dać komuś

dobrą nauzkę, to proszę bardzo, z moim błogosławieństwem, ale błagam: nigdy, przenigdy, nie zdradźcie się słówkiem, za co ją dacie.

–Chyba nie za co, lecz jeśli – zauważył Prezydent.

–Nic nie mówcie – ciągnął Stafford. – Chcecie popędzić komuś kota, świetnie... chcecie komuś porachować gnaty, też świetnie. Ale pamiętajcie, że media nie zawahają się zarządać od władz przystąpienia do demontażu marynarki wojennej, nie bacząc, że to graniczy z szaleństwem. Oni tylko czekają, żeby powywieszać na suchych gałęziach wszystkich u władzy.

W tragicznej katastrofie, do której doszło, wczoraj na lotniskowcu „Thomas Jefferson”, miasteczko Hamlin straciło jednego ze swych najlepszych synów – wśród 6000 zabitych był dwudziestoosmioletni porucznik Billy-Ray Howell, pilot marynarki wojennej. Latał na myśliwcu F-14 Tomcat. Rodzice porucznika Howella, właściciele sklepu Village Store przy Main Street, byli wczoraj zbyt wstrząśnięci, by udzielić nam wywiadu. Oczekują teraz przybycia synowej, pani Suzie Howell, która jedzie do nich z Mary- * landu, z tamtejszej bazy marynarki wojennej.

«Huntingdon Herald-Dispatch»

–Republikańska administracja jest, jaka jest – powiedział Prezydent – ale ma to do siebie, że przyciąga do Białego Domu mnóstwo bardzo mądrych, bardzo elokwentnych facetów. Sądzę, że idziemy dobrą drogą, ale chcę przestrzec przed jednym niebezpieczeństwem. I miejcie to na uwadze we wszystkim, co będziecie robili w nadchodzących tygodniach. Nie dopuszczę do zgnojenia marynarki. Nie życzę sobie, żeby te dupki robiły społeczeństwu wodę z mózgu trąbieniem, że broń jądrową powinno się objąć zakazem. Jedynym gwarantem wolności na tej przeklętej planecie jest żelazna pięść amerykańskich grup uderzeniowych lotniskowców. Bali się nas nawet Rosjanie u szczytu swej potęgi. I nie pozwolę, żeby zamulano nam umysły jakimś lewicującym pieprzeniem i bełkotem. Miejcie to na względzie, dobrze?

Odpowiedziały mu pomruki aprobaty.

–Akceptuję inicjatywę admirała Morgana – powiedział na zakończenie Prezydent. – Niech pokieruje wnikliwym, nieoficjalnym dochodzeniem i odpowiada przed Scottem Dunsmore'em. Wdzięczny też będę admirałowi Schneiderowi, jeśli zgodzi się z nim

współpracować ściśle tak długo, jak okaże się to konieczne. Komandora Baldrige'a przydzielam do zespołu w charakterze agenta operacyjnego. Proszę przekazać generałowi Paulowi, że dziś po południu wpadnę na jakąś godzinę do Pentagonu na tę naradę wojskową. Jutro wieczorem chyba znowu wystąpię w telewizji. Dziękuję panom. I przypominam o dyskrecji.

Była dziesiąta rano, kiedy śniadaniowi goście Prezydenta zaczęli się rozchodzić. Admirał Morgan zaprosił Billa Baldrige'a i obu agentów CIA do Pentagonu na rozmowę przed popołudniowym zebraniem. Zapakowali się w czwórkę do dużego sztabowego samochodu marynarki, który czekał pod drzwiami Białego Domu. Admirał kazał kierowcy jechać do waszyngtońskiego portu marynarki wojennej.

Po drodze zatrzymali się przed muzeum marynarki wojennej, a ściślej przed działem poświęconym okrętom podwodnym, skąd zwiedzający mogą podziwiać przez peryskopy panoramę Waszyngtonu.

Dwaj przedstawiciele CIA – Jeff Zepeda, urodzony w Brooklynie ekspert do spraw Iranu, oraz major Ted Lynch, czołowy specjalista Agencji do spraw finansów i wielki znawca Środkowego Wschodu – zaczęli się już zastanawiać, jaki cel ma ta tajemnicza wycieczka. Ich ciekawość szybko została zaspokojona. Admirał Morgan przywołał kierownika przewodników i ten zaprowadził ich do dużych peryskopów eksponowanych za grubymi, czerwonymi, aksamitnymi linami.

–Patrzyliście już kiedyś przez peryskop, chłopcy? – zapytał pogodnie admirał.

–Ja nie – przyznał Jeff.

–Ja też nie – zawtórował mu Ted.

–Dobrze – orzekł admirał. – Nastawię teraz ostrość, a potem dam popatrzeć Jeffowi i będę mu mówił, co widzi.

Osobiście, z gracją człowieka mającego te rzeczy w małym palcu, wyregulował peryskop.

–No, teraz spójrz – powiedział, skończywszy.

Jeff Zepeda podszedł do peryskopu, chwycił za rączki i pochyliwszy się, spojrzął na dachy waszyngtońskich budynków.

–Widzisz gmach Kapitolu? – spytał admirał.

–Tak, widzę. O kurczę, nawet spory, ale jakoś daleko.

–Teraz poproszę cię, żebyś sobie coś wyobraził... wyobraź sobie, mianowicie, że ten ogromny gmach to USS „Thomas Jef-

erson", zgoda? I wyobraź sobie, że masz mu za chwilę wpakować prosto w brzuch torpedę, unicestwiając tym samym do nogi całą jego załogę. A to tysiące ludzi... – Zawiesił na chwilę głos. – Uświadamiam ci, że za chwilę zniszczysz życie tysiącom zupełnie ci nieznanych, uczciwych osób: żonom, dzieciom, matkom, ojcom i młodym ludziom u szczytu zawodowej kariery. Widzisz teraz to co on, kiedy wydawał ostatnią komendę... „Namiar jeden-trzy-pięć, odległość siedem tysięcy metrów... P a 1!”

Zdajesz sobie sprawę, Jeff, jaki musiałby z ciebie być drań, żeby zrobić coś takiego? Jeśli się nie mylę i jeśli nie myli się obecny tu Bill Baldrige, szukamy najbezwzględniejszego mordercy w dziejach ludzkości. I obawiam się, że jest to również człowiek cholernie przebiegły. Obojętne, co mówią w Białym Domu i w Pentagonie, musimy go dopaść, bo w pełni zgadzam się z Billem, że ten sukinsyn może to powtórzyć.

Jeff Zepeda wyraźnie wstrząśnięty cofnął się od peryskopu. Służył w ambasadzie amerykańskiej w Teheranie aż do jej opanowania w 1979 roku przez Strażników Rewolucji. Jako tajny agent, przebrany za Araba, przez trzy lata kursował pociągiem między Teheranem a Damaszkiem. Obserwował z ciemnych bram, z bez- t piecznych domów, jak nieprzebrane masy zwolenników Ajatollaha wymachują sztandarami z proklamacją ANI WSCHÓD, ANI ZACHÓD – REPUBLIKA ISLAMSKA.

Bywał w opałach największych z możliwych, po wielomiesięcznych staraniach przeniknął do Hezbollahu, zaprzyjaźnił się z jednym z mułłów, uwalniał zakładników. Chyba jednak nic, czego doświadczył przez te lata służby w charakterze głęboko zakonspirowanego agenta operacyjnego CIA, nie zmroziło go tak, jak słowa admirała Arnolda Morgana. Kiwnął tylko głową jak profesjonalista, który rozumie, o co idzie gra.

Admirał Morgan wyregulował ponownie peryskop.

–No, Ted, spójrz teraz ty – powiedział cicho, już bez gniewu w głosie. – Masz przed sobą wierzchołek pomnika Waszyngtona. Wyobraź sobie, że to wysoki maszt radiowy na wysepce „Thomasa Jeffersona”. Bezpośrednio pod nim znajduje się stanowisko najbardziej uznanego zawodowca marynarki wojennej, admirała Zac-ka Carsona.

Obok niego stoi kolega prezydenta, kapitan Jack Baldrige, brat Billa. Obaj starają się tylko utrzymać pokój na tych zakazanych wodach sąsiadujących z Zatoką Perską. Ale zostały im już tylko

sekundy życia, bo ty za chwilę wydasz komendę, zetrzesz wszystkich na pył.

Patrz, Ted, patrz. Spróbuj się wczuć w tego przeżartego na wskroś złem sukinsyna z łodzi podwodnej. On gdzieś tam jest, Ted. I my go znajdziemy, i zniszczymy, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobimy w życiu. Wyraźnie to sobie powiedzmy. Ten lotnikowiec nie zatonął wskutek nieszczęśliwego wypadku. Wiemy to my, wie prezydent i z pewnością wie Scott Dunsmore. Przyprowadziłem was tutaj, żeby rozniecić w was zaciętość, uzmysłwić rangę naszej obecnej sytuacji.

Jednym z najważniejszych członków załogi poległych na pokładzie „Thomasa Jeffersona” był podporucznik Jim Adams, szef obsługi urządzeń przechwytyjąco-hamowniczych. Przed dwoma miesiącami w bostońskim szpitalu jego żona Carole wydała na świat ich pierworodnego. Na chrzcie nadano mu imiona Carl Edward, po słynnych graczach drużyny Red Sox, Carlu Yastrzemskim i Tedzie Williamsie, ale pochodzący z South Boston oficer marynarki nie zdążył zobaczyć synka. Rzecznik prasowy Red Sox zapowiedział wczoraj wieczorem, że drużyna 2002 weźmie w pełnym składzie udział w nabożeństwie żałobnym za duszę podporucznika Adamsa, które odprawione zostanie pod koniec tego miesiąca w Old North Church, kościele patriotów.

«Boston Globe»

Samochód z czterema mężczyznami przemknął przez most nad Anacostia River i znalazł się na drodze szybkiego ruchu. W jakiś czas potem skręcił z niej na zachód i pokonawszy most Woodrowa Wilsona wpadł w uliczki historycznego osiemnastowiecznego portu tytoniowego Aleksandria, rodzinnego miasteczka dwóch wielkich amerykańskich generałów – George'a Washingtona i Roberta E. Lee.

Zatrzymali się w dzielnicy portowej przed nadbrzeżnym barem restauracyjnym. Zarezerwowany dla nich stolik owiewały rozkosznie podmuchy lekkiego wietrzyka od południa, wciskające się przez drobną siateczkę pod płócienny dach werandy, z której rozciągał się widok na szeroki Potomac. Od najbliższego ze wścibskich sąsiednich stolików dzieliły ich dobre trzy metry.

–Będziemy tu mieli spokój – powiedział admirał. – Nikt nas nie zobaczy, nikt nie rozpozna i nikt nie podsłucha. Lokal jest co tydzień czyszczony. Wychodząc, skorzystamy z tamtych drzwi, na których napisano „Wstęp wzbroniony”, i zejdziemy do czekającego samochodu po znajdujących się za nimi zewnętrznych drewnianych schodach.

Admirał Morgan zamówił kawę, poprosił swój zespół o uwagę i zabrał głos.

–Dobrze, chłopcy, przewalkujmy to jeszcze raz. Jeśli ktoś nas zaatakował, to tylko torpedą odpaloną z łodzi podwodnej, zgoda? I zgadzamy się wszyscy, że prawdopodobnie zrobił to Iran.

Bill Baldrige i admirał wiedzieli już ze wstępnych raportów docierających z Morza Arabskiego, że tuż przed swoim zniknięciem „Thomas Jefferson” płynął kursem południowo-zachodnim. Jeśli łódź podwodna na niego czekała, to lotniskowiec wyszedł jej przed dziób od lewej strony. Torpeda wystrzelona została pod kątem z grubsza siedemdziesięciu stopni do kursu ogromnego okrętu, prosto w znajdujące się głęboko pod linią wodną serce przepływającego lotniskowca, co oznaczało, że odpalając ją, łódź musiała być ustawiona dziobem na południowy wschód.

Bill zwrócił uwagę na treść przytoczonej przez admirała Morgana przypuszczalnej ostatniej komendy wydanej na łodzi podwodnej: „Namiar jeden-trzy-pięć. Odległość siedem tysięcy metrów”.

–Uwzględnił nawet te dwa tysiące metrów, które przepłynie jeszcze lotniskowiec, zanim torpeda go dosięgnie – wymruczał teraz pod nosem. – Ten skurczybyk jest sprytniejszy ode mnie.

–Dobrze – ciągnął admirał. – Przypuśćmy, że jesteśmy Irańczykami. I realizując jakiś pokrętny plan wypłoszenia Wuja Sama z Zatoki, zamierzamy zatopić lotniskowiec Stanów Zjednoczonych. Dysponujemy trzema łodziami podwodnymi klasy Kilo. Dwie w generalnym remoncie, którego końca nie widać, trzecia na chodzie. Podstawowe pytanie: Czy mamy na pokładzie torpedy uzbrojone w jądrowe głowice bojowe? Odpowiedź: Nie.

Sprzedając nam łódź, Rosja mogła dorzucić też torpedy, lecz bez głowic jądrowych, chociaż ma takie, gotowe do użytku. Niewiele sobie robią z zakazów, ale woleliby uniknąć oskarżenia o dostarczenie broni obcemu państwu, które z miejsca wykorzystało ją do przeprowadzenia ataku nuklearnego na marynarkę Stanów

Zjednoczonych. Już tak mało rozgarnięci to oni nie są. Od kogo zatem wydebiliśmy jądrowe głowice bojowe?

–Od Chin – odpowiedział Ted Lynch. – Tam je mogli kupić i przetransportować morzem.

–To duże ryzyko – powiedział Morgan. – Istnieje coś takiego, jak traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Nasza marynarka i nasze satelity pilnują bardzo, ale to bardzo skrupulatnie jego przestrzegania. Zresztą mało prawdopodobne, żeby chińskie głowice pasowały do wyprodukowanej w Rosji Kilo. W związku z tym Irańczycy musieliby spędzić parę ładnych miesięcy w którejś z chińskich stoczni. A wiemy, że to nie miało miejsca.

Załóżmy jednak, że chińskie głowice nadają się do zastosowania na irańskiej łodzi podwodnej bez żadnych modyfikacji. Są dwa sposoby dostarczenia ich na pokład Kilo: pierwszy, to przewieźć je chińskim frachtowcem do Bandar-e Abbas... mało prawdopodobne. Ale sprawdzamy taką ewentualność. Drugi, to potajemne przekazanie głowic na pełnym morzu, z frachtowca na łódź podwodną. Też mało prawdopodobne, bo wiemy, że w zeszły czwartek ich łodzie podwodne stały sobie spokojnie w Bandar-e Abbas.

Nawet Irańczycy nie kwapiliby się zbyt, by do swoich portów wojennych ściągać jądrowe głowice bojowe morzem, pod naszym nosem, na oczach naszych satelitów zwiadowczych i naszych ludzi na lądzie. Zdają sobie sprawę, że mogliby nas tym porządnie zdenerwować.

–Tak – odezwał się Jeff Zepeda. – Zgadzam się z panem. Nie sądzę, żeby ryzykowali transakcję z Chinami. To zbyt skomplikowane, zbyt niepewne i odległość zbyt duża. Nie mieści mi się w głowie, żeby porywali się na coś tak śliskiego, na czym z łatwością można się przejechać z ogromną szkodą dla własnych interesów.

–Gdybym był ajatollahem i chciał dopieć amerykańskiej marynarce – powiedział Baldrige – to wiem, co bym zrobił. Odnowiłbym kontakty z Rosją. Kupiłbym albo wypożyczył od nich czwartą Kilo z Morza Czarnego, regulując należność gotówką, amerykańskimi dolarami,' i zajął do niej komplet torped, w tym przynajmniej dwóch uzbrojonych w jądrowe głowice bojowe.

Wysłałbym tam swoją ekipę, żeby dogadała się bezpośrednio z którymś z tych rosyjskich kapitanów, którym od około dwóch lat rząd nie wypłaca poborów. I przekupiłbym go sumą, która nawet mu się nie śniła. Następnie na pokład wkroczyłby mój najlepszy

z najlepszych dowódców i potajemnie, w zanurzeniu, przeprowadził łódź przez Bosfor, wciskając załozę jakąś wiarygodną historyjkę. Pamiętajmy, że sto milionów dolarów to może góra szmalu dla mafii, ale drobniaki dla rządu kraju, który leży na ropie naftowej. Tak bym właśnie zrobił.

–Ja również – przyznał admirał Morgan. t

–Jest jeden mały problem – odezwał się Ted Lynch, były oficer armii amerykańskiej, który przesłużył kilka lat przy środkowowschodnich ambasadach i konsulatach Stanów Zjednoczonych. – To nielegalne. Żeby przeprowadzić przez Bosfor jakikolwiek okręt wojenny, musisz dwa miesiące wcześniej zwrócić się do Turków o zgodę. Oba brzegi cieśniny to terytorium tureckie.

Gdybyś utknął na mieliźnie, Turcy mogliby zupełnie legalnie skonfiskować jednostkę na mocy prawa ratowniczego, a na twoje protesty powiedzieliby, rozkładając ręce: „Przecież bezprawnie wpłynąłeś na tureckie wody, i do tego z bronią jądrową na pokładzie”.

Jest takie wojskowe powiedzonko, które powstało w czasach Imperium Otomańskiego i wcale się nie dezaktualizowało. Nie pamiętam go dokładnie, ale w wolnym tłumaczeniu z greki, łaciny czy czegoś tam brzmi mniej więcej tak: „Nie zadzieraj z bratem Turkiem, albowiem wkurzy się i to bardzo”. Możecie mi wierzyć. t Wejdźcie w Bosforze na płyciznę, a już nigdy nie odzyskacie swojego okrętu.

–Zgoda, ale ci ręcznikogłowi to fanatycy – odezwał się admirał Morgan. – Wierzą ślepo w tego swojego Allaha. Wierzą, że oddanie życia dla sprawy to przepustka do raju. Śmierć nie znaczy dla nich tego samego, co dla nas. Poszliby na coś takiego, gdyby naprawdę chcieli zadać miazdzący cios „Amerykańskiemu Szatanowi” – bo za takiego nas powszechnie mają.

Zamilkli na chwilę rozważając, każdy osobno, możliwość zuchwałego sforsowania przez kogoś Bosforu pod samym nosem Turków.

–Musimy pamiętać jeszcze o jednym – odezwał się pierwszy Baldridge – o tym mianowicie, że odbywając tego rodzaju rajd trzeba przepłynąć przez sam środek stambulskiego portu! Wyobrażacie sobie to lawirowanie między promami z ciągnącym się za wami, widocznym z daleka, spienionym białym śladem, który pozostawia na wodzie wysunięty peryskop?

–Na to są sposoby – zauważył admirał Morgan.

MHHfVHW

–Owszem – przyznał Baldrige. – Ale nie tam, gdzie głębokość nie przekracza trzydziestu metrów, a dno usiane jest starymi wrakami i Bóg jeden wie, jakim jeszcze śmieciem.

–Mimo wszystko są sposoby – powtórzył admirał Morgan. – Podstawowe pytanie brzmi: czy Iran albo w ogóle jakiś kraj arabski dysponuje człowiekiem na tyle dobrze wyszkolonym, by w ogóle myśleć o podobnej misji? Niewielu jest na świecie oficerów podwodniaków, którzy potrafiliby dokonać takiego wyczynu. I są to prawdopodobnie Brytyjczycy. Marynarka Stanów Zjednoczonych od lat nie używa małych łodzi podwodnych o napędzie dies-łowskim.

–Same ślepe tropy – odezwał się Zepeda. – A wszystkie prowadzą nas do jakiegoś bardzo cwanego Araba, w którego istnienie nie wierzymy.

–A to się chłopcy z Pentagonu dziś po południu ucieszą -zauważył Lynch. – Wiadomo, jak im zależy na trzymaniu się wersji wypadku. A politycy tylko im przyklasną. Widać gołym okiem, że

, prezydent w wypadek nie wierzy. Ale nie będzie miał wyboru. Wypadek to też nieprzyjemna sprawa, i w ogóle. Ale atak nuklearny na okręt Stanów Zjednoczonych... Jezu! To prawie wojna, mogłaby wybuchnąć panika. A już na pewno w paniczny ton uderzyłyby media. No, przynajmniej by go pozorowały.

–To prawda – przyznał Morgan. – I w pewnym sensie dobrze się dla nas składa. Bo mamy mnóstwo pytań. Zbiorę wszystkie informacje o ruchach każdej łodzi podwodnej świata w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Na początek zastosujemy metodę eliminacji, zgromadzę całą dokumentację, wszystkie meldunki. Wiele z nich będzie dotyczyć wielorybów, ale może na coś trafimy. Przypominam sobie pewien niewyjaśniony incydent sprzed dwóch miesięcy, który trochę mnie zafrapował. Przydałoby się go jeszcze raz przeanalizować.

Ale najpierw chciałbym porozmawiać z Tedem na temat metod śledzenia dróg przepływu dużych ilości gotówki.

–Z każdym rokiem coraz z tym trudniej. Tyle jest zagranicznych banków, idzie tyle transferów telegraficznych, że nie sposób tego wszystkiego ogarnąć.

–Tak – powiedział Morgan. – Ale mnie chodzi o sumy od dziesięciu milionów zielonych wzwyż. To chyba upraszcza sprawę. – Naturalnie, panie admirale. Rekordowego tempa nie mogę obiecać. Ale chyba da się zrobić.

–Jak się do tego zabierzesz, Ted?

–Najpierw zasięgnemy dyskretnie języka w portach wojennych na Morzu Czarnym, zwłaszcza w tych, gdzie cumują łodzie podwodne. Duże sumy pieniędzy w małych, zwartych społecznościach dosyć szybko wypływają. Jeśli jednak nasze przypuszczenia są słuszne, wcale się nie zdziwię, kiedy okaże się, że odbiorców było kilku. Gorzej będzie z ustaleniem źródła pieniędzy oraz osoby, która zajmowała się ich dystrybucją. Z tym że to góra szmalu, a trudno ukryć górę czegokolwiek.

Jeff Zepeda powiedział, że przez swoje irańskie kontakty i agentów postara się trafić na ślad intrygi mającej na celu zniszczenie amerykańskiego lotniskowca.

Billowi Baldrige'owi nie dawał spokoju problem tajemniczego arabskiego dowódcy.

–Ja to widzę tak – powiedział. – Nie wiem, może się mylę, ale naprawdę nie wydaje mi się, żeby Irańczycy do zaatakowania amerykańskiej grupy uderzeniowej użyli jednej ze swych łodzi, o których powszechnie wiadomo, mówię o tych trzech Kilo rosyjskiej produkcji stacjonujących w Bandar-e Abbas.

Jezu, przecież to nie byłby już nawet akt terroryzmu, lecz próba, rozpętania wojny. Według mnie bardziej prawdopodobne jest, że postaraliby się o czwartą łódź. Dajmy na to, że kupili ją lub wypożyczyli z Morza Czarnego, ukradkiem opłynęli glob i odszukali „Thomasa Jeffersona”.

Zdaję sobie sprawę z problemów niemal nieprzewyciężonych z czysto technicznego punktu widzenia, jakie by dalej napotkali. Ale jedno nie daje mi spokoju. Wiecie co? Musieliby mieć kogoś nieprzeciętnego, jakiegoś genialnego arabskiego podwodniaka, faceta, który potrafiłby się przemknąć niezauważony przez Bosfor, przez Cieśninę Gibraltarską, przez gęste sito naszych systemów obserwacji powierzchni morza i głębin prowadzonej z powietrza i przez okręty.

To musiałby być istny geniusz. Kto mógłby nim być? Musieliby mieć w sterowni łodzi podwodnej jakiegoś dowódcę, i to swojego, który wydaje rozkazy. Ale kto by go wyszkolił? Czy mógłby to być Amerykanin zdrajca? Brytyjczyk zdrajca? Nie chce się wierzyć w istnienie takiego człowieka. Ale, panowie, jeszcze trudniej mi uwierzyć w samoistny wybuch tego przeklętego uranu.

Im dłużej admirał Morgan słuchał Baldrige'a, tym bardziej podobał mu się ten człowiek. Podobali mu się zresztą wszyscy trzej

mężczyźni siedzący z nim przy narożnym stoliku tej małej nadbrzeżnej restauracyjki w kolonialnej Aleksandrii. Ale Baldrige imponował mu szczególnie. Baldrige był terierem o jasnym umyśle i tropił szczura. I przejawiał w tym wielkie zaangażowanie, zmagał się samodzielnie z problemem, biorąc na swe barki cały ciężar jego rozwiązania.

–Einstein ze ścierką w czerwono-białą kratkę na głowie -wymruczał Baldrige. – Oto kogo szukam.

Admirałowi nie umknął fakt, że Baldrige użył liczby pojedynczej. Zachichotał.

–Nie zaperzaj się tak – powiedział. – Może się to odbić niekorzystnie na twoim obiektywizmie.

Komandor porucznik Baldrige nie odpowiedział. Upił łyk kawy i mruknął w przestrzeń:

–Najgorsze, że ten skurwiel wciąż gdzieś tam krąży.

Spółeczeństwo amerykańskie ma prawo wiedzieć, jakie konkretnie są gwarancje, że do podobnego wypadku nie dojdzie ponownie. Tryskający samozadowoleniem sztabowcy z Pentagonu – szczególnie ci z Departamentu Marynarki Wojennej – wygłaszają na temat katastrofy bzdurne oświadczenia, nie licząc się zupełnie z odczuciami rodziców młodych chłopców, którzy studiują obecnie w Akademii w Annapolis. Ci ludzie chcą wiedzieć, jakie jest ryzyko powtórzenia się podobnych wypadków. Mają pełne prawo się tego domagać. I nie chodzi tu o wzięty z sufitu „przypadek jeden na miliard”, rzucony przez Prezydenta, lecz o podanie do publicznej wiadomości faktycznego szacunku. Dla ilu jeszcze naszych chłopców Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych stanie się śmiertelną nuklearną pułapką?

„. «San Francisco Times» (edytorial)

Admirał Morgan, nie pytając nikogo o zdanie, autorytatywnie zamówił na stół wielką micę cesarskiej sałatki i francuski chleb.

–Zjedzmy i wracajmy do Pentagonu – powiedział. – Czekają nas cztery godziny wysłuchiwanie najtęższych wojskowych głów tego kraju dyskutujących o wypadku, w który sami nie wierzą.

Roześmieli się wszyscy i przystąpili do chrupania mniej więcej czterech akrów pięknie przybranej sałaty, przeżuwania gorącego

pieczywa i siorbania kawy. Nad stolikiem zawisło niezręczne milczenie. Po skończonym posiłku przeszli przez drzwi opatrzone napisem „Wstęp wzbroniony”, zeszli schodami na dół, wsiedli do sztabowego samochodu i niecałą minutę później pędzili

już Washington Parkway na północ, w stronę Pentagonu.

*

Zebranie w sali konferencyjnej przewodniczącego Kolegium jeszcze się nie rozpoczęło, ale admirał Dunsmore studiował już przysłany z Hawajów raport kapitana Barry'ego wyszczególniający liczbę zabitych i rannych na innych okrętach. Wynikało z niego, że najwięcej ofiar było na „Port Royal”, który w momencie eksplozji znajdował się cztery mile od lotniskowca. Grad fruwających w powietrzu odłamków szkła i metalowych strzępów uśmiercił dziesięciu członków załogi. Dwudziestu odniosło rany, w tym dziewięciu ciężkie. Tylko dzięki dziwnemu kątowi, pod jakim nacierały fale, okrętowi udało się wyprostować. A niewiele już brakowało, żeby przewrócił się do góry stępką. Poważnie uszkodzony, włókł się teraz do amerykańskiej bazy morskiej na Diego Garcia.

„Vicksburg” ucierpiał minimalnie, ale na niszczycielach „O'Kane” i „O'Bannon”, które również znajdowały się blisko lotniskowca, było czterech zabitych i czterdziestu hospitalizowanych z ciężkimi poparzeniami, ranami ciętymi, potłuczeniami, połamanymi żebrami, rękami i obojczykami. Takie żniwo zebrała pierwsza ogromna fala spowodowana wybuchem. Okrętom tym udało się wywinąć śmierci i podobnie jak „Port Royal” wracały teraz noga za nogą na Diego Garcia.

Kapitan Barry donosił również, że chmura radioaktywna przemieszcza się w klasyczny sposób – nisko, rozciągnięta w kształt długiej na pięćdziesiąt mil trąby. Kilka okrętów znalazło się szczęśliwie poza zasięgiem jej śmiertelnościanego jęzora. Ale kapitan Barry miał w nocy nie lada trudności z nawigacją w smolistych ciemnościach, we mgle i przy szwankującej wciąż łączności.

Udało mu się jakoś uruchomić dwa stosunkowo mało uszkodzone helikoptery i wysłać nimi chirurgów na najbardziej poszkodowane okręty. Na dwóch z nich działały tylko słabe światła awaryjne. Dawał się też bardzo we znaki brak pomocniczego personelu

i sprzętu medycznego, ponieważ główny szpital znajdował się na samym lotniskowcu. Nikt z wyższych oficerów Pentagonu nie zazdrościł kapitanowi Barry'emu tej nocnej gehenny.

Admirał Dunsmore poprosił o ciszę na sali i krótko streścił raport kapitana Barry'ego, potwierdzający, że nuklearna eksplozja zniszczyła lotniskowiec i omal nie zatopiła dwóch innych okrętów Grupy. Do raportu dołączony był meldunek z Bojowego Centrum Informacji niszczyciela USS „Hayler”, w którym szef służb zwalczania zagrożeń podwodnych donosił o zarejestrowaniu o godzinie 11.45, siódmego lipca, czyli w przeddzień eksplozji, zanikającego kontaktu radarowego. Kontakt utrzymywał się na ekranie tylko przez cztery obroty przemiatające radaru, nie było więc szans na określenie ani kursu, ani szybkości. Operator zdążył jedynie zapisać namiar 5136.

–Czy powiadomili o tym lotniskowiec? – przerwał niemal * obcesowo szefowi operacji morskich admirał Morgan.

–Naturalnie – odparł admirał Dunsmore. – Kapitan Baldrige podjął natychmiast stosowne działania. Wysłał na patrol dwa sea hawki. Przeczesaly rejon za rufą lotniskowca, zrzuciły do wody barierę z osiemnastu, jak tu napisano, aktywnych pław akustycznych. Zarządzono stan gotowości na wszystkich okrętach, ale bariera nie została przecięta. Nic przez nią nie przeszło, co każe przypuszczać, że był to prawdopodobnie wieloryb.

–Albo łódź podwodna o napędzie dieslowsko-elektrycznym płynąca na głębokości peryskopowej na silnikach elektrycznych -wtrącił Bill Baldrige. – W nieco większej odległości od rufy, niż przypuszczaliśmy. Spostrzegli pławę akustyczną i zawrócili. Żeby odczekać.

–Jak to? – zdziwił się Jeff Zepeda. – Przecież gdyby szli na głębokości peryskopowej, wykryłyby ich chyba nasze radary?

–I wykryjy – powiedział cicho Baldrige. – To pewnie ten namiar 5136.

Przy ogromnym stole w pentagońskiej sali konferencyjnej zrobiło się nagle cicho jak makiem zasiał. W słowach młodego komandora porucznika było coś nierealnego. W jaki, u licha, sposób jakakolwiek łódź podwodna zdołała podejść niewykryta tak blisko do lotniskowca? Dwaj przedstawiciele CIA wymienili posępne spojrzenia. Dowódcy z Floty Pacyfiku powsadzali nosy w swoje raporty. Admirał Morgan promieniał, a Scott Dunsmore spochmurniał.

Szef operacji morskich otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył. Drzwi rozwarły się z impetem, stanął w nich wartownik z mańnes i trzasnąwszy obcasami obwieścił: „Prezydent Stanów Zjednoczonych”. Zwierzchnik Sił Zbrojnych wkroczył na salę w asyście szefa swojej ochrony i sekretarza obrony. Obecny prezydent bywał w Pentagonie częściej niż którykolwiek z jego bezpośrednich poprzedników. Od czasów Eisenhowera nie było lokatora Białego Domu, który przejawiałby tak żywe zainteresowanie sprawami wojskowymi. Żaden z nich nie stał również w obliczu kryzysu szarpiącego nerwy bardziej niż ten, który nabrzmiewał właśnie w Waszyngtonie w pełni lata 2002 roku.

–Przepraszam, że wpadłem trochę wcześniej – powiedział od progu Prezydent – ale ta sprawa ma teraz dla mnie priorytetowe znaczenie. Być może jeszcze dziś wieczorem, a najdalej jutro, wystąpię znowu w telewizji i muszę być na bieżąco z sytuacją. Możecie wprowadzić mnie w temat?

–No, więc, panie prezydencie... – zająknął się admirał Dunsmore -... omawiamy właśnie raport kapitana Barry'ego, w którym jest wzmianka o kontakcie radarowym z dnia poprzedzającego tragedię, zarejestrowanym przez jeden z naszych niszczycieli i zweryfikowanym przez nasze helikoptery. Kontakt był bardzo słaby. Utrzymywał się na ekranie tylko przez cztery obroty przemiatające radaru.

–1 to właśnie wskazuje na mistrza – wyrzucił z siebie Baldrige tonem pełnym żaru, z kompletnym nieposzanowaniem protokołu. Prezydent zdążył już jednak przywyknąć do niekonwencjonalnych zachowań brata Jacka Baldrige'a.

Oczy wszystkich zwróciły się na komandora porucznika Baldrige'a. Ale pierwszy zareagował Prezydent.

–Rozwiń temat, Bill.».

–Chętnie, panie prezydencie. Otóż, każda łódź podwodna wykonująca tego rodzaju zadanie będzie operowała w sposób bardzo skryty. Nasza, moim zdaniem, poruszała się z prędkością nie przekraczającą trzech węzłów, przy której rosyjskie Kilo są kompletnie niesłyszalne. Oto mój scenariusz. Łódź prowadzi nasłuch odgłosów generowanych przez Grupę Uderzeniową. Słyszy rozmowy prowadzone poprzez kanały łączności, wyłapuje pracę wałów napędowych, zwłaszcza tych gigantycznych, najhałaśliw-szych, należących do lotniskowca.

—

Tutaj wtrącił się admirał Morgan, były dowódca atomowego okrętu podwodnego:

–Łódź podwodna wie, na jakim kierunku znajdują się statki nawodne, ale nie zna dokładnej odległości, jaka dzieli ją od lotniskowca. Prowadząc przez pewien czas nasłuch, potrafi określić dosyć precyzyjnie jego kurs i szybkość. Ale wysunięcie peryskopu zaryzykuje tylko wtedy, kiedy uzna, że na pewno coś przez niego zobaczy.

Kapitan przez najwyżej siedem sekund przepatruje kierunek wynikający z namiaru sonaru. W warunkach monsunowych widoczność jest kiepska. Prawdopodobnie niczego nie dostrzega. Podejmuje więc próbę przeczesania przedpola elektronicznymi środkami kontroli, celem stwierdzenia, czy w rejonie zdjętego sonarem namiaru nie pracuje jakiś radar, ale ma na to co najwyżej trzy sekundy. To bardzo dla niego niebezpieczne, bo w trakcie tej operacji może zostać wykryty. Chowa czym prędzej peryskop, schodzi ponownie na większą głębokość, i z tą chwilą łódź podwodna znika dla świata zewnętrznego bez śladu.

Zwróćcie panowie uwagę, że jej peryskop nie pozostawał wysunięty ponad powierzchnię dłużej niż siedem sekund, czyli właśnie tyle, ile z grubsza trwały cztery obroty przemiatające radaru „Haylera”. To wtedy nasz niszczyciel namierzył wystający na pół metra z wody duży peryskop przeszukujący łodzi podwodnej. Potem kontakt się zrywa... ale ona wciąż tam jest.

–O cholera – mruknął Prezydent.

–Tak, a to jeszcze nie wszystko – ciągnął admirał Morgan. – Pamiętajcie, jak wolno się ona porusza. Cicho z prędkością około trzech węzłów, zataczając prawdopodobnie kręgi o promieniu czterech mil. Jeśli jej dowódca jest inteligentny, a za takiego go uważam, ustawi się po podwietrznej lotniskowca, zawsze po pod-wietrznej... bo jeśli lotniskowiec chce wysłać i przyjmować samoloty, to musi płynąć pod wiatr, gdyż tylko wtedy możliwe są starty i lądowania. Jeśli łódź podwodna trzyma się cały czas po zawietrznej, lotniskowiec w końcu sam do niej z wiatrem przypłynie.

Kiedy kapitan Baldrige wysłał helikoptery, żeby zrzuciły pławy akustyczne, dowódca łodzi podwodnej mógł je usłyszeć. Mógł nawet patrzeć, jak to robią. Ale bardziej prawdopodobne, że wcześniej się wycofał, a po paru godzinach wrócił w to miejsce, wynurzył się na głębokość peryskopową i dopiero wtedy zauważył

którąś z pław albo nawet usłyszał jej sygnał. Wówczas znowu się wycofał. I odczekał ze dwadzieścia godzin, aż pławy opadną na dno. Potem wrócił znowu i podszedł do lotniskowca bliżej.

–Chryste Panie – jęknął Prezydent.

–Tak, panie prezydencie – ciągnął Morgan. – Nie opisuję tu żadnych magicznych sztuczek. Opisuję współczesne procedury operacyjne realizowane przez najwyższej klasy dowódcę łodzi podwodnej. Pozostaje jednak pytanie, skąd, u diabła, ci przekłeci Arabowie wytrzasnęli takiego człowieka? Obawiam się, że mógł to być Amerykanin. Albo Brytyjczyk. Niemożliwe, żeby ktoś inny potrafił się wykazać takimi umiejętnościami.

–Dziękuję, Arnoldzie – zabrał głos admirał Dunsmore. – Pan prezydent ma pewnie swoją koncepcję dalszego poprowadzenia tej narady, ponieważ zgodziliśmy się wszyscy, że oficjalnie uznajemy to za wypadek. Miejmy to na uwadze. v,

–Nie, Scott – powiedział Prezydent – to, czego tu słucham, jest dla mnie bardzo pouczające. Jeśli macie panowie jeszcze jakieś techniczne spostrzeżenia, którymi chcielibyście się podzielić z innymi, to się nie krępujcie. Niech to spotkanie przebiega na razie po waszemu.

–Dziękuję, panie prezydencie. Czy ktoś jeszcze chce wnieść coś istotnego, jeśli chodzi o procedury i działania podejmowane na okrętach?

Głos zabrał milczący dotąd zastępca admirała Dunsmore'a, admirał Freddie Roberts.

–Tylko jedno, sir... Przeglądałem załączony do raportu kapitana Barry'ego wykaz kontaktów radarowych zarejestrowanych tamtego dnia i przekazanych na lotniskowiec. Było ich w sumie piętnaście, z czego część dotyczyła dużych ryb, ewentualnie stad ptaków. Kilka z tego okrętu, kilka z innego, ale z „Haylera” tylko ten jeden.

Wiadomo powszechnie, że o wszystkim meldują tylko te jednostki, które mają przewrażliwionych operatorów w swoich Bojowych Centrach Informacji. Nic w tym złego. Lepiej być przesadnie ostrożnym, niż później żałować. Ale ja znam szefa służb zwalczania zagrożeń podwodnych z „Haylera”, komandora porucznika Chucka Freeburga. To dobry oficer, bardzo doświadczony. I on uznał ten kontakt za mocno podejrzany. Dlatego właśnie umieścił go w raporcie i powiadomił inne okręty Grupy. Moim

z daniem powinniśmy zdecydowanie zakładać, że coś tam jednak było. Chuck to bardzo opanowany facet.

–Okay, Freddie. Dziękuję. Panie prezydencie, pamiętam, naturalnie, że w oficjalnych wystąpieniach publicznych trzymamy się wersji wypadku. Jeśli jednak chodzi o tę drugą hipotezę, to jest jeszcze jedna sprawa, o której zreferowanie poproszę admirała Roberta, a dotyczy ona czasu i pogody.

–Otóż, panie prezydencie, jak panu zapewne wiadomo, służyłem swego czasu na tamtych wodach na niszczycielu i wiem z

e doświadczenia, że pod koniec czerwca od wybrzeża afrykańskiego zaczynają wiać monsuny, i przez cały lipiec i sierpień w północnej części Oceanu Indyjskiego oraz na Morzu Arabskim utrzymują się bardzo niekorzystne warunki pogodowe. Często pada, a taki dziwny, gorący wiatr niesie tumany gęstej, cieplej morskiej mgły bardzo pogarszającej widoczność oraz wzburza morze.

Do czego zmierzam. Otóż gdybym to ja chciał zatopić amerykański okręt wojenny, zaplanowałbym atak zdecydowanie na lipiec albo sierpień. Gdybym do tego był rasowym fundamentalistą, który z całej duszy nienawidzi USA, dokonałbym go prawdopodobnie czwartego lipca. Moim zdaniem spóźnili się o cztery dni.

Ale poza tym rozegrali wszystko idealnie. Na Środkowym Wschodzie zmrok zapada szybko – około osiemnastej trzydzieści. Łódź podwodna podeszła wtedy blisko i wynurzając się co dwadzieścia minut na głębokość peryskopową przez jakieś dwie godziny obserwowała lotniskowiec. Około dwudziestej trzydzieści zajęła pozycję przed jego dziobem, od strony prawej burty, i czekała.

Wiemy, że uderzyli o dwudziestej pierwszej. Uczynili to z pełną świadomością, że mają jeszcze przed sobą osiem do dziewięciu godzin kompletnych ciemności, które w połączeniu z chaosem, jaki zapanuje po nuklearnej eksplozji, utrudnią znacznie pościg, zwłaszcza że prognozy meteorologiczne zapowiadały złą widoczność. Ich perfekcja przyprawia mnie o dreszcz zgrozy. Ci faceci, kimkolwiek, u diabła, są, działają w zasadzie bezbłędnie.

–Chciałbym, żeby ktoś mi wyjaśnił, dlaczego ekspertowi tak trudno zaakceptować hipotezę nieszczęśliwego wypadku – powiedział z namysłem Prezydent. – Admirale Morgan...?

–O to poprosimy komandora Baldrige'a. Bill, wprowadź prezydenta w szczegóły techniczne, dobrze?

–Założę na wstępie, panie prezydencie, że niewiele pan wie o działaniu jądrowej głowicy bojowej. Otóż mamy w niej w zasadzie do czynienia z dwoma porcjami materiału rozszczepialnego, powiedzmy uranu 235. Jak wszystkie metale składa się on z atomów: maleńkich drobin o średnicy jednej czterystumilionowej cala, które przypominają miniaturowy układ słoneczny. W centrum atomu znajduje się jądro zbudowane z neutronów i protonów. I to ono jest obiektem naszego zainteresowania.

Sztuka polega na takim zakłóceniu równowagi, w jakiej w normalnych warunkach znajduje się jądro atomu, żeby uległo ono rozerwaniu. Dokonuje się tego, bombardując je wolnymi neutronami, co sprawia, że jądro staje się niestabilne i zaczyna rozpadać. Prowadzi to do wyzwolenia energii i uwolnienia kolejnych neutronów, które zaczynają bombardować inne jądra, dając początek zabójczej reakcji łańcuchowej z czterystu milionami milionów zderzeń zachodzących w ułamku sekundy.

Urządzenie detonujące opóźnia wybuch dopóty, dopóki nie nagromadzi się wystarczająco potężna dawka skumulowanej energii, i dopiero wtedy następuje gigantyczna eksplozja.

W głowicy bojowej osiągamy to umieszczając dwa kawałki wysoce radioaktywnego uranu 235 w bezpiecznej od siebie odległości, w przeciwległych końcach głowicy. Idea polega na doprowadzeniu do zderzenia tych kawałków z siłą wystarczającą, by złączone w masę krytyczną utrzymały się razem przez tyle czasu, ile go potrzeba, żeby zachodząca reakcja łańcuchowa całkowicie i wybuchowo wymknęła się spod kontroli.

Aby precyzyjnie z zadaną siłą doprowadzić do czołowej kolizji tych dwóch kawałków uranu, stosuje się dwa konwencjonalne wybuchowe ładunki miotające, które muszą zostać odpalone rów-t nocześnie, z dokładnością do jednej tysięcznej sekundy. Jeśli choćby jeden z tych ładunków nie eksploduje na czas albo eksploduje nie tak jak trzeba, głowica bojowa po prostu nie wybuchnie. Impuls elektryczny musi detonować te rozmieszczone naprzeciwko siebie miotające ładunki wybuchowe dokładnie w tym samym momencie. Nie wystarczy, żeby oba kawałki uranu po prostu się zderzyły. Muszą na siebie wpaść ze ściśle określoną siłą.

Margines błędu jest tu bardzo szeroki, a urządzenie detonujące niezmiernie czułe. Nastawienie go i uaktywnienie wymaga bezwzględnej dokładności. Materiał rozszczepialny trzeba spreparować i zainstalować w głowicy z zegarmistrzowską precyzją.

Jeśli komuś się wydaje, że do tego wszystkiego może dojść jakimś fuksem, przez przypadek, to niech to sobie od razu wybije z głowy. Nie ma takiej możliwości, i tak się nie stało.

–Dziękuję, komandorze – powiedział Prezydent. – Wdzięczny jestem za te wyjaśnienia. Wiem jednak, że wszyscy tu obecni zdają sobie sprawę z powagi implikacji. Nie odejdziemy nawet o jotę od hipotezy wypadku. I nie zrobiłby tego żaden inny kraj postawiony w naszej sytuacji. – Zawahał się na chwilę, a potem z półuśmiechem rozejrzał po twarzach obecnych. – Ciekawa rzecz, ale od chwili kiedy Bill powiedział mi, że jego zdaniem zostaliśmy zaatakowani, aż do teraz wyobrażałem sobie jakąś nieprzyjacielską łódź podwodną, która skrada się za naszym wielkim lotniskowcem, wyczekując odpowiedniej okazji, aż w końcu udaje jej się podejść na odległość wystarczającą do odpalenia torpedy. Ale to nie było tak, prawda?

–Nie, panie prezydencie – powiedział admirał Morgan. – On nie tak to rozegrał. Dowódca łodzi podwodnej wiedział, że lotniskowiec operuje w kwadracie dwieście na dwieście mil morskich i znał współrzędne tego kwadratu. Wpłynął tam, kiedy „Thomas Jefferson” był jeszcze daleko – a potem, krążąc cicho z najmniejszą możliwą prędkością, tylko czekał... aż lotniskowiec sam do niego przyplynie. Miał aż nadto czasu, by zająć dogodną pozycję i przygotować się do oddania tej jednej celnej salwy. Chłodne, profesjonalne podejście. Chyba nie zawahałby się pan nazwać tego wojskowym terroryzmem, zasadzką na największą z możliwych skalę. ' t

–Nie, nie zawahałbym się – przyznał Prezydent. – 1 w tej chwili liczy się tylko jedno, Musimy odpłacić komuś pięknym za nadobne... ktoś, gdzieś tam, zapłaci za to, co zrobił, straszną cenę. Obywatele tego kraju nie wybrali mnie po to, żebym demontował marynarkę wojenną, ku uciesze jakichś fanatyków.

Jeśli się okaże, że podejrzanych jest dwóch, a nawet trzech, i listy podejrzanych nie da się dalej zawęzić, wówczas prędzej dobioreę się do nich wszystkich, niż pozwolę, żeby winowajcy uszło to na sucho.

Zerknął na kręcącego głową admirała Dunsmore'a.

–Co, Scott? Masz jakieś moralne opory? – spytał.

–Bynajmniej, panie prezydencie. Zastanawiałem się tylko nad ironią tej sytuacji, admirał Chester Nimitz był mistrzem w zastawianiu pułapek. Pod Midway kazał amerykańskiej flocie czekać

bezczynnie, aż lotniskowce Yamamoto do nas podpłyną; dopiero wtedy zadaliśmy im potężny, miazdzący cios, zatapiając cztery bombowcami nurkującymi startującymi z pokładu „Enterprise”. Teraz, w tyle lat od tamtej bitwy, wygląda na to, że straciliśmy najwspanialszy lotniskowiec klasy Nimitz, pływający pod imieniem tego wielkiego człowieka, w dokładnie taki sam sposób, wciągnięci w pułapkę przez podstępne wroga.

–Hmm – mruknął Prezydent. – Pod Midway też straciliśmy lotniskowiec, dobrze mówię?

–Nie, panie prezydencie. „Yorktown” został, co prawda, trafiony bombami i stanął w płomieniach, ale nie poszedł na dno.

–A ja myślałem, że zatonął.

–Bo zatonął, ale dopiero trzy dni później.

–Znowu go zbombardowali? v

–Nie, panie prezydencie. Zatopiła go łódź podwodna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Środa, 10 lipca, 19.00

Prezydencka świta eskortowana przez dwóch wartowników z marines i dwóch agentów Secret Service zjechała prywatną windą przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów Połączonych do pentagońskiego garażu. Bill Baldrige, który również wyszedł z toczącej się dale| narady, był tam w cztery minuty później. Kiedy podchodził do swojego mustanga, prezydencka kawalkada, składająca się z trzech limuzyn, sunęła właśnie między szeregami zaparkowanych samochodów w stronę jasnego prostokąta wyjazdu z podziemi.

Komandor porucznik Baldrige zasalutował swemu zwierzchnikowi. Prezydent siedzący na tylnej kanapie środkowej limuzyny odruchowo oddał salut. I obejrzał się, by odprowadzić wzrokiem stojącego na baczność Kansańczyka – samotną, hardą postać znieruchomiałą pośród tysięcy aut.

–Na razie, Bill – mruknął pod nosem. – Niech cię Bóg prowadzi... i mnie też.

*

Mijała już dziewiętnasta trzydzieści, kiedy Bill, przeciąwszy Potomac, skręcał na południe, by wzdłuż zachodniego brzegu rzeki, zostawiając za sobą Waszyngton, dotrzeć do Wirginii. Ruch był jeszcze duży i pokonanie szesnastu mil do skrętu na Mount Vernon zajęło mu dobre pół godziny.

Dwanaście mil dalej zjechał z autostrady w wąską boczną drogę, między lasy pławiące się w blasku lipcowego zachodu słońca, i wkrótce potem zobaczył przed sobą majestatyczny kolonialny dom z białymi kolumnami, wzniesiony na urwisku, które górowało

nad ujściem Potomaku, i z którego roztaczał się wspaniały widok na wzgórze Marylandu po drugiej stronie rzeki. Posiadłość robiła prawdziwie imponujące wrażenie. Aktualny właściciel nie wahał się wyłożyć za nią całej sumy, jaką uzyskał ze sprzedaży jednego z najwspanialszych domów na bostońskim Beacon Hill. Szkoda, że nawał obowiązków służbowych nie pozwalał temu wielkiemu człowiekowi spędzać tutaj więcej czasu. Ostatnio mieszkał niemal na stałe w swojej oficjalnej, chronionej elektronicznymi alarmami rezydencji w waszyngtońskich koszarach marynarki wojennej. Ale nie było dnia, żeby nie pomyślał z nostalgią o tym zakątku.

Drzwi otworzył marynarz pełniący wartę w holu. Wziął od Billa torbę i wprowadził go do wysokiego, jasnego salonu pełnego wesółych obić z angielskiego perkalu w róże. Na spotkanie ruszyła mu smukła, blondwłosa, pięćdziesięciokilkuletnia dama w prostej ciemnozielonej sukience z jedwabiu. Szyję zdobił jej pojedynczy sznur pereł. Ze smutnym uśmiechem wzięła go w objęcia i przytuliła jak małego chłopca. Puściły okowy żelaznej dyscypliny, którą narzucał sobie od dwóch dni. Wsparł głowę na ramieniu kobiety i zaszczołał.

–Billy, kochanie – wyszeptała. – Tak mi przykro, tak przykro.

Przez kilka minut nie mógł nad sobą zapanować, a kiedy mu

się to w końcu udało, zaczął powtarzać w kółko:

–Jezu, Grace... Jakie to niesprawiedliwe..., jakie cholernie niesprawiedliwe... dlaczego Jack... dlaczego, u diabła, właśnie Jack?

W tym momencie do salonu wkroczył mąż Grace z małą srebrną tacą, na której stały trzy szklaneczki szkockiej z wodą. Jedną podał żonie, jedną wziął sobie, a trzecią wręczył gościowi.

–To ci chyba dobrze zrobi, Billy – powiedział otaczając Billa Baldrige'a ramieniem. – Byłeś bardzo dzielny.

–Dzięki, tato – wykrztusił przez ściśnięte gardło komandor porucznik, spoglądając na admirała Scotta Dunsmore'a.

Usiedli i zamilkli, ale w milczeniu tym nie było nic z niezręczności; ot, trójka starych dobrych przyjaciół, którzy rozumieją się bez słów. Los zetknął ich na początku lat pięćdziesiątych, kiedy to wszyscy byli przekonani, że Bill poślubi wysoką, jasnowłosą Elizabeth Dunsmore, oczko w głowie admirała.

Ich trwający siedem lat romans obfitował we wszystkie mankamenty właściwe marynarskim romansom, a zwłaszcza w długie rozłąki, tym bardziej że Bill nie tylko starał się zostać dowódcą łodzi podwodnej, ale równolegle robił doktorat.

#_

Marynarka Stanów Zjednoczonych tradycyjnie idzie na rękę młodym, obiecującym oficerom, którzy chcą podwyższać swoje kwalifikacje. Ale dla Elizabeth, młodszej od narzeczonego o dwa lata, oznaczało to, że Bill albo snuł się gdzieś po dnie Oceanu Atlantyckiego, albo śleczął nad stosem książek w wyłożonej granitem bostońskiej bibliotece.

Ilekcją udało mu się wyrwać, brała kilka dni wolnego w waszyngtońskiej kancelarii prawniczej, gdzie pracowała, i jechali razem do Kansas, by przemierzać tam konno ciągnące się po horyzont pastwiska rancza Baldrige'ów. Od czasu do czasu zabierał się też z nimi admirał Dunsmore, który w ojcu Billa odkrył bratnią duszę. Polowali razem na przepiórki, razem brali udział w aukcjach bydła, razem popijali piwo na werandzie. Kiedy po krótkiej, zaciętej walce z rakiem stary Tom Baldrige zmarł, wspólnie po nim płakali. Byli wszyscy na ślubie Jacka i wspólnie przeżywali normalne rodzinne radości i smutki.

Kiedy przed pięcioma laty Elizabeth Dunsmore oznajmiła niespodziewanie, że znudziło ją czekanie na swojego żeglarza-kowboja i wychodzi za mąż za kolegę prawnika z Georgetown, członkowie obu rodzin osłupieli. Błagała ją matka Billa, błagała Grace, błagał admirał Dunsmore, błagał Jack. Bill ani jej nie błagał, ani nie zaproponował małżeństwa. Stwierdził tylko, że dziewczyna pewnie wie, co robi. Jackowi zwierzył się, że szczęśliwa może być tylko z nim. Starszy brat natychmiast chwycił za telefon i zadzwonił do Grace z wiadomością, że mimo wszystko jest jeszcze nadzieja.

Ale mylił się Bill Baldrige nie był skory do tak wielkiego poświęcenia. Elizabeth poślubiła prawnika, a Jack zadzwonił do Billa i nazwał go „czystej wody wiejskim kołkiem”. Irracjonalna postawa najmłodszego z braci Baldrige'ów długo jeszcze była żelaznym tematem rozmów obu rodzin.

Ale więzy przyjaźni łączącej rodziny Dunsmore'ów i Baldrige'ów przetrwały próbę czasu. Admirał do tej pory jeździł do Kansas, by polować z Jackiem i Billem na przepiórki, a Grace odbywała po tej rozległej krainie długie, leniwe przejażdżki konne w towarzystwie rozmaitych ciotek i wujów Baldrige'a.

Jednak w oficjalnych stosunkach służbowych ustalone sztywne normy protokołu i starszeństwa pozostały niezachwiane. Bill dalej zwracał się do admirała Dunsmore'a „sir” albo „panie admirał”. Admirał zaś niezmiernie rzadko mówił mu po imieniu. Ale

ich przyjaźń była tak długa i tak trwała, że szefowi operacji morskich nie drgnęła nawet powieka, jeśli prywatnie komandorowi porucznikowi zdarzało się czasami nazwać go „tata”.

Siedzieli teraz we trójkę w tym wielkim domu nad Potomakiem i sącząc w milczeniu szkocką przeżywali wspólnie tragiczną śmierć kapitana Jacka Baldrige'a, ukochanego brata Billa oraz ukochanego przyjaciela i namiastkę brata dla admirała i Grace. Kapitan, choć przyszedł na świat jako drugi z kolei syn Toma, uznawany był za głowę rodziny. Dla najstarszego z braci, Raya, który został na ranczu, ożenił się i dochował już czwórki dzieci, było rzeczą samą przez się zrozumiałą, że pewnego dnia Jack wróci z włóczęgi po wzburzonych morzach i przejmie prowadzenie rozległego bydlęcego imperium.

Jack, gdyby nie zginął, zostałby czwartym już Baldrige'em, który służył jako oficer w marynarce Stanów Zjednoczonych, a po przejściu w stan spoczynku wrócił do domu, by zająć się skomplikowanymi finansowymi operacjami związanymi z prowadzeniem ogromnego kansaskiego rancza. Stary Tom powiedział kiedyś: „To miejsce nie należy do żadnego z nas. Powierzono nam je tylko w wieczyste użytkowanie. I podobnie jak kiedyś mój pradziadek i mój dziadek, ja wyznaczam teraz przyszłego zarządcę majątku. I rzecz jasna mój wybór pada na Jacka. Niech nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, żeby ze mną na ten temat dyskutować”.-

Nikt ani myślał z nim dyskutować. I nikt z zewnątrz nie był sobie nawet w stanie wyobrazić szoku, jaki przeżywała teraz cała pogrążona w żałobie rodzina. A jak osamotniony czuł się Bill Baldrige, zrozumieć potrafiła tylko Grace Dunsmore.

W ciszę wdarł się nagle terkot dzwoniącego w holu telefonu. Grace wstała i poszła odebrać. Wróciła po kilku minutach.

–To Elizabeth – powiedziała – prosi ciebie, Billy. Nie musisz podchodzić, jeśli nie jesteś w nastroju.

–Nie, dlaczego, chętnie z nią porozmawiam. – Wyszedł i po chwili wrócił uśmiechnięty. – Chciała tylko porozmawiać o Jacku -oznajmił. – Poza tym wszystko u niej w porządku. – Ze zrozumiałych względów nie powtórzył słów, którymi go pożegnała: „Do widzenia, Billy. Kocham cię i zawsze będę kochała”. Zanim zdążył odpowiedzieć, odłożyła słuchawkę. Uśmiech Billa Baldrige'a był uśmiechem mężczyzny radego, że nikt nie zażądał od niego żadnych brzemiennej w skutki deklaracji.

Uśmiech Grace zaś był uśmiechem matki, która domyśla się, co dokładnie powiedziała jej piękna, uparta córka. Przeprosiła teraz obu mężczyzn przypominając, że w gabinecie czeka na nich lekka kolacja, karafka Johnny Walkera Black Label, karafka Château Haut-Brion oraz pół karafki porto.

–Trujcie się czym który woli – powiedziała z uśmiechem i * opuściła ich na resztę wieczoru.

–No, Billy, powiedz mi, co też tam chodzi ci po głowie. Choć się domyślam.

–Czy zgadzasz się ze mną, że nasz lotniskowiec został zaatakowany? – spytał Baldrige. – Że to nie był żaden wypadek? Żaden sabotaż?

–Nie muszę ci chyba przypominać, że nic z tego, co tu zostanie powiedziane, podobnie zresztą jak w przypadku wszystkich naszych prywatnych rozmów, nie może wyjść poza te cztery ściany?

–To zrozumiałe.

–Ja wiem na pewno, że lotniskowiec został zaatakowany. Wiedziałem to już wczoraj, na godzinę przed tym, jak w Pierścieniu E

0 mało nie przyprawileś o zawał prezydenta. Obaj dobrze wiemy, że innego wytłumaczenia nie ma. Ale mogę to przyznać tylko prywatnie, a prezydent być może nigdy nie będzie miał okazji powiedzieć, co naprawdę myśli. Ale on wie, co do tego nie ma wątpliwości. Wie też całe naczelne dowództwo marynarki wojennej. Wiemy wszyscy

1 każdemu jest bardzo na rękę, że głośno mówisz to ty, młody, porywczy oficer. Twoje opinie, rady i oceny są, owszem, bardzo przydatne, ale nie takie znowu odkrywczyste, a więc nie popadaj w samouwielbienie.

Użyteczna za to jest twoja rola w całym układzie; tu jesteś niezastąpiony. Możesz mówić i robić to, czego nam, wyższym stopniem, pod żadnym pozorem nie wolno. Na szczęście twój głos nie liczy się na tyle, by poruszyć społeczeństwo. Ale miej się na baczności, jeśli kiedykolwiek zdarzy ci się znaleźć bliżej niż milę od jakiegoś dziennikarza.

–Tak jest. Nikt jeszcze nie wyłożył mi tak sytuacji. W każdym razie nie tak klarownie. Ale ja chciałem porozmawiać o czymś, co od samego początku nie daje mi spokoju. Wszyscy zgadzają się, że podejrzanych jest tylko dwójka. Iran, który ma na to środki. Oraz Irak, który wobec braku dostępu do głębokiej wody oraz tradycji

w prowadzeniu wojny podwodnej, prawdopodobnie ich nie ma. Zgoda?

–Taaak – mruknął admirał. – Chociaż przyznam, że osobiście brałem też pod uwagę Pakistan.

–Pakistan? O tym jeszcze nie wspominałeś.

–Jestem zbyt wysoko postawioną figurą, żeby rozgłaszać rzeczy, co do których nie mam całkowitej pewności. Chyba zauważyłeś, że ludzie mają skłonność do traktowania poważnie wszystkiego, co padnie z moich ust, choćby to była tylko sugestia. Nazywam to „syndromem szefa”. Tak to już jest w wojsku. Dlatego też do podsuwania koncepcji mamy komandorów poruczników, a admirałom, z racji ich o wiele większego doświadczenia, pozostawiamy podejmowanie decyzji.

Bill Baldrige uśmiechnął się. Ten stary żołnierz sprawiał czasami wrażenie dobrotliwego, ale wystarczyło mu podpaść, by szybko zrozumieć, dlaczego zajmuje fotel szefa marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych i dlaczego bez wątplenia zostanie następnym przewodniczącym Kolegium Szefów Sztabów Połączonych.

–Dlaczego akurat Pakistan?

–Parę lat temu, a konkretnie w styczniu 1993 roku, przed centralą CIA w Wirginii zastrzelono dwóch jej agentów. Człowiek poszukiwany przez dłuższy czas za te morderstwa pochodził z pewnego beludzystańskiego plemienia. Gość, który dwa miesiące później podłożył ładunek wybuchowy pod World Trade Center, również był z Beludzystanu. Obaj mieli powiązania ze stolicą tej prowincji, Kwetą. W marcu 1995 roku na ruchliwej ulicy Karaczi ostrzelano z broni maszynowej furgonetkę, którą jechało trzech dyplomatów konsulatu amerykańskiego. CIA uważa, że wszystkie te trzy zamachy coś ze sobą łączy.

Beludzystan leży na granicy Pakistanu z Iranem i Afganistanem. To nieszczęsny kraj, kraj bezprawia, rządzony od wieków przez bogatych i potężnych wodzów plemion. Z chwilą inwazji Związku Radzieckiego na Afganistan w 1979 roku zaczęła tam działać aktywnie CIA. Pracowało dla niej tysiące członków beludzystańskich plemion, którzy przemycali na północ broń i amunicję dla bojowników ruchu oporu, mudżahedinów. Odbiło się to rykoszetem. Zaczęło się od spalenia przez studentów amerykańskiej flagi, z czasem wśród Pathanów, najbardziej zmilitaryzowanego

z lokalnych plemion, rozwinął się silny ruch nacjonalistyczny. Nazywali siebie „dziećmi dżihadu przeciwko CIA”. Facet, który podłożył bombę pod World Trade Center, był jednym z nich.

Osobiście zbadalem hipotezę zorganizowania przez tę zgraję czegoś w rodzaju zamachu na amerykański okręt wojenny. I musiałem ją odrzucić. Pakistan nawet jako państwo nie byłby w stanie przeprowadzić podobnej operacji.

Cała ich marynarka wojenna ma zaledwie siedem mocno podejrzanych łodzi podwodnych zdolnych do odpalania torped. Większość z nich to przestarzałe jednostki produkcji francuskiej; chociaż ostatnio realizują program budowy kilku nowych na francuskiej licencji, klasy Hashmat Agosta.

Tak czy inaczej, historia pokazuje, że łodzie podwodne budowane na licencji przez obce państwa są bardzo chimeryczne. Albo w ogóle nie nadają się do użytku, albo nie spełniają parametrów. Gdybyś mnie zapytał, czy marynarka pakistańska mogła zatopić „Thomasa Jeffersona”, raczej bym zaprzeczył. A czy mogła to zrobić grupa ciemnych Beludżystańczyków, którzy uprowadzili z Karaczi łódź podwodną? Stanowczo nie. Wykrylibyśmy ich i zniszczyli, zanim podeszliby na sto mil do Grupy Uderzeniowej. Bez żadnego ale. To znaczy, gdyby wcześniej sami się nie utopili.

Grupa Zacka Carsona byłaby w stanie unicestwić całą pakistańską marynarkę wojenną, a co dopiero parę rozklekotanych galijskich łodzi podwodnych. Co innego dostać się chyłkiem do garażu World Trade Center i wywalić w nim bombą dziurę, podpalając przy okazji parę cadillaków, a co innego zniszczyć najpotężniejszy okręt wojenny świata, na którym obowiązuje pełna gotowość bojowa.

Moje wnioski pokrywają się więc w pełni z wnioskami admirała Morgana. To był Iran. No, ewentualnie Irak. Ale najprawdopodobniej Iran.

–To prowadzi do jeszcze jednego pytania, które mnie dręczy -powiedział Bill Baldrige. – Obojętne, które z tych państw to zrobiło, na pokładzie musiał się znajdować co najmniej jeden starszy stopniem oficer marynarki wojennej, a prawdopodobnie było ich więcej, wszyscy nacjonałiści. Jeden z nich musiał być wybitnym podwodniakiem, człowiekiem mającym doświadczenie w dowodzeniu współczesną jednostką o napędzie dieslowsko-elektrycznym oraz wysokie umiejętności taktyczne. Pytam, kto go wyszkolił? Potrafisz odpowiedzieć?

–Bóg jeden wie – mruknął enigmatycznie Scott Dunsmore.

–Ja też wiem – powiedział powoli komandor porucznik.

–Doprawdy?

–Tak.

–Zadziwiasz mnie.

–Brytyjczycy. Człowiek, którego szukamy, wyszkolony został w Faslane w Szkocji, w bazie okrętów podwodnych Royal Navy nad rzeką Clyde.

–Skąd to wiesz?

–Bo innej możliwości nie ma. Zastanów się, istnieje prawdopodobieństwo, że ten facet w jakiś sposób wyprowadził łódź podwodną przez Bosfor z Morza Czarnego, a potem przebył nią tysiące mil. Pokonał Morze Śródziemne, wydostał się na Atlantyk i opłynąwszy Afrykę dotarł do Morza Arabskiego. Po drodze co najmniej dwa, może nawet trzy razy musiał tankować paliwo, a to nie lada sztuka na wzburzonym oceanie.

Ani na chwilę nie wyłączając maszyn, płynął to w dużym zanurzeniu, to na głębokości peryskopowej, to znów wynurzał się na chwilę, żeby doładować swoje olbrzymie akumulatory. Szedł cały czas z szybkością gdzieś około ośmiu węzłów, zwalniając do pięciu, kiedy ktoś się zbliżał. Dziennie pokonywał prawdopodobnie do dwustu mil. Z tego, co wiemy, popełnił minimalną liczbę błędów, jeśli w ogóle je popełnił.

I teraz dochodzimy do prawdziwego majstersztyku. Sukinsynowi udaje się przeniknąć w obręb Grupy Uderzeniowej. Podkrada się nie wykryty do „Thomasa Jeffersona”, posyła torpedę uzbrojoną w jądrową głowicę bojową, i to też robi bezbłędnie. Nic nie wskazuje na to, żeby odpalił więcej niż jedną... trafił za pierwszym razem dokładnie tam, gdzie chciał. I robiąc to wszystko, ani razu nie dał naszym ludziom najmniejszych podstaw do podejrzeń, bo gdyby je dał, alarm wszczęto by szybciej, niż potrafisz * wymówić słowo „ręcznikogłowy”. Mamy do czynienia z kutym na cztery nogi sukinsynem. Bo tu nie może być mowy o szczęściu. Pytam więc jeszcze raz, tato: kto go wyszkolił?

–Nie wiem, Bill. Naprawdę nie wiem. Ty mi powiedz.

–Dobrze. Nie był to na pewno Ali Shamkhani czy jak tam się nazywa facet dowodzący irańską marynarką wojenną. Jezu, te pataluchy nie przeprowadziłyby łodzi podwodnej przez port nowojorski, nie wpadając na Statuę Wolności.

Nie mógł to być obywatel żadnego z mniejszych państw dysponujących łodziami podwodnymi. Większość z nich nie potrafi utrzymać jednej łodzi podwodnej na chodzie dłużej niż przez miesiąc. A Francuzi znani są z tego, że nie lubią dzielić się wiedzą z obywatelami innych państw. Nie podchodzą poważnie nawet do szkolenia swoich najlepszych klientów, Pakistańczyków.

Nie, ten człowiek został wyszkolony albo przez nas, albo przez Angoli. Z kilku powodów wątpię, żebyśmy to byli my. Po pierwsze, od lat nie używamy łodzi o napędzie dieslowsko-elektrycznym, nie wiem nawet, czy jeszcze takie mamy. Po drugie, nie szkolimy na łodziach podwodnych obywateli obcych państw z obawy, że przekazana im wiedza mogłaby zostać wykorzystana przeciwko nam. Jeśli więc ten gość odbywał szkolenie tutaj, to musiałby być zdrajcą.

Za to Angole szkolą obywateli innych państw. A poziom ich kursu dla dowódców jest najwyższy na świecie. I mają w swojej flocie podwodnej diesle. Słyszałem, że kilka lat temu, kiedy nosili się z myślą sprzedania staremu królowi Fahdowi łodzi podwodnych, wyszkolili paru oficerów z Arabii Saudyjskiej. Pewien nie jestem, ale z tego samego powodu wyszkolili też chyba kilku Izraelczyków i Hindusów. Moim zdaniem powinniśmy pogadać z Angolami.

–Chyba masz rację, Bill. Przyznaję, że próbowałem uniknąć poruszania tego tematu. Bo decydując się na taki desperacki krok i zwierając się rządowi obcego państwa, że prawdopodobnie szukamy największego w dziejach terrorysty, otwieramy się na przecieki do prasy i Bóg jeden wie, co jeszcze. Wiesz, jak szkodliwe są spekulacje dziennikarzy „specjalistów”, którym wydaje się zawsze, że coś dzwoni, ale nie wiedzą w którym kościele, w związku z czym mało, że nic do sprawy nie wnoszą, to jeszcze stają się niebezpieczni.

–Tak, wiem.

–Mimo to obawiam się, że będziemy zmuszeni podejść do problemu tak, jak ty to przed chwilą zrobiłeś. A swoją drogą, na jakiej podstawie twierdzisz, że to właśnie w Faslane w Szkocji wyhodowano nam tego łotra?

–Właśnie do tego dochodzę. Może przeniesiemy się do ciebie? Zjemy tam coś, wypijemy jeszcze po jednym i wyłuszcę ci swoją hipotezę.

–Dobra myśl, Bill. Drugą szkocką? A może kieliszek wina?

–Wina, jeśli, jak przypuszczam, pochodzi z twojej piwnicy.

Przecięli obaj przestronny hol na parterze wielkiego domu,

mijając pełniącego tam służbę wartownika, który na ich widok trzasnął obcasami.

–Dobry wieczór, Johnny – pozdrowił go szef operacji morskich.

Kiedy znaleźli się w zastawionym książkami gabinecie o pomalowanych na czerwono ścianach, nazywanym przez przyjaciół Dunsmore'ow Szkarłatnym Nocnym Klubem, Bill Baldrige wziął do ręki pustą butelkę po winie.

–Jezu! – mruknął. – Haut-Brion rocznik 61. Ulubione wino twojego krajana Wirgińczyka Thomasa Jeffersona. Prawdziwy rarytas.

Admirał Dunsmore, nie zdradzając się przed młodym oficerem, że dopiero teraz dowiedział się od niego o upodobaniu Thomasa Jeffersona do Haut-Brion, napełnił szczerze winem dwa kieliszki.

–Nie godziłoby się chyba pić za pamięć Jacka czegoś pośledniejszego, nieprawdaż? – powiedział cicho.

–Nie. Nie godziłoby się.

Tręcili się lekko kieliszkami.

–Za pamięć wielkiego oficera marynarki, kapitana Jacka Baldrige'a – wznosił toast admirał.

Upili po łyku czterdziestoletniego, czerńnopurpurowego wina z departamentu Graves na północ od Bordeaux.

–I – podjął komandor porucznik Bill Baldrige – znajdę pod ziemią człowieka, który przypuszczalnie odebrał życie mojemu starszemu bratu.

Scott Dunsmore otwierał już usta, żeby wrócić do tematu Faslane, kiedy zadzwonił prywatny telefon stojący obok jego fotela. Bill, słyszący tylko strzępki rozmowy, obserwował notującego, coś szybko admirała.

–Czołem, Arnoldzie, jak tam na pokładzie? Co...? Gdzie...? Nie żył...? A, chyba że tak... Rozmawiałeś już z kimś o tym...? A tak, czwarta rano... co by się zgadzało...? Może facet był na wakacjach...? Tak... tak... cholernie interesujące... od razu do mnie zadzwoń, dobrze...? Tak... świetnie... cześć, Arnoldzie. – Admirał odłożył słuchawkę i zwrócił się do Baldrige'a. – Billy, chłopcze. Intryga się zagęszcza.

–Co się stało?

153

–To był admirał Morgan. Dzwonił od siebie z biura. Odebrał właśnie telefon od jednego z naszych ludzi ze Suitland, do którego telefonował nasz człowiek z Aten. Greckie gazety donoszą, że do południowego brzegu małej wysepki o nazwie Kithira, leżącej jakieś sześćdziesiąt mil na północny zachód od zachodniego cypla Krety, morze przyniosło zwłoki rosyjskiego marynarza.

Podobno ciało było długo w wodzie – oceniają, że ten człowiek nie żyje od około dziesięciu tygodni. Diabli wiedzą, jak oni ustalają tego rodzaju rzeczy. W każdym razie facet miał przy sobie identyfikator osobisty. Attache morski ambasady rosyjskiej w Ate-* nach potwierdził, że to ich marynarz z łodzi podwodnej.

Innego wyjścia i tak nie mieli. Policjant z Kithiry spisał rangę i numer oraz sfotografował metalowe insygnia podwodniackie, które trzymały się nadal bluzy.

Według Arnolda to cud, że go w ogóle znaleziono. Ciało tkwiło zaklinowane między dwoma podwodnymi głazami w nieuczęszczanym przez nikogo miejscu, natrafił na nie jakiś rybak nurkujący po sieć, która zaczepiła mu się o te same skały.

–Nie bardzo rozumiem, jaki to może mieć związek z nami -przyznał Bill.

–Przecież tam się roi od rosyjskich łodzi podwodnych, prawda? A u nich nie należy do rzadkości, że zmyje człowieka za burtę.

–Owszem. Ale ludzie Arnolda z Gibraltaru twierdzą, że piątego maja nad ranem słyszeli tajemniczą łódź o napędzie dieslow-sko-elektrycznym. Mają ten kontakt dokładnie udokumentowany. Stracili go szybko. Ale ich zdaniem była to zdecydowanie łódź podwodna o nieatomowym napędzie. Arnold przekopał swoją komputerową bazę. danych. Na tyle go to zafrapowało, że skontaktował się nawet z Moskwą. Bez rezultatu.

I teraz sprawa wraca. Gibraltar leży niespełna tysiąc sześćset mil od Kithiry. Ten rosyjski marynarz utopił się, zdaniem patologa, dziesięć tygodni temu, czyli gdzieś między dwudziestym szóstym a dwudziestym ósmym kwietnia. Arnold twierdzi, że jeśli szacunek miejscowego greckiego lekarza jest mniej więcej dokładny, a łódź podwodna, z której facet spadł, rozwijała szybkość ośmiu węzłów, czyli pokonywała dwieście mil dziennie, to jest to ta sama jednostka, którą nasi nasłuchowcy wykryli osiem dni później w Cieśninie Gibraltarskiej. Sprawdza to teraz, a zaczyna od rozmowy z Moskwą.

–Jasna cholera! – zachnął się Bill Baldrige.

–Otóż to – przytaknął admirał napełniając ponownie kieliszki bordeaux. – Arnold obiecał, że odezwie się rano. Do tego czasu wstrzymajmy się ze spekulacjami. Wróćmy lepiej do tego Faslane.

–Dobrze. Zakładam, że wiesz, gdzie to jest: nad położonym na uboczu szkockim jeziorem na północny zachód od Glasgow, u ujścia rzeki Clyde do Atlantyku.

Blisko stamtąd wodą do Holy Loch, gdzie od trzydziestu lat stacjonuje nasz dywizjon Polaris. To baza podwodniaków słynąca z najwyższych na świecie standardów, poziomem nie dorównują jej nawet nasze bazy tutaj w Stanach. Oczywiście marynarka Stanów Zjednoczonych i Royal Navy ściśle tam ze sobą współpracują. I darzą się wzajemnym szacunkiem.

Faslane to również najbardziej rygorystyczne na tej planecie centrum szkoleniowe dla oficerów, którzy pragną zostać dowódcami łodzi podwodnych. Formalnie nazywa się to Szkołą Dowódców Łodzi Podwodnych, w skrócie „Szkołą Peryskopową”. Ale Angole nazywają ją od początku „Maglem”. I ta ostatnia nazwa się przyjęła. Mówi się „umoczył Magiel” albo „zaliczył Magiel śpiewająco”. Szef tej instytucji nazywany jest Nauczycielem.

Baldrige pociągnął z natchnioną miną długi łyk Haut-Brion. Podelektował się chwilę bukietem wina, odetchnął głęboko i pod-

jął:

–Człowiek, którego szukamy, tato, to absolwent Magla, i do tego wyjątkowy, bo po pierwsze, obywatel innego państwa, a po drugie, geniusz. Jestem tego niemal stuprocentowo pewny. I chcę cię prosić, żebyś mnie tam posłał. Spróbuję na miejscu ustalić, kto to taki. Za kilka dni byłbym gotów do drogi.

–Zważywszy skalę zadanych nam strat, mam ochotę zasugerować Angolom, żeby pomyśleli o nowej nazwie dla swojej „Szkoły Peryskopowej” – wymruczał szef operacji morskich.

–Szkoda fatygi. Już jej nie ma. Przestała istnieć w 1994 roku, kiedy rząd torysowski obciął wydatki na obronę. Panuje powszechna opinia, że w takiej postaci już jej nie reaktywują. Dwadzieścia procent kursantów oblewało. Można sobie wyobrazić, jaki panował tam rygor i dryl, skoro paru facetów przeszło załamanie nerwowe. Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie, gdzie nasz arabski dowódca byłby w stanie tak perfekcyjnie opanować tajniki swego rzemiosła. Tego, co umie, mógł się nauczyć tylko pod okiem Royal Navy w Faslane.

Admirał zamyślił się.

–Załatwione – zdecydował po chwili. – Każę komuś zadzwonić do Londynu, do szefa brytyjskich sił podwodnych i poprosić o współpracę. Rozumiesz, staram się unikać poruszania tej sprawy na zbyt wysokim szczeblu. Znasz realia: brytyjska biurokracja jest jeszcze gorsza od naszej. Dzwonisz do Lorda Admiralicji, on do ministra obrony, ten, cholera, do premiera, premier do królowej, ta do arcybiskupa Canterbury, a on do Pana Boga, który

, według nich jest Brytyjczykiem.

Ani się obejrzysz, a od plotek aż wrze. Wszyscy chcą wiedzieć, co robimy. I wreszcie ktoś się dowiaduje. Lepiej załatwić to na relatywnie niskim szczeblu. Dużo im nie powiem, tyle tylko, żeby skierowali cię do swojego szefa od łodzi podwodnych. Admirala sir Jakiegoś tam. Ty ze swej strony też, w miarę możliwości, nie wtajemniczaj go bardziej, niż to będzie absolutnie konieczne. Miej się na baczności, Angole są z natury bardzo cyniczni i będą próbowali wycisnąć z ciebie jak najwięcej informacji. Ale w gruncie rzeczy im też nieobce są ludzkie uczucia. I zawsze trzymają naszą stronę. Pomogą.

Obaj mężczyźni jeszcze raz wrócili do omówionego już przed chwilą tematu i doszli do tego samego, co poprzednio, wniosku. To musiał być Iran, a dowódca łodzi podwodnej najprawdopodobniej wyszkolony został w Szkocji.

Tuż przed północą zabrali się do portu i Bill Baldrige zwrócił się do admirała z ostatnią prośbą:

–Czy mógłbyś mi, tato, zorganizować rano transport na lotnisko? Zostawiłbym tutaj swój samochód. Wybieram się do Kansas zobaczyć się z mamą, Rayem i rodziną. Do Londynu polecę prosto stamtąd. W piątek nie ma sensu wsiadać w samolot. Wyruszę w niedzielę wieczorem. To mi da cały tydzień czasu.

–Nie ma sprawy, Billy. Z samego rana posłuchamy, co nowego ma dla nas Arnold, a potem możesz ruszać. Masz ze sobą rzeczy?

–Tak. Walizka spakowana. Od pierwszego dnia w Waszyngtonie przeczuwałem, że czeka mnie podróż.

–A pieniądze?

–Arnold prześle mi je telegraficznie do Kansas. Przed wyjazdem tutaj powiadomiłem jego biuro, że być może wybiorę się za Atlantyk.

–Dobrze. Leć regularnymi liniami, jak najmniej rzucaj się w oczy. Poproszę, żeby ktoś z Royal Navy odebrał cię na Heathrow, nie taka to znowu przysługa, żeby zaraz zaczęli coś podejrzewać.

Rozegraj to elegancko i dyskretnie, i nic im nie mów, chyba że w ostateczności.

–Rozumiem. Biuro Arnolda poda wam numer mojego lotu. Jeśli wylecę w niedzielę wieczorem, to na Heathrow będę w poniedziałek rano.

Wyszli z gabinetu i ruszyli przez hol.

–Spotykamy się o ósmej rano na tarasie – zapowiedział admirał.

Bill Baldrige zatrzymał się u stóp znajomych schodów prowadzących do dużego pokoju gościnnego na drugim piętrze, gdzie zawsze sypiał bawiąc tu z wizytą i gdzie spędził tyle nocy z Elizabeth. Wydawało mu się to tak odległe w czasie.

Przed wstąpieniem na schody odwrócił się jeszcze do admirała.

–Sir – powiedział formalnie – spytam po rai ostatni. Czy osobiście jest pan absolutnie przekonany, że nie mogło tego zrobić żadne inne z wrogich nam państw Środkowego Wschodu?

–Absolutnie. Egipt, Syria i Libia wycofały ze służby swoje łodzie podwodne sowieckiej produkcji pod koniec 1995 roku z powodu chronicznego braku części zamiennych i wsparcia technicznego. Mossad doniósł, że w tym czasie kasacji poddano w sumie trzynaście arabskich łodzi podwodnych. Egipcjowi skończyły się pieniądze na eksploatację. Większość z nich utraciła certyfikaty „bezpiecznych w zanurzeniu”. Jedna z syryjskich zatонуła przy portowym nabrzeżu!

Syria zabiega teraz o trzy Kilo, ale w dzisiejszych czasach trzeba płacić żywą gotówką. Moskwa nie udziela już wojskowych kredytów. Z libijskimi łodziami podwodnymi zawsze było trochę tak jak z chińskimi ćwiczeniami przeciwpożarowymi. Co prawda mają ich jeszcze sześć, ale podobno żadna od ośmiu lat nie zeszła pod * powierzchnię. Nie da się ukryć, że wszystkie znajdują się w tragicznym stanie technicznym.

–Dobrej nocy, admirale – powiedział Bill. – Czyli nie ma żadnych wątpliwości, że to był Iran, tak?

–Pewne są – odparł Scott Dunsmore. – Ale nie aż takie, żebyś zawracał sobie nimi głowę.

Komandor porucznik wszedł powoli na górę i położył się do łóżka w swoim ulubionym pokoju z widokiem na szeroką rzekę. Ale tej nocy przyśnił mu się tam najgorszy z koszmarów. Gigantyczna czarna łódź podwodna, która sunęła za nim po dnie oceanu i usiłowała go przygwoździć, omotać złem. Podwodnym złem. Obu-

dział się zlany potem i zdyszany. Podobne sny są wśród podwodniackiej braci na porządku dziennym. Psychiatrzy marynarki wojennej upatrują ich źródła w wieloletnim tłumieniu panicznego lęku, niedopuszczaniu do siebie myśli o najgorszym, co może spotkać podwodniaka: o śmierci przez uduszenie lub utonięcie. Nie sposób całkowicie wyprzeć ze świadomości bliskości śmierci, która czyha na każdym kroku na oficera łodzi podwodnej.

'101000LIP02. 18N, 59E. Szybkość 7. Kurs 224. Głębokość 150 metrów. 260 mil na południowy zachód od Punktu; na wschód od Zatoki Suarah, Oman.

–Ben, mamy dużo małych problemików, ale ten przeciek na uszczelce głównego wału jest coraz większy. Mechanik mówi, że pompy nie nadążają, chce się zatrzymać, wynurzyć i to naprawić. Nabieramy wody.

–Powiedz- swojemu mechanikowi, Georgy, że te jego problemy tu, pod wodą, to nic w porównaniu z tymi, jakie czekałyby nas na powierzchni.

–Ale Ben, pompy nie wyrabiają. Stopa wody w zężu. Wszędzie wodna mgiełka. Załoga zaniepokojona. Ci młodszy nie na żarty przestraszeni.

–Nie obchodzi mnie, ile wody nabieracie. Najważniejsze, że nie idziecie na dno. Próbuję właśnie oszacować ryzyko. Musisz -mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy pompy dadzą sobie radę z usunięciem tej ilości wody, jaka się wlewa?

–Przecież mówię, że nie wyrabiają, Ben. Ale akumulatory jak dotąd suche.

–Pozostajemy więc w zanurzeniu, ale wznieś się powolutku na głębokość peryskopową. To powinno zmniejszyć przeciek o jakieś dziewięć dziesiątych. Jeśli pozostaniemy tuż pod powierzchnią, to może uda nam się uniknąć wykrycia, a uratujemy akumulatory. Musimy się oddalić na czterysta mil od Punktu. Bo jeśli wynurzymy się wcześniej i nas nakryją, to leżymy.

–Ile to jeszcze potrwa, Ben? Muszę im coś powiedzieć.

–Widzisz, Georgy, to problem z natury tych matematycznych. Rejon poszukiwań, w którym mogliśmy się przycząić, rozciąga się w promieniu godziny drogi od Punktu. To około

stu pięćdziesięciu mil kwadratowych, czyli z grubsza rzecz biorąc kwadrat dwanaście na dwanaście mil. Niewielki spłachetek oceanu dla tuzina okrętów tropiących łódź podwodną. Ale jeśli będziesz szedł dalej z szybkością siedmiu węzłów, to po sześciu godzinach zrobi się z tego pięć i pół tysiąca mil kwadratowych. Kiedy już oddalimy się stamtąd na czterysta mil, powierzchnia kwadratu wzrośnie tak, że znalezienie nas stanie się praktycznie niemożliwe, i

dopiero wtedy będziemy mogli powiedzieć, że żyjemy, rozumiesz? Spróbuj się wynurzyć, a już po nas. Z Amerykanami nie ma żartów, kiedy są na luzie. Dzisiaj mogą się okazać nadludźmi. Bo szukają czegoś konkretnego. Powiedz to załodze, Georgy. Pozostajemy na głębokości peryskopowej i idziemy dalej z szybkością siedmiu węzłów, choćbyśmy mieli zatonać albo dopóki nie zdechną nam akumulatory.

–Dobra, Ben, wygrałeś. Znowu jesteś supermanem Nauczycielem, co?

–Ty to powiedziałeś, Georgy. Ale Nauczyciel Geniusz wystarczy.

Dwie godziny po wsnięciu się słońca ponad wschodni marylandzki horyzont Bill Baldrige i Scott Dunsmore zasiedli do śniadania, na które składały się sok pomarańczowy oraz tosty i konfitury. Młody oficer słuchał w milczeniu gospodarza, który zaznajamiał go z ustaleniami poczynionymi przez admirała Morgana.

–Rozmawiał z Moskwą. Nie potwierdzają, że topielec należał do załogi tej Kilo, która jakoby zatonała w kwietniu na Morzu Czarnym. Z drugiej strony ludzie Morgana twierdzą, że przez Bosfor i dalej przez Morze Marmara aż do greckich wysp mogłaby ewentualnie przepłynąć pusta butelka, ale nie ciało, bo zostałyby po drodze zjedzone przez ryby. To się nie trzyma kupy.

Rosjanie tłumaczą się, że kiedy admirał Morgan skontaktował się z nimi w maju, powiedzieli mu, że ta łódź podwodna zatonała, bo naprawdę tak myśleli. Ale po miesiącu poszukiwań niczego konkretnego nie znaleźli. Same śmieci. Przede wszystkim nie natrafili na kadłub. Zwłoki tego marynarza powinny ich teraz utwierdzić w tym, co już z pewnością podejrzewali. Że Kilo z całą załogą wydostała się niezauważona z Morza Czarnego i tyle ją

stu pięćdziesięciu mil kwadratowych, czyli z grubsza rzecz biorąc kwadrat dwanaście na dwanaście mil. Niewielki splachetek oceanu dla tuzina okrętów tropiących łódź podwodną. Ale jeśli będziesz szedł dalej z szybkością siedmiu węzłów, to po sześciu godzinach zrobi się z tego pięć i pół tysiąca mil kwadratowych. Kiedy już oddalimy się stamtąd na czterysta mil, powierzchnia kwadratu wzrośnie tak, że znalezienie nas stanie się praktycznie niemożliwe, i dopiero wtedy będziemy mogli powiedzieć, że żyjemy, rozumiesz? Spróbuj się wynurzyć, a już po nas. Z Amerykanami nie ma żartów, kiedy są na luzie. Dzisiaj mogą się okazać nadludź-mi. Bo szukają czegoś konkretnego. Powiedz to załodze, Georgy. Pozostajemy na głębokości peryskopowej i idziemy dalej z szybkością siedmiu węzłów, choćbyśmy mieli zatonać albo dopóki nie zdechną nam akumulatory.

–Dobra, Ben, wygrałeś. Znowu jesteś supermanem Nauczycielem, co?

–Ty to powiedziałeś, Georgy. Ale Nauczyciel Geniusz wystarczy.

Dwie godziny po wspięciu się słońca ponad wschodni marylandzki horyzont Bill Baldrige i Scott Dunsgiore zasiedli do śniadania, na które składały się sok pomarańczowy oraz tosty i konfitury. Młody oficer słuchał w milczeniu gospodarza, który zaznajamiał go z ustaleniami poczynionymi przez admirała Morgana.

–Rozmawiał z Moskwą. Nie potwierdzają, że topielec należał do załogi tej Kilo, która jakoby zatonała w kwietniu na Morzu Czarnym. Z drugiej strony ludzie Morgana twierdzą, że przez Bosfor i dalej przez Morze Marmara aż do greckich wysp mogłaby * ewentualnie przepłynąć pusta butelka, ale nie ciało, bo zostałyby po drodze zjedzone przez ryby. To się nie trzyma kupy.

Rosjanie tłumaczą się, że kiedy admirał Morgan skontaktował się z nimi w maju, powiedzieli mu, że ta łódź podwodna zatonała, bo naprawdę tak myśleli. Ale po miesiącu poszukiwań niczego konkretnego nie znaleźli. Same śmieci. Przede wszystkim nie natrafili na kadłub. Zwłoki tego marynarza powinny ich teraz utwierdzić w tym, co już z pewnością podejrzewali. Że Kilo z całą załogą wydostała się niezauważona z Morza Czarnego i tyle ją

—

widziano. Z sobie tylko znanych powodów Moskwa nie kwapi się przyznać tego, co Morgan uważa już za fakt oczywisty.

–Jasna cholera! – mruknął Baldrige.

–Co więcej, jeśli łódź szła przez Morze Śródziemne z szybkością siedmiu węzłów, to wielce prawdopodobne, że właśnie ją usłyszał nad ranem piątego maja ten człowiek Morgana ze stacji nasłuchowej na Gibraltarze. Daty pokrywają się dokładnie z przybliżoną chwilą śmierci oszacowaną przez greckiego patologa.

* – Jak to się stało, że tej przeklętej łodzi nie namierzył nikt inny?

–Należy podejrzewać, że przemykali się chyłkiem i w jakimś momencie popełnili błąd. Arnold mówi, że nasz człowiek słyszał ich tylko przez trzydzieści sekund: jeden wał napędowy, pięć skrzydeł, nagle przyspieszenie. Potem cisza. Facet był przekonany, że to łódź podwodna. Dlatego to zgłosił. Sprecyzował nawet, że według niego nie była to jednostka o napędzie atomowym, lecz diesel. Admirał Morgan mu wierny.

–Brzmi mi to bardzo kategorycznie – stwierdził Baldrige.

–Tak to już bywa, kiedy fakty układają się po naszej myśli -odparł refleksyjnie admirał. – Ale do całej układanki dochodzi jeszcze jeden element.

–Jaki?

–Ze zdjęć satelitarnych wynika, że w Bandar-e Abbas cumują obecnie tylko dwie z trzech irańskich Kilo. Taki stan utrzymuje się od piątku, piątego lipca.

–No dobrze, ale skoro jedna z nich wyszła w morze, to dlaczego od razu tego nie zauważyliśmy i nie wzięliśmy jej pod obserwację?

–Dobre pytanie. Faktem pozostaje, że nikt nie widział, jak wypływa z portu. Zupełnie nikt.

–Myślisz, że mogła się wysliznąć bez niczyjej wiedzy i zatopić lotniskowiec?

–Licho wie. Eksperci twierdzą, że to niemożliwe. Ale nadal nie wiadomo, gdzie się podziała.

–Moim zdaniem czyni to Iran podwójnie podejrzany. Mogli wyprowadzić łódź, żeby odciągnąć naszą uwagę od tej, którą wypożyczyli z Morza Czarnego, od prawdziwej winowajczynie.

–Być może. Ale ludzie admirała Morgana odrzucają możliwość, żebyśmy nie zauważyli, jak przeprowadzają Kilo przez cieśninę Ormuz. Na ten rejon wody wycelowana jest dzień i noc

kamera naszego satelity KH-11. Doba w dobę. Myślę, że albo przeprowa-

dzili gdzieś tę łódź, albo ją ukryli, żeby nas zmylić. Tak czy inaczej, zaczynają mi teraz wyglądać bardzo, ale to bardzo podejrzanie.

–Co do tego nie ma wątpliwości.

–No, leć teraz do mamy, Billy. A potem gazem do Szkocji. Bierzemy się do roboty.

Wyszli przed dom, wsiedli na tylne fotele sztabowego samochodu marynarki i pojechali do Pentagonu. W garażu czekał już wartownik z marines, który zaprowadził admirała Dunsmore'a

do prywatnej windy generała Paula.

*

Samochód wziął z piskiem opon zakręt i zatrzymał się przed terminalem lotniska. Bill Baldrige porwał z przedniego siedzenia torbę podróżną i zaczął szukać biletu. Godzinę później siedział już w samolocie. Większość drogi do Kansas City, wielkiego miasta nad rzeką Missouri, leżącego na granicy dwóch stanów, przespał. W Kansas przesiadał się na samolot do Wichity, by stamtąd beechcraftem małej lokalnej linii dotrzeć do Great Bend. Stamtąd do domu było jeszcze około trzydziestu ośmiu mil, zadzwonił więc z kansaskiego lotniska do brata Ray'a i poprosił, żeby po niego wyjechał.

Międzynarodowy port lotniczy w Kansas City znajduje się w prawym górnym narożu stanu, na północ od rzeki. Bill Baldrige bynajmniej nie czuł się tu jeszcze jak u siebie. Prawdę mówiąc, to u siebie zaczął się czuć dopiero, kiedy zapinał pas bezpieczeństwa w maszynie lecącej na południowy zachód, do Wichity, i usłyszał znowu znajomy akcent swoich stron. Unosząc się pod czystym, teraz, kobaltowym niebem środkowozachodniego lata, widział w dole wielki bilardowy stół swojego rodzinnego stanu, miliony akrów pszenicy i rozległe prerie błękitnożółtej trawy, najwspanialsze na ziemi pastwiska dla bydła.

Ponieważ przez myśl mu nawet nie przyszło, by zasiąść do śniadania z szefem operacji morskich w stroju innym niż pełny uniform, nadal był w mundurze oficera marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych.

Im głębiej zapuszczał się w rodzinne strony, tym większa budziła się w nim tęsknota za butem z cholewą i ostrogami, za końskim grzbietem, za bykowcem i stetsonem. Ta tęsknota nasiliła się jeszcze bardziej, kiedy dostrzegł pod sobą jedno ze wspaniał-

szych zjawisk geograficznych w USA – wyrastające niespodziewanie z równin obłe, kopulaste wzgórza. Oglądane z góry przywodziły na myśl kurhany jakiegoś starożytnego indiańskiego cmentarzyska, egipską Dolinę Królów.

Dziwne wzgórza Flint Hills, wznoszące się jedno za drugim symetrycznymi rzędami, były teraz, w lipcu, soczyście zielone, ale te dalsze, napierające na widnokrąg, spowijała błękitna, gdzieś nawet purpurowa mgiełka. Z powietrza wydawały się zupełnie wyludnione, kusily obietnicą prawdziwego odosobnienia każdego, kto szuka samotności.

Przelatywali teraz nad autostradą międzystanową biegnącą na wschód, ku starej kawaleryjskiej stacji Fort Scott na granicy stanu Missouri. W dole rozciągały się niezmierzone akry rancza Spring Creek należące do rodziny Kochów, największych w stanie Kansas pracodawców – Koch Industries z Wichita, największe, znajdujące się w prywatnych rękach imperium rurociągów naftowych na świecie.

W latach sześćdziesiątych Fred Koch i Tom Baldrige nawet się dosyć blisko przyjaźnili, ale Fred umarł młodo i teraz firma należała do czeredy jego braci. Najmłodszy z nich i zdaniem Jacka najsympatyczniejszy oraz najmądrzejszy był Bill Koch, który w 1992 roku zwyciężył w regatach żeglarskich America's Cup w San Diego. Jack obserwował tamte zawody jako gość swojego krajana z Kansas. Jack twierdził od kilku lat, że Bill Koch powinien się ubiegać o fotel gubernatora stanu.

Zaczynali podchodzić do lądowania w śródkontynentalnym porcie lotniczym w Wichita, nad którym roi się codziennie od prywatnych odrzutowców z prezesami wielkich korporacji naftowych i zakładów budowy samolotów na pokładzie.

Bill wyszedł w gorące równinne popołudnie i pełną piersią odetchnął powietrzem, które tutaj zawsze wydało mu się świeższe niż gdzie indziej. W drodze do hali bagażowej zatrzymywał się trzy razy zaczepiany przez ludzi, którzy go rozpoznawali i chcieli złożyć kondolencje. Komandor porucznik Baldrige cierpliwie ich wysłuchiwał i grzecznie dziękował.

–Hej, Billy – rozległ się za nim kolejny znajomy głos, kiedy ścigał swoją torbę z karuzeli – zabierz się ze mną do Great Bend, leci nas tylko trójka. Powiedziano mi, że mogę cię tu spotkać. – Krótkodystansowe przeloty były tutaj na porządku dziennym. Duże kansańskie rodziny nigdy nie zawracały sobie głowy biletami. Do

szych zjawisk geograficznych w USA – wyrastające niespodziewanie z równin obłe, kopulaste wzgórza. Oglądane z góry przywodziły na myśl kurhany jakiegoś starożytnego indiańskiego cmentarzyska, egipską Dolinę Królów.

Dziwne wzgórza Flint Hills, wznoszące się jedno za drugim symetrycznymi rzędami, były teraz, w lipcu, soczyście zielone, ale te dalsze, napierające na widnokrąg, spowijała błękitna, gdzieniegdzie nawet purpurowa mgiełka. Z powietrza wydawały się zupełnie wyludnione, kusily obietnicą prawdziwego odosobnienia każdego, kto szuka samotności.

Przelatywali teraz nad autostradą międzystanową biegnącą na wschód, ku starej kawaleryjskiej stacji Fort Scott na granicy stanu Missouri. W dole rozciągały się niezmierzone akry rancza Spring Creek należące do rodziny Kochów, największych w stanie Kansas pracodawców – Koch Industries z Wichita, największe, znajdujące się w prywatnych rękach imperium rurociągów i naftowych na świecie.

W latach sześćdziesiątych Fred Koch i Tom Baldrige nawet się dosyć blisko przyjaźnili, ale Fred zmarł młodo i teraz firma należała do czeredy jego braci. Najmłodszy z nich i zdaniem Jacka najsympatyczniejszy oraz najmądrzejszy był Bill Koch, który w 1992 roku zwyciężył w regatach żeglarskich America's Cup w San Diego. Jack obserwował tamte zawody jako gość swojego krajana z Kansas. Jack twierdził od kilku lat, że Bill Koch powinien się ubiegać o fotel gubernatora stanu.

Zaczynali podchodzić do lądowania w śródkontynentalnym porcie lotniczym w Wichita, nad którym roi się codziennie od prywatnych odrzutowców z prezesami wielkich korporacji naftowych i zakładów budowy samolotów na pokładzie.

Bill wyszedł w gorące równinne popołudnie i pełną piersią odetchnął powietrzem, które tutaj zawsze wydało mu się świeższe niż gdzie indziej. W drodze do hali bagażowej zatrzymywał się trzy razy zaczepiany przez ludzi, którzy go rozpoznawali i chcieli złożyć kondolencje. Komandor porucznik Baldrige cierpliwie ich wysłuchiwał i grzecznie dziękował.

–Hej, Billy – rozległ się za nim kolejny znajomy głos, kiedy ściągał swoją torbę z karuzeli – zabierz się ze mną do Great Bend, leci nas tylko trójka. Powiedziano mi, że mogę cię tu spotkać. – Krótkodystansowe przeloty były tutaj na porządku dziennym. Duże kansańskie rodziny nigdy nie zawracały sobie głowy biletami. Do

Baldrige'ów przychodził po prostu co miesiąc pokaźny zbiorczy rachunek i regulowało go biuro rancza.

I teraz pilot Rick Varner odebrawszy od Billa torbę ruszył w kierunku beechcrafta.

–Leciałem wczoraj z twoją mamą do Tribune – podjął. – Mają tam taki mały pas startowy na południowy wschód od miasta. Chciała odwiedzić biednego starego Jethro Carsona. Mówiła, że śmierć Zacka zupełnie go załamała. Od kiedy się powiedział, nie wypowiedział ani jednego słowa. W żałobie jest cały okręg Greely. Jethro, chociaż ma już swoje lata, trzymał się dotąd nad podziw. Twoja mama obawia się, że to go może dobić. Mówi, że człowiekowi serce może pęknąć niezależnie od wieku.

–Chyba tak, Rick. Sam nie czuję się najlepiej. Jak mama to znosi?

–Obcy mógłby pomyśleć, że dobrze. Ale ja nie od dzisiaj znam panią Baldrige. Nadrabia miną. Tylu wstrząśniętych ludzi, jak w poniedziałek, kiedy podano wiadomość o tym lotniskowcu i okazało się, że był na nim Jack, jeszcze w życiu nie widziałem. Czwórka pracowników naszego biura płakała. Poryczał się, cholera, jak bóbr mój drugi pilot. Ja też. Jack rzadko tu ostatnio bywał, ale wiesz, jak to jest, kiedy człowiek dowiaduje się nagle, że odszedł ktoś, kogo znał od małego.

–Będzie nam go w rodzinie ogromnie brakowało, to fakt.

Resztę z dwudziestopięciominutowej podróży nad centralną *

równiną przebyli w milczeniu. W końcu Rick obniżył lot i przemknął nisko nad ogromnym zakolem szerokiej rzeki Arkansas, która przyjmuje tutaj barwę jadeitu. To słynny zakręt, gdzie rzeka zawraca, zmieniając bieg z północno-wschodniego na południowo-wschodni, by toczyć szeroko swe wody przez mało żyzne równiny w kierunku Wichity, i dalej, już niemal prosto na południe, ku Oklahomie. Na jej północnym brzegu wyrosło tutaj miasto Great Bend. Arkansas to jedna z największych amerykańskich rzek. Wypływa z gór Colorado Rockies, pokonuje tysiąc pięćset mil kan-saskich wyżyn, spływa na niziny południowo-zachodniego Kansas, przecina Oklahomę i dociera do stanu Arkansas, a następnie, pięćdziesiąt mil od jego granicy z Luizjaną, wpada na tereny stanu Mississippi.

Pomimo że na swojej drodze przemierza tyle stanów, cały Kansas uważa ją za swoją prywatną rzekę i wszystko, co robi ona przed oraz za granicami stanu, jest dla jego mieszkańców zupełnie

nieważne. Bill Baldrige również traktował Arkansas jak swoją rzekę.

Wylądowali na małym, komercyjnym lotnisku w Great Bend, gdzie czekał na brata wysoki, szczupły, opalony na brąz Ray Baldrige w bawełnianej koszulce z krótkimi rękawami, w przewiewnych spodniach i w stetsonie.

–Witaj w domu, mały. – Uśmiechnął się, ale przygnębiająca świadomość śmierci Jacka sprawiła, że do pickupa Cherokee doszli już w milczeniu.

Pierwszy przełamał lody Ray.

–Mama jakoś się trzyma – odezwał się – ale chyba z trudem jej to przychodzi. To samo ze mną. Nie mogę uwierzyć, że już go więcej nie zobaczymy.

–Ja się z tym chyba nigdy nie pogodzę.

–No nic, w każdym razie na ranczu wszystko gra. W tym roku * zarobiliśmy górę forsy, wszystkie zyski zasilają wciąż fundusz

powierniczy założony przez tatę. Mam nadzieję, że szybko wypiszesz się z tej marynarki, wrócisz tu i przejmiesz interes. Ja jestem dobry w doglądaniu stad, prowadzeniu hodowli, zatrudnianiu i zwalnianiu ludzi, pilnowaniu, żeby wszystko szło bez zgrzytów. Ale najważniejszą robotę odwalał tu chyba Jack. To on kupował i sprzedawał ziemię, prowadził księgi, inwestował w nowe stada, śledził sytuację na rynku, decydował, kiedy sprzedawać, kiedy kupować i w ogóle. Nikt tego nie robi lepiej od członka rodziny. Mamy co prawda księgowych, ale to nie to samo, co ty, tato albo Jack. Wolałbym, żeby tymi sprawami zajmował się rodowity Baldrige.

–Tak, Ray, wiem. Mam jeszcze do wykonania jedno ostatnie zadanie w marynarce, a potem odchodzę do cywila. Głównie dlatego że wyżej już i tak mnie nie awansują. Wolę odejść, niż pozostać do końca kariery komandorem porucznikiem. Zaplanowałem już sobie, że w tym, najdalej w przyszłym roku wracam do domu. Ale, cholera, nawet mi' do głowy nie przyszło, żeby przejmować prowadzenie całego tego kramu. To diabelna odpowiedzialność. Wymaga poświęcenia całego czasu.

–Fakt, Billy. Ale poświęcasz go dla siebie... no i dla mnie.

Minęli już granicę kraju Pawnee i pędzili na zachód płaską,

niemal pustą preriową drogą, która biegła prosto jak strzelił przez te stare indiańskie ziemie. Krajobraz po lewej i po prawej był identyczny; niezliczone mile bezkresnych pól uprawnych i pastwisk – tu i ówdzie łąny pszenicy, trochę rzadziej dojrzewająca

kukurydza, a przede wszystkim wielkie połacie prerii, ciągnących się po widnokrąg traw, które falują przy najmniejszym powiewie wiatru.

Była to Wielka Kraina, ziemie Wyatta Earpa, braci Dalton, Bata Mastersona, Dzikiego Billa Hickoka, Komanczów, Pawnee oraz rdzennych mieszkańców tych terenów, szczepu Kanza, Indian z Równin, którzy niegdyś galopowali tu za rozciągniętymi na dwadzieścia pięć mil stadami bizonów.>

Ranczo Baldrige'ów, z charakterystycznym znakiem B/B z kutego żelaza osadzonym w wysokiej bramie prowadzącej do domu, znajduje się już poza granicą kraju Pawnee, w okręgu Hodgeman, w żyznych, napływowych widłach rzek Pawnee River i Buckner Creek, które łączą tu w końcu swe wody, by meandrami podążyć już wspólnie ku szerokiej Arkansas. Ale ziemie Baldrige'ów zaczynają się jeszcze przed granicą i rozciągają na dwa sąsiednie okręgi, tak więc Bill na długo przed ujzieniem domu mógł już podziwiać część stad białogłowych herefordów należących do rodziny.

Ocecił bydło fachowym okiem.

–Dobrze się prezentują, Ray – powiedział. – To twoja zasługa. Jak zawsze.

–Dzięki, braciszku. Mieliśmy w tym roku dużo szczęścia. Pod koniec wiosny sporo padało i trawa pięknie wybujała. Wiesz, jak to jest, im lepsze pastwisko, tym mniej wędrują i szybciej przybierają na wadze.

–Wiem – mruknął Bill i zamilkł. Jak co dwie godziny od dwóch dni, znowu stanęła mu przed oczami wizja złowroziej, czarnej rosyjskiej Kilo. Wiedział dobrze, jak wygląda, potrafiłby ją opisać z najdrobniejszymi szczegółami, podobnie jak byka rasy hereford. W tej chwili egzystował jakby w dwóch światach naraz, światach oddalonych od siebie o miliony lat świetlnych: tu lekki wietrzyk i domowe bydło pasące się na Łąkach Boga, jak nazwał te prerie pewien kansański poeta; a tam odrażająca, groźna, wroga arena międzynarodowego, zmilitaryzowanego terroryzmu, w której czarne serce musi się przed końcem przyszłego tygodnia zapuścić.

Ray podjechał cherokee pod same drzwi dużego, pomalowanego na biało, drewnianego domu z wysokimi, doryckimi kolumnami, który płał się w cieniu rozłożystych klonów sadzonych przez pokolenia Baldrige'ów.

Weszli do środka i przeciąwszy przestronny hol z drewnianym, belkowanym sufitem, wkroczyli sklepionym łukowo przejściem do słonecznego pokoju, w którym siedziała wysoka, siwowłosa matka rodziny, licząca sobie siedemdziesiąt pięć lat Emily Baldrige. Popijając angielską herbatę, czytała stanową gazetę «Kansas».

Na widok najmłodszego syna wstała i wzięła go z uśmiechem w objęcia.

–No i jak się tam miewa mój marynarz? – spytała, odsuwając go od siebie na długość wyciągniętych ramion i mierząc taksującym spojrzeniem.

–Nieźle, mam – odparł, podziwiając w duchu jej opanowanie w obliczu śmierci męskiej głowy rodziny. – Mam dla ciebie dwie nowiny. Po pierwsze, przydzielono mnie do śledztwa w sprawie , tego wypadku na lotniskowcu. Po drugie, prawie już się zdecydowałem, że zaraz po jego zakończeniu odchodzę z marynarki. Rozmawialiśmy już o tym z Rayem w drodze z lotniska. Najdalej za rok wracam do domu.

–Och, jak dobrze, Billy. Miałam nadzieję, że tak właśnie postąpisz. Nie dajemy sobie z Rayem rady. Martwiłam się, że miną lata, zanim Jack tu wróci, ale teraz on już nie wróci, i zaczynałam się zastanawiać, czy czasem nie odsprzedać części ziemi i nie zredukować liczebności stada. Jest dla nas za duże.

–Chyba dobrze, że nie mogą tego usłyszeć ani tato, ani Jack. Obaj mieli wrodzony wstręt do sprzedawania czegokolwiek. Ja też nie jestem do tego skory, a więc lepiej zostawmy wszystko jak jest. I miałaś, mam, rację. Jack nie wróciłby tak szybko do domu. Chcieli go zrobić admirałem. Doszedłby na sam szczyt. Do Pentagonu. Był najlepszym potencjalnym dowódcą pola walki, jakiego znałem. Wszyscy byli tego zdania. Scott twierdził, że grzeje fotel szefa operacji1 morskich dla kapitana Baldrige'a. A nie miał na myśli mnie!

–Och, kochanie, ale na koniu tak jak ty jeździć nie potrafił, prawda?

–Nie, mam, nie potrafił. Ale za to potrafiłby zniszczyć całą rosyjską flotę. Słyszałem parę razy, jak mówił, że z rozkoszą by to zrobił.

Bill zdawał sobie sprawę, że musi czym prędzej zmienić temat. Spojrzał z czułością na matkę, było już jednak za późno. Chciała mu powiedzieć, że w przyszłym tygodniu przylatuje z San Diego

Margaret z dwójką jej wnucząt, ale nie mogła dobyć z siebie głosu. Łzy popłynęły jej po twarzy. Oplakiwała stratę ukochanego, średniego syna, jedyne z trójki braci, który wyglądał dokładnie jak ojciec. Tego, którego kochała najbardziej.

–Dopadnę go, mamó – wyrzucił z siebie Bill. – Możesz postawić na to całe ranczo. Dopadnę go.

Ale Emily Baldridge zbyt była teraz zajęta walką o odzyskanie samokontroli, by słuchać słów Billa. Przyjąwszy od niego z wdzięcznością białą lnianą chusteczkę odwróciła się i wybiegła z pokoju.

–Muszę się doprowadzić do porządku – zawołała jeszcze od progu. – Odpocznij sobie. Spotkamy się o siódmej na werandzie.

Bill odprowadził ją zatroskanym wzrokiem. Ta przystojna kobieta do tej pory nie wyzbyła się sztywnych konwenansów Wschodniego Wybrzeża, hołdowała wciąż starym zasadom, które zabraniały okazywania emocji, nadal nosiła piętno Wellesley College tak wyraźne, jakby w dzień promocji wypalono jej na czole znak W. W oczach osób postronnych uchodzili z Tomem Baldridge'em za parę, skromnie mówiąc, niedobraną – ona taka ułożona, on trochę nieokrzesany, barczysty ranczer z Kansas.

Bill wyszedł do holu pod łukiem, który zdobiły rozłożyste rogi i indiańskie akcesoria, i wspiąwszy się za matką długimi dębowymi schodami na górę, skręcił do swojego starego pokoju: gruby, wzorzysty pled Siuksów zarzucony na łóżko, skrzyżowane włócznie Komanczów obok lustro, duży, oprawiony w ramy, sepio-wy wizerunek Crazy Horse'a spozierającego nieruchomym wzrokiem na pokój. Była to główna kwatery szkolnego skauta, weterana setek bitew stoczonych w tej historycznej krainie Indian z Równin. W nogach łóżka stały dwie pary kowbojskich butów, jedna z ostrogami. W dużej sosnowej szafie wisiały, jak przystało na najmłodszego syna jednego z największych w okolicy ranczerów, cztery stetsony oraz cała kolekcja kowbojskich koszul i spodni.

Dziesięć minut później Bill wychodził na werandę ubrany w strój, w którym czuł się już zupełnie jak w domu. Lekki, biały stetson nasunął sobie na czoło, ale na tyle tylko, żeby cień ronda chronił oczy przed blaskiem. Wybierał się na samotną konną przejażdżkę na zachód, w stronę zanurzającego się za widnokrąg, gigantycznego kansańskiego słońca. Poszczękując ostrogami wszedł do stajni. Powiedział parę słów do Freddie'ego, wielkiego konia, który dosiąść pozwalał się tylko jemu i Rayowi. Potem dźwignął kowboj-

skie siodło z indiańskimi ornamentami i zarzucił je na grzbiet wierzchowca. Obchodząc Freddie'ego od tyłu, żeby zacisnąć popręgi, pogładził czule ogon zwierzęcia. Nie bał się zadnych kopyt, które człowieka nie mającego odpowiedniego podejścia mogłyby wyrzucić na dwadzieścia metrów w powietrze.

Kiedy wkrótce potem jechał stępa między zagrodami dla bydła, nikt nie domyśliłby się, że kiedykolwiek opuszczał te strony. Mijając dwóch pracowników rancza naprawiających ogrodzenie, uchylił kapelusza.

–Cześć, Billy, witaj w domu... straszna sprawa z tym Jackiem. Wszyscy tu nie możemy dojść do siebie.

Bill Baldrige jechał powoli na zachód. Dwadzieścia pięć mil na południowy zachód stąd leżało Dodge City, najbliższe większe miasto – mama była członkiem zarządu tamtejszego muzeum. Na f wprost nie było właściwie niczego, tylko mile rozfalowanej prerii. Chylące się ku zachodowi słońce barwiło pastwiska na zielon-kawozłocisty kolor. Kołyszące się w podmuchach południowego wiatru trawy przywodziły na myśl zmarszczki na wodzie. Bill patrzył na to, jak kiedyś, oczami chłopca wyobrażającego sobie ocean, którego nigdy nie widział.

Trawa była tak bujna i soczysta, że głużyła niemal całkowicie tętent podków Freddie'ego. Wśród nieustającego rzępolenia cykad tylko od czasu do czasu rozlegał się ledwie dosłyszalny chrzęst miazdżonych grubszych łodyg. Spuszczając wzrok Bill dostrzegał gdzieś rozległe łyse placki, skąd cała trawa i wszystkie polne kwiaty znikły jak wygolone kosiarką i gdzie wiatr nie rzeźbił swoich ulotnych wzorów.

Bardzo niedawno musiały tędy przejść wielkie stada Baldrige'ów. Tak niedawno, że żaden z polnych kwiatów nie zdążył jeszcze odrosnąć. Bydło musiało być gdzieś blisko, ale Bill musiał już wracać, bo umówił się przecież z matką i z Rayem. Jeszcze mila i zawróci, może puści Freddie'ego galopem, przegoni go troszkę, niech sobie staruszek przypomni młode lata.

Posuwali się dalej lekkim klusem przez to amerykańskie odludzie, które czyni swoich mieszkańców wiecznymi niewolnikami nieopisanego, cichego piękna.

Na wprost, wysoko nad widnokregiem, pęczniała skarpa zbierających się chmur. Bill przymrużył oczy i spojrzał pod zachodzące słońce, które przybierało już barwę dogasającego pożaru. Nie dostrzegł stad, zawrócił więc konia i czując teraz na plecach ciepło

gasnącego dnia ruszył w drogę powrotną do domu. Miłą od rancza, zbliżywszy się do strumienia, gdzie grunt był bardziej miękki, puścił Freddie'ego galopem.

Dwaj kowboje nad brzegiem osaczali ostatniego z sześciu byczków, które odłączyły się od stada. Mieli je już prawie w kupie i szykowali się, by popędzić całą gromadkę w stronę zagród. Jeden ruszył przodem, drugi asekurował małe stadko od lewej. Ale dwa byczki zbaczały uparcie ku wodzie. Bill Baldrige instynktownie dał Freddie'emu ostrogę i chwycił za długi bykowiec przytroczony po lewej stronie siodła. Zajechał stadko od lewej, nieasekurowanej strony, przegradzając drogę pierwszemu z uciekinierów. Od ich sierści odcinało się wyraźnie słynne w Kansas piętno B/B.

Bill Baldrige krzyknął, strzelił nad głową z bykowca, napał Freddie'em na prawy bok byczka i zepchnął go z powrotem do kolegów ze stada. Uśmiechnął się na widok wyrazu bezbrzeżnego zdumienia, jakie odmalowało się na białym bydlęcym pysku.

Podjechał do kowbojów.

–Hej, dzięki, Bill – powiedział starszy i wyższy z dwóch jeźdźców. Prawy, orzechowobrazowy policzek wypchała mu gruda żutej prymki. – Nie wyszłeś jeszcze z wprawy, co?

Nie widzieli się od dwóch lat, ale są na świecie miejsca, w których czas się zatrzymuje.

–Nie ma sprawy, Skip – odparł z uśmiechem Bill. – W gorące dni trudno je odpędzić od wody. *

–Żebyś wiedział. Na długo?

–Mhm. Do niedzieli.

–Pani pewnie się cieszy. Myśleliśmy, że teraz może wrócisz... no wiesz, po tym nieszczęściu z Jackiem i w ogóle.

–Wracam w przyszłym roku. Na dobre.

Jechali kawałek w milczeniu.

–Wiesz, co mi się najbardziej nie podoba w marynarce, Bill? – odezwał się po chwili Skip McGaughey.

–No, oświeć mnie.

–Nie podoba mi się, że nie można postawić nagrobka większości ludzi, którzy giną na dużych okrętach wojennych. Mój dziadek poległ podczas drugiej wojny światowej na Pacyfiku. Nigdy go nie znaleźli. A babcia do śmierci powtarzała, że chciałaby tylko móc gdzieś czasem

popatrzeć na jego nazwisko.

–Tak. Z „Jeffersona” nie zostało ani jedno ciało, nie ma nawet wraku. Po wybuchu atomowym nie ma czego zbierać.

–Szczęście w nieszczęściu, że to była tylko chwila.

–To na pewno.

–Zamówicie jakąś tablicę pamiątkową dla Jacka?

–Chyba tak. Jeszcze się nad tym nie zastanawialiśmy. Mama jest teraz trochę roztrzęsiona.

–Nie dziwota. Ale po mojemu coś takiego powinno się zrobić. Od kiedy zmarło się waszemu tacie, zawsze nazywaliśmy Jacka „Szefem”, chociaż mało co go widywaliśmy.

–Tak, wiem o tym. Sam go tak nazywałem. Chyba już wiecie, że był na tym lotniskowcu oficerem operacyjnym grupy, prawą ręką admirała. Wkrótce miał zostać kontradmirałem.

–Wtedy już w ogóle byśmy go na oczy nie oglądali.

* – Przez kilka lat na pewno nie.

–Tym bardziej zasłużył na jakiś pomniczek, nie?

–Jakiego rodzaju? Musiałoby to być coś bardzo skromnego. Jack nie cierpiał pretensjonalności.

–Paru chłopaków już nad tym myślało. Wiesz, jak Jack lubił łowić ryby przy tych skałkach nad strumieniem. Jakieś czterysta metrów od domu. Jedna z nich jest dosyć spora. Ma ze cztery metry wysokości, czysty granit, taki sam jak we Flint Hills. Może by tak przymocować do tej skały tablicę pamiątkową z brązu, zamówić taką u kamieniarza? Coś spokojnego, ale robiącego wrażenie... jak on.

Bill zastanawiał się przez chwilę. Przed oczyma przesuwały mu się znowu Jack, wielki okręt wojenny Stanów Zjednoczonych, czarna rosyjska Kilo, która, czego był już pewien, go zatopiała.

–Wiesz, Skip – powiedział cicho. – To mi się podoba. Jack łowił tam od małego. Jemu też by się ten pomysł spodobał. Bardzo by mu się "spodobał. Nad samą wodą. Coś ci powiem. Ja ułożę tekst, Ray znajdzie fotografię i odlejemy z brązu jego płaskorzeźbę w mundurze. Popiersie. Z pół metra wysokości, przymocuje się je nad tabliczką. Załatwicie z Rayem odlew i tablicę? Potem się to przytwierdzi i na wiosnę odprawimy tam małą ceremonię żałobną. Zrobimy mamie niespodziankę... zaprosimy paru ludzi z Naczelnego Dowództwa Marynarki. Zaroi się tu nad rzeczką od marynarzy i kowbojów. Kiedy ksiądz poświęci kamień, dusza Jacka wróci z drugiej strony świata do domu... przynajmniej w naszym odczuciu.

–Pięknie, Bill. Dobrześ to obmyślił. I będziemy blisko szefa, ile razy te przeklęte byczki zбочą nad rzekę.

–Cieszę się, że cię spotkałem. Brama do zagród otwarta?

–Tak. Posłałem już tam młodego Razona, zamknie ją, jak tylko znajdziemy się w środku.

Trzej kowboje dobyli bykowców i spędzili sześć byczków w ciaśniejszą grupkę. Konie napierały na bydłeta, spychając je w kierunku otwartej bramy. Przed samym ogrodzeniem Skip odłączył się i z głośnym krzykiem, trzaskając z bykowca, zajechał stadko od tyłu. Byczki nawet się nie obejrzały. Zerwały się tylko do biegu, by szukać schronienia w bezpiecznym korralu. Razor szybko zatrzasnął za nimi bramę.»,

–Dobra robota, Skip – pochwalił kowboja Bill Baldrige.

–Człowiek nabiera z wiekiem wprawy.

Bill skierował konia w kierunku stajni.

–Cześć, chłopaki – zawołał – Do następnej okazji, co?

–Na razie, Bill... nie daj se w kaszę dmuchać.

–Koryto z wodą prawie puste – krzyknął jeszcze, trochę z przekory, młody właściciel wielkiego rancza.

–Pies z nim tańczył, od trzydziestu pięciu lat je napełniam, to wiem, że żaden z nich nie zdechnie w nocy z pragnienia.

–Raczej nie. Chciałem cię tylko uczulić – odkrzyknął ze śmiechem Bill.

–Spadaj stąd lepiej – zachichotał stary kowboj.

Bill pomachał im ręką na pożegnanie i wjechał na Freddie'em do stajni, gdzie czekał już cierpiący na płaskostopie Razor, żeby wyczyścić konia, nakarmić go i napić.

–Dzięki, chłopie – powiedział Bill, wciskając mu w dłoń * dwudziestodolarowy banknot. – Dbaj o niego dobrze, kiedy wyjadę.

W sąsiednim boksie stał Flint, stary, płochliwy koń Jacka. Wydał się Billowi smutny, jak wszystko dookoła. Smutek był tu wszędzie. Myśląc o Jacku i wstrząsającej bezsensowności jego

śmierci, Bill wyszedł w gasnący blask zachodzącego słońca.

Przed wzięciem prysznic i przebraniem się do kolacji z matką i rodziną Raya, Bill usiadł na chwilę przy swym starym szkolnym biurku i skreślił na kartce następujące słowa:

171

KAPITAN JACK ETHAN BALDRIDGE (1962 – 2002) Ukochany syn świętej pamięci Toma Baldridge'a i Emily z Hendersonów Baldridge. Zginął na morzu 8 lipca w katastrofie USS „Thomas Jefferson”.

Kapitan Baldridge, oficer operacyjny Grupy Uderzeniowej, poległ na pokładzie lotniskowca na Morzu Arabskim wraz z wszystkimi 6021 członkami załogi okrętu.

Świetny hodowca bydła, wspaniały oficer marynarki, wielki Kansańczyk. Pozostanie w pamięci wszystkich z B/B.

Kolacja przebiegała w smutnej atmosferze i głównym tematem rozmowy była przyszłość mającego pięćdziesiąt tysięcy akrów rancza Baldridge'ów. Emily Baldridge powiedziała Billowi, że po powrocie wprowadzi się, jako główny zarządca majątku, do głównego domu. Ray z żoną i rodziną woleli pozostać w ładniejszym, ale mniejszym, sześćsypialniowym domu nad rzeką, który stał ćwierć mili dalej, za wybiegami dla koni.

Gdyby Bill wrócił z żoną, Emily przeniesie się do „Buta” - trzysypialniowego domku po drugiej stronie trawnika, wzniesionego przez dziadka Billa i od jego śmierci stojącego pusto. But, nazwany tak ze względu na swój kształt, byłby domem jak najbardziej normalnym, gdyby nie jeden ogromny pokój z belkowanym, wysokim jak w katedrze sufitem, z którego zwisały wytwory indiańskiej kultury, w tym pięknie pomalowany kajak.

Na ścianach tego pokoju wisały łby łosi, bizonów, a nawet jeden łeb żbika. Duże, ręcznie robione sofy okryte były indiańskimi pledami. Wypolerowaną drewnianą podłogę pokrywały trzy wielkie niedźwiedzie skóry. Kominek z kamieni czynił ten pokój chyba najodpowiedniejszym na zimowe wieczory.

Bill zawsze uważał, że wykorzystywany tylko na przyjęcia But marnuje się. Podejrzewał też, że w dziesięć minut po wprowadzeniu się tam matki, łby bizona i żbika musiałyby ustąpić miejsca obrazom wnoszącym jej zdaniem „bardziej przytulną atmosferę”. Emily już teraz planowała architekturę i wystrój pięknego, nowego domu, który miał stanąć nad rzeką z przeznaczeniem dla wdowy po Jacku, Margaret, i jej dwóch dziewczynek.

Jak większość żon oficerów marynarki wojennej, Margaret Baldridge przywykła do zamieszkiwania albo na Wschodnim, albo na Zachodnim Wybrzeżu. Ale w kilka godzin po nadejściu wieści

z Morza Arabskiego podjęła nieodwołalną decyzję o przeniesieniu się wraz z rodziną głęboko w rolnicze serce Stanów Zjednoczonych. Głęboko w rolnicze serce rodziny Baldridge'ów, do miejsca najbliższego tragicznie zmarłemu mężowi.

Emily zachowała się wspaniale. Wysłała do San Diego dwóch pracowników rancza i prawnika, by zajęli się na miejscu organizacją natychmiastowej przeprowadzki rodziny Jacka na Wschód. Wcześniej uczciwie przestrzegła synową, że spokojny, nieśpieszny rytm życia w Burdett może ją rozczarować. Ale Margaret obstawała przy swoim i upierała się, że chce tu rozpocząć nowe życie.

Teraz Emily szykowała się na ich powitanie z otwartymi szeroko jak preria ramionami na łonie bydłowego imperium Baldridge'ów. Reprezentowali nowe pokolenie i przybywali, żeby wnieść tu świeżą krew. Emily, mimo przygniatającej ją żałoby, nie potrafiła ukryć radości. Kochała Margaret i swoje wnuczki, i często nachodziła ją obawa, że dorosną, zanim ojciec wróci na ranczo.

Śmierć zabrała im urodzonego przywódcę i kochającego ojca, ale z drugiej strony, w oczach Emily Baldridge, połączyła jakby rozproszoną dotąd rodzinę. Tom nie posiadałby się ze szczęścia, mając wszystkich młodych Baldridge'ów przy sobie, w B/B.

Następne dni minęły szybko, jak z bicia stfzelił. Bill spędził część tego czasu z prawnikami rodziny w Dodge City, omawiając poprawki, jakie po śmierci Jacka trzeba było wnieść do statutu Funduszu. Kilka razy wybrał się z Rayem na objazd rancza i zostawił księgowym pisemne instrukcje podjęcia próby dokupienia jeszcze pięciuset akrów ziemi od zachodu, nad strumieniem. Ray chciał sprzedać kawałek niewykorzystywanego gruntu na północnym skraju posiadłości, ale statut Funduszu stanowił, że nie wolno odsprzedać ani piędzi ziemi, nie dokupując w zamian innej. Areal majątku Baldridge'ów nie zmniejszył się przez to od trzech pokoleń.

W niedzielę rano, czternastego lipca, wypoczęty i ubrany znowu w świeżo odprasowany mundur Bill wyszedł z domu i skierował się do cherokee, za kierownicą którego czekał już Ray. Kiedy otwierał drzwi, z werandy zbiegła po schodkach matka.

–Billy – wołała. – Jeszcze jedno, zanim odjedziesz – pamiętaj... uważaj na siebie. – Wyciągnęła do niego ręce.

–Nie martw się, mamó – zapewnił ją.

Nie powiedział jej, dokąd się teraz udaje, ale ona wyczuwała jego poddenerwowanie. Matczyny instynkt podpowiadał Emily Baldridge, że jej ostatniemu oficerowi marynarki będzie towarzyszyło w tej ostatniej misji coś złowrogiego. Długo jeszcze stała przed domem, odprowadzając wzrokiem cherokee, który ciągnąc za sobą warkocz pyłu oddalał się w prerię.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Niedziela, 14 lipca, 17.30

Komandor porucznik Baldridge przybył na bostońskie lotnisko Logan późnym niedzielnym popołudniem. Niebo było bezchmurne, temperatura powietrza sięgała trzydziestu stopni Celsjusza. Z walizką w ręku podszedł do stanowiska American Airlines i położył na ladzie swój bilet na klasę turystyczną oraz paszport. Zbliżyła się do niego szczupła, ciemnowłosa stewardesa ze służb obsługi klienta.

–Pan Baldridge? – zapytała.

–To ja.

–Proszę za mną, zaprowadzę pana do Klubu Admiralskiego. Za chwilę przyniosę tam panu bilet i paszport.

Baldridge wzruszył ramionami i bez słowa pomaszerował za nią szerokim korytarzem. Minęli stanowisko ochrony lotniska i przeciąwszy hol zatrzymali się przed solidnymi dębowymi drzwiami, które strzegły wstępu do poczekalni pierwszej klasy. Stewardesa pchnęła je, skinęła głową portierowi i poprowadziła Billa w kąt sali, do stolika z tabliczką „Zarezerwowane”. Obok fotela, w którym go posadzono, stał telefon, natychmiast też zjawiała się kelnerka proponując drinka albo kawę.

–Kawę poproszę – odparł Bill. – Czarną, z dwiema kostkami cukru. Dziękuję pani. – Ktoś wysoko postawiony przetarł mu szlak, co do tego nie było wątpliwości.

Nikt z pracowników American Airlines, mało tego, nikt z dowództwa Royal Navy nie był wtajemniczony w naturę misji młodego amerykańskiego oficera.

Zapowiedziano lot i po chwili Bill siedział już na swoim miejscu w pierwszej klasie. Sąsiedniego fotela nikt nie zajmował. Wypił dwie ogromne szklance świeżego soku pomarańczowego,

zjadł wczesną kolację składającą się ze steku z polędwicy oraz owocowej sałatki i resztę nocy przespał. Sześciogodzinna podróż szybko mu zleciała. Stewardesa obudziła go filiżanką świeżo

zaparzonej kawy. Wypił ją, ogolił się i o siódmej rano, odświeżony, ale w nie najlepszym nastroju, wkraczał do terminalu londyńskiego lotniska Heathrow.

Przeprowadzono go przez kontrolę paszportową, w sali odpraw celnych odebrał torbę i wyszedł przez zieloną bramkę dla podróżnych, którzy nie mają nic do zadeklarowania, i oddał się pod opiekę kierowcy sztabowemu Royal Navy oraz kobiecie oficerowi, którzy na niego czekali.

Zajął w milczeniu miejsce na tylnej kanapie samochodu i zdał się na kierowcę, który sprawnie przebił się przez poranny szczyt do M4. Stamtąd, okrężną trasą przez zachodnie przedmieścia, dojechali do obsadzonej drzewami, brzydkiej bazy wojskowej w Northwood, jakieś piętnaście mil od centrum Londynu. Z bunkra pod tymi niewinnie wyglądającymi, nowoczesnymi budynkami, Margaret Thatcher, wspierana przez swoich generałów, admirałów i marszałków lotnictwa, prowadziła wojnę o Falklandy. Tylko las masztów łączności radiowej i satelitarnej zdradzał, że jest to tajna cytadela sił zbrojnych Wielkiej Brytanii.

Minęli wartownika przy bramie, zjechali ze wzgórza i zatrzymali się przed głównym budynkiem.

– Jak rozumiem, spędzi pan tu większość dnia, sir – odezwał się kierowca. – Proszę zostawić torbę. Będę na pana czekał.

Biura admirała sir Petera Elliotta, oficera flagowego sił podwodnych Royal Navy, znajdowały się na piętrze. Porucznik flagowy Andrew Waites uściskawszy Billowi dłoń wprowadził go do sali znajdującej się za następnymi drzwiami i przedstawił szefowi sztabu admirała, kapitanowi Dickowi Greenwoodowi. Było tu trochę jak na okręcie wojennym – szare, metalowe biurka, trochę wytarte chodniki, stłoczone blaty stołów.

Siedzieli za nimi ludzie tacy sami, jak w biurach marynarki w Pentagonie. Z tym że tutaj, w Anglii, każdy z mężczyzn ubrany był w codzienny roboczy uniform: granatowe spodnie, biała koszula z czarnym krawatem, granatowy sweter z szalowym kołnierzem. Rangę określały małe insygnia na ramionach. Myny, ruchy i postawa kazały przypuszczać, że są to ludzie świetnie wyszkoleni i pewni siebie.

zjadł wczesną kolację składającą się ze steku z polędwicy oraz owocowej sałatki i resztę nocy przespał. Sześciogodzinna podróż szybko mu zleciała. Stewardesa obudziła go filiżanką świeżo zaparzonej kawy. Wypił ją, ogolił się i o siódmej rano, odświeżony, ale w nie najlepszym nastroju, wkraczał do terminalu londyńskiego lotniska Heathrow.

Przeprowadzono go przez kontrolę paszportową, w sali odpraw celnych odebrał torbę i wyszedł przez zieloną bramkę dla podróżnych, którzy nie mają nic do zadeklarowania, i oddał się pod opiekę kierowcy sztabowemu Royal Navy oraz kobiecie oficerowi, •którzy na niego czekali.

Zajął w milczeniu miejsce na tylnej kanapie samochodu i zdał się na kierowcę, który sprawnie przebił się przez poranny szczyt do M4. Stamtąd, okrężną trasą przez zachodnie przedmieścia, dojechali do obsadzonej drzewami, brzydkiej bazy wojskowej w Northwood, jakieś piętnaście mil od centrum Londynu. Z bunkra pod tymi niewinnie wyglądającymi, nowoczesnymi budynkami, Margaret Thatcher, wspierana przez swoich generałów, admirałów i marszałków lotnictwa, prowadziła wojnę o Falklandy. Tylko las masztów łączności radiowej i satelitarnej zdradzał, że jest to tajna cytadela sił zbrojnych Wielkiej Brytanii.

Minęli wartownika przy bramie, zjechali ze wzgórza i zatrzymali się przed głównym budynkiem.

– Jak rozumiem, spędzi pan tu większość dnia, sir – odezwał się kierowca. – Proszę zostawić torbę. Będę na pana czekał.

Biura admirała sir Petera Elliotta, oficera flagowego sił podwodnych Royal Navy, znajdowały się na piętrze. Porucznik flagowy Andrew Waites uściskawszy Billowi dłoń wprowadził go do sali znajdującej się za następnymi drzwiami i przedstawił szefowi sztabu admirała, kapitanowi Dickowi Greenwoodowi. Było tu trochę jak na okręcie wojennym – szare, metalowe biurka, trochę wytarte chodniki, stłoczone blaty stołów.

Siedzieli za nimi ludzie tacy sami, jak w biurach marynarki w Pentagonie. Z tym że tutaj, w Anglii, każdy z mężczyzn ubrany był w codzienny roboczy uniform: granatowe spodnie, biała koszula z czarnym krawatem, granatowy sweter z szalowym kołnierzem. Rangę określały małe insygnia na ramionach. Miny, ruchy i postawa kazały przypuszczać, że są to ludzie świetnie wyszkoleni i pewni siebie.

Po dwóch okrzykach „cholera jasna!”, trzech „Jezu!” i głośnym „Wywołajcie go, kurwa, jeszcze raz!” Bill zorientował się, że Royal Navy zawieruszyła się chyba któraś z łodzi podwodnych. Uśmiechnął się. Tak było we wszystkich służbach podwodnych. Kłopoty z nawiązaniem łączności ze znajdującym się pod powierzchnią okrętem, który nie reaguje na wywołania, to najbardziej frustrujący aspekt tej roboty.

Szef sztabu okazał się człowiekiem energicznym i rzeczowym.

–Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy przeciągać sprawę. Proszę mi powiedzieć, jaką lubi pan kawę i idziemy od razu do szefa.

Oficer flagowy sił podwodnych Royal Navy, admirał Elliott, podniósł się zza biurka i podał gościowi z Ameryki rękę. Był niższy od Billa, ale szczupły i trzymał się bardzo prosto – typowy wojskowy. Oczy miał przeszywająco błękitne, włosy ciemne, siwiejące na skroniach. Z jego opalonej twarzy wyzierała otwartość przyprawiona szczyptą czujności. Ten człowiek wiele lat spędził na morzu, przemknęło przez myśl Billowi. Nie wiedział, że admirał sir Peter Elliott to jeden z najlepszych w Royal Navy kapitanów łodzi podwodnych, że w latach siedemdziesiątych dowodził Polarisem, a potem atomowym okrętem podwodnym na Falklandach. Był również Nauczycielem w Faslane. Tak samo zresztą jak kapitan Greenwood, który swego czasu również dowodził łodzią o napędzie atomowym.

Trzej mężczyźni usiedli, zamienili kilka zdawkowych uwag na temat tegorocznego, upalnego zarówno w Anglii, jak i w Stanach lata, a potem oficer flagowy sił podwodnych Royal Navy spytał Billa, czego konkretnie od niego oczekuje.

–Admiralicja nie powiedziała mi, o co chodzi – wyjaśnił. – Zasugerowano mi tylko, że bym z panem współpracował w zakresie, jaki uznam za stosowny. Za stosowne mogę też uznać zreferowanie naszej rozmowy ministrowi obrony i chyba powinienem pana o tym uprzedzić, zanim przejdziemy do rzeczy.

–Rozumiem, sir. Ale nasz szef operacji morskich prosił mnie, że bym swoje dochodzenie tutaj starał się prowadzić możliwie naj-dyskretniej.

Oczyściwszy pole gry z pomniejszych przeszkód i dostroiwszy ucho do przeciągłego, kansasiego akcentu gościa, brytyjski admirał uśmiechnął się i cicho, nienaganną angielszczyzną, powiedział:

#-

–A zatem słucham, panie Baldrige, w czym mogę pomóc?

–Chciałbym prosić pana, sir, o zezwolenie na wgląd w akta oficerów obcokrajowców, którzy

ukończyli wasz Kwalifikacyjny Kurs Dowódców Łodzi Podwodnych w Faslane w okresie od 1982 do 1992 roku.

Admirał Elliott zerknął na kapitana Greenwooda, który niemal nieostrzegalnie pokręcił głową – był to ruch tak minimalny, że Bill, który go jednak zauważył, pogratulował sobie spostrzegawczości.

–Przykro mi, ale to niemożliwe z kilku powodów, a przede wszystkim dlatego, że są to materiały ściśle tajne.

–Hmm. I nie da się tego jakoś obejść?

–Cóż, można by się zastanowić, ale wpierw musiałby mi pan powiedzieć, czego właściwie szuka.

–Niestety, nie mogę, sir – odparł Bill, a potem skłamał: – Nie zostałem do tego upoważniony.

–Musi pan wiedzieć jedno. Nawet gdybym uzyskał niezbędne zezwolenie na pokazanie panu tych dokumentów, to o fakcie udostępnienia każdego z nich musiałbym powiadomić ambasadę kraju, z którego pochodzi dany oficer. Zanim pokazałbym panu choć słowo.

Bill wiedział już, że bierze udział w poważnej pokerowej zagrywce.

–Pozwolę sobie przypomnieć panu, sir, że jestem tutaj z ramienia najwyższych władz.

–Nie mam na to dowodów. Musiałbym pana prosić o ich przedstawienie.) Jak wysoko sięgają pana referencje, mam tu na myśli oficjalnego przedstawiciela Stanów Zjednoczonych, z którym możemy się natychmiast skontaktować.

–Dość wysoko, sir. Proszę zadzwonić do szefa operacji morskich do Pentagonu, skoro to konieczne. Jeśli to za nisko, to do sekretarza obrony. Gdyby i to nie wystarczyło, to do samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nawet o tak wczesnej porze.

–Tak – mruknął admirał. – Panu naprawdę bardzo zależy na obejrzeniu tych akt, prawda?

–Tak, sir. Bardzo.

–No dobrze, komandorze. Zadam teraz panu formalne pytanie i proszę o odpowiedź, bo w przeciwnym razie nie będę miał innego wyjścia, jak tylko przesłać pańską prośbę do ministerstwa, a tam potrafią rozpatrywać podobne sprawy tygodniami, nierzadko nawet latami!

–Sir, jeśli będzie trzeba, poproszę prezydenta o telefon do premiera...

–Wiem, że ma pan takie możliwości, i wiem, że z nich skorzysta. Ale może nie będzie to konieczne. Proszę mi tylko odpowiedzieć, dlaczego tak bardzo interesują pana moje akta?

–Ponieważ kogoś szukam, sir.

–Tak, na to już wpadłem. Kogo pan szuka?

–Nie mogę tego wyjawić, sir... naprawdę nie mogę.

Admirał wstał i uśmiechnął się do Billa. Podeszedł do stołu,

nappełnił trzy filiżanki kawą, do kawy Billa wrzucił dwie kostki cukru.

–Bardzo dobrze – powiedział. – Pozwoli pan, że zadam jeszcze jedno pytanie. I proszę o szczerą odpowiedź.

–Słucham, panie admirale.

Admirał odwrócił się i spojrzał Billowi prosto w oczy.

–Podejrzewa pan, że jakiś sukinsyn zatopił „Jeffersona” -rzucił ostro. – Mam rację? v,

–Tak, sir, podejrzewam.

–My również. Prawdę mówiąc, to już od paru dni na pana czekamy.

Na twarzy komandora porucznika Baldrige'a odmalowała się ogromna ulga. Nareszcie poczuł się wśród przyjaciół.

–Czy słusznie przypuszczam, komandorze, że pracuje pan nad hipotezą zakładającą, że lotniskowiec został zatopiony przez torpedę odpaloną z łodzi podwodnej?

–Słusznie, sir.

–Z jakiego rodzaju łodzi podwodnej?

–Małej, sir. O napędzie konwencjonalnym.

–Gdzie zbudowanej?

–Albo tutaj, sir, albo w Rosji.

–Zgadza się.

–Nas chyba nie podejrzewacie, co? – wtrącił się kapitan Greenwood z nutką urazy w głosie.

–Nie, sir. Dlatego właśnie tu jestem.

–Macie podejrzanych? – rzucił admirał.

–Kilka krajów Środkowego Wschodu. Typowa lista: Iran, Irak, Syria, Libia... być może Pakistan.

–Hmm. No cóż, pozwól, Bill, że wyłożę swoje karty na stół. Nie muszę mieć zezwolenia z góry na udostępnienie ci tych materiałów. Ale kazano mi dowiedzieć się od ciebie, jakiej konkretnie

179

sprawy dotyczy to dochodzenie. Zresztą domyślałem się jakiej. Obaj dopięliśmy już swego i możesz poinformować swojego szefa operacji morskich i swój rząd, że jak zawsze, możecie liczyć na pełną współpracę ze strony Royal Navy oraz, jestem o tym przekonany, rządu Jej Królewskiej Mości.

–Dziękuję panu, sir. Czy mogę o coś zapytać?

–Wal.

–Kiedy zaczęliście podejrzewać, że „Jefferson” został zaatakowany?

–O katastrofie dowiedziałem się z wieczornych wiadomości jeszcze tego samego dnia. Pokazali w nich Scotta Dunsmore'a wygłaszającego oświadczenie. Było to około dwudziestej drugiej trzydzieści pięć. Nie uwierzyłem w wypadek. Hipoteza sabotażu była, według mnie, bardziej do przyjęcia, ale bezsensowna. O godzinie dwudziestej drugiej czterdzieści pięć zadzwoniłem do Lorda Admiralicji. Zgodził się ze mną. Rozmawiałem też z obecnym tu Dickiem i była już nas trójka niemal pewnych, że coś tu nie gra. Od tego czasu czekamy, kiedy się wreszcie odezwiecie.

–Byliście trochę szybsi od nas, sir.

–Och, nie popadaj w kompleksy, Bill. Czasami łatwiej się myśli na odległość, nie będąc pod presją. Zresztą mamy na tym polu trochę dłuższe niż wy tradycje. Admirał Nelson otwierałby już ogień na Bagdad, gdyby tylko zdołał podplłynąć tam pod prąd rzeką na swojej „Victory”.

Bill spojrział na admirała. Miał ochotę podchwycić hipotezę Iraku i przedyskutować ją z tym twardookim szefem brytyjskich sił podwodnych, ale ostatecznie zdecydował, że nie powie więcej niż to konieczne. Na razie.

–Tak, nie wątpię, że tak by zrobił. Ale wracając do mojej misji, czy mógłbym posiedzieć parę

godzin nad tymi aktami, a potem wrócić tutaj i naradzić się z panem co dalej.

–Świetnie... Dick, odprowadź komandora do biura Andrew. Niech mu znajdzie jakiś ustronny kąt, w którym będzie mógł w spokoju popracować. I niech tam z nim zostanie, i z aktami, dla bezpieczeństwa. – Admirał podał Billowi rękę, uśmiechnął się i zapewnił, że było mu bardzo miło.

Kiedy Amerykanin był już przy drzwiach, zawołał za nim jeszcze:

–Aha, Bill. Powodzenia, stary, znajdziemy go. Słyszałem, że na pokładzie był twój brat. Niezmiernie mi przykro.

–Dziękuję, sir. Bardzo panu dziękuję.

Wychodząc, Bill usłyszał jeszcze, jak admirał, przyjmując mniej formalny ton, woła: „No co, znaleźliście już tę chromoloną łódź?... Dobra... Co było?... Maszt radiowy... cholery można dostać z tym szmelcem...”

Bill w towarzystwie porucznika flagowego zszedł schodami do podziemi. Tam skręcili do bardzo zacisznego pomieszczenia bez okien, w którym znajdowało się mnóstwo telefonów, telewizor i długi stół otoczony obitymi skórą fotelami, co sugerowało, że zbierają się tu czasami wysoko postawione osobistości.

–Proszę tu usiąść i poczekać, sir – powiedział porucznik, respektując rangę Amerykanina – a ja skoczę na górę po te akta. Interesują pana sami obcokrajowcy z Magła, tak?

–Tak – odparł z uśmiechem Bill. – Sami obcokrajowcy z Magła.

–Ci, którzy oblali, też, sir? Jest paru takich.›

–Nie, poruczniku. Ten mój zdał. Podejrzewam, że śpiewająco.

–Na to by wyglądało, sir – przyznał porucznik z porozumiewawczym uśmiechem i wbiegł schodami z powrotem na górę. Wrócił szybko z zaskakująco chudą teczką. – Tu chyba jest większość z nich – oznajmił. – Ale kilku może brakować. Sprawdzę jeszcze raz pełną listę. Za dziesięć minut jestem z powrotem. A pan niech tu sobie spokojnie czyta. Admirał zaprasza na lunch, za trzy godziny.

Bill Baldrige otworzył czerwoną kartonową teczkę z napisem MINISTERSTWO OBRONY na okładce. Zawierała akta kilku osób; każdy dokument składał się z mniej więcej czterech spiętych ze sobą arkuszy. Na początek Bill zapoznał się z układem formularza. Górę strony zajmowały nazwisko, stopień i narodowość oraz nazwa bazy macierzystej i zwięzłe podsumowanie przebiegu służby oficera marynarki, którego dokument dotyczył. Dalej następowały raporty o jego postępach w nauce oraz o notach uzyskanych na egzaminie, z komentarzami, a po nich szczegółowa ocena jego cech osobowych i profesjonalnych, jego mocnych oraz słabych punktów, które stanowiły najwyraźniej punkt wyjścia do sporządzenia oficjalnego raportu. Na ostatniej stronie widniał podpis nauczyciela.

Na stole leżał duży notatnik w linię. Bill wyrwał z niego kartkę i złożył ją we dwoje. Postanowił, że przed przystąpieniem do studiowania każdego dokumentu będzie przypinał tę złożoną kartkę u góry pierwszej strony, żeby zasłonić fragment dotyczący

danych osobowych. To pozwoli mu dokładnie, w skupieniu przeczytać raport. Bez uprzedzeń, bez sugerowania się czymkolwiek. Jeśli treść raportu wskazywać będzie na wybijającego się oficera podwodniaka, wróci na początek i odsłoni dane osobowe. Oraz narodowość.

Pierwszy dokument zakrawał na żart. Młody dowódca z Arabii Saudyjskiej. Zaliczył kurs na styk, ale w opinii Nauczyciela brakowało mu „drygu, inspiracji oraz wyobraźni”.

–Ten człowiek – mruknął pod nosem Bill – nie zatopił amerykańskiego lotniskowca.

Osoby charakteryzowane w następnych czterech dokumentach były bardziej obiecujące, ale im też zarzucano brak drygu, inspiracji, nawet odwagi. Noty jednak uzyskały niezłe. Mając już za sobą lekturę czterech raportów, Bill zorientował się, że kluczowe jest to, co o swoim podopiecznym pisze w krótkiej opinii Nauczyciel. Przeczytane dotąd dokumenty podpisane były przez trzech różnych Nauczycieli, w tym dwa – oba wypełniane w roku 1987 – przez tę samą osobę, komandora Iaina MacLeana.

–Kawał z niego sukinsyna – mruknął Baldrige. – Łatwiej chyba wspiąć się na górę w Kraju Pawnee, niż zasłużyć sobie na jego pochwałę.” Może facet nie lubi obcokrajowców.

Przeczytał kolejne dwa raporty. Porucznik Waites wrócił tymczasem i porządkując przestudiowane już dokumenty, też czytał.

–Andrew? – powiedział Bill. – Mógłbyś mi załatwić akta ze dwóch dobrych Anglików, którzy też zdali? Chciałbym porównać opinie wystawiane przez Nauczycieli swoim i obcokrajowcom.

–Jasne. Poproszę tylko szefa o pozwolenie i zaraz je przyniosę. Poza tym dostarczą tu zaraz akta jeszcze dwóch obcokrajowców. Były w osobnej teczce.

–Dobrze. Chciałbym sobie wyrobić pojęcie, na ile są w rzeczywistości ostrzy ci Nauczyciele. Bo ten tutaj... MacLean wygląda mi na istnego tyrana. Gdyby to on oceniał mnie na studiach, do dzisiaj nie zrobiłbym dyplomu.

–Nie znam go osobiście, sir. Ale rzeczywiście wali prosto z mostu.

Doniesiono dwa ostatnie raporty. Młody porucznik flagowy pokwitował ich odbiór, a potem pobiegł po raz kolejny na górę po akta dwóch Anglików. Bill Baldrige wyjął z teczki pierwszy z dostarczonych przed chwilą raportów i złożoną kartką zasłonił starannie dane osobowe wyszczególnione u góry pierwszej strony.

POUFNE

Formularz RN S 206 Data rewizji 6/86

Poufna charakterystyka oficera (patrz BR 8373 Rozdział 12)

L Dane osobowe Data: 28 lipca 1988 Dotyczy: KKDŁP

Data urodzenia Stopień Data awansu Imiona Nazwisko 4/4/60 kmdr por 1/1/88 Benjamin Adnam

Wiek Lista Patent Specjalizacja Okręt/Przydział Dowództwo 28 n/dot n/dot ŁP Izraelska MW n/dot.

Okres raportu Data rozpoczęcia Funkcja Odznaczenia/Wyróżnienia od 2/2/1988 4/4/88 n/dot. Żadne

do 28/7/1988

Obowiązki: Słuchacz Kwalifikacyjnego Kursu

Dowódców Łodzi Podwodnych (KKDŁP)

2. Raport wydziału specjalizacji Ocena profesjonalizmu 9

Adnam to człowiek obdarzony najlepszą pamięcią wzrokową do obrazu

perskopolowego, jakiego nie tylko dane mi było szkolić, ale w ogóle poznać. Do ogarnięcia sytuacji na powierzchni wystarcza mu jeden rzut oka. Bezbłędnie ocenia sytuację taktyczną, ma idealne wyczucie chwili i nawet przy złej widoczności dokładnie szacuje kurs celu i odległość od

niego. Z tak dobrą orientacją w kwestiach technicznych jeszcze się nie spotkałem, co pozwala przypuszczać, że oprócz rutynowego szkolenia operacyjnego przeszedł również solidne przeszkolenie techniczne. Pod względem profesjonalizmu Adnam jest najlepszym słuchaczem Magła, jakiego do tej pory prowadziłem.

Podpis. p. Nazwisko I.B.R. MacLean Stopień: kmdr RN

IplyM-oilea*' -

4. Charakterystyka Cecha Ocena

a. zaangażowanie

b. solidność

c. zdrowy rozsądek

3. Opinia ogólna

Adnam, odznaczający się wysokimi walorami moralnymi, jest pierwszorzędnym przykładem reprezentanta żydowskiej wiary, który nie czyni wokół tego szumu i nie popada w ortodoksję. Jest in- d. inteligencja teligentny i bystry, ale niełatwo go polu- e. inicjatywa

bić ani dobrze czuć się w jego towa- f. zdolności przywódcze rzystwie. Poważny, pełen rezerwy i ma- g. siła wyrazu łomówny, czasami enigmatyczny, ale za- h. zdolności organizacyjne 8 gadnięty zawsze ma gotowy trafny komen- j. cechy osobiste 7

tarz. jest wytrwały i zdeterminowany. Do wszystkich problemów podchodzi z poświęceniem i zaangażowaniem, znajdując właściwe rozwiązania pozornie bez specjalnego wysiłku. Brak humoru nadrabia intelektem. Wykazuje odwagę, żelazne opanowanie i doskonały ogląd sytuacji w Teraz obliczu zbliżających się fregat, i w ogóle Jeszcze nie

Suma 77

5. Sugestie co do przyszłej selektywnej promocji

Jeśli przewidziany do awansu

n/dot. n/dot.

w obliczu każdego problemu, wobec Nie n/dot.

jakiego staje. Zachowuje pełną zdolność IK n/dot.

do podejmowania decyzji pod presją, a przy Jeśli nie przewidziany tym daje się w nim wyczuć dziwny instynkt do awansu

samozachowawczy. Te dwie cechy wydają Wkrótce Tak

się pozostawać ze sobą w konflikcie, ale W normalnym trybie wrodzona odwaga bierze szybko górę Później i każe mu przeć naprzód tam, gdzie inni by IK zawrócili. Chóć to-człowiek pełen sprzecz- Wcale ności i trudny we współżyciu, gdybym miał

wybierać oficera, z którym chciałbym się znaleźć ramię w ramię na łodzi podwodnej podczas działań wojennych, bez zastanowienia wybrałbym właś-

_ nie komandora porucznika Adnama.

Podpis IpK.kjiAiza*. Nazwisko I.B.R. MacLean Stopień: kmdr RN 6. Uwagi starszych

oficerów Data wprowadzenia: n/dot.

Znam Adnama na tyle, że jestem całkowicie przekonany o trafności opinii jego Nauczyciela. Decydujący atak, jaki przeprowadził podczas „szybkiego” dnia, był prawdziwym majstersztykiem. Życzyłbym sobie, żeby Royal

Navy miała więcej takich oficerów. JS(J.s. Breckenridge) Kapitan Royal Navy

Przebiegł wzrokiem wyniki. Tak wysokich not nie widział jeszcze u żadnego z obcokrajowców, których akta zdążył już przejrzeć. Przeskoczył szybko do komentarzy Nauczyciela i serce zabiło mu mocniej, kiedy przeczytał sześć słów, na które padło w pierwszym momencie jego oko. „Najlepszy słuchacz Magła, jakiego do tej pory prowadziłem”.

Podniecony przewrócił nerwowo stronę, żeby zerknąć na podpis. Dokument wypadł mu z rąk i zsunął się na podłogę. Bill cofnął się w fotelu i zanurkował głową naprzód pod wielki stół. W tej pozycji zastał go wchodzący do pomieszczenia Andrew Waites.

–Co pan tam robi, sir? – zapytał. – Podkop?

–Nie. Papiery mi się rozsypały. Ale chyba coś mām.

Bill wyprostował się z krytycznym dokumentem w ręku. Otworzył go ostrożnie na ostatniej stronie. Podpis był wyraźny. Komandor Iain MacLean.

–Jasna cholera! – wykrztusił. – Chyba go mamy.

Usiedli, by razem dokładnie przeczytać raport.

Człowiek ten był wprost wyjątkowy pod każdym względem. Mógłby wypaść jeszcze lepiej, gdyby pilniej stosował się do moich wskazówek. Był jednak z natury niezależny i ilekroć coś mu tłumaczyłem, on starał się zawsze zrobić to po swojemu, lepiej.

Niezwykły umysł... człowiek obdarzony najlepszą pamięcią wzrokową do obrazu peryskopowego, jakiego nie tylko dane mi było szkolić, ale w ogóle poznać... zachowuje pełną zdolność do podejmowania decyzji pod presją... osobliwy instynkt samozachowawczy... ale wrodzona odwaga... Gdybym miał wybierać oficera, z którym chciałbym się znaleźć ramię w ramię na łodzi podwodnej podczas działań wojennych, bez zastanowienia wybrałbym tego właśnie komandora porucznika.

Bill przyjrzał się jeszcze raz podpisowi. Był identyczny z trzema innymi, skreślony bezsprzecznie ręką komandora MacLeana.

Wrócił do pierwszej strony, odpiął kartkę zakrywającą górę arkusza i siłąc się na spokój, z cichą nadzieją, że będą należały do muzułmańskiego fundamentalisty, zabrał się do czytania danych osobowych. Ale oficer okazał się Izraelczykiem, i Żydem.

–Cholera – mruknął Baldrige.

A jednak szósty zmysł podpowiadał mu, że znalazł swojego człowieka. Ten genialny izraelski podwodniak ukończył kurs w roku 1988, a więc musiał sobie teraz liczyć około czterdziestu dwóch lat. Był w stopniu komandora porucznika i nazywał się Adnam, Benjamin Adnam.

Przejrzeli jeszcze z porucznikiem Waitesem ostatni raport: kolejny Saudyjczyk, który jednak nie grał w lidze Adnama. „Brak naturalnych instynktów niezbędnych oficerowi na polu walki”, pisał o nim nauczyciel.

–No, musimy lecieć. Zabiorę te główne akta na górę i spytamy admirała, czy może pan sobie skopiować najbardziej interesujące fragmenty. Powiem, że przeglądałem je z panem.

Wrócili pośpiesznie do biur oficera flagowego sił podwodnych. Bill zrelacjonował pokrótce swoje ustalenia kapitanowi Green-woodowi i ten skierował go od razu do admirała.

Admirał Elliott wysłuchał Billa z uwagą, po czym pozwolił mu sporządzić i zachować kopię dokumentu.

–To raczej wbrew przepisom – powiedział. – Ale skoro nasi najbliżsi sojusznicy morscy otrzymali taki cios na korpus, na-gniemy trochę regulamin, żeby im pomóc... Chodźmy teraz coś zjeść. Uczcimy owoce tej porannej pracy. Pan Adnam, powiadacie? Bystry skubaniec, jak z tego wynika.

Bill zszedł w towarzystwie admirała i jego porucznika flagowego na dół, do wielkiej kantyny oficerskiej. Przy zbiorowych stołach na dwanaście osób siedzieli tu admirałowie pospołu z kapitanami, komandorami, porucznikami i komandorami porucznikami. Marynarka jest bardziej demokratyczna od innych rodzajów wojsk – być może dlatego, że kiedy róg da sygnał do bitwy, wyżsi oficerowie nikogo nigdzie nie posyłają. Idą w bój razem z podkomendnymi.

Bill Baldrige siedział między admirałem a Andrew. Przysłuchiwał się z rozbawieniem wesołym rozmowom, które nad porcjami smażonego dorsza i frytek toczyli dowcipni i skorzy do śmiechu oficerowie Royal Navy. Po lunchu spytał admirała Elliotta, czy istnieje możliwość spotkania się osobiście z komandorem MacLeanem.

–On przeszedł już w stan spoczynku – odparł admirał. – Sam zwalniałem go ze służby. Mieszka teraz w Szkocji, niedaleko Fas-lane. Ale czemu nie, nic nie stoi na przeszkodzie... o piętnastej czterdzieści ma pan połączenie liniami British Airways z Glasgow.

Każę komuś stamtąd odebrać pana z lotniska. Andrew załatwi panu bilet. W zamian prosimy tylko o informowanie nas na bieżąco.

–Dziękuję, sir. Pozostaniemy na pewno w bliskim kontakcie.

Naprawdę doceniam waszą pomoc.

Bill Baldrige zabrał kopię akt i bilet powrotny do Glasgow, który nie wiadomo skąd się tak szybko wziął. Potem pożegnał się z nowymi znajomymi i kierowca marynarki zawiózł go na lotnisko. Przed terminal zajechali z półgodzinnym zapasem. Amerykanina ponownie zaprowadzono na podwójne miejsce bez sąsiada. Lot do wielkiego, słynącego ze stoczni miasta nad rzeką Clyde trwał osiemdziesiąt minut.

Na lotnisku w Glasgow wylądowali parę minut po siedemnastej. Było tu o wiele chłodniej. Na Billa czekał kolejny kierowca Royal Navy, starszy marynarz Reginald White, który okazał się podwodniakiem, koledzy wołali na niego Stukacz i pochodził ze wschodniego Londynu. Przepłynęli się z mozołem przez popołudniowy szczyt, przecięli rzekę Clyde i dotarli do zapchanej samochodami autostrady A82, która biegła w kierunku szkockich gór. Drogowskazy zaprowadziły ich do miejscowości o nazwie Dum-barton i tam zatłoczony, miejski charakter A82 zmienił się raptownie: wokół był całkowicie odmienny krajobraz. Gdzieś w tyle pozostały stocznie ciągnące się wzdłuż brzegów Clyde, a sama rzeka, i tak niezbyt uczęszczana, opustoszała teraz zupełnie i rozlała się szerzej.

Bill miał po lewej szeroką wstęgę Clyde, a po prawej niskie góry, które, jak przypuszczał, niebawem staną się sporo wyższe. Wyczuł, że samochód skręca na północ. Chmury zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i jego zdumionym oczom ukazało się stojące jeszcze wysoko słońce.

–Co to za duża biała budowla na tamym brzegu? – spytał Stukacza. – Ta na skraju lądu?

–Latarnia morska Cloch, sir – odparł marynarz. – Stoi na Gou-rock. To punkt orientacyjny dla łodzi podwodnych wracających do bazy. Tam właśnie damy ster na prawą burtę i pojedziemy na Helensburgh. Za parę minut pokażę panu nasze markery w cieśninie Rhu. Faslane leży coś cztery mile od jej wylotu.

Trzymając się wciąż brzegu przemknęli przez jakieś małe miasteczko i Bill mógł się teraz naocznie przekonać, jak wąski jest przesmyk do olbrzymiego jeziora, nad którym usytuowano bazę wielkich okrętów podwodnych. Zauważył kilka markerów wyznaczających tor wodny oraz boje nawigacyjne, ale bez mapy niewielki miałyby z nich pożytek. Przemknęło mu przez myśl, że przeprowadzenie tędy dużej łodzi podwodnej to nie lada wyczyn.

–Jezu! – powiedział. – Ale wąsko. Pływacie tędy przez całą dobę?

–Tak, sir – odparł Stukacz. – Teraz i tak jest o wiele łatwiej. Poszerzyli trochę przesmyk dla tridenta. To naprawdę duża balia, widział go pan kiedy?

–Mhm – mruknął Bill. – Nawet byłem na jednym z naszych. Macie rację. Duże bydlę. A gdzie jest Faslane?

–Dalej na prawo, sir. Zaraz za tamtym wzgórzem zobaczy pan jak na dłoni cały kompleks.

Bill nie odrywał oczu od ciemnego jak torf pasma wody. Musiało tu być głęboko. Wyobraził sobie dieslowsko-elektryczne jednostki Royal Navy prześlizgujące się tędy w zanurzeniu, z wysuniętym peryskopem. Za wąsko, doszedł do wniosku. Nie będzie więcej niż czterysta metrów szerokości.

Z toni patrzyła na niego śniada, anonimowa, ale okrutna twarz komandora porucznika Benjamin Adnama.

–Trzeba sporych umiejętności, żeby dowodzić na tych wodach łodzią podwodną – powiedział powoli.

–O, sir, sporych to mało powiedziane. Tutaj nie ma ludzi gorszych niż bardzo dobrzy. A jeśli nawet są, to nie dowodzą łodzią podwodną, i dzięki Bogu! A najlepsi tutaj to naprawdę najlepsi z najlepszych. Może mi pan wierzyć.

–Wierzę wam – zapewnił go Bill Baldrige, spoglądając znowu na ciemne wody cieśniny Rhu.

Nie odzywał się przez chwilę.

–Ciekaw jestem, jak on wygląda – wymruczał w końcu.

–Kto? Admirał MacLean? – spytał pogodnie Stukacz i nie dopuszczając swojego pasażera do głosu, ciągnął: – Napędzi panu niewąskiego stracha. Nie było tu drugiego tak ostrego Nauczyciela jak on. Wszyscy to panu powiedzą. Tylu kursantów Magla, co on, nikt nie umoczył. U innych oblewał jeden na pięciu. U starego MacLeana podobno co drugi. Kawał sukinsyna,

pomyślałby nie jeden. Ale powiadają, że lepszego podwodniaka ze świecą by szukać.

Widzieli już przed sobą bazę. Leżała na przybrzeżu, u podnóża gór. Laik mógłby ją uznać za rozległy kompleks fabryczny. Podwodniak na pierwszy rzut oka rozpoznawał bazę marynarki wojennej. Dalej na północ wznosiła się w czyste błękitne niebo postrzępiona szkocka góra, najwyższa z tych, które do tej pory widzieli, soczyście zielona w gasnącym blasku letniego wieczoru.

–Nazywają ją Kocim Łbem – pośpieszył z wyjaśnieniem Stukacz. – To nasz główny punkt orientacyjny wskazujący drogę do domciu. Widać ją z daleka, ale trzeba przywyknąć do kształtu, kiedy się skręca w Gareloch. Przez pięć miesięcy w roku nosi śnieżną czapę. Na szczycie nawet w lecie musi być cholernie zimno.

Bill patrzył jak zahipnotyzowany na tę naturalną osłonę najgroźniejszej w Europie bazy łodzi podwodnych. Zdawała się rosnąć w oczach z każdą minutą. I nagle drogę przegrodził im szlaban. Mała tabliczka po lewej głosiła: „BAZA ŁODZI PODWODNYCH ROYAL NAVY. FASLANE”. Poniżej widniało ostrzeżenie: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Billowi, na widok marsowych min żandarmów przy szlabanie, przemknęło przez myśl, że to ostrzeżenie równie dobrze mogłoby brzmieć: „Nieupoważnionym kula w łeb”. Musieli wiedzieć, że to samochód sztabowy i pewnie rozpoznali Stukacza. Potraktowali go jednak jak kogoś zupełnie obcego. Jeden poprosił grzecznie o okazanie przepustki. Oddał ją po chwili z innym dokumentem, przepustką wystawioną na nazwisko komandora porucznika Baldrige'a. Dopiero wtedy drugi żandarm usunął się sprzed maski samochodu.

Stukacz ruszył.

–Wszędzie ci cholerni żandarmi – burknął. – Kto by im się tu włamywał. Banda kocich łbów. – Bill założył, że to wyraz powszechnego szacunku dla prywatnej góry Faslane.

Zatrzymali się na parkingu przed jednym z niskich budynków nad wodą. Przy pobliskim pirsie cumowała ogromna atomowa łódź podwodna, druga, o wiele mniejsza, kołysała się na wodzie przy kei jakieś sto metrów dalej. Bill nadal nie mógł się nadziwić, że słońce stoi jeszcze tak wysoko, a jeszcze bardziej zaskakiwał go przesycony wilgocią chłód, jaki pojawił się nagle w powietrzu. Stukacz zaprowadził go do recepcji i poinformował dyżurnego żandarma, że przywiózł komandora porucznika Baldrige'a z Ameryki, który chce się widzieć z admirałem sir Iainem MacLeanem. Potem po-

wiedział Billowi, że miło mu go było poznać i uznając, że nie będzie już potrzebny, przekazał jego walizkę żandarmowi.

Bill wzruszył ramionami i pomaszerował za żandarmem krótkim korytarzykiem do pomieszczenia, które, jak się domyślił, było świetlicą dla wyższych stopniem oficerów. Na ścianach wisiały wspaniałe obrazy o tematyce marynistycznej, a w dwóch długich, oszklonych gablotach stały modele redukcyjne okrętów łodzi podwodnych Royal Navy. Jak przystało na klub dla dżentelmenów, umeblowanie było tu doprawdy komfortowe – obite skórą fotele, stoliki na wysoki połysk i mosiężna krata otaczająca wielki kominek, na którym płonął oślepiającym blaskiem sztuczny elektryczny płomień.

Po lewej stronie kominka stał jeszcze jeden skórzany fotel z nieco wyższym niż u innych oparciem, fotel majestatyczny, godny samego admirała lorda Nelsona. Zamiast niego, popijając chińską herbatę i czytając «Financial Times», siedział w nim admirał sir Iain MacLean w ciemnoszarym garniturze z Savile Road.

–Komandôr porucznik Baldrige, sir – oznajmił żandarm. Admirał zerknął na przybysza sponad okularów do czytania i podniósł się powoli z fotela. Był wysokim, mierzącym sobie ponad metr osiemdziesiąt, mężczyzną o bladobłękitnych oczach i pociętej zmarszczkami twarzy człowieka, który całe życie spędził na morzu. Przyjrzał się z lekkim rozbawieniem Billowi i uściśnął mu mocno dłoń. Bill oceniał go na mniej więcej sześćdziesiąt lat.

–Dobry wieczór, panie Baldrige – odezwał się. – Jak rozumiem, interesuje pana jeden z moich byłych podopiecznych z Magla.

Bill obdarzył go swoim najbardziej rozbajającym uśmiechem mieszkańca Środkowego Zachodu.

–Witam, admirale – powiedział. – Dziękuję, że był pan uprzejmy się tu pofatygować.

–Jaki tam uprzejmy – MacLean machnął niecierpliwie ręką. – Wezwano mnie. W sprawie najwyższej wagi, jak miemam. Chociaż ja już z tym dawno skończyłem. Ale proszę siadać. Zamówię panu filiżankę herbaty i nakreślę swój plan gry.

Bill usiadł i upił łyczek herbaty Lapsang souchong, delektując się jej lekko aromatyzowanym smakiem. Pełna kultura. Luz. Niektóre aspekty brytyjskiego stylu życia zaczynały mu się podobać.

–Tak – podjął admirał MacLean. – Dłuższy pobyt w bazie nie jest mi dzisiaj na rękę. Wieczorem przyjeżdża do mnie z Edynburga

córka z dziećmi na kolację, proponuję więc, żebyśmy dopili herbatę i przenieśli się do mnie do domu, do Inveraray. To zaledwie siedemnaście mil w linii prostej, ale trzeba omijać jeziora, przez co robi się z tego mil trzydzieści pięć.

Droga nie jest zła. W ciągu godziny powinniśmy być na miejscu. Pojedziemy zachodnim brzegiem Loch Lomond, może to pana zainteresować. Słońce zachodzi tutaj dopiero około dwudziestej drugiej, a potem jeszcze przez godzinę jest stosunkowo jasno. Może się pan u mnie zatrzymać na kilka nocy. Jutro wpadlibyśmy tu z powrotem i oprowadziłbym pana po bazie.

–Nie mam nic przeciwko – odparł Bill. – Nawet bardzo mi to odpowiada.

–Cieszę się. No, dochodzi już osiemnasta trzydzieści. Pora na nas.

Admirał przyjechał prawie nowym ciemnozielonym range ro-verem. Na tylnym siedzeniu leżała wielka torba z Tujami golfowymi i trzy wędkę. Za oparciem tylnego siedzenia, odgródzone od części pasażerskiej wozu metalową kratą, miały się trzy ogromne wypieszczone labradory manifestujące szczęśliwym ujadaniem swoje uwielbienie dla pana.

–Fergus! Samson! Muffin! Cisz! – krzyknął rozkazująco admirał.

Ruszyli na południe, w centrum Helensburgha skręcili w lewo, by wrócić na odległą o cztery mile A82, a tam skierowali się na północ. Po prawej rozpościerało się malownicze Loch Lomond, największe jezioro w Wielkiej Brytanii, które mierzy sobie dwadzieścia cztery mile długości od Ardlui na północy do Balloch Castle na południu. Admirał wskazał na dużą wyspę pośrodku szerokiego na pięć mil południowego krańca jeziora.

–To Inch Murrin – powiedział. – Pośrodku wznoszą się ruiny zamku, w piętnastym wieku schroniła się w nim księżna Albany, kiedy Jakub I, król Szkotów, wyciął w pień całą jej rodzinę. Zawsze uważałem go za krwiożerczego bydlaka.

Bill Baldrige zauważył, że Loch Lomond, osłonięte majestatyczną ścianą gór przypominających wybrzeże Maine w okolicach Camden, to chyba najpiękniejsza połać wody, jaką w życiu widział.

Południowa strona tego gigantycznego jeziora upstrzona jest malowniczymi, lesistymi wysepkami; jedna z nich – Inch Cailleach -to odwieczne miejsce pochówku zmarłych i poległych wojowniczego klanu MacGregorów, którego najsłynniejszym synem był

Rob Roy, szkocki Robin Hood. Admirał MacLean umiał gościowi drogę przybliżaniem historii tych stron. Temat swojego najlepszego kursanta podjął, kiedy jechali już wzdłuż wąskiego północnego krańca jeziora, który tonął w długim na kilometr cieniu wielkiej góry Ben Lomond.

–Interesuje pana Adnam, prawda? – zagaił. – Nie powiedziano mi dlaczego, ale oficer flagowy sił podwodnych prosił, żebym w pełni z panem współpracował. Co chce pan wiedzieć? I dlaczego, jeśli wolno spytać?

–Otóż, sir, bierzemy pod uwagę możliwość, że „Thomas Jefferson” został zatopiony przez jakąś wrogą siłę.

–Tak, też o tym myślałem. I podejrzewacie, że mógł to zrobić Adnam?

–Chyba musimy zakładać, że ktoś to zrobił, ponieważ lotniskowiec mogła zatopić tylko torpeda z głowicą nuklearną odpalona z łodzi podwodnej. Innego wyjaśnienia nie ma.

–Tak. Rozumiem. Ale dlaczego właśnie Adnam?

–Kto w rejonie Zatoki Perskiej zalicza się do naszych wrogów? Lista jest krótka. Iran. Irak. Libia. Może jeszcze Syria. Kilka raczej rachitycznych ugrupowań w Egipcie i Pakistanie. Rosja już nie, ani nawet Chiny. Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że Libia ani Syria po prostu nie dysponowałyby odpowiednimi środkami. Egipt też nie ani Pakistan. Pozostają nam Iran oraz Irak.

–I gdzie tu miejsce dla Adnama?

–Miałem cichą nadzieję, że pan nam pomoże je wskazać -odparł Baldrige

–To proste.

–Naprawdę?

–Tak. Nie uwzględniliście jednego ze swoich głównych podejrzanych.

–Nie uwzględniliśmy? Kogo?

–Izraela.

–Izrael!? Jezu, przecież pomagamy im, finansujemy, czyż nie?

–Wdzięczność, Bill, jest jak uroda: zwykle kole w oczy dłużnika. W tym kraju działa bardzo silne prawe skrzydło. Przed siedmioma laty jego najbardziej skrajna frakcja usunęła ze stanowiska premiera. Oni do dzisiaj nie wybaczyli Amerykanom, że ci podczas wojny w Zatoce

pozwolili Saddamowi Husseinowi ostrzeliwać ich pociskami scud.

192

Weź pod uwagę, że Ameryka złożyła Izraelowi pewną obietnicę. Bush zapewnił ich, że jeśli nie podejmą kroków odwetowych za ten ostrzał scudami, rozprawi się z Saddamem raz na zawsze. O ile mi wiadomo, Amerykanie zdecydowali się w końcu, i być może słusznie postąpili, pozostawić Saddama u władzy. Ale w Izraelu żyją ludzie, którzy są na nich za to wściekli. Ludzie, którzy uważają, że jakakolwiek napaść na Izrael nie powinna ujść żadnemu agresorowi płazem.

Ci ludzie, podobnie jak Margaret Thatcher, są zdania, że należało przynajmniej skonfiskować lub zniszczyć Saddamowi cały sprzęt wojskowy i zmusić tę jego cholerną armię do upokarzającej bezwarunkowej kapitulacji. No cóż, prezydent Bush się tu nie popisał. Saddam okrzyknął się bezczelnie zwycięzcą... Żadna amerykańska pomoc finansowa nie wymaże tych wypadków z pamięci prawdziwego Izraelczyka.

–Tak, wiem o tym, sir. Ale co by zyskali, niszcząc amerykański lotniskowiec?

–Och, to też proste. Wiedzą, że cała winna spadłaby na Irak i że Ameryka bez wątpienia srogo by się na domniemanym sprawcy zemściła. Jeśli nie Irak, to konsekwencje poniósłby Iran, co nawet bardziej odpowiadałoby Izraelczykom, bo obecnie to Iran stanowi dla nich większe zagrożenie. Jeszcze lepiej. Wiemy obaj, że w razie trudności z ustaleniem faktycznego winowajcy obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, by mieć pewność, że winny poniósł zasłużoną karę, bez zawahania wydałby rozkaz uderzenia na oba te państwa.

–Jezu. Co za przewrotność.

–Istnieje wiele przewrotnych reżimów, Billu Baldrige. Ale w przewrotności nikt nie dorówna ludziom pracującym w gmachu Hadar Dafna.

–Gdzie?

–W gmachu Hadar Dafna. To wielki wieżowiec przy Bulwarze króla Saula w centrum Tel Awiwu. Siedziba Izraelskiego Instytutu Wywiadu i Operacji Specjalnych. Znanego nam, ludziom z zewnątrz, pod nazwą Mossad.

–Myśli pan, że ci faceci ważyliby się zatopić amerykański lotniskowiec z sześcioma tysiącami ludzi na pokładzie po to tylko, żeby wpędzić Iran albo Irak w poważne tarapaty?

–Och, bez wątpienia – odparł admirał. – Aby zrozumieć sytuację, musisz przede wszystkim uzmysłwić sobie źródła głębo-

kiej, zapiekłej nienawiści, jaka panuje między Irakiem a Izraelem. Otóż Saddam Hussein dysponował swego czasu reaktorem atomowym z prawdziwego zdarzenia, było to w 1981 roku. Dostał go od Francuzów... to było jego oczko w głowie: Osirak Jeden. Pracował w harmonii z dwoma innymi hołubionymi przez Saddama reaktorami. Rzecz jasna, była to oficjalnie elektrownia atomowa wytwarzająca energię elektryczną, ale Husseinowi tak naprawdę chodziło o odpad z procesu, końcowy produkt, pluton, z którego mógłby konstruować nuklearne głowice bojowe.

–Czy Izraelczycy nie przeprowadzili czasem jakiejś akcji przeciwko jednej z tych jego elektrowni?

–Akcji? – zachnął się admirał. – Nadlecieli od północy w sześć myśliwców bombardujących i rozwalili całą instalację w drobny mak. W niecałe pięć minut Osirak Jeden przeszedł do historii. Mossad nie bawi się w półśrodki.

–Tak... pamiętam, czytałem o tym.

–W Mossadzie roi się od ludzi przekonanych, że Izrael nie ma żadnych sprzymierzeńców. Wokół sami wrogowie i ci, którzy zachowują neutralność.

Pewnie czytałeś ostatnio o obawach, jakie rodzą się w związku z podejrzeniem, że Irak zapoczątkował nowy program prac badawczych nad bronią bakteriologiczną. Otóż, moim zdaniem, nie da się wcale wykluczyć, że Izraelczycy zatopili skrycie amerykański lotniskowiec w nadziei, że Ameryka natychmiast oskarży o to Irak i odwali za nich całą brudną robotę.

–No tak, ale nam bardziej podejrzany wydaje się Iran.

–Wsporpinałem już, że Mossad byłby wniebowzięty, gdyby Ameryka postanowiła zlikwidować irańskie łodzie podwodne stacjonujące w Bandar-e Abbas. Od dawna są zdania, że Teheran staje się zbyt silny i zbyt agresywny, by patrzeć na to przez palce. Kto wie, czy nie zdecyduje się nawet na ponowną zbrojną konfrontację z Irakiem; a gdyby to zrobił i zwyciężył, ajatollahowie uzyskaliby pełną kontrolę nad Zatoką. Izraelczycy nie byłiby tym bynajmniej zachwyceni.

–My chyba też nie.

–Ani my.

Minęli północny kraniec Loch Long. Range rover skręcił w lewo i pomknął przez Argyll Forest. Po prawej wznosił się na siedemset metrów w niebo Koci Łeb, góra, którą Bill widział dojeżdżając do bazy Faslane.

–Jeszcze tylko dziesięć mil – oznajmił admirał. – Za chwilę objedziemy od węższego końca jedno z morskich jezior. Nazywa się Loch Fyne, podchodzi pod same tyły domu i zmusza nas do nakładania drogi, ilekroć gdzieś się wybieramy. Jeziora i góry są tu uderzająco piękne, ale wydłużają o mile każdą podróż. Trzeba je zawsze objeżdżać. Ludzie z bazy zapierają się rękami i nogami, kiedy wysyła się ich samochodem do Amerykanów stacjonujących nad Holy Loch. Morzem jest tam około siedmiu mil, dwadzieścia minut szybką łodzią. Drogą to ponad czterdzieści mil. Trzeba okrążyć dwa jeziora, później jechać długo wzdłuż brzegu trzeciego, a na koniec pokonać górskie pasmo.

–Sir – ożywił się naraz Bill. – Czy tę hipotezę z Izraelem wysnuł pan na oczekaniu, dowiedziawszy się, że interesuje mnie komandor porucznik Adnam? Czy też od początku uważał pan taką możliwość za realną?›

–Kiedy dożyjesz moich lat, Bill, będziesz wiedział, że ilekroć na Środkowym Wschodzie wydarza się coś naprawdę wstrząsającego, trzeba się dokładnie przyjrzeć Izraelczykom. Rozważyć ich motywy, zastanowić się, jakie korzyści mogą wyciągnąć z tych wydarzeń, i pamiętać zawsze, że są o wiele przebieglejsi, o wiele bardziej twardzi i o wiele skuteczniejsi od każdego z państw tamtego regionu.

Nie wolno też przymykać oczu na fakt, że zarówno ich rząd, jak i tajne służby są naszpikowane bardzo pamiętliwymi ludźmi.

W składzie samego rządu są kobiety, które niespełna trzydzieści pięć lat temu trwały na Wzgórzach Golan pod zmasowanym ostrzałem syryjskich czołgów. Przeżyły tam koszmarną noc, szeregi przerażonych dziewcząt-żołnierzy podających pociski artylerzystom, pomagających z bezprzykładną odwagą izraelskiej siódmej brygadzie pancernej wydzierać metr po metrze utracony teren, aż do tych gór.

Weź takiego Benjamina Netaniahu, najelokwentniejszego z czołowych izraelskich polityków ostatnich lat. Jego brat Jonathon był jedynym Izraelczykiem, który poległ podczas przeprowadzonej przez izraelskich komandosów na lotnisku w Entebbe akcji odbicia porwanego samolotu pasażerskiego. Benjamin do tej pory się z tym nie pogodził: to dlatego jest teraz takim nieprzejeżdżanym nacjonalistą.

Są jeszcze w Mossadzie szefowie departamentów, którzy w roku 1967 pod wodzą generała Avrahama Yoffe z niewiarygodnym

męstwem przebijali się przez przełęcz Mittla podczas wojny sześciodniowej, tych sześciu dni, w czasie których Izraelczycy zniszczyli cztery armie i trzysta siedemdziesiąt myśliwców należących do czterech agresorskich państw.

Są w Mossadzie ludzie, którzy w roku 1973 walczyli z poświęceniem u boku mojego wielkiego przyjaciela, generała Sharona, ludzie, których towarzysze broni ginęli na pustyni, odpierając nacierające armie Egiptu. Żaden z nich nie zapomniał faryzeu-szowskiej reakcji Zachodu na ich walne, okupione ogromnym kosztem zwycięstwo... tych oskarżeń o prowokację; a gdzie tu prowokacja, skoro to Egipt, przeprawiwszy przez Kanał Sueski pięćset czołgów, natarł na nich w ich najświętszy dzień roku, kiedy cały naród pogrążony był w modlitwie.

Nie chciałbym wyjść w twoich oczach na emerytowanego izraelskiego generała, ale radzę tobie i twoim kolegom, żebyście drobiazgowo przeanalizowali wszystko, co może wskazywać na Izraelczyków. Uważam za wielce prawdopodobne, że to oni mogli zatopić wasz lotniskowiec, po to, by przyglądać się potem spokojnie, jak Ameryka bierze za to odwet na Iraku bądź Iranie albo, znając waszego prezydenta, na jednym i drugim.

Zapytasz, kto dowodził ich łodzią podwodną? Odpowiem bez namysłu: Benjamin Adnam. Dowódców obdarzonych talentem niezbędnym do przeprowadzenia tego rodzaju operacji jest garstka. Ale on miał taki talent. Wrodzony.

–Naprawdę był aż tak dobry, admirale? – zapytał Baldrige. – Co on w sobie miał?

–Myślę, że fanatyzm. Coś go w każdym razie motywowało. Mało tego, że chciał być najlepszy w swojej grupie, on chciał być najlepszym z najlepszych. Miał fenomenalną pamięć. Kiedy pierwszy raz sprawdzałem jego predyspozycje przy peryskopie, no wiesz, dając mu trzydzieści sekund na zorientowanie się w sytuacji na powierzchni, odtworzył mi z głowy każdy szczegół. Najważniejszy u dowódcy łodzi podwodnej jest dar błyskawicznego utrwalenia sobie w pamięci wiernej fotografii tego, co widzi przez peryskop. Ben Adnam zapamiętywał ten obraz najlepiej z kiedykolwiek szkolonych przeze mnie ludzi.

Był urodzonym podwodniakiem. Mieliśmy takie ćwiczenie, w którym płynęły na nas trzy fregaty. Fregaty te idą często pełną parą prosto na kursanta i ten, żeby uniknąć staranowania, musi się zanurzyć na bezpieczną głębokość. Zostają poinstruowani, że mają

wykonać ten manewr dokładnie na minutę przed przewidywanym momentem kolizji. Nawet jeśli poprawnie go przeprowadzą, hałas wywoływany przez śruby napędowe przepływających górą fregat może przyprawić o rozstrój nerwowy. Zawsze znajdują się faceci, którzy właśnie na tym sprawdzianie odpadają. Tacy zaciskają mocno powieki i modlą się żarliwie, żeby przechodzący nad nimi okręt wojenny nie rozpruł dziobem kiosku.

Adnam w takiej sytuacji nigdy nie okazał cienia strachu. Wiedział, że nie ma się czego bać. Znał odległość, potrafił szybko i bez wysiłku dokonać w pamięci wszelkich koniecznych obliczeń. Możliwości, że fregata uderzy w jego okręt, nie brał w ogóle pod uwagę. Był stuprocentowo pewien, że zrobił wszystko, by do tego nie doszło.

Miał jakiś szósty zmysł. Pamiętam, jak pewnego razu stałem obok niego, kiedy fregaty już się oddalały. Nagle, ni z tego, ni z owego, zwraca się do mnie i mówi: „Fregaty chyba zawróciły, sir”.

Ja to wiedziałem. On uchem wychwycił w sygnale sonaru minimalną zmianę częstotliwości wywołaną efektem Dopplera. Normalny człowiek nabywa tej umiejętności po dwudziestu latach służby na łodziach podwodnych i dowodzenia nimi. Ja zwyczajnie wiedziałem, że zawróciły, ale skąd mógł to wiedzieć on? Faktem było, że wiedział. Przeprowadziłem z nim kilka podobnych prób. Nie pomylił się ani razu. Był genialnym podwodniakiem. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Orientował się doskonale w działaniu wszystkich urządzeń na okręcie płynącym w zanurzeniu... hydraulika, mechanika, elektronika, uzbrojenie, pociski kierowane, torpedy i artyleria. W małym palcu miał również nawigację. Pewnego razu zapoznawałem ich ze sztuką klasycznego ataku łodzi podwodną „doskok – przejście w dryf”. Po wykładzie Adnam podszedł do mnie, żeby porozmawiać o pewnych niuansach.

Żaden kursant w mojej karierze nauczyciela nie wykazał się tak gruntowną wiedzą na ten temat. Mimo stosunkowo młodego wieku, miał wtedy około dwudziestu ośmiu lat, był godny zaufania. Opanowany, potrafiący posługiwać się perfekcyjnie powierzonym mu narzędziem wojny.

Miał po prostu instynkt do prowadzenia podwodnej wojny i był, technicznie, jej mistrzem. Ale to nie wszystko. On miał dar. I od początku wiedziałem, że jest bezwzględny. Powiem ci jedno: gdyby był Brytyjczykiem i gdyby został w siłach podwodnych, z czasem

objąłby stanowisko oficera flagowego sił podwodnych; a gdybyśmy musieli kiedykolwiek wysłać do boju flotyllę łodzi podwodnych, idealnym kandydatem na objęcie nad nią dowództwa byłby Benjamin Adnam.

–Przypuszczam, że poza tym był zupełnym przeciętnikiem? – zachichotał Bill. – Miał w ogóle jakieś słabe punkty?

–Tylko jeden.

–O... jakież to?

–Był zakochany w mojej córce.

U Billa dał o sobie natychmiast znać tłumiony dotąd kansaski temperament.

–Czy ona jest z nim nadal w kontakcie? – wyrzucił z siebie, * wlepiając wzrok w admirała.

–Jest teraz bardzo szanowaną damą, żoną edynburskiego bankiera. Ma dwoje dzieci.

–Tak, ale czy utrzymuje jeszcze kontakty z Adnamem? – nie ustępował Bill.

–Wciąż dręczy mnie obawa, że może je utrzymywać – odparł szczerze admirał MacLean. – Wkrótce będziesz miał okazję sam ją o to zapytać. Powinna dotrzeć z dziećmi do domu jednocześnie z nami. Od dawna nie daje mi spokoju pytanie, czy ich romans urwał się z chwilą, kiedy w długi czas po jego powrocie do Izraela wyszła za męża. Raz wyjechała na tajemniczy krótki urlop, a moja żona znalazła w jej starym paszporcie stempel odprawy paszportowej wbity w Kairze. Ale uprzedzam, że wyprę się tego, co teraz mówię, gdybyś kiedykolwiek powołał się na moje słowa. Będziesz musiał sam ją zapytać.

–Nie będzie miał pan nic przeciwko temu?

–Oczywiście, że nie. Sam chcę się dowiedzieć, czy moja córka rzeczywiście utrzymuje kontakty z człowiekiem, który jest być może najbardziej bezwzględny masowym mordercą ostatnich czasów.

Admirał skręcił w podjazd prowadzący pod drzwi białego, gregoriańskiego domu na przedmieściach Inveraray. Billowi przemknęło przez myśl, że admirał nie mógłby go kupić ze swojej marynarskiej pensji, tak samo zresztą jak on nie kupiłby ze swojej rancza Baldrige'ów w Kraju Pawnee. Albo ten dom odziedziczył, albo lady MacLean jest bardzo bogatą osobą, uznał, wysiadając z range rovera.

Admirał wypuścił z wozu trzy labradory, które pogoniły natychmiast w stronę jeziora za domem, i dźwignął walizkę Billa.

–Odziedziczyłem go – powiedział, jakby czytając w jego myślach. – Należał do mojego ojca, a wcześniej do dziadka. Rodzina mieszka tu od pokoleń. Dwa lata temu przeszedłem w stan spoczynku; nie kwapili się jakoś zrobić mnie Lordem Admiralicji, ale proponowali stanowisko szefa sztabu marynarki wojennej.

Po rozważeniu tej propozycji doszedłem do wniosku, że nie będę siedział za biurkiem w jakimś cholernym Portsmouth. Woląłem zagrześć wreszcie miejsce w domu i dokonać swych dni grając w golfa, łowiąc ryby, żeglując po jeziorze i trochę polując. Z admirałkiej emerytury można się w Szkocji bez problemu utrzymać, a Annie ma tu mnóstwo przyjaciół. Uznałem, że skoro nie zaproponowano mi najwyższego stanowiska, to chyba pora odejść. I odszedłem. t

Weszli do domu witani przez te same trzy labradory, które harcowały teraz po wielkim, perskim dywanie w holu, głucho na okrzyki protestu przywołującej je do porządku zgrabnej, eleganckiej blondynki w spódnicy w szkocką kratę i swetrze wielbłądziego koloru.

–Byłabym ci wdzięczna, gdybyś zechciał zrobić porządek z tymi przekłętymi zwierzakami – powiedziała do męża, kiedy wszystkie trzy zaczęły obskakiwać gościa z Ameryki. A potem, zwracając się do Billa, spytała: – Komandor Baldrige? Dobry wieczór panu. Jestem Annie MacLean. Cieszę się, że pana poznałam. Walizkę proszę zostawić tutaj. Zaraz każę Agnusowi zanieść ją na górę.

Wygląda na idealną żonę admirała, pomyślał Bill. Stylem bycia przypomina Grace Dunsmore. Energiczna, pewna siebie, przyjacielska. Tak, typowa żona wysokiej rangi oficera marynarki wojennej; zrównoważona i potrafiąca bez trudu sprawić, że ludzie od razu czują się w jej domu jak u siebie. To chyba przychodzi samo po latach podtrzymywania na duchu młodych, bojących się panicznie męża oficerów i ich żon na sztywnych okazjonalnych przyjęciach. Bill pochylił się i zdołał za jednym zamachem przywitać się z Fergusiem, Samsonem i Muffinem, czochrając je z przyjazną szorstkością po łbach, tak jak to lubią labradory.

–Pochodzisz ze wsi, Bill? – spytał admirał, zauważając jego nieskrępowane podejście do rozhułkanych psów.

–Tak, sir – odparł Kansańczyk. – Jestem ze Środkowego Zachodu. Rodzina hoduje tam bydło.

–Naprawdę? A zatem autentyczny z ciebie ziemianin.

Gawędzili chwilę o Kansas, a potem admirał powiedział:

–Odziedziczyłem go – powiedział, jakby czytając w jego myślach. – Należał do mojego ojca, a wcześniej do dziadka. Rodzina mieszka tu od pokoleń. Dwa lata temu przeszedłem w stan spoczynku; nie kwapili się jakoś zrobić mnie Lordem Admiralicji, ale proponowali stanowisko szefa sztabu marynarki wojennej.

Po rozważeniu tej propozycji doszedłem do wniosku, że nie będę siedział za biurkiem w jakimś cholernym Portsmouth. Woląłem zagrześć wreszcie miejsce w domu i dokonać swych dni grając w golfa, łowiąc ryby, żeglując po jeziorze i trochę polując. Z admirałkiej emerytury można się w Szkocji bez problemu utrzymać, a Annie ma tu mnóstwo przyjaciół. Uznałem, że skoro nie zaproponowano mi najwyższego stanowiska, to chyba pora odejść. I odszedłem.

Weszli do domu witani przez te same trzy labradory, które harcowały teraz po wielkim, perskim dywanie w holu, głucho na okrzyki protestu przywołującej je do porządku zgrabnej, eleganckiej blondynki w spódnicy w szkocką kratę i swetrze wielbłądziego koloru.

–Byłabym ci wdzięczna, gdybyś zechciał zrobić porządek z tymi przekłętymi zwierzakami – powiedziała do męża, kiedy wszystkie trzy zaczęły obskakiwać gościa z Ameryki. A potem, zwracając się do Billa, spytała: – Komandor Baldrige? Dobry "wieczór panu. Jestem Annie MacLean. Cieszę się, że pana poznałam. Walizkę proszę zostawić tutaj. Zaraz każę Agnusowi zanieść ją na górę.

Wygląda na idealną żonę admirała, pomyślał Bill. Stylem bycia przypomina Grace Dunsmore. Energiczna, pewna siebie, przyjacielska. Tak, typowa żona wysokiej rangi oficera marynarki wojennej; zrównoważona i potrafiąca bez trudu sprawić, że ludzie od razu czują się w jej domu jak u siebie. To chyba przychodzi samo po latach podtrzymywania na duchu młodych, bojących się panicznie męża oficerów i ich żon na sztywnych okazjonalnych przyjęciach. Bill pochylił się i zdołał za jednym zamachem przywitać się z Fergusiem, Samsonem i Muffinem, czochrając je z przyjazną szorstkością po łbach, tak jak to lubią labradory.

–Pochodzisz ze wsi, Bill? – spytał admirał, zauważając jego nieskrępowane podejście do rozhułkanych psów.

–Tak, sir – odparł Kansańczyk. – Jestem ze Środkowego Zachodu. Rodzina hoduje tam bydło.

–Naprawdę? A zatem autentyczny z ciebie ziemianin.

Gawędzili chwilę o Kansas, a potem admirał powiedział:

–Proponuję, żebyś poszedł teraz na górę i rozgościł się w swoim pokoju. Spotkamy się za piętnaście minut tam. – Pokazał na pomalowane na biało drzwi po lewej stronie holu. – Poczęstuję cię szklaneczką słodowej whisky. Nie przebieraj się.

Bill wywnioskował z tego, że nie musi wkładać do kolacji wieczorowego stroju. Wspiął się po schodach na piętro z nadzieją, że niewidzialny Angus zajął się już jego walizką. Nie zawiódł się. Walizkę rozpakowano, przenosząc z niej wszystko do wysokiej komody; brudne ubrania zabrano, a komplet przyborów toaletowych leżał w łazience.

Okna sypialni wychodziły na Loch Fryne. Chociaż na dworze było jeszcze jasno, tuż nad wodą snuła się cienka warstewka mgły koloru pszczelego wosku. Główne okno było wykuszowe, stało pod nim małe antyczne biurko i krzeselko. W łazience nie było natrysku, wsypał więc do wanny pół słoika wonnych błękitnych kryształków, puścił gorącą wodę i zanurzył się w niej z przyjemnością. Po pięciu minutach wyszedł z kąpieli, włożył ciemnoszare spodnie, białą koszulę, krawat i granatowy blezer. Zszedł na dół i zastał admirała przy napełnianiu szklaneczki obiecaną słodową whisky.

–Wody? – spytał na jego widok admirał.

–Nie, dziękuję, sir – odparł Bill.

–Nie jestem już oficerem w służbie czynnej – powiedział admirał MacLean. – Mów mi Iain. Moja żona też woli, żebyś zwracał się do niej Annie. Córka, która zaraz powinna tu być, ma na imię Laura.

Bill Baldrige, dorastający w domu jednego z największych ranczerów w Kansas, a później ceniony wysoce specjalista od broni podwodnej w marynarce wojennej, nie wspominając już o prawie domagania się, by tytułowano go doktorem Baldrige'em – zwłaszcza w megalomańskim środowisku uniwersytetu MIT – niełatwo przechodził z kimkolwiek na ty, a więc ani przez myśl mu nie przeszło, by pozwalać sobie tak szybko na zażyłość z tą zacną szkocką rodziną.

Nie znał sztywności brytyjskiego systemu klasowego, nie miał pojęcia skąd, jakim nieznanym mu zmysłem admirał sir Iain MacLean i lady MacLean, mimo dystansu dzielącego ich dwa światy, wyczuli instynktownie, że należy do ich klasy.

Jednak przed pojawieniem się pani domu i jej córki Bill chciał się dowiedzieć od admirała czegoś jeszcze. Upił łyczek whisky,

podelektował się chwilę jej głębokim, przywędzonym smakiem, a potem zapytał:

–Proszę mi powiedzieć, admirale, który, według pana, kraj, dokonał ataku na „Jeffersona”?

–Nie lubię odpowiadać pytaniem na pytanie – odparł z uśmiechem Iain MacLean. – Ale sprawdziliście zapewne, czy wszystkie trzy rosyjskie Kilo Irańczyków stoją nadal na kotwicy w Bandar-e Abbas?

–Owszem, sprawdziliśmy. We czwartek, przed atakiem, stały tam trzy. Ale w następny wtorek już tylko dwie.

–A zatem moim pierwszym podejrzanym jest Iran. Kilo można ukryć. A jeśli tak właśnie zrobili, to zbadalbym, czy nie użyli czasem do tej akcji innej jednostki. Może czwartej Kilo, o której istnieniu jeszcze nie wiemy. Tak czy inaczej, uznałbym ich zachowanie za wielce podejrzanę.

Nie można też zapominać o nie mającej precedensu, obserwowanej od kilku lat aktywności irańskiej marynarki wojennej w tamtym regionie. W 1993 roku przeprowadzili w Zatoce trzydzieści sześć ćwiczeń. Obecnie zwiększyli ich liczbę do sześćdziesięciu. Prowadzą wspólne manewry z Pakistanem. I zacieśniają coraz bardziej więzy z Omanem, wraz z którym kontrolują cieśninę Ormuz.

Są jedynym państwem Zatoki, o którym wiemy, że dysponuje niezłą infrastrukturą niezbędną do utrzymywania floty łodzi podwodnych. Chyba pamiętasz, jak przed trzema laty, kiedy amerykańska Grupa Uderzeniowa Lotniskowca z pewnym opóźnieniem dotarła do strefy patrolowej na Morzu Arabskim, Stany Zjednoczone przerzuciły profilaktycznie osiemnaście myśliwców F-16 do Bahrainu. Weź również pod uwagę, kto dowodzi irańską mary- * narką wojenną: Strażnicy Rewolucji Islamskiej.

To tylko opinia starego, nie mającego już wiele do powiedzenia podwodniaka. Gdybym jednak był prezydentem, uznałbym, że to najstosowniejszy moment, by wreszcie porządnie ich postraszyć. I czym prędzej bym się do tego zabrał.

Bill Baldrige, który od wyjazdu z Faslane pobierał najlepszą z dotychczasowych lekcję historii współczesnej wojny na morzu i był nią zafascynowany, postanowił jednak wrócić do najbardziej interesującego go w tej chwili tematu. Pokiwał z uśmiechem głową.

–A kogo typowałby pan na drugiego z kolei podejrzanego, sir? – zapytał.

–No cóż – powiedział admirał. – Nie bardzo wiem, skąd mogłoby się wziąć u Irakijczyków takie mistrzowskie opanowanie sztuki posługiwania się bronią podwodną ani gdzie mogliby ukryć łódź po akcji. Nikt jej nie widział, a najwyraźniej nie pozbyli się jej, bo inaczej ktoś znalazłby wrak. W związku z tym wysoko na swojej liście umieściłbym Izrael. W zaistniałej sytuacji Amerykanie najchętniej zlikwidowaliby bazę łodzi podwodnych w Bandar-e Abbas, a Mossad tylko o tym marzy.

–Jeszcze jedno, sir. Skąd, pańskim zdaniem, pochodzi łódź, która zatopiła „Jeffersona”?

–Jestem przekonany, że nie jest to jednostka brytyjska. A więc ' musi należeć do Rosji. Według mnie pochodzi z Morza Czarnego.

–Ale jak weszli w jej posiadanie? Kupili ją? Wypożyczyli? I w jaki sposób ją stamtąd wyprowadzili?

–Jak ją zdobyli, nie wiem. Ale w tamtejszych portach morskich roi się od personelu rosyjskiej marynarki wojennej, któremu bardzo nieregularnie wypłacane są pobory. W takich przyciśniętych nędzą społecznościach ludzie ze Środkowego Wschodu przybywający z darami, dajmy na to, z walizkami dolarów, na pewno są witani z otwartymi ramionami.

–No, ale jak ją wyprowadzili?

–O, zwyczajnie, przez Bosfor – orzekł admirał. – Układając się z Turkami.

–Admirał Morgan twierdzi, że Turcy kategorycznie temu zaprzeczają.

–Hmmm.

–A czy to możliwe, żeby przemknęli się przez Bosfor w zanurzeniu?

–Wątpię. Taka sztuka nikomu się jeszcze nie udała.

–A czy potrafiłby tego dokonać Ben Adnam?

Ale na to pytanie admirał nie zdążył już odpowiedzieć, bo w tym momencie otworzyły się drzwi.

–Cześć, tato – rozległ się kobiecy głos -...dobry wieczór, komandorze Baldrige.

Bill odwrócił się i ujrzał przed sobą smukłą, trzydziestokilku-letnią kobietę. Miała długie czarne włosy opadające na ramiona i łagodną, uderzająco piękną twarz.

–Niewielu znam Amerykanów – powiedziała, przyglądając się Billowi z lekkim rozbawieniem.

Kansańczyka trochę zamurowało. Patrzył w idealną parę spokojnych, zielonych oczu, należących być może do kochanki człowieka, który zamordował jego brata, Jacka.

»

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Poniedziałek, 15 lipca, 20.30

Zdaniem Billa, kolacja we wspaniałym domu państwa Mac-Leanów nad brzegiem szkockiego jeziora nie należała do byle jakich. Zasiedli do niej w długim na dobre piętnaście metrów salonie jadalnym, którego okna wychodziły na Strachur i na Cowall Hills, a obsługiwał im rudobrody, odziany w biały frak Angus. Przy długim, politurowanym, stylowym stole czwórkę stołowników rozsadziła Annie. Billowi wskazała miejsce obok Laury, sama z mężem usiadła naprzeciwko. Za Amerykaninem stał wspaniały gregoriański kredens, na którym czekały już półmiski z idealnie przyrządzonym szkockim węgorzem, młodymi ziemniakami i świeżym groszkiem. Pośrodku stołu stały dwie srebrne miseczki z majonezem.

Bill domyślał się, i słusznie, że węgorza złowił własnoręcznie admirał.

–Czy już podawać, sir? – spytał Angus.

–Tak, każdemu po trochu wszystkiego – powiedział admirał i zwracając się do Billa dorzucił: – Nie zaszkodzi zacząć od węgorza. Każdy będzie mógł później dobrać sobie jeszcze porcję rybki, jeśli nie zaspokoi głodu. Złapałem go dwa dni temu w rzece Tay.

–Piękna sztuka – przyznał Bill. – Mój brat był zapalonym wędkarzem, ale w naszych kansaskich rzekach niczego podobnego nigdy nie upolował.

Admirał spojrział na niego bystro.

–Powiedziałaś „był”? Mam przez to rozumieć, że zrezygnował z tego najwspanialszego ze sportów?

–Nie, panie admirale. Myślałem, że pan wie. Mój brat Jack był oficerem operacyjnym grupy na „Thomasie Jeffersonie”.

–Dobry Boże, Bill. Tak mi przykro. Nikt mi nie powiedział, a powinni.

204

–Jakież to straszne – odezwała się po raz pierwszy Laura. – Czy ma to jakiś związek z pana tutaj wizytą? Prowadzi pan jakieś dochodzenie?

–W pewnym sensie. Ale nie przez wzgląd na samego Jacka. Krewnych na tym lotniskowcu miały setki marynarskich rodzin.

–Nie przypuszczam, żeby to była jakaś pociecha – powiedziała. – Świadomość, że inni również cierpią, nie łagodzi wcale bólu po takiej stracie.

–To prawda, proszę pani. Nie łagodzi.

Laura spojrzała na smutną twarz gościa. Bardzo pociągający mężczyzna, pomyślała, chyba nieżonaty, na odległość czuć w nim kawalera, i to niepokorne spojrzenie właściwe tylu podwodniakom. Zwłaszcza jednemu. Instynkt podpowiadał Laurze, matce dwojga dzieci, że osoba komandora porucznika Baldrige'a wnosi do jej życia potencjalne zagrożenie. Do tej pory tylko raz spotkała kogoś, kto tak szybko ją urzekł.

Z zaskoczeniem dostrzegła uśmiech na jego twarzy.

–To już tydzień – powiedział. – Zaczynam powoli przywykać do myśli o tym, co się stało. Ale nigdy nie pogodzę się z myślą, że nie zobaczę już Jacka. Był doskonałym oficerem.

–Teraz na pana pewnie spadnie obowiązek, podtrzymania rodzinnych tradycji.

–Niezupełnie. Po zakończeniu śledztwa odchodzę z marynarki. Wracam do domu, do Kansas.

–Nie będzie panu żal?

–Nie. Nie sądzę. W granatowym mundurze osiągnąłem już właściwie wszystko, co mogłem osiągnąć. Nie zamierzają powierzyć mi samodzielnego dowództwa.

–Musiał pan podpaść o jednym za dużo staremu admirałowi – roześmiała się. – To murowany sposób na zakończenie obiecującej kariery. Przynajmniej tutaj.

–Być może.

–Bill – wtrącił się admirał. – Jeśli chcesz zadać Laurze tych kilka pytań, to obawiam się, że będziemy ją musieli wtajemniczyć. Ale bez obawy. Żyła przy marynarce wojennej wystarczająco długo, żeby wiedzieć, co można powtarzać, a czego nie.

Bill spróbował skierować rozmowę na inne tory.

–A gdzie ta dwójka dzieci, o których tyle słyszałem? – spytał, zwracając się do Laury.

–Brigitte układa je do snu. Są bardzo małe. Trzy i pięć lat. Zmęczyła je długa podróż z Edynburga i jeszcze przed kolacją posłałam obie do łóżka. Babcia zaraz do nich zajrzy, mam nadzieję.

–Brigitte to, jak rozumiem, niania? Nigdy nie widziałem autentycznej brytyjskiej niani.

–I dzisiaj też pan nie zobaczy – odparła Laura. – Brigitte to Szwedka. Przyjechała tutaj na zarobek.

I naraz twarz jej spochmurniała.

–Chodzi o Bena, tak? – spytała. – To w jego sprawie pan przyjechał?

Bill zerknął na admirała i ten zręcznie zmienił temat.

–No, co byście powiedzieli na drinka? Mamy tutaj butelkę schłodzonego mersaulta i butelkę bordo, którą jakiś czas temu otworzyłem... wiem, że Annie do ryby pija zawsze białe wino. Ale nie uważam, żeby białe wino obowiązywało do wszystkich ryb. Ja na przykład do węgorza wolę bordeaux, i właśnie go sobie naleję.

Bill coraz bardziej lubił admirała.

–Jeśli pan pije bordeaux, to ja również – uśmiechnął się.

–I ja – podchwyciła Laura. A kiedy kieliszki były już napełnione, zwróciła się do Billa: – Czego chciałby się pan ode mnie dowiedzieć o Benie Adnamie?

–Lauro – wtrącił admirał – jeśli nie masz nic przeciwko temu, proponuję, żebyście po kolacji zostali tu z Billem na pół godziny sami, i wtedy prywatnie odpowiesz albo nie odpowiesz, to zależy od ciebie, na jego pytania. Podejrzewam, że twoja matka wolałaby nie wracać do starych wspomnień.

–Chwileczkę, admirale, mam jedno pytanie – powiedział Bill. – Dlaczego wszyscy są bliscy ataku serca na samą myśl o przejściu przez Bosfor w zanurzeniu? Nie rozumiem tego. Czy to naprawdę takie niebezpieczne?

–Tak. Naprawdę – odparł powoli admirał. – 1 przypuszczalnie dlatego nikt jeszcze nie próbował.

–Ale dlaczego? Co w tym takiego niebezpiecznego? Cieśnina jest dosyć szeroka, prawda? To właściwie zatoka, czyż nie?

Admirał uśmiechnął się wyrozumiale.

–Powiem od razu, że zwracasz się z tym pytaniem do właściwego człowieka – stwierdził. – Od dwóch lat śledzę pilnie rozmaite doniesienia o dostarczaniu przez Rosjan okrętów państwu Środkowego Wschodu. Z tych wyprzedaży łodzi podwodnych, zwłaszcza Iranowi, mogą być tylko kłopoty, tak więc parę miesięcy temu

zwróciłem się do Droggy'ego z prośbą o przysłanie mi najaktualniejszych map Bosforu. Żeby po prostu zapoznać się z trudnościami, z jakimi musiałby się liczyć każdy, kto chciałby przepłynąć tamtędy łodzią podwodną w zanurzeniu, takie akademickie ćwiczenie dla podstarzałego, emerytowanego oficera, który ma dużo wolnego czasu.

–Mam więc do pana dwa pytania – przerwał mu Bill. – Po pierwsze, kim, u licha, jest ten Droggy? Po drugie, czy może mi pan opowiedzieć o Bosforze?

–Naturalnie, że mogę. A Droggy, to w naszym żargonie hydrograf marynarki wojennej. Co do Bosforu, to od paru miesięcy bardzo mnie on frapuje, to mój nowy konik... mogę rozprawić o nim w nieskończoność. Masz w zapasie ze dwa miesiące?

–Pewnie, że mam, admirale, ale podejrzewam, że Pentagon stęskniłby się za mną jeszcze przed sierpniem.

Roześmieli się obaj, ale admirał szybko spoważniał.

–Rzecz w tym – zaczął – że tacy młodzi podwodniacy jak ty uważają, że cały świat opiera się na komputerach, że jeśli macie te swoje czujniki przeszukujące i technikę elektroniczną, to do szczęścia nic już wam nie potrzeba. Ale ty, Bill, i twoi amerykańscy koledzy podwodniacy pływacie obecnie na dużych jednostkach po otwartych oceanach. I to założenie leży u podstaw konstrukcji całej aparatury, jakiej używacie.

Przejście przez Bosfor wymaga znajomości specyfiki prowadzenia łodzi podwodnej w obrębie małych akwenów, umiejętności, na które wasza marynarka wojenna przestała w zasadzie kłaść nacisk. Nie szkolicie się pod tym kątem od lat i my też dawno byśmy przestali, gdyby nie nasza wrodzona ostrożność.

Operowanie na płytkich wodach wymaga całkowitej zmiany» techniki dowodzenia okrętem, w wielu przypadkach różnice są diametralne. Zacznijmy od tego, że zupełnie bezużyteczne stają się na nich wasze czujniki dalekiego zasięgu, które często nie ostrzegają was przed nadciągającym zagrożeniem. Jak wiesz, mapy i pomiary dezaktualizują się z czasem. Żeby mieć z nich w ogóle jakiś pożytek, musisz dysponować tymi najlepszymi i najaktualniejszymi. Bo operując w pobliżu wybrzeża nie szarżujesz już jak kawalerzysta po bezkresnej prerii, lecz błądzisz po omacku po gęstym lesie niczym zabłąkany piechur. Musisz więc patrzeć cały czas pod nogi.

Wiąże się z tym wymóg niezmiernie precyzyjnej nawigacji, z dokładnością do pięciu metrów w pionie i do pięćdziesięciu

w poziomie. Operując przy brzegu musisz polegać na własnych oczach. A przede wszystkim pamiętaj, że tracisz atut dużej szybkości, co staje się bardzo istotne w przypadku, kiedy wskutek niezachowania należytej ostrożności zmuszony jesteś uciekać. Mając tuż pod kilem dno, nie możesz po prostu zanadto przyśpieszyć.

I być może, Bill, nie wiesz jeszcze jednego: płynąc z szybkością dwudziestu węzłów na głębokości pięćdziesięciu metrów zostawiasz za sobą wyraźny ślad na powierzchni, który z daleka widać.

Bezpieczeństwo zapewnia ci tylko czajenie się, czajenie i niebывała przebiegłość.

Bill pierwszy raz czegoś takiego słuchał. Siedzący przed nim * admirał rzeczywiście reprezentował inną kulturę. Inny świat, świat, w którym być może obraca się pupil mistrza, człowiek, który znalazł prawdopodobnie sposób na zniszczenie „Thomasa Jeffersona”. Admirał MacLean z pewnością uczył Adnama, że musi polegać na własnych oczach. Ale Adnam musiał również dobrze nadstawiać ucha.

Laura westchnęła znacząco. Jej matka z wyrozumiałym uśmiechem pokręciła głową. W odróżnieniu od amerykańskiego gościa obie znały ten wykład na pamięć. Lecz admirał, który najwyraźniej dosiadł swojego konika, nie zwracał na nie uwagi, przed oczyma miał teraz mroczne, skotłowane wody Bosforu.

–To wredna cieśnina – ciągnął. – Niezbyt szeroka prawie na całej swojej długości. I niezbyt głęboka. Występują tam odcinki bardzo, ale to bardzo płytkie z punktu widzenia łodzi podwodnej, prawie na styk. I przez cały czas panuje w niej ożywiony ruch, roi się od frachtowców.

W kanale są wydzielone dwa tory i trzeba się, rzecz jasna, trzymać prawego. Zboczenie na lewy tor jest zabronione. Kiedy płynie się na południe, często cholernie trudno jest się zatrzymać. Wyobraź sobie siedmiowęzłowy prąd w największym miejscu.

Zniesie cię w prawo i osiadasz na mieliźnie. Zniesie w lewo i kolizję czołową masz prawie gwarantowaną. Na najbardziej niebezpiecznym odcinku jest za płytko, by zejść głębiej, pod nadpływający z przeciwka statek. Problemów nastroczają też wraki, a poza tym nie bardzo dowierzam rzetelności map dna. Nie mam zaufania do dokładności pomiarów echosondą.

Stary podwodniak zamilkł na chwilę, by z łyżeczek deserowych i widelców ułożyć zygzakowaną linię przebiegającą obok miseczki z majonezem.

–Zwróć uwagę – podjął postukując nożem w obrus. – Płyniesz pod wodą, w smolistych ciemnościach, i pokonawszy jedną trzecią drogi z Morza Czarnego na Morze Śródziemne, napotykasz, o tutaj, duży meander w kształcie litery „S”. Na niektórych jego odcinkach jest szczególnie wąsko. Po obu jego końcach występują płycizny, gdzie głębokość wody nie przekracza piętnastu metrów. – Postukał energicznie nożem do ryby w miseczkę majonezu. – Jeśli zobaczysz ze swojego toru, którego szerokość nie przekracza tutaj dwustu metrów, poszorujesz po dnie, wyniesie cię na powierzchnię i staniesz się widoczny jak na dłoni. A i tak będziesz mógł mówić o szczęściu.

Założmy, że pokonałeś ten meander. Zaraz za nim zaczyna się tor prowadzący na południe, który jest na początkowym odcinku najwęższy, ma niecałe dwieście metrów szerokości. I, co zrozumiałe, prąd jest tam najsilniejszy, można to przyrównać do wody przepływającej przez szyjkę butelki.

Pod drugim mostem, na samym środku południowego toru, rozciąga się cholernie wielka mielizna. Głębokość spada tam do dwudziestu pięciu metrów, czyli nie zanurkujesz pod nic większego od motorówki. A co gorsza, na dnie spoczywają dwa wraki, jeden z nich na głębokości zaledwie piętnastu metrów.

Z mapy wynika, że lepiej byłoby zaczekać na odpowiedni moment i pokonać ten odcinek głębszym torem, przeznaczonym dla jednostek idących na północ. I tak też bym postąpił, gdybym tylko uznał, że zmieszczę się w luce między nadpływającymi z przeciwna frachtowcami i tankowcami. Ale jak wiesz, jest to cholernie niebezpieczne.

Jak również nielegalne. Turcy, powołując się na konwencję z Montreux, zabraniają tego rodzaju manewrów. Zakaz ten dotyczy także wszelkich okrętów wojennych jakiegokolwiek bandery. I mają pełne prawo aresztować w cieśninie każdy okręt wojenny jakiegokolwiek bandery, który nie powiadomił ich kilka tygodni wcześniej, że ma zamiar przejść przez Bosfor.

Nadal nie wiesz, dlaczego ludzie są bliscy ataku serca na samo wspomnienie o pokonaniu Bosforu w zanurzeniu? Bo nie dość, że jest to cholernie trudne i pierońsko niebezpieczne, to jeszcze może cię złapać jakiś Turek, który, ogłędnie mówiąc, nie będzie się z tobą patyczkował.

–Czyli twierdzi pan, że to praktycznie niemożliwe?

–

–Niezupełnie, Bill. Ale dokonać tego może tylko mistrz podwodnej nawigacji. Z mojego pokolenia jest takich co najwyżej trzech. Admirał Elliott, którego niedawno poznałeś. Ma się rozumieć, ja. I może jeszcze kapitan Greenwood, który ma co prawda skłonność do nadpobudliwości, ale chyba by sobie poradził.

–A najlepszy absolwent Magla?

–Oczywiście też.

–Chodzi o Bena, tak? – spytała Laura.

–O Bena.

–Ale dlaczego wciąż do niego nawiązujecie?

–Bill ci to później wyjaśni – obiecał admirał.

Laura uśmiechnęła się, wyraźnie nieświadoma, co niebawem przyjdzie jej usłyszeć.

–No dobrze – powiedziała. – Pani Laura Anderson, matka Flory i Mary, wstrzyma się z zabieraniem głosu do czasu oficjalnego przesłuchania przez Marynarkę Wojenną Stanów Zjednoczonych, które odbędzie się około dziesiątej wieczorem w gabinecie admirała.

–Moja cólca spodziewa się, jak widzę, że spędzi z tobą miłe chwile przed kominkiem, z kieliszkiem porto mojego najlepszego rocznika w ręku – zauważył admirał. – Podobnie jak Turcy Bosforu, ja lubię pilnować korka.

–Chyba ma pan rację – powiedział Bill. – Z tego, co widzę, gdyby nie ta przezorność, zapasy szybko by się panu wyczerpały.

Laura chciała dać Amerykaninowi lekkiego kuksańca, ale powstrzymała się z obawy, że czujna matka mogłaby uznać tego rodzaju gest za zbyt zalotny jak na zamężną damę.

Tymczasem admirał pytał już Billa, czy ten ma czas na spędzenie jednego dnia w morzu.

–To jeden z najlepszych na świecie ośrodków szkoleniowych dla podwodniaków, zwłaszcza w zakresie operowania na płytkich wodach.

–Byłbym bardzo wdzięczny, admirale. Ciekawa rzecz, jak zróżnicowana jest nasza profesja... wszystkim nam przyświecają te same cele, a tak różnymi się w sposobach ich osiągnięcia.

–Wspaniale. Wszystko już wczoraj załatwiłem. Będziemy musieli wczesnie wstać. O dziewiątej oczekują nas na pokładzie.

Kolacja dobiegała końca. Kansańczyk zerknął ukradkowo na zegarek i stwierdził, że już po dziesiątej. Laura podchwyciła jego spojrzenie.

–Marynarka Stanów Zjednoczonych jest już chyba zmęczona -powiedziała, odsuwając się z krzesłem od stołu. – Zajrzę tylko do niani i za pięć minut wracam, by poddać się krzyżowemu ogniu pytań. Na wózku z napojami stoi karafka porto. Proszę nalać dwa kieliszki, zanim tato ją skonfiskuje.

Bill Baldrige podziękował admirałowi za pyszną kolację i życzył gospodarzom dobrej nocy. Ustalili, że do śniadania zasiądą nazajutrz o siódmej piętnaście.

Przeszedłszy do okolonego półkami na książki gabinetu znalazł porto, napełnił dwa kieliszki i usiadł przy kominku. Laura dołączyła do niego po dziesięciu minutach z poprawioną fryzurą i świeżo umalowanymi ustami. Usiadła z gracją w fotelu naprzeciwko, założyła nogę na nogę i trochę przesadnie ściszone głosem oznajmiła:

–No dobrze, komandorze poruczniku, ma mnie pan tylko dla siebie.

Bill z ochotą potraktowałby to oświadczenie dosłownie. Ale siedziała przed nim dama, która mogła mu pomóc w odnalezieniu człowieka podejrzanego o znieszczenie „Thomasa Jeffersona”. Zdawał sobie doskonale sprawę, że Laura może się okazać jedyną osobą, za pośrednictwem której mogą trafić do najgroźniejszego terrorysty świata.

Zdecydował się wyjawic jej cel swej wizyty.

–Lauro – zaczął ostrożnie – słyszałaś zapewne o tym strasznym wypadku z udziałem naszego lotniskowca sprzed tygodnia. Jednak naszym zdaniem to nie takie proste. Podejrzewamy, że lotniskowiec został zniszczony przez jakąś niezidentyfikowaną środkowowschodnią siłę. Że zatopiła go torpeda z nuklearną głowicą jądrową, odpalona z jakiejś łodzi podwodnej. Ludzi, którzy potrafiliby tego dokonać, jest garstka. Podejrzewam, że jej dowódcą mógł być komandor Benjamin Adnam.

–Ben?! Ależ on jest Izraelczykiem. Pochodzi z Tel Awiwu. Ameryka jest wielkim sojusznikiem Izraela. Dlaczego mieliby atakować swojego najbardziej lojalnego sprzymierzeńca?

Bill pokręcił głową.

–Opowiedz mi o nim, Lauro – poprosił. – Co to za człowiek?

–No więc... ma tylko metr siedemdziesiąt wzrostu, jest od ciebie potężniej zbudowany, włosy kruczoczarne, falujące, bardzo krótko przycięte. Oczy ciemne, prawie czarne. I nie ma tej śniadej, charakterystycznej dla mieszkańców Środkowego Wschodu cery;

–Marynarka Stanów Zjednoczonych jest już chyba zmęczona -powiedziała, odsuwając się z krzesłem od stołu. – Zajrzę tylko do niani i za pięć minut wracam, by poddać się krzyżowemu ogniu pytań. Na wózku z napojami stoi karafka porto. Proszę nalać dwa kieliszki, zanim tato ją skonfiskuje.

Bill Baldrige podziękował admirałowi za pyszną kolację i życzył gospodarzom dobrej nocy. Ustalili, że do śniadania zasiądą nazajutrz o siódmej piętnaście.

Przeszedłszy do okolonego półkami na książki gabinetu znalazł porto, napełnił dwa kieliszki i usiadł przy kominku. Laura dołączyła do niego po dziesięciu minutach z poprawioną fryzurą i świeżo umalowanymi ustami. Usiadła z gracją w fotelu naprzeciwko, założyła nogę na nogę i trochę przesadnie ściszone głosem oznajmiła:

–No dobrze, komandorze poruczniku, ma mnie pan tylko dla siebie.

Bill z ochotą potraktowałby to oświadczenie dosłownie. Ale siedziała przed nim dama, która mogła mu pomóc w odnalezieniu człowieka podejrzanego o znieszczenie „Thomasa Jeffersona”. Zdawał sobie doskonale sprawę, że Laura może się okazać jedyną osobą, za pośrednictwem której mogą trafić do najgroźniejszego terrorysty świata.

Zdecydował się wyjawic jej cel swej wizyty.

–Lauro – zaczął ostrożnie – słyszałaś zapewne o tym strasznym wypadku z udziałem naszego lotniskowca sprzed tygodnia. Jednak naszym zdaniem to nie takie proste. Podejrzewamy, że lotniskowiec został zniszczony przez jakąś niezidentyfikowaną środkowowschodnią siłę. Że zatopiła go torpeda z nuklearną głowicą jądrową, odpalona z jakiejś łodzi podwodnej. Ludzi, którzy potrafiliby tego dokonać, jest garstka. Podejrzewam, że jej dowódcą mógł być komandor Benjamin Adnam.

–Ben?! Ależ on jest Izraelczykiem. Pochodzi z Tel Awiwu. Ameryka jest wielkim sojusznikiem Izraela. Dlaczego mieliby atakować swojego najbardziej lojalnego sprzymierzeńca?

Bill pokręcił głową.

–Opowiedz mi o nim, Lauro – poprosił. – Co to za człowiek?

–No więc... ma tylko metr siedemdziesiąt wzrostu, jest od ciebie potężniej zbudowany, włosy kruczoczarne, falujące, bardzo krótko przycięte. Oczy ciemne, prawie czarne. I nie ma tej śniadej, charakterystycznej dla mieszkańców Środkowego Wschodu cery;

skórę ma kawową, gładką, wygląda tak, jakby nie musiał się wcale golić.

Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, pomyślałam sobie, że to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu spotkałam. Zakochałam się. Był moją pierwszą miłością... właściwie to moją jedyną miłością.

Bill upił łyczek porto.

–A pan Anderson?

–Błąd. Poważny błąd – wyznała Laura z rozbijającą szczerością, na którą zdobyła się chyba pod rozgrzewającym, wiekowym

* urokiem najsoczyściej rubinowego portugalskiego wina. – Kiedy Ben po dwóch latach opuszczał Faslane, by wrócić do Izraela, nie wierzyłam jego zapewnieniom i byłam przekonana, że już go więcej nie zobaczę. Myślałam, że umrę, że serce mi pęknie. Przez półtora roku nie wychodziłam z domu. Matka podejrzewała mnie o załamanie nerwowe. Nienawidziła Bena za to, co zrobił jej ukochanej córeczce. Bardzo się cieszyła, kiedy wyjeżdżał. Umarłaby, gdybym za niego wyszła. Ale do tego nigdy nie miało dojść; nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Po jakimś czasie zaczęłam towarzyszyć tacie na polowaniach i podczas jednego z nich, w okolicach Jedburgha, poznałam Douglasa. Był synem miejscowego właściciela ziemskiego i wielokrotnie jadalśmy razem lunch. Byliśmy najmłodszy z całego towarzystwa. Wykorzystał trochę mój stan ducha, moją niechęć do spotykania się z kimkolwiek innym i po dwóch latach zgodziłam się go poślubić. Wszyscy się cieszyli, i mama wyprawiła ogromne wesele.

I wtedy się tō stało. W przeddzień ślubu, wieczorem, zadzwonił do mnie Ben. Powiedział, że wciąż mnie kocha i chce się ze mną zobaczyć. Naturalnie nie mogłam na to przystać i odmówiłam mu. Ale serce po raz drugi omal mi nie pękło. Następnego dnia zostałam panią Anderson. Mój nowy mąż był dla mnie bardzo słodki i miły. I bogaty. Ale nie powinnam była za niego wychodzić, bo nic do niego nie czułam.

Laura Anderson nie potrafiła pojąć, dlaczego otwiera duszę przed tym prawie obcym człowiekiem z Kansas, niewiele pomagało wmawianie sobie, że prawdopodobnie robi to w interesie narodowym.

Bill Baldrige pokręcił z zakłopotaniem głową i wrócił do tematu Bena.

–Czy spotkałaś się jeszcze kiedyś z Adnamem?

–Dwukrotnie. Raz w Kairze, dokąd poleciałam, kiedy Douglas wyjechał na jakąś konferencję finansistów. Drugi raz, jakiś rok temu, tutaj, kiedy Ben wrócił do Faslane z trzema innymi izraelskimi oficerami, żeby potrenować na łodzi podwodnej klasy Up-holder, którą kupiła ich marynarka. Był już wówczas pełnym komandorem.

Dziwne, ale przytłaczająca natura tej zdrady, pojechaliśmy do hotelu w górach, miała zły wpływ na nas oboje. Byłam sztywna ze strachu, że zaraz drzwi się otworzą i do pokoju wejdzie moja matka, ojciec albo mąż i nas przyłapie.

Kiedy się rozstawaliśmy, miałam dziwne przeczucie, że teraz już naprawdę więcej go nie zobaczę. I jak dotąd nie widziałam. Dzwonił do mnie potem dwa razy, ale nie wydaje mi się, żebyśmy czuli jeszcze do siebie to co dawniej. Długa rozłąka i obłuda tego związku zrobiły swoje. On służy teraz w marynarce wojennej Bóg jeden wie gdzie, a ja zostałam z Douglasem, przystojnym, bardzo poważnym, czterdziestoletnim bankierem, przy którym jestem zimna jak gład. Obawiam się, że on to wyczuwa. Nie mogłabym mieć do niego najmniejszych pretensji, gdyby uciekł ze swoją sekretarką.

–Masz może adres albo numer telefonu Bena?

–Nie. Od kiedy wyjechał stąd po ukończeniu Magla, nie miałam nigdy ani jednego, ani drugiego. Nie da się ukryć, że był trochę tajemniczy. Nieraz prosiłam go o jakiś adres, na jaki mogłabym mu wysłać list albo chociaż pocztówkę. Ale on powtarzał, że to trochę za skomplikowane.

–Lauro, a czy jesteś pewna, że on był Izraelczykiem?

–Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłby być innej narodowości. Szkolił się tutaj jako oficer izraelskiej marynarki wojennej. To się rozumiało samo przez się.

–No, nie wiem – mruknął Bill. – Środkowy Wschód to dziwne miejsce. Na kilka dni przed wybuchem wojny w Zatoce Saddam Hussein przysięgał swojemu ziomkowi Arabowi, bliskiemu sąsiadowi oraz niekwestionowanemu przyjacielowi i sojusznikowi, prezydentowi Egiptu Mubarakowi, że nie napadnie na Kuwejt. Na wschód od wysp greckich prawda staje się złudna.

Czy kiedy spotykałaś się z Benem, zwróciło twoją uwagę coś, co mogłoby sugerować, że wywodził się z innego kraju?

–Nie. Raczej nie. Zastanawiała mnie jedynie jego pobłażliwość wobec krajów arabskich, nawet wobec terroryzmu. Z pewnością-

cią nie można go było nazwać fanatycznym anty-Arabem, i nie był w ogóle religijny.

Ale kiedy tak się teraz nad tym zastanawiam, przypomina mi się coś jeszcze. Już wcześniej, zanim jeszcze doszło w końcu do naszego spotkania w Kairze, próbowaliśmy się kilkakrotnie umawiać, i on zawsze obstawał przy Kairze. Ani razu nie zaproponował spotkania gdzieś w Izraelu. Czy to trochę nie dziwne? Sama nie wiem. Ale nigdy przez myśl mi nie przeszło, że może być Egipcjaninem.

–Czy opowiadał ci o swojej młodości?

–Tak. Do szkoły chodził w Anglii. Była to szkoła z internatem w hrabstwie Kent, a więc przypuszczam, że jego rodzice musieli być

'dość zamożni. Ale na uniwersytet już tu nie wstąpił. Po ukończeniu szkoły, mając osiemnaście lat, wrócił do Izraela i z tego co wiem, zaciągnął się tam od razu do marynarki wojennej. Powiedział mi, że kiedy przybył do Faslane na kurs, była to jego pierwsza wizyta w Zjednoczonym Królestwie od czasu ukończenia szkoły.

–Czy coś jeszcze, oprócz tego, że był Izraelczykiem, odróżniało go od reszty kursantów z Magla?

–Raczej nie. Tyle tylko że sprowadził tu sobie ładny nowiutki samochód. Małe, czerwone BMW.

–Czy jako wyróżniający się inteligencją był lubiany?

–Raczej nie. Bena nie interesowało nic, co uważał za trywialne. Nie można było z nim poplotkować, pogawędzić o pogodzie, co bardzo drażniło moją matkę. Na przyjęcia urodzinowe, owszem, przychodził, i to z drogim, starannie wybranym prezentem. Ale przez całą czaą trzymał się na uboczu. Zachowywał rezerwę.

–Za co tak gó kochałaś?

–Bo moje dziewczęce oczy widziały w nim boga. Ja miałam dopiero dziewiętnaście lat, on dwadzieścia siedem. Był wybijającym się w swojej grupie wiekowej, młodym oficerem, na tyle zamożnym, by zabierać mnie do eleganckich lokali, tylko on miał nowy samochód i fascynował mnie opowieściami o krajach Środkowego Wschodu, których nigdy nie widziałam. Był czarujący. Brakowało mu tylko jakiegokolwiek słabego punktu. Podejrzewam, że dojrzała kobieta uznałaby to za poważną skazę. Ale dziewiętnastolatce świeżo po londyńskiej szkole dla sekretarek bardzo to imponowało. Nie przypuszczam, żebym zareagowała na niego tak samo, gdybyśmy poznali się dopiero teraz.

–Czy według ciebie starczyłoby mu bezwzględności, by zatopić lotniskowiec z sześcioma tysiącami ludzi na pokładzie?

Laura zawahała się.

–Nie, Bill – odrzekła po chwili. – Na tak sformułowane pytanie odpowiedź brzmi nie. Ale miał w sobie jakiś chłód, wyrachowanie i determinację. Biła z niego jakaś siła. Gdyby doszedł do przekonania, że jego obowiązkiem jest zatopić amerykański lotniskowiec, zrobiłby to.

Z drugiej strony miał bardzo ujmujący uśmiech. I w pewnych sytuacjach potrafił być nawet dowcipny. Robił wtedy wrażenie człowieka rozluźnionego i pewnego siebie.

Ale kiedy go już dobrze poznałam, zauważyłam, że jego oczy rzadko skupiają się na czymś na dłużej, są wciąż rozbiegane. Była w nim jakaś nerwowość i czujność. Czasami przyłapywałam go na ukradkowym rozglądaniu się po wnętrzu, dajmy, na to, jakiejś eleganckiej restauracji. A zaraz potem uśmiechał się do mnie promiennie i mówił coś zabawnego. Nie podejrzewałam go o zainteresowanie innymi kobietami. Po prostu miał się bez przerwy na baczności.

Ten jego nawyk przemiatania co parę minut wzrokiem otoczenia nazywałam odruchem peryskopowym. Ćwiczyć musi chyba nawet taki morski geniusz jak Ben, prawda?

–Czy wspominał o swoich rodzicach?

–Niewiele. Tyle tylko że mieszkają w Izraelu, gdzieś na wsi. Uprawiali, zdaje się, jakieś owoce, melony czy coś takiego, ale czasami mówił mi, że ma sprawy do załatwienia w londyńskim banku, w którym jego rodzina ma konto. Jeździł tam mniej więcej raz w miesiącu, zwykle pociągiem z Glasgow.

–Czy miał jakichś innych bliskich znajomych w Anglii albo w Szkocji?

–Tutaj nikogo. Nie był specjalnie lubiany. A nigdy mi nie wspominał, żeby znał kogoś w Londynie czy gdziekolwiek indziej. W każdym razie nigdy mnie nikomu nie przedstawił.

–Kiedy ostatnio się do ciebie odezwał?

–Dzwonił do mnie jakieś dwa miesiące po zakończeniu tych prób na łodzi klasy Upholder. Ale nie było mnie w domu. Wyjechaliśmy z Douglasem i dziewczynkami na weekend. Kiedy w Edynburgu nikt nie podnosił słuchawki, zadzwonił tutaj. Mamusia wpadła w furję, ale przede mną zaklinała się, że była dla niego uprzejma. Tak czy inaczej, od tamtego czasu nie dał znaku życia, co

trochę odbiega od normy... tak długo jeszcze nie milczał. Mamusia powiedziała mu pewnie, że jest największym sukinsynem, jakiego widziała, albo coś równie subtelnego. Tylko się nie przyznaje. Podejrzewam, że Ben na dobre zniknął z mego życia.

–Możesz mi opowiedzieć o tym spotkaniu w Egipcie?

–To było mniej więcej w cztery lata po moim ślubie, chyba czternaście miesięcy przed przyjściem na świat Flory. Douglas wyjeżdżał do Montrealu na jakieś bankierskie seminarium. Miałam sześć dni dla siebie. Zaplanowaliśmy to kilka miesięcy wcześniej. Poleciałam z Glasgow do Londynu i na Heathrow przesiadłam się w samolot do Kairu. Ben kupił mi już wcześniej bilet; odebrałam go na stanowisku KLM.

Bill słuchał i zdumiewał się, ile dziewczęcości przebija wciąż z jej opowieści. Oczami wyobraźni widział Bena Adnama czekającego na nią na lotnisku w Kairze w wielkim mercedesie z szoferem w liberii za kierownicą, towarzyszył im w długiej wieczornej przejażdżce do Gizy, zaglądał do apartamentu w słynnym Mena House Hotel, z balkonu którego roztacza się widok na najwspanialsze dokonania człowieka, od zarania dziejów odcinające się od pustynnej panoramy.

–Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobił na mnie widok piramid – ciągnęła Laura. – Stałam w balkonowym oknie i w samotności patrzyłam jak urzeczona na pięć tysięcy lat historii, i wydawało mi się, że słyszę głos pustyni... Ben zszedł na dół, żeby wysłać jakiś faks.czy coś w tym rodzaju. To było najromantyczniej-sze miejsce na świecie dla zachwyconej szkockiej dziewczyny, a do tego chłodny, zupełnie nieromantyczny oficer marynarki wojennej. Ale jakieś iskielki romantyzmu musiały się w nim jednak tlić, bo przecież inaczej by mnie tam nie zawoził. W każdym razie w przypadku takiej wychowanej pod kloszem dziewczyny jak ja, pierwszy kochanek niewiele zazwyczaj może zepsuć, a więc w sumie cudownie się bawiłam.

–Spróbuj sobie przypomnieć, Lauro. Czy w Egipcie wydarzyło się coś, co wydało ci się odbiegające w jakimś sensie od normy? Pamiętasz coś takiego?

–Chyba nie... może tylko to, że jednego popołudnia poszliśmy do meczetu.

–Co zrobiliście?

–Poszliśmy do meczetu. Zwiedzaliśmy Kair i Ben kazał kierowcy jechać do Cytadeli, wspaniałego zamku wzniesionego, zdaje

się, przez Saladyna. Stamtąd poszliśmy pieszo do meczetu Mohammada Ali, to najpiękniejsza z budowli, wielki punkt orientacyjny Kairu. Widać go z odległości wielu mil, bo ma dwa minarety tak cienkie, że wyglądają, jakby za chwilę miały się złamać. Strzelają wysoko ponad kopułę samego meczetu.

–Mów, mów – zachęcił ją Bill i słuchał uważnie dalej.

–No więc, tak naprawdę to nie byliśmy razem w środku. Ja chciałam wejść. Ale Ben uznał, że to chyba nie wypada, żeby dwoje niewiernych wchodziło do muzułmańskiego świętego miejsca modlitwy. Była tam taka mała księgarenka, zaproponowałam więc, że zajrzę do niej i może kupię coś, co po powrocie do Szkocji będzie mi o tym miejscu przypominało.

Zgodził się i powiedział, że zaczeka na mnie przed wejściem, bo chce popatrzeć na panoramę miasta. Weszłam więc do tej księgarenki sama i spędziłam tam ze dwadzieścia minut, rozmawiając ze starszym, który ją prowadził... powiedział mi, pamiętam, że podczas wojny sześciodniowej z Izraelem służył w egipskich siłach powietrznych.

Tak czy owak, kiedy stamtąd wyszłam, Bena nie było. Ruszyłam przez dziedziniec rozglądając się za nim i w pewnej chwili zobaczyłam, jak wymyka się bocznymi drzwiami z meczetu. Odniosłam wrażenie, że robi to jakoś ukradkowo. Zatrzymałam się jak wryta i patrzyłam, jak wzuwa z powrotem buty. Nie bardzo się w tym orientuję, ale chyba niewielu Izraelczyków można spotkać na modlitwie w arabskim meczecie.

–Tak, raczej niewielu – przyznał Bill Baldrige. – Mówił coś... tłumaczył ci może, co tam robił?

–Tak. Powiedział, że wydało mu się, że zobaczył kogoś znajomego, ale okazało się, że to pomyłka.

–Może i tak było, ale coś mi tu nie pasuje: izraelski oficer w meczecie. Nawet jeśli rzeczywiście wszedł tam za kimś, nadal brzmi to mało prawdopodobnie. No i te krótkie wakacje w Mena House, * dosyć wystawny tryb życia jak na syna plantatora melonów, zwłaszcza że utrzymywał się rzekomo ze słynnej ze skromności pensji izraelskiego wojskowego.

–Tak, to był bardzo ekskluzywny hotel, a Ben czuł się w nim jak u siebie w domu, chyba nawet znał część personelu. Myślałam wówczas, że przed moim przyjazdem mieszkał tam tylko dwa dni, ale pewnego wieczoru piliśmy w ogrodzie drinka z samym kierownikiem, który robił wrażenie strasznie ważnej osoby.

–Tak, Lauro, jeśli się dobrze zastanowić, to bardzo dziwne, że izraelski oficer wybrał akurat ten hotel, w samym sercu Kairu... Jezu, przecież to tam miało miejsce spotkanie Jimmy'ego Cartera z prezydentem Anwarem Sadatem. To tam Kissinger prowadził rozmowy z Egipcjanami. Czytałem niedawno artykuł o środkowowschodniej polityce Nixona. On również zatrzymywał się w Mena House. Wspominano tam również, że był to ulubiony hotel prezydenta Roosevelta. Bóg jeden wie, ile koronowanych głów innych państw w nim mieszkało. To arabska instytucja. Co robiłby w niej

r Benjamin Adnam, chyba że naprawdę jest Arabem?

–Tego nie wiem. Ale przypomniałeś mi właśnie o pewnej osobliwej rozmowie, którą mieliśmy raz w Mena House. Słowo w słowo jej nie pamiętam, ale przypominam sobie, że powiedział coś takiego: „Moi mocodawcy nie byłiby pewnie zachwyceni, że pokazuję się tu publicznie w towarzystwie córki brytyjskiego admirała. Mogliby to uznać za trochę niedyskretne z mojej strony”.

Spytałam dlaczego, a on ciągnął jakoś tak refleksyjnie i z zacięciem. Powiedział mniej więcej tak: „Tyle że moich mocodawców można w każdej chwili zastąpić kimś innym. Za to mnie zastąpić się nie da”.

Ale to nie arogancja jego słów tak mnie uderzyła. Ben zawsze był odrobinę arogancki, nawet wyzywający. Aż wstyd przyznać, jak mnie to wtedy w nim pociągało. Ale moją uwagę zwróciło użycie przez niego słowa „mocodawcy”. Nie słyszałam przedtem tego słowa w ustach oficera marynarki wojennej, w każdym razie nie w tym kontekście«A Ben powtórzył je dwa razy.

–Ciekawa rzecz, Lauro. Ja również nie słyszałem nigdy tego słowa z ust oficera marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Wciąż zachodzę w głowę, kim w rzeczywistości jest Ben.

–Naprawdę myślisz, że nie jest tym, za kogo się podaje?

–Tak myślę. A skłania mnie do tego między innymi opinia twojego ojca, że ludzi, którzy potrafiliby zatopić nasz lotniskowiec, jest na świecie nie więcej niż pół tuzina. Według niego Ben się do nich zalicza. A Arab pasuje mi tu lepiej od Izraelczyka.

–Zaraz po ślubie Ben zadzwonił do mnie i poprosił o spotkanie. Ale mu odmówiłam. Wtedy też proponował Kair.

–Dziwne. Zastanawiam się, gdzie on, u licha, może teraz być.

–Tutaj niewiele ci pomogę. Nie odzywa się do mnie od kilku miesięcy. Może już nigdy się nie odezwie.

–A mogłabyś dać mi znać, gdyby się jednak odezwał?

–Owszem. Mogłabym. Jestem córką wyższego oficera marynarki wojennej, a więc rozumiem te sprawy i wiem, jak poważna jest sytuacja. Skontaktuję się z tobą, gdyby dał znak życia.

Laura wstała powoli i przeczesła palcami włosy.

–Lubisz muzykę? – zapytała. Przecięła pokój, włączyła odtwarzacz płyt kompaktowych i położyła krążek w zagłębieniu wysuwającej się kieszeni. Pokój wypełniły smyczki Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Wiedeńskiej grającej uwerturę do jednej z najsłynniejszych oper Giuseppe Verdiego.

–Rigoletto – orzekł Bill.

Siedzieli przez dłuższą chwilę w milczeniu, słuchając boskich, chwytających za serce arii w wykonaniu Ileany Cortubac w roli Gildy i Placido Domingo w roli księcia Mantui.

Kiedy sopran zaśpiewał Caro Nome?, Laura z zaskoczeniem usłyszała wzruszony głos oficera amerykańskiej marynarki:

–Coś pięknego, nie uważasz?

–Ty naprawdę lubisz operę, prawda? – spytała, ścisząc nieco muzykę.

–Przy takich jak ta okazjach – odparł poważnie. – Brat mojej matki zasiadał w zarządzie nowojorskiej Metropolitan Opera. Od czasu do czasu dostawała od niego bilety. Parę razy zabrała mnie ze sobą, fundując przelot z Waszyngtonu, bo studiowałem wtedy w Annapolis. Miałem okazję posłuchać na żywo wielkich mistrzów.

Nigdy nie wyszedłem poza te najłatwiejsze, jak Cyganeria, Figaro, Rigoletto, Madame Butterfly... Carmen, Aida i Poławiacze pereł... ale kocham muzykę, słuchając jej czuję się tak, jakby ktoś rzucił na mnie czar. Wolę operę od rodeo. Naprawdę. – Zerknął na zegarek. – Oj, już północ, a ja od niedzielnego poranka nie spałem w prawdziwym łóżku. Rano jestem umówiony z twoim tatą. Lepiej się położę, zanim zwalę się na dywan.

–Dobrze. Ja posprzątam szklanki i założę kratę na kominek. Dobrej nocy, Bill. Mam nadzieję, że ci pomogłam.

–Tak, pomogłaś. Dziękuję ci. – Miał ochotę cmoknąć ją na dobranoc w policzek, ale tego nie zrobił. Panią Laurę Anderson, która na ten pożegnalny pocałunek czekała, uraziło to bardziej, niż powinno.

Bill wszedł na górę, położył się do łóżka i zapadł natychmiast w kamienny sen. Przedłużenie o dzień pobytu w Inveraray nie było konieczne, ale on chciał zwiedzić w towarzystwie admirała Mac-Leana tę Mekkę podwodniaków. Miał też do admirała jeszcze

kilka pytań dotyczących Izraela i marynarki wojennej tego państwa. Decyzję pomogło mu podjąć przekonanie, że brytyjski admirał jest bez wątpienia najbardziej uczonym podwodniakiem, jakiego znał. Zresztą to właśnie on szkolił osobiście komandora Bena Adnama, nie wnikając już w ponure następstwa, jakie to teraz za sobą pociągało.

152357LIP02. 11N, 53E. Szybkość 7. Kurs 192. Głębokość peryskopowa. Pozycja: 1070 mil na południowy zachód od punktu, 170 mil na wschód od przylądka Guardafui w Somalii.

–W porządku, Georgy. Jesteśmy, co prawda, za blisko szlaków żeglugowych, jak na mój gust, ale wynurzymy się i naprawmy jak najszybciej ten wał napędowy. I każ mechanikowi zrobić wreszcie porządek z tą szwankującą uszczelką kadłuba. Teraz. Póki stoimy. Od tygodnia są z nią kłopoty.

160124LIP02.

–Oficer wachtowy do kapitana, oficer wachtowy do kapitana... Chodzi o ten hałas wyłapany przed pół godziną przez nasłuch elektroniczny... to chyba duży kupiec idący z południowego zachodu. Piętnaście mil, trzy-pięć-zero, dwadzieścia węzłów. Za pięć minut poziom niebezpieczeństwa.

–Kapitan do oficera wachtowego: w jakiej odległości nas minie?

–Od czterdziestu minut idzie prosto na nas.

–Jezu! Wał zablokowany. Ben! Ben! Nie możemy zejść niżej i nie możemy manewrować.

–Spokojnie, Georgy, wykonasz „zanurzenie w zatrzymaniu”.

–Jezu! Nigdy jeszcze tego nie próbowałem.

–Za to ja wiele razy. Nie mamy wyboru. Musimy się zanurzyć. Nikt nie może nas zobaczyć. A tym bardziej staranować. Przewidywałem, że do tego dojdzie. Dlatego właśnie kazałem ci przed wynurzeniem złapać równowagę w zatrzymaniu.

Rób teraz dokładnie, co mówię... Otwórz główne zawory i kingstony, zawory denne. Śledź kąty... Mamy teraz dziesięć stopni przegłębienia na rufę, ale to nic. Nigdy nie jest idealnie równo... Jaka głębokość? Trzydzieści metrów?

220

–Jezu! Ben, ześlizgujemy się rufą naprzód na dno!

–Georgy, chłopie, zamknij się z łaski swojej. Trzymaj te zawory otwarte, to tylko pęcherzyki

powietrza. Mamy przecież w zbiornikach tony sprężonego powietrza. Weź się w garść, na miłość boską. Wiem, że ten kąt jest za duży... ile tam mamy? Sześćdziesiąt metrów? Przegłębienie na rufę czterdzieści.

–Jezu! Załoga wpadnie mi w panikę!

–No to jej powiedz, żeby nie wpadała, rozumiesz? Zamknij teraz pięć głównych zaworów... Przedmuchać pięć głównych zbiorników balastowych... Dobra, przerwij przedmuchiwanie. Georgy, mamy za ciężką rufę. Poślij dziesięciu ludzi do przodu. Niech się wdrapią na dziób.›

Dobra, Georgy... kąt maleje... Otwórz pięć głównych zaworów... dobrze... coraz lepiej... zamknij pięć głównych zaworów... Jaka głębokość? Osiemdziesiąt metrów? Złapiemy równowagę w zatrzymaniu na stu metrach... Otwórz pięć głównych zaworów... zamknij pięć głównych zaworów... dobrze.

–Sto metrów, sir.

–No i widzisz, Georgy? Wisimy sobie cichutko jak myszki sto metrów pod powierzchnią. Kupiec przejdzie nad nami za dziesięć minut, nic mądrzejszego nie można było wymyślić. A kiedy się oddali, pod osłoną ciemności wyjdziemy bardzo cicho na powierzchnię i dokończymy naprawę. * Prosta sprawa. Aha, Georgy, przepraszam za te przechyły, tak to już jest podczas „zanurzania w zatrzymaniu”.

–Upokorzyłeś mnie. Jeśli wyjdę z tego cało, zatłukę tego twojego pieprzonego Nauczyciela, Ben. Ale tobie dziękuję.

Nazajutrz Bill Baldrige i admirał wyszli wcześniej, kiedy wielki dom nad szkockim jeziorem jeszcze spał, i popędzili rangę roverem przez las. Wybrali dzisiaj krótszą trasę i nie dojeżdżając do głównej szosy skręcili na południe, w biegnącą wzdłuż

wschodniego brzegu jeziora Loch Lomond drogę, którą dojeżdżało się do Faslane od drugiej strony.

–Czy według pana łatwo byłoby komuś przeniknąć do izraelskich sił zbrojnych i przez lata skrycie w nich działać? – spytał Bill.

–Trochę wczoraj o tym myślałem, Bill, i ciekawa rzecz, doszedłem do wniosku, że nie byłoby to takie trudne. Izrael to kraj wielkich międzyrasowych przemian. Kiedy powstał, z krajów europejskich zaczęły tam walić takie masy uciekających przed dyskryminacją ludzi, że aż dziw bierze, że władzom udało się zachować kontrolę nad tym całym exodusem. W końcu z Żydów ściągających z Rosji, Polski, Niemiec, z całej Europy Wschodniej i Zachodniej, a nawet z USA, powstał nowy naród składający się z osób żydowskiego pochodzenia, które bez trudu mogły uchodzić za moskwi-

czan, londyńczyków, nowojorczyków, berlińczyków.

Nie mniejsza rzeka ludzi płynęła do Izraela z krajów arabskich: przyjeżdżali z Egiptu, Libii, Syrii, Algierii, Jemenu i, rzecz jasna, z Iraku oraz Iranu. Nikt nie był w stanie stwierdzić z całą pewnością, na ile lojalne wobec Izraela są te rodziny, faktem jest, że część z nich z czasem wyemigrowała. Tymczasem Izrael nie miał nigdy trudności z rekrutacją bardzo dobrych szpiegów do pracy wywiadowczej w niemal każdym kraju Środkowego Wschodu i Europy, bo mógł przebierać w ludziach, którzy byli kiedyś obywatelami tych państw.

Ale każdy kij ma dwa końce. W tej ogromnej rzeszy repatriantów, jaka napłynęła do Izraela od 1948 do, powiedzmy, 1968 roku, znajdowały się osoby mające odmienne cele, pracujące dla

innych rządów, rządów, które być może uznały, że dobrze będzie mieć swoich lijdzi już „zainstalowanych” w siłach zbrojnych nowego narodu na wypadek, gdyby ten pewnego dnia stał się ich wrogiem. Nie uważasz tego, co mówię, za zbyt naciągane?

–Bynajmniej, admirale. To ma sens.

–Tak więc, chociaż uważam, że komandor Ben Adnam był prawdopodobnie Izraelczykiem, to dopuszczam również możliwość, że mógł nim nie być, zwłaszcza że szkołę kończył w Anglii. Silny, dobrze wykształcony osiemnastolatek po renomowanej angielskiej szkole... z rzekomo izraelskimi rodzicami... bardzo łatwo ułożyć sobie takiemu życie w Ziemi Świętej. Nie twierdzę, że był zaraz Irańczykiem czy Irakijczykiem, ale to również niewykluczone.

–Niewykluczone... – powiedział z namysłem Bill. – Na obecnym etapie powinienem być otwarty na wszelkie ewentualności.

Zakładać, że rzeczywiście istnieje człowiek, który to zrobił, zakładać, że być może nie był on Izraelczykiem i że mógł pracować dla kogoś innego.

–Właśnie. Współcześni teoretycy nazwaliby to myśleniem rozgałęzionym. Dla mnie jest to logiczne rozumowanie z elementami zdrowego rozsądku.

Bill widział już po drugiej stronie jeziora cypel, gdzie między dwoma wielkimi fiordami jezior Loch Goil i Loch Long urywa się Agryll Forest. Oddalili się od brzegu, wspięli na szczyt wzgórza i zjechali do miasteczka Garelochhead.

–Do Faslane mamy stąd prosto jak strzełił – powiedział admirał i Bill Baldrige znowu zapatrzył się w zimne, ciemne wody szkockiego jeziora.›

Uzbrojeni wartownicy, choć mieli do czynienia z najlepszym podwodniakiem w historii Royal Navy, nie wyzbyli się formalizmu. Po sprawdzeniu przepustek przekazali je komandorowi porucznikowi z odznaką podwodniaka na lewej piersi.

Ten pokazał admirałowi MacLeanowi, gdzie zaparkować rangę rovera, i spytał go, czy jest gotowy wejść ze swoim gościem na pokład.

–Tak, jesteśmy gotowi – odparł admirał i zwracając się do Billa wyjaśnił: – Chciałem ci tu pokazać parę miejsc, w których wprowadzałem twojego człowieka w arkana dowodzenia łodzią podwodną. Ale tak się szczęśliwie składa, że dziś rano wychodzi w morze jedna z jednostek szkoleniowych. Rejs potrwa, co prawda, miesiąc, ale nas w okolicach wyspy Arran zabierze z pokładu helikopter. Około czwartej będziemy z powrotem.

Ruszyli do pirsu, przy którym cumowała stumetrowa, 5000-to-nowa łódź podwodna HMS „Thermopylae”. W głębi tego groźnego» narzędzia podwodnej walki spoczywała bateria nowiutkich pocisków Tomahawk o zasięgu dwóch tysięcy pięciuset mil, przeznaczonych do rażenia celów na lądzie. Przeciwwagę dla nich stanowiły przechowywane w sąsiedztwie dziobowych wyrzutni, kierowane przewodowo torpedy Marconi Spearfish, z których każda ma zasięg siedemnastu mil morskich i mknąc z prędkością pięćdziesięciu węzłów potrafi przetrącić kręgosłup każdemu nieprzyjacielskiemu okrętowi wojennemu.

Wstępującemu po trapie Billowi towarzyszył tradycyjny, ceremonialny gwizd świstawki bosmańskiej. Ku jego zaskoczeniu, admirałowi tego honoru nie oddano. Kapitan zasalutował i zej-

ściówką sprowadził gości na dół. Wąskimi, przyprawiającymi o klaustrofobię korytarzykami o wyłożonych laminatem ścianach dotarli do mesy oficerskiej, gdzie na swoje pierwsze wyjście w morze czekało sześciu kursantów Magła. Zastanawiające, że nazwa „Magiel” funkcjonowała nadal, pomimo że dawny Kurs Peryskopowy przemianowano teraz na Kwalifikacyjny Kurs Dowódców. Folklor zdecydował, że kończący go dowódcy nadal nazywani byli absolwentami Magła.

Komandor Rob Garside, Nauczyciel rocznika 2002, przywitał admirała z całą kurtuazją należną człowiekowi, pod którego okiem sam odbywał przed trzynastoma laty szkolenie.

–Czołem, Rob – powiedział admirał. – Przedstawiam ci amerykańskiego oficera, który będzie dzisiaj naszym gościem. Poznajcie się, panowie. Komandor porucznik Bill Baldrige z Kansas via Pentagon, jeśli się nie mylę. Komandor Rob Garside.

–To zaszczyt gościć panów na pokładzie. – Nauczyciel uśmiechnął się i spoglądając na Billa dorzucił: – Przekona się pan, że nie jestem aż taką piłą, jaką w latach osiemdziesiątych był pański gospodarz.

–Skromność przez niego przemawia. Rob to jeden z moich najlepszych kursantów – powiedział admirał MacLean, poklepując byłego ucznia po ramieniu. – Może napilibyśmy się kawy, zanim nie wyprowadzą tej łajby na otwarte wody?

–Nie ma na to czasu, sir. Chyba że nie chcecie obserwować z mostka przejścia przez Gareloch.

–Racja. Chodź, Bill, pokażę ci drogę.

–Zezwala pan na obecność admirała i jego gościa na mostku, sir? – spytał kapitan.

–Tak, zezwalam.

–No, Bill, idziemy na górę.

Dwie minuty później łódź podwodna odbijała już od pirsu. Widok na jezioro i okolice roztaczający się ze szczytu kiosku zapierał dech w piersiach do tego stopnia, że przez kilka minut Baldrige mało co się odzywał. Wielka góra przesuwaną się po prawej, mgła otulająca jeszcze oba brzegi, porośnięte wrzosami zbocza wzgórz Glen Fruin po lewej – podziwiając tę malowniczą scenerię łatwo było zapomnieć o prawdziwym celu tej misji.

Był typowy lipcowy poranek. HMS „Thermopylae” sunął cicho środkiem jeziora z szybkością ośmiu węzłów w kierunku cieśniny Rhu. Na wschodnie stoki Kociego Łba nie padał ani jeden

promyczek słońca. Niebo było zachmurzone. Zbierało się na deszcz.

–Czy jest tu wystarczająco głęboko, żeby płynąć na głębokości peryskopowej? – spytał Bill.

–Owszem, jest – odparł admirał. – Ale już tego nie praktykujemy, a już na pewno nie łodzią o napędzie atomowym. Uznaliśmy to za niepotrzebne ryzyko... Gdyby coś poszło nie tak, nikt by nas nie pogłaskał za utopienie w szkockim jeziorze reaktora jądrowego, który pozostanie aktywny jeszcze przez dobre sto lat.

–Rozumiem. Czy coś kiedyś poszło tu nie tak?

–Od dawna nic takiego się nie zdarzyło. Ostatni wypadek miał miejsce podczas pierwszej wojny światowej, kiedy w starej łodzi podwodnej klasy K ktoś zostawił przez nieuwagę otwartą klapę kominową. Woda wdarła się do kotłowni i jednostką z trzydziestoma dwoma członkami załogi poszła na dno. Leżą wszyscy na cmentarzu w Faslane.

–To jeden z wielu mankamentów tych przeklętych bali: drobny błąd i do widzenia – powiedział cicho Bill. – Chyba dlatego wszyscy są skłonni uznawać wyższość dowódcy łodzi podwodnej nad każdym innym.

–Jak to, skłonni? – spytał komandor Garside. – To niepodważalny fakt.

Roześmieli się wszyscy, zapominając na chwilę o napięciu, w jakie wprawiała ich świadomość powagi misji. Wychodzili na miesiąc w morze omywające od zachodu Wyspy Brytyjskie. Pięćset mil od brzegu, za Grzbietem Rockall, daleko od szelfu kontynentalnego, gdzie głębokość Atlantyku wynosi dwie mile, zanurzają się na trzysta metrów.

Rejon ten, patrolowany przez najpotężniejsze atomowe łodzie podwodne świata zachodniego, w marynarskim żargonie nazywany jest przesmykiem Giuk. Przez to wąskie gardło tworzone przez linie brzegowe Grenlandii, Islandii i Zjednoczonego Królestwa muszą przechodzić wszystkie rosyjskie łodzie podwodne stacjonujące w głównych bazach rozlokowanych na wybrzeżu murmańskim, zamykającym od północy Morze Barentsa. Tędy wiodła dawniej sowiecka droga do transatlantyckich szlaków handlowych, gdyby doszło do wojny.

Obecnie o wszystkich, którzy wpływają do przesmyku GIUK, Amerykanie albo Brytyjczycy wiedzą natychmiast, kim są, ilu ich

jest i gdzie się kierują. Każda raz wykryta rosyjska łódź podwodna nie na długo pozostanie bez opieki.

To właśnie strategiczne znaczenie tych głębokich wód czyni tak ważnymi i tak efektywnymi bazy łodzi podwodnych usytuowane na szkockich jeziorach. Na Morzu Czarnym Rosjan uwięzić łatwo, bo Bosfor – jedyną drogę wyjścia z niego – kontrolują Turcy. Drugim takim „wąskim gardłem” jest Cieśnina Gibraltarska.

Z przesmykiem GIUK sprawa nie wygląda tak prosto i na scenę tego potencjalnego teatru wojny podwodnej zarówno Pentagon, jak i Royal Navy posyłają tradycyjnie swoich najlepszych ludzi i najlepszy sprzęt.

Admirał MacLean gawędził z Billem o ćwiczeniach, jakie przewidziano dla kursantów Magla, kiedy „Thermopylae” wyjdzie z cieśniny Rhu. Przez piętnaście mil płynęli w wynurzeniu, potem, trzy mile na południe od Cumbraes, kapitan zanurzył łódź na głębokość peryskopową.

Szli dalej kursem południowo-zachodnim w kierunku południowych wybrzeży wyspy Arran, leżącej na wschód od półwyspu Kintyre, po jego zawietrznej, a admirał wyjaśniał Billowi wszystkie podejmowane na pokładzie czynności.

Minąwszy Arran wynurzyli się znowu i admirał ponownie zabrał Billa na mostek. Szli teraz spokojnymi wodami niecodziennie nasłonecznionego, piętnastomilowego kanału w kierunku Campbeltown, skąd miał ich zabrać i przetransportować z powrotem do Faslane śmigłowiec marynarki wojennej.

Przez całą drogę do Kintyre Bill towarzyszył myślami kursantom Magla, którzy w pocie czoła sporządzali pod pokładem notatki, robili wykresy, wsłuchiwali się w sygnały sonarów, konsultowali z kompilatorem obrazu powierzchni, rozmawiali z oficerem wachtowym, konferowali z oficerem uzbrojenia, omawiając systemy rządzące pociskami i torpedami.

To właśnie na tym akwenie komandor Benjamin Adnam uczył się wyspecjalizowanych technik współczesnej wojny podwodnej. Bill nie miał już cienia wątpliwości: każdy potencjalny terrorysta tylko tutaj mógł opanować wszelkie niuansy tego fachu. Domyślał się również, że jeśli uda mu się udowodnić winę Adnamowi, Royal Navy nigdy już nie przyjmie na kurs podwodniaka ze Środkowego Wschodu.

Usłyszeli odległy warkot śmigłowca marynarki wojennej nadlatującego nad cieśniną Kilbrennan, która oddziela półwysep Kin-

tyre od wyspy Arran. Maszyna zawisa kilka metrów nad pokładem dziobowym, admirała i Baldrige'a bezceremonialnie wciągnięto windą do kabiny, i w chwilę potem lecieli już w kierunku Faslane.

Na lądowisku czekała na Billa pilna wiadomość: „Zadzwoń do admirała Arnolda Morgana na jego prywatny numer w Fort Mea-de”. Porucznik marynarki zaprowadził ich do małego gabinetu, w którym stał aparat telefoniczny podłączony do prywatnej linii omijającej główną centralę bazy.

–Uzyska pan stąd bezpośrednie połączenie z Pentagonem, linia jest bezpieczna. Tam już pana przełączą na Fort Meade.

Bill wybrał numer. Po kilku sekundach usłyszał w słuchawce wiecznie zirytowany pomruk admirała Morgana.

–Morgan... słucham.

Bill zachichotał. 1. •

–Melduje się komandor porucznik Baldrige.

–Cześć, Bill – ucieszył się admirał. – Dobrze cię słyszeć, co u ciebie?

–Jak mnie pan znalazł?

–Poprzez starego kumpla. Admirała Elliotta. Twojego nowego koleś, jeśli się nie mylę.

–Tak. Naprawdę sympatyczny gość. Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

–Słyszę, że podobno coś masz.

–A mam, sir. Taki pewien swego chyba jeszcze nie byłem. Jeśli nasz lotniskowiec rzeczywiście został przez kogoś zaatakowany, to mam faceta, który to zrobił.

–Co to za jeden?

–Izraelski oficer. Komandor Benjamin Adnam. A-D-N-A-M. Najlepszy kursant, jaki ukończył tutejszą szkołę dowódców łodzi podwodnych. Spędziłem cały dzień z jego Nauczycielem, admirałem sir Iainem MacLeanem. Twierdzi, że najwyżej pięć osób na świecie potrafiłoby przepłynąć w zanurzeniu przez Bosfor. On sam, Elliott... niewykluczone, że jeszcze dwóch ludzi... i Adnam.

–Cholera! To pewne? Gdzie ten sukinsyn teraz jest?

–Trudno powiedzieć. Ale przypuszczam, że albo w bazie izraelskiej marynarki wojennej w Hajfie, albo na którejś z ich łodzi podwodnych. Był tutaj przed niespełna rokiem, szkolił się na łodzi podwodnej klasy Upholder, którą nabyła właśnie jego marynarka.

–Wykluczone, żeby był Arabem, co?

tyre od wyspy Arran. Maszyna zawisa kilka metrów nad pokładem dziobowym, admirała i Baldrige'a bezceremonialnie wciągnięto windą do kabiny, i w chwilę potem lecieli już w kierunku Faslane.

Na lądowisku czekała na Billa pilna wiadomość: „Zadzwoń do admirała Arnolda Morgana na jego prywatny numer w Fort Mea-de”. Porucznik marynarki zaprowadził ich do małego gabinetu, w którym stał aparat telefoniczny podłączony do prywatnej linii omijającej główną centralę bazy.

–Uzyska pan stąd bezpośrednie połączenie z Pentagonem, linia jest bezpieczna. Tam już pana przełączą na Fort Meade.

Bill wybrał numer. Po kilku sekundach usłyszał w słuchawce wiecznie zirytowany pomruk admirała Morgana.

–Morgan... słucham.

Bill zachichotał. I,

–Melduje się komandor porucznik Baldrige.

–Cześć, Bill – ucieszył się admirał. – Dobrze cię słyszeć, co u ciebie?

–Jak mnie pan znalazł?

–Poprzez starego kumpla. Admirała Elliotta. Twojego nowego koleś, jeśli się nie mylę.

–Tak. Naprawdę sympatyczny gość. Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

–Słyszę, że podobno coś masz.

–A mam, sir. Taki pewien swego chyba jeszcze nie byłem. Jeśli nasz lotniskowiec rzeczywiście został przez kogoś zaatakowany, to mam faceta, który to zrobił.

–Co to za jeden?

–Izraelski oficer. Komandor Benjamin Adnam. A-D-N-A-M. Najlepszy kursant, jaki ukończył tutejszą szkołę dowódców łodzi podwodnych. Spędziłem cały dzień z jego Nauczycielem, admirałem sir Iainem MacLeanem. Twierdzi, że najwyżej pięć osób na świecie potrafiłoby przepłynąć w zanurzeniu przez Bosfor. On sam, Elliott... niewykluczone, że jeszcze dwóch

ludzi... i Adnam.

–Cholera! To pewne? Gdzie ten sukinsyn teraz jest?

–Trudno powiedzieć. Ale przypuszczam, że albo w bazie izraelskiej marynarki wojennej w Hajfie, albo na którejś z ich łodzi podwodnych. Był tutaj przed niespełna rokiem, szkolił się na łodzi podwodnej klasy Upholder, którą nabyła właśnie jego marynarka.

–Wykluczone, żeby był Arabem, co?

tyre od wyspy Arran. Maszyna zawisa kilka metrów nad pokładem dziobowym, admirała i Baldrige'a bezceremonialnie wciągnięto windą do kabiny, i w chwilę potem lecieli już w kierunku Faslane.

Na lądowisku czekała na Billa pilna wiadomość: „Zadzwoń do admirała Arnolda Morgana na jego prywatny numer w Fort Mea-de”. Porucznik marynarki zaprowadził ich do małego gabinetu, w którym stał aparat telefoniczny podłączony do prywatnej linii omijającej główną centralę bazy.

–Uzyska pan stąd bezpośrednie połączenie z Pentagonem, linia jest bezpieczna. Tam już pana przełączą na Fort Meade.

Bill wybrał numer. Po kilku sekundach usłyszał w słuchawce wiecznie zirytowany pomruk admirała Morgana.

–Morgan... słucham.

Bill zachichotał. 4,

–Melduje się komandor porucznik Baldrige.

–Cześć, Bill – ucieszył się admirał. – Dobrze cię słyszeć, co u ciebie?

–Jak mnie pan znalazł?

–Poprzez starego kumpla. Admirała Elliotta. Twojego nowego koleś, jeśli się nie mylę.

–Tak. Naprawdę sympatyczny gość. Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

–Słyszę, że podobno coś masz.

–A mam, sir. Taki pewien swego chyba jeszcze nie byłem. Jeśli nasz lotniskowiec rzeczywiście został przez kogoś zaatakowany, to mam faceta, który to zrobił.

–Co to za jeden?

–Izraelski oficer. Komandor Benjamin Adnam. A-D-N-A-M. Najlepszy kursant, jaki ukończył tutejszą szkołę dowódców łodzi podwodnych. Spędziłem cały dzień z jego Nauczycielem, admira- ' l'em sir Iainem MacLeanem. Twierdzi, że najwyżej pięć osób na świecie potrafiłoby przepłynąć w zanurzeniu przez Bosfor. On sam, Elliott... niewykluczone, że jeszcze dwóch ludzi... i Adnam.

–Cholera! To pewne? Gdzie ten sukinsyn teraz jest?

–Trudno powiedzieć. Ale przypuszczam, że albo w bazie izraelskiej marynarki wojennej w Hajfie, albo na którejś z ich łodzi podwodnych. Był tutaj przed niespełna rokiem, szkolił się na łodzi podwodnej klasy Upholder, którą nabyła właśnie jego marynarka.

–Wykluczone, żeby był Arabem, co?

227

–Wręcz przeciwnie. Sądzę, że to wcale niewykluczone. Ma w życiorysie kilka podejrzanych momentów. Rozmawiałem z jego bliską przyjaciółką. Od miesiący się do niej nie odzywał, co podobno dotąd mu się nie zdarzało.

–Masz wszystko, co ci potrzeba?

–Tak, jeszcze dziś wieczorem albo jutro z samego rana wsiadam w samolot powrotny. Mam panu wiele do opowiedzenia.

–Daj mi znać, kiedy lądujesz w Waszyngtonie. Wyślę po ciebie kogoś. Przywiezie cię prosto do Fort Meade. A tak między nami,

* prezydent jest w nastroju do bitki. Nie może się doczekać, kiedy da wreszcie w zęby czyjejs marynarce wojennej. Wracaj szybko do domu. – Admirał, jak to miał w zwyczaju, rozłączył się bez uprzedzenia. Nigdy nie zawracał sobie głowy pożegnálnymi formułkami. Nie miał na to czasu. Scott Dunsmore opowiadał, że stary Morgan wyciął kiedyś taki numer samemu prezydentowi. Nie obecnemu, poprzedniemu.

Bill zerknął na zegarek. Była siedemnasta czterdzieści pięć. Jeśli chce zdążyć na porannego concorde'a do Waszyngtonu, musi dziś wieczorem wrócić do Londynu. Wyszedł z gabinetu i wyjaśnił sytuację admirałowi. Ten zadzwonił od razu do kogoś z North-wood. Potem porozmawiał z kimś z bazy i na koniec oświadczył:

–Dobra, Bill, załatwione. Jedziemy teraz do mnie. O dwudziestej helikopter zabierze cię spod domu i odstawi do Glasgow. O dwudziestej pierwszej trzydzieści masz stamtąd lot do Londynu. Bilet czeka na ciebie na stanowisku British Airways. Na twoim miejscu zjadłbym na lotnisku kolację i przespał się w klubie concorde'a. Bardzo tam wygodnie, a pasażerów do Waszyngtonu

wpuszczają na pokład o siódmej rano.

Droga powrotna naokoło jeziora do Inveraray minęła szybko. Bill wyskoczył z range rovera, wpadł do domu, wbiegł po schodach na górę, spakował torbę, wykapał się, ogolił i zmieniający mundur na ubranie cywilne, zszedł na dół. Admirał rozmawiał przez telefon, lady MacLean wyszła gdzieś z dziećmi i w holu czekała na niego tylko Laura.

–Szkoda, że już wyjeżdżasz – powiedziała cicho. – Myślałam, że zjemy razem kolację i pogawędzimy.

–Obowiązki wzywają – bąknął Bill.

228

–Gdzie cię szukać, gdyby Ben się odezwał?

Bill zapisał jej na kartce swój prywatny numer telefonu z automatyczną sekretarką w Suitland w stanie Maryland, gdzie miał apartament, oraz numer do biura wywiadu marynarki wojennej. Po chwili zastanowienia dopisał jeszcze numer telefonu na ranchu w Kansas. Numer Raya, nie matki, tak na wszelki wypadek. Zanotował jej również oba swoje prywatne adresy.

–No, teraz ci chyba nie zginę – powiedział.

Laura, rzuciwszy okiem na to morze informacji zajmujących sporą część arkusza papieru listowego z nadrukiem Inveraray Court, parsknęła śmiechem. I w tym momencie usłyszeli warkot śmigłowca Royal Navy siadającego na trawniku przed domem. Wiedzieli oboje, że czasu dla siebie mają już niewiele, bo za pięć sekund admirał przerwie rozmowę telefoniczną.v>

–Szkoda, że nie możesz zostać – powiedziała bezradnie Laura.

–Ja także żałuję – odparł Bill. – Ale nie mogę. Nie masz nic przeciwko temu, żebym się jeszcze z tobą w przyszłości skontaktował?

Laura bez słowa wcisnęła mu w dłoń karteczkę. Był na niej numer telefonu i kilka pór dnia, w jakich może do niej dzwonić.

Z gabinetu wyszedł admirał MacLean.

–No, Bill, mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy. Chodź...

Ryk silników śmigłowca zagłuszył resztę. Laura wyszła za nimi przed dom. Zmierzając w stronę czekającej maszyny, Bill przygarbił się instynktownie. Jeden z pilotów zeskokczył na ziemię, pomógł mu wsiąść i przypiął pasami do fotela. Bill zatrasnął za sobą drzwi, pokazał pilotowi uniesiony kciuk i ten, zupełnie jakby prowadził ewakuację ze strefy działań wojennych, natychmiast wystartował.

Bill spojrział przez okienko na dwie machające rękami figurki na trawniku. Admirał był dla niego bardzo miły i wykazywał zadziwiającą orientację w sytuacji. Dopiero teraz dotarło do niego, że nie podziękował mu, jak należy. Uśmiechnął się i też pomachał z wysokości kilkunastu metrów, już znad połyskliwych wód szkockiego jeziora. I naraz zrobiło mu się strasznie głupio, bo uświadomił sobie, że nie macha do admirała sir Iaina MacLeana.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Środa, 17 lipca, 10.30

Admirał Morgan przechadzał się tam i z powrotem po swoim gabinecie w sercu Fort Meade. O jego rozdrażnieniu świadczyło krótkie, baryłkowate, rozjarzone do czerwoności cygaro, które sterczało mu spomiędzy zębów niczym czterdziestomilimetrowy pocisk do okrętowego działka. Była dopiero dziesiąta trzydzieści rano, a admirał nie palił nigdy przed zachodem słońca, chyba że coś go nie na żarty zirytowało.

Przed nim prężył się na baczność młody porucznik, któremu powierzono stosunkowo proste zadanie skontaktowania się z kapitanem Carlem Lessardem z dowództwa izraelskiej marynarki wojennej w Haifip i zorientowania się, czy istnieje możliwość porozmawiania z komandorem Benjaminem Adnamem z izraelskich sił podwodnych.

Porucznik wrócił przed chwilą z informacją, że prośbę admirała załatwiono odmownie.

–Rozmawialiście z samym kapitanem Lessardem?

–Tak jest, panie admirale.

–Powiedzieliście mu, że dzwonicie z mojego polecenia?

–Tak jest, panie admirale.

–Powiedzieliście mu, że to tylko formalność, nic poważnego?

–Tak jest, panie admirale.

–I co on na to?

–Powiedział, że raczej nie może pomóc. Ale skontaktuje mnie z kimś, kto może będzie mógł.

–Co to znaczy, nie może pomóc? Mają na chodzie tylko cztery łodzie podwodne. Musi wiedzieć, gdzie są wszyscy podlegli mu dowódcy. Co on, u diabła, chrzani?

–Nie wiem, panie admirale.

230

–Wiem, że nie wiecie! Nie strzępcie mi tu po próżnicy języka.

–Dobrze, panie admirale... znaczy... tak jest, panie admirale.

–I z kim was skontaktował?

–Z jakimś oficerem z działu personalnego.

–Z czego?!

–Z działu personalnego. A ten powiedział mi, że nie wie, gdzie są dowódcy łodzi podwodnych, bo za nimi nie chodzi.

–I co dalej?

–No więc potem zadzwoniłem do centrum operacyjnego sił podwodnych. A tam mi powiedzieli, że nie wolno im udzielać informacji o aktualnym miejscu pobytu swoich dowódców.

–Jezus, Maria! Przecież my utrzymujemy tę ich zakichaną marynarkę!

–Nic pan nie mówił, panie admirale, że mam na nich z góry. Kazał mi pan tylko porozmawiać z kapitanem Lessardem.

–Wiem, co kazałem, na miłość boską. Łączcie jeszcze raz z tym Lessardem. Sam z nim pogadam.

Od tamtej pory minęło trzydzieści minut. Przed trzydziestoma minutami do przesady uprzejmy izraelski sekretarz, który odebrał telefon, powiedział, że bardzo mu przykro, ale kapitan Lessard wszedł właśnie na pokład okrętu wojennego i nie będzie osiągalny przez co najmniej trzy najbliższe tygodnie.

–Jakiś skubaniec łże tu w żywe oczy – zżymał się Morgan. A żar na czubku cygara pałał namiastką furii.

–Dobra, poruczniku, nie pozostaje mi chyba nic innego, jak przejść do wariantu B.

–Wolno zapytać, co to takiego, panie admirale?

–A pewnie, że wolno. Nadal trzymam się wariantu A.

Morgan zachichotał. Ale jego mina nadal wyrażała oburzenie.

Postanowił zostawić sprawę jak jest do przybycia Billa Baldrige'a. Czyli na jakąś godzinę.

Odprawił porucznika, pospacerował jeszcze trochę i zdecydował się jednak zatelefonować do Shin Bet w Tel Awiwie, izraelskiej tajnej wewnętrznej służby wywiadowczej, odpowiedniczki amerykańskiego FBI i brytyjskiego MI5. Od czasu polecenia na dyrektora tej organizacji byłego szefa marynarki wojennej, kontradmirała Ami Ayalona, co miało miejsce przed trzema laty, Morgan cieszył się tam sporymi wpływami.

Znali się od dawna i ten były izraelski komandos nigdy nie odmówił Amerykanom przysługi. Arnold Morgan wiedział, że nie

zastanie Amiego w biurze, ale poprosił jego adiutanta o połączenie z kimś lepiej od kapitana Lessarda zorientowanym.

Rozmowa, jaką Morgan przeprowadził następnie z wysokim oficerem izraelskiego wywiadu, była krótka, rzeczowa i zaowocowała obietnicą załatwienia sprawy przez waszyngtońską ambasadę. Admirał nie miał już wątpliwości, że coś jest na rzeczy. Zadzwoił z bezpośredniego aparatu do centrali CLA w Langley i po chwili rozmawiał z zaskoczonym i radym z tego telefonu Jeffem Zepedą.

Zepeda zgodził się skontaktować z ambasadą Izraela i znaleźć tam kogoś, kto porozmawiałby z admirałem otwarcie. Kilka minut zajęło mu poinformowanie admirała, że jeśli chodzi o Iran, to prowadzone przezeń dyskretne dochodzenie jak na razie kompletnie nic nie wykazało, za to coś się ruszyło w sprawie tropu irackiego. Niech admirał czeka na telefon od któregoś z przedstawicieli Mossadu w Waszyngtonie.

Admirał Morgan spojrział na zegarek. Wolałby nie zaczynać niczego przed przybyciem Baldridge'a. Spacerował dalej i kiedy rozważał ewentualność zapalenia kolejnego cygara, zadzwonił telefon.

–Dzień dobry, admirale Morgan, mówi generał Gavron z biura attache wojskowego ambasady Izraela. Tel Awiw i wasza CIA sugerują mi, że dobrze by było, gdybyśmy się spotkali...

–No cóż, generale, jestem zaskoczony trzęsieniem ziemi, jakie wywołała rfoja najzwyklejsza pod słońcem prośba.

–Pozwolę sobie zauważyć, panie admirale, że prośby osób z pańską pozycją nie należą zazwyczaj do najzwyklejszych pod słońcem.

–A osoby z pańską pozycją, generale, raczej nie tracą czasu na zajmowanie się tymi najzwyklejszymi.

–To może powiedzmy sobie od razu, że przedmiot naszego wspólnego zainteresowania do najzwyklejszych nie należy.

–To się rozumie samo przez się, generale.

–Rozmawiałem przed mniej więcej godziną z kapitanem Lessardem...

–Jest na okręcie wojennym – wpadł mu w słowo admirał. Z jego głosu przebijał sceptycyzm.

–Naturalnie. Tam obecnie przebywa. Dowiedziałem się od niego, że w kontaktach osobistych jest pan człowiekiem bardzo otwartym i przyzwoitym.

–Czy możemy się spotkać jeszcze dziś wieczorem? Powiedzmy o dziewiętnastej?

–Proszę tylko powiedzieć gdzie.

Admirał Morgan wyjaśnił generałowi, jak trafić do restauracyjki w Aleksandrii, i poprosił, żeby biorąc przykład z niego przybył na spotkanie sam.

W trakcie tej rozmowy odechciało mu się drugiego cygara. Usiadł w fotelu, żeby zaczekać na Billa Baldrige'a. Komandor porucznik pojawił się w drzwiach punktualnie. Był nadal w cywilnym ubraniu.

–No, jesteś, Bill. Zaraz każę podać kawę. – Wcisnął przycisk na klawiaturze telefonu i zamówiwszy kawę, podjął: – Porozmawiamy sobie do czternastej, a potem pojedziemy do admirała Dunsmore'a do Pentagonu. Rzuć na to okiem, zanim zaczniemy... -Wskazał na stół w głębi gabinetu, na którym rozłożono egzemplarze «Washington Post» z ostatniego tygodnia. W gazetach opisywano ze szczegółami wszystko, co wiadomo było oficjalnie o katastrofie „Thomasa Jeffersona”. Bill, który urodził się trzy lata po zamachu na prezydenta Kennedy'ego, nie widział jeszcze tak wyczerpująco wyeksploatowanego przez prasę tematu.

Od wypadku upłynęło już dziewięć dni, a zatonięcie lotniskowca nadal nie schodziło z pierwszych stron. Bill przebiegł szybko wzrokiem nagłówki i z zaskoczeniem stwierdził, że żaden nie porusza najistotniejszej kwestii. W ani jednym artykule nie sugerowano, że do wyparowania wielkiego okrętu wojennego w atomowej kuli ognistej mogła przyłożyć rękę jakaś wroga siła.

Wypadek, co było do przewidzenia, ścigał na marynarkę gromy. Dziennikarze z pism ilustrowanych uwijali się po całym kraju jak w ukropie, zbierając materiały do reportaży na ceremoniach poświęconych pamięci poległych. Wyludzali fotografie od otępiałych, pogrążonych w żałobie rodzin, prowadzili wywiady z matkami, żonami i dziećmi, których życie już na zawsze naznaczone zostanie poczuciem straty.

Prasa szalała. Atakowała Pentagon, szefów służb, prezydenta i politykę wyposażania amerykańskich okrętów wojennych w broń jądrową.

–Patrzysz na wypociny tego cymbała, domagającego się usunięcia z pokładów okrętów broni, która gwarantuje naszemu krajowi bezpieczeństwo? – wywarczał Morgan, widząc, że Bill za-

trzymał się dłużej nad obszernym artykułem zamieszczonym wewnątrz jednego z numerów gazety.

–Tak.

–Wierzyć się nie chce, co te sukinkoty wypisują! Chcą, żebyśmy wychodzili w morze bezbronni. Powinni zamknąć ten szmatławiec.

–Tak – powiedział Bill. – Tu się z panem zgodzę. Ale prezydent nie da posłuchu tym bredniom. Chce pan usłyszeć mój raport?

–Wal.

Podczas lotu z Heathrow komandor porucznik Baldrige zapisał połowę notesu. Teraz zaczął od szczegółowego nakreślenia sylwetki komandora Bena Adnama oraz przybliżenia admirałowi Morganowi przebiegu jego szkolenia w fasańskim Maglu. Następnie streścił swoje długie rozmowy z admirałem sir Iainem 'MacLeanem, przytaczając między innymi wykład admirała objaśniający, dlaczego tak niewielu ludzi na świecie potrafiłoby pomyślnie pokonać Bosfor w zanurzeniu.

Powtórzył też opinię admirała, że komandor Adnam byłby w stanie tego dokonać. Admirał MacLean nie miał co do tego większych wątpliwości.

Morgan zachnął się słysząc, że do listy podejrzanych trzeba dopisać Izrael. Bill wyjaśnił, że państwo to, przygotowując jakikolwiek akt terroru wymierzony przeciwko USA, czyniłoby to z przekonaniem, że odpowiedzialność spadnie na Iran albo Irak. Powtórzył też Morganowi pogląd admirała MacLeana, że ilekroć na Środkowym Wschodzie dzieje się coś niezwykłego, trzeba wziąć pod lupę izraelskich prawicowych ekstremistów. Przytoczył przemawiające za tym argumenty MacLeana, jego charakterystyki niektórych wysokiej rangi oficerów Mossadu oraz konserwatywnych kół w izraelskim rządzie.

Admirał Morgan, dla którego sporo z tego, co mówił Baldrige, nie było nowiną, słuchał w milczeniu. Raz tylko przerwał Billowi, żeby go pochwalić.

–Odwaliłeś kawał wspaniałej roboty, Bill. Rzetelne informacje. Rzetelny wywiad. Rzetelne wnioski – powiedział z uznaniem. – Wyniosłeś chyba ze swojej misji solidną lekcję współczesnej historii. Niektórzy z tych weteranów Royal Navy robią na człowieku cholerne wrażenie, nie uważasz? Uwielbiam ich. Nigdy nie lekceważ wysokiego rangą oficera brytyjskiej marynarki, sugerując się jego zabawnym sposobem wysławiania się. Oni myślą całkiem logicznie. Przepraszam, że ci przerwałem... mów dalej.

Bill zdecydował się teraz przedstawić admirałowi swoją hipotezę wysnutą z tego, czego dowiedział się od Laury. Otóż jego zdaniem zakonspirowanym Arabem Ben raczej nie był, ale mógł być muzułmaninem. Nie wyjawiając źródła swoich informacji, opowiedział admirałowi o wizycie w muzułmańskim meczecie w Egipcie i o sentymencie komandora Adnama do Kairu; o jego sympatii do sprawy arabskiej i tolerancji na popełniane w jej imię niegodziwości. Opowiedział mu o czujności Adnama, jego opanowaniu, nowym samochodzie i comiesięcznych wyprawach do Londynu.

–Ładna była? – przerwał mu znowu admirał Morgan.

–Kto?

–Dama, od której to wszystko wiesz.

Bill uśmiechnął się, speszony nieco przenikliwością szefa wywiadu.

–Owszem – odparł. – To Laura MacLean, córką admirała.

–I przyjaciółka Adnama?

–Tak, z okresu, kiedy szkolił się w Faslane.

–Jest teraz po naszej stronie?

–Tak.

–Czy według niej Adnam byłby zdolny do popełnienia tak niewiarygodnego aktu przemocy?

–Tak. Byłby. Ale ona nie ujęła tego w tak kategoryczny sposób jak przed chwilą pan. Opisała mi go jako skończonego służbistę, człowieka, który spełniłby swój obowiązek na nic się nie oglądając.

–Cóż, jeśli taka jest wyważona opinia córki Iaina MacLeana, to lepiej potraktujmy ją z należytą powagą, bo zaraz powiem ci o tym szkockim oficerze coś, o czym on z pewnością ci nie powiedział.

–Słucham.

–Pamiętasz zapewne, jak w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim Royal Navy toczyła z Argentyną wojnę o Falklandy?

–Tak.

–Co z tego konfliktu najbardziej utkwiło ci w pamięci?

–Noc, kiedy zatopili ten wielki argentyński krążownik z czterystoma ludźmi na pokładzie... jak on się nazywał? „General Bel-grano”?

–Właśnie, Bill. To zmieniło losy tej wojny. Odstraszyło na dobre argentyńską flotę. Iain MacLean był wtedy oficerem sonaru na łodzi podwodnej i pomagał komandorowi Wreford-Brownowi skradać się przez dwa dni za tym krążownikiem, a potem rozwalić

235

go trzema starymi torpedami Mark 8. Dwie z nich trafiły; pierwsza w dziób, tuż pod linią wodną, druga w maszynownię. To był wzorcowy przykład cierpliwego tropienia ofiary zakończonego skutecznym, przemyślanym atakiem.

Jak zapewne pamiętasz, „Belgrano” towarzyszyły dwa wysłużone niszczyciele, podobnie jak sam krążownik produkcji amerykańskiej, ale szybkie i wyposażone w osiem exocetów oraz mnóstwo bomb głębinowych każdy. Po przeprowadzeniu podręcznikowego ataku Royal Navy podręcznikowo się wycofała. Nikt ich nie zwęszył.

Rozpłynęli się w południowym Atlantyku i zauważono ich dopiero w Szkocji, kiedy szli w górę rzeki Clyde, tej, znad której właśnie wracasz, z wywieszoną na kiosku płachtą z trupa czaszką i dwoma skrzyżowanymi piszczelami, co w tradycji Royal Navy oznacza uwieńczony sukcesem atak. Od tego zaczęła się chyba kariera MacLeana. Ale prawdziwą legendą stał się jako nauczyciel, a potem oficer flagowy sił podwodnych. Praktycznie od nowa napisał podręcznik zasad prowadzenia wojny podwodnej. Spotkałem się z nim kilka razy w Waszyngtonie i gdybym nie wiedział, że przeszedł w stan spoczynku, jego pierwszego podejrzewałbym o ósmego lipca!

–Jezu! Ani słowem mi nie wspomniał o tym południowym Atlantyku.

–To nie w stylu Angoli. Jeśli więc ostrzega nas taki człowiek, a choćby córka takiego człowieka, traktujmy to zatem z respektem. Nie twierdzę, że należy zaraz robić panią Laureę honorowym admirałem czy kimś w tym rodzaju. Ale nie odrzucamy możliwości, że jabłko nie padło daleko od jabłoni... czyli teraz pozostaje nam ustalić, gdzie, u diabła, jest komandor Benjamin Adnam, dobrze mówię?

–Tak. I musimy przyjrzeć się uważnie poczynaniom oraz motywom Izraela. Z tego, co na razie wiemy z całą pewnością, Adnam jest dowódcą izraelskiej łodzi podwodnej.

–Owszem, ale o ruchach izraelskich łodzi podwodnych wiemy wszystko. Podobnie jak wiemy prawie wszystko o ruchach łodzi irańskich. A Irakijczycy nie mają ani jednej.

–Chyba że któreś z tych państw posiada łódź podwodną, o której nic nam nie wiadomo – zauważył Bill. – Nieznana nam jednostkę, którą wyprowadził potajemnie z Morza Czarnego nie-

znany nam dowódca. Podejrzewamy jednak, kto mógł być tym dowódcą.

–Nie będę się z tobą spierał, Bill. Przepluczmy teraz gardła kawą, bo mam dla ciebie nowiny.

Admirał przerwał wreszcie spacer po gabinecie. Usiadł za biurkiem i zrelacjonował Billowi najważniejsze ustalenia dochodzenia, które sam przeprowadził.

–Co do tej beżpańskiej łodzi podwodnej, to mamy dwa fakty. Po pierwsze, słyszeliśmy ją chyba w Cieśninie Gibraltarskiej. Po drugie, w okolicy wysp greckich wypadł za burtę i utonął rosyjski podwodniak. Daty obu incydentów pokrywają się, z czego można wnosić, że niemal na pewno chodzi o tę samą jednostkę, a Rosjanie nie zaprzeczają, że topielec był ich podwodniakiem.

Odnoszę jednak wrażenie, że oni coś kręcą. Kiedy skontaktowałem się z nimi nazajutrz po uchwyceniu kontaktu radarowego w cieśninie, przyznali, że przed trzema tygodniami stracili na Morzu Czarnym łódź podwodną klasy Kilo i że prowadzili poszukiwania wraka. Ale kiedy spytałem, czy topielec nie był czasem członkiem załogi zaginionego okrętu, nabrali od razu wody w usta i nie chcieli powiedzieć, czy w końcu znaleźli wrak tej Kilo, czy nie. Właśnie nad tym pracuję. W piątek wraca Ranków. Chcę z nim pogadać.

Tymczasem Turcy twierdzą, że w marcu, kwietniu i maju Rosjanie nie zwracali się do nich z prośbą o wydanie zezwolenia na przeprowadzenie przez Bosfor w wynurzeniu jakiegokolwiek łodzi podwodnej. Skąd więc wziął się na greckiej plaży trup tego cholernego Rosjanina?

–No tak, z Morza Czarnego przez Dardanele na pewno go nie przyniosło – powiedział Baldrige. – To daje wiele do myślenia. A co z Izraelem, udzielą nam informacji o Adnamie?

–Sądziłem, że udzielą, Bill. Po naszej telefonicznej rozmowie próbowałem coś od nich wyciągnąć, ale kręcą jeszcze bardziej niż Rosjanie. Dziś wieczorem, po wizycie u Scotta Dunsmore'a, mam spotkanie z ich człowiekiem.

–A wyszło coś nowego w sprawie Iranu?

–Ten diabelny kraj to zwyczajna wylęgarnia intryg. Podejrzewamy, że na trzy dni przed atakiem na „Jeffersona” jedna z ich łodzi podwodnych opuściła potajemnie bazę w Bandar-e Abbas. Ale niewykluczone, że wcale nie wyszła w morze, lecz stoi w tym ich dużym doku pływającym. Na podejściach do głównego portu

marynarki wojennej jest bardzo płytko. Nie chce mi się jakoś wierzyć, że zdołaliby wyprowadzić tamtędy w wynurzeniu łódź podwodną niezauważeni przez nasze satelity zwiadowcze. Gdyby im się to jednak udało, a potem równie niepostrzeżenie wrócili i wstawili łódź do krytego doku, to są z nich bardzo sprytni, bardzo niebezpieczni goście. O wiele za sprytni jak na mój gust.

–Powiem panu, co na ten temat sądzi Iain MacLean. Według niego Irańczycy są z wielu względów naszymi głównymi podejrzanymi. Mówi, że jeśli wszystkie ich trzy Kilo stoją nadal w Bandar-e Abbas, to albo nabyli nową, która nie zawinęła jeszcze do portu, albo wyszli z Bandar-e Abbas i zaraz potem wrócili. Tak czy inaczej, jego zdaniem to oni są najbardziej prawdopodobnymi winowajcami.

–Ma rację. Mają najsilniejszy motyw, a ludzkie życie liczy się dla nich jeszcze mniej niż dla Irakijczyków. I są w posiadaniu trzech rosyjskich Kilo, o których wiemy.

Mówię ci, Bill. Prezydenta bardzo niepokoją oni sami, ta ich przeklęta flota podwodna i wzmożone ćwiczenia ich marynarki wojennej w Zatoce. W tej chwili, pod nieobecność w tamtym regionie Grupy Uderzeniowej Lotniskowca, przygotowujemy się do rozlokowania co najmniej dwudziestu czterech F-18 w Bahrajnie i pozostawienia ich tam do października, kiedy to na Morze Arabskie wpłynie następny lotniskowiec. Emir Bahrajnu to bardzo przyzwoity facet. Za tydzień spodziewamy się jego zgody.

Nie wiem, jak to widzą szef operacji morskich i prezydent, ale jeśli o mnie chodzi, to w tej chwili wszystko wskazuje na Iran i na Izrael, Irak raczej odpada. Zebrane przez ciebie informacje o Ad-namie są z pewnością bardzo ważne, ale musimy nakłonić Izraelczyków do wyjawienia nam prawdy, wydobyć ją od izraelskiego wywiadu. Wtedy będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

Rozmawiali jeszcze godzinę, a potem pojechali do Pentagonu, by zapoznać admirała Dunsmore'a z rezultatami swoich dochodzeń. Opowiedzieli mu o komandorze Benie Adnamie i admirał Morgan obiecał Dunsmore'owi, że skontaktuje się z nim natychmiast po wieczornym spotkaniu z izraelskim generałem. Admirał Dunsmore zadzwonił do generała Paula i umówił się z nim u prezydenta, kiedy tylko Morgan „wycisnie prawdę z Mossadu”.

Bill Baldrige poprosił Morgana o podwiezienie do rezydencji Dunsmore'ów, gdzie zostawił samochód. Szef wywiadu zgodził się,

bo do spotkania z generałem Gavronem w Aleksandrii miał jeszcze sporo czasu.

Przed opuszczeniem Pentagonu zadzwonił do swojego biura i kazał podwładnym poszperać trochę w życiorysie człowieka, za pośrednictwem którego miał nadzieję dotrzeć do komandora Adnama oraz przygotować odpowiedni raport na osiemnastą trzydzieści. Potem wsiadł osobiście, jak to miał w zwyczaju, za kierownicę i pilotowany przez Billa Baldrige'a, włączywszy się w strumień pojazdów sunący zachodnim brzegiem Potomaku, pojechał na południe, w kierunku rezydencji szefa operacji morskich.

Grace Dunsmore nie zastali w domu, co było nawet na rękę Billowi, któremu śpieszyło się do siebie, do Marylandu. Podziękował admirałowi Morganowi za podwiezienie i umówił się z nim na telefon jeszcze tego samego wieczoru, a najpóźniej nazajutrz.

Admirał Arnold Morgan zawrócił wóz i pojechał z powrotem na północ do oryginalnego miasteczka portowego Aleksandria. Jednak w tym, co miał tam dzisiaj do załatwienia, nie było niczego oryginalnego. Przypuszczalnie Izraelczyk będzie z początku bardzo nieprzystępny i nieskory do współpracy. Całkiem możliwe, że nie obejdzie się bez wygarnięcia mu paru słów prawdy.

Morgan pogawędził chwilę z właścicielem restauracji, a potem poprosił o postawienie dzbanka z kawą na tym co zawsze stoliku i wszedł na zaplecze, by zadzwonić stamtąd do swojego adiutanta czekającego pod telefonem w Fort Meade. Była osiemnasta trzydzieści.

Charakterystyka generała Gavrona, choć niekompletna, okazała się bardzo interesująca. Był czystej krwi Izraelczykiem, prawdziwym sabrą. Urodził się między Nazaretem a Megiddo, w żywej dolinie Jezreel na południowy zachód od Morza Galilejskiego. Podobnie jak jego starszy kolega, generał Mosze Dajan, wychowywany był przez rodziców na plantatora owoców i warzyw, ale * skończyło się na tym, że większą część dorosłego życia spędził w wojsku. Jego rodzina pochodziła z Niemiec, skąd wyemigrowała do Izraela, by w północnej części tego kraju pomagać w sadzeniu lasów, które miały się przyczynić do zwiększenia opadów deszczu. Gavronowie byli bardzo oddani sprawie zapewnienia swojemu młodemu państwu samowystarczalności, jeśli chodzi o wyżywienie. Ich najstarszy syn David, który przyszedł na świat w roku 1947, sześć miesięcy po przyjeździe, obrał sobie inną niezmiernie ważną dla sabry misję: ustanowienie i obronę granic Izraela.

W wieku osiemnastu lat powołano go, jak każdego Izraelczyka, do wojska. W roku 1973 był już obiecującym młodym kapitanem w brygadzie wojsk pancernych. Udział w wojnie Jom Kippur, która wybuchła tego właśnie roku, przyniósł mu opinię oficera o wielkich możliwościach. Pamiętnego strasznego poranka ósmego października walczył na pierwszej linii w pośpiesznie sformowanej dywizji pancerniej generała Abrahama „Brena” Adana, która stawiała czoło egipskiej armii przepływającej się przez Kanał Sueski.

Stając na pustyni oko w oko z mającym liczebną przewagę agresorem, źle przygotowany, oszołomiony wciąż nagłością tego zaskakującego ataku, Bren Adan z bezprzykładną odwagą poprowadził swoich ludzi w bój. Niewiele brakowało, a egipska Druga Armia, okopana, wspierana przez setki czołgów, uległaby nacierającym z furją Izraelczykom. Ale po czterech godzinach zaciętych walk udało im się ich odeprzeć.

Losy całego kraju spoczywały teraz w rękach składającej się w większości z nastolatków armii z pierwszej linii, której zadaniem było powstrzymanie Egipcjan przez czterdzieści osiem godzin, do czasu nadciągnięcia posiłków. Żniwo, jakie wśród izraelskiej młodzieży zebrała przez te dwie doby śmierć, było porażające. W piaskach północnego Synaju ginęli setkami nawet bardziej doświadczeni czołgiści Adana. David Gavron, walczący dwadzieścia metrów od generała, otrzymał postrzał w lewą rękę, kiedy wyciągał ранego kolegę z płonącego czołgu. Potem, odrzucony podmuchem rozrywającego się pocisku, poszorował kilka metrów brzuchem po piasku.

Ale wstał, a polowy chirurg polatał go i pozszywał pokiereszowaną twarz. Wykrwawiona izraelska armia utrzymała pozycje. A kiedy dywizja pancerna Brena Adana przegrupowała się w końcu i osiem dni później ruszyła znów do natarcia, z jednego z pędzących przodem czołgów celny ogień prowadził kapitan Gavron, niepomny przestrelonej ręki i poranionej twarzy, z której piasek stał skórę.

Słyszał na własne uszy, jak generał Adan wyrzaskuje hasło swojej walecznej armii – „ZA MNĄ!” – kiedy znowu otworzyła ogień izraelska artyleria. David Gavron nigdy tego nie zapomni, nigdy nie zapomni, jak ten mężny człowiek, wychylony do pasa z wieżyczki swojego czołgu, z uniesioną w górę pięścią prowadzi zdziesiątkowaną dywizję w samo serce egipskiej Drugiej Armii, przełamując jej szyki i zmuszając do panicznego odwrotu.

O północy siedemnastego października Bren Adan dotarł z niedobitkami swoich żołnierzy do Kanału Sueskiego i uchwycił tam przyczółek. O piątej rano osiemnastego października przeprawili się przez Kanał do Egiptu i parli dalej w kierunku Zatoki Sueskiej, roznosząc w puch napotykaną na drodze arabskie linie obronne i odcinając na pustyni Trzecią Armię Anwara Sadata.

Po tej kampanii Izraelczycy ani myśleli wypuścić Davida Gavrona do jego owocowych plantacji. Odznaczono go za waleczność i awansowano. Został najmłodszym w historii izraelskich sił zbrojnych pułkownikiem. Zaskarbił sobie dożywotnią przyjaźń zarówno Brena Adana, jak i Ariela Sharona. A jego przeniesienie do tajnej wojskowej służby wywiadowczej oznaczało, że Izrael upatruje w nim kandydata do najwyższych stanowisk, jakie mogą przypaść w udziale oficerowi pola bitwy. David Gavron miał pewnego dnia zostać szefem Mossadu.

Zanim ten izraelski generał przestąpił próg nadbrzeżnej restauracyjki w Aleksandrii, admirał Arnold Morgan wiedział już, że czeka na człowieka, który jest wielkim bohaterem swojego kraju, gdzie wyżsi oficerowie kombatancki cieszą się ogromnym szacunkiem. Nie rozczarował się.

Pięćdziesięcioletni generał Gavron był wysokim, szczupłym mężczyzną o jeszcze krócej od admirała przystrzyżonych włosach. Miał głęboko osadzone niebieskie oczy, orli nos i szerokie, cienkie, proste usta. Po bitwie pancernej stoczonej na Synaju pozostała mu pamiątka w postaci zygzakowatej blizny na lewym policzku. Był opalony, ale twarz miał gładką, bez jednej zmarszczki wokół nosa czy oczu. Nie nosił krawata, miał na sobie lekki, szary, cywilny garnitur, ale jego sposób poruszania się i postawa zdradzały od razu oficera. Sprawiał wrażenie przyczajonego, gotującego się do przetrącenia komuś jednym ciosem karku. Zatrzymał się przy stoliku i patrzył z uśmiechem na podnoszącego się z krzesła Morgana.

–Admirał Morgan? – spytał, podając admirałowi rękę. – Jestem David Gavron... Szalom. – Było to uroczyste pokojowe pozdrowienie pochodzące z ziemi, gdzie Abraham zawarł przymierze z Bogiem.

–Dobry wieczór, generale – odparł Arnold Morgan. – Dziękuję, że pofatygował się pan dla takiej najzwyklejszej pod słońcem sprawy.

Roześmieli się obaj i uścisnęli sobie dłonie. Admirał, świadom, że Izraelczyk nie bierze do ust alkoholu, napełnił filiżanki kawą.

–Moja prośba nie jest może najzwyczajniejsza – podjął z uśmiechem, nie tracąc czasu – ale myślę, że przynajmniej łatwa do spełnienia. Czy byłby mi pan łaskaw wyjawić miejsce pobytu jednego z waszych najlepszych dowódców łodzi podwodnych, komandora Benjamin Adnama?

General Gavron nie dał się zaskoczyć.

–Cóż, prowadzimy obecnie manewry na Morzu Śródziemnym. Pewnie tam go można znaleźć. Zdaje się, że wypróbują tę nową łódź podwodną klasy Upholder, którą odkupiliśmy od Royal Navy. Jeśli dobrze sobie przypominam, komandor Adnam miał za zadanie wyprowadzić ją na Atlantyk.

* – Nie mam co do tego wątpliwości – odparł Morgan. – Ale mnie nie obchodzi, co on miał zrobić. Ja chcę się dowiedzieć, czy on rzeczywiście jest teraz na pokładzie tej jednostki. Tylko bez żadnych wykrętów.

Bezpośredniość ataku admirała speszyła trochę Izraelczyka.

–No więc... chyba wie pan, że ze względów bezpieczeństwa z zasady nie udzielamy nikomu informacji na temat dowódców jednostek ani ich przełożonych z żadnych rodzajów naszych sił zbrojnych. Mamy wielu wrogów, zarówno tych jawnych, jak i ukrytych. Zdradzenie komuś czegoś takiego mogłoby mnie kosztować nie tylko karierę.

–Proszę cię o pomoc, Davidzie – powiedział admirał Morgan już bardziej ugodowym tonem. – Zdaję sobie sprawę z krępujących cię ograniczeń, chociaż śmiem wątpić, czy wasz rząd byłby skłonny pozbywać się takiego jak ty zasłużonego oficera. Jeśli jednak uważasz, że nie możesz mi zdradzić, gdzie znajduje się w tej chwili komandor Benjamin Adnam, to powiedz przynajmniej, czy nadal służy w izraelskiej marynarce wojennej. Nasze ostatnie informacje

o nim pochodzą sprzed dziesięciu miesięcy.

–Chyba służy. Nie jestem z marynarki, ale wiele o nim słyszałem. Musiałbym zasięgnąć języka, ale nie od razu. Teraz jest tam druga trzydzieści rano. Jutro.

–Generale Gavron, idąc na to spotkanie, wiedział pan doskonale, o co zapytam. Moje pytanie zna już kilku ludzi z bazy marynarki wojennej w Hajfie i jeszcze kilku z biura wywiadu Shin Bet w Tel Awiwie. A to znaczy, że zna je również Mossad. Zaczynam podejrzewać, że przysłano pana tutaj, by grał pan ze mną na zwłokę. Jeśli mam rację, mój rząd będzie może musiał wyjaśnić to

1 owo pańskiemu rządowi.

–Pański rząd, admirale, jest w tym bardzo dobry – odparł z uśmiechem generał.

–Pański też niezgorszy – odparował admirał.

Usiedli. Wpojono im, wojskowym nie nawykłym do kompromisów, że problemy krajów, którym służą, mają traktować jak swoje własne. Zwarci w klinczu sęczyli w wirginijskiej restauracyjce kawę – Amerykanin niepewny, jak mocno może naciskać, Izraelczyk niezdecydowany, na ile może ustąpić, kiedy zadać pytanie, które on też miał w zanadrzu.

–Generale – podjął admirał – musi mi pan powiedzieć, gdzie jest komandor Adnam, to w naszym wspólnym interesie.

–Nie potrafię, admirale. Sam tego nie wiem. Przypuszczam, że celowo mnie nie poinformowano. Ale ja też mam do pana pytanie. Skąd to wasze zainteresowanie komandorem Adnamem?

Admirał Morgan miał nadzieję, że obejdzie się bez poruszania tego tematu. Był jednak przygotowany. Milczał przez trzydzieści sekund, a potem powiedział:

–Generale Gavron, bierzemy pod uwagę hipotezę, podkreślam, że to tylko hipoteza, iż wypadek na „Thomasie Jeffersonie” wcale nie musiał być wypadkiem.

–Hmm. Chce pan przez to powiedzieć, że ktoś go zatopił?

–Tak. Ktoś mógł to zrobić. Torpedą odpaloną z małej, cichej łodzi podwodnej.

–Z głowicą jądrową?

–Prawdopodobnie.

–A co wam każe przypuszczać, że tą łodzią dowodził komandor Adnam?

–Powiem więcej, generale. Przypuszczamy, że to mogła być izraelska łódź podwodna.

–Izraelska?! Nasza?! My mielibyśmy zatopić amerykański lotniskowiec? Nie, nie. Wszyscy, tylko nie my. Przecież jesteśmy, przyjaciółmi.

Admirał Morgan z rozbawieniem obserwował chwilową konsternację na twarzy tego chłodnego oficera z Ziemi Świętej. Znał się na ludziach i potrafił rozpoznać szczere zaskoczenie.

–Generale, zdajemy sobie sprawę, że w pańskim rządzie są ludzie, którzy nigdy nam nie wybaczą, że pozwoliliśmy Saddamowi ostrzeliwać Izrael pociskami scud, a potem

pozostawiliśmy go u władzy.

Tak jak w większości stolic Środkowego Wschodu, swoich wrogów mamy również w Tel Awiwie. A izraelski rząd, przygotowując przeciw nam tego rodzaju prowokację, czyniłby to z przekonaniem, że winą obarczymy bez namysłu Iran albo Irak. W związku z powyższym, generale, pański kraj również figuruje na naszej liście podejrzanych.

–I gdzie tu miejsce dla Adnama, admirale?

–Nikt przy zdrowych zmysłach nie otwierałby do Amerykanów ognia z łodzi podwodnej, będącej na oficjalnym stanie własnej floty. Sądzymy, że tę łódź kupiono od Rosjan, a następnie przeprowadzono przez Bosfor. Mamy listę wszystkich wybitnych dowódców łodzi podwodnych z całego świata, prawdziwych ekspertów, najlepszych w swoim fachu. Sprawdziliśmy każdego z nich. Z wyjątkiem Adnama. A wy wyraźnie kręcicie. Niewykluczone, że przed upływem dwudziestu czterech godzin dojdziemy do wniosku, że z premedytacją nas okłamujecie, a konsekwencje tego mogą być dla was bardzo, ale to bardzo przykre. Nie chcecie chyba rozstawać się ze swoją marynarką wojenną?

Morgan wiedział, że Izraelczyk, choć nie daje tego po sobie poznać, jest nie na żarty wstrząśnięty. Generał Gavron nie odpowiedział. Upił łyk kawy i oswajał się powoli z myślą, że jeśli jego rząd nie pójdzie na współpracę z admirałem Arnoldem Morganem, to naprawdę mogą z tego wyniknąć kłopoty na trudną do przewidzenia skalę.

–Admirale – odezwał się w końcu. – Muszę się skonsultować z przełożonymi. Przykro mi, że nasze spotkanie było takie krótkie. Zechce mi pan podać numer czy numery telefonów, pod jakimi mogę pana zastać jeszcze dziś wieczorem?

Admirał wręczył mu wizytówkę z numerem biurowego telefonu i faksu oraz z zapisanym na odwrocie numerem domowym.

–Będę czekał – powiedział.

Generał Gavron pojechał z powrotem do swojej ambasady, a admirał Morgan do Fort Meade. Dotarwszy tam, zamówił kanapkę z befsztykiem i kolejną kawę – tę ostatnią czarną ze śrutem, jak nazywał słodzik pod postacią maleńkich, białych kuleczek. Potem zadzwonił do Pentagonu i doradził admirałowi Dunsmore'owi wstrzymanie się z wizytą w Białym Domu do następnego ranka. Następnie zasiadł przed komputerem, by jeszcze raz poszukać w jego bazach danych łodzi podwodnej, która mogłaby podkraść się do „Thomasa Jeffersona”. Po dwóch godzinach doszedł do tego

samego wniosku co poprzednio. W grę wchodziła tylko rosyjska Kilo, która zatonięła rzekomo na Morzu Czarnym.

Po raz szósty w ciągu dwóch ostatnich dni wywołał na ekran prowadzony przez CIA rejestr najlepszych dowódców łodzi podwodnych z całego świata. Nikt z tej listy nie przebywał w krytycznym czasie w okolicach Morza Czarnego. Ustalenia Billa Baldrige'a wskazywały na jedyne podejrzanego – Izraelczyka Adnama.

Admirał Morgan zauważył, że nie mają żadnych konkretnych informacji o tym genialnym podobno podwodniaku. Same ogólniki. Coś tu nie pasowało. No i ten zawiązany naprędce przez Izraelczyków spisek, mający na celu uchronienie Adnama przed śledztwem. Morgan wierzył, że generał Gavron może nie znać miejsca pobytu Adnama, ale podejrzewał, że są w Tel Awiwie

osoby, które je znają.»

*

Na cyfrowym zegarze ściennym dochodziła północ. Admirał Morgan usiadł w fotelu, włączył telewizor i wybrał stację transmitującą mecz baseballowy rozgrywany na Zachodnim Wybrzeżu. Oglądał spotkanie bez zaangażowania, przełączając się co jakiś czas na CNN. O pierwszej nad ranem zmorzył go sen.

Dziesięć po drugiej zadzwonił telefon. Wyrwany z drzemki Morgan otrzeźwiał natychmiast i błyskawicznie sięgnął po słuchawkę.

–Admirale, tu David Gavron.

–Szalom, Davidzie.

–Zebranie informacji, o które pan prosił, zajęło moim przełożonym trochę czasu. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze. W Izraelu jest w tej chwili po dziewiątej.

–Nie szkodzi, Davidzie, i tak nie mam w tej chwili nic specjalnego do roboty – odparł admirał.

–Tak też sobie pomyślałem. Kazano mi poinformować pana, że człowiek, którego szukacie, od listopada 2001 roku, czyli od ośmiu miesięcy, nie służy już w izraelskiej marynarce wojennej. Nie wiemy, gdzie obecnie przebywa.

–Co to znaczy „nie służy”? Odszedł na własną prośbę, zdezerterował, wywalono go?

–Lepiej chyba będzie, jeśli porozmawiamy osobiście. Może pan tu teraz przyjechać? Jestem w

ambasadzie Izraela. Będę czekał na pana przy bramie.

–Już lecę.

Morgan porwał z krzesła marynarkę od munduru, wypadł na korytarz i popędził do samochodu. To było to. Izraelczyków będzie chyba można skreślić. Adnam zwyczajnie dał nogę. Pozostawało pytanie, dla kogo teraz pracuje? I gdzie skurczybyk jest?

W kilka minut później admirał Morgan gnał już setką po 'autostradzie Baltimore-Waszyngton. Nigdy tego nie sprawdzał, ale podejrzewał, że w bezpośrednim starciu policji stanu Maryland z dyrektorem Biura Bezpieczeństwa Narodowego zwycięzca mógł być tylko jeden.

Samochód służbowy z piskiem opon skręcił w zjazd 22 i pomknął na zachód Capital Beltway, przecinającej północne przedmieścia pogrążonej we śnie stolicy. W niespełna dziesięć minut pokonał dwanaście mil dzielące go od zjazdu 33 na krzyżówce z Constitution Avenue. Tam skręcił na południe, na Waszyngton, i wkrótce zatrzymywał się już przed wysoką żelazną bramą strzegącą wjazdu na teren ambasady Izraela, położonej jakieś trzy mile od miasta. Patrząc na pogrążoną w ciemnościach, imponującą murowaną budowlę z wielkimi łukami charakterystycznymi dla architektury Środkowego Wschodu, Morgan odnosił wrażenie, że znalazł się w samym środku Jerozolimy.

Do samochodu podszedł cicho jak duch generał Gavron i kazał mu przejechać przez otwierającą się bramę. Admirał zaparkował wóz i wysiadł na izraelskim terytorium. Z cieni obserwowali go milczący wartownicy. Idąc z generałem przez wielki dziedziniec czuł atmosferę tego dumnego, dzielnego, tak często napadanego małego kraju, nie większego od stanu New Jersey, i nawet tutaj, w Waszyngtonie, szczelnie otoczonego ochronnym zdobnym ogrodzeniem z kutego żelaza w ojczystym stylu. Wszędzie się to tutaj wyczuwało – jakąś gotowość na odparcie niewidzialnego wroga.

Weszli do wielkiego, przestronnego budynku z gatunku tych, które tak sobie upodobali współcześni arabscy szejkwowie i w których tysiące lat pustynnej tradycji zderza się z nowoczesną zachodnią techniką. Ruszyli korytarzem i minawszy portret Davida Ben-Guriona, a potem generała Mosze Dajana, wkroczyli do małego przedpokoju, w którym stały dwie wygodne sofy i trzy duże, burgundowe fotele. Stary perski dywan pokrywający marmurową

posadzkę był prawdopodobnie bezcenny. Lokaj w białej liberii zaproponował kawę lub herbatę. David Gavron poprosił admirała o zajęcie miejsca, po czym odpowiedział na trzy pytania, którymi przez telefon zbombardował go Morgan.

–Nie wiemy, co się stało z komandorem Adnamem. Po prostu... eee... znikł. Rozpłynął się w powietrzu. Z dnia na dzień.

–Davidzie, czy jesteś ze mną absolutnie szczery? Bo jeśli nie, to konsekwencje mogą być niewyobrażalne.

–Ani nam w głowie kłamać, admirale. Przysięgam, daję uroczyste słowo izraelskiego oficera i przyjaciela waszego kraju: komandor Adnam zniknął. Przyznaję, wiedziałem o tym już podczas naszego wieczornego spotkania. Ale nie mogłem nic panu powiedzieć bez upoważnienia najwyższych władz. Usta zamykał mi rozkaz zakazujący ujawniać cokolwiek.

Admirał Arnold Morgan przeklął się w duchu za samo dopuszczanie możliwości, że agent Mossadu powiedział mu poprzedniego wieczora szczerą prawdę. Rozumiał jednak kłopotliwe położenie Izraelczyka. I wybaczał mu, bo wyraźnie teraz jego było na wierzchu.

–Czy po zniknięciu Adnama wszczęto jakieś śledztwo?

–Naturalnie. Był naszym najlepszym dowódcą łodzi podwodnej. W marynarce wojennej zawrzało. Przez jakiś czas podejrzewaliśmy nawet, że został zamordowany. Ale Adnam po prostu uciekł. Przepadł bez śladu.

Służby wywiadowcze zrobiły, co w ich mocy. Rozmawiałem z nimi przed dwoma godzinami. Sprawa pozostaje tajemnicza. Rodzice komandora Adnama zginęli w 1973 roku w małej wiosce zbombardowanej podczas wojny październikowej. Jak panu zapewne wiadomo, naszą piętą achillesową jest skąpość danych o imigrantach. Nie zdołano ustalić, co robili rodzice Adnama przed rokiem 1965. Ale w tym nie ma jeszcze niczego niezwykłego. Co najbardziej niepokoi, to fakt, że właściwie nic nie wiadomo o prze- * szłości tak prominentnego człowieka, i to związanego z tak czułym obszarem, jakim jest nasza obrona narodowa. Ale tak to na dzień dzisiejszy wygląda.

–Czy wasze służby wywiadowcze wznowią dochodzenie?

–W świetle tego, co mi pan powiedział, uważamy tę sprawę za priorytetową. Mamy powody sądzić, że Adnama nie ma już w Izraelu. Gdyby tam był, znaleźlibyśmy go.

–Będziecie mnie na bieżąco informować?

–Oczywiście. Proszę przyjąć wyrazy najszczerzego współczucia w związku z ludźmi, którzy zginęli na tym lotniskowcu. Jak panu wiadomo, nie pochwalamy zdradzieckich, bezsensownych ataków.

Morgan uśmiechnął się, wstał i oświadczył, że na niego już pora.

General Gavron zapewnił, że naturalnie rozumie, i odprowadził Amerykanina do samochodu. Kiedy Morgan, opuściwszy szybę, ruszał spod budynku ambasady, była trzecia dwadzieścia nad ranem.

–Admirale – dobiegł go jeszcze stanowczy głos generała Gavrona – to nie my zatopiliśmy wasz lotniskowiec. Nie traćcie

* czasu na podążanie tym tropem. Możecie liczyć na nasze wsparcie we wszystkich krokach, jakie podejmiecie.

Admirał Morgan zasalutował mu i odjechał. Kiedy po chwili zerknął we wsteczne lusterko, zobaczył samotną sylwetkę Izraelczyka stojącego pod bramą ambasady. Sympatyczny człowiek, pomyślał, parający się niewdzięczną, niebezpieczną robotą. I wreszcie mówiący prawdę, z czym najwyraźniej lepiej się czuje.

Wrócił bardziej już spacerową szybkością na autostradę i kilka mil przed zjazd na Fort Meade skręcił z niej w kierunku Montpe-lier. Mieszkał obecnie w służbowej rezydencji rządowej niedaleko kompleksu biurowego, gdzie pracował, ale w Montpellier miał parterowy drewniany dom, który pozostał mu z okresu małżeństwa. Przychodząca pięć razy w tygodniu gosposia utrzymywała tam teraz wzorowy porządek, ale wystrojem wnętrza i atmosferą dom przypominał kwaterę oficera marynarki wojennej. Admirał Morgan nigdy nie był wielbicielem wzorzystych tapet i miękkich sof.

Nalał sobie szklankę burbona, wrzucił do niej kilka kostek lodu, a potem zadzwonił do Pentagonu i poprosił oficera dyżurnego o powiadomienie po szóstej rano szefa operacji morskich, że o godzinie siódmej będzie w jego biurze z informacjami bardzo delikatnej natury. Następnie połączył się z dowództwem floty czarnomorskiej, żeby zapytać, kiedy wraca admirał Ranków, i mile zaskoczony usłyszał, że ten spodziewany jest w Noworosyjsku jeszcze dziś.

Dwadzieścia po czwartej admirał Morgan nastawił budzik na piątą trzydzieści i nie dopiwszy burbona położył się. To była długa noc, ale podniecenie sprawiło, że siedemdziesiąt minut, które przeznaczył na drzemkę, poszło praktycznie na marne. Po głowie tłukły mu się uparcie te same pytania. Ile czasu zajmie Mossadowi i Sta-

nom Zjednoczonym odszukanie komandora Adnama? Gdzie on teraz jest, a co ważniejsze, gdzie jest ta jego cholerna łódź podwodna? Czy młody Baldrige ma rację, sugerując, że tajemniczy wróg może uderzyć ponownie? Admirał Morgan wstał z łóżka, zanim budzik zdążył zadzwonić. Przed piątą czterdzieści, wykapany, ogolony i ubrany, telefonował już do Baldrige'a. Powiedział swojemu nowemu oficerowi do specjalnych poruczeń, że o szóstej czterdzieści ma się stawić w Pentagonie na odprawę.

Spotkawszy się w Pentagonie z Billem Baldrige'em, powtórzył mu swoją rozmowę z generałem Gavronem.

–To zmienia zupełnie postać rzeczy, prawda? – zauważył młodszy oficer. – Adnam albo pomógł Irańczykom wprowadzić po cichu do akcji jedną z ich Kilo, Bandar-e Abbas leży przecież bardzo blisko strefy, w której operowała nasza Grupa Uderzeniowa Lotniskowca, albo wyprowadzić nową Kilo z Morza Czarnego. A skoro już ustaliliśmy, że pracował dla ajatollahów, to moim zdaniem mógł w ten sam sposób pomagać każdemu. Czyli na scenę powraca Irak... i Libia... Syria... Egipt... Pakistan... oni wszyscy. Bo jeśli którekolwiek z tych państw miało na swoich usługach Adnama, to potrzebowało już tylko pieniędzy.

–Tak. Na wypożyczenie albo kupienie od Rosjan łodzi z załogą. Ale nadal nie znamy motywu. A najsilniejszy motyw mają Iran i chyba Irak. Pozostałe państwa są za słabe, żeby porywać się na coś takiego, a poza tym bardziej liczyłyby się z konsekwencjami. Sądzę, że powinniśmy się raczej skupić na oczywistych podejrzanych.

–Tak, chyba ma pan rację. A Izrael skreśla pan już z listy definitywnie?

–Prawie. Dziś rano zadzwonię jeszcze w parę miejsc. Spróbuję złapać Lessarda. Potem zobaczymy, czy zdołają znaleźć tego swojego zawieruszonego dowódcę. A przynajmniej ustalić, kim naprawdę jest. Trochę to potrwa, a podejrzewam, że prezydent będzie się domagał działania. I to natychmiastowego. Nie bardzo wiem, co mu doradzić. Takiemu dużemu i silnemu państwu jak nasze cholernie trudno wymierzyć komuś surową karę bez rozpętywania trzeciej wojny światowej.

O siódmej dziesiąt próg przestąpił szef operacji morskich admirał Dunsmore. Dał ręką znak czekającym mężczyznom, że

249

mają wejść za nim do gabinetu i zamówił kawę, która w gwałtownym tempie stawała się podstawowym składnikiem diety Arnolda Morgana.

Rozmowa trwała około pięciu minut. Admirał Dunsmore chłonał każdy szczegół, sam niewiele się odzywając. Potem zadzwonił do generała Paula i umówił się z nim na spotkanie z prezydentem. Rozłączył się i w pięć minut później telefon zadzwonił.

–Wychodzę – powiedział szef operacji morskich. – Wracam około trzeciej.

Po jego wyjściu admirał Morgan zadzwonił do biura wywiadu marynarki wojennej i adiutantowi admirała Schnidera zostawił wiadomość, że przez resztę tygodnia komandor porucznik Baldrige będzie pracował poza Fort Meade. Bill wzruszył ramionami i skierowali się obaj do garażu. Zanim tam dotarli, generał Paul i admirał Dunsmore jechali już do Białego Domu.

Scott Dunsmore, siedząc na tylnej kanapie służbowego samochodu, referował sytuację przewodniczącemu Kolegium Szefów Sztabów Połączonych. Powiedział mu, że coraz więcej faktów przemawia za tym, że dowódcą łodzi podwodnej, która zatopiła „Jeffersona”, był oficer izraelskiej marynarki Benjamin Adnam. Poinformował go o tajemniczym zniknięciu Adnama, o obietnicy wsparcia i pomocy ze strony bardzo zaniepokojonego Mossadu, o tym, że głównym podejrzanym pozostaje Iran.

Generał Paul żądał tylko jedno pytanie:

–Uważacie, że ten cały Adnam potrafiłby bez naszej wiedzy wyprowadzić irańską Kilo przez cieśninę Ormuz, zatopić „Jeffersona”, a potem spokojnie wrócić do Bandar-e Abbas?

–Nie. Właściwie to tak nie uważamy. Ale skoro pomyliliśmy się sądząc, że do naszego lotniskowca nie da się niepostrzeżenie podejść, to należałoby chyba wziąć też pod uwagę możliwość, że facet, któremu udało się przedostać w obręb Grupy Uderzeniowej, równie dobrze byłby w stanie wysliznąć się z portu i tak samo do niego wrócić, nie zauważony przez nasze satelity. Zwłaszcza podczas monsunu.

–Tak. Chyba tak. W Bandar-e Abbas nadal nie ma wszystkich trzech łodzi. Obserwujemy tylko dwie, tak?

–Mhm. Z tym że trzecia może stać w tym dużym, krytym doku pływającym. Ale tam nie da się

zajrzyć.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do zachodniego skrzydła. Czekaający tam agenci Secret Service wręczyli im przepustki i zaprowadzili natychmiast do tej samej sali konferencyjnej, w której przed ośmioma dniami jedli robocze śniadanie z prezydentem. Przy stole siedzieli już sekretarz obrony Robert MacPherson i sekretarz stanu Harcourt Travis. Wkrótce potem dołączył do nich doradca do spraw obrony narodowej Sam Haynes. Po pięciu minutach na salę, w towarzystwie swego sekretarza prasowego Dicka Stafforda, wkroczył Prezydent. Dwaj marines zamknęli drzwi i stanęli za nimi na warcie.

Przy stole zasiadało teraz pięciosobowe wojskowe kworum; pięciu ludzi, którzy działając zgodnie mogli na międzynarodowym froncie niemal wszystko. Jednomyślna decyzja tych pięciu ludzi mogła rzucić na wroga całą miazdzącą potęgę Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Szósty mężczyzna, Travis Harcourt, miał służyć temu gronu swoją rozległą wiedzą w dziedzinie szeroko pojętych stosunków międzynarodowych; siódmy, Dick Stafford, dbać profesjonalnie, by ich działania uznawane były zawsze przez naród amerykański za usprawiedliwione.

Prezydent zajmował miejsce u szczytu stołu, mając po obu rękach pana MacPhersona i pana Tralisa. Dalej, naprzeciwko siebie, siedzieli generał Paul i admirał Dunsmore, a przy końcu stołu Sam Haynes i Dick Stafford. Prezydent powitał obecnych i podziękował im za przybycie. Potem poprosił admirała Dunsmore'a o krótkie zreferowanie aktualnej wersji listy podejrzanych w świetle najnowszych ustaleń.

Zajęło to około dziesięciu minut, ponieważ Prezydent i członkowie jego gabinetu nie byli w pełni wprowadzeni w sytuację i nie wiedzieli jeszcze o wyłowionych z morza zwłokach rosyjskiego marynarza, o osobie komandora Adnama ani o poważnych konsekwencjach, jakie miało przyznanie przez Izrael, że Adnam znikł.

–No dobrze, Scott – odezwał się Prezydent, kiedy szef operacji * morskich skończył. – Mamy zamkniętą szczelnie łódź podwodną, która płynie w zanurzeniu i próbuje zachowywać się jak najciszej, żeby uniknąć wykrycia. Jak ktoś może wypaść z niej za burtę i utonąć, skoro siedzą tam zamknięci na głucho?

–Przepraszam, sir – powiedział admirał Dunsmore. – Już wyjaśniam. Gdyby wewnątrz łodzi podwodnej ktoś upuścił na podłogę młotek, to towarzyszący temu łomot poniósłby się pod wodą na dobre pięćdziesiąt mil. Wrogiem każdej pragnącej uniknąć

wykrycia łodzi podwodnej jest hałas, jakikolwiek hałas. Każdy członek załogi takiej jednostki ma tego pełną świadomość.

Proszę wziąć pod uwagę, że każdy mechaniczny element łodzi podwodnej, ze śrubą napędową włącznie, osadzony jest na grubych gumowych podkładkach, które mają za zadanie tłumić wszelkie odgłosy i wibracje... zapewnić, by setki poruszających się jednocześnie części mechanizmów okrętu nie powodowało w sumie większego hałasu niż szum wentylatora w pańskim komputerze. Przynajmniej na zewnątrz kadłuba.

Przypuśćmy teraz, że jakiś wspornik, przewód czy choćby stary kanister po oleju wypadł z zamocowania i zaczyna grzechotać. Trzeba jak najszybciej coś z tym zrobić. Łódź podwodna musi przy najbliższej sposobności, kiedy tylko stanie się to bezpieczne, wypłynąć na powierzchnię i zrobić z tym porządek.

Ekipa naprawcza musi wyjść na pokład i za wszelką cenę usunąć przyczynę tego grzechotania. W nocy, przy wzburzonym morzu jest to naprawdę niebezpieczne. Kiedy za burtę wypada członek załogi jakiejś łodzi podwodnej, trzeba zakładać, że prawdopodobnie doszło do tego w takiej właśnie sytuacji. Jeśli nie usuną tego grzechotania, zdradzi ich ono przed każdym, kto w promieniu pięćdziesięciu mil prowadzi nasłuch.

Takiego błędu nie popełni żaden kompetentny dowódca łodzi podwodnej – nawet gdyby miało to kosztować życie jednego z podległych mu ludzi.

–W tym przypadku kosztowało więcej – zauważył Prezydent. – Ale dziękuję za wyjaśnienia. – Namyslał się przez chwilę, a potem zadał to samo, co generał Paul pytanie: – Czy komandor Adnam potrafiłby wyprowadzić którąś z tych Kilo z Bandar-e Abbas, a potem tam wrócić nie zdemaskowany przez naszą satelitarną sieć obserwacyjną?

Scott Dunsmore udzielił mu tej samej co generałowi Paulowi odpowiedzi. To bardzo mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Przecież ten facet, w sobie tylko wiadomy sposób, dokonał innego wyczynu, uważanego dotąd za niewykonalny, przenikając do samego serca Grupy Uderzeniowej Lotniskowca.

Prezydent zamyslił się. Upłynęła niemal minuta, zanim znów się odezwał. A jego słowa sprawiły, że przy stole zaległa napięta cisza.

–Proponuję, panowie – powiedział – rozwiązać raz na zawsze problem tych trzech irańskich Kilo. Trzeba je zniszczyć. I to szybko.

Zanim stanie się to faktem, będziemy już może wiedzieli, czy ukaraliśmy właściwego winowajcę. A jeśli nie, to też nie będzie można wykluczyć, że dokonaliśmy odwetu na właściwym kraju, bo nigdzie nie jest powiedziane, że nie użyli innej łodzi podwodnej, o której nic nam nie wiadomo. Zacznijmy od pozbycia się tych Kilo. Pamiętajcie zapewne, że moi poprzednicy próbowali nie dopuścić do ich sprzedaży Irańczykom. Ale Rosjanom udało się jakoś wszystkich przechytrzyć.

Od tamtego czasu te łodzie podwodne są nam solą w oku. Już drugi raz w ciągu pięciu lat zmusiły nas do przerwania całych dywizjonów myśliwskich do Bahrajnu. A teraz podejrzewamy, że być może dokonały ataku na nasz okręt wojenny. Dosyć tego.

Te trzy Kilo stanowią ciągle zagrożenie i przysparzają problemów każdemu. Pozbądźmy się ich. Wszystkich trzech – jeśli nadal wszystkie trzy tam stoją. Jeśli nie, zlikwidujemy na razie dwie, a trzecią dopadniemy, kiedy wróci suka do domu.

–Panie prezydencie – odezwał się Robert MacPherson -chciałbym coś uściślić. Czy proponuje pan wysłanie floty myśliwców bombardujących z zadaniem zniszczenia całej bazy marynarki wojennej i wymazania tego miejsca z mapy? Nie pytam dlatego, że upatruję w tym jakiś specjalny problem...-

–Domagam się po prostu likwidacji tych łodzi podwodnych. Definitywnej.

–Sir – zabrał głos Dick Stafford – czy nie obawia się pan, że rozpętamy w ten sposób trzecią wojnę światową? *

–Owszem. Ale nie aż tak, żeby rezygnować z interwencji militarnej.

–Panie prezydencie – wtrącił się generał Paul – według mnie lepiej byłoby pozbyć się tych łodzi w sposób mniej ostentacyjny, tak żeby nikt, a przede wszystkim sami Irańczycy, nie mógł z całym przekonaniem wskazać sprawcy.

–Jestem za – podchwycił Stafford.

–A dałoby się to załatwić tak, żeby wyglądało na wypadek? – spytał Harcourt Travis.

–Owszem – odparł generał. – Znaleźliby się wtedy w sytuacji bardzo przypominającej naszą. Żeby nie szerzyć paniki wśród obywateli własnego państwa i zachować twarz wobec swoich arabskich sąsiadów, byliby zmuszeni wydać oficjalne oświadczenie, że był to wypadek. Chociaż wiedzieliby, że za zniszczeniem ich łodzi podwodnych stoi jakaś bardzo potężna siła militarna.

–A nie lepiej upewnić się najpierw, czy to rzeczywiście Iran zatopił nasz lotniskowiec? – spytał Stafford.

–Nie – orzekł Prezydent. – Co do tego nie ma już chyba żadnych wątpliwości. A gdyby nawet były, to też bez skrupułów zniszczę im te łodzie podwodne. Im i komu tam jeszcze trzeba, byle tylko mieć pewność, że winowajca poniósł zasłużoną karę. Dużo o tym myślałem i jeśli o mnie chodzi, te trzy Kilo już nie istnieją. Czekam teraz na propozycje, jak to przeprowadzić.

–Nic prostszego – odezwał się generał Paul. – To zadanie dla Sił Specjalnych.

–Odpowiedź owszem, prosta i prawidłowa – przyznał admirał Dunsmore. – Ale sama akcja do prostych nie należy. W trzech portach Bandar-e Abbas jest bardzo płytko. Zespół dywersyjny SEAL musiałaby przetrząsnąć w tamten rejon atomowa łódź podwodna, a ostatni etap podróży byłiby zmuszeni pokonać w napędzanym silnikami elektrycznymi PTP; to skrót od Podwodnego Transportera Płetwonurków. Szacuję, że byłoby to około piętnastu mil drogi tam i piętnastu z powrotem. To bardzo niebezpieczna robota na dobre dziewięć godzin i nie da się jej przeprowadzić w ciągu jednej nocy.

–Może więc jednak zmasowany nalot – podsunął MacPherson. – To mniej ryzykowne, o wiele większa szansa, że obejdzie się bez ofiar śmiertelnych, i bardzo skuteczne.

–Tak, ale wtedy społeczność międzynarodowa okrzyknie nas zgrają niebezpiecznych maniaków – zauważył Stafford. – 1 posypią się pytania. Dlaczego USA zaatakowały irańską marynarkę wojenną? Czym Iran sobie na to zasłużył?

Zaczną też dociekać, czy do tragedii „Jeffersona” rzeczywiście doszło wskutek wypadku. Czy to miażdżące uderzenie z powietrza na Iran nie wynika czasem z faktu, że zdaniem Pentagonu zatonięcie lotniskowca nie było jednak wypadkiem? Czy Pentagon podejrzewa, że „Jefferson” został zatopiony przez jedną z tych Kilo dowodzoną przez Araba?

–Prawda – mruknął sekretarz stanu. – Media chyba faktycznie nie zostawiłyby na nas suchej nitki.

–Tak. Nie ma o czym mówić – przyznał Prezydent. – Panowie, uważam, że w naszym wspólnym interesie najlepiej będzie, jeśli was teraz opuszczę. Wy, rzecz jasna, możecie tu zostać, jak długo wam się podoba. Dick zreferuje mi później najważniejsze decyzje,

–A nie lepiej upewnić się najpierw, czy to rzeczywiście Iran zatopił nasz lotniskowiec? – spytał Stafford.

–Nie – orzekł Prezydent. – Co do tego nie ma już chyba żadnych wątpliwości. A gdyby nawet były, to też bez skrupułów.zniszczę im te łodzie podwodne. Im i komu tam jeszcze trzeba, byle tylko mieć pewność, że winowajca poniósł zasłużoną karę. Dużo o tym myślałem i jeśli o mnie chodzi, te trzy Kilo już nie istnieją. Czekam teraz na propozycje, jak to przeprowadzić.

–Nic prostszego – odezwał się generał Paul. – To zadanie dla Sił Specjalnych.

–Odpowiedź owszem, prosta i prawidłowa – przyznał admirał Dunsmore. – Ale sama akcja do prostych nie należy. W trzech portach Bandar-e Abbas jest bardzo płytko. Zespół dywersyjny SEAL musiałyby przetrząsnąć w tamten rejon atomowa łódź podwodna, a ostatni etap podróży byłiby zmuszeni pokonać w napędzanym silnikami elektrycznymi PTP; to skrót od Podwodnego Transportera Płetwonurków. Szacuję, że byłoby to około piętnastu mil drogi tam i piętnastu z powrotem. To bardzo niebezpieczna robota na dobre dziewięć godzin i nie da się jej przeprowadzić w ciągu jednej nocy. <t

–Może więc jednak zmasowany nalot – podsunął MacPherson. – To mniej ryzykowne, o wiele większa szansa, że obejdzie się bez ofiar śmiertelnych, i bardzo skuteczne.

–Tak, ale wtedy społeczność międzynarodowa okrzyknie nas zgrają niebezpiecznych maniaków – zauważył Stafford. – 1 posypią się pytania. Dlaczego USA zaatakowały irańską marynarkę wojenną? Czym Iran sobie na to zasłużył?

Zaczną też dociekać, czy do tragedii „Jeffersona” rzeczywiście doszło wskutek wypadku. Czy to miażdżące uderzenie z powietrza na Iran nie wynika czasem z faktu, że zdaniem Pentagonu zatonięcie lotniskowca nie było jednak wypadkiem? Czy Pentagon podejrzewa, że „Jefferson” został zatopiony przez jedną z tych Kilo dowodzoną przez Araba?

–Prawda – mruknął sekretarz stanu. – Media chyba faktycznie nie zostawiłyby na nas suchej nitki.

–Tak. Nie ma o czym mówić – przyznał Prezydent. – Panowie, uważam, że w naszym wspólnym interesie najlepiej będzie, jeśli was teraz opuszczę. Wy, rzecz jasna, możecie tu zostać, jak długo wam się podoba. Dick zreferuje mi później najważniejsze decyzje,

jakie podejście. Ale im mniej wiem o szczegółach technicznych, tym lepiej.

Mam nadzieję przeczytać za dwa tygodnie w gazecie, że trzem łodziom podwodnym cumującym w bazie irańskiej marynarki wojennej w Bandar-e Abbas przydarzył się nieszczęśliwy wypadek.

–Powiedział pan, że za ile tygodni, sir? – spytał Scott Dunsmore.

–Za dwa, Scott. Coś nie tak?

–Panie prezydencie, optowałbym za miesiącem. Tyle bowiem może potrwać przerzucenie w tamten rejon specjalistycznej łodzi podwodnej, zwłaszcza że musimy ją wyposażyć w nowy PTP, który też trzeba przetransportować z naszej bazy w San Diego. A to ponad dwanaście tysięcy mil. Poza tym musimy dać zespołowi SEAL czas na potrenowanie przed akcją.

–Tak. Rozumiem. Ale postarajcie się uwinąć w dwa tygodnie. Zwłaszcza że ja chciałbym mieć to załatwione już jutro.

–No cóż, panowie – powiedział admirał Dunsmore – ponieważ to na mnie, jak widać, spada obowiązek wprowadzenia w życie poleceń szefa, najchętniej od razu zapoznałbym waf z wszystkimi szczegółami. Ale chyba lepiej będzie, jeśli wrócę teraz do siebie i nadam sprawie bieg, z panami zaś umówię się na jutro. A swoją drogą marynarce podoba się ten plan. Już od dawna chcemy się pozbyć tych ajatollahowych łodzi podwodnych. Moim zdaniem prezydent podjął słuszną decyzję.

–Z pewnością. Wszyscy moi chłopcy odetchną – podchwycił generał Paul. – Wracam ze Scottem i puszczamy maszynę w ruch.

Spotkanie dobiegło końca. Dwaj szefowie służb opuścili niezwłocznie Biały Dom. W niespełną godzinę potem admirał Dunsmore skontaktował się z SEAL, najbardziej elitarną, zaprawioną w walce formacją sił zbrojnych – jednostką specjalną marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, której każdy członek musi się odznaczać unikalną kombinacją siły fizycznej, inteligencji i równowagi emocjonalnej. Oprócz szybkości i żelaznej kondycji oraz wrodzonego oswojenia z wodą, musi on również mieć pierwszo-, rzędną pamięć i gruntowną znajomość dziesiątków typów broni, systemów i technik niszczących.

Stany Zjednoczone mają sześć zespołów SEAL. Trzy z nich, Drugi, Czwarty i Szósty, stacjonują w Little Creek w stanie Wirginia. Pierwszy, Trzeci i Piąty mają swoją bazę wypadową na Coro-nado w Kalifornii, gdzie mieści się też dowództwo Sił Specjalnych

Marynarki Stanów Zjednoczonych – w skrócie SPECWARCOM -które kieruje wszystkimi misjami formacji SEAL na całym świecie.

O godzinie ósmej trzydzieści pięć tego czwartkowego poranka admirał John Bergstrom, szef SPECWARCOM, odebrał na wyspie Coronado telefon. Dzwonił bawiący właśnie w San Diego dowódca Siódmej Floty, wiceadmirał Archie Carter, z prośbą o bezzwłoczne stawienie się w głównej bazie marynarki wojennej.

Bergstrom zastał admirała Cartera przy wielkim biurku, z cyrklem nawigacyjnym i metalowym liniałem w rękach. Przed nim leżała wielka mapa rejonu położonego na północ od Jazireh-Ye Qeshm, długiej, spieczonej słońcem wyspy w cieśninie Ormuz. Odmierzał długość drogi wodnej od wschodniego brzegu wyspy do znajdującego się dokładnie naprzeciwko portu; był to prawy z trzech portów rozlokowanych na dwudziestomilowym odcinku południowo-wschodniego wybrzeża Iranu.

Admirał Bergstrom zajrzał mu przez ramię i odczytał nagłówek legendy mapy: „Port Bandar-e Abbas”. Zauważył zaznaczone wyraźnie duże kopuły radarów za portem. Zauważył wąski, głęboki na zaledwie dziewięć metrów kanał biegnący między kleszczami zewnętrznych ścian portu.

Mógł być tylko jeden powód, dla którego wezwano go do gabinetu, w którym admirał Carter pochylał się nad mapą bazy marynarki wojennej potencjalnie wrogiego państwa: opracowanie planu jej zniszczenia. W czym specjalizowała się formacja SEAL.

Wyobraził sobie tę bazę tak, jak wpływając tam pod osłoną ciemności widzieliby ją z wody jego ludzie... skierowany w prawo zielony promień latarki wyławia być może z mroku uzbrojonego wartownika u wejścia do portu. Popatrzył na osłonięte wewnętrzne połączenie portu, skryte za piaszczystym przylądkiem po prawej. Śmiertelna pułapka, gdyby ich zauważyli. Ciekaw był, jak pilnie to wszystko jest strzeżone i czy jego ludzie mają szansę na przetrwanie. I ilu ludzi musieliby ewentualnie położyć trupem, żeby się stamtąd wycofać.

–Dzień dobry, admirale – powiedział pogodnie. – Czego od nas oczekujecie? Starcia całego tego przybytku w proch czy tylko zniszczenia okrętów wojennych?

Admirał Carter przywitał uśmiechem szefa SPECWARCOM.

–Nie wszystkich, John. Tylko trzech łodzi podwodnych. To bezpośredni rozkaz szefa operacji morskich. Mamy na to czter-

naście dni. Decyzja podjęta została przed dwoma godzinami w Gabinetcie Ovalnym.

–Jak blisko możemy tam podejść atomową łodzią podwodną? – spytał natychmiast Bergstrom.

–Obawiam się, John, że nie bliżej jak na trzynaście mil.

–Jezu. Czyli dalej będą musieli płynąć tym nowym PTP Mark IX. Nie przeszedł jeszcze prób. I rozwija zaledwie pięć węzłów. Ale mieści dziesięciu ludzi i ma silny akumulator. Energii powinno starczyć na dwanaście godzin. – Popatrzył na mapę, na wąskie wejście do portu. – Czy wszystkie te łodzie podwodne są na wodzie? – spytał.

–Niestety. Przypuszczamy, że jedna z nich może stać na stępce w krytym doku pływającym, prawdopodobnie strzeżonym.

–Czy mamy zacząć od zdjęcia wartowników?

–Nie. Wolałbym, żebyście w miarę możliwości nikogo nie zdejmowali. To dyskretna operacja i najlepiej by było, gdyby irańska marynarka jak najdłużej łamała sobie głowę, co się właściwie stało. Maksimum zniszczenia, minimum hałasu, żadnych śladów. Poza trzema sporymi wrakami łodzi podwodnych rosyjskiej produkcji, które już nigdy nie zobaczą morza.

–Tak. Rozumiem. Czy dostaniemy największe, najaktualniejsze mapy i zdjęcia satelitarne? I czy w sytuacji, gdyby ścigały nas uzbrojone irańskie kutry patrolowe z bombami głębinowymi, możemy je zatopić?

–John, obecny prezydent w podobnych wypadkach zawsze daje nam wolną rękę. Jeśli w niebezpieczeństwie znajdzie się wasze życie, strzelajcie w samoobronie tak, żeby zabić. Ale ogólnie rzecz biorąc, Biały Dom byłby wam chyba zobowiązany, gdybyście jednak nie rozpętywali trzeciej wojny światowej.

–Tego na pewno postaram się uniknąć – zapewnił go admirał Bergstrom.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

' Czwartek, 18 lipca, 9.30

Natychmiast po powrocie do ogrodzonego drutem kolczastym obozu SEAL za plażą Coronado admirał Bergstrom zwołał wszystkich swoich dowódców na „burzę mózgów” i w dziewięćdziesiąt minut później wstępny projekt planu akcji miał gotowy. Wkrótce potem prowadził już odprawę z wybraną drużyną, która uderzy na siły podwodne ajatollaha.

W skład każdego zespołu SEAL wchodzi dwustu dwudziestu pięciu ludzi, z czego stu sześćdziesięciu to aktywni członkowie plutonów szturmowych. W sumie dwadzieścia pięć osób

liczą sobie służby pomocnicze, logistyczne, techniczne i elektroniczne, a pozostałych czterdzieści osób zajmuje się szkoleniem, dowodzeniem i nadzorem. Każdy batalion uderzeniowy SEAL wymaga olbrzymiego wsparcia.

Starsi dowódcy doradzili powierzenie zadania zespołowi Nr 3. Z dziesięciu tworzących ten zespół plutonów po szesnastu ludzi każdy, wybrano jeden, z którego wyłoniona zostanie następnie ostateczna, prawdopodobnie ośmioosobowa drużyna, która dokona dywersji w porcie Bandar-e Abbas. Jej dowódcą miał zostać porucznik Russell Bennett, trzydziestoczteroletni weteran wojny w Zatoce, absolwent Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, prymus morderczego, indoktrynacyjnego kursu SEAL w zakresie podwodnej dywersji, zwanego popularnie „Szlifiernią”, i syn poławiacza homarów z Maine.

Bennett był średniego wzrostu, barczysty, miał niebieskie oczy, bujny, lecz starannie przystrzyżony wąs, a przedramiona i nadgarstki jak ze stali. Był specjalistą od materiałów wybuchowych, świetnym strzelcem, a w walce na noże, zwłaszcza w wodzie, nie miał sobie równych. Potrafił się wdrapać po najgładszych stalowych

plytach poszycia każdego okrętu. Potrafił pływać w najzimniejszych morzach i wszędzie się wspiąć. Wrogowi, kimkolwiek by był, zostałoby prawdopodobnie nie więcej jak pięć sekund życia, gdyby wszedł mu w drogę.

Podwładni uwielbiali go i nazywali Ryżym przez wzgląd na krótko przystrzyżone rude włosy. Jak większość członków formacji SEAL Bennett niewiele sobie robił z konwenansów i regulaminowego umundurowania, i na akcję zamiast czapki wkładał zawsze bandanę, którą nazywał swoją „szmatką szczęścia”. Koledzy przysięgali, że co noc, kładąc się w Coronado do łóżka, przypina sobie do pizamy złoty trójząb – odznakę formacji SEAL, której powszechnie mu zazdrozczono. Zabierał ją na każdą akcję, czerniąc starannie przed wyruszeniem i jeszcze staranniej czyszcząc do połysku po szczęśliwym powrocie. Porucznik Bennett reprezentował typ człowieka, który w myśl standardów SPECWARCOM formacji SEAL marynarki był idealnym kandydatem na dowódcę plutonu.

Dwukrotnie zdarzyło mu się pełnić funkcję instruktora. Kłusował wtedy niezmordowanie na czele swojej grupy po rozpalonych plażach Pacyfiku, wbiegając z nimi na piaszczyste wydmy i z powrotem w lodowato zimne morze dopóty, dopóki nie zaczęli padać na nosy z wyczerpania. A wtedy podwajał tempo. Wobec zmordowanych, lecz wciąż niepokornych ludzi stosował tradycyjną w formacji SEAL karę, polegającą na przepędzeniu jeszcze raz przez podwodny „tunel”, a następnie wytarzaniu po plaży. Oblepiony mokrym piaskiem delikwent kończył rundę morderczych ćwiczeń przeżywając nieludzkie tortury.

Przed dwunastoma laty inni instruktorzy stosowali te same metody wobec niego. Dostawał w kość tak, że padając myślał, że już nie wstanie. Ale wstawał. Pod wpływem instruktorów jakoś znajdował na to siły. Zmuszali go do parcia wciąż do przodu poprzez tory przeszkód, przez brutalny trening „piekielnego tygodnia”, kiedy odpada pięćdziesiąt procent kandydatów, aż w końcu uwierzył, że nie ma na tej planecie nikogo, kto potrafiłby go sponiewierać. A przynajmniej nie bardziej, niż został już sponiewierany.

Ryży Bennett, wbity w pełny mundur polowy, uderzając jako prymus grupy kursantów w wielki srebrny dzwon, który obwieszczał koniec szkolenia, był najdumniejszym człowiekiem w całej Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych. I w pełni lata 2002

roku nadal szczycił się żelazną kondycją oraz wprost nieludzką odpornością na ból.

Ojciec Ryżego, który do tej pory zastawiał pułapki na homary w głębokich, lodowato zimnych wodach u skalistych wybrzeży Maine, na południe od Mount Desert, dawno pogodził się z myślą, że jego nieżonatemu najstarszemu brak piątej klepki.

A Ryży uczestniczył teraz w „burzy mózgów” i wpatrzony w mapę stał w sali operacyjnej. Była to wstępna sesja z udziałem naczelnego dowództwa formacji SEAL oraz dowódcy zespołu. Omawiali najbardziej podstawowe sprawy. Która łódź podwodna? Gdzie stoi? Ile zajmie podróż na Diego Garcia? Kiedy już będą w tamtym rejonie, dowództwo nad operacją objąć miał admirał Car-, ter z Siódmej Floty.

Ryży również zadawał podstawowe pytania. Siła prądu? Pływy i głębokość? Warunki na dnie? Straże? Kutry patrolowe? Szperacze? Alarmy? Przewidywane warunki pogodowe? Faza księżyca? Widzialność pod wodą? Ilu ludzi z SEAL przewiduje się do udziału w akcji? Dopiero po wyjaśnienia tych podstawowych spraw wyznaczy swojego zastępcę, który stanie za sterami podwodnego transportera.

Korzystając ze zdjęć satelitarnych, naniósł na mapę dwie irańskie Kilo dokładnie tam, gdzie obecnie stały. Naniósł także duży dok pływający na pozycji, na której go ostatnio widziano. Zaznaczył miejsce, w którym opuszcza atomową łódź podwodną. Zaznaczył też inne na podejściu do portu, gdzie będzie czekał i podejmie ich z wody podwodny transporter.

Przeprowadził konsultacje z oficerami uzbrojenia i specjalistami od materiałów wybuchowych, ustalając z nimi precyzyjną wielkość ładunku, -jakiego należy użyć w „czepnych” minach, które postarają się przemycić na teren portu i podczepić pod spód kadłuba każdej Kilo. Skierowany ku górze impet eksplozji miał rozpruć poszycie zewnętrznego kadłuba lekkiego, a następnie wewnętrznego kadłuba sztywnego dokładnie pod olbrzymią baterią akumulatorów.

Ładunek musiał być wystarczająco silny, by wyrwać dziurę w kadłubie sztywnym i wznieść pożar we wnętrzu okrętu. Plan zakładał, że sam wybuch, wydzielone dzięki temu ciepło i rozprzestrzeniająca się błyskawicznie pożoga natychmiast unieszkodliwią załogę, a wdzierająca się do środka woda morska zatopi łódź. By zyskać całkowitą pewność, że Kilo nigdy już nie wyjdzie w morze,

skierowana ku górze eksplozja drugiej „czepnej” miny założonej pod rufą jednostki miała wygiąć wał napędowy.

Wynikało z tego, że do zniszczenia dwóch znajdujących się na wodzie irańskich łodzi podwodnych potrzebnych będzie po dwóch ludzi z SEAL. Zniszczenie trzeciej, która przypuszczalnie stoi w doku pływającym, okaże się niewątpliwie nieco trudniejsze. Ale nią też trzeba się zająć. Może to właśnie ona zatopiła „Jeffersona”.

Mieli świadomość, że pływający dok może się okazać pusty, co przynajmniej potwierdziłoby, że uderzyli na właściwy kraj. Jednak plan trzeba było układać przyjmując lokalizację łodzi właśnie tam – mimo że zniszczenie jej przysporzy czterokrotnie więcej problemów niż dwóch pozostałych. Dowódcy zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia z odwieczną prawidłowością właściwą wielkim akcjom: osiemdziesiąt procent wysiłku miało pójść na rozwiązanie jednej trzeciej problemu, i tych osiemdziesiąt procent może pójść na marne, jeśli trzeciej Kilo nie będzie w doku.

Likwidacja dwóch pierwszych łodzi była, jak na standardy SEAL, stosunkowo prosta. Z akcją zniszczenia tej trzeciej wiązało się znacznie więcej niewiadomych; całe szczęście, że przynajmniej zasada stawiania 2356-tonowej łodzi podwodnej w doku pływającym jest uniwersalna. Zalewa się wodą, tak samo jak w łodzi podwodnej, ogromne zbiorniki balastowe pod dkiem i dok zanurza się na tyle, żeby można było do niego wprowadzić łódź.

Jednostka wpływa między boczne ściany doku i ustawia się nad szeregiem drewnianych bloków, ukształtowanych i rozmieszczonych w ten sposób, by precyzyjnie odwzorowały profil jej stępki oraz równomiernie rozdzielały między siebie ogromny ciężar, jaki przyjdzie im udźwignąć. Następnie opróżnia się częściowo zbiorniki balastowe pod dkiem, który unosi się na tyle, by łódź niemal osiadła na drewnianych blokach stępkowych.

Wówczas, regulując naciąg lin cumowniczych dokowymi windami, naprowadza się ją precyzyjnie, z dokładnością do jednego cala, na ściśle określoną pozycję nad blokami stępkowymi. Po wypozycjonowaniu kadłub podpira się nieco powyżej połowy jego wysokości ośmioma gigantycznymi drewnianymi „stemplami”, o długości około dziesięciu metrów i przekroju równym osiemnastu calom kwadratowym, czyli dwa razy grubszy od słupa telegraficznego – po cztery takie stemple z każdej strony.

Te wielkie belki rozporowe, zdolne utrzymać ciężar kilku ludzi i zapobiegające przewróceniu się łodzi podwodnej na bok, unieruchamia się następnie wbijając pod nie młotami kliny.

Po wykonaniu tych czynności obsługa doku wypompowuje do końca wodę ze zbiorników balastowych i potężne urządzenie wynurza się bardzo powoli, żeby uniknąć zawirowań, wynosząc stopniowo łódź w górę. Stępka jednostki stojącej w wynurzonym całkowicie doku znajduje się ponad lustrem wody i technicy oraz robotnicy dokowi mogą przystępować do pracy. Cała ta operacja jest bardzo czasochłonna i trudna, w związku z czym łódź podwodną wstawia się do doku tylko celem dokonania bardzo poważnych napraw poniżej linii wodnej.

Dok pływający z Bandar-e Abbas przykryty jest stropem, przez co przypomina trochę lotniskowy hangar zakotwiczony do dna portu monstrualnymi żelazobetonowymi martwymi kotwicami. Nikt z Pentagonu nie rwałby sobie włosów z głowy, gdyby dywersanci z SEAL przy okazji zniszczyli także ten dok. Ale to zależało od ilości „towaru”, jaką zdołają udźwignąć pletwonurkowie z SEAL.

W tym momencie admirał Bergstrom, który sam był kiedyś członkiem SEAL, wysunął bardzo ciekawą propozycję:

–Według mnie nie musimy wcale wysadzać tej trzeciej Kilo -powiedział. – Gdyby udało nam się skasować jakoś wszystkie cztery stemple rozporowe podpierające ją z prawej strony, sama by się przewróciła, prawdopodobnie kładąc przy okazji całą boczną ścianę doku i być może przebijając się przez jego dno. Dwa i pół tysiąca ton przy upadku to sporo, kadłub na pewno uległby uszkodzeniu i zatonął przy bardzo niewielkiej saperskiej interwencji z naszej strony. I

–Tak – mruknął komandor Ray Banford. – Ale jednostki stojące w doku są cholernie precyzyjnie wyważone. Mogłaby się nie przewrócić od razu, a oni, zaalarmowani hałasem, jakiego narobiliłbyśmy wysadzając stemple, zdążyliby może wbić nowe, jeśli mają parę takich w zapasie. Zresztą nawet jeden mógłby zapobiec przewróceniu się łodzi.

–Przewróciłaby się, gdyby jednocześnie z wysadzeniem stempli wywalić wielką dziurę w prawym zbiorniku balastowym -wtrącił porucznik Bennett.

–Wystarczyłby chyba minimalny przechył doku. A taki duży dok, nabierając gwałtownie wody morskiej, w minutę przechyliłby się o dobre pół stopnia. Wtedy musiałaby się przewrócić.

–Tak, chyba by się przewróciła – przyznał komandor Banford. – Tylko ilu chłopców by trzeba do rozwalenia tych stempli?

–Po jednym na każdy – orzekł Ryży. – Czyli czterech. Ja wpływam pierwszy pod dok i podczepiam minę do zbiornika. Potem staję na czujce, a chłopcy zakładają ładunki na stemplach. Stosujemy lont wybuchowy. Podłączamy wszystkie ładunki do jednego detonatora, nastawiamy taki czas zwłoki, żeby spokojnie wycofać się na bezpieczną odległość, i po jego upływie cała instalacja wybuchu jednocześnie. Przewróci się. Nie ma obawy.

–Tak, ale w ten sposób grupa nam się za bardzo rozrasta -zauważył Banford, były dowódca łodzi podwodnej, który miał nadzorować misję. – Czterech ludzi na dwie pływające Kilo, czterech na stemple. Czy nie wystarczyłoby dwóch, z których każdy załatwiłby dwie belki? v,

–To zbyt niebezpieczne, sir. Proszę pamiętać, że mamy pracować pod nosem wartownika znajdującego się na pokładzie łodzi. Jeśli usłyszy jakiś podejrzanym hałas, zacznie szukać źródła i będę go musiał zdjąć, a to może usłyszeć jeszcze ktoś i ani się obejrzymy, jak zwali nam się ich na kark z tuzin i rozpęta się piekło. Nie, sir. Musimy to zrobić szybko, czterema ludźmi, po jednym człowieku na stempel.

–Tak, Ryży. Ja to rozumiem. Martwi mnie tylko liczebność. Czterech ludzi na pływające Kilo, czterech na stemple i ty do rozwalenia zbiornika balastowego i stania na oku. To dziewięciu, plus sternik podwodnego transportera. Czyli w sumie dziesięć osób, a transporter mieści tylko osiem.

–Zaraz, Ray – wtrącił się admirał Bergstrom – przed kilkoma tygodniami dostaliśmy nowy transporter. Dziesięcioosobowy. Nazywa się zaawansowany podwodny transporter płetwonurków i jest napędzany silnikami elektrycznymi Westinghouse'a. Ma większy zasięg od starego Mark VIII, może pływać około dwunastu godzin i mieści dziesięć osób.

Jeśli założyć, że trzy godziny zajmie droga w tamtą stronę i trzy z powrotem, plus cztery godziny oczekiwania, to jeśli nie dojdzie do żadnych zgrzytów, zmieścimy się w dziesięciu godzinach. Rozwija tylko pięć węzłów, ale nadaje się dla nas idealnie. Kłopot w tym, że nie wiem, czy przeszedł już wszystkie próby i dopuszczono go do eksploatacji. I mamy chyba tylko dwie łodzie podwodne przystosowane do jego przenoszenia... Tommy! – przywołał do siebie porucznika Tommy'ego Schwaba i kazał mu się dowiedzieć

u wiceadmirała Johnny'ego Barry'ego, dowódcy sił podwodnych Floty Pacyfiku, jak wygląda sytuacja z łodziami podwodnymi.

Zgodzili się już wstępnie na grupę dziesięcioosobową, kiedy porucznik Ryzy Bennett posłał kolejną podkręconą piłkę:

–Łódź stojącą w doku powinniśmy, moim zdaniem, wysadzić najszybciej jak się da – powiedział. – Po górnej galeryjce, która biegnie wokół doku pływającego, będzie pewnie krążył wartownik. Jeśli trafimy na bystrookiego faceta, to taki przez półtorej godziny, jakie zajmie nam wycofanie się, może wypatrzeć założony przez nas lont wybuchowy. Wystarczy, że zauważy go tylko na jednym ze

t stempli, a wykryją i unieszkodliwią całą instalację.

Według mnie powinniśmy nastawić zegar detonatora na dziesięć minut. Przez ten czas zdążymy odpłynąć na kilkaset metrów, a nie mamy przecież do czynienia z jakąś potężną podwodną eksplozją, lecz z detonacją niewielkiej miny podczepionej do zbiornika balastowego. Bębenki nam od tego nie popękają. Reszta materiału wybuchowego zainstalowana jest wysoko nad powierzchnią, a łódź przewracać się będzie powoli, jej upadek nie wywoła dużej fali.

Kiedy się przewróci i zdemoluje dok, w pierwszej chwili nawet do głowy im nie przyjdzie, że zostali zaatakowani. A kiedy nastąpią wybuchy na dwóch pozostałych Kilo, w bazie nadal będzie panował chaos. Nastawimy czas detonacji na tych Kilo na dwie godziny od założenia ładunków, a wtedy będziemy już w podwodnym transporterze, w drodze powrotnej przez zatokę. Upłynie godzina, zanim się połapią i wyślą za nami kuter patrolowy. A zanim zwęszą jakiś trop, my będziemy już w łodzi podwodnej.

–Popieram – powiedział admirał. – Gdyby znaleźli instalację na stemplach, zanim zdążylibyśmy ją odpalić, cała robota poszłaby na marne. Jedno pytanie... czy zastanawialiście się już, jak dostaniecie się tak wysoko, na burtę łodzi podwodnej? To znaczy, po pierwsze, jak się tam wdrapiecie, po drugie, jak chcecie pozostać niezauważeni, po trzecie zaś, jakie ubezpieczenie przewidujecie?

Głos zabrał jeden z instruktorów w stopniu starszego bosmana:

–Z tych rysunków wynika, że stemple znajdują się dziesięć metrów nad dnem doku – powiedział. – Nie możemy się na nie wspiąć po obłych burtach łodzi podwodnej ani ryzykować spuszczenia się z góry, z galeryjki. Pozostaje więc wspinaczka na każdy stempel po linie. Użyjemy dosyć grubej, czarnej liny nylonowej z

węzłami na oparcie stopy co pół metra i z małą wytłumioną stalową kotwiczką na końcu. Kotwiczki zarzucone z dna doku na stemple, wbijają się w drewno, chłopaki wdrapią się po linach, każdy na swoją belkę, i usiądą na nich okrakiem.

Będą pracowali blisko kadłuba, jakieś dwa metry od burty. Dzięki temu wartownik nie będzie mógł ich zauważyć, chyba żeby się mocno wychylił, a tego nie robi, bo by spadł. Zresztą najprawdopodobniej będzie siedział pod kioskiem na krzeselku twarzą do rufy i drzemał.

Z przodu i z tyłu większości doków pływających są metalowe drabinki, a jedna taka znajduje się dodatkowo w połowie jego długości i prowadzi z dna na galeryjkę. Ryży, uzbrojony w pistolet z tłumikiem, usadowi się na niej na takiej wysokości, z której będzie widział głowę wartownika.

Chłopaki owiną belki jakimiś sześcioma zwojartii lontu wybuchowego. Czyli każdy będzie go potrzebował z piętnaście metrów, plus drugie piętnaście na ogon. Nasz lont jest ciemnozielony i niespecjalnie ciężki. Jest za to cienki i można go ciasno owijać. Trochę niewygodnie będzie z nim płynąć, ale nie takie rzeczy już robiliśmy.

Wdrapanie się na te stemple zajmie chłopakom najwyżej cztery minuty. Ryży, zaraz po zejściu z drabinki, podłączy wszystkie ogony do detonatora i nastawi zegar. Na maksimum dziesięć minut, jak mówi.

–Dziękuję, szefie – powiedział admirał. – Dzisiaj zaczynacie ćwiczenia?

–Nie, sir. Załatwiam dostęp do AFMD-14, tego dużego doku pływającego, który mamy tutaj, w San Diego. Stoi w nim w tej chwili łódź podwodna podparta stemplami. Spędzimy tam ze dwa dni, a po ich upływie moja grupa będzie się składała z samych mistrzów * świata w rzucie liną z kotwiczką na wysokość dziesięciu metrów.

Większość z nich już to robiła, musimy jednak wyeliminować możliwość popełnienia najmniejszego błędu. Tego by tylko brakowało, żeby któraś z kotwiczek nie zahaczyła się o stempel, spadła i narobiła hałasu. Chyba Ryży musiałby wtedy zabić tego cholernego wartownika.

–Chyba tak...

W tym momencie drzwi otworzyły się z impetem i na salę wpadł jak bomba porucznik Tommy Schwab.

–Sir! – krzyknął od progu. – Mamy szczęście. I to jakie. Atomowa łódź podwodna, jakiej potrzebujemy, to „L. Mendel Rivers”, jednostka klasy Sturgeon. Przystosowano ją niedawno do przenoszenia nowego zaawansowanego podwodnego transportera pletwonurków. Wchodziła w skład eskorty „Thomasa Jeffersona” i stoi w tej chwili na Diego Garcia.

–Idealnie – powiedział admirał. – A co z transporterem?

–Właściwie można już z niego korzystać, z tym że jest jeszcze tutaj, w San Diego. Trzeba go będzie przerzucić samolotem transportowym razem z zespołem SEAL. Ale „Mendel Rivers” jest już

'po przeglądzie i czeka w pełnej gotowości.

–Wspaniale – powiedział admirał Bergstrom i zwracając się do bosmana, który miał prowadzić trening, ciągnął: – Przystępujemy natychmiast do szkolenia chłopców z SEAL na tym nowym transporterze. Kiedy, waszym zdaniem, będą gotowi do akcji?

–Mamy do przeprowadzenia testy pływackie i obciążeniowe, plus trening wspinaczki po linie. Ćwiczenia z bronią. Ze dwa dni szkolenia na transporterze. Plus jeden dzień na skoordynowanie wszystkiego. W następnym czwartek wieczorem z San Diego na Diego Garcia leci, jak co tydzień, transportowiec C5A Galaxy. Do tego czasu będą gotowi do drogi.

–Dobra robota, szefie. Lepiej być nie mogło... aha, Tommy, zadzwoń do biura szefa operacji morskich, niech mu przekażą, co tu ustaliliśmy. Zaznacz, że to ściśle tajne informacje. On tam czeka.

–Tak jest, sir. Wylatują w czwartek wieczorem, tak?

Ogólny plan operacji został formalnie zatwierdzony przez

komandora Banforda. Ryży Bennett poinformował rutynowo swoich ludzi, że od tej chwili oficjalnie odcinają się od świata zewnętrznego. Nie wolno im nigdzie telefonować, nawet do żon i dzieci. Nie wolno pisać żadnych listów, nawet pocztówek. Nie wolno wysyłać faksów, nie wolno spotykać się z nikim niezaangazowanym w przygotowania do akcji i w szkolenie. W ten sposób eliminowało się ryzyko powstania przypadkowego przecieku.

Ludziom pozwolono na uaktualnienie albo spisanie testamentów, które będą czekały w archiwach SEAL na ich szczęśliwy powrót. Gdyby któryś nie wrócił, pozostawiony przez niego dokument nabierze mocy prawnej.

Pierwszy wieczór Ryży Bennett poświęcił na naradę z całym swoim zespołem. Analizowali akcję, dokładnie wymierzając na ma-

pach wszystkie odległości. Najwięcej uwagi poświęcili wytyczaniu trasy podwodnego transportera z „Mendel Rivers” do punktu wyczekiwania na podejściu do portu Bandar-e Abbas. Zastępca Bennetta, podporucznik David Mills z Massachusetts, miał siedzieć z przodu, za sterami transportowca. Za nim, w suchym, ale zimnym wnętrzu jednostki, zajmowało miejsca ośmiu pozostałych ludzi oddychających poprzez rurki podłączone do centralnego systemu tlenowego transportera, sunącego powoli i cicho pięć metrów pod powierzchnią oceanu.

Liczono skrupulatnie mile morskie. Zajmował się tym osobiście Ryży Bennett.

–Całkowita odległość od łodzi podwodnej do miejsca oczekiwania transportera w punkcie o współrzędnych 56, 12E/27, 07N... wynosi dwanaście koma dziewięćdziesiąt trzy mili... kurs trzy-trzy-osiem... dwie godziny trzydzieści pięć minut przy pięciu węzłach... dodać do tego trzydzieści minut na zwodowanie transportera... na dziesiątej mili mamy czerwoną latarnię, która mruga co siedem sekund i ostrzega przed długą płycizną na podejściu do portu... głębokość wynosi tam zaledwie sześć metrów... stamtąd już blisko... powinniśmy ją ominąć od prawej, w odległości jakichś siedmiuset pięćdziesięciu metrów... bardziej w prawo z kursu zejść nie możemy, bo na głębokości dziesięciu metrów, blisko kanału portowego, leży stary wrak.

Ryży Bennett, wychowany na ojcowskiej łodzi do połowu homarów, nawykły do szukania drogi w gęstej mgle, która często spowija czarowne, porośnięte sosnami wysepki u wybrzeży Maine, nigdy nie schodził z kursu. Mapy morskie czytał już w wieku, w którym inne dzieci są jeszcze na etapie bajek. Jego ojciec pochodził z wyspy Monhegan, a matka wywodziła się z Luntów, słynnej rodziny właścicieli floty łodzi do połowu homarów z Lunt Harbor na Frenchborough.

Morze miał od pokoleń we krwi. I pochodził z tych zimnych, niebezpiecznych mórz północy, gdzie często jedynie wielkie pławy z dzwonami mgłowymi lub błyskającymi światłami pozwalają uniknąć katastrofalnej w skutkach utraty orientacji i poczucia kierunku. Wystarczy przy złej pogodzie przegapić choćby jedną, a śmierć zagląda człowiekowi w oczy. Nic zatem dziwnego, że Ryży Bennett był jednym z najlepszych nawigatorów, jacy służyli kiedykolwiek w formacji SEAL.

Jego ludzie notowali skrzętnie wszystko, co mówił. Kiedy przeszedł do omawiania przebiegu akcji na terenie irańskiej bazy łodzi podwodnych, jeden z nich zaczął weryfikować każdą podawaną przez niego liczbę, drugi śledził proponowaną trasę na innej mapie... sprawdzając, sprawdzając, sprawdzając. Trzeci człowiek siedzący przy klawiaturze komputera, wprowadzał plan nawigacyjny do pliku nazwanego Operacja Odwet.

–Przypuszczalna odległość od miejsca postoju transportera do prawego falochronu... – ciągnął Ryży Bennett – pięćset metrów... kurs dwa-osiem-cztery... na tym falochronie mamy zielone światło

, nawigacyjne... może nawet je zobaczymy... skręcamy tam w prawo i jesteśmy w awanporcie... kurs zero-zero... kierujemy się do portu wewnętrznego... tysiąc trzysta metrów... trzeba to dokładnie wyliczyć... bo tu znowu skręcamy w prawo... jakieś dwieście metrów za drugim zielonym światłem, tym szybko błyskającym... pod samą ścianą głębokość nie przekracza trzech metrów... po drugim skręcie w prawo przepływamy około tysiąca metrów kursem dziewięć-zero... i jesteśmy w basenie doku pływającego... tu pięciu z nas się odłącza, żeby wejść na dok... to jakiś metr do półtora wspinaczki...

Pozostała czwórka płynie dalej kursem... do Kilo cumujących po obu stronach pirsu mają jeszcze pięćdziesiąt metrów... czyli całkowita odległość do przebycia wynosi dwa tysiące osiemset metrów... przepłyniemy ją w godzinę, potem jeszcze sto sześćdziesiąt metrów w samym basenie... uwzględniając przystanki dla zorientowania się w sytuacji... powiedzmy dziesięć minut... to daje siedemdziesiąt minut od opuszczenia transportera do zajęcia pozycji.

Skończyłtuż przed dwudziestą trzecią i poszli spać. Nazajutrz, o szóstej trzydzieści, piątka, która miała zająć się dokiem, wylatywała z instruktorem prowadzącym ćwiczenia do bazy w San Diego. Ryży zasugerował, że jego udział w treningu jest może zbędny, skoro nie ma zarzucać kotwiczek na stemple.

–A jak któremuś coś się stanie – ofuknął go instruktor – a ty nie będziesz potrafił człowieka zastąpić?

–No dobrze, a kto będzie wtedy chłopaków ubezpieczał?

–Prosta sprawa. Twój ranny człowiek, jeśli da radę wspiąć się na drabinkę, a jak nie, to nim zaczniecie, zlikwidujesz po cichu tego cholernego irańskiego wartownika.

–Rozumiem, szefie.

Tuż przed siódmą rano następnego dnia na pirs w głębi bazy San Diego, przy którym stał ogromny dok pływający „Steadfast”,

wpadł jeep marynarki wojennej. Z wozu wyskoczyło sześciu ludzi.

–No, teraz widzicie, jakie to wielkie bydlę, nie? – zaczął nie tracąc czasu instruktor. – Boczne ściany mają dwadzieścia dwa metry wysokości i ponad osiemdziesiąt metrów długości. Ten z Bandar-e Abbas jest chyba prawie identyczny, bo rosyjskie Kilo mierzą sobie osiemdziesiąt metrów.

Widzicie te dwa żurawie na szczycie ściany? Mają udźwig trzydzieści ton i znajdują się na każdym doku pływającym. Na szczycie ściany zobaczycie też wieżę kontrolną, w której siedzą wartownik z operatorem albo sam operator pełniący jednocześnie rolę wartownika. Ma przed sobą hydrozawory i urządzenia sterownicze do zalewania doku oraz zestaw* podświetlanych wskaźników, które pokazują wypoziomowanie doku na wodzie.

Działają na zasadzie spirytusowych poziomnic. Kiedy Ryży wywali dziurę w prawym zbiorniku balastowym, teoretycznie dok zacznie się przechylać. Rzecz w tym, żeby gość w wieżyczce nie od razu się połapał, co jest grane, i nie skompensował przechyłu, zalewając również zbiornik po przeciwnej stronie. Ale nie wydaje mi się, żeby zdążył. No nic, przemyślimy to jeszcze, a teraz chodźmy na dok. Przećwiczymy kilka razy całą akcję, żeby zweryfikować plan i zmierzyć dokładnie czasy wykonywania poszczególnych czynności. Ale na początek sprawdzimy, jak nam idzie zarzucanie lin z kotwiczkami na stemple.

Cała piątka wzięła z jeepa zwoje lin i ruszyła w kierunku pomostu technicznego przycumowanego do rufy „Steadfast”. Zeskoczyli z pirsu na pomost i weszli do doku. Żaden z nich nigdy jeszcze w takim nie był. Patrząc z poziomu wody na dok i stojącą w nim łódź podwodną czuli się jak mrówki. Zatrzymali się przy łodzi i zadarli głowy. Na wysokości dziesięciu metrów względem dna doku jednostkę podpierały cztery grube, drewniane stemple.

Na początek trener kazał im wyobrazić sobie wyimaginowaną linię poprowadzoną prostopadle od stempla do dna doku i stanąć co najmniej sześć kroków od niej.

–Z tego miejsca można lepiej oszacować kąt i wyrzucić linę spod siebie tak, żeby przeleciała nad stemplem. Opadając zawisnie na belce, a wtedy wystarczy przyciągnąć ją do siebie i kotwiczka na końcu liny wbije się w drewno. Będziecie musieli szarpnąć mocno, ale z czuciem, żeby nie narobić hałasu.

Sztuka polega na tym, żeby zatoczyć kotwiczka kilka dużych kół w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara i w odpowiednim momencie puścić linę. Kwestia wprawy. No, poruczniku, pokażcie im, jak to się robi...

Ryży zajął pozycję, zakręcił ze świstem kotwiczka, zerknął w górę i puścił linę. Za nisko. Kotwiczka wzbija się na wysokość siedmiu metrów i spada na pokład z łomotem, który zwielokrotniło echo.

–No i już by było po was – stwierdził instruktor. – Musicie potrenować. Do roboty.

Członkowie SEAL zaczęli kolejno ćwiczyć przerzucanie liny nad stemplem. Tylko jednemu udało się to za pierwszym razem, rale za drugim już spudłował. Po siedmiu godzinach nieprzerwanego treningu doszli jednak do takiej wprawy, że niemal każdą próbę wieńczyło powodzenie.

–Z tym jest tak, jak z jazdą na rowerze – powiedział instruktor. – Jak raz podłapiesz w czym rzecz, już tego nie zapomnisz. Coraz lepiej, panowie, ale nie puszczę was stąd, dopóki każdy nie przerzuci mi liny przez belkę sześć razy pod rząd bez pudła. Jedno chybiecie i zaczynacie wszyscy od początku. Chcę widzieć trzydzieści celnych rzutów jeden po drugim.

–Nie korciło pana nigdy, żeby zostać trenerem koszykarzy? – spytał jeden z członków SEAL.

–Pewnie, że korciło, ale tylko za dobre pieniądze... Pudło... od rana to samo... za nisko... bo puszczacie o ułamek sekundy za wcześnie... skoncentrujcie się... trzy obroty ze stałym rytmem i puszczamy. Raz! Dwa! Trzy!... P u ś ć!... Widzisz?... przeleciała... a ty gdzie?... jeszcze pięć razy...

ł

*

Do admirała Morgana, który w Fort Meade analizował wciąż hipotezę Morza Czarnego, dotarł raport od admirała Sadowskiego z Pearl Harbor. Raport został złożony przez pilota marynarki wojennej z Diego Garcia, porucznika Joe'ego Farrella. Farrell twierdził, że 28 czerwca o godzinie 11.30 tysięcy mil na południe od Grupy Uderzeniowej zauważył na wodzie coś, co jego zdaniem było „piórem” łodzi podwodnej.

Widział ten biały ślad wyraźnie. Po wylądowaniu na lotniskowcu natychmiast zgłosił swoje spostrzeżenie kapitanowi Bald-

ridge'owi. Potem, stosując się do specjalnego polecenia oficera operacyjnego grupy, złożył oficjalny raport w centrum dowodzenia okrętu, podając dokładną godzinę zaobserwowania i pozycję domniemanej łodzi podwodnej.

Dane te naturalnie przepadły, ale na szczęście porucznik Farrell wpisał szczegóły do książki lotów, zaznaczając dodatkowo, że w drodze powrotnej na Diego Garcia niczego już nie zauważył. Właśnie kopia tego raportu obudziła jakieś przeczucia Arnolda Morgana, który przebywał aktualnie w swoim centrum dowodzenia.

Pochylał się nad wielką mapą przypiętą do uchylnej deski, skąpaną w blasku silnej lampy. W rękę trzymał cyrkiel nawigacyjny i mierzył odległość od Cieśniny Gibraltarskiej do punktu, który 28 czerwca o 11.30 leżał tysiąc mil na południe od Grupy Uderzeniowej. Naniósł ten punkt na przecięciu współrzędnych geograficznych 9N, 67E.

Zakończył pomiar. Przeliczył skalę: odległość od Cieśniny Gibraltarskiej do punktu, w którym porucznik Farrell widział rzekomo łódź podwodną, wynosiła dokładnie dziesięć tysięcy osiemset mil. Wszyscy byli zgodni co do tego, że łódź przez całą drogę musiała płynąć na głębokości peryskopowej z szybkością ośmiu węzłów, na pewnych odcinkach, jeśli w pobliżu nie było żadnego statku, trochę szybciej, i dwa razy zatrzymywała się celem zatankowania paliwa. Oznaczało to, że dziennie pokonywała średnio dwieście mil.

Admirał Morgan podzielił dziesięć tysięcy osiemset przez dwieście i wyszły mu pięćdziesiąt cztery dni. Następnie poszukał w swoich aktach dokładnej daty uchwycenia przez operatora z Gibraltaru kontaktu z przechodzącym przez cieśninę tajemniczym pięcioskrzydłowcem. 5 maja, godzina 4.38. Od 5 maja do 31 maja było 26 dni. Dodał do tego 28 dni czerwca i otrzymał dokładną datę obserwacji dokonanej przez porucznika Farrella - 28 czerwca, godzina 11.30. Pozycja 9N, 67E.

– Nieźle, jak na zwyczajny zbieg okoliczności – wywarczał pod nosem admirał. Nie zawracał sobie głowy sięganiem po telefon. – Spróbuj jeszcze raz złapać Ranków a! – ryknął do swojego adiutanta przez zamknięte drzwi. – I nie daj się splawić byle czym!

A nawiązanie tego kontaktu, o czym adiutant nie wiedział, w miarę upływu dnia stawało się coraz trudniejsze i coraz bardziej

kłopotliwe. Bo w czasie kiedy admirał Morgan wściekał się na cały świat, admirał Witalij Ranków, prawie dwumetrowy szef rosyjskiego wywiadu marynarki wojennej, znajdował się na pokładzie zabytkowego, rozklekotanego wojskowego samolotu i leciał do miejsca położonego osiemset mil na południe od Moskwy.

Admirał Ranków nie cierpiał samolotów prawie tak samo jak morskich tajemnic. W tej chwili nie cierpiał również namolnego, porywczego i irytująco wpływowego szefa wywiadu amerykańskiego, Arnolda Morgana. Wszystko to razem wzięte sprawiało, że Rosjanin był rozdrażniony trzy razy bardziej niż zazwyczaj podczas powietrznych podróży nad własnym krajem.

Ze wszystkich oficjeli obcych państw tylko admirał Morgan miał czelność pohukiwać na Rankowa, a potem mu grozić.

–Wszystko można załatwić na dwa sposoby, Ranków -zagroził mu swego czasu. – Po dobroci albo na chama. Jeśli w ciągu godziny nie zrobisz, jak mówię, dzwonię do mojego prezydenta, każę mu dzwonić do twojego prezydenta, i zobaczymy, jak na tym wyjdiesz.

Admirał Ranków trzasnął wtedy słuchawką przekonany, że Amerykanin blefuje. Dwie godziny później tłumaczył się już gęsto na Kremlu przed swoim prezydentem i o mały włos nie wyleciał z posady.

I teraz Morgan znowu, po raz drugi w ciągu dwóch lat, załazi mu za skórę. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny chyba z osiem razy wydzwaniał do biura admirała Rankowa i zrugął czterech adiutantów. Rosyjski admirał bardzo dobrze wiedział, o co mu chodzi; od dziesięciu dni suszył mu głowę tym samym pytaniem: czy znaleźliście już tę cholerną Kilo, o której mówiłeś, że zatonała przed dziesięcioma tygodniami na Morzu Czarnym? A przecież on sam bardzo by chciał wiedzieć, czy marynarz, którego ciało znaleziono u brzegów jakiejś greckiej wysepki, rzeczywiście należał do załogi zaginionej łodzi podwodnej.

W ostatniej rozmowie telefonicznej admirał Morgan zażądał udostępnienia listy załogi. Rejestr taki prowadzi każda współczesna marynarka wojenna na wypadek katastrofy na morzu. Sęk w tym, że lista członków załogi zaginionej Kilo, wstyd przyznać, nie była wiarygodna.

Dowództwo floty czarnomorskiej było rzeczywiście do niczego. Mało, że nie zorganizowali akcji ratowniczej, to jeszcze nie

mogli znaleźć wraku Kilo. Nie potrafili nawet ustalić nazwiska topielca. A teraz ta afera z listą załogi.

Księga przechowywana w bazie zawierała, co prawda, pełną listę załogi, ale najwyraźniej z wychodzącej w morze łodzi podwodnej nie nadeszło jej uaktualnienie – z zaznaczeniem ewentualnych członków załogi nie wypływających w rejs oraz ludzi, którzy znajdowali się na pokładzie, ale nie byli wciągnięci na LZ. Tym samym cały system padł: każde nazwisko było teraz wątpliwe. Bez tego ostatniego meldunku z Kilo żadne nazwisko nie było pewne, a lista, którą dysponowali, była zbyt podejrzana, by się na niej opierać. Przecież ten nieszczęsny topielec mógł być równie dobrze dezercerem.

A ten skubany Amerykaniec wisi teraz na telefonie i tylko patrzeć, jak jego, admirała Witalija Rankowa, rosyjski prezydent i licho wie kto jeszcze znowu wezwie na Kreml na dywanik.

Dlatego właśnie leciał teraz rozlatującym się samolotem na leżące na kaukaskich równinach lotnisko Aeroflotu w południowym rosyjskim mieście Krasnodar.

Było to również cywilne lotnisko najbliższe portu w Noworosyjsku, gdzie marynarka wojenna toczyła nie kończące się dyskusje nad możliwością zlokalizowania tam nowego dowództwa rosyjskiej floty czarnomorskiej. Długi, żmudny proces przeprowadzki z historycznego Sewastopola, znajdującego się dwieście pięćdziesiąt mil na zachód w niepodległej od niedawna Ukrainie, od ośmiu lat doprowadzał wszystkich do szału, a nic jeszcze nie zrobiono i w opinii admirała Rankowa na tym się skończy.

Najgorsze, że nikt nie wiedział, czym się ma zajmować ani czego się od niego oczekuje. W tym ogólnym bałaganie nie lada problem stanowiło choćby znalezienie kogokolwiek. Ilekroć szukało się jakiegoś wyższego oficera z floty czarnomorskiej, to ten albo był akurat w Sewastopolu, albo w stoczni w Nikołajewie i podziwiał rozgrzebany lotniskowiec, którego budowa nigdy nie zostanie ukończona, albo spacerował po Noworosyjsku, rozprawiając o projektach, na realizację których nie było pieniędzy.

Po wylądowaniu na lotnisku w Krasnodarze admirała czekała jeszcze siedemdziesięciomilowa podróż samochodem.

Musi dowiedzieć się wszystkiego o zaginionej Kilo, zanim Morgan podniesie raban. Nie na żarty niepokoiły go coraz agresywniejsze naciski Morgana. Wiedział, że coś jest na rzeczy, nie

wiedział niestety co, a nie chciał, żeby podczas telefonicznej rozmowy z Waszyngtonem wyszła na jaw jego ignorancja; tym bardziej że aparat był pewnie na podsłuchu. Zrobił więc unik, wybierając się w czterogodzinną podróż tym cholernym samolotem.

Admirał Ranków usadowił się na miękkiej, wygodnej tylnej kanapie limuzyny, która po niego przyjechała. Droga przez równiny do wielkiej, stoczni na wschodnim wybrzeżu wielkiego śródładowego morza zleciała jak z bicza trząśł. Urodził się kilka mil na południe stąd, w przepięknym kurorcie Soczi słynącym ze wspaniałego klimatu i malowniczych plaż. Na północnym wschodzie * rysowało się pasmo przykrytych śnieżnymi czapami gór.

W tej chwili, wjeżdżając w miarę komfortowo do Noworo-syjska i wystawiając twarz na rozkoszne podmuchy cieplej południowo-zachodniej morskiej bryzy wiejącej od Turcji, admirał Ranków nie życzył źle nikomu. Z wyjątkiem admirała Morgana, nadawcy dwóch pilnych depech, które czekały już na niego na wartowni tymczasowego portu marynarki wojennej.

–Jezusie święty! – jęknął Witalij. – Czy ja się kiedyś uwolnię od tego pieprzonego maniaka?

*

Milcząca gromadka członków zespołu SEAL, odzianych dla odmiany w przepisowe mundury marynarki wojennej, siedziała w ogonie gigantycznego transportowca dalekiego zasięgu Galaxy, który sunął dwadzieścia pięć tysięcy stóp nad Pacyfikiem. W ładowni podniebego frachtowca stał też kontener z trzynasto-metrowym zaawansowanym podwodnym transporterem płetwonurków, wciągnięty tam po szynach windami, a obok niego skrzynie ze sprzętem bojowym niezbędnym do unieszkodliwienia irańskiej floty podwodnej.

Każdy z członków zespołu miał elastyczny, robiony na miarę, neoprenowy skafander płetwonurka zapewniający świetną ochronę termiczną. Na miarę robione były również duże płetwy. W otworze na nogę każdej znajdował się wytłoczony numer posiadacza, przydzielony mu po ukończeniu kursu podwodnej dywersji. Nosi się go z dumą przez całe życie. Kurs kończy najwyżej połowa z rozpoczynających go ludzi.

Każdy z ludzi Ryżego Bennetta wyposażony był w dwie nowoczesne maski pletwonurka, oklejone czarną wodoodporną taśmą dla przysłonięcia ich jaskrawego czerwonego i pomarańczowego koloru. Zegarka nikt na akcję nie wkładał, bowiem istniało niebezpieczeństwo, że wartownik może zauważyć światło odbite od jego lśniącej tarczy. Członkowie formacji SEAL przemieszczają się pod wodą z pomocą specjalnie dla nich skonstruowanej „deski bojowej” – małego, zaopatrzonego w dwa uchwyty pulpitu, w którym zainstalowane są kompas, głębokościomierz i mniej rzucający się w oczy zegarek. Prowadzący pletwonurek płynie trzymając przed sobą oburącz deskę bojową i nie musi ryzykować zejścia z kursu w trakcie sprawdzania godziny bądź kierunku. Ma te wskazania przed oczami, na desce.

Drugi pletwonurek płynie zazwyczaj z dłonią na ramieniu lidera. Obaj przebijają nogami i liczą. Formacja SEAL wypracowała na swój użytek specyficzną metodę oceny odległości. Jeśli ktoś ma, na przykład, przepłynąć trzysta metrów, a wie, że z każdym machnięciem płetwą przemieszcza się, dajmy na to, o trzy metry do przodu, to po wykonaniu setnego wymachu wie, że dotarł do celu. Instruktorzy SEAL twierdzą, że wyszkolony podwodny dywersant nabywa niemal mistycznego wyczucia tych stosunkowo krótkich odległości.

Grupa SEAL miała wpłynąć do Bandar-e Abbas w cztery deski bojowe, czyli trzema standardowymi parami i lider całego zespołu, Ryży Bennett, prowadzący za sobą dwóch ludzi. Każdy z nich będzie miał przy sobie duży nóż bojowy najbardziej odpowiadającego mu typu. Na ręczną broń palną wybrano do tej misji karabinek samoczynny MP-5, produkcji czołowej niemieckiej firmy zbrojeniowej Heckler Koch, broń niezawodną na małe odległości. Wydane zostaną tylko trzy sztuki – dla Ryżego i dla dwóch ludzi, którzy mieli się wspinać po linach. Główną ochronę miały stanowić ciemne wody portu. Ogień w obrębie doku pływającego otworzą tylko w ostateczności.

Osobno złożono w ładowni cały sprzęt niszczący SEAL – pięć min dywersyjnych i jedna zapasowa, ukształtowanych tak, by cały impet eksplozji skierowany był ku górze, oraz zwoje lontu wybuchowego pocięte na dwudziestopięciometrowe odcinki. W jeszcze jednej drewnianej skrzyni spoczywały specjalnie przygotowane czarne nylonowe liny wspinaczkowe. Ryży Bennett miał oprócz tego dwa małe radia MX300 Motoroli oraz dwa kompaktowe

cyfrowe odbiorniki systemu globalnej nawigacji, które z dokładnością do pięciu metrów wskazują pozycję w każdym zakątku kuli ziemskiej. Niestety te odbierające sygnał z satelitów elektroniczne urządzenia uważane przez zespoły SEAL za dar niebios nie działały zbyt dobrze pod wodą.

Porucznik Bennett zdawał sobie sprawę, że podstawową bronią w tej konkretnej misji jest zachowanie ostrożności, działanie z zaskoczenia, przebiegłość i umiejętności. Miał nadzieję, że wystarczą im siła, inteligencja i zachowanie ciszy, że obejdzie się bez nadzwyczajnych środków pomocniczych.

Zespół SEAL z Coronado wylądował w amerykańskiej bazie, na Diego Garcia w sobotę 27 lipca o godzinie dwudziestej pierwszej. Dystans trzynastu tysięcy mil przebyli w trzydzieści cztery godziny, wliczając w to krótki przystanek na tankowanie w Pearl Harbor.

Po lekkiej kolacji położyli się spać. Nazajutrz o szóstej rano wychodzili w morze na pokładzie USS „L. Mendel Rivers”, by po przepłynięciu dwóch tysięcy sześciuset mil na północ znaleźć się u wrót cieśniny Ormuz; pięć i pół dnia drogi z szybkością dwudziestu węzłów.*

Wiedzieli, że będzie im ciasno, bo do takiej misji, wymagającej stałej pełnej gotowości bojowej, niezbędna była obecność wszystkich stu siedmiu marynarzy i dwunastu oficerów stanowiących załogę 4500-tonowej atomowej łodzi podwodnej. Na szczęście, „Mendel Rivers” została specjalnie przystosowana do przewozu plutonu SEAL. Każdy z nich będzie miał swoją koję, a komandor Banford już się zainstalował na pokładzie.

Obudzili *się -po sześciu godzinach snu. Był ciepły, pogodny poranek niedzielny. Minie ponad tydzień, zanim znowu ujrzą światło dnia. Kiedy słońce wznosiło się ponad wschodni horyzont Oceanu Indyjskiego, sprzęt mieli już spakowany i załadowany. Stali na nadbrzeżu i patrzyli na olbrzymią kopułę na pokładzie za kioskiem. Kryła ich miniaturową łódź podwodną. Kiedy oni spali, pracująca całą noc ekipa dokerska wylądowała ją z samolotu, wyjęła z kontenera i przeniosła na pokład. Jednostka była teraz gotowa do generalnej próby technicznej. Dave Mills, gdyby nie został już przeszkolony w zakresie sterowania tym nowym podwodnym transporterem, miałby na nauczenie się tego pięć dni.

Znali scenariusz. O wyznaczonej godzinie wdrapią się po drabinie z głównej łodzi podwodnej do śluzy, a stamtąd na pokład

maleńkiego transportera i zamkną za sobą właz. Sprawdzą instalację tlenową i zaleją służę. Czterech nurków zepchnie transporter w ocean na głębokości około dziesięciu metrów. Porucznik Mills włączy silnik i ruszą w niewygodną trzynastomilową podróż w poprzek cieśniny, która oddziela Kiszm od Bandar-e Abbas.

Ludziom podróżującym transporterem podwodnym dokucza zawsze przeraźliwy chłód, ponieważ powietrze, którym oddychają, dostarczane jest bezpośrednio z ciśnieniowej butli, i chociaż sztucznie wytworzone warunki atmosferyczne panujące we wnętrzu tej miniaturowej łodzi podwodnej są zbliżone do normalnych, to temperatura znacznie spada. Ale ludzie z SEAL byli na to przygotowani.

Pierwsze trzy dni podróży w kierunku Morza Arabskiego upłynęły spokojnie. Podwodniacy wiedzieli, że wiozą elitę bojowych oddziałów marynarki Stanów Zjednoczonych, a członkowie SEAL, że podróżują z najlepiej na świecie wyszkoloną załogą – z oficerami, którzy są również naukowcami w dziedzinie techniki jądrowej, z ludźmi mającymi w małym palcu całą wiedzę o pociskach kierowanych, z ludźmi, którzy potrafią bezbłędnie diagnozować odgłosy oceanu, zwęszyć niebezpieczeństwo we wszystkich jego postaciach, często na odległość wielu mil.

W nocy z czwartku na piątek podniecenie zaczęło rosnać. Komandor Banford walczył plan dopóty, dopóki-każdy z członków SEAL nie znał go na pamięć. W piątek po wczesnym lunchu poszli spać. Do ostatecznych przygotowań mieli przystąpić o siedemnastej trzydzieści, by o godzinie osiemnastej czterdzieści pięć z przypiętymi aparatami tlenowymi Draegera, minami dywersyjnymi, zwojami lontu wybuchowego, linami, kotwiczkami, nożami, karabinkami automatycznymi i zabezpieczonymi przed działaniem wody magazynkami znaleźć się w pełnej gotowości do akcji. Oficjalny początek misji wyznaczono na godzinę dziewiętnastą. Z jej wybicciem, czyli tuż przed zmierzchem, dziesięciu ludzi z SEAL miało przejść na pokład podwodnego transportera.

Przez ostatnie dziewięćdziesiąt minut instruktorzy i podoficer, który prowadził szkolenie, nie odstępowali ich na krok. Rozmawiano niewiele, a jeśli już, to o niczym, jakby fiasko akcji nie wchodziło w ogóle w rachubę. Każdy na swój sposób nastawiał się psychicznie i kącik zespołu SEAL na łodzi podwodnej przypominał szatnię mistrza świata wagi ciężkiej. Panowała w nim atmo-

maleńkiego transportera i zamkną za sobą właz. Sprawdzą instalację tlenową i zaleją służę. Czterech nurków zepchnie transporter w ocean na głębokości około dziesięciu metrów. Porucznik Mills włączy silnik i ruszą w niewygodną trzynastomilową podróż w poprzek cieśniny, która oddziela Kiszm od Bandar-e Abbas.

Ludziom podróżującym transporterem podwodnym dokucza zawsze przeraźliwy chłód, ponieważ powietrze, którym oddychają, dostarczane jest bezpośrednio z ciśnieniowej butli, i chociaż sztucznie wytworzone warunki atmosferyczne panujące we wnętrzu tej miniaturowej

łodzi podwodnej są zbliżone do normalnych, to temperatura znacznie spada. Ale ludzie z SEAL byli na to przygotowani.

Pierwsze trzy dni podróży w kierunku Morza Arabskiego upłynęły spokojnie. Podwodniacy wiedzieli, że wiozą elitę bojowych oddziałów marynarki Stanów Zjednoczonych, a członkowie SEAL, że podróżują z najlepiej na świecie wyszkoloną załogą – z oficerami, którzy są również naukowcami w dziedzinie techniki jądrowej, z ludźmi mającymi w małym palcu całą wiedzę o pociskach kierowanych, z ludźmi, którzy potrafią bezbłędnie diagnozować odgłosy oceanu, zwęszyc niebezpieczeństwo we wszystkich jego postaciach, często na odległość wielu mil.

W nocy z czwartku na piątek podniecenie zaczęło rosnać. Komandor Banford walczył plan dopóty, dopóki Jcaždy z członków SEAL nie znalazł go na pamięć. W piątek po wczesnym lunchu poszli spać. Do ostatecznych przygotowań mieli przystąpić o siedemnastej trzydzieści, by o godzinie osiemnastej czterdzieści pięć z przypiętymi aparatami tlenowymi Draegera, minami dywersyjnymi, zwojami lontu wybuchowego, linami, kotwiczkami, nożami, karabinkami automatycznymi i zabezpieczonymi przed działaniem wody magazynkami znaleźć się w pełnej gotowości do akcji. Oficjalny początek misji wyznaczono na godzinę dziewiętnastą. Z jej wybiciem, czyli tuż przed zmierzchem, dziesięciu ludzi z SEAL miało przejść na pokład podwodnego transportera.

Przez ostatnie dziewięćdziesiąt minut instruktorzy i podoficer, który prowadził szkolenie, nie odstępowali ich na krok. Rozmawiano niewiele, a jeśli już, to o niczym, jakby fiasko akcji nie wchodziło w ogóle w rachubę. Każdy na swój sposób nastawiał się psychicznie i kącik zespołu SEAL na łodzi podwodnej przypominał szatnię mistrza świata wagi ciężkiej. Panowała w nim atmo-

sfera skupienia, jakby z rozmysłem nie dopuszczali do siebie lęku przed nieznanym, gdzie być może czeka ich śmierć.

W innych sekcjach łodzi podwodnej załoga trwała na stanowiskach. Oficer nawigacyjny prowadził jednostkę w kierunku punktu oczekiwania na skraju głębokiej wody... pięćdziesiąt metrów na echosondzie. Pozycja 26,57N 56,19E. Szybkość pięć węzłów.

Kapitan wydał rozkaz wzniesienia się na głębokość peryskopową i chwycił za rączki wysuwającego się ze studzienki peryskopu. Wysłany został trzysekundowy zakodowany elektronicznie sygnał, który odbiorą poprzez satelitę operatorzy na Diego Garcia, zaobserwowano również mrugające pięćset metrów od lewej burty światło ostrzegające przed płycizną na podejściu do portu Kwesz. Po dwunastu sekundach peryskop „Mendel Rivers” był już z powrotem w studziencie.

Na statku zapanowała napięta cisza. Członkowie SEAL z twarzami uczernionymi wodoodpornym smarem zaczęli się wspinać do śluzy. Od opuszczenia Diego Garcia ćwiczili to po trzy razy dziennie. Zwinnie, jeden po drugim, prześliznęli się przez jeden właz, a potem przez drugi, prowadzący do podwodnego transportera. Ryży i porucznik Mills zajęli dwa wydzielone przedziały na dziobie przeznaczone dla sternika i nawigatora. Zalanie śluzy poszło błyskawicznie, za to odłączenie transportera od łodzi podwodnej zajęło więcej czasu, niż przewidywano. Czterem nurkom udało się wreszcie zepchnąć miniaturową łódź podwodną w głąbie, odczepili ją i wypłynęli z powrotem do śluzy. Dopiero wtedy porucznik Mills uruchomił silnik elektryczny transportera.

Ruszyli o dziewiętnastej trzydzieści siedem kursem trzy-trzy-osiem. Gdyby go utrzymali, dotarliby jak po sznurku do punktu zrzutu przed wejściem do portu Bandar-e Abbas. Ryży, pełniący obowiązki nawigatora, prowadził porucznika Millsa wzdłuż płycizn od wschodniej strony wyspy Kwesz. Szli na głębokości pięciu metrów.

Obaj nic nie widzieli w ciemnej wodzie i płynęli według przyrządów. Ośmiu ludzi z SEAL zajmujących miejsca za plecami liderów, choć mogło rozmawiać i słyszeć się wzajemnie, ograniczało konwersację do absolutnego minimum. Pod wodą każdy dźwięk ulega zwielokrotnieniu.

Pierwsze dwie godziny podróży upłynęły szybko, ale kiedy na dwie mile przed wejściem do portu porucznik Mills wynurzał transporter, by zorientować się lepiej w położeniu, ciasnota wszy-

SURU

wrak

SZCZEGÓŁOWY PLAN PORTU

radary

dok pływający

PODEJŚCIA DO BAZY IRAŃSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ W BANDAR-E ABBAS

IRAN

zachodni falochron

Rejon oczekiwania – transportera podwodnego

bhhs

KWESZ

Rejon oczekiwania Mendel Rivers

BANDAR-E ABBAS

0_I!_

Mile morskie

JAZIREH-YE QUESHM

279

stkim dawała się już we znaki. Ominęli wielką piaszczystą łacę, która rozciąga się przed samym wejściem, i płynęli dalej. Mijały minuty.

–No, chłopaki – rozległ się wreszcie cichy głos Ryżego Ben-netta. – Jesteśmy na miejscu.

Dotarli na pozycję 56,12E 27, 07N.

–Opadamy na dno – zakomunikował Dave Mills. – Znajduje się tutaj na głębokości trzynastu metrów. Przygotować się do zalania przedziałów rufowych. Podłączyć przewody tlenowe, podregulować draegery, włożyć i zapiąć płetwy.

Regulując zawory, wsuwając stopy w płetwy, zapinając je i mocując czuli, jak mały stateczek

opada i osiada na dnie. Kiedy dali znak, że są gotowi, porucznik Mills otworzył sterowany elektronicznie zawór i woda morska zaczęła zalewać większą śluzę oraz maleńki przedział zajmowany przez Ryżego Bennetta.

Pozostaną zalane aż do ich powrotu z akcji. Zalaniu nie podlegał tylko mały kokpit, w którym porucznik Mills będzie czekał na swoich pasażerów.

Członkowie SEAL siedzieli jak złote rybki w akwarium, czekając aż ciśnienie we wnętrzu transportera zrówna się z zewnętrznym. Kiedy to nastąpiło, otworzyli trzy włazy i jeden po drugim wypłynęli na zewnątrz. Prowadził Ryży, trzymając przed sobą swoją „deskę bojową”. Oswoiwszy się z wodą, wyrównał oddech i wzniósł się na operacyjną głębokość czterech metrów. Tlenu w draegerze starczało na cztery godziny i każda czynność musiała być wykonywana spokojnie i na luzie. Gwałtowne, nerwowe ruchy mogły doprowadzić do wyczerpania zasobów aparatu w ciągu godziny.

Ryży poczuł na ramionach dotyk dłoni dwójki kolegów. Sześciu pozostałych zajmowało pozycje tuż za nimi. Odpychając się długimi, miarowymi wymachami płetw rudowłosego porucznika z wybrzeża Maine ruszył ku łodziom podwodnym ajatollaha.

Płynął według kompasu kursem dwa-osiem-cztery. Do pierwszego skrzyżowania mieli pięćset metrów. Żył nadzieję, że uda mu się dokładnie oszacować odległość na podstawie liczby wymachów płetw i po jej przebyciu zobaczy spod wody błyskające zielone światło na końcu falochronu. Jeśli go nie zobaczy, będzie musiał wystawić głowę nad powierzchnię i skorzystać z odbiornika satelitarnej nawigacji globalnej. W głębinach rozjaśniło się

neco. To wszedł księżyc. W tych warunkach będzie może widać kanał prowadzący do portu.

Założonych pięćset metrów przebyli w niecałe piętnaście minut. Przez zadziwiająco przezroczystą wodę Ryży zaobserwował zielone rozbłyski. Można by pomyśleć, że lampa znajduje się bezpośrednio nad ich głowami, ale on wiedział, że to złudzenie wynikające z załamania się światła w wodzie i w rzeczywistości są pięćdziesiąt metrów od niej. Skręcił siedemdziesiąt sześć stopni na północ i mając na kompasie wskazanie zero-zero wpłynął do awan-portu. Do drugiego błyskającego światła mieli tysiąc sto metrów. Musiał się skoncentrować. Dochodziła dwudziesta druga trzydziści. Dotrą tam około dwudziestej trzeciej. Następných dwieście metrów pokonają kanałem, trzymając się z dala od płyczn.

Płynęli, poruszając miarowo płetwami i oddychając, tak jak ich uczono. Dopiero teraz, znalazłszy się na wrogim terytorium, uświadamiali sobie w pełni, że brutalny trening, jaki przeszli – te lata biegania, pływania, wspinania się i wprawiania w sztukach walki, podczas których załamało się tyłu ich kolegów – opłacił się.

Oni się nie załamali. Jeśli dawało o sobie znać zmęczenie, każdy z nich zaciskał zęby i mobilizował zapasy siły woli. Duma i odwaga nie pozwalały im się poddać.

Minęli światło i płynęli dalej do punktu, w którym skręca o dziewięćdziesiąt stopni i wpłyną do portu wewnętrznego. Ryżego zaczynały łapać kurcze, ale wiedział, że musi wykonać płetwami jeszcze trzysta wymachów i utrzymać miarowy oddech. Patrzył skoncentrowany w dół i liczył. Świdrujący ból przeszywający oba uda narastał.

Odliczył już dwieście pięćdziesiąty wymach i nadal czuł za plecami obecność podążających za nim ciasną gromadką kolegów. Ostatnia minuta wlokła się jak godzina. Bardziej wyczuł, niż zobaczył długą rozmazaną linię w wodzie na wprost. Dopłynął do niej... i zatrzymał się. Był to gruby łańcuch kotwiczny. Ryży wypłynął na powierzchnię i rozejrzał się. Znajdował się w cieniu olbrzymiego doku pływającego i nie widział na nim żadnych świateł. Łańcuch wznosił się ku rufie doku od strony basenu. Od strony nadbrzeża było jeszcze ciemniej. Dostrzegł tam pomost techniczny, na który musiała prowadzić drabinka.

Wysoko nad głową zobaczył długie na trzy metry skrzydła w kształcie tureckiej szabli – było ich pięć. Śruba napędowa łodzi podwodnej klasy Kilo rosyjskiej produkcji.

Ryży zanurkował z powrotem, podpłynął do rufy doku i wspiał się na pusty, nieoświetlony pomost. Zaczekał na czterech ubranych na czarno kolegów. Porozumieli się bez słów. Odpięli płetwy i niosąc je w rękach wśliznęli się do ogromnej pieczary doku. Oświetlała ją pojedyncza lampa łukowa zawieszona dokładnie nad łodzią podwodną, jakieś dwadzieścia metrów nad dnem doku. Łódź rzuciła pod siebie gigantyczny owalny cień. Górowała nad nimi precyzyjnie wyważona, wielka jak nowojorska kamienica.

Czwórka członków SEAL odpięła ciężkie aparaty Draegera i złożyła je wraz z płetwami w ciemnym kącie. Gdyby jakiś przechodzący wartownik choćby zerknął w ten kąt, przestreliliby mu głowę z wytłumionego MP-5. Tracąc draegery i płetwy utknęliby na tym wroгим, zakazanym terytorium.

Odbyli szeptem krótką naradę. Czterech ludzi przeprowadzi, szybki rekonesans, a potem przygotuje liny wspinaczkowe i lonty wybuchowe. Ryży przebiegł cicho na prawą burzę, założył płetwy i bezszelestnie zsunął się do wody. Zamiast deski bojowej trzymał teraz w rękach minę dywersyjną. Zlokalizował bez trudu swój cel i podczepił minę pod spód kadłuba. Podłączył koniec lontu wybuchowego do zapalnika i skierował się ku powierzchni, rozwijając za sobą lont.

Wychynął spod wody w samym narożu doku, związał drugi koniec lontu z odcinkiem podanym mu przez jednego z jego ludzi, przepłynął na lewą stronę pomostu i wspiał się na niego. Znalazszy się z powrotem w doku zdjął płetwy oraz aparat Draegera i sprawdził magazynek w swoim MP-5.

Cała piątka szeptem wymieniła informacje.

–Na łodzi jest wartownik z pistoletem maszynowym... siedzi za kioskiem na krzeselku, twarzą do rufy... i jest jeszcze ktoś na górze, w tej wieżyczce w lewym rogu... Nie rusza się, ale wyskoczy stamtąd, kiedy lonty wybuchowe detonują i przełamią na pół stemple...

Widzieli swoje cztery drewniane cele dziesięć metrów nad głowami. Podpierały wielką łódź podwodną i rysowały się wyraźnie w blasku lampy łukowej.

–Za jasno tu... trzeba będzie pracować przy samym kadłubie... albo zastrzelić na wstępie tych dwóch kutasów... na ścianie doku jest drabinka, dokładnie tam gdzie przewidywaliśmy... pośrodku... będzie pan miał z niej dobry widok, poruczniku... niech pan uważa

na tego skurczybyka z rozpylaczem... jeśli gość się obudzi i choćby podrapie po jajach, to już po nim...

Ryży Bennett wspinał się zwinnie po drabince. Fakt, było za jasno. Ale osłonę dawał cień Kilo. Nie wysuwając się z niego widział głowę wartownika. Przełożył rękę przez szczebel drabinki, żeby mieć wolne dłonie, sprawdził karabinek i wziął na cel czoło drzemiącego dwadzieścia metrów od niego wartownika.

Oderwał lewą rękę od broni i układając palce wskazujący i środkowy w znak V podniósł je do oczu, co oznaczało, że ma wroga na muszce. Następnie uniósł lewą rękę z wystawionym w górę palcem wskazującym. „Naprzód”. Niemal natychmiast usłyszał cichy świst czterech kręconych zgodnie z ruchem wskazówek zegara lin z kotwiczkami na końcu. Śmignęły jednocześnie w górę i przeleciały każda nad swoim stemplem. Opadły cicho jak babie lato. Ryży obserwował z napięciem, jak ludzie ściągają liny do siebie. Serce zabiło mu szybciej, kiedy czarne stalowe haki dotknęły belek, by zaraz wbić się w nie mocno. Jak dotąd bezszmerowo. Żadnego zagrożenia. Jak na razie.

Ryży skoncentrował się na swoim zadaniu, czyli na obserwowaniu wartownika, ale kątem oka widział pajęczynę rur i sprzętu oplatającą kadłub. Ziały w nim wielkie dziury, w miejscach, gdzie z wnętrza wymontowywano jakieś duże elementy, brakowało całych płyt poszycia. Remont tej łodzi podwodnej musiał trwać już dobre pół roku. Niemożliwe, żeby przed dwudziestoma czterema dniami wróciła z Zatoki Arabskiej.

W zalegającym poniżej mroku dostrzegał kolegów pnących się ostrożnie, ale pewnie po linach. Do stempli dotarli równocześnie i w groteskowym powietrznym balecie równocześnie przerzucili nad nimi nogi.

Ściskając belki kolanami jak dżokeje, pochylili się w przód, głębiej w cień Kilo, i zaczęli wciągać na górę pozostawione na dnie lonty wybuchowe. Niełatwo było owinać belkę sześć razy lontem, przytrzymując jednocześnie jego zwisający w dół koniec.

Człowiek na drugim stemple popełnił błąd. Na ułamek sekundy stracił równowagę. Wyćwiczonym ruchem wepchnął sobie błyskawicznie lont w usta i przygryzając go zębami uchwycił się belki oburącz, żeby nie runąć z dziesięciu metrów. Świadomość, że ciała żadnego poległego członka SEAL nigdy nie pozostawia się na polu walki, przegrywała z bezwarunkowym odruchem ratowania życia.

Ale drugi, dłuższy koniec lontu poleciał w dół i wylądował z hukiem na metalowym dnie doku. Hałas rozdzierający niespodziewanie ciszę zmroził całą piątkę.

Ryży Bennett poderwał zaciśniętą w pięść dłoń i rozprostował palce. W języku migowym SEAL oznaczało to „nie ruszać się”. Ale uzbrojony wartownik na łodzi podwodnej podnosił się już z krzeselka, kierując lufę pistoletu maszynowego w stronę znieruchomiałych członków SEAL.

–Hej! Kto tam? – zawołał. I były to ostatnie słowa w jego życiu. Pocisk wystrzelony przez porucznika Ryżego Bennetta trafił go między oczy i odrzucił razem z krzesłem w tył na kiosk łodzi podwodnej.

Tłumik niemieckiego karabinka spełnił swoje zadanie. Przy-* wierający do stempli ludzie usłyszeli tylko ciche, znajome „pyk”, a zaraz potem głuchy łomot. Już bez jednego szmeru dokończyli owijanie stempli lontami. Sześć jego zwojów wystarczało do przecięcia tych grubych dębowych pali na dwoje.

Ryży zaczekał, aż cała czwórka spuści się po nylonowych linach na dół, a potem sam zszedł z drabinki, bez słowa oddał jednemu z ludzi swój karabinek i przystąpił do roboty. Zebrał wszystkie cztery zwisające końcówki lontu wybuchowego i skręcił je ze sobą. Do tego „świńskiego ogonka” przywiązał koniec lontu, który przeciągnął od miny dywersyjnej podczepionej pod dokiem. Następnie wyjął z kieszeni jeszcze jeden odcinek lontu wybuchowego, wepchnął go między pozostałe i całość okręcił mocno taśmą.

Ten ostatni odcinek podłączył do mechanizmu zegarowego, po czym nastawił zegar precyzyjnie na dwadzieścia minut. Żadnych pomyłek. Żadnego ryzyka. Lont wybuchowy pali się z szybkością pięciu mil na sekundę – kiedy skręci się go w wiązkę, tak jak zrobili to na stemplach, wybucha ze znaczną siłą. Wyczułone uszy członków SEAL wychwyciły tykanie niemal bezszmerowego zegara.

–Mamy dziesięć minut na odwrót – szepnął lider. – Spierdalamy.

Przemknęli gęsiego w mroczny kąt po lewej i nałożyli tam pletwy. Zarzucili na plecy aparaty Draegera i odkręcili zawory, a trzech przymocowało sobie do grzbietów karabinki. Następnie naciągnęli na twarze maski i oddychając powoli podeszli do krawędzi pomostu. Od lustra wody dzielił ich ponad metr. Ryży, dzierżąc w jednej ręce swoją deskę bojową, a drugą przytrzymując

się pomostu, zsunął się w ciemną toń pierwszy. Na powierzchni nie powstała ani jedna zmarszczka. Pozostali poszli bezzwłocznie w jego ślady. Zanurzyli się równocześnie.

Ryży Bennett obrał kurs dwa-siedem-zero i zaczął odliczać pierwsze trzysta wymachów płetw dzielące ich od skrętu w wyjście z portu wewnętrznego. Domyślał się, i słusznie, że drugi, czteroosobowy zespół SEAL, który miał się zająć pływającymi łodziami podwodnymi, podczepił już pod nie swoje cztery miny, uzbroił je, nastawił zegary i płynie teraz przodem. Prawdopodobnie mijali dok pływający, kiedy on podłączał lont wybuchowy do mechanizmu zegarowego. '

Przebierał szybko nogami, żeby w momencie detonacji znaleźć się jak najdalej od doku, ale zdawał sobie sprawę, że dalej niż na ćwierć mili nie uda mu się odpłynąć.

Tymczasem w wieżycze doku pływającego, usytuowanej w jego lewym narożu, od strony wody, dwudziestoczteroletni starszy marynarz Karim Aila czytał książkę. Mniej więcej co pół godziny wychodził na mały balkonik i machał albo krzyczał do kolegi Alego, który pełnił wartę pod kioskiem łodzi. Nie widział go, bo Ali siedział w cieniu kiosku, ale w ciągu długiej wachty, która trwała od ósmej wieczorem do szóstej rano dnia następnego, co dwie godziny spotykali się na kawie.

Służbę w doku pełnili tylko oni dwaj, za to na nadbrzeżu znajdowała się wartownia z pełną obsadą patroli. Siedzący tam oficer dyżurny wpadał do nich czasami, ale nie za często. W doskonale zorganizowanej irańskiej marynarce wojennej, w której służy osiemnaście tysięcy ludzi, po zmierzchu następuje pewne rozprężenie.

Dziesięć minut po północy Karim usłyszał przez zamknięte drzwi jakiś hałas. Brzmiało to jak krótkie, ostre, ale jakże wyraźne trach! Jakby ktoś uderzył przekręconą na płask metalową linijką w polerowany blat. Wydało mu się też, że usłyszał dobiegający z dołu głuchy łoskot, któremu towarzyszyły stłumione wibracje. Zaintrygowany odłożył książkę, wstał i podszedł do drzwi.

–Ali! – krzyknął. Cisza. Przesunął wzrokiem po wielkiej łodzi podwodnej. Nic podejrzanego nie rzuciło mu się w oczy. Mimo to postanowił wybrać się na rundkę po górnej galeryjce doku, co czynił bardzo rzadko.

Wrócił do wieżyczki po pistolet maszynowy i ruszył długim, blisko dziewięćdziesięciometrowym pomostem, który biegł wzdłuż

lewej burty doku, pod wielkim żurawiem. Nie dostrzegł skurzonego ciała martwego przyjaciela pod kioskiem. Na końcu galeryjki skręcił w wąski pomost biegnący w poprzek doku. Pod sobą miał nieruchomy dziób łodzi podwodnej. Skręcił w galeryjkę ciągnącą się wzdłuż prawej burty i przeszedłszy nią dwadzieścia kroków zauważył brak pierwszego stempla. Wychylił się przez barierkę i zobaczył odłamek drewnianej belki leżący na oświetlanym łukową lampą dnie doku.

To było to. Stąd to „trach”, które słyszał. Spadł stempel. Karim nie tracił czasu. Wrócił biegiem do sterowni, wspiał się do niej po kręconych schodkach i chwycił za telefon. Nagle zamrł - na pulpicie mrugała czerwona lampka alarmowa sygnalizująca nabieranie wody przez prawoburtowy zbiornik balastowy. Odłóżył z trzaskiem słuchawkę i podbiegł do ekranu pokazującego wy poziomowanie doku.

–Boże!!

Dok przechylił się już o ćwierć stopnia na prawą burtę i przechylał się dalej. Karim wiedział, jak w takiej sytuacji należy postąpić. Musi wystabilizować dok, wy poziomować go, zalewając natychmiast zbiorniki lewoburtowe. Sięgnął do sterowników zaworów... ale było już za późno.

W doku działo się coś strasznego. Dolatywał stamtąd coraz większy hałas, jakieś przybierające na sile skrzywienie i rozdzierające zgrzyty.

Wypadł przez drzwi na balkonik i wlepił przerażony, zdębiały wzrok w Kilo, która drgnęła i zaczęła się coraz wyraźniej przechylać na prawą burtę. Wążący dwa i pół tysiąca ton kolos walił się na bok jak na zwolnionym filmie. Kiosk naparł szczytem na stalową ścianę doku i wyrzuszając ją na zewnątrz oderwał się od pokładu. W chwilę potem kadłub łodzi, przy akompaniamencie torturującej uszy kakofonii pękającego, prującego się metalu, runął na dno doku, wzbijając w powietrze chmurę duszącego pyłu. W zarywającej się podłodze doku zniknęła prawa strona łodzi.

Karim Aila poczuł pod stopami najpierw drżenie, a potem potężny wstrząs – to dziurą wybitą przez łódź wdarła się do doku woda. Bał się uciekać, bał się zostać na miejscu, bo wszystko wskazywało na to, że lada chwila dok przewróci się do góry dnem. Kiosk łodzi wbił się w ścianę, a nieodwracalnie zniszczony kadłub zanurzył się już do połowy. Karim nie mógł się zdecydować, czy skakać z wysokości dwudziestu paru metrów na nadbrzeże, czy

podjął próbę ewakuowania się przechyloną groteskowo galeryjką. Spojrzał w dół, odwrócił się i przytrzymując kurczowo poręczy, ruszył kroczek za kroczkiem galeryjką. Przebrnął tak piętnaście metrów i w tym momencie ogromny żuraw, ścinając dziesięciocia-lowę sworznie mocujące, oderwał się od podstawy i runął w dół przed samym jego nosem.

Potężne stalowe ramię żurawia niczym harpun przebiło dwie warstwy kadłuba leżącej na boku łodzi podwodnej, dobijając ostatecznie tego ogromnego i tak już śmiertelnie ранego wieloryba.

Dok osiadł na dnie portu i znieruchomiał. Uczepiony barierki Karim patrzył na wodę z wysokości dziesięciu metrów. Wieżyczka sterowni sterczała w górę jak bukszpryt i młody Trańczyk, doszedłszy do wniosku, że na nadbrzeże w żaden sposób się nie przedostanie, wdrapał się do niej z powrotem. Usiadł roztrzęsiony, ale bezpieczny, i z jej wyżyn potoczył nieprzytomnym wzrokiem po

krajobrazie totalnego zniszczenia.

*

Ryży Bennett płynął i liczył. Dotarli do pierwszego punktu zwrotnego i skręcili na południe, zostawiając za sobą port wewnętrzny. Godzinę po powrocie do wody Ryży skręcił ponownie w lewo. Do czekającego na nich podwodnego transportera mieli jeszcze pięćset metrów. Nasłuchiwał teraz pilnie regularnego wy-sokoczęstotliwościowego sygnału naprowadzającego. Pierwszą wiązkę „pi-da-pi-pi” wychwycił jeszcze w cieniu ściany portu i od tamtego czasu powtarzała się co trzydzieści sekund. t

Reszta była rutyną. Porucznik Mills zobaczył ich, kiedy byli już przy samym transporterze i wpływali przez otwarty właz do zalanego wciąż przedziału. Czterej ludzie, którzy zakładali ładunki pod pływające łodzie podwodne, byli już w środku i przywitali ich uniesionymi w górę kciukami. Ryży wcisnął się do swojego jednoosobowego przedziału nawigacyjnego i wszyscy pletwonurkowie chwycili za przewody powietrzne centralnego systemu tlenowego.

Dave Mills zamknął klapy włazów, usłyszeli szum pomp. Wkrótce przedział był już opróżniony z wody i napowietrzony, a mały transporter odpełzał ze swoją maksymalną szybkością pięciu węzłów od portu Bandar-e Abbas.

–Dobra robota, chłopaki – odezwał się Ryży Bennett. – Kiedy wylatują tamte dwie?

podjął próbę ewakuowania się przechyloną groteskowo galeryjką. Spojrzał w dół, odwrócił się i przytrzymując kurczowo poręczy, ruszył kroczyk za kroczykiem galeryjką. Przebrnął tak piętnaście metrów i w tym momencie ogromny żuraw, ścinając dziesięciocia-lowie sworznie mocujące, oderwał się od podstawy i runął w dół przed samym jego nosem.

Potężne stalowe ramię żurawia niczym harpun przebiło dwie warstwy kadłuba leżącej na boku łodzi podwodnej, dobijając ostatecznie tego ogromnego i tak już śmiertelnie ранego wieloryba.

Dok osiadł na dnie portu i znieruchomiał. Uczepiony barierki Karim patrzył na wodę z wysokości dziesięciu metrów. Wieżyczka sterowni sterczała w górę jak bukszpryt i młody Irańczyk, doszedłszy do wniosku, że na nadbrzeże w żaden sposób się nie przedostanie, wdrapał się do niej z powrotem. Usiadł Proztrzęsiony, ale bezpieczny, i z jej wyżyn potoczył nieprzytomnym wzrokiem po

krajobrazie totalnego zniszczenia.

*

Ryży Bennett płynął i liczył. Dotarli do pierwszego punktu zwrotnego i skręcili na południe, zostawiając za sobą port wewnętrzny. Godzinę po powrocie do wody Ryży skręcił ponownie w lewo. Do czekającego na nich podwodnego transportera mieli jeszcze pięćset metrów. Nasłuchiwał teraz pilnie regularnego wy-sokoczęstotliwościowego sygnału naprowadzającego. Pierwszą wiązkę „pi-da-pi-pi” wychwycił jeszcze w cieniu ściany portu i od tamtego czasu powtarzała się co trzydzieści sekund.

Reszta była rutyną. Porucznik Mills zobaczył ich, kiedy byli już przy samym transporterze i wpływali przez otwarty właz do zala-, nego wciąż przedziału. Czterej ludzie, którzy zakładali ładunki pod pływające łodzie podwodne, byli już w środku i przywitali ich uniesionymi w górę kciukami. Ryży wcisnął się do swojego jednoosobowego przedziału nawigacyjnego i wszyscy pletwonurkowie chwycili za przewody powietrzne centralnego systemu tlenowego.

Dave Mills zamknął klapy włazów, usłyszeli szum pomp. Wkrótce przedział był już opróżniony z wody i napowietrzony, a mały transporter odpełzał ze swoją maksymalną szybkością pięciu węzłów od portu Bandar-e Abbas.

–Dobra robota, chłopaki – odezwał się Ryży Bennett. – Kiedy wylatują tamte dwie?

–O pierwszej czterdzieści pięć – odparł zwięźle jeden z pletwonurków. – Za trzydzieści minut.

Ryży dokonał w pamięci kilku obliczeń. Irańczykom pewnie jeszcze do głowy nie przyszło, że stracili swoją Kilo wskutek jakiejś wojskowej akcji. Łódź się po prostu przewróciła. Nieszczęśliwy wypadek. Kiedy jednak nastąpią eksplozje na pozostałych dwóch, wybuchną pożary i jednostki zatoną, irańska marynarka wojenna dojdzie nieuchronnie do jednego wniosku. Pytanie tylko, jak szybko?

Komandor Banford i Ryży kilkakrotnie analizowali główne siły irańskiej marynarki wojennej. Poza tymi trzema Kilo dysponowała ona jeszcze dwoma niszczycielami rakietowymi, trzema * fregatami odkupionymi od Royal Navy, dwoma korwetami i dziewięcioma małymi łodziami podwodnymi. Do tego należało dodać całą flotyllę kutrów patrolowych obrony wybrzeża oraz chmarę jednostek pomocniczych.

Najgorsze były te fregaty. Zbudowały je pod koniec lat sześćdziesiątych renomowane stocznie brytyjskiej Vickers Corporation w Newcastle i Barrow. Te opływowe, stumetrowe vospery Mk 5 potrafiły rozwinąć szybkość do trzydziestu pięciu węzłów. Co gorsza, wyposażone były w miotacz bomb głębinowych, wielki Limbo Mark 10 wyrzucający pociski napełnione dwustoma funtami TNT. Taki wystrzelony z rufy pocisk miał zasięg ponad tysiąca metrów i wybuchał na zadanej głębokości. Przy odrobinie szczęścia był w stanie rozerwać łódź podwodną na strzępy. Ale nurka mógł uśmiercić nawet z odległości pięciuset metrów. Ryży Bennett obawiał się tych szybkich fregat i na ostatnie pół godziny drogi kazał Dabe'owi Millsowi zejść jak najgłębiej.

Irańskie fregaty były w stanie w ciągu dwudziestu minut przebyć cieśninę oddzielającą Bandar-e Abbas od wschodniego brzegu wyspy Kwesz. Ryży szacował, że postawienie na nogi załóg i wyjście w morze zajmie im około godziny – około godziny od wybuchu pod dwoma pływającymi Kilo... godziny, licząc od pierwszej czterdzieści pięć. A zatem teoretycznie pierwsza irańska bomba głębinowa wystrzelona z miotacza może spaść do wody w okolicach rejonu wyczekiwania „Mendel Rivers” już o trzeciej dziesiątej.

W tej chwili była pierwsza trzydzieści, a przed sobą mieli jeszcze dwie i pół godziny drogi. Czyli dotrą do łodzi podwodnej o czwartej. Ryży próbował żonglować liczbami, próbował wyobrazić

sobie pandemonium, jakie rozpęta się w bazie marynarki wojennej, przewidzieć, jak szybko ochłonie dowodzący tam admirał.

O tej porze nocy ocena zniszczeń powinna zająć ich specjalistom jakieś sześćdziesiąt minut, rozumował. Do tego można chyba dodać z godzinę na ruszenie tych fregat. Ale przecież największy kretyn tracący za jednym zamachem całą swoją flotę podwodną od razu wydedukuje, że napastnik też przybył łodzią podwodną. A gdzie może się znajdować ta łódź? No gdzieżby, jeśli nie na samym skraju głębokiej wody, tuż przy brzegu Kwesz. Tam czeka na swoich dywersantów, którzy wracają z akcji jakąś miniaturową łodzią podwodną. Wiem, co bym na ich miejscu zrobił. Pognałbym tam czym prędzej i zasypał to miejsce bombami głębinowymi. Posłałbym wszystkie fregaty, jakimi dysportuję. Płetwonurków załatwiłbym na pewno, a może udałoby się i samą łódź podwodną. Jeśli ten Irańczyk jest cwany, dotrze do „Mendel Rivers” na godzinę przed nami. Jeśli nie grzeszy inteligencją, nie zjawi się tam przed czwartą dziesiątą, czyli spóźni się troszkę, ale nadal pozostanie niebezpieczny. Tak czy siak, wesoło nie jest...

–Dodaj gazu, Dave.

Miny dywersyjne pod dwoma Kilo wybuchły dokładnie o czasie. Eksplozje rozerwały obie łodzie podwodne niemal na połowy. W drzazgi poszły akumulatory. Na tonących w ciemnej wodzie jednostkach wciąż jeszcze szalały pożary. Irańskiego admirała, wyciągniętego z łóżka na inspekcję zniszczonego doku pływającego i skasowanej Kilo, omal szlag na miejscu nie trafił, kiedy na dno poszły dwie pozostałe łodzie podwodne.

W porcie paliły się wszystkie światła. Admirał chciał wiedzieć, czy radary nie uchwyciły w ciągu nocy jakiegoś kontaktu. Nikt t niczego nie widział, niczego nie słyszał ani nic nie wiedział. Admirał zwołał naradę kadry oficerskiej i zadzwonił do bazy irackiej marynarki wojennej w Basrze, gdzie został spławiony przez zirytowanego operatora tamtejszej centrali telefonicznej, który uznał go za wariata.

Do bazy ściągali powoli wezwani dowódcy. Ale dopiero o trzeciej piętnaście ktoś zadał wreszcie trzy podstawowe pytania. Tym kimś był młody irański kapitan, którego zastanowiło, kto to zrobił, jak się tu dostał i gdzie teraz jest.

1 była już czwarta pięć, kiedy fregaty wyszły w końcu w morze i popędziły na skraj głębokiej wody, gdzie, jak wywnioskował admirał, powinna się znajdować wroga łódź podwodna.

m.

w

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

A

Sobota, 3 sierpnia, 5.20 v

„L. Mendel Rivers” zeszła najniżej, jak pozwalały na to zła widoczność w ciemnych wodach cieśniny Ormuz i pofalowane, piaszczyste dno. Płynęła na głębokości około trzydziestu metrów z szybkością dwudziestu węzłów ku niezmiernym głębiom Zatoki Arabskiej. Dziewięciu wyczerpanych członków SEAL spało, a wielka amerykańska łódź podwodna kierowała się na południe, zostawiając za sobą chaos, który za ich sprawą zapanował w bazie irańskiej marynarki wojennej.

Porucznik Bennett i komandor Banford siedzieli w małej kajucie, przygotowując wstępny raport z przebiegu operacji w porcie Bandar-e Abbas. Pierwsze pół strony semiszyfrowanego meldunku komandor wysłał przez satelitę do dowództwa sił podwodnych Pacyfiku COMSUBPAC przed samym świtem.

„030530SIER02. 56.9E, 26.5N. Kurs jeden-trzy-pięć. Odwet Bravo. Cele osiągnięte. Żadnych ofiar w ludziach ani sprzęcie. Lider SEAL melduje, że Kilo stojąca w doku znajdowała się w trakcie remontu kapitalnego i wykluczone, żeby w lipcu była zdolna do akcji bojowej”.

Sygnał dotarł błyskawicznie do Pearl Harbor, stamtąd, za pośrednictwem głównodowodzącego Sił Pacyfiku, do SPECWAR-COM w Coronado i w końcu do biura szefa operacji morskich w Pentagonie, gdzie była siódma czterdzieści pięć wieczorem poprzedniego dnia, drugiego sierpnia, piątek. Komandor porucznik Jay Bamberg, czekający na tę wiadomość za swoim biurkiem, myślami był już przy weekendzie, który miał spędzić z rodziną w domu.

Na widok oficera dyżurnego z depeszą Jay ostentacyjnie wznosił oczy do nieba. Wychodzący podporucznik uśmiechnął się.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sobota, 3 sierpnia, 5.20

„L. Mendel Rivers” zeszła najniżej, jak pozwalały na to zła widoczność w ciemnych wodach cieśniny Ormuz i pofalowane, piaszczyste dno. Płynęła na głębokości około trzydziestu metrów z szybkością dwudziestu węzłów ku niezmiernym głębiom Zatoki Arabskiej. Dziewięciu wyczerpanych członków SEAL spało, a wielka amerykańska łódź podwodna kierowała się na południe, zostawiając za sobą chaos, który za ich sprawą zapanował w bazie irańskiej marynarki wojennej.

Porucznik Bennett i komandor Banford siedzieli w małej kajucie, przygotowując wstępny raport z przebiegu operacji w porcie Bandar-e Abbas. Pierwsze pół strony semiszyfrowanego

meldunku komandor wysłał przez satelitę do dowództwa sił podwodnych Pacyfiku COMSUBPAC przed samym świtem.

„030530SIER02. 56.9E, 26.5N. Kurs jeden-trzy-pięć. Odwet Bravo. Cele osiągnięte. Żadnych ofiar w ludziach ani sprzęcie. Lider SEAL melduje, że Kilo stojąca w doku znajdowała się w trakcie remontu kapitalnego i wykluczone, żeby w lipcu była zdolna do akcji bojowej”.

Sygnał dotarł błyskawicznie do Pearl Harbor, stamtąd, za pośrednictwem głównodowodzącego Sił Pacyfiku, do SPECWARCOM w Coronado i w końcu do biura szefa operacji morskich w Pentagonie, gdzie była siódma czterdzieści pięć wieczorem poprzedniego dnia, drugiego sierpnia, piątek. Komandor porucznik Jay Bamberg, czekający na tę wiadomość za swoim biurkiem, myślami był już przy weekendzie, który miał spędzić z rodziną w domu.

Na widok oficera dyżurnego z depeszą Jay ostentacyjnie wzniosł oczy do nieba. Wychodzący podporucznik uśmiechnął się.

–Nie ma rady, co, komandorze!?

–Ano nie ma, poruczniku.

Jay Bamberg zadzwonił natychmiast do szefa operacji morskich do domu, a potem do Arnolda Morgana do Fort Meade. Admirał Dunsmore zareagował na wiadomość czymś zbliżonym do ukontentowania, za to admirał Morgan burknął tylko:

–Tak, dzięki, Jay. Już wiem.

Komandora porucznika Bamberga zafrapowało to na tyle, że zapytał:

–A skąd, sir?

–Przed półgodziną miałem telefon z Tel Awiwu. Dzwonili z Mossadu z informacją, że w bazie marynarki wojennej w Bandar-e Abbas coś wybuchło, i pytali, czy coś mi na ten temat wiadomo. Odpowiedziałem, że od lunchu nie ruszyłem się od biurka, he, he, he!

–Wiedzą coś, sir?

–Niewiele. Tyle tylko że marynarkę wojenną Irańczycy mają teraz prawdopodobnie słabszą niż przed północą. Reszty mogą się jedynie domyślać. Ale dzięki za telefon, Jay, rad jestem, że obeszło się bez ofiar.

–Tak jest, sir. Dobranoc. – Ale admirał, jak to miał w zwyczaju, dawno się już rozłączył.

Zanim komandor porucznik Bamberg zdążył odłożyć słuchawkę na widelki aparatu bezpiecznej łączności z Fort Meade, admirał Morgan znajdował się już w drodze do samochodu. Był umówiony z generałem Gavronem na kolację w ambasadzie Izraela i nie mógł się doczekać tego spotkania. Zapraszając telefonicznie amerykańskiego admirała do siebie, izraelski oficer zasugerował, że ma dla niego bardzo interesujące informacje.

Morgan wstrzymał się z wyjazdem do ambasady do godziny dwudziestej, bo chciał mieć oficjalne potwierdzenie powodzenia misji SEAL. Tamten telefon sprzed trzydziestu minut uzmysłowił mu dwie rzeczy. Po pierwsze, wcale nie musiał czekać aż do dwudziestej z minutami, a po drugie, ten cholerny Mossad dowiadywał się o każdym zdarzeniu na świecie cztery razy szybciej od innych. Jezu, przecież u nich jest druga trzydzieści nad ranem!

Wpadł na autostradę ze swoją zwyczajną szybkością, przetrawiając w myślach treść depechy, którą przedyktował mu przez telefon Bamberg... zwłaszcza ten ostatni akapit... że niby Kilo stojąca w doku pływającym znajdowała się w trakcie remontu

kapitalnego: „Wykluczone, żeby w lipcu była zdolna do akcji bojowej”.

Słowa te nie dawały mu spokoju. Oznaczały, że Baldrige miał od początku rację. Do przeprowadzenia ataku na „Jeffersona” Irańczycy nie użyli żadnej ze stacjonujących w Bandar-e Abbas jednostek wchodzących oficjalnie w skład ich podwodnej floty. Musieli wykorzystać czwartą łódź podwodną. Co gorsza, ta czwarta łódź podwodna wciąż gdzieś tam krąży. Czai się. Obserwuje. Być może szykuje się do kolejnego ataku.

Im dłużej Arnold Morgan nad tym się zastanawiał, tym większej nabierał pewności, że łódź, której szuka, to zawieruszona Kilo z Morza Czarnego. Ta, z której spadł, a następnie utopił się tamten rosyjski marynarz, ta, którą wczesnym rankiem 5 maja namierzyli w Cieśninie Gibraltarskiej jego nasłuchowcy, ta, którą 28 czerwca, lecąc nad Morzem Arabskim na północ, widział porucznik Joe Farrell.

Ta, do której pasują wszystkie daty.

Ta, o której nie chce rozmawiać ten bałwan Ranków.

Podminowany Arnold Morgan zerknął na szybkościomierz, który wskazywał sto cztery mile na godzinę. v

–Kurwa mać – warknął i zwolnił do osiemdziesięciu pięciu. – Jeśli David Gavron znalazł tego Benjamina Adnama, wiele wkrótce się wyjaśni – wymruczał. – Jeśli go nie znalazł, trzeba będzie przykręcić śrubę prezydentowi Rosji. I to mocno.

Wartownicy przy bramie ambasady Izraela przepuścili go bez sprawdzania dokumentów, wskazali miejsce do zaparkowania i wprowadzili do budynku. Generał Gavron czekał na gościa w małej jadalni na pierwszym piętrze. Przywitali się i gospodarz poczęstował amerykańskiego admirała kieliszkiem izraelskiego wina z południowego miasteczka Rishon le Zion, gdzie pod koniec XIX wieku baron Edmond von Rothschild założył wielkie winnice.

Przewidując, że zabawi tu co najmniej dwie godziny, admirał Morgan uzbroił się w cierpliwość i powstrzymał od zasypania generała Gavrona już od progu gradem pytań. Wdali się w towarzyską pogawędkę o Izraelu, jego ambicjach i problemach związanych z powstawaniem państwa palestyńskiego. Jedli jak praw-» dziwi sabra, zaczynając od izraelskiej sałatki oberzynowej z ta-hiną i przechodząc do szaszłyka z przyprawionego na ostro jagnięcia, który zagryzali chrupkim, przysmażonym chlebem mal-lawah.

Arnold Morgan przyłapał się na tym, że coraz większą przyjemność sprawia mu to raptowne odejście od tradycyjnej roboczej diety złożonej z kawy i kanapek z rostbefem. Delektując się talerzykiem baklawy, postanowił poruszyć wreszcie temat, dla którego tu przyjechał – temat Benjamina Adnama. Pociągnął długi łyk wina, które generał nalał mu z drugiej butelki, słodkiego białego wina pijanego przez Izraelczyków przy ważnych okazjach, i bardzo łagodnie, jak na swoje zwyczaje, spytał:

–No i jak, Davidzie? Znaleźliście go?

Izraelski generał uśmiechnął się i przekrzywił głowę.

–Jeszcze niezupełnie, admirale, ale jesteśmy teraz o wiele mądrzejsi niż za naszej pierwszej rozmowy. Chcesz posłuchać, czym się zajmują oficerowie mojego wywiadu?

–Cały zamieniam się w słuch, Davidzie – odparł z uśmiechem Morgan. – Ty "mów, a ja będę się delektował tym znakomitym winem.

–No więc tak. Kiedy skontaktowałem się z naszymi agentami, żeby przekazać im twój sygnał o zaniepokojeniu waszego rządu, dowiedziałem się, że przeszukali już mieszkanie i rzeczy osobiste komandora Adnama. Ku ich zaskoczeniu okazało się, że niczego ze sobą nie zabrał. W biurku znaleźli wszystkie jego dokumenty: paszport, legitymacje służbowe, dyplomy i tak dalej. Fakt ten sprawił, że wrócili do przyjętej na początku hipotezy: został zamordowany albo porwany.

Następnego dnia po moim telefonie wszczęto szeroko zakrojone poszukiwania na terenie całego kraju. Kiedy nie przyniosły one żadnego rezultatu, wysłaliśmy grupę agentów do wioski, w której mieszkali jego rodzice. Również nie natrafili na żaden ślad. Ale w okolicy znaleźliśmy przyjaciela rodziny, który nie przypominał sobie jednak, żeby miała ona syna urodzonego około roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego.

Adnamów wszyscy tam dobrze znali, wszyscy byli bardzo poruszeni ich zniknięciem po zbombardowaniu wioski podczas wojny tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Ale nic nie wiedzieli o żadnym Benie Adnamie, który w latach 1976-1978, czyli od szesnastego do osiemnastego roku życia, pobierał jakoby nauki w Anglii.

Naturalnie wiemy, że potem, natychmiast po powrocie z Kentu, ze szkoły Sutton Valence, wstąpił do marynarki wojennej. Do

rodzinnej wsi nigdy nie jeździł, usprawiedliwiając to faktem, że nie ma tam już ani domu, ani rodziców. No i został w marynarce.

–Chcesz przez to powiedzieć, że nikt nie wie, skąd przybył ani gdzie go teraz wciąło?

–Z ust mi to wyjąłeś, Arnoldzie.

–Hmm. Podejrzewam, że spreparował odpowiednio swój życiorys, prawdopodobnie przebywając w Anglii, a izraelska marynarka z otwartymi rękami przyjęła dobrze wykształconego sabrę z dobrze sytuowanej farmerskiej rodziny, rekomendowanego osobiście przez dyrektora słynnej angielskiej szkoły...

–I przez attache wojskowego przy ambasadzie Izraela w Londynie... którego syn, jak teraz ustaliliśmy, również, że uczył się w tamtym czasie w Sutton Valence.

–Jezu! Widzisz, jak to się odbywa, widzisz?

–Aż za wyraźnie, admirale. Co gorsza, nie ma żadnego dowodu na to, że rodzice Adnama nie żyją. Wioska została zbombardowana. Być może zginęli. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że po prostu nie wyjechali, nie wrócili, jak mówisz, tam, skąd przybyli.

Wiadomo tylko, że zniknęli oboje bez śladu, a razem z nimi ich „syn”... i mamy pełną świadomość tego, że cała trójka mogła być szpiegami, „miejscowi” rodzice na usługach innego kraju. Młody Adnam, być może fanatyczny osiemnastoletni fundamentalista, zostaje oddany pod ich długoterminową opiekę. Moja organizacja sama ucieka się do podobnych metod. Stąd domyślam się, jak to się skończyło.

–Czyli co się stało z komandorem Adnamem, mam nadzieję? – wpadł mu w słowo Arnold Morgan.

–Cóż, admirale, kiedy znaleźliśmy jego dokumenty, stało się dla nas oczywiste, że opuścił Izrael mając zupełnie nową tożsamość. Przez dwa dni przekopywaliśmy się przez lotniskowe rejestry. Bez rezultatu. Jak więc wydostał się z kraju? Nasi agenci sądzą, że wsiadł we wschodniej Jerozolimie do autobusu albo taksówki i dojechał nią do mostu Allenby. To jedyny most nad rzeką prowadzący do Jordanii. Po tamtej stronie zmienia nazwę na most Króla Husseina. Na tym moście musiał się przesiąść z taksówki lub z autobusu do jakiegoś jordańskiego środka transportu, prawdopodobnie do któregoś z tych mikrobusów Jett.

Orientujesz się zapewne, że na tym moście obowiązują wszelkiego rodzaju restrykcje. Musiał więc mieć jordański paszport. A ponadto ważną wizę i przepustkę upoważniającą do przekraczania

mostu. Pamiętaj, że w Izraelu nie można sobie wyrobić arabskich dokumentów, nie jest to również możliwe na samym moście. A więc musiał mu je ktoś załatwić.

Jednak sprawdzamy na moście bardzo dokładnie każdego, kto opuszcza Izrael i udaje się do Jordanii. Nie wolno na przykład mieć przy sobie aparatu fotograficznego z założonym filmem, a kiedy już się przejdzie na drugą stronę, można nie wrócić. W żadnym arabskim kraju z wyjątkiem Egiptu nie dostanie się izraelskiej wizy.

I tu, na moście Allenby, szczęście wreszcie się do nas uśmiechnęło. Niektóre osoby są przez naszych agentów celnych proszone na bok i bardzo dokładnie przeszukiwane. A w pomieszczeniu, w którym się to odbywa, mamy ukrytą kamerę. Zarekwirowaliśmy wszystkie kasety zarejestrowane przez kamerę w ciągu tych trzech dni, jakie upłynęły od zniknięcia komandora Adnama. Zabraliśmy je do Hajfy i wezwaliśmy wszystkich oficerów marynarki wojennej, którzy go znali. Ściągnęliśmy nawet helikopterem ludzi z manewrów floty na Morzu Śródziemnym, gdzie powinien teraz przebywać.

Zlokalizowaliśmy go na pierwszej kasecie z pierwszego poranka, 25 listopada. W rogu klatki widnieje godzina rejestracji: 9.24. Był w stroju Araba i nasza kamera zdjęła go podczas rozmowy z celnikiem. Został rozpoznany przez cztery osoby. Trzy z nich to oficerowie z łodzi podwodnych. Nie ma wątpliwości. Komandor Adnam opuścił Izrael jako Arab. Mam tu jego zdjęcie, niezbyt dobrej jakości. Ale to on...

General Gavron podał Amerykaninowi arkusz papieru. Klatkę filmu powiększono i przesłano faksem. Kontury były rozmyte. Komandor Adnam w arabskim nakryciu głowy bardziej przypominał handlarza z jakiegoś miejscowego targu niż dowódcę izraelskiej łodzi podwodnej. Ale był to Benjamin Adnam. Fotografia przedstawiała człowieka o śniadej, dość przystojnej twarzy i twardych, głęboko osadzonych oczach. Admirałowi Morganowi przemknęło przez myśl, że można by go wziąć za Irańczyka, Irakijczyka, Jordańczyka, Syryjczyka, nawet za Egipcjanina. Pytanie, które go dręczyło, uległo teraz pewnej modyfikacji... kim, u diabła, jest ten facet?

Myślał szybko. Chyba najlepiej będzie skopiować tę fotografię i przesłać ją faksem do admirała MacLeana, żeby dokonał stuprocentowo pewnej identyfikacji.

–I co dalej, Davidzie? – spytał siląc się na spokój, z trudem maskując podniecenie. – Czy ten trop zdążył ostygnąć?

–Bynajmniej. Mamy w Jordanii kilku bardzo dobrych agentów. Namierzyli go przed czterema dniami. Tego pierwszego poranka udał się od razu na lotnisko Królowej Alii, gdzie wsiadł w samolot Królewskich Jordańskich Linii Lotniczych lecący do Kairu. Za bilet zapłacił jordańskimi dinarami. Nie wiadomo, skąd je miał.

Wyjechał stąd na jordańskim paszporcie i, jak ustalili nasi agenci, tym samym paszportem wylegitymował się podczas odprawy celnej w Kairze. Ponieważ nie sądzimy, żeby był Egipcjaninem, sprawdziliśmy każdy większy hotel w okolicy. Ale go nie znaleźliśmy. W żadnym z nich się nie zameldował.

–A próbowaliście w hotelu Mena House, tym pod piramidami?

–Oczywiście. Nawet go tam znali. Ale twierdzili, że od dwóch lat się nie pokazał. Jeden z naszych agentów rozmawiał z kierownikiem, ale ten nie bardzo wiedział, skąd Adnam przyjeżdżał. Na pewno występował tam pod własnym nazwiskiem.

Nasi agenci przeszukali następnie wszystkie dostępne dokumenty. I w końcu doszli do wniosku, że Adnam nie opuścił kairs-kiego lotniska międzynarodowego, że przesiadł się tam od razu w jakiś inny samolot. Znaleźliśmy tylko jednego „Adnama”, który tego wieczoru odleciał rejsem międzynarodowym z Egiptu. Wykupił bilet do Stambułu i zapłacił gotówką, w egipskiej walucie. Niestety, był to Rosjanin. Miał stary, jeszcze sowiecki paszport z wizą wielokrotnego wjazdu do Turcji. Niewiele to daje, prawda?

Arnold Morgan nie wierzył własnym uszom.

–Czy Egipcjanie mają kamerę, która mogła sfilmować pasażerów wsiadających do tego samolotu?

–Mówią, że mają, ale była wtedy wyłączona. W każdym razie nasi agenci uznali, że trop się urwał. Ich zdaniem tym Rosjaninem nie był komandor Adnam.

–No dobrze, ale jeśli on nie opuścił lotniska, to gdzie się, u licha, podział? Chyba nie myślicie, że zatrudnił się w charakterze celnika?

General Gavron roześmiał się.

–Nie, sądzimy, że odebrał tam od swoich mocodawców nowy paszport, nowe dokumenty i odleciał. Trudno powiedzieć, pod jakim nazwiskiem i do jakiego kraju.

–A czemu nie jako Rosjanin?

–Nasi ludzie w to nie wierzą. Nie sądzimy, żeby Ben był Rosjaninem. Nie sądzimy też, żeby był Turkiem. Z naszych dotychczasowych ustaleń wynika, że jest Arabem. Dlaczego myślisz, że może być Rosjaninem?

–Wcale tak nie myślę, Davidzie. Ale podejrzewam, że właśnie tam mógł się udać. A ponieważ wszystko wskazuje na to, że jest w stanie załatwić sobie dokumenty i walutę dowolnego kraju, to równie dobrze mógł być tym gościem z sowieckim paszportem.

David Gavron puścił tę uwagę mimo uszu.

–A skąd twoje przypuszczenie, że udał się do Rosji? – zapytał.

–Ponieważ podejrzewamy, że łódź podwodna, która zaatakowała „Jeffersona” to Kilo radzieckiej produkcji należąca do dogorywającej floty czarnomorskiej, jednostka patrolowa o napędzie dieslowsko-elektrycznym, którą Adnam i jego mocodawcy kupili, wypożyczyli albo ukradli. Wymieniam flotę czarnomorską, bo tylko stamtąd mogła ta łódź pochodzić. Sprawdziłem, gdzie znajdowała się tamtej nocy każda sprawna łódź podwodna o napędzie dieslowskim na świecie. Ustaliłem pozycje wszystkich, nawet waszych. Poza jedną, rosyjską.

–Rozumiem. Będziemy nadal robili wszystko, co w naszej mocy, żeby wam pomóc. Nasz kraj potępia zdradzieckie ataki i moi ludzie są poruszeni tragedią lotniskowca. Tym bardziej że szukając winnych, również nas braliście pod uwagę.

–W takiej sytuacji, Davidzie, podejrzewa się każdego.

General Gavron zamyślił się. Morgan sęczył w milczeniu

słodkie wino. Ciszę, jaka zaległa, pierwszy przerwał Gavron.

–Znamy dokładną datę – powiedział. – Gdyby komandor Adnam był tamtym Rosjaninem z kairskiego lotniska, to w Stambule wylądowałby późnym wieczorem dwudziestego piątego listopada. Jeśli odlatywał z Kairu pod swoim prawdziwym nazwiskiem, to chyba ze Stambułu również by pod nim wyjeżdżał. Trzeba przestudiować listy pasażerów samolotów, może nawet statków, które opuszczały nazajutrz Stambuł. Mamy tam kilku dobrych agentów. Proponuję, żeby zajęła się tym moja organizacja... jeśli w ciągu trzech dni do niczego to nie doprowadzi... to może waszemu rządowi uda się nakłonić do współpracy Turków.

–Dobra myśl, Davidzie. Bo na obecnym etapie nie chcemy podnosić szumu większego, niż to absolutnie konieczne.

–Cóż za powściągliwość, admirale... ze strony człowieka, który przed kilkoma godzinami zniszczył flotę podwodną ajatollaha Iranu.

–Zaraz, chwileczką, generale. Mówiłem już pańskim kolegom, że nie ruszałem się od biurka. A swoją drogą, skąd to posądzenie?

–Wiemy, że tak sprawnie potrafiłyby to przeprowadzić tylko trzy, no może cztery kraje. My tego nie zrobiliśmy. Być może Brytyjczycy. Ewentualnie Rosjanie. Ale tylko wy dysponujecie środkami do przeprowadzenia tego rodzaju operacji z marszu, że się tak wyrażę. Pozostaje motyw. Komu zależało na skarceniu Iranu? Nam niespecjalnie. Brytyjczykom też nie. Ani Rosjanom. Dobra robota, admirale. Nasz kraj jest pod wrażeniem.

Arnold Morgan skwitował komplement izraelskiego oficera enigmatycznym uśmiechem. Dochodził do coraz większego

przekonania, że rozmawia z przyszłym szefem Mossadu.

*

Nazajutrz, 3 sierpnia, w dwadzieścia sześć dni po katastrofie, niedzielne gazety nadal rozpisywały się o tragicznym losie lotniskowca, ale ani «Washington Post», ani «New York Times» słowem nie wspominały o wypadku, do jakiego doszło w bazie irańskiej marynarki wojennej w Bandar-e Abbas.

Admirał Morgan, admirał Schnider, komandor porucznik Bill Baldrige oraz admirał Dunsmore zebrali się w gabinecie generała Josha Paula, by uzgodnić wspólne stanowisko przed spotkaniem z Prezydentem, które wyznaczono na godzinę jedenastą w Białym Domu, i admirał Morgan powtórzył im swoją rozmowę z generałem Gavronem.

Scott Dunsmore wysunął przypuszczenie, że jeszcze tego samego dnia w wieczornym telewizyjnym wystąpieniu Prezydent powiadomi naród o przyznaniu bezprecedensowego zadośćuczynienia rodzinom ludzi poległych na lotniskowcu. Sobotni wieczór był na tego rodzaju orędzia porą dość niezwykłą, ale zdaniem szefa operacji morskich biuro prasowe Białego Domu wybierze tę właśnie porę, by uzyskać maksymalny efekt.

Dwaj szefowie służb obawiali się, że Prezydent uzna uwieńczoną sukcesem akcję dywersyjną w irańskim porcie za dostateczny odwet i nakaże wstrzymanie dalszych działań do czasu uzyskania niezbitego dowodu. A przecież piracka łódź podwodna

wciąż gdzieś tam krążyła. Admirał Morgan był o tym przeświadczony.

Zadanie przekonania Prezydenta, że Stany Zjednoczone muszą za wszelką cenę kontynuować łowy na kraj, który zatopił „Jeffersona”, generał Paul powierzył swojemu szefowi operacji morskich.

–Jeśli trzeba – powiedział – zabierz ze sobą Arnolda. Niech mu wytłumaczy, że to samo może się przydarzyć innym naszym okrętom wojennym.

Opuścili Pentagon i pojechali dwoma samochodami sztabo-' wymi do Białego Domu, by w gabinecie na parterze zachodniego skrzydła spotkać się z Prezydentem, sekretarzem stanu, sekretarzem obrony, doradcą prezydenta do spraw obronności oraz z rzecznikiem prasowym.

Prezydent powitał ich ciepło.

–Jedno jest pewne – powiedział. – Potraficie panowie dosłownie rozumieć instrukcję. Czy wolno spytać, co się konkretnie wydarzyło w Bandar-e Abbas? Bo na razie wiem tylko tyle, ile wyczytałem z lakonicznego meldunku marynarki dostarczonego mi dzisiaj rano przez Boba.

–Panie prezydencie – odezwał się admirał Dunsmore – sam pan powiedział, że nie chce znać szczegółów planu. To również zrozumieliśmy dosłownie.

–Jakimi siłami zostało to przeprowadzone, Scott?

–Dziewięciu pletwonurków, sir, plus sternik podwodnego transportera. ' <

–Taką garstką? Dużo ofiar?

–Z naszej strony ani jednej, sir. Nie wiemy, ilu członków irańskich załóg znajdowało się na pokładach dwóch sprawnych łodzi podwodnych. Ale zdjęto jednego wartownika w doku pływającym.

–Zdjęto?

–Tak, sir. Usunięto z rejonu operacji.

–Zastrzelono? Zabito?

–W samej rzeczy, sir.

–Ogłędnie pan to ujmuje, admirale – mruknął Prezydent. – Zważywszy, że ma pan pod swoimi rozkazami najbezwzględniejszą formację dywersyjną świata.

–Dziękuję, panie prezydencie.

300

Prezydent, ukontentowany otaczającym go profesjonalizmem, pokręcił z uznaniem głową. Następnie przeszedł szybko do ustalonego porządku spotkania i, jak się tego spodziewali, zapowiedział, że wieczorem wystąpi przed kamerami, by ogłosić swój plan przyznania specjalnych rent wdowom po ludziach, którzy zginęli na lotniskowcu, oraz ich dzieciom.

–Wiem, że należy się spodziewać obiekcji ze strony niektórych rodzajów sił zbrojnych – ciągnął. – Ale nie wysunie ich żaden kongresmen, który chce dalej pracować na Kapitolu. Gazety zmusi się do poparcia naszej inicjatywy, a opinia publiczna na pewno nam przykłaśnie. Liczę również na panów poparcie!

General Paul odważył się napomknąć, że te specjalne renty zostaną oprotestowane przez osoby, które potraciły swoich ojców i mężów w innych konfliktach, a nie spotkały się z takim specjalnym traktowaniem. Właśnie z tego powodu wojsko od lat z zasady sprzeciwiało się podobnym działaniom.

–Najgorsze, co mogłoby się wam, panowie, przytrafić -przerwał mu Prezydent – to moje przedwczesne odejście z tego gabinetu w następstwie ostatniej tragedii. Dostalibyście demokratycznego prezydenta, demokratyczny Kongres i kto wie, czy nie demokratyczny Senat. A oni skwapliwie rozmontowaliby marynarkę wojenną, zakazali stosowania broni atomowej, okroiliby nakłady na program budowy nowych okrętów, a przede wszystkim położyli kres budowaniu nowych lotniskowców. A z zaoszczędzonymi w ten sposób pieniędzmi zrobiliby to co zawsze: rozdaliby je biednym, słabym, chorym, niezdolnym, głupim i leniwym, a co gorsza, naciągaczom.

Miliard dolarów, który wydajemy rocznie na budowę lotniskowca, daje dobrze płatną pracę najlepszym konstruktorom, stoczniovcem, naukowcom i pracownikom przemysłu stalowego, pozwala im doskonalić umiejętności, utrzymuje ten kraj w światowej czołówce gospodarczej... produkt końcowy zaś zapewnia każdemu Amerykaninowi bezpieczeństwo.

Budowa lotniskowców leży w interesie tego kraju. A przynajmniej połowa nakładów i tak wraca do państwowej kiesy w podatkach.

Zresztą znacie, panowie, dobrze moje poglądy i mam nadzieję, że je podzielacie. Musicie mi pomóc. A wiem, że specjalne względy okazane przez ten rząd wdowom i sierotom po poległych

na „Jeffersonie” spotkają się z aprobatą społeczeństwa jako całości. Poza tym ja naprawdę chcę coś dla nich zrobić.

Przejdźmy teraz do sprawy nieznanego winowajcy, który zaatakował nasz okręt. Czy nadal podejrzewamy o to Iran i czy dostatecznie go ukaraliśmy? Josh? Scott?

Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów Połączonych kiwnął głową, a głos zabrał admirał Dunsmore.

–Panie prezydencie – zaczął – uważamy nadal, że zrobił to Iran, ale nie sądzimy, żeby atak na „Jeffersona” przeprowadziła

, któraś ze stacjonujących w Bandar-e Abbas łodzi podwodnych wchodzących oficjalnie w skład ich floty. Naszym zdaniem w jakiś sposób zdobyli od Rosjan czwartą Kilo.

–Okay – powiedział Prezydent. – Przypomnij mi tylko, dlaczego sądzimy, że nie zrobiła tego żadna z łodzi podwodnych stacjonujących w Bandar-e Abbas.

–Ponieważ dwie sprawne Kilo nie ruszały się stamtąd od kilku tygodni. A lider naszych sił specjalnych twierdzi, że trzecia, ta stojąca w doku, "znajdowała się w trakcie remontu generalnego. Miała zdjęte duże sekcje poszycia kadłuba i zdemontowane instalacje wewnętrzne. Jego zdaniem nie ma mowy, żeby ta jednostka w lipcu mogła jeszcze pływać.

–Tak, czytałem o tym. Można mu wierzyć?

–Stanowczo tak, sir. Porucznik Bennett służy w marynarce od dawna. Jego ojciec jest rybakiem z Maine. Od dziecka pływał na łodziach rybackich i kiedy zobaczył tę Kilo, nie miał najmniejszych wątpliwości, że stoi w doku od dawna. Osobiście myślę, że remont tej jednostki zaczął się już w czerwcu, a drugiego lipca wstawiono ją do doku celem przeprowadzenia napraw pod linią wodną.

–Admirale Morgan – zwrócił się formalnie Prezydent do szefa wywiadu. – A co pan na to?

–Cóż, panie prezydencie – powiedział Teksasńczyk. – Wiem z doświadczenia, że kiedy wytrawny oficer marynarki Stanów Zjednoczonych wygłasza opinię w kwestiach technicznych, to zazwyczaj się nie myli. Wierzę porucznikowi SEAL na słowo.

Za to bardziej niepokoi mnie świadomość, że łódź podwodna, która zatopiła nasz lotniskowiec, nadal gdzieś tam krąży. Nie znaleźliśmy jej jeszcze. Nie namierzyły jej jak dotąd nasze satelity zwiadowcze ani nasze służby nasłuchowe. A bardzo się boję, że

ona może zaatakować ponownie. Ta Kilo miała prawdopodobnie na pokładzie dwie torpedy z głowicami jądrowymi, a o ile się orientuję, odpaliła jak dotąd tylko jedną.

–Jesteście pewni, że to była jednostka produkcji rosyjskiej?

–Co do tego nie ma już żadnych wątpliwości, sir. Sprawdziliśmy, co robiły ósmego lipca wszystkie łodzie podwodne świata, i nie doliczyliśmy się tylko jednej Kilo. Tej, o której Rosjanie myśleli, że zatonała na Morzu Czarnym. Cóż, mylili się. Ta Kilo wypłynęła z Morza Czarnego. Sądzę, że to ona storpedowała „Jeffersona” ... i wciąż gdzieś tam jest. Może się tylko ukrywa, ale niewykluczone, że wyczekuje kolejnej okazji. Panie prezydencie, musimy ją wytropić i zniszczyć.

–Tak, admirale. Rozumiem. Ale jak ona się wydostała z Morza Czarnego? Wszyscy eksperci, z którymi rozmawiałem, są zdania, że pokonanie Bosforu w zanurzeniu jest niemożliwe. Nikt jeszcze tego nie dokonał. A Turcy twierdzą podobno, że od pięciu miesięcy żadna rosyjska łódź podwodna o napędzie dieslowskim nie przechodziła przez Bosfor w wynurzeniu.

–Wszystko to prawda, sir. Ale ona jakoś tamtędy przeszła. Musimy przyjąć takie założenie. Ktoś ją przesz mugłował. Jakiś podwodniacki geniusz przeprowadził ją przez Bosfor w zanurzeniu. Nawiasem mówiąc, jesteśmy na tropie człowieka, który według nas to zrobił.

–To dla mnie trudna decyzja, admirale. I zanim uruchomię ogromne dodatkowe środki na jeszcze jedną militarną operację odwetową, coś wam zaproponuję. Udowodnijcie mi, że to było możliwe. Wybierzcie dwóch najlepszych podwodniaków, jacy służą pod naszą banderą, i każcie im wypłynąć w zanurzeniu z Morza Czarnego przez Bosfor łodzią podwodną z napędem dieslowskim. Jeśli im się uda, wydam zgodę na rozpoczęcie operacji obejmują- t cego swym zasięgiem cały świat polowania na tę brakującą Kilo, polowania, które bez względu na koszty trwać będzie, dopóki jej nie wytropimy i nie zatopimy.

Jeśli jednak z jakiegoś powodu im się nie powiedzie albo zostaną zatrzymani przez Turków, uznaję zatonięcie „Jeffersona” za nieszczęśliwy wypadek i tak już pozostanie.

Admirał Morgan przełknął z trudem ślinę.

–Panie prezydencie, nie mamy już na wyposażeniu małych łodzi podwodnych o napędzie dieslowskim. Musielibyśmy wypożyczyć taką od Royal Navy.

#>

–No to wypożyczcie.

–Czy inicjując tę operację możemy powoływać się na pana?

–Oczywiście.

–A czy mogę zakładać, że jeśli zostaną zmuszeni do wynurzenia się i trafią do tureckiego więzienia, zrobi pan co w jego mocy, żeby odzyskać łódź i uwolnić załogę, zarówno Brytyjczyków, jak i Amerykanów?

–Możecie być pewni, admirale, że ich stamtąd wydostanę. I że łódź też odzyskam. Byle tylko nie odbyło się to w ten sposób, że Turcy zostaną uprzedzeni o eksperymencie i przymkną oko. Próba by się wtedy nie liczyła, to chyba rozumiałe? Ta łódź ma stawić czoło dokładnie takim samym wyzwaniom, jakim musiał sprostać wasz komandor Adnam. Bez żadnego picu.

–Tak jest, panie prezydencie – powiedział admirał Dunsmore. – Zastosujemy się ściśle do tych warunków. Jeśli nie uda się to naszym najlepszym dowódcom wspomaganym przez najlepszych ludzi Royal Navy, uznamy, że przejście tamtędy było niemożliwe. Marynarka Stanów Zjednoczonych wyda wtedy oficjalne oświadczenie, że zatonięcie „Thomasa Jeffersona” było wypadkiem.

–Bardzo dobrze, admirale... jeśli nikt nie ma nic więcej do dodania, to chciałbym już wrócić do siebie i popracować nad tekstem mojego wieczornego wystąpienia. Dziękuję panom... a tak nawiasem mówiąc, osobiście jestem zdania, że ta przeklęta łódź podwodna rzeczywiście istnieje, i bardzo bym chciał, żeby nasz bosforski eksperyment uwieńczony został sukcesem, a więc postarajmy się.

<

*

Wczesnym popołudniem admirał Morgan i Bill Baldrige, wróciwszy do Fort Meade, pracowali już nad planem potajemnego przejścia przez Bosfor. Baldrige miał uczestniczyć w operacji jako oficjalny obserwator z ramienia Pentagonu. Jemu przypadło też w udziale podjęcie dalszych rozmów z admirałem Elliottem i prawdopodobnie z admirałem MacLeanem. Arnold Morgan załatwił mu bilet na niedzielny samolot z Waszyngtonu na Heathrow. Zadzwoił też do dowództwa Royal Navy w Northwood i poprosił oficera dyżurnego o przygotowanie brytyjskiego oficera flagowego Sił Podwodnych na jego przybycie. Po dwunastu minutach nadeszło potwierdzenie.

–No i co, Bill, zadowolony?

–Tak. Ale coś panu powiem: wolałbym płynąć przez Bosfor z admirałem MacLeanem przy peryskopie.

–Pogadaj o tym w poniedziałek z admirałem Elliottem. Wiem, że nasz szef operacji morskich ma rozmawiać jutro z Lordem Admiralicji i że Royal Navy pójdzie na pełną współpracę. Żeby tylko mieli na chodzie chociaż jedną z tych łodzi klasy Upholder, którą chcemy od nich wypożyczyć.

Bill Baldrige opuścił gabinet w Fort Meade wczesnym wieczorem, admirał Morgan zaś został tam na, jak to określił, „długą noc”. Zamierzał wysłuchać o dwudziestej pierwszej wystąpienia Prezydenta, ale na załatwienie najważniejszej sprawy musiał czekać do drugiej nad ranem.

*

Sztab zespołu dochodzeniowego marynarki wojennej – admirał Scott Dunsmore, admirał Arnold Morgan i komandor porucznik Bill Baldrige – słuchali osobno, każdy u siebie, telewizyjnego wystąpienia Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Patrzyli, jak wchodzi na podium w sali prasowej Białego Domu i jak przed zabraniem głosu zwilża gardło łykiem wody.

Rodacy, Amerykanie, stają dzisiaj przed kamerami, by podzielić się z wami swoimi przemyśleniami na temat rodzin ludzi, którzy w zeszłym miesiącu zginęli na pokładzie „Thomasa Jeffersona”, i pomodlić się za nie. Wielu z was zauważyło już zapewne, że kolejne amerykańskie rządy od lat wystrzegają się traktowania na prawach szczególnego przypadku sprawy jakiegokolwiek żołnierza czy marynarza, który oddaje życie w służbie kraju. Oficjalnie uważa się, że nawet w wojsku życie to życie, i w oczach Boga każde jest bezcenne. W myśl tego żaden prezydent, ani żaden Kongres Stanów Zjednoczonych nigdy nie przyznał finansowego zadośćuczynienia okrutnie doświadczonym rodzinom.

Dziś zamierzam zerwać z tą tradycją. Zamierzam zerwać z nią po wielu dniach dyskusji z moimi szefami sztabów, i czynię to z głębokim przeświadczeniem, że poprą mnie organizacje kombatanckie z całego kraju.

3

304

–No i co, Bill, zadowolony?

–Tak. Ale coś panu powiem: wolałbym płynąć przez Bosfor z admirałem MacLeanem przy peryskopie.

–Pogadaj o tym w poniedziałek z admirałem Elliottem. Wiem, że nasz szef operacji morskich ma rozmawiać jutro z Lordem Admiralicji i że Royal Navy pójdzie na pełną współpracę. Żeby tylko mieli na chodzie chociaż jedną z tych łodzi klasy Upholder, którą chcemy od nich wypożyczyć.

Bill Baldrige opuścił gabinet w Fort Meade wczesnym wieczorem, admirał Morgan zaś został tam na, jak to określił, „długą noc”. Zamierzał wysłuchać o dwudziestej pierwszej wystąpienia Prezydenta, ale na załatwienie najważniejszej sprawy musiał czekać do drugiej nad ranem.

*

Sztab zespołu dochodzeniowego marynarki wojennej – admirał Scott Dunsmore, admirał Arnold Morgan i komandor porucznik Bill Baldrige – słuchali osobno, każdy u siebie, telewizyjnego wystąpienia Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Patrzyli, jak wchodzi na podium w sali prasowej Białego Domu i jak przed zabraniem głosu zwilża gardło łykiem wody.

Rodacy, Amerykanie, staję dzisiaj przed kamerami, by podzielić się z wami swoimi przemyśleniami na temat rodzin ludzi, którzy w zeszłym miesiącu zginęli na pokładzie „Thomasa Jeffersona”, i pomodlić się za nie. Wielu z was zauważyło już zapewne, że kolejne amerykańskie rządy od lat wystrzegają się traktowania na prawach szczególnego przypadku sprawy jakiegokolwiek żołnierza czy marynarza, który oddaje życie w służbie kraju. Oficjalnie uważa się, że nawet w wojsku życie to życie, i w oczach Boga każde jest bezcenne. W myśl tego żaden pre-,zydent, ani żaden Kongres Stanów Zjednoczonych nigdy nie przyznał finansowego zadośćuczynienia okrutnie doświadczonym rodzinom.

Dziś zamierzam zerwać z tą tradycją. Zamierzam zerwać z nią po wielu dniach dyskusji z moimi szefami sztabów, i czynię to z głębokim przeświadczeniem, że poprą mnie organizacje kombatanckie z całego kraju.

304

–No i co, Bill, zadowolony?

–Tak. Ale coś panu powiem: wolalbym płynąć przez Bosfor z admirałem MacLeanem przy peryskopie.

–Pogadaj o tym w poniedziałek z admirałem Elliottem. Wiem, że nasz szef operacji morskich ma rozmawiać jutro z Lordem Admiralicji i że Royal Navy pójdzie na pełną współpracę. Żeby tylko mieli na chodzie chociaż jedną z tych łodzi klasy Upholder, którą chcemy od nich wypożyczyć.

Bill Baldrige opuścił gabinet w Fort Meade wczesnym wieczorem, admirał Morgan zaś został tam na, jak to określił, „długą noc”. Zamierzał wysłuchać o dwudziestej pierwszej wystąpienia Prezydenta, ale na załatwienie najważniejszej sprawy musiał czekać do drugiej nad ranem.

*

Sztab zespołu dochodzeniowego marynarki wojennej – admirał Scott Dunsmore, admirał Arnold Morgan i komandor porucznik Bill Baldrige – słuchali osobno, każdy u siebie, telewizyjnego wystąpienia Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Patrzyli, jak wchodzi na podium w sali prasowej Białego Domu i jak przed zabraniem głosu zwilża gardło łykiem wody.

Rodacy, Amerykanie, staję dzisiaj przed kamerami, by podzielić się z wami swoimi

przemyśleniami na temat rodzin ludzi, którzy w zeszłym miesiącu zginęli na pokładzie „Thomasa Jeffersona”, i pomodlić się za nie. Wielu z was zauważyło już zapewne, że kolejne amerykańskie rządy od lat wystrzegają się traktowania na prawach szczególnego przypadku sprawy jakiegokolwiek żołnierza czy marynarza, który oddaje życie w służbie kraju. Oficjalnie uważa się, że nawet w wojsku życie to życie, i w oczach Boga każde jest bezcenne. W myśl tego żaden pre- t zydent, ani żaden Kongres Stanów Zjednoczonych nigdy nie przyznał finansowego zadośćuczynienia okrutnie doświadczonym rodzinom.

Dziś zamierzam zerwać z tą tradycją. Zamierzam zerwać z nią po wielu dniach dyskusji z moimi szefami sztabów, i czynię to z głębokim przeświadczeniem, że poprą mnie organizacje kombatanckie z całego kraju.

#

Prawda jest taka, że nie godzę się z dotychczasowym traktowaniem rodzin tych, którzy zginęli w służbie tego wielkiego narodu.

Wszystkich tych, którzy zginęli do tej pory szlachetną, bohaterską śmiercią, nosząc mundur marines, marynarki wojennej, armii lądowej czy lotnictwa, uważam za najlepszych synów naszego narodu składających najwyższą ofiarę. Nie jestem jednak w stanie cofnąć wskazówek zegara. Zamierzam pójść za głosem własnego sumienia. I nie będę dalej tolerował niesprawiedliwego traktowania tych, którzy stanowią esencję naszego społeczeństwa i których mężowie oraz ojcowie wypływają na okrętach wojennych w morze, by w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki strzec pokoju na świecie.

Trzeba czasu, by w pełni zrozumieć, ile jesteśmy tym ludziom winni: za ich poświęcenie służbie... za ich umiejętności... za ich odwagę... za ich patriotyzm. A mam na myśli ludzi, którzy dzień w dzień, ryzykując życiem, sadzają z hukiem wielkie rozpędzone myśliwce bombardujące na rozkołysanych pokładach lotniskowców. Mam na myśli wyszkolonych techników, którzy sprowadzają ich z nieba, nawigatorów, mechaników, ludzi z obsługi pokładowej... pracujących tam, w morzu, na deszczu i wietrze, w ciągłym zagrożeniu, byśmy my mogli cieszyć się pokojem.

Rodacy, Amerykanie, mam tu na myśli człowieczeństwo, poświęcenie, prawość. Wiele jest na tym świecie niesprawiedliwości. Na lotniskowcu zginęło ponad sześć tysięcy ludzi. Zginęli nie ze swej winy, nie wskutek własnej słabości, w okolicznościach, których żaden z nich nie mógł przewidzieć ani im zapobiec.

Pozostały po nich wdowy, pozostały dzieci, którym musimy zapewnić jak najlepsze wykształcenie, bo większość z nich wyrośnie na Amerykanów równie wspaniałych, szlachetnych i zasłużonych, jak ich ojcowie.

Rodacy, Amerykanie, mnie również nieraz krwawi serce, kiedy widzę wokół siebie tyle niesprawiedliwości. I często, jak większość prezydentów, niewiele mogę na to poradzić. Ale w tym przypadku mogę. I zrobię to.

Wnoszę do Kongresu projekt nadzwyczajnej ustawy, w myśl której każdemu dziecku członka załogi „Jeffersona” ma zostać przyznana specjalna renta w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów rocznie, do czasu ukończenia przezeń college'u. Dotyczy to czterech tysięcy rodzin i będzie w sumie kosztowało budżet osiemset milionów dolarów, znacznie mniej niż koszt utrzymania jednego lotniskowca: trzy dolary dwadzieścia pięć centów na każdego Amerykanina rozłożone na dziesięć lat. Czy wśród słuchających mnie osób znajdzie się ktoś, kto poważy się powiedzieć, że to dla niego za dużo? Do tego dochodzą podwyższone renty wojskowe dla każdej wdowy. Niestety, nie jestem w stanie sprawić, by ustawa ta weszła w

życie z mocą wsteczną i objęła rodziny osierocone w minionych konfliktach. Ale cieszę się, że mogę to zrobić przynajmniej dla tych, którzy ucierpieli wskutek tragicznego wypadku, do jakiego doszło na pokładzie „Thomasa Jeffersona”. Jeszcze raz zapewniam was, że wraz z rodziną modłę się za was i jestem z wami, i będzie tak aż do końca mojej kadencji... Dobranoc, niech Bóg ma was w swojej opiece.

Admirał Morgan dopiero teraz zorientował się, że stoi z uniesioną wysoko pięścią. Nie odrywał oczu od ekranu, na którym ten wielki człowiek schodził teraz z podium, a wkraczał na nie Dick Stafford, by oznajmić, że Prezydent nie będzie odpowiadał na żadne pytania.

Admirał Morgan pokręcił głową.

–To się nazywa prezydent – wymruczał pod nosem. – Ale im wygarnął. Palnął mowę jak się patrzy, wyłożył na stół osiemset milionów, przejechał się po stu pięćdziesięcioletniej-wojskowej tradycji, dał Kongresowi do zrozumienia, że lepiej zrobi, jeśli go poprze, i nie znajdzie się w tym kraju ani jeden dziennikarz czy polityk na tyle odważny, żeby choć słowem skrytykować jego wystąpienie. Jezu. Bogu dzięki, że mamy tego człowieka po swojej stronie.

Sięgnął po słuchawkę i kazał sobie przynieść spóźnioną kolację. Potem zasiadł przed komputerem i wywoławszy na ekran mapę Bosforu zaczął ją studiować.

–Cholera – mruknął do siebie po półgodzinie. – Nie zazdrozczę Baldrige'owi tej podróży. Piekielnie zdrażliwy kawałek

wody. Mam nadzieję, że Iain MacLean da się namówić na tę wyprawę. Jeśli on nie da rady, to nikomu to się nie uda.

Włączył telewizor, żeby pooglądać mecz baseballowy, nie mógł się jednak skupić na grze i dał w końcu za wygraną. Zadzwoił na centralę i kazał dyżurnemu telefoniście obudzić się przed drugą nad ranem, przynieść kawę, a następnie połączyć się w jego imieniu z rosyjską bazą marynarki wojennej na Półwyspie Krymskim, którą zamierzał oblegać jak Brytyjczycy w roku 1854. Celem admirała było dowództwo Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu. Podyktował telefoniście numer:

–011-7-692-366204... tylko nic nie mówcie. Przełączcie rozmowę na mój aparat, zanim podniosą tam słuchawkę.

–Tak jest, sir. Druga nad ranem.

Admirał Morgan był zmęczony. Zjadł kanapkę z rostbefem i zasnął w swoim wielkim skórzanym fotelu. W jego odczuciu upłynęła zaledwie chwila, kiedy na biurku rozdzwonił się telefon. Sięgnął błyskawicznie po słuchawkę i usłyszał w niej sygnał odległej o siedem tysięcy mil głównej centrali bazy Floty Czarnomorskiej. Wyobraził sobie terkot dzwonka niosący się cichymi korytarzami budynku, który w ten niedzielny poranek o dziewiątej czasu lokalnego był niemal zupełnie wyludniony. Wiedział, że wiceadmirała Witalija Rankowa zastanie w ten weekend na miejscu, wiedział również, że szef rosyjskiego wywiadu ma zwyczaj pracować w niedzielne poranki.

Zgłosił się operator centrali kwatery głównej floty sewasto-polskiej.

–Z admirałem Rankowem, natychmiast! – warknął po angielsku admirał Morgan, licząc na zastraszenie telefonisty. – Czeka na mój telefon. Dzwonię ze Stanów Zjednoczonych. Szybciej!

W słuchawce trzasnęło i po chwili zadudnił w niej głęboki, spokojny głos byłego dowódcy sowieckiego krążownika.

–Ranków – warknął po rosyjsku. – Lepiej, żeby to było coś ważnego. Jestem bardzo zajęty.

–Witalij, unikasz mnie, skubańcu – powiedział Morgan i zachichotał, słysząc jęk Rosjanina.

–Jezus, Maria, Arnold, czy przed tobą nie ma już ucieczki? – Roześmiał się jednak. Ci dwaj szefowie wywiadów marynarki wojennej mieli wiele wspólnych tajemnic. – Myślałem, że chociaż o tej porze dasz mi odetchnąć... która to? Druga nad ranem w Waszyng-

tonie – podjął. – Gdzie, u licha, jesteś, czemu nie śpisz, jak na normalnego człowieka przystało?

–Służba nie drużba, Witalij. Dużo mam ostatnio na głowie.

–Domyślam się. A tak nawiasem mówiąc, czy to nie ty posłałeś właśnie na dno połowę irańskiej marynarki?

–Kto? Ja? – zachnął się Morgan, który wprawił się już w reagowaniu na to posądzenie. – Skądże znowu. Nie ruszałem się od biurka.

–Pytałem – ciągnął cierpliwie Rosjanin – czy to nie twoje siły specjalne zatopily ajatollahowi łodzie podwodne w Bandar-e Abbas.

–Nic mi o tym nie wiadomo – zełgał gładko admirał Morgan. – A co? Stało się coś?

Niewinny ton zdradził go przed kolegą po fachu.

–Nie wciskaj mi kitu, Arnoldzie. Dowiadujesz się o wszystkim tak samo szybko jak ja. Miej się teraz na baczności, bo irański Święty Człowiek jak nic wyda na ciebie fatwę. I wreszcie się od ciebie uwolnię. Wykastrują cię te dzikusy.

–Uważaj, żebym ja ciebie nie wykastrował – warknął Morgan.

–Straszna z ciebie swołocz, Arnoldzie Morgan. Czego chcesz? Chodzi o tę Kilo, tak?

–Opowiedz mi o niej, Witalij – poprosił Morgan łagodniejszym już tonem. – Jak przyjaciel przyjacielowi. Muszę wiedzieć.

–A powiesz mi dlaczego?

–Powiem. To nasze oficjalne stanowisko. Przekaż je swoim przełożonym – ciągnął bezbarwnym tonem Morgan. – Otóż, Witalij, podejrzewamy, że ktoś wszedł w posiadanie waszej Kilo, wyprowadził ją z Morza Czarnego i zatopił „Thoinasa Jeffersona” torpedą uzbrojoną w głowicę jądrową.

Admirał Morgan usłyszał, jak po tamtej stronie linii Rosjanin wciąga ze świstem powietrze w płuca. Admirał Ranków był autentycznie wstrząśnięty.

–Jezus, Maria! – rozległo się w słuchawce. – Żartujesz.

–Nie, stary, nie żartuję. I masz pięć minut na przekonanie mnie, że lotniskowiec Stanów Zjednoczonych z sześcioma tysią- tami ludzi na pokładzie nie został odparowany przez twoją

pieprzoną marynarke. A jeśli ci się to nie uda, problem redukcji Floty Czarnomorskiej będziecie mieli z głowy. Wyręczymy was w jego rozwiązaniu i to szybko.

–Arnoldzie, proszę cię. Nie pleć bzdur. Oczywiście, że niczego takiego nie zrobiliśmy. Wierz mi. Co by nas do tego skłaniało? Przecież jesteśmy teraz przyjaciółmi, nieprawdaż? Musisz mi uwierzyć. Spójrz na naszą historię... aż tacy durni nigdy nie by-

, liśmy. Nami nie rządzą fanatycy.

–Szczerze mówiąc, Witalij, nie wierzę, że byście maczali w tym palce. Przede wszystkim nie macie nikogo tak przebiegłego. Proszę cię tylko o pomoc. Opowiedz mi całą prawdę o tej Kilo. Potem poproszę cię prawdopodobnie o jeszcze kilka przysług. Mówisz, że jesteście naszymi przyjaciółmi. Możesz teraz tego dowieść. Mój kraj nie zapomni twojej reakcji, jakakolwiek ona będzie.

–No dobrze, Arnoldzie. Powiem ci, co wiem, a ocenę pozostawię tobie. Nasze poszukiwania tej Kilo nic nie dały. Przez trzy tygodnie przeczesywaliśmy dno wszystkimi elektronicznymi urządzeniami, jakimi dysponujemy. I nic. Doszliśmy do przekonania, że jej tam nie ma i nigdy nie było. A ten topielec znaleziony u wybrzeży greckiej wysepki był członkiem załogi Kilo 630.

Jego nazwisko figurowało na liście załogi. Ale jest z tym problem. Ta Kilo, wychodząc w morze, nie potwierdziła składu załogi. W związku z czym cała lista jest teraz niewiarygodna. Jak dobrze wiesz,1 na-każdej liście zachodzą zawsze jakieś zmiany, paru ludzi z niej spada, paru wchodzi na ich miejsce. Nie dałbym więc głowy, że ten topielec rzeczywiście znajdował się na pokładzie, chociaż wszystko przemawia za tym, że się tam znajdował.

Podejrzewamy, że ta łódź podwodna zdezerterowała wraz z liczącą około pięćdziesięciu osób załogą. Wyszła z portu i tyle ją widzieliśmy. Flota czarnomorska ma poważne kłopoty finansowe i przypuszczaliśmy, że ci ludzie postanowili wybrać wolność, prawdopodobnie zabrali żony i popłynęli na jakąś wysepkę na południowym Pacyfiku albo do Ameryki Południowej. Faktem pozostaje, że Kilo 630 zniknęła bez śladu. Nie powiadomiłem o tym incydencie ciebie, bo i czym się tu chwalić. Na pewno to rozumiesz.

–Tak, rozumiem. Rzadko się zdarza, żeby taka duża marynarka wojenna jak wasza w tak głupi sposób traciła łodzie podwodne. Tego typu afery zdarzają się tylko w krajach Trzeciego Świata, nieprawdaż?

–Tak, Arnoldzie, na przykład w Iranie.

Amerykanin puścił tę uwagę mimo uszu.

–A nie sądzicie – podjął – że ta łódź mogła zostać sprzedana jakiemuś obcemu państwu?

–Wykluczone. Fakt, brakuje nam gotówki, ale nie aż tak. Nie przeczę, realizujemy zamówienia rozmaitych krajów, nawet arabskich, na dostawę łodzi podwodnych, ale wszystko to odbywa się zupełnie legalnie. Nie sprzedalibyśmy łodzi podwodnej o napędzie dieslowskim wraz z całą załogą jakiemuś okutanemu w prześcieradło facetowi z workiem pieniędzy na plecach. Tak nisko nas nie oceniajcie.

–No dobrze, Witalij, skoro jesteście niewinni, a ta Kilo 630 po prostu przepadła, to pozostają dwa możliwe wyjaśnienia. Albo ktoś ją sobie pożyczył, albo została uprowadzona.

–Wiem, Arnoldzie, że uważacie nas za mało skutecznych w porównaniu z Ameryką, ale wszczęte tutaj, w Sewastopolu, dochodzenie nie wykazało, żeby w ciągu trzech dni poprzedzających jej wyjście w morze wydarzyło się coś niezwykłego. Przygotowania do rejsu przebiegały normalnie. Kapitan złożył wszystkie dokumenty wymagane do wydania zgody na próbny rejs po Morzu Czarnym po remoncie. Członkowie załogi dzwonili do żon, trzech zmienników nie opuszczało swoich kwater aż do dnia wyjścia w morze. Pirsy, przy których cumują łodzie podwodne, są zawsze dobrze strzeżone i nikt nie zauważył, żeby kapitan był przez kogoś nagabywany ani żeby odbił od nadbrzeża z bandą terrorystów na pokładzie.

Nasze podejrzenia wzbudził dopiero brak sygnału potwierdzenia składu załogi. Ale przez pierwsze trzy dni nikt nie przywiązywał do tego wagi. Zakładaliśmy, że radiowiec z łodzi podwodnej po prostu zapomniał go nadać. Upłynęło dwanaście kolejnych godzin, zanim zaniepokoił nas całkowity brak kontaktu z Kilo 630. Wszczęliśmy poszukiwania i znaleźliśmy unoszące się na powierzchni morza szczątki, które, jak teraz podejrzewamy, zostały tam podrzucone.

–No i do jakich wniosków to nas prowadzi, stary? Zgadzam się z tobą, że jej wykradzenie z portu nie wchodzi w rachubę. Wasza łódź podwodna nie została uprowadzona. Gdyby wyszła z Sewastopola pod przymusem, na pewno pozostałby jakiś ślad, który by na to wskazywał. I z pewnością wysłaliby sygnał SATCOM. Nie, moim zdaniem waszą łódź podwodną ktoś pożyczył.

–Od kogo? Od prezydenta?

–Nie, Witalij. Od kapitana.

–Przecież on nią tylko dowodzi. Nie jest jej właścicielem. – A co by powiedział, gdyby zaproponowano mu przeprowadzenie

– pewnej misji? Wyprowadzenie z portu łodzi wraz załogą? Za dziesięć milionów dolarów amerykańskich?

–No nie, wiedziałby przecież, że jeśli wykradnie rosyjską łódź podwodną, to już nigdy nie będzie mógł wrócić do domu.

–Do domu? Do jakiego domu? Do służbowego mieszkania w portowym miasteczku nad Morzem Czarnym, gdzie wszystko się sypie. Nie oszukujmy się, Witalij, sam potrafiłbym przekupić kapitana rosyjskiej łodzi podwodnej. A co dopiero ktoś z taką górą pieniędzy, że starcza ich na kupienie nie tylko łodzi, ale i całej załogi.

–Ależ Arnoldzie, ci ludzie mają żony i dzieci. Przesłuchaliśmy wszystkich. Nikt nic nie wie. Są święcie przekonani, że ich mężowie i ojcowie nie żyją. Nie ujawnialiśmy przed nimi naszych podejrzeń, że to wcale nie jest takie pewne.

–Jeszcze jedno pytanie. W jakie torpedy uzbrojona była ta Kilo?

–Na standardowym wyposażeniu miała torpedy SAET-60. No wiesz, pięćset trzydzieści trzy milimetry, długość siedem i osiem dziesiątych metra. Poruszają się z szybkością około czterdziestu węzłów i mają zasięg do piętnastu kilometrów. Typowa broń do zwalczania jednostek nawodnych. Łódź była stosunkowo nowa, klasy Ganay, typ 877M. Miała na pokładzie dwadzieścia takich torped. I dwie wyrzutnie przystosowane specjalnie do odpalania torped kierowanych przewodowo.

–Ile waży typowa głowica bojowa?

–Czteryście kilogramów.

–Czy istnieje ich wersja jądrowa?

–Tak.

–A czy ta łódź miała na pokładzie torpedy z głowicami w tej wersji?

–Tak.

–Ile?

–Dwie.

–Skąd wiesz?

–Wszyscy zaangażowani w nasze wewnętrzne dochodzenie wiedzą o tej Kilo 630 wszystko.

–Czy mogę zakładać, że zrobicie, co w waszej mocy, żeby nam pomóc?

–Arnoldzie, możesz liczyć na naszą pomoc w poszukiwaniach tej łodzi i na dzielenie się informacjami. Wszelkimi infor-

312

macjami. Mam nadzieję, że dacie nam znać, jeśli znajdziecie ją pierwsi?

–My znajdziemy ją pierwsi.

–Skąd ta pewność?

–Bo nam bardziej na tym zależy.

–Straszny z was człowiek, admirale Morgan.

–Powiem ci, czego od ciebie oczekuję. Chcę cię prosić, żebyś miał oko na rodziny załogi naszej Kilo 630. Zwracaj uwagę na wszelkie odstępstwa od normy... no wiesz, ktoś ni z tego, ni z owego zaczyna szastać pieniędzmi i tak dalej.

–Podejrzewasz, że ktoś przekupił całą załogę, żeby zatopić wasz lotniskowiec?

–Nie. Nie sądzę, żeby to było konieczne. Wystarczyło skusić fortuną kapitana. I poinstruować go, żeby oszukał załogę, wmawiając jej, że realizują jakąś tajną misję na rzecz rosyjskiej marynarki wojennej. Co robi załoga po fakcie? Każdy inkasuje ogromne honorarium, może nawet po pół miliona dolarów na osobę, i jeśli ma trochę oleju w głowie, bierze nogi za pas. Urządza sobie gdzieś nowe życie. Mówię ci, obserwuj wdowy i sieroty, rozumiesz?

–Rozumiem. Coś jeszcze?

–Tylko tyle. Aha, skoro już jesteś w Sewastopolu, to chciałbym ci podesłać jednego z moich ludzi. Na jakieś dwa tygodnie. Pokazałbyś mu wszystko na miejscu, informował go na bieżąco o nowych ustaleniach, a on ze swej strony wprowadzałby cię osobiście w postępy naszego śledztwa.

–W porządku. No to szukajmy tej Kilo 630.

Admirał Morgan wrzucił do kosza na śmieci zużyte styropianowe kubki i papierową tackę po kanapkach, ubrał płaszcz i spojrzął na zegarek: druga pięćdziesiąt sześć. Miał już zgasić światło i wyłączyć komputer, kiedy niespodziewanie zadzwonił telefon.

–Morgan, słucham.

–Admirale Morgan. – Głos w słuchawce miał obcy akcent, jego właściciel z trudem dobierał angielskie słowa. – Jestem pracownikiem izraelskiego wywiadu. Generał Gavron prosił mnie,

żeby do pana zadzwonił. Jestem w Stambule i znalazłem pańskiego człowieka. Wypłynął stąd dwudziestego szóstego listopada zeszłego roku na statku z Morza Czarnego. Wykupił za gotówkę, za tureckie liry, bilet do Odessy. Na liście pasażerów figurował

pod nazwiskiem Adnam. Statek wpłynął do portu w Odessie dwudziestego siódmego listopada o godzinie trzynastej. Adnam nie wyskoczył za burzę, zszedł normalnie na ląd. General Gavrion przekazał sprawę koledze z Odessy. Tutaj pański człowiek chyba już nie wrócił. Do widzenia, admirale, muszę już kończyć. * Połączenie z Turcją zostało przerwane. Admirał Morgan został dla odmiany ze słuchawką w ręku.

–Tak, już tam nie wrócił – mruknął pod nosem. – Przepłynął tylko przez sam środek portu na głębokości peryskopowej.

Podszedł do map rozpostartych na dużym, uchylnym stole. Zapalił lampę, wyciągnął na wierzch mapę wybrzeży Morza Czarnego i pochylił się nad nią z cyrklem nawigacyjnym w ręku.

–Od Sztambułu do Odessy... – mruczał pod nosem, odmierzając odległość -... mamy trzysta siedemdziesiąt pięć mil... przy szybkości piętnastu do dwudziestu węzłów jest tam następnego dnia.

Następnie zmierzył odległość wodą z Odessy do Sewastopola.

–Dwieście mil do południowego cypla Półwyspu Krymskiego. Czyżby tam udał się Benjamin Adnam... żeby spotkać się z kapitanem Kilo 630,? – zapytał głośno.

Zatopiony w myślach wrócił za biurko.

–Postawmy się w jego położeniu. Jestem w Sewastopolu, gdzie mieści się dowództwo rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Jestem już umówiony albo chcę dopiero nawiązać kontakt z kapitanem rosyjskiej łodzi podwodnej o napędzie dieslowsko-elektrycznym. Czego mi potrzeba? Na pewno forsy, ciężkiej forsy, oto czego mi potrzeba. A nie mogę jej podjąć w Odessie ani w żadnym innym rosyjskim mieście bez zwracania na siebie uwagi. To samo tyczy się Kairu. Ale mogłem ją podjąć w Sztambule.

Admirał Morgan podniósł słuchawkę i zażądał natychmiastowego połączenia z CIA. Operatora centrali CIA poprosił o połączenie ze starszym oficerem dyżurnym, a tego o przekazanie majorowi Tedowi Lynchowi, że ma się skontaktować za pośrednictwem bezpiecznej linii z dyrektorem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Rzucił słuchawkę, zanim zdążono zwrócić mu uwagę, która jest godzina. Opadł na oparcie fotela i czekał. Major CIA zadzwonił po niespełna pięciu minutach.

–Witam, admirale, Ted Lynch z tej strony.

–Czołem. Przepraszam, że cię budzę, ale mam trop, który może będziesz w stanie podjąć. Podejrzewam, że nasz człowiek mógł dwudziestego szóstego listopada zeszłego roku podjąć w Stambule bardzo dużą ilość gotówki, prawdopodobnie w dolarach amerykańskich, ponad pięć milionów, niewykluczone, że nawet dziesięć. Da się to sprawdzić?

–Stambuł to bardzo kosmopolityczne miasto, ale lubią tam robić interesy ze Stanami Zjednoczonymi. Prawdopodobnie pójdą na współpracę. Trzeba będzie dotrzeć do kogoś z ulicy Buyukdere, roi się tam od międzynarodowych banków: Bankapital, Iktisat Bankasi, Garanti Bank. Są bardzo dyskretni, ale mamy u nich dojścia. Poza tym większość tych banków ma oddziały w Nowym Jorku.

Wątpię, czy ujawnią nam nazwiska albo jakieś bliższe dane, ale jeśli spytamy, czy tego dnia podjęto w gotówce niezwykle dużą sumę, obrazowo mówiąc, całą walizkę pieniędzy, prawdopodobnie udzielą nam szczerzej twierdzącej albo przeczącej odpowiedzi. Wtedy zadecydujemy, co dalej. Jutro o drugiej nad ranem pociągnę za sznurki. To poniedziałek, tak?

–Dzięki, Ted. Powodzenia. Czekam na wiadomości jutro wczesnym rankiem. Jestem tu od szóstej. Dobranoc, stary.

–Chwileczkę, panie admirale, jeszcze jedno – agent CIA podniósł głos w obawie, że admirał swoim zwyczajem odłoży słuchawkę. – Mam pytanie... jest pan tam jeszcze?

–Jestem, jestem.

–Panie admirale, gdybym to ja chciał zapłacić rosyjskiemu kapitanowi górę forsy za to, żeby wyprowadził swoją łódź podwodną z Morza Czarnego w okolicach połowy kwietnia, to na pewno nie wręczałbym mu tych pieniędzy pod koniec listopada.

–I słusznie, Ted. Pewnie, że byś tego nie zrobił. W listopadzie dałbyś mu prawdopodobnie dwadzieścia patyków w charakterze zadatku. A potem zorganizował to tak, że główna zaliczka, dajmy na to pięć milionów dla niego i pięć na zatkanie gęby załodze, popłynęłaby w rejs razem z nim.

–To już bardziej do przyjęcia, admirale. Ale nie ma mowy, żeby ktoś zwrócił uwagę na faceta, który dwudziestego szóstego listopada podejmował jakieś marne dwadzieścia tysięcy. Musimy się skupić na wypłatach rządu dziesięciu milionów dolarów amerykańskich realizowanych gdzieś między siódmym a trzynastym kwietnia. Po takiej wypłacie musiał pozostać gdzieś ślad.

–Tak jest, Ted. Bardziej prawdopodobny jest drugi tydzień kwietnia. Zrób, co się da. Jestem ci wdzięczny.

Admirał odłożył słuchawkę, po czym znowu ją podniósł i wystukał na klawiaturze marylandzki numer komandora porucznika Billa Baldrige'a. Zegar na ścianie wskazywał już trzecią trzydzieści osiem. Ale kansański naukowiec, przyzwyczajony do * nękania telefonami o każdej porze dnia i nocy, odebrał natychmiast. Nawet jeśli nie był sam, nie dał tego odczuć.

–Tak, panie admirale, to ja. Witam, co się stało?

–Robimy postępy, Bill. Rosjanie dopuszczają możliwość, że ich Kilo została wynajęta przez agenta jakiegoś arabskiego kraju. Są po naszej stronie i pojedziesz tam w odwiedziny do mojego starego kumpla, szefa biura wywiadu morskiego, wiceadmirała Witalija Rankowa. Najpierw załatwisz, co masz do załatwienia w Londynie i w Szkocji, potem wysyłam cię nad Morze Czarne, spakuj się więc odpowiednio. Możesz tam zabawić kilka tygodni.

A tak nawiasem mówiąc, Mossad jest na tropie Adnama. Trafili za nim do Odessy. Przybył tam ze Stambułu morzem na rosyjskim paszporcie. Miał wbitą wizę turecką. Jedno jest pewne, gość nie ma najmniejszych problemów z dokumentami. Wszystko wskazuje na to, że stamtąd wybrał się do Sewastopola ze skromnym zadatkiem dla rosyjskiego kapitana na poczet przygotowania do misji okrętu wraz z załogą.

–Zaraz, zaraz, admirale. Nie można tak zwyczajnie zjawić się nie wiadomo skąd, wmieszać między oficerów rosyjskiej marynarki wojennej i przystąpić do szukania wśród nich takiego, który za łapówkę zgodzi się buchnąć okręt i wplątać załogę w przedsięwzięcie tak diaboliczne, że jej członkowie staną się potem najbardziej poszukiwanymi ludźmi na świecie.

–Owszem, Bill, można. Wskaż mi dowolnego rosyjskiego kapitana, któremu się nie przelewa, a ja za odpowiednią sumkę nakłonię go do wszystkiego. Ma tylko wejść na pokład, powiedzieć załodze, że wypływają na jakieś tajne ćwiczenia morskie i odbić od nadbrzeża. Warunki postawiłbym proste: masz tutaj połowę pieniędzy za wykonanie zadania. Reszta czeka w banku jakiegoś południowoamerykańskiego państwa, skąd możesz się nie obawiać ekstradycji. I gdzie, przy odrobinie szczęścia, nawet cię nie znajdą.

–Ile dajesz?

–Powiedzmy pół miliona dolarów.

–Nic z tego. Musi mu tego starczyć na utrzymanie siebie i rodziny przez resztę życia.

–Dobra, no to trzy miliony.

–Zbyt mało za zatopienie dużego lotniskowca i rozstanie się na zawsze z ojczyzną.

–Pięć?

–No, może...

–Dziesięć milionów dolarów.

–To już przyzwoita sumka.

–Jak chcesz, to dorzucę drugie dziesięć. Ale w końcu go skuszę. Bo naftowe pieniądze mojego kraju nic dla mnie nie znaczą, a dla niego to życiowa szansa. Dla niego i dla jego rodziny. Chyba mamy odpowiedź, Bill. Tak to przeprowadzili. I powiem ci coś jeszcze. Te nowe Kilo z Morza Czarnego mają już na pokładzie komplet torped. Prawdopodobnie dwadzieścia sztuk. A dwie z nich są uzbrojone w głowice jądrowe.

–Jezus, Maria! Skąd wiesz?

–Od Rankowa.

–Chcesz przez to powiedzieć, że ta Kilo wyszła w morze już z Benem Adnamem na pokładzie i z pełnym uzbrojeniem?

–Nie. Przypuszczam, że Ben dosiadł się do nich gdzieś na tureckich wodach terytorialnych. Nie ryzykowałyby wpadki podczas rutynowych kontroli na terenie bazy rosyjskiej marynarki wojennej. Ale kapitan wiedział, że Ben ma dostęp do ogromnych pieniędzy. I wiedział, że połowę tych pieniędzy ma już właściwie za nic. A drugą połowę zainkasuje po wykonaniu zadania. W jakimś obcym kraju. Ale co do torped, to te były na miejscu. Rosyjski kapitan już tego dopilnował. Zgodnie z umową.

–Czy Rosjanie są pewni, że ta Kilo przeszła przez Bosfor w zanurzeniu?

–Nie. Wiedzą tylko, że zaginęła i węższą jakiś szwindel. Ale biorą pod uwagę, że przez Bosfor mogła przejść, bo przemawia za tym ten topielec znaleziony u wybrzeży greckiej wyspy. Był członkiem załogi Kilo 630.

–Ranków to potwierdził?

–Tak.

–Zobaczymy się jutro przed moim odlotem do Londynu?

–Tak. Wpadnij do mnie do biura. Wczesnym rankiem. Odbędziemy ostatnią odprawę z szefem operacji morskich. Na lotnisko

316

–Nic z tego. Musi mu tego starczyć na utrzymanie siebie i rodziny przez resztę życia.

–Dobra, no to trzy miliony.

–Zbyt mało za zatopienie dużego lotniskowca i rozstanie się na zawsze z ojczyzną.

–Pięć?

–No, może...

–Dziesięć milionów dolarów.

–To już przyzwoita sumka.

–Jak chcesz, to dorzucę drugie dziesięć. Ale w końcu go skuszę. Bo naftowe pieniądze mojego kraju nic dla mnie nie znaczą, a dla niego to życiowa szansa. Dla niego i dla jego rodziny. Chyba mamy odpowiedź, Bill. Tak to przeprowadzili. I powiem ci coś jeszcze. Te nowe Kilo z Morza Czarnego mają już na pokładzie komplet torped. Prawdopodobnie dwadzieścia sztuk. A dwie z nich są uzbrojone w głowice jądrowe.

–Jezus, Maria! Skąd wiesz?

–Od Rankowa.

–Chcesz przez to powiedzieć, że ta Kilo wyszła w morze już z Benem Adnamem na pokładzie i z pełnym uzbrojeniem?

–Nie. Przypuszczam, że Ben dosiadł się do nich gdzieś na tureckich wodach terytorialnych. Nie ryzykowałby wpadki podczas rutynowych kontroli na terenie bazy rosyjskiej marynarki wojennej. Ale kapitan wiedział, że Ben ma dostęp do ogromnych pieniędzy. I wiedział, że połowę tych pieniędzy ma już właściwie za nic. A drugą połowę zainkasuje po wykonaniu zadania. W jakimś obcym kraju. Ale co do torped, to te były na miejscu. Rosyjski kapitan już tego dopilnował. Zgodnie z umową.

–Czy Rosjanie są pewni, że ta Kilo przeszła przez Bosfor w zanurzeniu?

–Nie. Wiedzą tylko, że zaginęła i węższą jakiś szwindel. Ale biorą pod uwagę, że przez Bosfor mogła przejść, bo przemawia za tym ten topielec znaleziony u wybrzeży greckiej wyspy. Był członkiem załogi Kilo 630.

–Ranków to potwierdził?

–Tak.

–Zobaczymy się jutro przed moim odlotem do Londynu?

–Tak. Wpadnij do mnie do biura. Wczesnym rankiem. Odbędziemy ostatnią odprawę z szefem operacji morskich. Na lotnisko

pojedziesz prosto stąd. I weź ze sobą przenośny koder rozmów telefonicznych. Potrafisz się nim posługiwać?

–Potrafię, ale wolałbym to jeszcze z panem przećwiczyć. Mogę łączyć się z panem za jego pośrednictwem z zagranicy?

–Możesz z każdego miejsca na świecie. I zabierz go koniecznie. Nie możemy ryzykować, że ktoś nas podsłucha.

–Rozumiem, sir.

Ale admirał Morgan już się rozłączył i pochylił znowu nad mapą. Teraz była to wielkoskalowa, szczegółowa mapa północnego wybrzeża Turcji, które ciągnie się od Bosforu na zachód po odległą o sto mil granicę z Bułgarią i do gruzińskiego miasta Batumi, położonego siedemset mil na wschód od Bosforu, na dawnej sowieckiej granicy.

Zadawał sobie to samo co zawsze pytanie: „Co zrobiłbym na jego miejscu?”

Minęła już czwarta nad ranem. Waszyngton spał. Arnold Morgan czuwał. Zapalił cygaro, otworzył drzwi gabinetu i poprosił

o kawę.

Pora dnia nie miała dla admirała żadnego znaczenia. Jako były podwodniak przywykł do kokonu tych wielkich podwodnych okrętów, na których nie ma rozróżnienia między nocą a dniem. Jedynym świadectwem upływu czasu są tam dzwonki na zmianę wacht.

Morgan wykonał cygarem teatralny gest.

–Zacznijmy jeszcze raz od początku – mruknął do siebie. – Przybyłem właśnie do Sewastopola. Dźwigam dwie walizki wypchane amerykańskimi dolarami. Jedną wręczyłem już kapitanowi. Drugą dam mu po wejściu na pokład. Tylko kiedy tam wejść?

Admirał Arnold Morgan wytężył intelekt.

–Chwileczkę – powiedział głośno. – Wróć to tempo. Odpowiedzmy sobie raczej na pytanie, czego bym nie zrobił. Co by mi nawet do głowy nie przyszło, gdybym zamierzał wejść nielegalnie na pokład rosyjskiej łodzi podwodnej i ukraść ją? Odpowiedź: nie zostałbym w Rosji. Wziąłbym tę drugą pełną pieniędzy walizkę, dał stamtąd nogę i wsiadł na pokład gdzie indziej.

Admirał, dumny ze swojej logiki, pochylił się znowu nad mapą

1 zaczął ją studiować, eliminując kolejne porty morskie rozsiane wzdłuż zachodniego wybrzeża: te rumuńskie w pobliżu ujścia

–Tam też wolałbym się nie pokazywać – dorzucił. – Te kraje za długo znajdowały się pod sowiecką okupacją. Za dużo tam podejrzliwości, za dużo szpiegów.

Przesunął wzrok na wybrzeże Turcji rozciągające się na zachód od Bosforu, od europejskiej strony.

–Tu też nie. Za daleko do głębokiej wody. Żeby spotkać się z łodzią podwodną, trzeba by odpłynąć na dobre sześćdziesiąt mil od brzegu. Za daleko. Za duże ryzyko zatrzymania przez kuter patrolowy. To tureckie wody terytorialne. Mogliby cię przydybać z całą gotówką i prawdopodobnie z bronią. Mogliby nawet zauważyć wynurzoną rosyjską łódź podwodną, która nie miała prawa tam przebywać. Kiepska sprawa.

Przeniósł wzrok na linię brzegową po drugiej stronie Bosforu. Sunął wzdłuż niej ze szkłem powiększającym przy oku, by zatrzymać je nagle nad portem morskim położonym na półwyspie Sinop. Podszedł do dużej szafy na mapy i wysunął jedną z szuflad. Zdjął odległość cyrklem, przykładając go do metalowej linijki zmierzył rozstaw nówek i z satysfakcją stwierdził, że półwysep wybiega w bardzo głęboką wodę. Był to na całym wybrzeżu najbliższy lądu punkt, w którym mogła czekać łódź podwodna. Zaledwie dwadzieścia pięć minut drogi do głębokiej wody.-,

Sprawdził jeszcze raz, po czym wyciągnął przewodnik turystyczny, z którego dowiedział się, że Sinop to miasto ze stocznia, pięknymi plażami, zacisznym portem rybackim i wieloma tanimi hotelami. Można tam było dojechać autobusem z odległego o jakieś trzysta mil Stambułu. W Sinop urodził się Diogenes, filozof cynik. To przeważało szalę. Wśród cyników admirał Morgan czuł się jak u siebie.

–Oto, co bym zrobił – oznajmił uroczyście. – pobiliłbym targu z rosyjskim kapitanem, pojechałbym wybrzeżem na południe, do Gruzji, a potem przeprowił się morzem do Trabzon. Tam wsiadłbym w autobus do Sinop. Zainstalowałbym się ze sprzętem radiowym w którymś z tych hotelików i czekał na sygnał od mojego rosyjskiego kapitana.

Po jego odebraniu zakradłbym się do portu, wsiadł na jakąś upatrzoną wcześniej, pozostawioną bez opieki żaglówkę i wypłynął po cichu w mniej więcej czternastomilowy rejsik, kierując się * przy pomocy odbiornika globalnej nawigacji satelitarnej na punkt o współrzędnych 35,3E i 42,1 N. Jako doświadczony podwodniak przybliżył do czekającej łodzi podwodnej, przedziurawił dno ża-

główki, chwycił walizkę i przeskoczył na Kilo. Tam, jak to było wcześniej ustalone, przejąłbym od jej kapitana dowództwo.

Admirał Morgan zdawał sobie sprawę, że może się mylić, ale rad był, że ma chociaż jakiś punkt wyjścia. Na razie zakładał, że właśnie w Sinop zaokrętował się komandor Ben Adnam. Nigdy nie miał się dowiedzieć, jak bliski był prawdy. Idąc do pozostawione-' go przed budynkiem samochodu, zastanawiał się już, co zrobiła łódź podwodna po tym potajemnym zabraniu dodatkowego pasażera.

Czy sunąc w zanurzeniu, na głębokości tysiąca sążni, skierowała się z powrotem na zachód ku północnemu wejściu do Bosforu? I czy po dotarciu tam komandor Adnam z zimną krwią kazał swojemu rosyjskiemu kapitanowi skrócić w lewo i kursem dwa-jeden-zero wpłynąć w smolistoczarne, nieznanie głębie rozpadliny biegnącej między podwodnymi urwiskami, gdzie nie zapuściła się dotąd żadna łódź podwodna?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Poniedziałek, 5 sierpnia, 7.00

Boeing 747 linii British Airways podchodził już do lądowania na Heathrow i kładąc się na skrzydło skręcał nad Londynem na zachód, a Bill Baldrige wciąż jeszcze biedził się nad formą, w jakiej przedłoży Royal Navy swoją nie mającą precedensu prośbę. „O, dzień dobry, panie admirale, czy nie pożyczylby mi pan czasem nowiutkiej łodzi podwodnej klasy Upholder o ęapędzie dieslow-sko-elektrycznym, którą prawdopodobnie rozwal i fny pośrodku stambulskiego portu?”

Nie. Zbyt obcesowo. Może trochę bardziej subtelnie. Na przykład: „Dzień dobry, panie admirale, zastanawiałem się właśnie, czy byłby pan tak dobry i wypożyczył nam na parę tygodni jedną ze swoich łodzi podwodnych. Będziemy o nią dbali. A tak nawiasem mówiąc, macie może w Stambule ekipę ratownictwa morskiego?”

Pozostawało tylko żywić nadzieję, że przed jego zjawieniem się w Northwood Scott Dunsmore zdoła tam odpowiednio przygotować grunt pod zwrócenie się do Royal Navy z tą, co tu ukrywać, bezczelną prośbą. Komandor porucznik Bill Baldrige miał jeszcze blade pojęcie o złożonościach stosunków łączących obie marynarki wojenne. Amerykański szef operacji morskich i brytyjski Lord Admiralicji rozumieli się bez słów. Każdy z nich był przygotowany, że ten drugi może go w każdej chwili zrobić w coś, w czym wolałby nie brać udziału. No, chyba że coś za coś.

Baldrige dotarł do Northwood tuż przed dziewiątą rano wysłanym po niego na lotnisko samochodem służbowym samego oficera flagowego sił podwodnych. Teren już znał i bez zbędnych formalności przywitał się serdecznie z Andrew Waitesem.

–Witam, witam – ucieszył się porucznik flagowy. – No jak, znaleźliście już tego Przemaglowanego?

–ty

–Jeszcze nie, ale jesteśmy na tropie.

Billa wprowadzono bezzwłocznie do gabinetu oficera flagowego sił podwodnych Royal Navy. Wiceadmirał sir Peter Elliott podniósł się na jego widok zza biurka.

–Rad znowu pana widzę, komandorze poruczniku. Dobry, miał pan lot?

–Praktycznie bezbolesny – odparł Bill. – Czy od mojego wyjazdu wszystko szło jak trzeba?

Brytyjski admirał zachichotał ubawiony bezceremonialnym zachowaniem gościa, składając to na karb amerykańskiej spontaniczności.

–No cóż – odparł – ostatnio nie doszło w mojej flotyli do ani jednej kolizji, żaden okręt nie osiadł na mieliźnie, żaden się nie spalił ani nie zaginął, na żadnym nie doszło do buntu, a więc chyba wszystko w najlepszym porządku.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do gabinetu, spóźniony, ale nie okazujący z tego powodu cienia skruchy, wszedł kapitan Dick Greenwood.

–Dzień dobry, sir. Witam, komandorze. Mam te notatki, o które pan prosił.

–Barrow?

–Tak. ' t

–Bardzo dobrze. No to teraz poprosimy Andrew o kawę i bierzemy się do roboty. Rzecz jest skomplikowana i dla Stanów Zjednoczonych bardzo ważna. – Spojrzał na Billa i dodał: – Rozmawiałem wczoraj wieczorem z lordem admiralicji, który odbył wcześniej długą rozmowę z waszym szefem operacji morskich. Jeśli dobrze zrozumiałem, chcecie od nas pożyczyć łódź podwodną o napędzie dieslowsko-elektrycznym i przepłynąć nią w zanurzeniu przez Bosfor, co, jak wszystkim nam wiadomo, legalne nie jest. Zgadza się?

Bill Baldrige odetchnął z ulgą, rad, że odpada mu wygłaszanie mowy, którą przygotowywał sobie w samolocie.

–Tak, sir, zgadza – odparł.

–Znam dobrze punkt widzenia zarówno swój, jak i Royal Navy, może więc zechciałby mi pan przedstawić teraz punkt widzenia Stanów Zjednoczonych, który nie jest dla mnie do końca jasny?

–Oczywiście, sir. Jak panu wiadomo, już od miesiąca próbujemy ustalić, co naprawdę przytrafiło się „Thomasowi Jeffersonowi”. I jak na razie wszystko wskazuje na to, że

zatopiony został torpedą odpaloną z łodzi podwodnej o nieato-mowym napędzie, należącej do jednego z nieprzyjaznych Stanom Zjednoczonym państw Zatoki.

Nie sądzimy, żeby użyli jednostki wchodzącej oficjalnie w skład ich floty, wiadomo jednak, że była to Kilo rosyjskiej produkcji. Jeśli nasze dedukcje są słuszne, łódź ta musiała zatem przypląć przez Bosfor z Morza Czarnego. Turcy zaś twierdzą, że nic im o tym nie wiadomo. Stąd nasze przypuszczenie, że przemknęła się tamtędy w zanurzeniu.

–Tak, to by nawet pasowało. Ale w jakim celu chcecie powtórzyć ten wyczyn? Któraś z waszych stacji telewizyjnych organizuje konkurs z nagrodami?

Bill roześmiał się.

–Na razie nie, sir. To jeszcze przed nami. Nie, rzecz w tym, że nasz prezydent jest gotów zarządzić globalne polowanie na tę łódź, jeśli tylko ktoś niezbitnie dowiedzie, że przejście w zanurzeniu przez Bosfor z północy na południe jest możliwe. Chodzi o to, że kilkadziesiąt osób zdążyło go już zapewnić, że to niewykonalne. Że nikt tego nie dokona.

–Tak, globalne polowania mają to do siebie, że z czasem przechodzą w obsesję – zauważył admirał Elliott. – I raz rozpoczęte, na zastraszającą skalę pochłaniają pieniądze i angażują potencjał ludzki. Wasz prezydent mądrze robi, zachowując w tym względzie ostrożność.

–To prawda. Wszyscy jego doradcy polityczni nalegają, żeby oficjalnie trzymał się wersji „nieszczęśliwego wypadku”. Jeśli ten rajd przez Bosfor dojdzie do skutku i z jakiegokolwiek powodu się nie uda, on ich posłucha i co więcej, nigdy nie przyzna publicznie, że w ogóle były jakieś inne hipotezy.

–Rozumiem – przyznał admirał. – Chociaż tego rodzaju polityka może się okazać krótkowzroczna, jeśli ten muzułmański wróg uderzy znowu. Przykro stracić lotniskowiec, a co dopiero dwa.

–Takie też jest stanowisko większości kadry oficerskiej naszego wywiadu oraz podwodniaków, sir. Ale rozumie pan chyba punkt widzenia prezydenta? Nie można mu odmówić, że w zaistniałych okolicznościach postępuje rozsądnie. Mówi, że jeśli ma wszcząć szeroko zakrojone poszukiwania, których koszt może dojść do paru miliardów dolarów, to chce mieć świadomość, że przyjęty przez nas scenariusz zatopienia „Jeffersona” jest co najmniej prawdopodobny.

–Bardzo to po prezydencku – mruknął admirał. – Gorzej, jeśli dojdzie do kolejnego ataku. Wtedy cała wina spadnie na niego, a oponenti rozniosą go na strzępy za zlekceważenie ostrzeżeń wyższej kadry dowódczej.

–Tak – przyznał Kansańczyk. – Chyba na to się zanosi. Bo niektórzy z nas są zdania, że przygotowania do tego drugiego ataku już trwają.

* – Z tego rodzaju sprawami, Bill, jest jak z negocjacjami prawnymi. Nie starasz się przewidywać, co się stanie, lecz co się może stać. Choćby to było nie wiem jak mało prawdopodobne. W sprawach wojskowych, tam gdzie w grę wchodzi ewentualne straty w ludziach, trzeba działać przy założeniu najgorszego scenariusza. Nie wolno inaczej. A wiem z doświadczenia, że politykom bardzo trudno to pojąć.

Tutaj do rozmowy wtrącił się kapitan Greenwood.

–Może mi pan powiedzieć, komandorze, skąd w was ta pewność, że to była rosyjska Kilo?

–Mogę, sir. Sprawdziliśmy, gdzie znajdowała się w tym czasie każda łódź podwodna marynarki wojennej każdego państwa, włączając w to kraje Trzeciego Świata. Co do tych ostatnich, okazało się, że ich jednostki przechodziły wtedy remont albo były niesprawne, a w przypadku Syrii i Libii zatoneły i leżały na dnie portów... t

–Przepraszam, że przerwę – wpadł mu w słowo admirał, uśmiechając się dziwnie i unosząc brew. – Ale czy przed paroma dniami coś takiego nie przytrafiło się aby Irańczykom?

–Naprawdę nic mi o tym nie wiadomo – odparł Amerykanin.

–Naturalnie, że nie – powiedział admirał, wciąż się uśmiechając. – Proszę kontynuować.

–Otóż po zakończeniu tej weryfikacji została nam tylko jedna możliwość. Jedna z rosyjskich Kilo wypłynęła w kwietniu z Sewastopola, a po dwóch tygodniach zgłoszono jej zatonięcie na Morzu Czarnym. Rosjanie przyznają, że szukali jej długo, ale bez rezultatu, i mają powody przypuszczać, że mogła uciec. W tej chwili przyznają tylko, że zniknęła.

–A mnie się wydaje, że ona naprawdę zatoneła, tyle że w jakimś nietypowym miejscu i nie potrafią jej odszukać – powiedział kapitan Greenwood. – Takie wypadki się zdarzają.

–No tak. Ale co by pan podejrzewał, będąc na naszym miejscu?

–Podejrzałbym, że to ona mogła zaatakować mój lotniskowiec.

–Właśnie. Tylko ta łódź podwodna mogła to zrobić. I tak wracamy do postawionego przez prezydenta warunku, że musimy dowieść, że przejście w zanurzeniu przez Bosfor jest możliwe.

–Zanim wytoczą ciężkie działa, tak? – spytał Greenwood.

–Wcale bym się nie zdziwił, gdyby paru wyższych oficerów irańskiej marynarki było zdania, że one już zostały wytoczone -powiedział admirał Elliott.

Komandor porucznik Baldrige pominął tę uwagę milczeniem; zauważył, że admirał wciąż znacząco się uśmiecha.

–Osobiście uważam – podjął kapitan Greenwood – że to, co chcecie zrobić, wcale nie jest konieczne. Po co narażać łódź i załogę dla sprawdzenia tak dziwacznej ewentualności? Nawet gdyby wam się udało, znaczyłoby to tylko tyle, że nowoczesna łódź obsadzona świetnie wyszkoloną załogą jest w stanie wypłynąć w zanurzeniu z Morza Czarnego. A to można ustrlic z dużą dozą prawdopodobieństwa tutaj, na miejscu, i oszczędzić sobie masy kłopotów, jakie wiążą się nieodłącznie z tak niebezpieczną misją. Zresztą wątpię, czy to w ogóle coś wniesie. Pomijając już fakt, że to wbrew prawu międzynarodowemu i że możemy stracić łódź w kilkudziesięciu rozmaitych wypadkach, a kto wie, czy nie narazić na utonięcie kilkudziesięciu marynarzy.

–Zapomniałem powiedzieć, Bill – odezwał się admirał – że kapitan Greenwood jest moim osobistym adwokatem diabła. Potrzebny mi taki, bo mnóstwo osób sądzi, że wplątywanie się w coś, czego nie można albo nie powinno się robić, sprawia mi przyjemność. To, naturalnie, nieprawda, ale taką już mam reputację i muszę z nią jakoś żyć.

–Rozumiem, sir – odparł Bill Baldrige. – Ale odpowiedź na zastrzeżenia kapitana Greenwooda jest prosta. Tak postanowił prezydent Stanów Zjednoczonych. On życzy sobie przeprowadzenia tego eksperymentu, żeby usprawiedliwić jakoś wydanie kilku miliardów dolarów na tropienie wroga, który być może nie istnieje. To jeden z najlepszych prezydentów, jakich kiedykolwiek mieliśmy. Jest przyjacielem wojska i stara się nas zrozumieć. Jest twardy, inteligentny i zawsze bierze naszą stronę. Próbuje tylko uniknąć sytuacji, w której jakiś przemądrzały kongresmen wytknie mu, że Bosforu pod wodą przepłynąć się nie da, i zarzuci trwonienie pieniędzy podatników.

–Podejrzałbym, że to ona mogła zaatakować mój lotniskowiec.

–Właśnie. Tylko ta łódź podwodna mogła to zrobić. I tak wracamy do postawionego przez prezydenta warunku, że musimy dowieść, że przejście w zanurzeniu przez Bosfor jest możliwe.

–Zanim wytoczą ciężkie działa, tak? – spytał Greenwood.

–Wcale bym się nie zdziwił, gdyby paru wyższych oficerów irańskiej marynarki było zdania, że one już zostały wytoczone -powiedział admirał Elliott.

Komandor porucznik Baldrige pominął tę uwagę milczeniem; zauważył, że admirał wciąż znacząco się uśmiecha.

–Osobiście uważam – podjął kapitan Greenwood – że to, co chcecie zrobić, wcale nie jest konieczne. Po co narażać łódź i załogę dla sprawdzenia tak dziwacznej ewentualności? Nawet gdyby wam się udało, znaczyłoby to tylko tyle, że nowoczesna łódź obsadzona świetnie wyszkoloną załogą jest w stanie wypłynąć w zanurzeniu z Morza Czarnego. A to można ustrlic, z dużą dozą prawdopodobieństwa tutaj, na miejscu, i oszczędzić sobie masy kłopotów, jakie wiążą się nieodłącznie z tak niebezpieczną misją. Zresztą wątpię, czy to w ogóle coś wniesie. Pomijając już fakt, że to wbrew prawu międzynarodowemu i że możemy stracić łódź w kilkudziesięciu rozmaitych wypadkach, a kto wie, czy nie narazić na utonięcie kilkudziesięciu marynarzy.

–Zapomniałem powiedzieć, Bill – odezwał się admirał – że kapitan Greenwood jest moim osobistym adwokatem diabła. Potrzebny mi taki, bo mnóstwo osób sądzi, że wplątywanie się w coś, czego nie można albo nie powinno się robić, sprawia mi przyjemność. To, naturalnie, nieprawda, ale taką już mam reputację i muszę z nią jakoś żyć.

–Rozumiem, sir – odparł Bill Baldrige. – Ale odpowiedź na zastrzeżenia kapitana Greenwooda jest prosta. Tak postanowił prezydent Stanów Zjednoczonych. On życzy sobie przeprowadzenia tego eksperymentu, żeby usprawiedliwić jakoś wydanie kilku miliardów dolarów na tropienie wroga, który być może nie istnieje. To jeden z najlepszych prezydentów, jakich kiedykolwiek mieliśmy. Jest przyjacielem wojska i stara się nas zrozumieć. Jest twardy, inteligentny i zawsze bierze naszą stronę. Próbuje tylko uniknąć sytuacji, w której jakiś przemądrzały kongresmen wytknie mu, że Bosforu pod wodą przepłynąć się nie da, i zarzuci trwonienie pieniędzy podatników.

–Tak – mruknął refleksyjnie admirał. – Rozumiem. Potrzebuje dowodu.

Kapitan Greenwood, widząc, że jego szef przychyła się do projektu, spochmurniał.

–A dlaczego nie korzystacie z własnej łodzi? – spytał.

–To proste – odparł Baldrige. – Nie mamy takiej od dwudziestu lat.

Mówił o starych jednostkach z napędem dieslowsko-elekt-rycznym, które jego marynarka wycofała ze służby w następstwie cięć nakładów na obronność. Zresztą stratedzy Stanów Zjednoczonych od dawna twierdzili, że amerykańskiej marynarce operującej zawsze na oceanach potrzebne są tylko duże, potężnie uzbrojone atomowe łodzie podwodne dalekiego zasięgu.

–Szczерze mówiąc, Amerykanie słusznie postąpili – powiedział admirał Elliott. – Im na co dzień potrzebne są atomowe łodzie podwodne dalekiego zasięgu. Dla tych małych, przybrzeżnych bardzo rzadko znajdują zastosowanie.

Nasi politycy uważają, że powinniśmy pójść za ich przykładem, ale nie mają racji, bo nie biorą pod uwagę warunków geograficznych, w jakich przyszło nam żyć. My musimy operować wzdłuż wybrzeży Europy jednostkami dowodzonymi przez wyszkolonych pod tym kątem podwodniaków. Te małe łodzie są dla wroga śmiertelnie niebezpieczne i dlatego właśnie Rosjanie nadal je budują i sprzedają. Cholera. Nasza sytuacja graniczy z absurdem.

–Co pan przez to rozumie, sir? – zdziwił się Baldrige.

–Ostatnimi laty wydaliśmy dwa miliardy funtów na cztery łodzie podwodne klasy Upholder będące mniej więcej odpowiednikami rosyjskich Kilo. Suma ta uwzględnia koszt projektu, i następne jednostki byłyby coraz tańsze.

I nagle, ni z tego, ni z owego, politycy uznali, że te łodzie nie są nam potrzebne, że nie ma nawet sensu trzymać ich na wszelki wypadek w zanadrzu. I żeby uniknąć kosztów utrzymania, choć te nie są wielkie, postanowili sprzedać je tanio każdemu chętnemu. Jedna pływa już pod banderą izraelską. Do kupna drugiej przymierzają się właśnie Brazylijczycy. I lichy wie, kto zgłosi się po dwie pozostałe.

Są sprzedawane za bezcen i z punktu widzenia służby podwodnej jest to karygodne marnotrawienie pieniędzy podatników

oraz dowodzi ocierającego się o kryminał braku wojskowej wyobraźni wykazywanego przez nasz rząd.

Komandorze Baldrige, nie upatruję w panu natręta, jak mogłoby się co poniektórym wydawać. Wprost przeciwnie, uważam, że z nieba mi pan spada.

–Tak, sir. Rozumiem. Bo oto nadarza się okazja, żeby ruszyć jedno z tych cacek i wykorzystać je do przeprowadzenia wspólnej operacji o doniosłym znaczeniu.

–Właśnie. A wszyscy zdajemy sobie sprawę, że być może mamy do czynienia z kryzysem morskim na skalę globalną. Pomóc zaś naszemu głównemu wojskowemu sojusznikowi możemy tylko w jeden sposób: użyczając mu niedocenianej małej łodzi podwodnej klasy Upholder, o którą od dłuższego czasu toczymy bez powodzenia boje.

–Cóż, sir, od początku wiedzieliśmy, że tylko do jednego kraju możemy się w tej sprawie zwrócić. Że tylko ten kraj zgodzi się nam pomóc, a do tego zachowa dyskrecję.

–Prawdę mówiąc, sam chętnie popłynąłbym w ten rejs -zaoferował się admirał.

–To absolutnie wykluczone, sir – wtrącił czym prędzej kapitan Greenwood. – Po pierwsze nie może pan być przez tak długi czas nieosiągalny, a po drugie powstałaby kłopotliwa sytuacja, gdyby doszło do jakiegoś wypadku i coś się panu przydarzyło. Nikt nie potrafiłby rozsądnie wyjaśnić, co pan robił w takiej niebezpiecznej misji.

–Słusznie, tylko że nie byłoby to już moje zmartwienie, nieprawdaż? – zauważył oficer flagowy. – Ale chyba ma pan rację. Z tym że łodzią i tak będzie musiał dowodzić Brytyjczyk.

–Założyliśmy, że dowódcą będzie oficer brytyjski – powiedział Baldrige. – Ale prezydent chce, żebym ja był na pokładzie.

–To żaden problem. Problemem jest termin. Ta garstka dowódców łodzi podwodnych klasy U, jakich mam, musiałyby przejść specjalne szkolenie. A nie ma czasu na odpowiednie doszlifowanie ich kwalifikacji. Ten, kogo wybierzemy na kapitana, będzie musiał mieć do pomocy eksperta, bardzo doświadczonego, konwencjonalnego podwodniaka.

–Może tak admirał MacLean, sir? – spytał kapitan Greenwood. – Jeśli on sobie nie poradzi, to znaczy, że zadanie jest niewykonalne.

–Cholernie dobra myśl! – podchwycił oficer flagowy. – Tyle że trzeba go będzie przekonać. Pod koniec sierpnia wybiera się na

kuropatwy. Ale powinien się zgodzić. Stary ma silne poczucie misji dziejowej, ta wyprawa może mu przypaść do gustu.

–Taki stary to on nie jest, sir. Ile ma... pięćdziesiąt sześć lat?

–Na pewno uważa się za wystarczająco młodego, by ubiegać się o miano pierwszego człowieka, który przepłynie Bosfor w zanurzeniu – odparł Elliott. – Chciałem powiedzieć, drugiego.

–Czy mam przez to rozumieć, że wyraża pan zgodę na przeprowadzenie operacji, sir? To znaczy na rozpoczęcie przygotowań?

–Cóż, Dick, widzę kilka interesujących możliwości, jakie z tego wynikają. Dla nas to bardzo dobrze: otworzymy rządowi oczy na to, że próbuje pozbyć się za bezcen bardzo cennych jednostek. Jeśli misja się powiedzie, zdołamy ich może przekonać do pozostawienia we flocie przynajmniej dwóch upholderów, argumentując, że nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

Dla Turków też dobrze, bo zdobędą trochę cennych nowych informacji, jeśli uznamy za stosowne podzielić się nimi z Turcją.

W dalszej zaś perspektywie zadowoleni będą również Amerykanie, bo poprawi się turecka kontrola nad Bosforem. Trudno przewidzieć, kiedy rosyjska marynarka wojenna złapie drugi oddech.

Moim zdaniem wiele jest do zyskania, mało do stracenia, dla każdego, a zwłaszcza dla nas.

–No tak, sir – powiedział kapitan Greenwood – ale możemy przecież stracić nowiutką łódź podwodną a wraz z nią, być może, wielu ludzi.

–No, nie wiem, Dick – odparł oficer flagowy. – Kolizję z którymś z kursujących tam promów raczej byśmy przeżyli. Mają małe zanurzenie. Mógłby nam taki co najwyżej ściąć maszt, no może płetwę. Uszkodzenie kosztowne, ale nie śmiertelne. A gdyby przyszło co do czego, to większość chłopaków zdołałaby się uratować. Tam nie jest tak głęboko.

–Nie przeżyliby poważnej podwodnej kolizji w ciemnościach z wrakiem, skałą albo z jakimś dużym frachtowcem, od których tam się roi.

–Przyznaję. Ale te łodzie podwodne i tak stracimy, nawet jeśli będziemy tu siedzieć z założonymi rękami.

–Ja się bardziej martwię o chłopców, sir.

–Tak, wiem, kapitanie, i rozumiem. Ale ani myślę zaprzepaścić okazji do uratowania dla Royal

Navy przynajmniej tych trzech

upholderów. A rezygnując z tej misji, będziemy się mogli z nimi pożegnać.

–No dobrze. Ale co z Turkami – nie dawał za wygraną kapitan Greenwood. – Uprzedzimy ich?

–Prezydent nie jest za tym – wtrącił Bill. – Ale to wasza łódź, lepiej więc sami decydujcie. My wolelibyśmy nic im nie mówić.

–Pozwoli pan, że nakreślę jeden z możliwych scenariuszy -powiedział kapitan Greenwood. – Jest środek nocy. Z takiego czy innego powodu, na przykład kolizji albo wpłynięcia na płytką wodę, zmuszeni jesteśmy na chwilę się wynurzyć. Wykrywa nas turecki radar. Wracamy na głębokość peryskopową, a kuter patrolowy wysłany przez spanikowanych Turków zarzuca nas tuzinem bomb głębinowych, które rozrywają łódź podwodną na- pół i większość załogi tonie. Czy nie powinniśmy dołożyć starań, żeby nie doszło do czegoś takiego?

–Tak, chyba należałoby – przyznał admirał Elliott. – Nie prowadzimy z nikim wojny i nie powinniśmy w taki sposób narażać naszych ludzi. Ale wierzcie mi, Turcy, kiedy im wszystko powiemy, nie będą zachwyceni. Trzeba zatem znaleźć jakiś sposób na zakamuflowanie celu misji, powiedzieć im o niej, a jednocześnie nie powiedzieć, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. I chyba wiem, jak to zrobić.

Kapitan Greenwood odwrócił wzrok. Znał swojego szefa i wiedział, kiedy ten gotuje się do wyciągnięcia asa z rękawa. I taki moment właśnie nadszedł.

–Przed kilkoma laty – ciągnął admirał – spotkał mnie wielki zaszczyt, kiedy wyznaczono mnie na przymusowego ochotnika do towarzyszenia bawiącemu u nas z wizytą ważnemu tureckiemu oficerowi w przejażdżce turystycznej po Tamizie. Zanosilo się na totalną katastrofę. On nie znał słowa po angielsku, ja po turecku. Powiedziano mi, żebym rozmawiał z nim w języku francuskim, który również nie jest moją mocną stroną. Tak czy owak, prze-ślęczałem całą noc nad przewodnikami turystycznymi i rano byłem już ekspertem od wszystkich historycznych atrakcji, jakie można podziwiać z rzeki.

Przebrnęliśmy jakoś z tym Turkiem ów dzień. Dobrze się bawiliśmy, a po kolacji w klubie załatwiłem mu nawet na noc hostessę. Ten Turek ma wobec mnie dług wdzięczności, a tak się akurat składa, że jest teraz szefem wywiadu tureckiej marynarki wojennej. Co wy na to?

–Wspaniale, sir – ucieszył się Baldrige. – Może by tak wysłać mu karnecik na usługi tej hostessy?

–Niestety, to niemożliwe. Przeszła już w stan spoczynku.

Kapitan Greenwood zachichotał, a Bill Baldrige wybuchnął

śmiechem. Ale oficerowi flagowemu nawet nie drgnęła powieka.

–Mam następującą propozycję. Ja zamienię słówko, po francusku, rzecz jasna, z moim starym tureckim kumplem. Ty, Bill, polecisz natychmiast do Szkocji i porozmawiasz ze swoim nowym przyjacielem admirałem MacLeanem. Z tym że ja pogadam z nim pierwszy.

' Potem Dick uda się do Barrow-in-Furness i ustali, jaki jest konkretnie stan gotowości łodzi sprzedawanej Brazylijczykom. Nazywa się „Unseen”, tak?

Andrew! Połącz mnie z lordem admiralicji. Załatwię to z pominięciem ministra obrony. Przypuszczam, że premier zna sprawę. Politycy nie mają żadnych obiekcji i będą chcieli pomóc naszym amerykańskim przyjaciołom, jeśli to w ogóle możliwe. Przecież to nie do pomyślenia, żeby jakiś nedorobiony dzikus podnosił rękę na marynarkę Stanów Zjednoczonych, prawda?

Admirał wstał i poradził Billowi, żeby ten zadzwonił z sąsiedniego pokoju do admirała MacLeana i upewnił się, czy sir Iain przyjmie go znowu pod swój dach i czy zechce zabrać go jutro do Barrow i pokazać łódź podwodną „Unseen”.

–Na lotnisku w Glasgow będzie czekał helikopter, który przerzuci pana do Inveraray, jeśli dogada się pan z MacLeanami -powiedział. – -Jeśli nie, może pan przenocować w bazie Faslane, a z sir Iainem spotkać się jutro. Lepiej niech pan już rusza. Jutro wieczorem skontaktujemy się telefonicznie i zobaczymy, czy wszystko się dopięło, a jestem pewien, że tak będzie. Z reguły nie lubimy sprawiać zawodu Pentagonowi. Zwłaszcza kiedy ten płaci, a my mamy coś do zyskania.

Bill Baldrige zbiegł po schodach i wszedł do służbowego wozu admirała. Kierowca wiedział już, że Amerykanin udaje się do Szkocji, i nie zadając zbędnych pytań ruszył z miejsca, by zawieźć go na Heathrow, skąd o czternastej odlatywał samolot do Glasgow. W Northwood padało i na drodze M25 panował straszny tłok. Ale na lotnisko dojechali ze sporym zapasem czasu.

–Wspaniale, sir – ucieszył się Baldrige. – Może by tak wysłać mu karnecik na usługi tej hostessy?

–Niestety, to niemożliwe. Przeszła już w stan spoczynku.

Kapitan Greenwood zachichotał, a Bill Baldrige wybuchnął

śmiechem. Ale oficerowi flagowemu nawet nie drgnęła powieka.

–Mam następującą propozycję. Ja zamienię słówko, po francusku, rzecz jasna, z moim starym tureckim kumplem. Ty, Bill, polecisz natychmiast do Szkocji i porozmawiasz ze swoim nowym przyjacielem admirałem MacLeanem. Z tym że ja pogadam z nim pierwszy.

Potem Dick uda się do Barrow-in-Furness i ustali, jaki jest konkretnie stan gotowości łodzi sprzedawanej Brazylijczykom. *Nazywa się „Unseen”, tak?

Andrew! Połącz mnie z lordem admiralicji. Załatwię to z pominięciem ministra obrony. Przypuszczam, że premier zna sprawę. Politycy nie mają żadnych obiekcji i będą chcieli pomóc naszym amerykańskim przyjaciołom, jeśli to w ogóle możliwe. Przecież to nie do pomyślenia, żeby jakiś niedorobiony dzikus podnosił rękę na marynarkę Stanów Zjednoczonych, prawda?

Admirał wstał i poradził Billowi, żeby ten zadzwonił z sąsiedniego pokoju do admirała MacLeana i upewnił się, czy sir Iain przyjmie go znowu pod swój dach i czy zechce zabrać go jutro do Barrow i pokazać łódź podwodną „Unseen”.

–Na lotnisku w Glasgow będzie czekał helikopter, który przerzuci pana do Inveraray, jeśli dogada się pan z MacLeanami -powiedział. – Jeśli nie, może pan przenocować w bazie Faslane, a z sir Iainem spotkać się jutro. Lepiej niech pan już rusza. Jutro wieczorem skontaktujemy się telefonicznie i zobaczymy, czy wszystko się dopięło, a jestem pewien, że tak będzie. Z reguły nie lubimy sprawiać zawodu Pentagonowi. Zwłaszcza kiedy ten płaci, a my mamy coś do zyskania.

Bill Baldrige zbiegł po schodach i wszedł do służbowego wozu admirała. Kierowca wiedział już, że Amerykanin udaje się do Szkocji, i nie zadając zbędnych pytań ruszył z miejsca, by zawieźć go na Heathrow, skąd o czternastej odlatywał samolot do Glasgow. W Northwood padało i na drodze M25 panował straszny tłok. Ale na lotnisko dojechali ze sporym zapasem czasu.

051835SIER02. 19.35S, 64.31E. Szybkość zero. Pozycja: Ocean Indyjski, 300 mil na wschód od wyspy Mauritius.

–Zapasy paliwa wystarczające. Mamy go jeszcze w zbiornikach około tysiąca galonów, Georgy. Za pół godziny ruszysz.

–Naprawdę nas opuszczasz, Ben?

–Tak trzeba. Muszę przesiąść się na tankowiec i dotrzeć pierwszy na nasze umówione miejsce spotkania, bo nie można tak po prostu rozdać pięćdziesięciu dezerterom z rosyjskiej marynarki wojennej po pół miliona dolarów na głowę, wysadzić wszystkich na brzeg i pozostawić własnemu losowi w jakiejś południowoamerykańskiej wiosce. Muszę zorganizować dla nas jakąś łódź. I trzeba będzie ich przerzucać z łodzi podwodnej na ląd po dwóch, najwyżej trzech dziennie przez trzy tygodnie. Tak jak się umówiliśmy. Bez pośpiechu, z zachowaniem ostrożności, bezpiecznie, tak jak robiliśmy wszystko do tej pory.

–No dobrze, Ben, ale co będzie, jeśli dotrzemy na to umówione miejsce i ciebie tam nie zastaniemy? Co mam wtedy robić?

–Znasz współrzędne punktu ostatniego tankowania, Georgy. Do tej pory wszystko szło jak w zegarku. Zresztą masz pod koją tę walizkę, a w niej cztery miliony dolarów amerykańskich w gotówce.

Masz również pełną dokumentację konta bankowego w Chile. Masz nawet ich faks z potwierdzeniem prawa do dysponowania kontem. Masz akredytywę tego samego banku na dalsze pięć milionów dolarów. Twoje pieniądze są bezpieczne. Największy problem, jaki masz teraz przed sobą, to opuścić łódź podwodną tak, żeby nikt was nie zauważył. Właśnie to chcę wam zapewnić. Muszę cię zostawić.

–Ja ciebie nie puszczę, Ben. Załoga chce, żebyś został.

–Georgy, nie dasz rady opuścić niepostrzeżenie tej łodzi, jeśli ja nie będę tam na ciebie czekał z transportem.

–Mogę podpłynąć do jakiejś wysepki. Rozdzielę między załogę pieniądze z tej drugiej walizki, zabiorę swoją, zabiorę dokumenty i przeprawię się na stały ląd małym pontonem ratunkowym.

–Za dużo was, Georgy. Po paru godzinach znajdą łódź podwodną. W trakcie ewakuacji musimy pozostawać w ukryciu. Nalegam, żebyś trzymał się planu.

–Jeśli odejdziesz, Ben, to już po mnie. Przeżyć mogę tylko mając ciebie przy sobie.

–Gdybym został, Georgy, byłoby i po tobie, i po mnie. Muszę zrobić, jak mówię.

–Ben, jeśli nie da się inaczej, zatrzymam cię tu siłą. Załoga cię nie puści. Zapowiedzieli mi to dwa dni temu, kiedy

wyjawilem im, co naprawdę zrobiliśmy. Niektórzy są nie na żarty rozsierdzeni. I to niezależnie od tego, czy nasz postępek zaszkodzi Rosji, czy nie.

–Nie bądź śmieszny, Georgy. Przyprowadź do mnie czterech najstarszych stopniem członków swojej załogi. Porozmawiam z nimi. Wyjaśnię, dlaczego trzymanie się planu jest takie ważne. Cel, jaki sobie stawiam, to niedopuszczenie do ujęcia' kogokolwiek. Amerykanie, jeśli wpadną na nasz trop, doprowadzą do ekstradycji wszystkich do USA, a tam czeka ich wyrok śmierci za masowy mord dokonany na załodze „Thomasa Jeffersona”.

–Dobrze, Ben, przyprowadzę ci ich. Ale oni nie zmienią zdania. Chcą, żebyś z nami został. Ja również. Zostajesz.

–Georgy, zanim weźmiesz mnie pod lufę kałasznikowa, powiem ci jedno. Rozpocząłem tę misję gotów oddać

życie za swój kraj. To się nie zmieniło.

Bill Baldrige spoglądał z helikoptera na błyszczącą tafłę jeziora Loch Fyne. Na północny wschód od domu admirała Mac-Leana widać było miasteczko Inveraray. Dominował nad nim jakiś zamek czy raczej okazały dwór z czterema okrągłymi wieżami, otoczony rozległymi trawnikami i ogrodami: Inveraray Castle, siedziba diuków Argyllu.

Helikopter siadł z rykiem przed domem sir Iaina i Bill zeskokczył na zieloną murawę ozłoconą blaskiem przedwieczornego słońca świecącego nad zachodnią Szkocją. Ruszył z walizką do drzwi. W progu powitała go ciepło lady MacLean. Ściskając mu rękę oznajmiła, że męża zatrzymało coś w Edynburgu i należy się go spodziewać dopiero za parę godzin.

332

Weszli do sieni, gdzie wierny Angus, powitawszy Billa, wziął od niego walizkę, by wnieść ją do pokoju na piętrze. Lady MacLean wprowadziła gościa do salonu z widokiem na jezioro i zapowiedziała, że za parę minut podadzą herbatę. Usiedli na ustawionych naprzeciwko siebie sofach i wdali się w towarzyską pogawędkę, podczas której gospodyni zażądała od Billa stanowczo, żeby zwracał się do niej po imieniu.

–Zamierzasz, jak słyszę, zabrać mojego emerytowanego męża na wycieczkę do Turcji – powiedziała w pewnej chwili.

–Nie wiem jeszcze, czy admirał MacLean wyraził zgodę -odparł Bill. – Admirał Elliot miał się z nim skontaktować w tej sprawie, kiedy ja tu leciałem.

–Tak, chyba dzwonili. I chyba właśnie o tym była mowa, a nietrudno zgadnąć, co z tej rozmowy mogło wyniknąć. Iain weźmie udział w wyprawie jako oficer instruktor, jak zawsze biorąc na siebie całą odpowiedzialność.

–Annie – powiedział cicho Bill, po raz pierwszy zwracając się do niej po imieniu. – Czy masz coś przeciwko temu?

–Oczywiście, że mam. Przez niemal całe dorosłe życie jestem żoną oficera marynarki. Na czekaniu na niego upłynęło mi w sumie wiele lat. Czasami, kiedy wypływał na Atlantyk albo na Morze Barentsa, nie było go w domu przez kilka miesięcy pod rząd, a ja żyłam ze świadomością, że gdzieś tam setki stóp pod powierzchnią wody w każdej sekundzie ryzykuje życiem tuż pod nosem Rosjan. Całe tygodnie samotności, niepokoju, niepewności. Ileż to godzin upłynęło mi na krążeniu w nocy po pustym domu i modlitwach o wieści o nim. Jakiegokolwiek. Przez całą zimną wojnę, przez całą wojnę o Falklandy. Odzyskałam go dopiero w zeszłym roku. A teraz znowu to. Jakaś samobójcza wyprawa łodzią podwodną na wody niewiele szersze od rowu melioracyjnego.

Bill patrzył na nią w zamyśleniu.

–Gdybyś z nim porozmawiała, może by zrezygnował. Ja muszę płynąć, bo taki dostałem rozkaz.

–Ale ty, Bill, jesteś o wiele młodszy i chyba nie masz żony, prawda?

–Nie, nie mam. Ale mam za to gromadę bliskich krewnych w Kansas, a niedawno straciliśmy Jacka, który był głową rodziny. Podejrzewam, że moja matka przeżywa to samo, co ty.

–Życie żon i matek marynarzy to pasmo samotności i niepokojów, które ciągnie się przez wiele lat. Jestem trochę zszokowana. Myślałam, że mam to już za sobą.

–Pociesz się, że przynajmniej nikt nie będzie do nas strzelał. To tylko wycieczka. Zaledwie szesnaście mil. Nie potrwa dłużej niż cztery godziny. Chyba niepotrzebnie się zamartwiasz. Nic nam nie grozi. A jeśli popłynie z nami sir Iain, to już z pewnością wyjdziemy z tego cało. Bo on wierzy, że to możliwe. I jest najlepszy.

–Och, on na pewno popłynie – powiedziała lady MacLean. – Bez względu na to, co ja o tym myślę czy mówię. Nie da się dwa razy prosić. Bo to dla niego powrót do najszcześniejszego, najbardziej ekscytującego okresu życia. Bo znowu poczuje się niezastąpiony.

–Wiele osób uważa go za najlepszego dowódcę łodzi podwodnej, jakiego miała brytyjska marynarka. Może było mu to pisane. Wierzysz w przeznaczenie, Annie?

–Wierzę, Bill. Po wszystkich tych latach niestety wierzę.

Agnus wniósł herbatę i wyszedł bez słowa. Bill Baldrige i

lady MacLean przez chwilę w milczeniu sączyli aromatyczny napój. Pierwszy przerwał je Bill.

–Jak długo jedzie się stąd do Edynburga?

–Okolo półtorej godziny do Glasgow, a stamtąd do Edynburga jeszcze godzina jazdy, jeśli ruch nie jest zbyt duży. Z Glasgow do Edynburga jest pięćdziesiąt mil drogą M8.

–To w sumie, tam i z powrotem, pięć godzin za kierownicą -zauważył Bill. – Pokonywanie dzień w dzień takiej trasy nie należy chyba do przyjemności.

–Oj, nie.-Za daleko jak na dojazdy. Praktycznie cała szerokość wyspy w tym miejscu, od brzegu do brzegu. Ale dzisiaj Iain ma kierowcę w osobie Laury.

Bill spojrział na nią z błyskiem w oku i uśmiechnął się, żeby pokryć podniecenie. Ostatni raz widział Laurę przed trzema tygodniami, kiedy odlatywał helikopterem z trawnika przed tym domem.

Spróbował opanować drżenie głosu i niemal mu się to udało.

–O, nie spodziewałem się, że ujrzę znowu swoją główną informatorkę – powiedział z uśmiechem.

–I, jak słyszałam, współmiłośniczkę opery – zauważyła lady MacLean i nie zdradzając się niczym, że zauważyła jego zmieszanie, dorzuciła: – Moja córka bardzo cię lubi.

–Czy jej dziewczynki są tu jeszcze? Nie zdążyłem ich poznać.

–Nie, Bill. Wyjechały na kilka dni z ojcem do jego brata. W przyszłym tygodniu zaczyna się sezon polowań na bażanty i ludzi ogarnia jakiś amok. Laura nie cierpi tego rytuału.

–A więc postanowiła spędzić tych kilka dni nad tym malowniczym jeziorem – domyślił się Bill.

–Tak. Rzadko się ostatnio widzimy. Ona nie lubi Edynburga. Ale męża ma czarującego. Chociaż do tej pory nie zapomniała o tym okropnym Adnamie. Wiem od niej, że znasz już tę historię.

–Tak. Wiele się o nim od Laury dowiedziałem. Bardzo mi to pomogło. Jeśli go znajdziemy, będzie to w znacznym stopniu jej zasługa.

–Naprawdę sądzisz, że to on zatopił wasz lotniskowiec?

–Podczas mojej poprzedniej tutaj wizyty taką możliwość brałem tylko pod uwagę. Teraz wiem to na pewno.

–Wolno spytać, skąd ta pewność?

–Niestety, szczegółów wyjawić nie mogę – odparł komandor porucznik. – Powiem tylko, że Adnam wcale nie był Izraelczykiem. Podejrzewamy, że to Irańczyk. Ale niewykluczone, że może też być Libijczykiem, Syryjczykiem albo Irakijczykiem. Nawet Mossad nie potrafi ustalić jego narodowości.

–Iain uważa, że jest Irańczykiem. Doszedł do tego wniosku, kiedy Laura opowiedziała mu o tej dziwnej wizycie w kairskim meczecie.

W tym momencie zadzwonił telefon. Lady MacLean wstała z sofy i przeszła przez salon, żeby go odebrać.

–Tak... tak... jest tutaj... oddaję mu słuchawkę. – Skinęła na Billa i zaproponowała, żeby odebrał telefon w gabinecie admirała po drugiej stronie sieni. – To chyba coś bardzo tajnego – powiedziała z uśmiechem. – Dzwonią z dawnego biura mojego męża.

–Halo – rozległ się w słuchawce głos porucznika Waitesa. – Jedną chwileczkę. Łączę z kapitanem Greenwoodem.

–Dobry wieczór, Bill. – Głębokiego, poważnego głosu szefa sztabu oficera flagowego sił podwodnych trudno było nie rozpoznać. – Krótkie sprawozdanie z aktualnego stanu rzeczy. Po pierwsze, mamy już zgodę polityków. Natychmiast przystępujemy do przygotowywania misji. Szef wytropił admirała MacLeana w jakimś edynburskim biurze i uzyskał jego zgodę.

Wszystko załatwione.

„Unseen”, łódź podwodna, której chcemy użyć, cumuje w Barrow. Na dniach miała być sprzedana Brazylii. Wstrzymaliśmy na razie transakcję i admirał polecił skompletować załogę. Zajmie to około tygodnia. Potem jeszcze dwa tygodnie na przeszkolenie. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, „Unseen” wypłynie z Barrow dwudziestego piątego sierpnia i dotrze w rejon operacji około siódmego września. To trzy tysiące siedemset mil i przez całą drogę będziemy szli z szybkością dwunastu węzłów.

–A co z miejscowymi? – spytał Bill, wystrzegając się nazywania Turków po imieniu w rozmowie telefonicznej.

–Mówimy im?

– Nie. Dziś wieczorem admirał porozmawia bardzo ostrożnie z ich szefem. Odbił już rozmowę z admirałem Dunsmore'em z Pentagonu i, o ile mi wiadomo, będzie pan jedynym Amerykaninem na pokładzie. Admirał Elliott mianuje jutro kapitana. Przypuszczam, że jego wybór padnie na byłego zastępcę dowódcy łodzi klasy Upholder, Jeremy'ego Shawa. Shaw kieruje zespołem, który szkoli teraz Brazylijczyków, czyli to chyba najlepszy kandydat.

–Na to wygląda.

–Aha, jeszcze dwie sprawy. Jutro helikopter zabierze pana i sir Iaina do Barrow, gdzie będzie pan mógł obejrzeć sobie łódź. A za jakieś pół godziny zadzwoni do pana admirał Morgan.

–Dobrze, będę czekał. Jak rozumiem, szykują mi się małe wakacje w Szkocji?

–Z tego co wiem, długo się pan nimi nie nacieszy. Admirał Morgan powiedział, że we czwartek wysyła pana do Rosji. Przed wyjazdem musi pan odebrać specjalną wizę w waszej londyńskiej ambasadzie. ' *

–Jezu – jęknął Bill. – Ani chwili spokoju.

–Ani chwili, jeśli chcecie dopaść swojego człowieka.

*

Pół godziny później, ledwie komandor porucznik, wsypawszy do napełnionej wanny resztę błękitnych kryształków ze słoika, zdążył się zanurzyć w parującej kąpieli, rozległo się pukanie do drzwi.

–Telefon do pana, sir. Przełączyłem rozmowę na aparat przy pańskim łóżku.

–Dziękuję, Angus – zawołał Bill. – Już idę.

336

Przeklinając pod nosem punktualność Arnolda Morgana, wygramolił się z wanny, owinął ręcznikiem i poczłapał do pokoju odebrać telefon.

–Admirale, to nie jest bezpieczna linia – uprzedził natychmiast.

–Dobrze, Bill. Zrozumiałem. Słyszałem, że wszystko załatwione. Rozmawiałem rano ze Scottem Dunsmore'em. Twierdzi, że prezydent jest zdecydowany. Kiedy tylko dotrze do niego wiadomość, że precyśnałeś się przez tę szparę, zarządzi poszukiwania naszej Kilo. Póki co, jedź do Sewastopola w gościnę do admirała Rankowa. Jemu również zależy na zlokalizowaniu swoich podkomendnych. Oprowadzi cię po bazie, umożliwi kontakt z rodzinami załogi. Przepraszam, że zrobiłem z ciebie kogoś w rodzaju detektywa, ale wolimy nie poszerzać kręgu wtajemniczonych. Przez co prawie cała robota spada na ciebie.

–A jak będzie z załatwianiem formalności w związku z moją podróżą do Rosji?

–Wszystkim zajmie się biuro admirała EHiotta. Przed wyjazdem musisz odebrać w Londynie bilety, wizę i pieniądze. Zgłosisz się po nie w czwartek albo w piątek, po obejrzeniu łodzi podwodnej. Na wszelki wypadek zadzwoń jeszcze do porucznika flagowego admirała do Northwood. Poda ci dokładny termin.

–Zrozumiałem, admirale. Czy z Sewastopola mam wrócić prosto do Stanów?

–Chyba tak. Wizytę u Rankowa powinieneś zakończyć do trzynastego marca. Potem zajrzysz do ludzi ćwiczących na łodzi podwodnej. Może znajdzie się tam dla ciebie jakieś zajęcie.

Jeśli nie, możesz wracać, i wspólnie zabawimy się tu w detektywów. Tak czy inaczej, ósmego września wchodzisz na pokład. Z admirałem MacLeanem, jeśli dobrze zrozumiałem.

–Chyba tak, sir.

–No dobrze. To na razie, Bill.

Połączenie zostało przerwane.

Znalazłszy się z powrotem w gorącej jeszcze, wonnej wodzie, Bill Baldrige przystąpił do podsumowania aktualnej sytuacji. * Rozpoczęcie operacji „odszukania i zniszczenia” uwarunkowane było pomyślnym przejściem przez Bosfor. Jeśli ten warunek zostanie spełniony, prezydent nie spocznie, dopóki nie schwyta Adnama. Bill sam nie wiedział, dlaczego jest taki pewny, że izraelski

oficer rzeczywiście odbył tę podróż. I zabawna rzecz, nauczyciel Bena zamierza teraz powtórzyć wyczyn swojego ucznia.

Schodząc na dół usłyszał pisk opon zatrzymującego się na podjeździe rangę rovera. Otworzył drzwi i zobaczył admirała, który wysiadał z samochodu ze swoimi nieodłącznymi Fergusem, Muffinem i Sampsonem. Bóg jeden wie, po co zabierał te labra-• dory do Edynburga.

Zauważył sprężystość ruchów admirała, kiedy ten, uśmiechając się z daleka, zmierzał różnym krokiem w jego stronę. Zauważył również przez przednią szybę zarys siedzącej za kierownicą Laury, która sięgała po żakiet i torebkę rzucone na tylne siedzenie.

–Czołem, Bill, tak się cieszę, że znowu cię widzę. Słyszałem, że wybieramy się razem na małą wycieczkę.

Bill, opędzając się od obskakujących go psów, uściśnął dłoń admirała.

–Dwa dni pływania w okolicach Stambułu na koszt Wuja Sama, nie powinno być tak źle, sir.

–Nie powinno. Szczerze mówiąc, nie mogę się już doczekać.

Laura wysiadła wreszcie z samochodu i podeszła do nich.

Boże, ależ ona piękna, pomyślał Bill. Uśmiechnął się szeroko, kiedy wyciągnęła rękę na powitanie.

–Cześć – posiedziała. – Nie spodziewałam się, że tak szybko ujrzę swojego inkwizytora.

W progu domu stanęła lady MacLean.

–Witaj, kochanie – zwróciła się do córki. – Jak podróż?

–O, wspaniale, tylko jakąś godzinę drogi stąd tatuś wypuścił psy do lasu i ten postrzelony Fergus nie wrócił. Chyba pogonił za królikiem. Straciliśmy przez niego dwadzieścia minut. Nie wiem, po co my je w ogóle zabieramy. Przesiedziały dwie godziny pod kancelarią prawniczą i pięć w samochodzie, a zatrzymywaliśmy się po drodze tylko dwa razy.

–Wiesz, jaki ojciec jest przywiązany do tych psów. Są nierozłączni. Tylko do Londynu ich ze sobą nie bierze. A to przecież żywe srebro.

Bill spojrział na rozszczekane, tryskające energią czarne trio baraszkujące nad brzegiem jeziora.

–Tylko nie wpuszczaj mi tych mokrych zwierzaków do domu – zawołała lady MacLean do

męża.

Laura wzięła Billa pod ramię.

–Chodźmy, inkwizytorze, zrobimy sobie drinka. Już prawie wpół do ósmej.

Przyjemnie zaczynał się ten wieczór. Angus, tak jak poprzednim razem, przyrządził węgorza złowionego w rzece Tay, identyczne były wina. Admirał MacLean opowiadał znowu o Bosforze i wyjaśniał, jak zamierza przeprowadzić tamtędy bezpiecznie łódź podwodną. Bill podejrzewał, że robi to, by uspokoić żonę. O wpół do dwunastej wstali od stołu i rozeszli się do łóżek. Nazajutrz o ósmej trzydzieści po admirała i Billa miał przylecieć helikopter.

Komandor porucznik i córka admirała, krępowani sztywnymi zasadami moralnymi środowisk, z których się wywodzili, udali się każde do swojej sypialni. Ich pokoje na piętrze dzieliło dziesięć metrów i tysiące mil. Bill nie wiedział, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Wyjeżdżał za dwa dni, i być może nigdy już tu nie wróci. Nie mógł do niej telefonować tutaj, a tym bardziej do Edynburga, do domu męża.

Pozostawało mu tylko żywić nadzieję, że to ona zatelefonuje do niego do Stanów.

*

Helikopter Royal Navy przyleciał punktualnie. Komandor porucznik i admirał zapięli pasy bezpieczeństwa i wystartowali w godzinną podróż do wielkich zakładów Vickers Shipbuilding and Engineering Ltd, brytyjskiej korporacji, która budowała wszystkie atomowe łodzie podwodne Royal Navy, od polarisów po tridenty.

Większość północnoeuropejskich stoczni buduje się na odludnych, wietrznych terenach i ta nie była wyjątkiem. Stocznia Vickersa usytuowana jest na południowym cyplu półwyspu Cumbria, w północno-zachodnim rogu zatoki Morecambe, naprzeciwko wybrzeży Lancashire. Omywana z trzech stron przez Morze Irlandzkie za jedyną osłonę przed zacinającym deszczem oraz sztormami ma własne ogromne budynki. Po drugiej stronie cieśniny znajduje się płaska, długa na osiem mil, piaszczysta łacha wyspy Walney, która nie stanowi właściwie żadnej osłony przed kaprysami pogody.

Na admirała i jego gościa czekał mały komitet powitalny złożony z oficerów marynarki. Zaprowadzono ich od razu do doku Buccleuch – miejsca postoju niechcianych upholderów. Cumował tam także jednowałowy „Unseen”. Był to czarny jak smoła, długi na

–Chodźmy, inkwizytorze, zrobimy sobie drinka. Już prawie wpół do ósmej.

Przyjemnie zaczynał się ten wieczór. Angus, tak jak poprzednim razem, przyrządził węgorza złowionego w rzece Tay, identyczne były wina. Admirał MacLean opowiadał znowu o Bosforze i wyjaśniał, jak zamierza przeprowadzić tamtędy bezpiecznie łódź podwodną. Bill podejrzewał, że robi to, by uspokoić żonę. O wpół do dwunastej wstali od stołu i rozeszli się do łóżek. Nazajutrz o ósmej trzydzieści po admirała i Billa miał przylecieć helikopter.

Komandor porucznik i córka admirała, krępowani sztywnymi zasadami moralnymi środowisk, z których się wywodzili, udali się każde do swojej sypialni. Ich pokoje na piętrze dzieliło dziesięć metrów i tysiące mil. Bill nie wiedział, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy. Wyjeżdżał za dwa dni, i być może nigdy już tu nie wróci. Nie mógł do niej telefonować tutaj, a tym bardziej do Edynburga, do domu męża.

Pozostawało mu tylko żywić nadzieję, że to ona zatelefonuje do niego do Stanów.

>

*

Helikopter Royal Navy przyleciał punktualnie. Komandor porucznik i admirał zapięli pasy bezpieczeństwa i wystartowali w godzinną podróż do wielkich zakładów Vickers Shipbuilding and Engineering Ltd, brytyjskiej korporacji, która budowała wszystkie atomowe łodzie podwodne Royal Navy, od polarisów po tridenty.

Większość północnoeuropejskich stoczni buduje się na odludnych, wietrznych terenach i ta nie była wyjątkiem. Stocznia Vickersa usytuowana jest na południowym cyplu półwyspu Cumbria, w północno-zachodnim rogu zatoki Morecambe, naprzeciwko wybrzeży Lancashire. Omywana z trzech stron przez Morze Irlandzkie za jedyną osłonę przed zacinającym deszczem oraz sztormami ma własne ogromne budynki. Po drugiej stronie cieśniny znajduje się płaska, długa na osiem mil, piaszczysta łacha wyspy t Walney, która nie stanowi właściwie żadnej osłony przed kaprysmi pogody.

Na admirała i jego gościa czekał mały komitet powitalny złożony z oficerów marynarki. Zaprowadzono ich od razu do doku Buccleuch – miejsca postoju niechcianych upholderów. Cumował tam także jednowałowy „Unseen”. Był to czarny jak smoła, długi na

ponad siedemdziesiąt metrów dwuipółtysięcznik o zasięgu ośmiu tysięcy mil i maksymalnej szybkości w zanurzeniu równej dwudziestu węzłom. Jednostka ta wyposażona jest w duży dieslowski silnik, a konkretnie prądnicę Paxmana, która ładuje gigantyczną baterię akumulatorów, a z tej z kolei zasilany jest elektryczny motor GECa mocy sześciu i pół tysiąca koni mechanicznych. Docelowe uzbrojenie łodzi stanowić miały pociski kierowane McDonnell Douglas oraz dwadzieścia jeden torped Marconi Spearfish. Nazwa '„Unseen”, czyli „Niewidzialny”, pasowała do jednostki jak ulał. Łódź była poza tym cicha, a przez to śmiertelnie dla wroga niebezpieczna. Załoga wiedziała, że brytyjski rząd chce się jej pozbyć. Wiedziała też, że Royal Navy jest tym zbulwersowana. Zbulwersowana tak samo, jak w roku 1981, kiedy to politycy postanowili sprzedać jedyne dwa sprawne lotniskowce, jakimi dysponowała Royal Navy – co doprowadziło w rezultacie do wojny o Falklandy, ponieważ Argentyńczycy uznali, że bez tych lotniskowców Wielka Brytania nie zdoła obronić wysp przed zmasowanym atakiem. Pomylili się, ale zaledwie o sześć miesięcy. Z chwilą wybuchu wojny lotniskowce pływały jeszcze w służbie Royal Navy.

Idąc wzdłuż burty niewykorzystywanej łodzi podwodnej, Bill Baldrige wyczuwał oburzenie, jakim reagowała na decyzję rządu Royal Navy. Nikt tutaj nie chciał się pozbywać tej jednostki, a wszyscy starsi oficerowie wiedzieli już, że amerykański komandor porucznik może być jej potencjalnym wybawcą. Billa traktowano jak bohatera.

Wkroczyli na pokład „Unseena” i dwie godziny, jakie zajęło Billowi Baldrige'owi zwiedzenie jednostki, admirał MacLean spędził w pomieszczeniu sonaru, oglądając systemy Sintra Type Thompsona oraz pasywne szumonamierniki z odczytem odległości Paramax 2041. Po lunchu przeszli przez most Michaelsona, który oddziela dok Buccleuch od doku Devonshire i jest podnoszony, by między oboma dokami mogły przepływać okręty, i rozpoczęli wycieczkę po stoczni. Za doki Devonshire wznosiły się ogromne hangary, w których budowano tridenty. Zachmurzyło się i nad wodą było teraz szaro i ponuro.

Iain MacLean pokazał Billowi wąski, wybagrowany kanał, który odchodził łukiem od wewnętrznego basenu, po czym skręcał w prawo i biegnąc przez płytkie wody zatoki, wychodził między bliźniaczymi cyplami wysepek Roa i Foulney na wzburzone Morze Irlandzkie.

–Dosłownie setki nowych łodzi podwodnych wypływały tędy na Atlantyk – powiedział. – A w czasie drugiej wojny światowej wiele z nich już nie wróciło. Ta stocznia i pracujący w niej ludzie to dusza podwodnej służby Royal Navy. Doświadczenie pokoleń nie doceniane często przez kolejne brytyjskie rządy.

–Podoba mi się ten „Unseen” – przyznał Bill. – Smukły, cichy, sprawia solidne wrażenie. Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę go w akcji.

–Ja również – odparł admirał. – Parametrami nie ustępuje najlepszym łodziom podwodnym świata i bardzo dobrze się go prowadzi. Nie zawiedzie nas.

Punktualnie o szesnastej wystartowali w drogę powrotną do Inveraray i przelecieli z warkotem nad szarymi, melancholijnymi uliczkami Barrow, miasteczka konstruktorów i stoczniovców, których losy tak niepewnie rysowały się w dobie odwoływanych zamówień i zarzucanych projektów budowy nowych jednostek dla marynarki wojennej. v

W dole po prawej widać było doki. Bill Baldrige wykręcił szyję, żeby jeszcze raz rzucić okiem na łódź podwodną, którą miał wkrótce przepłynąć przez Bosfor. Ale pokrywa chmur była za niska.

Posępny krajobraz został niebawem daleko za nimi, jednak obu mężczyzn, rozpamiętujących trudne życie mieszkańców takich stoczniovcych miasteczek jak Barrow, nie opuszczało uczucie przygnębienia. Bill otrząsnął się z tego niewesołego nastroju dopiero na widok Laury MacLean, która stała na trawniku przed domem i zaczęła im machać, kiedy przeleciawszy nad jeziorem schodzili do lądowania.

–Długo tu czekasz? – spytał Bill.

–Nie. Parę minut. Ten helikopter, kiedy wozi tatę, startuje zawsze z Barrow o szesnastej. Stąd prosty rachunek, że w domu będziecie o siedemnastej. Udała się wyprawa?

–Wspaniale, i admirał zdążył do domu na herbatę. Nie da się ukryć.

Laura taksowała Billa wzrokiem. Pierwszy raz widziała go w mundurze. Atrakcyjnie się w nim prezentował. Ciekawe, pomyślała, dlaczego żadna go jeszcze nie usidliła?

vL

–Czemu tak mi się przyglądasz, Lauro? – spytał Bill.

–Och, przepraszam. Nigdy dotąd nie widziałam cię w mundurze. Przyzwyczajam się do

twojego urzędowego wyglądu.

–Fakt, wyglądam urzędowo – zachichotał. – Ale przecież reprezentuję tu rząd Stanów Zjednoczonych. I stosownie do tego się ubieram: wykrochmalony kołnierzyk, ordery.

*** – Masz takie?**

–Kilka by się znalazło, tyle że nie za waleczność – odparł.

Drań, pomyślała Laura, ale sympatyczny.

Odprowadzali wzrokiem helikopter odlatujący nad jeziorem

do bazy Faslane. Lady MacLean zawołała od progu, że herbata stygnie już w salonie, w związku z czym zaprasza wszystkich do środka...

–... lain... i nie waż mi się wpuszczać do domu tych okropnych bestii, słyszysz?

Okazało się, że wieczór jest już zaplanowany. Szli na kolację do wiejskiego pubu „George” w Inveraray.

–W swetrach, bez krawatów – zapowiedziała lady MacLean. – Spróbujesz naszego pysznego steku Aberdeen, Bill... powinien smakować nawet amerykańskiemu ranczerowi.

–Przecież nie wiesz, mamó, czy on w ogóle lubi steki – zauważyła Laura.

–Ani ty – odparowała lady MacLean.

W uwadze tej było coś znaczącego. Wychwycił to Bill, wychwyciła Laura. Nie spojrzeli na siebie. Ale pomyśleli sobie to samo. I wiedzieli o tym.

Admirał popijał herbatę, czytając gazetę.

–Do diabła z tą amerykańską giełdą – mruknął w pewnej chwili. – Jednego dnia skacze o pięćdziesiąt punktów w górę, drugiego o tyle samo spada. I tak od dwóch tygodni. Po co ją w ogóle otwierali? Oszczędziliby jednemu zgryzot.

Do „George'a” wyruszyli o siódmej wieczorem. Range rovera prowadziła Laura. Wjechali do wioski i za kościołem admirał MacLean kazał Laurze nadłożyć trochę drogi, bo chciał pokazać Billowi nadbrzeże i miejsce, gdzie cumowała łódź podwodna, którą kiedyś dowodził.

–Ilekcroć mieliśmy ćwiczenia na jeziorze, przybijaliśmy tu na noc i szliśmy do pubu na parę pint – powiedział. – To dla pod-wodniaka bardzo dziwna wioska, bo pierwsze, co się widzi, to łódź wiosłowa z Jego Dostojnością diukiem Argyllu i jego świtą. Jako

admiral Wysp Zachodnich rości sobie prawo do odwiedzania każdej zawijającej tutaj łodzi podwodnej.

Odbywało się to zawsze z wielką pompą. Wchodzącemu na pokład diukowi oddawaliśmy honory dmąc w świstawki, częstowaliśmy go kieliszkiem whisky, a on opowiadał nam lokalne ploteczki. Raz pochwalił mi się, że jego żona jest konstabłem Szkocji. Ubawiło mnie to trochę, bo przecież żona każdego diuka Argyllu piastuje jakiś wysoki urząd. Trudno sobie wyobrazić, żeby któryś z nich ożenił się ze zwyczajną gospodynią domową, nie sądzisz?

Pub „George” miał niski belkowany sufit i świecił pustkami. Steki były wyśmienite, a czerwone wino, którego wypili dwie butelki, przednie. Bill uparł się, że ureguluje rachunek, twierdząc, że prezydent Stanów Zjednoczonych głowę by mu urwał za nadużywanie gościnności MacLeanów. Zresztą był to, jego ostatni wieczór. Nazajutrz wyjeżdżał do Rosji.

Po powrocie do Inveraray Court komendę objęła lady MacLean.

–Natychmiast zabieram swojego męża do łóżka – oświadczyła ze śmiechem. – Dzisiaj Barrow, wczoraj Edynburg, w niedzielę wrócił do domu dopiero o ósmej wieczorem, na kolację, całą sobotę przesiedział nad Tay, łowiąc ryby. Golf w Turnberry w ostatni piątek. Musi wypocząć przed tym Bosforem. Dobranoc wam, nie sądzę, żebyście się, pozostawieni sami sobie, nudzili.

–Tylko nie wypijcie mi całego porto – mruknął admirał gramoląc się już na schody. – Do jutra, Bill. Pobudka skoro świt. Podrzucę cię do bazy, a ktoś stamtąd zawiezie cię na lotnisko.

Bill i Laura weszli do gabinetu. Amerykanin dorzucił dwa polana do wygasającego ognia na kominku, a Laura wsunęła Cyganerię do kieszeni odtwarzacza płyt kompaktowych.

–Specjalnie dla ciebie, inkwizytorze – powiedziała z przekąsem. – Nazywają to operą dla początkujących.

–Tak, słyszałem. I nadal jest moją ulubioną, choć zdaję sobie sprawę, że dawno powinienem z niej wyrosnąć.

–Ja też ją lubię – przyznała Laura rozlewając tylera rocznik 47 do dwóch szklaneczek i wręczając jedną gościowi. Słuchając Berlińskich Filharmoników pod dyrekcją Herberta von Karajana, siedzieli w przepastnych fotelach po obu stronach kominka i sączyli porto admirała. Muzyczną ucztę skomponowaną przed stu

laty w północnych Włoszech przez Giacomo Pucciniego kończyli Pavarotti w partii Rudolfa i Mirella Freni jako Mimi.

Czas płynął szybko. Rozmawiali o muzyce, Kansas i Benie Adnamie. Laura kręciła z niedowierzaniem głową. Izraelski oficer, którego kiedyś kochała, był obecnie najbardziej poszukiwanym człowiekiem na świecie.

–A teraz dwóch mężczyzn planuje w tym domu jakąś samobójczą misję w Turcji – zauważyła refleksyjnie – i wszystko to z powodu tego cholernego Bena. Nie chcę, żebyście zginęli. I nie chcę, żebyś leciał jutro do Rosji.

–Ależ, Lauro – powiedział Bill – przecież jutro i tak wracasz do Edynburga. A ja muszę dopaść łódź podwodną Bena.

Laura po raz drugi tego dnia twardo spojrzała na niego szeroko otwartymi zielonymi oczami.

–Mimo to nie chcę, żebyś leciał jutro do Rosji – powtórzyła stanowczym tonem.

Bill Baldrige milczał przez kilka chwil oswajając się ze znaczeniem tych słów.

–Czy zrobiłoby ci różnicę, gdybym powiedział, że wolałbym lecieć do Rosji z tobą? – spytał w końcu.

–Owszem – odparła. – Zrobiłoby. Zmieniłoby sytuację z trudnej w beznadziejną.

–Lauro, potrafię jeszcze rozpoznać zagrożenie. W swoim zawodzie nieraz "ryzykowałem i wiem, że porwanie przeze mnie, oficjalnego przedstawiciela prezydenta Stanów Zjednoczonych, córki zasłużonego brytyjskiego admirała nie wchodzi w ogóle w rachubę.

Zamilkli i słuchali jak Rudolf i Mimi wyznają sobie miłość.

–Lauro – odezwał się w końcu komandor porucznik Bill Baldrige z pełną świadomością tego, że słowa, które chce wypowiedzieć, mogą zmienić nieodwracalnie jego życie – po zakończeniu tej misji odchodzę z marynarki i wracam do Kansas jako wolny, niezależny człowiek. Czy zechciałabyś do tego czasu pozostać ze mną w kontakcie?

–Tak.

Laura wstała, sięgnęła po karafkę z porto i napełniła oba kieliszki. Czyniąc to pochyliła się i po raz pierwszy pocałowała Billa. Był to ulotny, elektryzujący moment. Laura wyprostowała się szybko i spojrzała na Billa z góry. Wzięła głęboki oddech, odgarnęła włosy z twarzy i powiedziała:

–Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, ale ja, przynajmniej na razie, nie zamierzam złamać dla ciebie zasad moralności.

Dopili w milczeniu porto, uśmiechając się do siebie. Nić wzajemnego porozumienia została nawiązana. Potem Laura posłała Billa do jego pokoju, a sama wyniosła kieliszki do kuchni. Położyła się do łóżka piętnaście minut później i przez większą część nocy nie zmrużyła oka, walcząc z pokusą zaryzykowania niebezpiecznej przeprawy do sypialni amerykańskiego oficera marynarki przez pole minowe trzeszczącego korytarza przed pokojem rodziców.

Nazajutrz admirał z Billem wyjechali, kiedy Laura jeszcze spała. Umówili się na szóstego września w Stambule. Do tego czasu Bill miał się kontaktować z admirałem przez biuro w North-wood, dokąd teraz się udawał.

Jeszcze przed południem odebrał w londyńskiej ambasadzie wizy, bilety i pieniądze, a po południu spotkał się z admirałem Elliottem, który miał dla niego mnóstwo nowych informacji.

Elliott powiadomił już tureckiego admirała, że chce przepłynąć w wynurzeniu przez Bosfor łodzią podwodną klasy Upholder, która udaje się z kurtuazyjną wizytą do paru rosyjskich portów.

Z uzyskaniem pozwolenia na przejście nie było problemu. Ale Turek aż zaniemówił z wrażenia na wieść, że drogę powrotną brytyjska jednostka chce odbyć w zanurzeniu. Nie dopatrywał się w tym jednak niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób zaszkodzić interesom narodu tureckiego. Co najwyżej mogło dojść do kolizji, ale wiedział przecież, że ewentualne szkody zostaną zawiązką pokryte. Nic innego nie wzbudzało jego zastrzeżeń. Okręt miał płynąć bez broni nuklearnej na pokładzie, a wydając zgodę zyskiwał sobie przychylność za jednym zamachem marynarek wojennych zarówno Stanów Zjednoczonych, jak i Wielkiej Brytanii. Nie do pogardzenia będą również wszelkie uwagi natury praktycznej, jakimi podzielią się z nim po zakończeniu misji jej organizatorzy.

Jeden warunek brytyjski oficer flagowy sił podwodnych stawiał twardo:

–Tylko nikomu ani słowa. Chcemy odbyć tę podróż bez żadnej taryfy ulgowej, żeby sprawdzić, czy to wykonalne. Przewidujemy, że powrót nastąpi między dwunastym a dwudziestym września i proszę jedynie o to, żebyś nie zarzucił naszej łodzi bombami głębinowymi, w przypadku gdyby została wykryta przez wasze służby obserwacyjne.

Turecki admirał roześmiał się.

–Bez obawy, Peter, nie zrobimy tego! A swoją drogą, bardzo ciekawy eksperyment. O waszym przedsięwzięciu będę wiedział tylko ja. I jeśli wszystko pójdzie zgodnie z waszymi planami, wnioski, jakie wspólnie z tego wyciągniemy, z pewnością pomogą mi uszczelnić Bosfor. Obiecuję, że ze swej strony nie zastosuję żadnych nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa. Bardzo jestem ciekaw, czy uda wam się niepostrzeżenie prześliznąć przy już istniejących.

Admirał Elliott nie bardzo mu dowierzał. Turek niemal na pewno postawi sobie za punkt honoru wykrycie brytyjskiej łodzi podwodnej i zarządzi w służbach obserwacyjnych stan podwyższonej gotowości. Nie zaatakuje ich, co prawda, bombami głębinowymi, ale prawdopodobnie nie kiwnie palcem, kiedy jego ludzie będą łódź zatrzymywać i aresztować. I nikomu nic nie powie. Dzięki temu, jeśli Brytyjczykom uda się przemknąć niepostrzeżenie, nikt mu niczego nie zarzuci, bo tylko on będzie wiedział, że coś takiego miało w ogóle miejsce, a jeśli zostaną wykryci, będzie się mógł puszyć swoją skutecznością w „zapewnianiu bezpieczeństwa narodowego”.

Admirał MacLean i komandor porucznik Jeremy Shaw przygotowywali się tymczasem do ryzykownego przejścia Bosforem z północy na południe w warunkach niemal identycznych z tymi, jakim musiał sprostać komandor Adnam. Podobnie jak on, najbardziej musieli się liczyć z możliwością rozbicia się i utonięcia w mrocznych, wartkich wodach cieśniny.

Zdecydowano również, że komandor porucznik Baldrige uda się do Rosji tą samą trasą, którą z daniem Mossadu wybrał Adnam. Miał, mianowicie, lecieć rejsowym samolotem linii British Airways do Stambułu, tam wsiąść na statek i Morzem Czarnym dotrzeć do Odessy i Sewastopola.

W rachubę wchodził też bezpośredni lot z Londynu do Kijowa, ukraińskiego miasta leżącego czterysta pięćdziesiąt mil na północ od Półwyspu Krymskiego. Ale stamtąd do Sewastopola trudno było się dostać, bowiem ten duży, tajny port rosyjskiej marynarki wojennej od dawna był miastem praktycznie zamkniętym. Stare środki bezpieczeństwa, wielogodzinne opóźnienia, kulejąca komunikacja, skąpość połączeń lotniczych czyniły taką podróż koszmarem. Lepiej było dotrzeć tam spokojnie morzem z

odpowiednimi dokumentami i zdać się na ludzi admirała Rankowa.

Bill przenocował w hotelu niedaleko lotniska Heathrow i rano wsiadł w samolot do Stambułu. W wiekowej stolicy Imperium Otomańskiego lądował o szóstej wieczorem. Pod lotniskiem złapał taksówkę i ta, przeciskając się przez rojne uliczki starożytnej dzielnicy Sultanahmet, podwiozła go pod hotel mieszczący się w starej kamienicy między Błękitnym Meczetem a brzegiem Morza Marmara.

Miał ochotę zatelefonować do Laurko Ineraray Court, które wydawało mu się teraz odległe o milion mil, ale odwiodła go od tego obawa, że odbierze jej matkę. Kiedy wchodził do swojego pokoju, zadzwonił telefon.»

–Nie, to nie Laura – mruknął ponuro. – Ona nie ma pojęcia, gdzie jestem. – 1 nie mylił się. Nie była to Laura. Dzwonił major Ted Lynch z CIA, który przebywał w Stambule i chciał się z nim niezwłocznie spotkać. Powiedział, że ma mu sporo do przekazania.

Bill lubił zażywnego byłego oficera sił specjalnych i bardzo się ucieszył, że ten jest w mieście, zwłaszcza że major Lynch należał do ludzi, którzy gdziekolwiek się znajdują, są zawsze bardzo dobrze zorientowani, gdzie można dobrze zjeść i wypić. Powiedział oficerowi CIA, że czeka na niego w hotelu przy Admirals Tafdil Sokak.

Wielki Ted zjawił się po kwadransie, kazał taksówkarzowi zaczekać i zadzwonił po Billa z recepcji. Podali sobie ręce i wsiedli do taksówki, która zawróciła i lawirując zatłoczonymi uliczkami, pojechała na zachód, w stronę Kumkapi, nadbrzeżnej dzielnicy Stambułu, słynącej z mnóstwa świetnych rybnych restauracyjek.

Człowiek, który zachodzi tam w duszne sierpniowe wieczory, ma wrażenie, że znalazł się na ogromnym ulicznym przyjęciu. Uszy atakuje hipnotyczny rytm środkowowschodniej muzyki, wonie miliona przypraw mieszają się z aromatem smażonych ryb, prażonego pieprzu i czarnej jak noc tureckiej kawy.

Gdzie nie spojrzeć, tabuny eleganckich par: szarmanckich mężczyzn z pięknymi, sztywnie ubranymi kobietami. Pod zatłoczone restauracje podjeżdżają bez końca taksówki.

Ted Lynch zaprowadził Billa na taras do stolika, który wcześniej zarezerwował, i zamówił drinki – dwie szklaneczki piekielnie mocnej anyżowej raki, którą podobnie jak Turcy rozrobił pół na pół wodą.

Billa, kiedy pociągnął pierwszy łyk tej rozcieńczonej tureckiej wody ognistej, zatkało.

–Jezu! – wykrztusił. – Toż na tym concorde by wystartował.

Oficer CIA zachichotał.

–Myślę, że pogawędzimy sobie z godzinę, a około dziewiętej coś zjemy. Kelner zaraz do nas podejdzie. Zamówię tureckie meze, a do tego ryby, które są tutaj wyśmienite. Pewnie słyszałeś, że kulinarnie Turcja jest Francją Wschodu.

–Do Kansas ta wieść jakoś nie dotarła – odparł z uśmiechem Bill. – Ale skoro tak twierdzisz, to spróbujmy tego meze. A swoją drogą, co to, u diabła, takiego?

–Duży zestaw przystawek, między innymi borek, kabak dolmai, patlican tam iyaprak dolmasL. Niebo w gębie, przekonasz się.

–Zobaczymy – mruknął Bill. – No i dawaj tu te tancerki brzucha. Na dzisiejszy wieczór zmieniam się w tubylca. – Pociągnął sążnisty łyk raki,-która omal nie przepaliła mu przełyku.

Ted Lynch roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

–Bill – powiedział – właściwie to gównu mnie obchodzi, czy to my, czy nie my rozwaliliśmy ajatollahowi w ostatnią sobotę te łodzie podwodne. Nikogo o to nie pytałem, ale domyślam się jak wszyscy, czyja to sprawka. Te Kilo były, skromnie mówiąc, solą w oku, stanowiły poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa Zatoki. A więc pies' je trącał. Ale muszę ci powiedzieć, że im dłużej prowadzę to dochodzenie, tym większe mam wątpliwości, czy rzeczywiście zrobił to Iran.

–Naprawdę?

–Mhm. Wszędzie cicho sza. Zepeda wraca tam w tym tygodniu, siedzi w tej chwili w pociągu do Teheranu. Wczoraj wieczorem opuścił Stambuł. Wjedzie do Iranu przez przejście graniczne Razi. Potem przez Tabriz dotrze do Teheranu. Włada biegle arabskim, co ułatwia mu nawiązywanie kontaktów, których ma już lam wiele. I twierdzi, że nic nie wskazuje na to, żeby ajatollahowie mieli cokolwiek wspólnego z zatopieniem „Jeffersona”. Nie słychać też o przemieszczaniu większych sum pieniędzy. Jeśli coś ukrywają, to robią to cholernie dobrze. Jeff mówi, że byłby zaskoczony, gdyby się okazało, że są w to wmieszani.

–Jeśli tak, Ted, trzeba to wziąć pod uwagę.

–Koniecznie. I jeszcze jedno.

–Tak?

–Jeff i ja dostaliśmy pewien namiar z dwóch niezależnych źródeł.

–Tak? Na kogo?

–Na Irak.

–Jezu. To chyba nic pewnego?

–Nie, ale na Środkowym Wschodzie nie dostaniesz pewnej informacji. Same wzruszenia ramionami, uśmieški, trącanie łokciem i potrząsanie głową. To kraina aluzji i z tych aluzji trzeba dopiero wyciągać właściwe wnioski.

Moim informatorem był pracownik syryjskich tajnych służb rezydujący w Kairze. Znam gościa od lat. Już wcześniej powiedział mi: „Wiesz, Ted, przed kilkoma miesiącami słyszałem, że Irak chce kupić od Rosjan łódź podwodną. Bardzo im na tym zależy”.

W jakiś czas potem, kiedy siedzieliśmy w pewnej obskurnej kafejce, usłyszałem od niego: „Oni orientują się lepiej w wojskowej strukturze Środkowego Wschodu, niż się wam wydaje. Największy wróg Iraku to Izrael, a ich znajomość wszystkiego, co dotyczy izraelskiej marynarki wojennej, jest niebywała. Zastanawiam się, czy nie mają w niej swojego głęboko zakonspirowanego człowieka”.

Usłyszeć w Arabii tego rodzaju konkretną1 informację, to ewenement. A w tydzień później Zepeda dostał cynk, że jakaś duża suma, rzędu milionów dolarów, podjęta została w gotówce z jednego z irackich kont bankowych w Genewie. Niby nic takiego. Ale jeśli zebrać do kupy wszystkie te sugestie, to Irak staje się o wiele bardziej podejrzany niż Iran.

–Podejmiemy ten trop?

–Pracujemy nad tym z lokalnym gościem z Mossadu. To ich najlepszy człowiek. Współpracuje ściśle z generałem Gavronem. Są na bieżąco zorientowani w finansowej sytuacji Iraku. Skąd pozyskują informacje, nie wiem. Ostatnio mówił mi, że za jakieś dwa tygodnie będzie coś miał.

–A co się, według ciebie, stanie, jeśli okaże się, że to Irak zatopił „Jeffersona”?

–Ciarki mnie przechodzą na samą myśl. Prezydent jest zdolny do zarządzania odwetowej akcji militarnej przeciwko Bagdadowi. On jest taki sam jak Reagan. Nie zawaha się, jeśli będzie miał pewność, że ten przeklęty kraj odebrał życie sześciu tysiącom Amerykanów.

–To prawda. Zrobiłby to.

–Jeff i ja dostaliśmy pewien namiar z dwóch niezależnych źródeł.

-Tak? Na kogo?

-Na Irak.

-Jezu. To chyba nic pewnego?

-Nie, ale na Środkowym Wschodzie nie dostaniesz pewnej informacji. Same wzruszenia ramionami, uśmiezki, trącanie łokciem i potrząsanie głową. To kraina aluzji i z tych aluzji trzeba dopiero wyciągać właściwe wnioski.

Moim informatorem był pracownik syryjskich tajnych służb rezydujący w Kairze. Znam gościa od lat. Już wcześniej powiedział mi: „Wiesz, Ted, przed kilkoma miesiącami słyszałem, że Irak chce kupić od Rosjan łódź podwodną. Bardzo im na tym zależy”.

W jakiś czas potem, kiedy siedzieliśmy w pewnej obskurnej kafejce, usłyszałem od niego: „Oni orientują się lepiej w wojskowej strukturze Środkowego Wschodu, niż się wam wydaje. Największy wróg Iraku to Izrael, a ich znajomość wszystkiego, co dotyczy izraelskiej marynarki wojennej, jest niebywała. Zastanawiam się, czy nie mają w niej swojego głęboko zakonspirowanego człowieka”.

Usłyszeć w Arabii tego rodzaju konkretną informację, to ewenement. A w tydzień później Zepeda dostał cynk, że jakaś duża suma, rzędu milionów dolarów, podjęta została w gotówce z jednego z irackich kont bankowych w Genewie. Niby nic takiego. Ale jeśli zebrać do kupy wszystkie te sugestie, to Irak staje się o wiele bardziej podejrzany niż Iran.

-Podejmiemy ten trop?

-Pracujemy nad tym z lokalnym gościem z Mossadu. To ich najlepszy człowiek. Współpracuje ściśle z generałem Gavronem. Są na bieżąco zorientowani w finansowej sytuacji Iraku. Skąd pozyskują informacje, nie wiem. Ostatnio mówił mi, że za jakieś dwa tygodnie będzie coś miał.

-A co się, według ciebie, stanie, jeśli okaże się, że to Irak zatopił „Jeffersona”?

-Ciarki mnie przechodzą na samą myśl. Prezydent jest zdolny do zarządzania odwetowej akcji militarnej przeciwko Bagdadowi. On jest taki sam jak Reagan. Nie zawaha się, jeśli będzie miał pewność, że ten przeklęty kraj odebrał życie sześciu tysiącom Amerykanów.

-To prawda. Zrobiłby to.

–I jeszcze jedno, Bill, tobie pierwszemu o tym mówię. Ten mój tutejszy izraelski kumpel twierdzi, że w marcu Mossad podsłuchał bardzo tajemniczą międzynarodową rozmowę telefoniczną przeprowadzoną z Genewy. Gość, który dba o irackie pieniądze ulokowane w Szwajcarii, dzwonił do Kairu. Mowa była o dziesięciu milionach dolarów. Gadali po arabsku. Podsluchowcy

•z Mossadu wywnioskowali z kontekstu, że obaj rozmówcy pochodzili z tego samego miasta.

–Czy to ma jakieś znaczenie?

–Owszem, bo tym miastem jest Tikrit, miejsce urodzenia Saddama Husseina i większości członków jego rządu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

*

Piątek, 9 sierpnia, 7.30

Bill Baldrige bardzo żałował, że spędził w Stambule pół nocy z oficerem CIA z Waszyngtonu. Stał na pokładzie płynącego na północ statku i wychylając się przez reling przysięgał sobie w duchu, że w życiu nie spojrzy już na butelkę raki. Pulsujący ból rozsadzał mu czaszkę, żołądek podchodził do gardła, cały był rozdygotany. Wychylał się przez ten reling, już od dwóch godzin, a kołysanie statku i widok falujących monotonnym rytmem błękitnych wód Morza Czarnego tylko pogarszały sprawę.

Po skołatanej głowie tłukły mu się uparcie dwa pytania – jak zabrać się do ustalenia, czy Benjamin Adnam był w Sewastopolu? I czy Ben Adnam rzeczywiście jest Irakijczykiem, który przez wiele lat głęboko zakonspirowany działał w izraelskiej marynarce wojennej?

Były to pytania kluczowe. I nie mógł sobie darować, że nie ma teraz do nich głowy. Mossad nie dostarczył jeszcze Tedowi Lynchowi raportu dotyczącego tamtej podsłuchanej w Genewie rozmowy telefonicznej. Ale Bill był już przekonany, że w rosyjskim porcie łodzi podwodnych musiał pozostać jakiś ślad po wypłaceniu komuś za coś ogromnych pieniędzy.

Miał nadzieję, że admirał Ranków wykaże się chęcią do współpracy. I że zejście na rosyjską ziemię przebiegnie tak gładko, jak to przewidywał admirał Morgan. W dwadzieścia cztery godziny później, bladym świtem dziesiątego sierpnia, jego wiara w Arnolda Morgana znalazła swoje potwierdzenie. Na odesskim nabrzeżu czekał na Billa wysłannik admirała Rankowa, młody, świetnie mówiący po angielsku oficer rosyjskiej marynarki wojennej, Jurij Sapronow.

Odebrał od amerykańskiego gościa walizkę i przeprowadził go przez licho oświetloną komorę celną oraz stanowiska

ROZDZIAŁ DWUNASTY

«

Piątek, 9 sierpnia, 7.30

Bill Baldrige bardzo żałował, że spędził w Stambule pół nocy z oficerem CIA z Waszyngtonu. Stał na pokładzie płynącego na północ statku i wychylając się przez reling przysięgał sobie w duchu, że w życiu nie spojrzy już na butelkę raki. Pulsujący ból rozsadzał mu czaszkę, żołądek podchodził do gardła, cały był rozdygotany. Wychylał się przez ten reling, już od dwóch godzin, a kołysanie statku i widok falujących monotonnym rytmem błękitnych wód Morza Czarnego tylko pogarszały sprawę.

Po skołatanej głowie tłukły mu się uparcie dwa pytania – jak zabrać się do ustalenia, czy Benjamin Adnam był w Sewastopolu? I czy Ben Adnam rzeczywiście jest Irakijczykiem, który przez wiele lat głęboko zakonspirowany działał w izraelskiej marynarce wojennej?

Były to pytania kluczowe. I nie mógł sobie darować, że nie ma teraz do nich głowy. Mossad nie dostarczył jeszcze Tedowi Lynchowi raportu dotyczącego tamtej podsłuchanej w Genewie rozmowy telefonicznej. Ale Bill był już przekonany, że w rosyjskim porcie łodzi podwodnych musiał pozostać jakiś ślad po wypłaceniu komuś za coś ogromnych pieniędzy.

Miał nadzieję, że admirał Ranków wykaże się chęcią do współpracy. I że zejście na rosyjską ziemię przebiegnie tak gładko, jak to przewidywał admirał Morgan. W dwadzieścia cztery godziny później, bladym świtem dziesiątego sierpnia, jego wiara w Arnolda Morgana znalazła swoje potwierdzenie. Na odesskim nabrzeżu czekał na Billa wysłannik admirała Rankowa, młody, świetnie mówiący po angielsku oficer rosyjskiej marynarki wojennej, Jurij Saprnow. Odebrał od amerykańskiego gościa walizkę i przeprowadził go przez licho oświetloną komorę celną oraz stanowiska

351

odprawy paszportowej, wyjaśniając po drodze, że bezzwłocznie wsiadają na pokład okrętu marynarki wojennej, którym w niecałe sześć godzin, czyli około trzynastej, dotrą do Sewastopola.

Okrętem tym okazał się najszybszy, rozwijający czterdzieści pięć węzłów, rosyjski kuter patrolowy Baboczka Typ 1141 przystosowany do zwalczania łodzi podwodnych.

Bill doszedł już do siebie po szaleństwach czwartkowej nocy i większą część drogi przegadał z młodym porucznikiem, który, jak się okazało, pochodził z Krymu, z położonego na wschód od Sewastopola miasta stoczniowego Fieodozija, gdzie zbudowano Baboczkę.

–Ta zaginiona Kilo wszystkim nam tu sen z oczu spędza -przyznał porucznik Saprnow. –

Admirał Ranków cały się od paru tygodni gotuje i wrzeszczy z byle powodu. A to kawał chłopca i jak ryknie, to głośno. To mój przełożony. Jestem jego porucznikiem flagowym. Urzędujemy w tej chwili w tymczasowym biurze, ściany tam cienkie. Cały budynek chodzi, ilekroć ktoś choćby wspomni o tej Kilo. Admirał nie potrafi zrozumieć, w jaki sposób mogła tak po prostu zniknąć. Po prawdzie ja również tego nie rozumiem.

Codziennie wysyłam jego meldunki i korespondencję do Moskwy. Bardzo ubolewa nad tym, że Amerykanie podejrzewają nas o nieszczerłość. W zeszłym tygodniu wysłał sążnisty elaborat do Moskwy, do admirała Zubki. To głównodowodzący, wiceminister obrony. Napisał w nim, że Amerykanie podejrzewają, że ta Kilo ma coś wspólnego z zatonięciem ich lotniskowca w Zatoce, i że jego zdaniem powinniśmy zrobić wszystko, żeby wam pomóc. Zaraz potem dostaliśmy od Zubki faks, że zgadza się na wszystko. Chyba dlatego pana tutaj przysłali.

Rosyjski oficer, mówiąc to, nawet się nie zająknął, co nasuwało podejrzenie, że recytuje wykuty na pamięć tekst. Ale admirał Morgan zapewnił Billa, że Rankowowi można zaufać, i Bill był pewien, że Rosjanie zrobią co w ich mocy, żeby pomóc.

–Tak, to tajemnicza sprawa – przyznał ostrożnie. – A sprawdziliście już rodziny członków załogi?

–Ma się rozumieć. Złożyliśmy wszystkim wizyty, a niektóre mieszkania wzięliśmy nawet pod obserwację. Zatrudniliśmy do tego ludzi z byłego KGB. Ale jak dotąd bez rezultatu. Nie wypłynęły żadne pieniądze, nikt nie sprawia wrażenia przekupionego. Są pogrążeni w smutku, ale to zrozumiałe. Admirał Ranków z każdym

dniem robi się coraz zgryźliwszy. Wczoraj słyszałem, jak wydzierał się na kogoś przez telefon.

Tu porucznik Sapronow wziął głęboki oddech i imitując głos bajkowego olbrzyma ciągnął:

– „W tym za cholere nie ma nic normalnego, za cholere!! Słyszycie?” Facet po drugiej stronie linii dostał chyba ataku serca. Ale nadal nie mamy nic nowego.

Bill roześmiał się. Lubił Rosjan jak wszyscy, którzy się z nimi zetknęli. Przy bliższym poznaniu okazują się oni zazwyczaj ludźmi szczerymi i otwartymi, obdarzonymi poczuciem autentycznego humoru i niewiele sobie robiącymi z aOtorytetów. Zjedli z porucznikiem smaczne śniadanie, składające się z ukraińskiej kiełbasy z różną, jajecznicy, żytniego chleba i rosyjskiej kawy, która zdaniem Billa nie ustępowała w niczym najlepszym światowym gatunkom. I,

Usiedli potem na zalanym porannym słońcem pokładzie i popijając zimną wodę mineralną „Lagidze” z sokiem obserwowali przybliżający się szybko brzeg Półwyspu Krymskiego. Tuż po dwunastej trzydzieści baboczka zmniejszyła szybkość i wpłynęła do zatoki sewastopolskiej. Przed trzynastą Bill schodził już na ląd. Czekał tam na niego admirał Witalij Ranków we własnej osobie. Ogromny marynarz byłego Związku Radzieckiego, o oczach szarych jak Bałtyk, prezentował się imponująco. Ścisnął Billowi dłoń z siłą imadła.

– Witajcie, komandorze poruczniku – zagrmiał głębokim basem, z którym mógłby się z powodzeniem ubiegać o rolę Sparafucila z Rigoletto. – Wiem, że jesteście podkomendnym admirała Morgana. Znam dobrze Arnolda i wcale wam nie zazdroszę. Straszny to człek! – Ruszyli przez port w kierunku nowo wzniesionych drewnianych baraków biurowych, które przypominały pakamery dla robotników z nowojorskiego placu budowy. Admirał Ranków od tych paru tygodni pobytu w dowództwie Floty Czarnomorskiej, zajmował ze swoim sztabem sześć z nich. Kiedy szli korytarzem do jego gabinetu, każdy krok admirała wprawiał w drżenie cały barak, zatrząskiwały się drzwi, zarwaniem groził sufit. Ilekroć admirał dla lepszego podkreślenia jakiejś frazy walił ogromną pięścią w biurko, niebezpiecznie ugięła się podłoga. Ten człowiek, przemknęło przez myśl Billowi, stworzony jest do wielkich, sklepionych korytarzy Kremla, i tam zapewne, jak przewidywał admirał Morgan,

w końcu wyląduje.

W m

–No, komandorze poruczniku – ciągnął Ranków, przekazawszy Billowi co pilniejsze wieści. – Kazałem Jurijowi, żeby zapoznał was z tym, co do tej pory zwojowaliśmy, ale jeśli macie jeszcze jakieś pytania, to śmiało, nie krępujcie się. Powiem tylko od razu, że nadal nie wiemy nic konkretnego o losie tej Kilo.

–Cóż, panie admirale – powiedział Bill. – Głównym celem mojej wizyty jest ustalenie, czy w ogóle widziano tutaj jakiegoś podejrzanego osobnika ze Środkowego Wschodu, który kręcił się po porcie. Przypuszczamy, że wasz kapitan został przekupiony górami pieniędzy. Jeśli tak w istocie było, to ktoś musiał widzieć tego,

*** kto to zrobił.**

–Tak – odparł Ranków. – Wiem od Arnolda Morgana, po co tu przyjechaliście, i zaczynam dochodzić do wniosku, że macie rację. No bo jak to inaczej wyjaśnić? Nie możemy odnaleźć wraku. I ten topielec znaleziony u wybrzeży Grecji, który, jak się okazuje, był członkiem załogi. Ta Kilo musiała jakoś wypłynąć z Morza Czarnego. Ale nadal nie wiemy jak. Co do ludzi ze Środkowego Wschodu, to mamy ich tutaj zatręśnienie. Irańczycy otworzyli tu nawet stałe przedstawicielstwo!

–A Irakijczycy?

–Przedstawicielstwa nie mają. Ale też ich tu pełno. Chcą od nas kupić parę Kilo, lecz w tej chwili nie mają pieniędzy, a my nie udzielamy nikomu kredytu. Jak wy to mówicie? Pieniądze na blat?

–Na stół – skorygował Bill.

–Właśnie. Pieniądze na stół. Jak wiecie, Irakijczycy to starzy klienci naszego przemysłu zbrojeniowego. Ale jeśli nie mają czym płacić, niczego od nas nie wydębią. Bardzo kiepsko stoimy pod względem finansowym. I nie stać nas na rozdawanie łodzi podwodnych, za które nie wiadomo kiedy otrzymamy zapłatę. Wy, Amerykanie, też ostatnio patrzycie nam na ręce. Wolimy być waszymi przyjaciółmi i nie chcemy narażać na szwank dobrych stosunków między naszymi narodami.

–Dostarczając łodzie podwodne takim szaleńcom jak Irak?

–Komandorze poruczniku, będę z wami szczery. Jeśli ktoś proponuje nam za łódź podwodną miliard dolarów, sprzedajemy mu ją. I nie patrzymy, czy to Chińczyk, Arab, Pers, czy Eskimos.

–Zauważyliśmy – mruknął ponuro Bill.

–Wy nie wiecie, co to znaczy być przypartym do muru z braku pieniędzy – ciągnął Ranków. –

To coś strasznego dla takiego wielkiego narodu jak nasz. A sytuacja ta utrzymuje się tutaj niemal

od początku dwudziestego wieku. I końca nie widać, chociaż weszliśmy już w dwudziesty pierwszy.

–Tak, domyślam się. Ale czy nie rzucił się wam w oczy ktoś obcy, kto wyglądał na Araba i kręcił się tu na początku kwietnia?

–Mnie z pewnością nie, bo nie było mnie tu wtedy. Ale nie sądzę, żeby ktoś taki zwrócił czyjąkolwiek uwagę. Za dużo tu osobników pasujących do waszego opisu. Zresztą nie wydaje mi się, żeby ten wasz człowiek tak zwyczajnie się tu kręcił. Musiałby go wprowadzić jakiś rosyjski urzędnik albo co najmniej oficer służby czynnej, bo samego nie wpuszczono by go przez bramę.

Szczerze mówiąc, skłonny jestem zgodzić się z Arnoldem Morganem. To spotkanie było zawczasu umówione. Gość wypłacił kapitanowi pokaźną sumę pieniędzy, a potem kapitan oszukał załogę mówiąc, że wypływają na jakieś tajne ćwiczenia zlecone przez rosyjską marynarkę wojenną. Tylko tak można to wytłumaczyć.

–Kim był ten kapitan?

–To bardzo szanowany rosyjski oficer. Ukraińiec z pochodzenia, jak zresztą wielu dowódców naszych łodzi podwodnych. Kapitan Gieorgij Kokoszin. Orłem nie jest, ale nadrabia to doświadczeniem. Ma czterdzieści dwa lata. Żonaty z o wiele młodszą od siebie kobietą imieniem Natalia. Dwójka dzieci, chłopcy w wieku sześciu i ośmiu lat. Rodzina mieszka na przedmieściu w jednym z tych nowych wysokościowców. Od trzech miesięcy, czyli od chwili zaginięcia łodzi podwodnej, regularnie ich sprawdzamy. Ale wszystko wygląda normalnie. Pani Kokoszinowa jest bardzo przybita śmiercią męża.

–Kiedy ostatnio ich sprawdzaliście?

–Ostatni meldunek dostałem chyba we czwartek rano. Dzieci były jak zwykle w szkole.

–Żadnych nowych samochodów, nowych ubrań? Żadnych ekstrawagancji?

–Nic.

–Przeszukaliście mieszkanie? Przetrzęsnięliście każdy zakamarek?

–Nie. Nie zrobiliśmy tego. Kapitan Kokoszin to wyższy rosyjski dowódca uznawany za zmarłego. Był bardzo popularny i nie chcieliśmy traktować wdowy po nim jako potencjalnej przestępczyni. Nasza sytuacja pod pewnymi względami bardzo przypomina waszą. Wy wolicie nie rozgłaszać, że wasz lotniskowiec został

W

W

4f J

355

zatopiony przez wroga. My wolimy nie rozgłaszać, że uciekła nam łódź podwodna wraz załogą. Jeśli zaczniemy prześladować żony oficerów, rozejdzie się plotka, że coś jest nie w porządku.

–Tak. Chyba ma pan rację. Czy sprawdzaliście również rodziny pozostałych starszych oficerów?

–Wszystkie. Bez rezultatu.

–I ta Kilo, po wyjściu z sewastopolskiego portu, już się nie odezwała?

–Nie.

–Czy mógłbym się tu trochę rozejrzeć? Rzucić okiem na miejsce, gdzie cumowała łódź, zobaczyć, gdzie mieszkali kapitan i niektórzy jego oficerowie? Muszę zdać raport z tej wizyty admirałowi Morganowi.

–Naturalnie. Obiecałem Arnoldowi Morganowi, że pokażę wam wszystko, co chcecie, i obietnicy dotrzymam.

Do basenu łodzi podwodnych był kawałek spacerkiem. Porucznik Saprondw już tam na nich czekał. Stał przy Kilo takiej samej jak ta, która przypuszczalnie zatopiła „Jeffersona”.

–Tutaj cumowała Kilo 630. Tu ją ostatnio widziano. Stąd odbiła o brzasku dwunastego kwietnia. – Admirał Ranków mówił tonem człowieka, który nieraz już odwiedzał to miejsce.

Bill patrzył na trochę zaniedbaną, pomalowaną na czarno łódź podwodną, wielkością przypominającą „Unseena”, którego zwiedzał przed czterema dniami. Kilo sprawiała wrażenie prymityw-niejszej od niektórych nowoczesnych konstrukcji amerykańskich, ale on wiedział, że jednostka ta w zanurzeniu porusza się cicho jak duch, prawdopodobnie ciszej od łodzi amerykańskich, oraz że jej torpedy są dokładne i niezawodne.

Przesunął wzrokiem po trzech masztach sterczących z długiego, wąskiego kiosku. I wyobraził sobie głuchy, znajomy szcęk wielkiej torpedy SAET-60 opuszczającej wyrzutnię, świst silnika, z jakim ten podwodny pocisk mknie prosto do celu, tykanie zegara nuklearnej głowicy nastawionego na eksplozję i unicestwienie. Zimne jak lód oczy Bena Adnama przyklejone do okularu peryskopu.

Wzdrygnął się. Przy łodziach krzątało się sporo rosyjskich marynarzy. Przez tych kilka chwil, jakie tu stał, z Kilo zeszło czterech ludzi, w tym dwóch oficerów. Nie do pomyślenia, żeby jakieś arabskie komando zdołało przemknąć się na teren portu i porwać łódź.

Nie. Ktoś musiał przekupić kapitana Kokoszina. I tym kimś był Benjamin Adnam. Inteligentny, zdecydowany, znający się na łodziach podwodnych i dysponujący gotówką. Nie brakowało mu też odwagi. Jezu, facet ścigany przez Mossad za dezercję z marynarki izraelskiej nie zawahał się tu przybyć pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Twarda sztuka, nie ma co.

–Chcecie wejść na pokład? – zapytał admirał Ranków.

–A mogę obejrzeć wyrzutnie torpedowe i głowice bojowe?

–Niestety nie. Wstęp mają tam tylko kapitan oraz oficer uzbrojenia i jego ludzie.

–Ja jestem oficerem uzbrojenia – powiedział z uśmiechem Bill.

–Ale marynarka nie ta! – roześmiał się Ranków.

Bill mu zawtórował, a potem wysunął swoją pierwszą formalną prośbę:

–Czy możemy porozmawiać z panią Kokoszin? t

–Naturalnie, że możemy. Ale wolałbym jutro rano. Dziś po południu mam kilka spotkań. I pomyślałem sobie, że teraz każę komuś odwieźć was do hotelu. Rozpakujecie się, napijecie kawy. A o dziewiętnastej zjemy razem kolację. Zatrzymałem się w tym samym hotelu.

–To mi nawet pasuje – przyznał Bill. – Dobrze, niech będzie. Zadzwoń z hotelu do admirała Morgana, a wieczorem spotkamy się przy kolacji.

Podali sobie ręce i porucznik Sapronow poprowadził Billa do czarnego mercedesa czekającego przy pirsie. Silnik już pracował. Porucznik wydał kierowcy jakiś rozkaz i ten wyskoczywszy z wozu, otworzył przed Amerykaninem tylne drzwiczki. Ruszyli wolno, zatrzymując się przy wartowni sąsiadującej z bramą portu. Bill naliczył w pobliżu co najmniej ośmiu uzbrojonych wartowników i znowu przemknęło mu przez myśl, że zbrojny oddział nie miałby szans dostać się niepostrzeżenie na teren. O ileż wygodniej było „wypożyczyć” łódź.

Mercedes toczył się szarymi, nieciekawymi ulicami. Przechodniów było niewiele, samochodów jeszcze mniej. Nawierzchnia jezdnia wołała o pomstę do nieba. Gdziekolwiek spojrzeć, oznaki rozkładu. Przy brzydocie wysokich bloków mieszkalnych sąsiadujących z sewastopolskim portem Barrow-in-Furness mogło uchodzić za Piątą Aleję.

Kiedy zostawili za sobą śródmieście, zrobiło się jakby sympatyczniej. Ale na nadmiar hoteli Sewastopol, trzymany od poko-

leń pod stalowym kloszem sowieckiej marynarki wojennej, uskarżać się nie mógł. Próżno tu było szukać hotelu światowej klasy. Aż do 1995 roku na całej Ukrainie, nawet w Kijowie, nie rozpoczęto budowy ani jednego.

Dopiero na przełomie wieków weszła tutaj jedna z przedsiębiorczych fińskich grup hotelowych. Finowie wzniesli nowoczesny • hotel na obrzeżach matecznika sowieckiej floty czarnomorskiej. Nazywał się „Krasnyj” i zatrzymywały się w nim dziesiątki przedstawicieli obcych państw, zjeżdżający tutaj na wyprzedaż okrętów wojennych ze spuścizny po byłym Związku Radzieckim, a w pewnych przypadkach również po jednostki nowe. Po Kilo.

Wśród hotelowych gości przeważali obcokrajowcy ze Środkowego i Dalekiego Wschodu, z Ameryki Południowej oraz rozmaitych republik Trzeciego Świata, starający się kupić okręty wojenne potrzebne ich państwom albo do straszenia sąsiadów, albo do ochrony przerzucanych narkotyków. Zdarzali się także klienci, głównie ci z państw Zatoki, którzy dla swoich ewentualnych nabytków przewidywali zastosowanie bardziej złowieszcze. Lepszego miejsca na kwatery ogromny, przebiegły oficer wywiadu marynarki wojennej Ranków nie mógł sobie wybrać. Bill Baldrige doszedł do tego wniosku bardzo szybko, nim jeszcze zdążył się zameldować. * t

Znalazszy się w swoim pokoju, przystąpił do przygotowań do rozmowy z Arnoldem Morganem. Wyjął z walizki przenośny szyf-rator rozmów telefonicznych, położył go na łóżku i uchylił wieko. Wsunął słuchawkę hotelowego aparatu telefonicznego w specjalne zagłębienie w obudowie i nastawił elektroniczny system kodujący, który tak przetworzy konwersację, że stanie się ona całkowicie niezrozumiała dla każdego, kto chciałby ją podsłuchać. Następnie połączył się z admirałem za pośrednictwem zwyczajnej otwartej linii. Kiedy Arnold Morgan podniesie słuchawkę, jednocześnie przejdą na tryb rozmowy szyfrowanej. Cały proces był dosyć skomplikowany, ale skuteczny.

–Morgan... mów.

–Baldrige... przygotowanie do rozmowy. Przejdź na krypto Dziesiąty Sierpnia.

–Zrozumiałem, przechodzę.

–Krypto trzy, dwa, jeden. Już. No i jak, admirale?

–Tragicznie, Bill. Ale coś tam zawsze słyszę.

Arnold Morgan poinformował go, że jest w kontakcie z majorem Lynchem i że podejrzenie, kierowane do tej pory na Iran, przesunęło się teraz na Irak.

Mossad kazał założyć podsłuch w telefonach usytuowanej nad jeziorem rezydencji Barzana al-Tikriti, jednego z przyrodniczych braci Saddama Husseina oraz irackiego ambasadora przy ONZ w Genewie.

Mossad znał się jak nikt na tropieniu kanałów przepływu pieniędzy, zwłaszcza pieniędzy kontrwywiadu. Barzan był jednym z czołowych irackich finansistów. Współtwórcą planu, który pozwalał irackiemu dyktatorowi odciągać trzy do pięciu procent wartości każdej eksportowanej baryłki ropy naftowej i dorzucać to do wielomiliardowego skarbu w dolarach i złocie przechowywanego w Genewie.

Pieniądze płynęły nieprzerwanym strumyczkiem z irackiego skarbu na konto o nazwie Strażnik Rewolucji Patriotycznej Numer 473 założone w Banku Centralnym Iraku. Stamtąd transferowano je telegraficznie do prywatnego banku w Wiedniu, gdzie też księgowane były na numerowanych kontach. Z tych zaś przelewano je do Genewy na konto pewnej szwajcarskiej korporacji zarządzanej przez Barzana al-Tikriti. Ostatnio na tym jednym koncie leżało ponad dwa miliardy dolarów, i to dzięki nim Saddam Hussein mógł łamać wszelkie międzynarodowe embarga na sprzedawanie mu broni.

Stosunkowo prostszy zabieg – w rodzaju podjęcia dziesięciu milionów w gotówce na zadanie podstępne, druzgocące ciosu „Szatanowi Zachodu” – był dla lawiranta takiego jak Saddam dziecinną igraszką. Jeżeli miał człowieka odpowiedniego do wykonania podobnego zadania.

W meldunkach składanych na ręce generała Gavrona agenci Mossadu nie mieli wątpliwości. Irakijczycy nie powierzyliby przeniesienia pieniędzy z Genewy do Stambułu żadnemu bankowi, żadnemu brokerowi, nie bawiliby się w żadne transfery telegra-, ficzne. Dlatego właśnie Ted Lynch niczego nie wskórał w tureckich bankach.

Ogromna suma na „wynajęcie” rosyjskiej łodzi podwodnej została upchana do paru twardych, specjalnie wzmocnionych waliz, umieszczona w schowku bagażowym pierwszej klasy boeinga linii Swissair i poleciała do Stambułu bezpośrednim rejssem pod troskliwą opieką wysoko opłacanej osobistej asystentki Bar-

zana, pomnikowej austriackiej blondynki nazwiskiem Ingrid Ja-schke. Jej z kolei nie odstępował na krok iracki ochroniarz i zawodowy morderca, który podróżował z nią zawsze tym samym samolotem w klasie business, prawdopodobnie na bardzo dobrze spreparowanym egipskim paszporcie. Znany był pod nazwiskiem Kamei Rasheed.

Ingrid nie ruszała się nigdzie bez małego, wykonanego na zamówienie niemieckiego pistoletu na tęponose pociski, które rozrywają się pod wpływem uderzenia, pozostawiając małeńki otwór wlotowy, za to ogromny wylotowy. Miała na ten pistolecik legalne pozwolenie. Wsiadając do samolotu oddawała go zawsze do depozytu i odbierała po wylądowaniu. Istnieje wiele niegodziwych chwytów, jakich imają się międzynarodowi handlarze bronią. Kto wie, czy ktoś nie spróbowałby obrabować Ingrid Jaschke po przekroczeniu przez nią bramki dla przylatujących.

W tej chwili czwórka agentów Mossadu przeczesywała najlepsze hotele tajemniczego miasta Sztambuł i przy pomocy uroku osobistego, pieniędzy i perswazji próbowała ustalić, czy panna Jaschke i (czy też: lub) pan Rasheed bawili w mieście między siódmym a trzynastym kwietnia 2002 roku – bo prawdopodobnie w tym okresie przybył tam po raz drugi komandor Benjamin Adnam.

Admirał zapewnił Billa, że nie jest to wcale takie beznadziejne zajęcie, bowićm panna Jaschke nie należy do kobiet zadowolających się pryczą w młodzieżowym schronisku turystycznym. Jeśli była wtedy w Sztambule, to zatrzymała się w którymś z najlepszych tamtejszych hoteli. Żadne prawo nie zabrania przecież spacerowania z dwoma wielkimi walizami pełnymi pieniędzy.

Mossad starał się również o wgląd w listy pasażerów szwajcarskich linii lotniczych, ale Swissair przewyższa chyba pod względem dyskrecji szwajcarskie banki. Jednak jeden z izraelskich agentów ma jeszcze nadzieję, że uda mu się dotrzeć do list pasażerów odlatujących w pierwszej połowie kwietnia ze Sztambułu do Szwajcarii. Taką oto relację, zabezpieczony techniką szyfrowania, zdał swojemu oficerowi operacyjnemu rodem z Kansas admirał Morgan.

–Nie do wiary, jak skuteczni są ci Izraelczycy – wyburczał na koniec admirał Morgan. – Nie wiem, jak i gdzie zdobywają połowę swoich informacji. Dość powiedzieć, że ilekroć kontaktuję się z ich ambasadą, mają dla mnie zawsze coś nowego. A ilekroć dzwonię do CIA, to wiedzą tam tylko tyle, ile raczył im przekazać Mossad.

A przecież Langley zatrudnia dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Licho wie, co oni tam robią.

– Moim zdaniem Mossad uzyskuje takie dobre wyniki dzięki temu, że jest mały i ściśle kontrolowany – zasugerował Bill. – Ilu mają ludzi? Tysiąc dwustu, w tym tylko trzydziestu pięciu oficerów. Jak ich nazywają? Katsa?

– Tak. Ale to nie jedyna przyczyna, Bill. Izrael dysponuje rzeszą rozsianych po całym świecie ludzi, którzy rozumieją jego sytuację i dzielają jego obawy. To niewidzialna armia idąca w niemal każdym kraju w tysiące. Gotowi są zawsze śpieszyć z pomocą każdemu agentowi Mossadu. Izraelczycy nazywają ich sayanim i prowadzą ogromną skomputeryzowaną listę wszystkich. To poprzez nich zdobywają najcenniejsze informacje.

Podejrzewam, że właśnie tak udało im się podczepić pod linię telefoniczną Barzana al-Tikrika. Dokonał tego jakiś szwajcarski Żyd zatrudniony w genewskich służbach telekomunikacyjnych. Przysługa wyświadczona przez dumnego członka sayanim duchowej ojczyźnie ze Środkowego Wschodu. Tak się to odbywa.

– Czyli teraz szukają w Stambule jakiegoś odpowiednio ustawionego tureckiego Żyda, najlepiej zatrudnionego w branży hotelarskiej? – podchwycił Baldrige. – Gościa, który naprowadzi ich na właściwy trop, zadzwoni do paru znajomków, przejrzy rejestry gości.

– Otóż to, Billy. Tak się to odbywa. Trzymaj się Rankowa. On też chce odnaleźć tę Kilo. I pozostawaj w kontakcie. Dzwon, jak tylko będziesz wiedział coś nowego.

Połączenie zostało przerwane. Bill, jak zwykle został ze słuchawką w ręku.

– O, bardzo panu dziękuję – mruknął z sarkazmem. – Tak miło mi się z panem gawędziło, admirale Morgan. Dobrego dnia życzę, grubiański dupku.

Wziął prysznic, przebrał się i wyjrzał przez okno na wymiecione z ludzi ulice Sewastopola i rysujące się na tle nieba gigantyczne żurawie pobliskiej stoczni. Postanowił zejść na dół i przed umówionym spotkaniem z admirałem Rankowem napić się kawy. Kawa miała smak nieokreślony. Zaczął przerzucać machinalnie strony anglojęzycznej arabskiej gazety, którą znalazł na sąsiednim krześle.

Natrafił na zdjęcie zatopionego doku pływającego, którego wrak wystawał ponad lustro wody w porcie Bandar-e Abbas, ale z podpisu pod fotografią wynikało, że katastrofę uznano za wypadek.

Bill uregulował rachunek i postanowił zasięgnąć dyskretnie języka. Od Rankowa dowiedział się, że Kilo wyszła w morze dwunastego kwietnia. Instykt podpowiadał mu, że Adnam, jeśli przebywał przed tym dniem w Sewastopolu, to mieszkał w tym właśnie hotelu. Zatrzymywał się tu każdy, kto był związany z okrętową i zbrojeniową branżą. Tylko że nie miało sensu naśladować Mossadu i tracić czasu na próbę dotarcia do listy gości hotelowych z pierwszej połowy kwietnia. Nic by z tego nie wyszło. Nikt by mu jej tu nie udostępnił.

Ale jedno mógł zrobić od razu. Wyszedł przed hotel, żeby porozmawiać z kierowcami czekających tam limuzyn.

Pierwszy mężczyzna, do którego się zwrócił, był w szarym uniformie. Nie, nie miał nigdy dalekiego kursu na południe do granicy Gruzji z Turcją. Ale Tomas chyba miał taki, na wiosnę. O, właśnie zajeżdża przed hotel. Bill podszedł do Tomasa, potężniej zbudowanego, mniej więcej dwudziestopięcioletniego Rosjanina o blond włosach. Tak, miał raz takiego klienta. W kwietniu. Jechali całą noc z jednym tylko postojem na tankowanie. Dobrze pamięta, bo o mały włos się przez to nie rozwiodł.

–Żony nie było w domu i nie miałem jak jej uprzedzić, że jadę w trasę, a tamtemu człowiekowi bardzo się śpieszyło. No to machnąłem ręką i pojechałem. Dziewięćset kilometrów nadmorską szosą prze«Soczi, czternaście godzin w jedną stronę. Ale Arab miał gest, odpalił mi dwa i pół tysiąca amerykańskich dolarów gotówką. Takiego interesu w życiu jeszcze nie zrobiłem.

–A dlaczego o mały się nie rozwiodłeś?

–Zapomniałem, że to były jej urodziny. Mieliśmy je świętować z przyjaciółmi. Straszna wpadka. Dzwonię do niej z Batumi, a ona mi mówi, że już się do mnie nie odezwie. I trzaska słuchawką. Jechałem z powrotem z duszą na ramieniu, nie wiedząc, czy jestem jeszcze żonaty. I gdybym się z nią nie podzielił tym, co zarobiłem, już bym nie był.

–Pamiętasz nazwisko tego pasażera?

–Nie, nie przedstawił mi się. Mało co się w ogóle odzywał.

–A pamiętasz może, jak wyglądał?

–Nie bardzo. Arab. Taki śniady, krótkie czarne włosy. Nie za wysoki, mnie więcej mojego wzrostu. Ale dobrze zbudowany, umięśniony.

Bill sięgnął do kieszeni po portfel, wyjął z niego ziarnistą, przefaksowaną fotografię Benjamin Adnama w arabskim stroju –

tę zrobioną w izraelskiej izbie przesłuchań przy moście Allenby. Była praktycznie bezużyteczna. Adnama mógł na niej rozpoznać tylko ktoś, kto go dobrze znał. Ale Bill wierzył w rosyjskiego kierowcę.

–Czy to czasem nie ten? – spytał, podając zdjęcie Tomasowi.

–Hmm, może i ten – mruknął Rosjanin. – Ale człowiek, którego wiozłem do granicy, nie nosił nakrycia głowy. Z tej fotografii trudno coś powiedzieć. Była noc, ledwie widziałem jego twarz. Siedział z tyłu. Wozłem już z pięćdziesięciu Arabów i na dobrą sprawę każdy mógłby ujść za tego tutaj. Nie potrafię powiedzieć, czy akurat jego odstawiałem do Gruzji. Z tym że nawet gdyby tu teraz stanął, też bym go nie rozpoznał.

–Gdzie wysiadł? – spytał Bill.

–W Batumi. Czekał już tam na niego jakiś inny samochód. Przesiadł się i od razu ruszyli. Chyba udawał się do Turcji, ale nie wiem, czy łodem, czy wodolotem do Trabzonu. Od tamtego czasu go nie widziałem.

–Dzięki, Tomas – powiedział Bill, wciskając kierowcy w dłoń dziesięciodolarowy banknot. Aha, jeszcze jedno. Kiedy przypadają urodziny twojej żony?

–Tej daty już do śmierci nie zapomnę. Jedenastego kwietnia.

Dochodziła dziewiętnasta. Bill pożegnał się z kierowcą i wszedł

z powrotem do hotelu, żeby poszukać baru. Ku swemu zdumieniu zastał tam już admirała, który odłożywszy na krzeselko obok czapkę od rosyjskiego munduru, popijał horilkę iz percsem, wódkę z pływającym w niej małym ziarenkiem czerwonego pieprzu. Była to ukraińska specjalność i Bill, mając jeszcze w pamięci swe przykre doświadczenia z tradycyjnymi trunkami innych narodów, poprzestał na szkockiej z wodą, która ustępowała jednak znacznie tej z Ineraray Court.

Admirał Ranków delectował się podczas rozmowy swoim drinkiem, w regularnych odstępach czasu pociągając ze szklaneczki. Bill odnosił wrażenie, że lada chwila ciśnię ją przez ramię, czyniąc zadość jakiemuś zwariowanemu kozackiemu obyczajowi. Odetchnął, kiedy chłopiec hotelowy odwołał admirała do telefonu.

Witalij Ranków wrócił do stolika z ponurą miną.

–Mamy kłopot – oznajmił. – Czuję to przez skórę. Dzwonił Saprnow. Wywiadowcy z KGB donoszą w raporcie dziennym, że dzieci pani Kokoszin nie przyszły dzisiaj do szkoły. Wczoraj też się nie zjawily. Wywiadowcy pytają, co robić. Szkoła wie tylko, że Kokoszinowie byli

nieobecni.

–Ja wiem, co bym zrobił – odparł Bill. – Zajrzałbym do nich do mieszkania, i to szybko. Nie stawiałbym też na nogi całych ukraińskich tajnych służb.

–Znaczy się, teraz?

–No jasne. Ma pan adres?

–Pewnie.

–To w drogę. Może się na coś przydam.

–Przeszukanie w kwaterze rosyjskiego oficera w towarzystwie oficera amerykańskiej marynarki? Trochę to wbrew przepisom.

–Chce pan współpracować z Amerykanami w poszukiwaniach swojej łodzi?

–Nie tylko chcę. Dostałem z Kremla takie instrukcje.

–No to chodźmy do tej pani Kokoszin.

Admirał uregulował rachunek i skierowali się do samochodu. Ranków podał kierowcy adres.

Rodzina Kokoszinów mieszkała w dziesięcioletnim bloku dziesięć minut drogi od hotelu. Na klatkę schodową prowadziły przeszklone drzwi, ale w holu nie dyżurował portier. Wjechali windą na ósme piętro i podeszli do drzwi lokalu numer 824. Bill stanął z boku, a admirał dwukrotnie nacisnął dzwonek. W środku paliło się światło, w tle słychać też było grające radio albo telewizor.

Nikt nie otwierał. Ranków ponownie nacisnął dzwonek, tym razem trzykrotnie. Nadal żadnej reakcji.

–Może wyszła na chwilę do sąsiadki – mruknął admirał.

–No to sprawdźmy – zaproponował Bill.

Podeszli do drzwi lokalu 826 po tej samej stronie korytarza. Admirał zadzwonił, ale i tu nikt im nie otworzył.

–Spróbujmy pod 822 – powiedział Bill. Tutaj mieli trochę więcej szczęścia. Kobieta, która uchyliła drzwi, знаła panią Kokoszin. Wiedziała, że sąsiadki nie ma od rana w domu i że tak samo było wczoraj, bo jej synowie po powrocie ze szkoły poszli do małych Kokoszinów i nikogo nie zastali.

Poradziła admirałowi, żeby zapytał panią mieszkającą pod 827, po przeciwnej stronie korytarza, która jest dobrą znajomą Natalii Kokoszinej i może wie, co z nią.

–Czasami wyjeżdża do matki, która mieszka trzy kwadranse drogi stąd, w małej miejscowości Bachczysaraj.

Dzwonek nie działał, zapukali więc do drzwi. Od Ukrainki, która im otworzyła, niewiele się dowiedzieli.

364

–Nie widziałam jej od dwóch dni, co rzadko się zdarza -powiedziała. – Wiem, że przedwczoraj wróciła do domu później niż zwykle, bo jej chłopcy zagłądali do mnie po klucze. O piątej przyszła tutaj i znowu zostawiła klucze. Od tamtej pory jej nie widziałam.

–Ma pani nadal te klucze? – spytał admirał.

–Mam, ale nie wiem, czy wolno mi je panom wydać.

–Zapewniam panią, że wolno – huknął Ranków. – Byłem przełożonym jej męża, a zresztą to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Sąsiadka usunęła się przed gniewem olbrzymiego, umundurowanego oficera wywiadu w głąb mieszkania i po chwili wróciła z kluczami w ręku.

Admirał podziękował jej wylewnie, skłonił się nisko i zaczekał, aż kobieta zamknie drzwi. Potem podszedł cicho do drzwi lokalu zajmowanego przez Natalię Kokoszin i jej dzieci. Klucz lekko obrócił się w zamku. Ranków nacisnął klamkę. Światła były zapalone, w dużym pokoju grał telewizor. Lokatorów nie było tu od dawna.

W mieszkaniu panował ład i porządek. Ale był to porządek nienaturalny. Pustkami ziała szafa w sypialni, puste były szuflady. Ubrania, włącznie z butami i wierzchnimi okryciami, wyniesiono. Jednakże wszystkie meble pozostały na miejscu, nie zabrano również niczego z kuchni. Okna były pozamykane. Kokoszinowie zniknęli.

–Bierzemy na spytki tę sąsiadkę z przeciwka? – spytał Ranków.

–Broń Boże – zachnął się Bill Baldrige. – To byłoby równoznaczne z daniem całostronicowego ogłoszenia do największej ukraińskiej gazety. Skoro się tu już rozejrzeliśmy, to teraz wyłączmy telewizor, pozasuwajmy szuflady, pogaśmy światła, oddajmy klucze i oddalmy się. Jak gdyby nigdy nic.

Będąc na pana miejscu, kazałbym następnie ludziom z KGB sprawdzić lotniska, przejścia graniczne, linie okrętowe, w ogóle podjąć wszelkie rutynowe czynności, jakie podejmuje się w celu odszukania zaginionych osób.

–Macie rację. Wracajmy do hotelu. Zadzwońię do Sapronowa i wydam stosowne polecenia.

–Tylko że to nic nie da – powiedział Amerykanin.

–Niby dlaczego?

–Bo ta dama ma przy sobie walizkę z mniej więcej pół milionem dolców. A z taką forszą bardzo szybko się podróżuje. Wyje-

chała przed dwoma dniami. Do tej pory może już być po drugiej stronie świata. Trudno ją będzie wytropić.

–Ciekawe, jak wy dostałaby się z Rosji – mruknął Ranków.

–Za te pieniądze ma tysiąc możliwości do wyboru – odparł Bill. – Mogła wynająć samochód z kierowcą i pojechać w stronę granicy. Mogła wynająć łódź i popłynąć wzdłuż wybrzeża, ale to prawdopodobnie za powolny dla niej środek transportu. Mogła wynająć mały prywatny samolot albo nawet helikopter, polecieć do Gruzji, a stamtąd przedostać się do wschodniej Turcji. Za pieniądze można niemal wszystko, a jeśli pomagają jej ci, których

0 to podejrzewamy, to i z dokumentami nie będzie miała żadnych problemów.

–A jak wy byście to zrobili, Baldrige? – spytał admirał Ranków.

–Przedostałbym się jak najszybciej do Gruzji i przekroczył granicę z Turcją na przejściu w Sarp albo skorzystał z wodolotu, który kursuje między Batumi a Trabzonem. Zależy, jakie miałbym dokumenty dla siebie i dla obu chłopców.

Podejrzewam, że Natalia od kilku tygodni przewoziła ubrania

1 rzeczy osobiste do domu matki, a potem wynajęła jakiegoś prywatnego kierowcę płacąc mu, powiedzmy, pięć tysięcy dolarów za kurs do Batumi. Ze swojego mieszkania wyszli prawdopodobnie z pustymi rękami, nie wzbudzając żadnych podejrzeń, o osiemnastej poprzedniego wieczoru. Wsiadli do samochodu i w drogę. Pierwszy przystanek, dom mamy, drugi przystanek, stacja benzynowa, a potem już południowa granica.

Jest stąd do niej około dziewięciuset kilometrów szosą biegnącą wzdłuż wschodniego wybrzeża, ale jeśli jechali ze średnią prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, to zakładając nawet, że zatrzymali się po drodze na stacji benzynowej, trasę tę pokonali w jakieś piętnaście godzin. Czyli wczoraj około dziewiątej rano byłiby już w Trabzonie.

–A z Trabzonu dokąd?

–Och, to proste. Nie trzeba się już śpieszyć. Są bezpośrednie loty z Trabzonu do Stambułu, a Kokoszina miała cztery miesiące na zapoznanie się z rozkładem tych lotów i takie zaplanowanie swojej ucieczki, żeby złapać któryś z nich. Wieczorem wsiada w Stambule w samolot do Londynu, a stamtąd leci do miejsca swego przeznaczenia. Prawdopodobnie do Południowej Ameryki. Osobiście przypuszczam, że opuściła Turcję wczoraj wieczorem i teraz

jest już w Londynie, a może w Paryżu albo Madrycie. I proszę zauważyć, że nie złała żadnego prawa. Po prostu zabrała dzieci i wyjechała, żeby osiąść w jakimś innym kraju. Co w tym złego? Południowi Amerykanie nigdy wam jej nie wydadzą, nawet gdybyście ją znaleźli.

–Jacyż wy, Amerykanie, jesteście wyrozumiali dla ludzkich fanaberii – zauważył z uśmiechem admirał.

–To prawda. I dlatego my jesteśmy bogaci, a wy ledwo wiążecie koniec z końcem. Idźcie z prądem, admirale. Oszczędzi wam to wiele czasu i kłopotów.

–No nic, oddajmy te klucze i wracajmy do hotelu. Muszę o tym wszystkim zameldować.

–Naturalnie, że pan musi. A co więcej, musi pan odnaleźć Kokosziną. Bo tam gdzie udała się ona, kieruje się teraz kapitan Gieorgij Kokoszin wraz ze swoją załogą.

W niedzielny poranek jedenastego sierpnia komandor porucznik Bill Baldrige zabrał się wojskowym samolotem admirała Rankowa do Kijowa, skąd nazajutrz miał odlecieć do Londynu. Zatrzymał się na noc w hotelu „Ukraina” przy ulicy Tarasa Szewczenki i postanowił zadzwonić do admirała Morgana. W Waszyngtonie była dziewiąta rano, czyli admirał powinien zastać w jego domu w Marylandzie. Wypakował ponownie szyfrator rozmów telefonicznych i wsunął słuchawkę hotelowego telefonu w zagłębienie w obudowie.

–Morgan... mów.

–Baldrige... przygotowanie do rozmowy. Przejdź na krypto Jedenasty Sierpnia.

–Zrozumiałem, przechodzę.

Po włączeniu trybu szyfrowania Bill, spokojny już, że rozmowa ta nie dotrze do niepowołanych uszu, poinformował Morgana o ucieczce rodziny Kokosziną. Przekazał też przeprosiny szersze ubolewającego nad tym faktem admirała Rankowa.

–Jeśli chce się pan z nim skontaktować, to przez cały ten tydzień jest w swoim moskiewskim biurze.

Admirał Morgan potwierdził, że coraz więcej poszlak wskazuje na Irak, ale nie dotarł jeszcze do niego meldunek o namierzeniu Ingrid Jaschke. Poprzedniego wieczoru rozmawiał ze

Scottem Dunsmore'em i uzyskał od niego zapewnienie, że Prezydent nadal jest zdecydowany wszcząć globalne łowy na łódź podwodną. „Przejdźcie w zanurzeniu przez Bosfor – miał podobno powiedzieć – a wydam zgodę, na co tylko chcecie. Ale nie kiwnę palcem, jeśli

spaprzenie tę misję".

Relacja Billa zirytowała amerykańskiego admirała.

–Czy Ranków chce nam w końcu pomagać w poszukiwaniach, czy nie? – spytał.

–Wyraźnie tego nie powiedział, sir. Ale chyba obawia się bardzo o swoją pozycję. Niedawno stracili łódź podwodną, o czym wkrótce dowie się cały naród, a teraz jego ludzie wypuszczają z rąk głównego świadka. Poczciwy Witalij jest trochę przybity.

–Wyobrażam sobie. Zaraz, a skąd ty dzwonicz? Wracasz do Stanów czy planujesz zajrzeć jeszcze po drodze do MacLeana?

–Jestem teraz w Kijowie. Jutro lecę do Londynu, a stamtąd do domu. Chyba że każe mi pan zostać w Europie.

–Raczej nie, Bill. Ósmego września musisz być, co prawda, w Stambule. Ale nie ma sensu, żebyś płynął do Turcji łodzią. Wracaj tutaj, pomożesz mi przygotować raport. Widzimy się we czwartek.

Połączenie zostało przerwane. Tym razem Bill tylko się roześmiał.

Następne trzy tygodnie spędzone w Stanach Zjednoczonych zleciały Billowi Baldrige'owi jak z bicza trząśł. Szczegółowy raport dotyczący tragedii „Thomasa Jeffersona”, który opracował z Arnoldem Morganem, miał się stać wzorcowym dokumentem dla wszystkich dochodzeń w sprawie wypadków morskich na najbliższe lata.

W połowie trzeciego tygodnia doszło do kolejnego przełomu w śledztwie prowadzonym przez Mossad. Do admirała Morgana zadzwonił generał Gavron z informacją, że namierzyli Ingrid. Siódmego kwietnia zameldowała się ze swoim gorylem, Kamelem Rasheedem, w „Pera Palas Oteli”, niedaleko wspaniałej promenady Istiklal Caddesi.

Spędzili tam dwie noce i wymeldowali się rankiem dziewiątego kwietnia. Pokoje zarezerwowano na kartę American Express, ale

368

hotel nie ściągnął z niej należności, bo Ingrid po przybyciu zapłaciła za rezerwację półtora tysiąca dolarów gotówką.

Przez oba wieczory jadała sama w hotelowej restauracji. Do American Express nie spłynęły żadne rachunki. Ingrid nigdzie tą kartą nie płaciła ani nie pobierała na nią gotówki z bankomatu. Zanim Mossad zdołał ustalić numer, karta była już przedawniona. I trop American Express niczego nie wniósł. Ale Ingrid Jaschke, iracka kurierka, zjawiła się nagle w Stambule na pięć dni przed wyjściem Kilo 630 w morze.

Arnold Morgan był nareszcie zadowolony z napływających informacji. Z tej o ponownym niespodziewanym zjawieniu się Ingrid w Stambule. Z tej o nocnej eskapadzie mężczyzny odpowiadającego rysopisowi Adnama ku tureckiej granicy na parę godzin przed wyjściem Kilo w morze.

–Tysiąc zbiegów okoliczności – mruknął do Billa Baldrige'a. – To nie przypadek. A w dodatku teraz dochodzą do mnie słuchy, że nasz Adnam jest Irakijczykiem. Nic dziwnego, że Gavron taki nie w sosie. Izraelskich wojskowych skręca na samą myśl o możliwości spenetrowania przez kogoś ich struktur. Zwłaszcza przez taki kraj jak Irak. Nie zdziwiłbym się, gdyby na koniec odwalili za nas całą brudną robotę.

Podszedł do mapy i zapatrzył się znowu w północno-wschodnie wybrzeże Turcji. Po raz nie wiadomo który wbił igłę cyrkla w wyrobioną już porządnie dziurkę w miejscu, gdzie- znajdował się turecki port Trabzon. Drugim ramieniem cyrkla nakłuł punkcik symbolizujący nadmorski kurort Sinop.

–Dwieście trzydzieści pięć mil – wymruczał. – I do tego nadbrzeżna droga łącząca oba miasta.

Patrzył teraz na mapę nawigacyjną wód przybrzeżnych, skupiając wzrok na wrzynającym się w morze cyplu Sinop, który stanowił na tym odcinku wybrzeża najbardziej wysunięty na północ punkt lądu. Jakże blisko było stamtąd do czekającej na głębokich wodach łodzi podwodnej.

–Stąd zabrali Adnama.

–Słucham, sir? – spytał Bill.

–Nie, nic. Próbuję sobie tylko wyobrazić miejsce, w którym zaokrętował się Adnam. Jeśli to jego wiół tamtej nocy ten twój Tomasz, to założę się, że parę dni później z przystani w Sinop zginął jakiś jacht. Mam przeczucie, że to jest to miejsce.

*

Samolot linii British Airways z Londynu wylądował na lotnisku międzynarodowym w Stambule w niedzielę siódmego września po południu. Admirał sir Iain MacLean opuścił kabinę pierwszej klasy w asyście stewarda dźwigającego za nim wysłużoną walizkę z ciemnej skóry. Przy stanowiskach kontroli paszportowej czekał komandor porucznik Bill Baldrige.

Admirałowi wbito w paszport stempel, po czym obu mężczyzn przeprowadzono przez komorę celną. Wsiadli do samochodu, który Bill wynajął w hotelowej agencji.

Baldrige zarezerwował też w hotelowej restauracji narożny stolik, przy którym mogli swobodnie porozmawiać. Nazajutrz w porze lunchu mieli się stawić na pokładzie kutra tureckiego pilota, który przetrzuci ich na HMS „Unseena”, płynącego teraz przez Morze Marmara ku Bosforowi. Zgodnie z informacjami admirała „Unseen” o dwudziestej pierwszej miał już być za Dardanelami i idąc przez całą noc z szybkością dziesięciu węzłów, pokonać do rana sto pięćdziesiąt mil morskich dzielących go jeszcze od Stambułu.

Przed zejściem do jadalni, admirał sprezentował Billowi paczuszkę z dwoma płytami kompaktowymi z operą Carmen Bizeta. Śpiewali Agnes Baltsa i José Carreras, orkiestrą Berlińskiej Filharmonii dyrygował maestro von Karajan.

–Laura mi to dla ciebie dała, Bill. Podobno bardzo ci się podobało, kiedy bawiłeś u nas po raz pierwszy, i prosiłeś, żeby ci kupiła. Przeprasza, że tak długo to trwało, ale musiała składać specjalne zamówienie.

Bill, który zrazu nie miał zielonego pojęcia, o czym sir Iain mówi, szybko otrząsnął się z zaskoczenia i poprosił admirała o przekazanie córce gorących podziękowań.

–Nie mogłem dostać tego nagrania w USA – wyjaśnił. – Jak to miło ze strony Laury, że zechciała zadać sobie tyle trudu.

Odłożył paczuszkę z płytami na nocną szafkę i wyszedł z pokoju. Dogonił admirała przy windach i kiedy zjeżdżali na dół, zadał wreszcie pytanie, które od kilku tygodni nie dawało mu spokoju.

–Panie admirale, Turcy twierdzą, że przeczesują Bosfor radarem od skraju do skraju. Czy nie oznacza to czasem, że nie

będziemy mogli wyjść na głębokość peryskopową, bo narazimy się na wykrycie? Przecież maszt tego upholdera pozostawia na wodzie cholernie wyraźny ślad. Jeśli będą czujni, dostrzegą nas bez trudu nawet gołym okiem.

–Owszem. Bardzo dokładnie przeczesują powierzchnię Bosforu. A ponieważ większą część trasy chcę przebyć na głębokości peryskopowej, będziemy musieli boksować troszeczkę sprytniej.

–W to nie wątpię. Tylko jak? Jak to zrobił Adnam?

–Prawie na pewno tak jak ja zamierzam to zrobić. Zajął pozycję gdzieś w południowo-zachodniej części Morza Czarnego i zaczekał na jakiś spory frachtowiec z ładunkiem sugerującym, że statek przechodzi przez cały Bosfor. Upatrzywszy sobie taki, dokładnie wyliczył kąt i odległość, biorąc za punkt odniesienia jego pozycyjne światło rufowe, po czym wsiadł przewodnikowi na ogon. Wyregulował obroty silnika, żeby zgrać szybkości, i po prostu płynął za nim jak na sznurku, utrzymując dystans niecałych stu jardów.

–Już rozumiem. Ślad pozostawiany przez peryskop ginął w kipieli kilwateru przewodnika.

–Właśnie.

–My też tak postąpimy?

–Tak.

–Jezu. A jeśli nasz przewodnik zatrzyma się nagle albo zejdzie z kursu na wodę wystarczająco głęboką dla niego, ale za płytką dla nas? Przecież wtedy albo wpasujemy mu się w kufer, albo zaryjemy w dno.

–Owszem, jeśli nie zachowamy należytej ostrożności. Ale my będziemy ostrożni. Tak jak Ben Adnam.

–Czy Jeremy Shaw nadaje się do tej roboty?

–Ależ naturalnie, trudno sobie wyobrazić lepszego. I przywykł do sumiennego wykonywania poleceń. Znam dobrze jego nauczyciela. Powiem więcej – sam szkolilem kiedyś tego nauczyciela. I on potem, przez parę dobrych lat, był przełożonym młodego Shawa. Dzięki Bogu, stare dobre nawyki marynarskie nie tak łatwo giną.

–Kiedy zajmujemy pozycję?

–Myślę, że powinniśmy zniknąć jakąś godzinę drogi na północ od Bosforu. Żeby nikt nie wiedział, co robimy. Turcy będą widzieli, jak wypływamy z cieśniny w wynurzeniu, ale ledwie

zacznie się ściemniać, znikniemy.

Chciałbym tuż przed zmrokiem, około dziewiętnastej trzydzieści, być już na naszym stanowisku na Morzu Czarnym, jakieś trzydzieści pięć mil na północ od wejścia do Bosforu, i czekać tam w pełnej gotowości na głębokości peryskopowej. Dzięki temu będziemy jeszcze mieli dosyć światła, żeby wybrać sobie jakiś frachtowiec idący z szybkością dziesięciu węzłów w odpowiadającym nam kierunku, najlepiej taki, który udaje się bezpośrednio na Morze Śródziemne.

Ruszymy za nim na głębokości peryskopowej. Przed wejściem do Bosforu będziemy sobie mogli jeszcze pohłasować, doładować akumulatory. Miejmy nadzieję, że kupiec nas nie zauważy. A prawdopodobnie nie zauważy, bo w pół godziny po tym, jak wsiądziemy mu na ogon, zupełnie się ściemni. Przy odrobinie szczęścia.

Bill pokręcił z uśmiechem głową.

–Mam wrażenie, że rozmawiam z von Karajanem głębin.

–A co to za jeden? – mruknął admirał. – Jakiś dowódca U-boota?

–Nie, sir. To dyrygent z płyty, którą przysłała mi przez pana Laura. Jeden z najlepszych w dziejach. Maestro Herbert von Karajan.

–A, tak, rozumiem. Oczywiście. Nie bardzo znam się na operze. Ale miło, że tak mówisz, chociaż przesadzasz. Jestem zwyczajnym emerytowanym oficerem, który podjął się tej misji, bo nie było do niej innych chętnych.

–Wybrał pana osobiście oficer flagowy służb podwodnych Royal Navy, sir.

–Tak. Oczywiście, jego szefem też kiedyś byłem. Pewnie chce się na mnie w ten sposób odegrać.

Kolacja przebiegała w atmosferze skupienia. Rozmowa obracała się wokół obaw związanych z niebezpiecznym zadaniem, jakie ich nazajutrz czekało. Bill, który nigdy nie był na łodzi podwodnej wykonującej manewr ostrego stopu, zebrał się w końcu na odwagę i zadał admirałowi dręczące go pytanie – jak uniknąć uderzenia w potężne śruby frachtowca?

–Do tego może dojść tylko przez nieuwagę – odparł admirał. – W związku z czym jeszcze ważniejsza niż zwykle staje się rola naszych sonarowców. Mają jedno krytyczne zadanie: informować nas natychmiast o każdej zmianie szybkości przewodnika, o najdrobniejszym symptomie wskazującym, że frachtowiec redukuje obroty motorów.

Muszą więc wsłuchiwać się pilnie w jego śruby. Jeśli zwolni, mamy ułamek sekundy na reakcję. Chwila zagapienia i wjeżdżamy mu w zadek.

Jeśli jest wystarczająco głęboko, to też zwalniamy, zwiększamy zanurzenie i próbujemy przemknąć się pod nim. Jeśli głębokość na to nie pozwala, a widzimy trochę miejsca z boku, pasujemy się w tę lukę. Jeśli jest za płytko, na manewr ominięcia nie ma miejsca, a za późno zaczniemy zwalniać, to prawdopodobnie spotkamy się na rozprawie Jeremy'ego Shawa przed trybunałem wojskowym. Naturalnie, jeśli wyjdziemy z tego z życiem.

–Jezu – jęknął Bill. – A istnieją jakieś zasady postępowania, gdyby trzeba było ostro hamować?

–Owszem, przewidziano takie. Idąc tuż za frachtowcem pozostajemy przez cały czas na stanowiskach zanurzeniowych. Ale musimy być gotowi w każdej chwili do przegrupowania się i zajęcia specjalnie przewidzianego stanowiska kolizyjnego.

Nie znamy dokładnie zmian gęstości wody i nie wiemy, czy nie czyhają na nas pionowe wiry. Może się okazać, że nie obejdzie się bez tradycyjnych grup trymujących. A to oznacza, że musimy płynąć z otwartymi grodziami wodoszczelnymi, żeby ludzie mogli przebiegać szybko na dziób albo na rufę celem skompensowania ewentualnego, przegłębienia.

Odbyłem kilkx rozmów z Jeremym Shawem i poradziłem mu, żeby porozstawiał przy grodziach dyżurnych. Wszystkich obowiązywać będzie permanentny stan podwyższonej gotowości. Kiedy jednak damy sygnał „ostry stop”, grodzie się nie zatrzasną. Pozostaną otwarte dla grup trymujących.

Bill przeżuł w zamyśleniu kebab i pociągnął długi łyk czerwonego tureckiego wina. Nigdy nie pływał na łodzi podwodnej o napędzie dieslowsko-elektrycznym, ale znał podstawowe zasady postępowania w razie kolizji. W każdej niepewnej sytuacji grodzie powinny być zamykane. Miało to zapobiec rozprzestrzenianiu się pożaru albo powstrzymać wdzierającą się do środka wodę w przypadku przedziurawienia kadłuba. Zdawał sobie sprawę z tych straszliwych zagrożeń, zwłaszcza przy dużych zanurzeniach.

Admirał nie okazywał cienia zdenerwowania. Kreślił dalej ze swadą mrozące krew w żyłach scenariusze ich przejścia w zanurzeniu przez Bosfor.

–Szczerze mówiąc, Bill, to mam nadzieję, że zawczasu to sobie przećwiczymy. Frachtowiec zatrzyma się pewnie u północnego

wejścia, żeby podjąć pilota. Będziemy wtedy tuż za nim, a prąd będzie nas wciągał do kanału. Zobaczymy wtedy, jaki mamy refleks i czy uda nam się utrzymać wypoziomowanie, kiedy dwa i pół tysiąca ton stali poruszające się z szybkością dziesięciu węzłów raptownie wyhamuje.

Bill pociągnął kolejny łyk wina. W kilka minut później opuścili salę jadalną i udali się do swych pokoi na spoczynek.

–Kto wie, czy to nie moja ostatnia noc – mruknął pod nosem Bill zatraskując za sobą drzwi grodziowe pokoju numer 1045.

Otworzył paczuszkę z płytami kompaktowymi i wyjął z niej dwa cienkie, zapieczętowane pudełka oraz błyszczącą broszurkę z librettem. Nic. Żadnego liściku od Laury. Zajrzał do paczuszki. Tam też nic. Przystąpił do kartkowania broszurki.

Do strony 105 przypięta była karteczka. Zaczął czytać:

„Jestem z powrotem w Edynburgu i trochę brakuje mi rozmów z tobą. Proszę cię, Bill, uważaj na mojego ojca i, na miłość boską, uważaj na siebie. Nie przeżyłabym chyba, gdyby któremuś z was coś się stało”.

U dołu widniał jej podpis: „Laura”, a pod nim trzy krzyżyki.

Jeszcze niżej różowym flamastrem dopisano trzy linijki partii Carmen z duetu z Carrerasem w dziewiątej scenie pierwszego aktu. W tłumaczeniu z francuskiego brzmiały one następująco: „Myślenia nikt nie zabroni! Myślę o pewnym oficerze, który mnie kocha i którego ja z kolei również mogę pokochać!”.

–Prawdziwy wizjoner z tego Bizeta – mruknął Bill.

Po nocy zakłócanej sennymi koszmarami spakował swoją torbę i zbiegł po schodach tryskając nie wiedzieć czemu energią. Uregulował rachunki za siebie i za admirała kartą kredytową i pojechali taksówką do portu.

Posuwając się na południe, brzegiem Morza Marmara, mogli podziwiać z okien samochodu malownicze widoki Stambułu -wspaniałe, strzeliste minarety Błękitnego Meczetu, świątynię Hagia Sophia i pałac Topkapi. Gigantyczny most Bogazi Road, który spina brzegi Bosforu trzy mile na północ od Złotego Rogu, mienił się tego poranka w zwiewnej mgielce upału, a po nim, trzydzieści metrów nad lustrem wody, sunęły sznury samochodów.

HMS „Unseen” czekał nieco na północ od tureckiego kotwi-cowiska, od strony azjatyckiego brzegu. Woda była spokojna i przesiadka z kutra na łódź podwodną odbyła się bez kłopotów. Bagaż

Billa Baldrige'a i admirała marynarze wciągnęli na linach zakończonych hakami.

Obaj oficerowie oraz turecki pilot sprawnie wspięli się po sznurowej drabinie na pokład, asekurowani przez dwóch krzepkich, młodych poruczników. Na mostku czekał na gości komandor porucznik Jeremy Shaw, gotów do przeprowadzenia łodzi przez Bosfor na północ w wynurzeniu.

Dowódca powitał admirała MacLeana z całym należnym mu szacunkiem. W stosunku do Billa Baldrige'a był bardziej bezpośredni. Zrelacjonował pokrótce przebieg długiej podróży z Barrow-in-Furness do Turcji. Z łodzi był zadowolony, załoga bez trudu opanowała obsługę systemów podczas dwutygodniowego szkolenia przeprowadzonego przed opuszczeniem Anglii. Doprowadzenie łodzi podwodnej do pełnej gotowości operacyjnej wymagało zwykle o wiele więcej czasu, ale w tym przypadku odpadały ćwiczenia z bronią.

Przejście przez Bosfor w kierunku północnym było bardzo pouczające. Admirał MacLean zwracał uwagę na szerokość kanału, na światła na dwóch mostach, zwłaszcza na tym węższym, Fatih Sultan Mehmet, trzy mile na północ od Bogazi, który załoga „Unseena” przemianowała już na Facio Sułtan.

Notował głębokości w wąskim „prawym łuku” tuż przed mostem, oznakowanym nawigacyjną stacją kontrolną w Kandilli po azjatyckiej stronie. Pierwszy duży zakos, jaki ich czekał w drodze powrotnej – ostró w lewo i zaraz potem ostro w prawo – był równie niebezpieczny, bo drastycznie zwężyły się tam kanały żeglugowe. Admirał sporządzał notatki drobnym, równym pismem: „Dwie cholernie wielkie płycizny po lewej, zaledwie pięć metrów”.

Zalane słońcem wody Bosforu widziane z powierzchni zdawały się rozlewać szeroko i wcale nie wyglądały tak złowieszczo. Dopiero mapy demaskowały zdradziecką naturę kryjącego się pod powierzchnią dna. Przez całą drogę na północ admirał MacLean próbował ustalać przebieg jego podwodnych konturów.

Po dwóch godzinach byli już po drugiej stronie Bosforu i żegnali się ze schodzącym z okrętu pilotem. Kapitan Shaw podał kurs północny zero-trzy-zero i ruszyli spokojnym morzem w kierunku wybranego punktu wyczekiwania.

O godzinie siedemnastej trzydzieści kapitan Shaw uznał, że pora zniknąć:

–Oficer wachtowy, zanurzyć okręt.

jy

–Tak jest, sir.

–Wszyscy z mostka.

–Górna klapa zamknięta, jeden zatrzask... oba zatrzaski trzymają.

–Otworzyć zawory główne... zespół w górę... główny motor pół naprzód.

–Zawory główne otwarte, sir... Telegraf na pół naprzód... Zespół w górze, sir.

–Pięć w dół. Siedemnaście i pół metra.

–Dwanaście metrów, sir.

–Zwolnić pęcherz.

–Osiemnaście metrów. Pęcherz zwolniony, sir.

–Dobra. Zamknąć zawory główne. Zespół w dół.

–Nasłuch elektroniczny... szukać zwłaszcza wiązek radarów komercyjnych wysyłanych z północy, z kierunku, powiedzmy trzy-jeden-pięć do zero-cztery-pięć. v

–Niezły trym – pochwalił oficera wachtowego kapitan Shaw. – Trzymaj tę pozycję i szukaj jakiegoś kupca kierującego się na Bosfor. Ma iść z szybkością poniżej dziesięciu węzłów. W sam raz byłby ośmiowęzłowiec. Uważaj, żeby cię nie zauważył. Chociaż to mało prawdopodobne, bo on nie będzie się spodziewał takich jak my. Daj mi znać, jak takiego wypatrzysz.

–Tak jest, sir. Niebieska wachta... obserwacja z zanurzenia... cisza patrolowa na okręcie.

–Będę z admirałem i naszym amerykańskim gościem w mesie oficerskiej. Przejmujesz dowodzenie, Pierwszy.

–Przejąłem dowodzenie, sir.

Kapitan Shaw, admirał i komandor porucznik Baldrige przeszli do mesy na naradę.

–Z map wynika, że dno jest w zasadzie kamieniste, admirał -zaczął Shaw. – Gdybyśmy mieli w nie uderzyć, to lepiej, żeby nie było to rufą. Dużo tu będzie zależało od grup trymujących. Ale mam przecucie, że w przesmyku w miejsce tych kamyczków pojawią się większe głazy, które mogą się okazać bardzo wredne. Zamierzam więc za wszelką cenę pozostawać na głębokości peryskopowej, choćby to było wbrew zasadom.

–Chyba potrzebna ci na to moja pisemna zgoda, Jeremy -zauważył admirał MacLean. – Wpiszę ją do dziennika okrętowego. Ale zgadzam się z tobą, dużo lepiej będzie ściąć sobie peryskop o dno frachtowca, niż nadziać się na jakąś cholerną skałę.

377

Trzej mężczyźni pochylali się nad mapą. Jeremy Shaw zmarszczył czoło.

–Najgorzej będzie tu... tu... i tu – odezwał się po chwili, pokazując palcem duże ostre zakręty. – Nazwiemy je Lewy Łuk i Prawy Łuk. Z oczywistych powodów. Pod presją ludzie często szybciej reagują na znajome słowa. Tureckie nazwy tych miejsc są nie do wymówienia, co może prowadzić do nieporozumień.

–Dobry pomysł – pochwalił admirał.

–Mam tylko nadzieję, że nasz frachtowiec-przewodnik będzie się na tych łukach trzymał prawej strony i nie ścinał zakrętów. A może go korcić, jeśli z przeciwnika nic nie będzie nadpływało. Jeśli się zatrzyma albo zrobi coś głupiego, a ja nie będę mógł wyhamować ani przejść pod nim, to odbiję w lewo. I wtedy właśnie będziemy może zmuszeni korygować błyskawicznie trym.

–No dobrze, Jeremy. Ale jeśli przyjdzie nam wykonać unik w momencie, kiedy z przeciwnika nadpływać będzie sznur statków, to chyba już lepiej odbić w prawo i wynurzyć się po prawej burcie przewodnika. Wcale nie jest powiedziane, że nas z niego zauważą. Z wielu opresji' można wyjść bez szwanku, zachowując zimną krew.

–To prawda – wtrącił się Bill. – Słyszałem, że pewien brytyjski okręt wojenny, udając statek wycieczkowy, wyszedł kiedyś na pozycję dogodną do przeprowadzenia ataku torpedowego na jeden z naszych lotniskowców.

Jeremy Shaw parsknął śmiechem. Admirał zachował kamienną twarz.

–A co z głębokościami, Jeremy? – spytał.

–Żeby płynąć na peryskopowej, musimy mieć siedemnaście i pół metra, plus jeszcze pięć... minimum dwadzieścia dwa i pół metra. Najgorzej jest zaraz za mostem Bogazi, gdzie według mapy głębokość wynosi co prawda dwadzieścia siedem metrów, ale pośrodku kanału spoczywają na dnie dwa oznakowane wraki, w tym jeden zaledwie piętnaście metrów pod powierzchnią.

W tym miejscu nie mogę odbić w prawo ze względu na boje wyznaczające kotwicowisko statków handlowych. Nie mogę też zejść głębiej z uwagi na te wraki i nie mogę odbić w lewo, bo nie widać sytuacji za tym dużym zakrętem i sąsiedni tor jest przez to bardzo niebezpieczny. A na dokładkę ma tylko trzydzieści metrów głębokości, co uniemożliwia zanurkowanie pod dużym frachtowcem, gdyby taki szedł z przeciwnika.

Jeśli się okaże, że nasz przewodnik chce przepłynąć nad Wrakami, to chyba na jakieś pół mili będę się musiał wynurzyć, tylko na trzy minuty. Sęk w tym, że tam jest cholernie jasno od nabrzeżnych świateł. I Turcy mogą nas zauważyć.

–No to pozostaje nam tylko trzymać kciuki – stwierdził sir Iain. – 1 mieć nadzieję, że wszystko pójdzie jednak po naszej myśli. A tak nawiasem mówiąc, Jeremy, masz osobistą listę czynników, których wystąpienie powoduje automatycznie poniechanie misji? Takich jak widoczność i tym podobne?

–Tylko najbardziej oczywistych, sir. Defekty systemu nawigacji, wczesne zgubienie przewodnika, jeszcze przed wejściem do cieśniny, wykrycie przez Turków albo trudności z wytrzymaniem łodzi w silnych prądach. Oprócz tego wszystkie nagle, nieprzewidziane okoliczności, które wynoszą nas poza i tak już naciągnięty margines błędu.

Ogólnie rzecz biorąc, przerywamy misję, jeśli tych nieprzewidzianych okoliczności nagromadzi się tyle, że nie będzie innego wyjścia. Chciałbym prosić pana i Billa o szacowanie na bieżąco szans powodzenia, a ja będę się zajmował szczegółami.

–Dobrze. Będziemy stali za tobą i zaciskali zęby dopóty, dopóki nie uznamy, że mocniej już się nie da. W końcu to ty, Jeremy, odpowiadasz za ten okręt, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to ja cię tutaj postawiłem, a chyba wiedziałem, co robię.

Pamiętaj, zawsze możesz powiedzieć „Dosyć, ja się wycofuję”, i nikt nie będzie miał ci tego za złe. Jesteśmy tu tylko po to, by się przekonać, czy to w ogóle możliwe, a nie dowodzić niezbitcie, że nie.

–Okay, sir. Idę teraz do sterowni rozejrzeć się. Kolacja o ósmej. Filmu w mesie dziś wieczorem niestety nie będzie. Nawet dla pasażerów pierwszej klasy.

A mieli przed sobą długie czekanie...

092025WRZE02. HMS „Unseen”. 41.55N, 29.37E. Kurs 180. Szybkość 5.

–Kapitanie. Mam kandydata... zero-dwa-zero... piętnaście tysięcy metrów... Jestem jakieś dwadzieścia stopni na lewo od jego • dziobu... szybkość według radaru osiem i pół węzła na kursie sto osiemdziesiąt... odbieramy z tamtego kierunku silny sygnał komercyjnego radaru nawigacyjnego... żadnego innego ruchu w promieniu pięciu mil... podchodzę, żeby mu się lepiej przyjrzeć, zanim całkiem się ściemni.

–Zrozumiałem. Przejmuję dowodzenie.

–Zdaję dowodzenie, sir. Według radaru jego wyższe światło topowe niknie na dwudziestu ośmiu metrach, sir.

–Okay. Peryskop w górę. Ogląd powierzchni.

–Lokalizowanie celu. Peryskop w górze. Namiar... zero-dwa-dwa. Odległość... przy dwudziestu ośmiu metrach. Czternaście i pół tysiąca metrów, sir... kurs celu sto osiemdziesiąt pięć... odległość od toru sześć tysięcy metrów...

–Zespół w górę... motor główny pół naprzód. Obroty sześć zero... pięć w dół... czterdzieści metrów... skręt w lewo zero-dzie-więć-pięć.

Załoga... ruszamy w zanurzeniu, żeby za piętnaście minut zamknąć tor. Chcemy mu się przyjrzeć z bliska. Kiedy nas minie, skręcimy i popłyniemy za nim... Pierwszy, wydaj rozkazy... od dwudziestej trzydzieści wszyscy na stanowiskach zanurzeniowych. I to na dłużej. Osem do dziewięciu godzin. Na dwudziestą trzecią i na trzecią przygotować kakao i kanapki.

092040WRZE02.

–Niech pan zerknie, admirale. Chyba się nada. Na oko sześć-ciotysięcznik. Mały kontenerowiec... z tego, co ma na kominie, wynika, że rosyjski. Trudno powiedzieć, czy przechodzi przez całą cieśninę. Ale godzina i szybkość pasują idealnie. Chyba przepłynę pod nim i sprawdzę, jakie ma zanurzenie, dopóki mamy dużo wody pod kilem. Potem wynurzę się za nim na peryskopową.

–Bardzo dobrze, Jeremy. Nada się.

HMS „Unseen” dostosował obrotami szybkość do rozwijanych przez frachtowiec ośmiu koma dwie dziesiąte węzła i ruszył za Rosjaninem z powrotem w kierunku wejścia do Bosforu. Po czterech godzinach, mniej więcej trzydzieści minut po północy, kapitan Jeremy Shaw zdjął namiar wizualny.

–Wszystko się zgadza, admirale. Fort Rumineleferi, namiar dwa-cztery- zero... dwie mile. Przewodnik wciąż na jeden-osiem-dwa... osiemdziesiąt obrotów, osiem koma siedem węzła w odniesieniu do lądu, osiem koma dwa w odniesieniu do wody. Prąd mamy w plecy, za jakieś dwie mile powinien dojść do jednego węzła. Należy się spodziewać, że lada sekunda nasz przewodnik skręci w prawo na mniej więcej dwa-jeden-siedem... O, skręca, sir. Trzy na prawą burtę. Podawać mi namiar co dwa stopnie.

–Jeden-osiem-cztery... jeden-osiem-sześć.

–Jesteśmy blisko, admirale. Tuż za nim. Odległociomierz nastawiony na jego światło rufowe.

–Za dwanaście minut weźmie pilota.

Sprężnięte ze sobą, poruszające się z dokładnie takimi samymi szybkościami rosyjski frachtowiec i łódź podwodna Royal Navy zbliżały się do Bosforu przedzielone zaledwie stu metrami spienionej wody fosforyzującej jasno w bladej poświacie księżyca.

Ze statku handlowego nie zauważono do tej pory peryskopu sunącego w kilwaterze. Frachtowiec szedł swoim kursem, nieświadomie wprowadzając „Unseena” do historii morskich dokonań.

Poziom precyzji reprezentowany przez oficerów łodzi podwodnej był nie do wyobrażenia nawet dla najbardziej doświadczonego wilka morskiego z marynarki handlowej. Utrzymywali dystans z dokładnością do kilku metrów, obserwując kątem do rufowej lampy pozycyjnej frachtowca. Jeśli się zwiększał, znaczyło to, że płyną za szybko i niebezpiecznie się zbliżają. Jeśli malał, wiedzieli, że zostają w tyle i wysuwają się spod osłony kilwateru.

Przecinając niewidzialną linię łączącą cypel Anadolu z błyskającą co dwadzieścia sekund latarnią Rumeli, weszli od północy w Bosfor. Dwie i pół mili dalej frachtowiec zaczął zwalniać, żeby zabrać pilota.

Jeremy Shaw na to właśnie czekał. Wychwycili już wcześniej szum śrub szybkiej dieslowskiej motorówki pilota i manewr „ostrego stopu” zarządzony przez kapitana łodzi podwodnej wykonany został sprawnie przy niespełna siedmiu metrach wody pod kilem. „Unseen” zatrzymał się o wiele wcześniej od frachtowca. Jak dotąd, nieźle.

Ruszyli potem za frachtowcem na peryskopowej poprzez smo-listoczarne głębie. Pokonali łagodny zakręt w lewo, potem w prawo. O pierwszej trzydzieści prześliznęli się pod mostem Facia Sultana i przygotowali na spotkanie ostrego prawego łuku na wysokości Kandilli, gdzie kanał był wąski, ale głęboki, a prąd wartki i kapryśny.

Kapitan frachtowca prowadził jednak statek pewną ręką samym środkiem toru. Utrzymywał też stałą prędkość i niewidzialni obserwatorzy posuwający się sto metrów za nim nie wykrywali żadnych zmian w obrotach motorów. Nikt jeszcze nie zdemaskował tajnego anglo-amerykańskiego eksperymentu. Turecki radar wojskowy przeczesywał bezgłośnie powierzchnię wody nad „Un-

seenem", ale nie wykrył jak dotąd samotnego peryskopu sunącego białym spienionym śladem znaczącym trasę frachtowca.

Stojący za sterem Jeremy Shaw zmienił kurs na dwa-trzy-dwa. Wychodzili na kolejny prosty odcinek, gdzie kanał stawał się płytszy. Tuż przed nimi majaczył wielki most Bogazi. Do tej pory mieli niewiarygodne szczęście.

Dowódca „Unseena” widział przez peryskop błyskające szybko światła mostowe – żółte po prawej i białe po lewej. Most przesunął się nad nimi o godzinie pierwszej czterdzieści jeden. Przed frachtowcem i jego cieniem, ale w bezpiecznej odległości, cieśninę przecinał z zachodu na wschód jakiś prom.

Do płycizny pośrodku południowego toru – tej, na której spoczywały dwa wraki – mieli jeszcze dwie minuty, kiedy ożył pierwszy sygnał ostrzegawczy. Z naprzeciwka, niemal wzdłuż linii oddzielającej oba tory żeglugowe, coś nadpływało. Jednostkę, zbyt szybko wychodzącą z za prawego zakrętu zaznaczonego latarnią Kizkulesi, wynosiło na środek. Nie wiedzieli jeszcze, że to rumuński tankowiec o wyporności dwudziestu tysięcy ton.

Spotkanie było nieuniknione, bo łódź podwodna też musiała odbić ku środkowi cieśniny, żeby ominąć drugi wrak. Było tu za płytko, żeby zanurkować i przejść pod nadpływającym z przeciwka statkiem. Według mapy głębokość na skraju płycizny nie przekraczała trzydziestu metrów. Zanurzenie tankowca wynosiło dziesięć metrów. „Unseen”, żeby zejść głębiej, potrzebował co najmniej dwudziestu metrów więcej.

Admirał i Jeremy Shaw na wymyślenie czegoś mieli około pięciu minut. Czas uciekał, a im nic nie przychodziło do głowy.

–Jezu! Ale wielkie bydlę – stwierdził dowódca zerkając ponownie przez peryskop.

Po chwili sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Shaw dostrzegł na wprost prom sunący ze wschodu na zachód, wychodzący im przed dziób. A potem stało się coś niewiarygodnego.

–Tu sonar – zawołał operator sonaru. – Przewodnik zmniejsza obroty, sir.

Jeremy Show po raz pierwszy zdradził oznaki zdenerwowania.

–Jezu! – krzyknął. – Tylko tego nam brakowało! Nic dziwnego, że to nielegalne.

„Unseen” szedł teraz pod wodą kursem na zderzenie ze śrubami rosyjskiego frachtowca, życie całej załogi znalazło się w zagrożeniu.

Kapitan Shaw już się opanował.

–Obroty dwadzieścia... ster w prawo dwa-cztery-zero.

Ale w tym momencie rosyjski frachtowiec także zaczął skręcać w prawo, w kierunku kotwicowiska po europejskiej stronie; szczęście, że chociaż nadal płynął. Nawigator krzyknął, że minęli wrak spoczywający na piętnastu metrach. Ale rumuński tankowiec był coraz bliżej, dzieliło go od nich jeszcze pięćset metrów, i nadal szedł zbyt blisko środka cieśniny.

Jeremy Shaw i admirał MacLean wiedzieli, że prom ma małe zanurzenie i nawet gdyby przeszedł dokładnie nad nimi, co najwyżej zetnie im płetwę i peryskop. Jeśli jednak łódź podwodna dalej będzie parła lewą stroną toru, to zostanie skoszona przez Rumuna, który nie tylko jej nie widzi, ale też idzie za blisko środka i za szybko.

„Unseen” nie mógł odbić w prawo ze względu na płyciznę i drugi wrak, nie mógł w lewo, bo w pobliżu był już zakręt Kizkulesi, i chociaż uniknęliby może kolizji z tankowcem, to zza zakrętu mógł lada chwila wyjść po wewnętrznej następny statek handlowy.

Jedyne, co w tej sytuacji mógł doradzić admirał, to zrobić „zdechłą świnię” – czyli wystawiając peryskop minimalnie ponad lustro wody stanąć w dryf i dając się nieść prądowi spłynąć z nim nad płycizną aż do głębszej wody na zakręcie.

–Powinniśmy w ten sposób uniknąć o włos zderzenia z tankowcem, a operatorzy tureckich radarów wezmą nas za kawał jakiegoś śmiecia niesiony przez wodę – powiedział.

–Jeśli sternik popełni najmniejszy błąd, to po nas – mruknął kapitan.

Był to manewr pasywny, a co za tym idzie, bardziej ryzykancki. Ale innego wyjścia nie mieli. Po kilku sekundach usłyszeli szum śrub dużego tankowca przesuwający się wzdłuż lewej burty w odległości nie dwustu metrów, jak przewidywał admirał MacLean, co i tak byłoby bliżej, niż dopuszcza margines bezpieczeństwa, ale pięć razy bliżej.

Skłębione turbulencje ciągnące się za masywnym, stalowym kadłubem dwudziestotysięcznika i rozchodzące wszerek wąskiego kanału zepchnęły łódź podwodną spory kawał z kursu i obróciły o piętnaście stopni w lewo.

–No tak, teraz płyniemy prosto do Azji – mruknął admirał. – Tego nie było w planach.

–Nie ma takiego złego, co by na dobre nie wyszło, sir -pocieszył go nawigator. – Na wejście w skręt na południe i tak już

trochę za późno. A mnie tam dobrze po zachodniej stronie. Głębiej tutaj.

I w tym momencie na pokładzie łodzi podwodnej Royal Navy nadal robiącej zdechłą świnie rozbrzmiał kolejny alarm.

–Tu sonar... Nowy kontakt! Namiar cztery-trzy. Kurs jeden-osiem-pięć.

–Jezu! – jęknął dowódca. – To jakiś wielki sukinsyn, a my jesteśmy tuż przed nim, dokładnie na kursie. Odległość jakieś siedemset metrów. Szybkość dwanaście węzłów. Jasna cholera, idzie pod prąd.

–Schodzimy głębiej – warknął admirał MacLean. – Jerem y... t pół naprzód... obroty cztery zero... pięć w dół... trzydzieści metrów...

podawać szybkość.

–Tak jest, sir.

–Dwa węzły.

–Wszystkie maszty w dół – rzucił dowódca – t r z y-dzieści jeden metrów.

–Dwadzieścia pięć metrów, sir.

Echosondowiec podał głębokość pod kilem:

–Dziesięć metrów na echu, sir.

–Mała naprzód.

–Wciąż jeden-osiem-pięć. Jest coraz głośniejszy. Zagłusza wszystkie inne kontakty.

–Trzydzieści jeden metrów, sir.

–Pięć metrów na echu, sir.

–Czuć, że nadchodzi, Jeremy – rzucił admirał. – To ciśnienie jego dzioba wtłacza nas w głąb. Stery dziobowe pełny w y c h y ł.

–Dwa metry na echu, sir.

–Spokojnie i poziomo, Jeremy. Byle nie zaryć śrubą w muł.

–Tak, sir. Głębokość trzyma... to jest to ssanie wzdłuż jego kadłuba.

Admirał wydał ostatnią komendę:

–Pół naprzód. Obroty cztery zero. Siedemnaście i pół metr a... ale przede wszystkim utrzymuj ją w poziomie, Jeremy.

Meldunek echosondowca „Dwa metry, sir” niemal utonął w ryku śrub przechodzącego nad nimi z szybkością dwunastu węzłów wielkiego frachtowca.

384

–Namiar cztery-trzy tuż za rufą. Kurs zero-zero-cztery, sir. Bardzo głośny. Doppler niski. Te same obroty, jeden-dwa-cztery.

Admirał MacLean cofnął się pod ścianę, a łódź podwodna podjęła wznoszenie ku powierzchni szerokich na milę i głębszych już wód stambulskiego portu. „Unseen” wychodząc powoli na głębokość peryskopową wpływał cicho na bezpieczniejsze wody.

Piętnaście minut po tych dramatycznych chwilach życie w sterowni wracało do normy. Najgorsze mieli za sobą. Kapitan Shaw przekazał dowodzenie pierwszemu oficerowi i przeszedł z admirałem i Billem Baldrige'em do mesy na herbatę.

–Przepraszam, Jeremy, że wszedłem ci tam w paradę – powiedział admirał MacLean. – Ale uznałem, że więcej od ciebie napatrzyłem się w życiu rozmaitych pływających i kryzysowych sytuacji.

–Nie wątpię, sir. To, co zobaczyłem przez peryskop, trochę mnie zamurowało. Chyba przegapiłem uwagę nawigatora, że jesteśmy na głębszej wodzie i możemy przejść dołem. Dziękuję, sir.

„Unseen” wychodził z szerokiego południowego kanału, który opływa wschodnie wybrzeże starożytnego miasta Stambuł. Głębokość wynosiła tutaj pięćdziesiąt metrów, a do otwartych przestrzeni Morza Marmara było niespełna trzy mile.

Jeremy Shaw zasugerował, że powinni wysłać poprzez satelitę wiadomość do oficera dyżurnego w Northwood i do Waszyngtonu.

–Popieram – podchwycił admirał. – Udało nam się. I o to właśnie chodzi.

–Ustaliliście jakieś hasło na pomyślne zakończenie misji, Bill? – spytał kapitan.

–Jasna sprawa. Home-run.' Oni tam czekają. Przekażcie meldunek bezpośrednio admirałowi Morganowi do Fort Meade w Marylandzie. Tam jest teraz dziewiąta wieczorem, ale on na pewno czeka w swoim biurze na wiadomość.

Dowódca polecił radiowcowi przez interkom przygotować się do transmisji, po czym opuścił

mesę zostawiając w niej admirała i Billa samych.

–Pozwoli pan, że o coś zapytam, sir. Podjąłby się pan tego, gdyby wiedział zawnzasu, jak będzie?

*** W baseballu – uderzenie piłki umożliwiające graczowi obiegnięcie wszystkich baz.
(Przyp.tłum.)**

–Nie, Bill, nie podjąłbym się. Zdawałem sobie sprawę z ryzyka, ale nie myślałem, że tyle będzie zależało od zwyczajnego łutu szczęścia! Nasze życie dwa razy w ciągu dziesięciu minut zawisło na włosku. Nigdy jeszcze nie otarłem się o śmierć tak blisko, jak w chwili kiedy groziło nam zderzenie z tym pierwszym frachtowcem. A kiedy napatoczył się ten drugi, naprawdę myślałem, że nas staranuje.

–1 zrobiłby to, gdyby nie pan.

–Oj, Jeremy na pewno w porę by coś wymyślił.

–Być może, ale rad jestem, że nie musieliśmy tego sprawdzać. Uratował nam pan skórę. Chociaż Jeremy też miał w tym swój udział. Obu wam należy się miejsce w historii. Pierwsi oficerowie podwodniacy, którzy w zanurzeniu pokonali Bosfor.

–Mała poprawka, Bill. Byliśmy drudzy.

*

Admirał Arnold Morgan był w siódmym niebie. Home-run. Przeszli. Zadzwoił natychmiast do Scotta Dunsmore'a. Szef operacji morskich zadzwonił z kolei do generała Josha Paula, od którego dowiedział się, że na jego telefon czeka Prezydent i że powinien do niego zadzwonić osobiście. Chwilę później Prezydent przeprosił gości, z którymi spożywał formalną kolację, i odszedł od stołu, żeby odebrać telefon od swojego szefa operacji morskich.

–Udało im się?... Dobrze... tak, macie moją zgodę na wszczęcie poszukiwań i" zniszczenie tej rosyjskiej Kilo przy użyciu wszelkich dostępnych środków...

–Dziękuję, panie prezydencie – powiedział admirał Dunsmore.

–Dorwijcie ich, Scott – dorzucił zwierzchnik sił zbrojnych.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

9 września, 22.00

Wieczór dziewiątego września był dla Arnolda Morgana bardzo nerwowy. Uwiązany w swoim biurze, z którego wzdragał się ruszyć na krok w obawie, że przegapi wyczekiwany niecierpliwie satelitarny meldunek z południowego krańca stambulskiego portu, pożarł już kanapkę z wołowiną, rozchlapał sobie kawę na dziennik i porykiwał na każdego, kto pracował jeszcze w budynku. Na szczęście takich nie było wielu, a ci nieliczni, których obowiązki zmusiły do zostania w pracy po godzinach, czując wybuchowy nastrój szefa, przypominającego ciasno zwiniętą sprężynę, omijali go w miarę możliwości z daleka.

Sygnal Home-run przywrócił na jego twarzy wyraz mściwej satysfakcji. Poświęcił cztery minuty na poinformowanie admirała Dunsmore'a, a w chwilę potem ruszał już z piskiem opon spod budynku, śpiesząc na spotkanie z generałem Davidem Gavronem w chłodnym zaciszu ambasady Izraela.

Generał zadzwonił do Fort Meade osobiście i admirała zaniepokoił dziwny ton w głosie opanowanego zazwyczaj i układowego izraelskiego oficera. Do tej pory bardzo dobrze mu się z nim zawsze rozmawiało, ale dzisiejszego wieczoru generał Gavron był jakiś spięty, a w jego słowach dawało się wyczuć zatroskanie. I najwyraźniej miało ono związek z Benjaminem Adnamem. Inaczej David nie należałby tak na to spotkanie.

Przy bramie wjazdowej do ambasady czekał już izraelski wartownik, który zaprowadził go do pokoju na piętrze, tego z dużymi burgundowymi fotelami, gdzie swego czasu dogadywali się z generałem. Generał Gavron siedział w jednym z foteli z kieliszkiem białego wina w dłoni, paląc papierosa, po którego sięgał rzadko.

–Czołem, Davidzie – powiedział admirał. – Przepraszam za spóźnienie. Coraz trudniej mi się ostatnio wyrwać z mojej fabryki.

–Witaj, Arnoldzie – odparł generał. – Pozwól, że poczęstuję cię kieliszkiem tego deserowego wina, które tak ci smakowało. Mam ci parę rzeczy do przekazania.

–Co ci tam leży na wątrobie? – spytał admirał.

–Pewnie się już domyślasz, że chodzi o komandora Benjamin Adnama. Obawiam się, Arnoldzie, że okoliczności chyba nas przerosły. Pozwolisz, że cofnę się trochę w czasie. Pamiętasz, jak przed dwoma tygodniami mówiłeś mi, że ten twój człowiek, Jeff Zepeda, próbuje spenetrować główną komórkę wywiadu irackiego w Kairze?

–Tak, pamiętam.

–Otóż my pracujemy nad tym od kilku lat. Prawdę mówiąc, to od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku mamy już tam głęboko osądzoną wtyczkę. To Irakijczyk, którego dziadkowie byli Żydami. Namierzyliśmy tę komórkę zaraz po wojnie w Zatoce i skierowaliśmy do jej rozpracowania naszych najlepszych ludzi. Jest nieocenionym źródłem informacji wywiadowczych o wewnętrznych działaniach irackiego rządu. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, w jak skrajnych warunkach permanentnego zagrożenia działa nasz oficer operacyjny.

–Nie musisz.

–On zniknął, Arnoldzie. Od dziewięciu dni nie daje znaku życia. Kontaktował się z nami zawsze raz na tydzień. Nigdy nie opuścił co sobotniego spotkania. Nawet jeśli nie miał nic do przekazania.

–Co można w tej sprawie zrobić?

–Raczej nic. Rzecz w tym, że przed dwoma tygodniami poinstruowałem go, że jeśli dowie się czegoś o komandorze Benjaminie Adnamie albo o zaginionej Kilo, to ma mnie o tym jak najszybciej poinformować. Z oczywistych powodów nie korzysta nigdy ze sprzętu elektronicznego. Zastanawiam się, czy nie dostaliście czasem ostatnio jakiejś przesyłki, anonimowej rzecz jasna, z Kairu. Bo jeśli tak, to może była to podjęta przez naszego człowieka desperacka próba przekazania komuś zdobytych informacji.

–Nie. Niczego takiego nie dostałem. Jeśli dostanę, natychmiast dam ci znać. Myślisz, że jego zniknięcie ma coś wspólnego z tragedią „Jeffersona”?

–Tak. Głównie dlatego że iracki wywiad postawiony jest teraz na nogi. Jestem przekonany, że

domyślają się, kto zatopił irańskie

łodzi podwodne, i że był to odwet. Na pewno zdają sobie sprawę, że oni mogą być następni w kolejce. W związku z tym każdy, kto wypytywałby o okoliczności zatonięcia „Jeffersona”, ryzykowałby życiem. Irakijczycy mogą się wydawać irracjonalni. Ale są bezwzględni.

–Tak. Zgadzam się z tobą.

–Pomyślałem sobie, że jeśli nasz agent coś odkrył i nie miał czasu się z nami skontaktować, to zanim go zlikwidowano, udało mu się może w jakiś sposób przekazać to coś Amerykanom. On wie, jak bardzo nam zależy na pojmaniu Adnama. To dezterter i wyższy oficer izraelskiej marynarki wojennej, który miał dostęp do ściśle tajnych informacji. Chcemy dostać go żywego, żeby dowiedzieć się, które z naszych tajemnic wyciekły. Wtedy będziemy przynajmniej wiedzieli, co zmienić.

–Dla was on jest dezterterem, generale, ale dla mnie międzynarodowym terrorystą. I ja chcę go dopaść pierwszy. Obojętne, żywego czy martwego.»

–Nie obchodzi nas, z czyich rąk ostatecznie zginie, ale najpierw musimy go przesłuchać.

Było już sporo po północy, kiedy admirał Morgan opuszczał izraelską ambasadę. Wrócił do domu, przespał się trzy i pół godziny, potem wziął prysznic, ubrał się i pojechał do biura, gdzie czekała na niego codzienna korespondencja dostarczana pocztą specjalną.

Wziął ją do rąk o piątej piętnaście.

*

Admirałowi Scottowi Dunsmore'owi wydawało się, że jest przygotowany na wszystko. W Norfolk w stanie Wirginia czekały już w pełnej gotowości operacyjnej cztery szturmowe atomowe łodzi podwodne klasy Los Angeles. Gotowa do akcji była też jedna taka stacjonująca na Diego Garcia i dwie w Pearl Harbor. Spodziewano się, że Kilo będzie próbowała przedrzeć się do Ameryki Południowej przez południowy Atlantyk, w związku z czym nastawiono odpowiednio satelitarne punkty obserwacyjne w nadziei, że rosyjska Kilo wynurzy się może na nieznanym sobie wodach, i któryś z nich to zarejestruje.

A jednak telefon, który zadzwonił o piątej dwadzieścia, całkowicie admirała zaskoczył. Mimo że dzwonił Arnold Morgan, którego nieliczenie się z porą dnia było powszechnie znane, szef

operacji morskich sięgnął ospale po słuchawkę aparatu stojącego na nocnej szafce i słysząc rzeźki, rozbudzony głos dyrektora agencji bezpieczeństwa narodowego, nie mógł się przez chwilę zdecydować, czy wpaść w gniew, czy docenić poświęcenie, z jakim wyższy oficer wywiadu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych wykonuje swoje obowiązki służbowe.

Admirał Morgan jak zwykle nie tracił czasu na konwenanse.

–Sir – powiedział – chyba znaleźliśmy tę Kilo. Mam cynk. Jadę do pana. Do zobaczenia w pańskim biurze. – Trzasnęła słuchawką.

Admirał Dunsmore zerwał się z łóżka, zanim jeszcze połączenie zostało przerwane. Podbiegł na bosaka do drzwi sypialni, otworzył je jednym szarpnięciem i ryknął, żeby ktoś tam na dole wyprowadzał samochód z garażu, bo za osiem minut wyjeżdżają z portu.

Morgan był w Pentagonie parę minut przed nim, bijąc o dwadzieścia trzy sekundy własny rekord wszechczasów, jeśli chodzi o czas przejazdu z Fort Meade do wojskowej kwatery głównej Stanów Zjednoczonych. Przed chwilą minęła szósta.

Zdażył już rtawet zorganizować kawę – czarną z kozimi bobkami – dla siebie i Dunsmore'a. W ręku trzymał arkusz drogiego, kremowego papieru, który wręczył szefowi.

–Przyszło dzisiaj rano – wyjaśnił. – Listem lotniczym podstemplowanym w Kairze. Zaadresowanym do dyrektora Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Fort Meade, Maryland. USA. Kodu pocztowego brak.

Pośrodku niemal pustej kartki widniały tylko cztery bardzo krótkie linijki wystukane na edytorze tekstu:

120630KWIE024436N3332E.

050438MAJ023557N0548W.

082103LIP021992N6395E.

251200WRZE025440S6000W.

Nic więcej. Ani daty. Ani podpisu. Ani adresu.

–Nikt przede mną tego nie oglądał – pochwalił się admirał Morgan.

–Tak, już się domyśliłem – mruknął szef operacji morskich. – Co to jest? Daty i godziny napisane w formacie wojskowym. Plus pozycje na mapie.

–Zgadza się, sir. W oczy rzuciła mi się od razu druga linijka. „050438MAJ02”. Tego dnia i o tej godzinie usłyszeliśmy tamtą łódź

390

podwodną w Cieśninie Gibraltarskiej. Znam te cyfry na pamięć, 050438. Współrzędnych geograficznych nawet nie musiałem sprawdzać na mapie: 35,57 północnej i 05,48 zachodniej. To przypuszczalna strefa jej wykrycia.

Pierwszą linijkę musiałem już sprawdzić. Okazuje się, że to dokładna data i godzina wyjścia naszej Kilo z portu macierzystego, przytoczona w raporcie, który na podstawie informacji uzyskanych od admirała Rankowa sporządził Baldrige. Dwunasty kwietnia o brzasku. Pozycja 44,36 północnej i 33,32 wschodniej to współrzędne geograficzne Sewastopola.

Trzecia linijka podaje dokładną datę i godzinę zagłady „Jeffersona”: ósmy lipca, trzy minuty po dwudziestej pierwszej. Współrzędne punktu zatonięcia są precyzyjniejsze od naszych, ale poza tym identyczne.

–Czyli czwarta linijka, Arnoldzie, rozpoczynająca się od daty, która przypada za piętnaście dni od dziś, podaje, jak mniemam, miejsce, gdzie można się spodziewać ponownego pojawienia się Kilo? A przynajmniej autor sądzi, że ona się tam pojawi?

–W samej rzeczy, sir. Domyślam się, skąd nadeszła ta notatka, chociaż jest anonimowa. Ale najbardziej interesujące są zawarte w niej informacje, bowiem większość z nich znana była tylko garstce z nas. Linijka pierwsza: data i godzina wyjścia w morze znane były kilku osobom, ale nie nam. My poznaliśmy je dopiero przed trzema tygodniami, dzięki ustaleniom poczynionym przez Baldrige'a.

Linijka druga: data, godzina i pozycja Kilo w Cieśninie Gibraltarskiej. Godzina zgadza się co do minuty. Fakt, paru naszych ludzi mogło wiedzieć, co za obiekt tam usłyszano, ale gdyby autorem był któryś z nich, to mielibyśmy do czynienia z mistyfikacją. A nie chce mi się wierzyć, żeby kogoś z amerykańskich wojskowych trzymały się takie głupie żarty. Nie, sir. Dzień i godzinę uchwycenia kontaktu oraz pozycję jednostki, którą namierzyła nasza stacja nasłuchowa, znali dokładnie tylko ludzie, którzy tego hałasu narobili.

Admirał Dunsmore pokiwał powoli głową.

–Tak – powiedział. – Ci sami ludzie znali również dzień i godzinę wyjścia Kilo z Sewastopola.

–Tak jest. Przed wyprawą Baldrige'a do Rosji nikt z nas nie znał tej daty. A potem tylko ja i pan, no, może jeszcze dwóch, trzech sztabowców, którzy czytali jego raport. Ten raport nigdy nie opuszczał Fort Meade, chyba że ze mną.

–Tak. To trochę zawęży krąg wtajemniczonych.

–Przejdźmy teraz do linijki trzeciej, data, godzina i pozycja zatonięcia „Jeffersona”. Uwagę zwraca precyzja tych danych, są o wiele dokładniejsze od naszych.

Ludzie, którzy analizowali okoliczności katastrofy, znają współrzędne zatonięcia lotniskowca. Ale żaden z nich nie jest w jakikolwiek sposób powiązany z kanałem informacyjnym, którym nadszedł meldunek o uchwyceniu kontaktu sonarowego w Cieśninie Gibraltarskiej. Czyli podejrzanych pozostaje niewielu, w sumie sześciu: pan, ja, Baldrige, pański komandor porucznik Jay Bamberg i jego asystent. No i mój porucznik. Wszystkich stanowczo wykluczam.

–Ja również. Stąd wniosek, że szukamy kogoś z zewnątrz, kto o tym wszystkim wiedział.

–Tu nie ma czego szukać, sir. Autor musi być świadom wątpliwości związanych z tą zaginioną Kilo; musiał wiedzieć, że w Gibraltarze namierzyła ją nasza stacja nasłuchowa i musiał znać dokładnie czas oraz miejsce ataku na „Jeffersona”. Wnioskuje stąd, że autor tej notatki albo osobiście był na pokładzie łodzi podwodnej, albo znajdował się w posiadaniu kompletnego meldunku z niej przesłanego.

–Właśnie do tego zmierzam, Arnie.

–To aż za oczywiste. Co oznacza, że autor chciał, żeby to było oczywiste. W trzech pierwszych linijkach złożył swoje niepodważalne listy uwierzytelniające, po to, żeby informacje zawarte w czwartej uznane zostały za pochodzące z wiarygodnego źródła.

–Tak myślisz?

–1 chyba mam rację. Próbuje nam wyraźnie powiedzieć, że tę Kilo będziemy mogli przydybać dwudziestego piątego września w porze i na pozycji, które podaje w czwartej linijce.

–To zdaje się południowy Atlantyk. A dokładnie?

–Jakieś sto mil na południe od Wysp Falklandzkich. Czteryście od przylądka Horn. Nie mam zielonego pojęcia, dokąd kieruje się Kilo, ale z pewnością płynie do jakiegoś miejsca leżącego w Południowej Ameryce. A to chyba rozsądne z punktu widzenia najbardziej poszukiwanej załogi w dziejach.

–Tak. To prawda. A ponieważ wszystkie dowody, jakie zebraliśmy, sugerują, że działali w imieniu Iraku, można się zastanowić, czy impulsem do wybrania tej akurat trasy ucieczki nie jest czasem stare przymierze między Irakiem a Chile.

–Cóż, żadna baza argentyńskiej marynarki wojennej nie wchodzi raczej w rachubę. Nie płynęliby tak daleko na południe. Można przypuszczać, że portem docelowym Kilo jest chilijski Punta Arenas leżący dokładnie naprzeciw północno-zachodniego cypla Ziemi Ognistej.

Jeśli mam rację, to okrążając przylądek Horn wypłyną na Pacyfik, skierują się wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej na północ i dwieście pięćdziesiąt mil dalej skręcą na wschód w kanał Cockburn. Następnie Cieśniną Magellana dotrą do zacisznego Punta Arenas, gdzie jest pod dostatkiem głębokiej wody. Jest tam też zatrzęsienie małych, niezamieszkanymi wysepek. To idealne miejsce dla każdego, kto zamierza się kryć w zanurzonej łodzi podwodnej i wypływając co parę dni na krótko na powierzchnię sukcesywnie przerzucać na ląd załogę w grupkach po kilka osób.

–Tak, Arnie. Zwłaszcza jeśli obdzielił wszystkich masą forsy i dysponuje łodzią, która będzie przerzucać ich na brzeg.

–Nie odnosi pan wrażenia, sir, że ta ucieczka została drobiazgowo zaplanowana?

–Można to tak określić, Arnoldzie.

–Ja też mam takie wrażenie. Powstaje pytanie, czy nie jesteśmy czasem wciągani w pułapkę. Chyba że autorowi tej notatki naprawdę zależy, żebyśmy się tam zaczaili i wykończyli tę Kilo.

–Arnoldzie, jeśli ten cały Adnam to rzeczywiście muzułmański fundamentalista, wcale bym się nie dziwił, gdyby był przygotowany na śmierć wraz z „Jeffersonem”. Ale przeżył i najwyraźniej prowadzi teraz przez południowy Atlantyk rosyjską łódź podwodną uzbrojoną nadal po zęby w torpedy, z których jedna wyposażona jest w głowicę nuklearną. To może być pułapka. Może się tam zacząć i czekać na nasze atomowe łodzie podwodne... tak jak czekał na lotniskowiec. Jak dobrze wiesz, w walce łodzi podwodnych toczonej pod powierzchnią przewaga leży po stronie tego, kto znajdzie się pierwszy na placu boju, kto czeka tam na przeciwnika w zasadzce.

–Tak. I należałoby chyba dodać, że tego, komu zupełnie wisi, czy zginie, czy nie.

–Racja. No ale przeanalizujmy teraz sytuację. Po pierwsze, odrzucamy stanowczo możliwość mistyfikacji. Po drugie, zakładamy, że autor notatki albo znajduje się na pokładzie łodzi podwodnej i przesłał jej treść kolegom poprzez satelitę, albo nie płynie na łodzi podwodnej, ale dużo o niej wie. Zgoda?

–Cóż, żadna baza argentyńskiej marynarki wojennej nie wchodzi raczej w rachubę. Nie płynęliby tak daleko na południe. Można przypuszczać, że portem docelowym Kilo jest chilijski Punta Arenas leżący dokładnie naprzeciw północno-zachodniego cypla Ziemi Ognistej.

Jeśli mam rację, to okrążając przylądek Horn wypłyną na Pacyfik, skierują się wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej na północ i dwieście pięćdziesiąt mil dalej skręcą na wschód w kanał Cockburn. Następnie Cieśniną Magellana dotrą do zacisznego Punta Arenas, gdzie jest pod dostatkiem głębokiej wody. Jest tam też zatrzęsienie małych, niezamieszkałych wysepek. To idealne miejsce dla każdego, kto zamierza się kryć w zanurzonej łodzi podwodnej i wypływając co parę dni na krótko na powierzchnię sukcesywnie przerzucać na ląd załogę w grupkach po kilka osób.

–Tak, Arnie. Zwłaszcza jeśli obdzielił wszystkich jnasą forsy i dysponuje łodzią, która będzie przerzucać ich na brzeg.

–Nie odnosi pan wrażenia, sir, że ta ucieczka została drobiazgowo zaplanowana?

–Można to tak określić, Arnoldzie.

–Ja też mam takie wrażenie. Powstaje pytanie, czy nie jesteśmy czasem wciągani w pułapkę. Chyba że autorowi tej notatki naprawdę zależy, żebyśmy się tam zaczaili i wykończyli tę Kilo.

–Arnoldzie, jeśli ten cały Adnam to rzeczywiście muzułmański fundamentalista, wcale bym się nie zdziwił, gdyby był przygotowany na śmierć wraz z „Jeffersonem”. Ale przeżył i najwyraźniej prowadzi teraz przez południowy Atlantyk rosyjską łódź podwodną uzbrojoną nadal po zęby w torpedy, z których jedna wyposażona jest w głowicę nuklearną. To może być pułapka. Może się tam zaczaić i czekać na nasze atomowe łodzie podwodne... tak jak czekał na lotniskowiec. Jak dobrze wiesz, w walce łodzi podwodnych toczonej pod powierzchnią przewaga leży po stronie tego, kto znajdzie się pierwszy na placu boju, kto czeka tam na przeciwnika w zasadzce.

–Tak. I należałoby chyba dodać, że tego, komu zupełnie wisi, czy zginie, czy nie.

–Racja. No ale przeanalizujmy teraz sytuację. Po pierwsze, odrzucamy stanowczo możliwość mistyfikacji. Po drugie, zakładamy, że autor notatki albo znajduje się na pokładzie łodzi podwodnej i przesłał jej treść kolegom poprzez satelitę, albo nie płynie na łodzi podwodnej, ale dużo o niej wie. Zgoda?

–Tak.

–W związku z powyższym albo jest to pułapka obliczona na zniszczenie jeszcze paru dużych, drogich amerykańskich okrętów wojennych, albo dany w dobrej wierze cynk, który ma nam umożliwić zatopienie tej Kilo.

–Bardzo logiczne rozumowanie, sir. Ale wątpię, żeby to była pułapka. Istnieje wiele prostszych sposobów na zatopienie naszych okrętów, i to bez podawania daty.

–Co zatem robimy?

–Popłyniemy tam dużą siłą i rozniesiemy tego skurczybyka na strzępy. Oto, co zrobimy.

–Czyżbyśmy pozyskali nowego, nieznanego przyjaciela?

–Właśnie do tego dochodzę, sir. Sądzę, że mamy tego nowego przyjaciela. I chyba wiem, kto nim jest. Czy raczej był. Chciałem z panem omówić najpierw całą sytuację, żeby ją panu naświetlić i uświadomić wszystkie jej złożoności.

Tu admirał Morgan powtórzył swoją rozmowę z generałem Gavronem.

–Niewykluczone, sir, że list został wysłany przez tego agenta Mossadu pracującego w Kairze bezpośrednio bądź pośrednio tuż przed zdemaskowaniem. I sądzą, że należy uznać rzetelność zawartych w nim informacji i na ich podstawie podjąć natychmiastowe działania.

–Zgoda. Jutro wysyłam cztery atomowe łodzie podwodne na południowy Atlantyk.

Admirał Morgan przechadzał się nerwowo po gabinecie, a szef operacji morskich kontaktował się tymczasem ze swoimi starszymi oficerami flagowymi floty atlantyckiej. Porozmawiał najpierw z dowódcą Drugiej Floty, wiceadmirałem Rayem Mapletonem, a potem z dowódcą atlantyckich sił podwodnych, wiceadmirałem Josephem Mulliganem.

Morgan słyszał, jak wydaje rozkaz jak najszybszego wyprowadzenia z Norfolk wszystkich czterech łodzi podwodnych, które postawił wcześniej w stan gotowości do ewentualnej misji. Droga do odległych o osiem i pół tysiąca mil morskich Wysp Falklandzkich zajmie im dwa tygodnie. Duże atomowe łodzie podwodne, rozwijające w zanurzeniu dwadzieścia pięć węzłów, płynąc dzień i noc pokonują w ciągu doby sześćset mil. Czyli trzy z nich dotrą do południowych wybrzeży Argentyny dwudziestego czwartego września. Kilo była tam spodziewana najwcześniej dzień później.

W

Admirał Morgan zdawał sobie sprawę, jakie znaczenie ma zjawienie się na pozycji przed Kilo komandora Adnama. Jednostki będą mogły zapoznać się z rejonem operacji i oswoić z naturalnymi dźwiękami podwodnej dżungli.

Oficerowi wywiadu dusza się radowała, kiedy słuchał szefa operacji morskich w akcji. Admirał Dunsmore był rzeczowy, oszczędny w słowach i zdecydowany, zalecając admirałowi Mulliganowi zastawienie trzema łodziami podwodnymi na linii pół-noc-południe pułapki, której celem było przegrodzenie wschodniego wejścia do Cieśniny Magellana i odcięcie drogi do przylądka Horn.

Joe'mu Mulliganowi nie pozostawiono wątpliwości, że w rejon Falklandów szef zamierza wysunąć tylko jedną, czwartą atomową łódź podwodną.

Admirał Dunsmore zakończył rozmowę z dyplomacją i taktem, z których był znany.

–Bardzo dobrze, Joe. Takie są moje propozycje. Weź je, z łaski swojej, pod rozwagę, resztę pozostawiam tobie. Będziemy w kontakcie, do widzenia.

Szef operacji morskich odwrócił się do admirała Morgana.

–Ach tak, Arnoldzie, byłbym zapomniał. Za dwie godziny helikopter zabiera Billa Baldrige'a i admirała MacLeana z pokładu „Unseena”. Mamy w tamtym rejonie niszczyciela klasy Spruance „Fletcher”. Przerzuci ich do Aten. Stamtąd wrócą bezpośrednim lotem do Londynu.

–Nie myślał pan czasem o wysłaniu Baldrige'a na południowy Atlantyk w charakterze swojego oficjalnego obserwatora?

–Jeszcze nie, Arnoldzie, ale chyba warto by się nad tym zastanowić. A co ty na to?

–O, jestem zdecydowanie za. Po pierwsze, ktoś musi przecież sporządzić oficjalny raport. Po drugie, Baldrige może się tam bardzo przydać. Nikt nie wie tyle co on o Adnamie. No i spędził ostatnio sporo czasu z jego nauczycielem.

–Załatwione. Przerzucimy go na Roosevelt Roads. Tam będzie mógł wsiąść na „Columbię”. To prawie na kursie łodzi. Wsiądzie w Londynie w samolot do Miami, a potem liniami American Airlines doleci do Porto Rico. Jay wszystko zorganizuje.

–Wspaniale. Może jeszcze dwie sprawy, sir. Admirał MacLean był oficerem sonaru na łodzi podwodnej Royal Navy, która w wojnie o Falklandy zatopiła „Belgrano”. Miało to miejsce niemal

Admirał Morgan zdawał sobie sprawę, jakie znaczenie ma zjawienie się na pozycji przed Kilo komandora Adnama. Jednostki będą mogły zapoznać się z rejonem operacji i oswoić z naturalnymi dźwiękami podwodnej dżungli.

Oficerowi wywiadu dusza się radowała, kiedy słuchał szefa operacji morskich w akcji. Admirał Dunsmore był rzeczowy, oszczędny w słowach i zdecydowany, zalecając admirałowi Mulliganowi zastawienie trzema łodziami podwodnymi na linii pół-noc-południe pułapki, której celem było przegrodzenie wschodniego wejścia do Cieśniny Magellana i odcięcie drogi do przylądka Horn.

Joe'mu Mulliganowi nie pozostawiono wątpliwości, że w rejon Falklandów szef zamierza wysunąć tylko jedną, czwartą atomową łódź podwodną.

Admirał Dunsmore zakończył rozmowę z dyplomacją i taktem, z których był znany.

–Bardzo dobrze, Joe. Takie są moje propozycje. Weź je, z łaski swojej, pod rozwagę, resztę pozostawiam tobie. Będziemy w kontakcie, do widzenia.

Szef operacji morskich odwrócił się do admirała Morgana.

–Ach tak, Arnoldzie, byłbym zapomniał. Za dwie godziny helikopter zabiera Billa Baldrige'a i admirała MacLeana z pokładu „Unseena”. Mamy w tamtym rejonie niszczyciela klasy Spruance „Fletcher”. Przerzuci ich do Aten. Stamtąd wrócą bezpośrednim lotem do Londynu.

–Nie myślał pan czasem o wysłaniu Baldrige'a na południowy Atlantyk w charakterze swojego oficjalnego obserwatora?

–Jeszcze nie, Arnoldzie, ale chyba warto by się nad tym zastanowić. A co ty na to?

–O, jestem zdecydowanie za. Po pierwsze, ktoś musi przecież sporządzić oficjalny raport. Po drugie, Baldrige może się tam bardzo przydać. Nikt nie wie tyle co on o Adnamie. No i spędził ostatnio sporo czasu z jego nauczycielem.

–Załatwione. Przerzucimy go na Roosevelt Roads. Tam będzie mógł wsiąść na „Columbię”. To prawie na kursie łodzi. Wsiądzie w Londynie w samolot do Miami, a potem liniami American Airlines doleci do Porto Rico. Jay wszystko zorganizuje.

–Wspaniale. Może jeszcze dwie sprawy, sir. Admirał MacLean był oficerem sonaru na łodzi podwodnej Royal Navy, która w wojnie o Falklandy zatopiała „Belgrano”. Miało to miejsce niemal

dokładnie tam, gdzie się teraz wybieramy, na południe od wysp. Myślę, że komuś mogłyby się przydać jego uwagi. Tym bardziej że ten człowiek szkolił swego czasu podwodniaków.

–Zgoda. Komandor porucznik Baldrige może się tym niezwłocznie zająć. Prześlemy szczegółowy plan naszej akcji na „Flet-chera”. Niech Bill przekonsultuje go z sir Iainem w drodze do Aten. Każemy „Columbii” przeprowadzić patrol w rejonie Wysp Falklandzkich, w trakcie którego Bill będzie miał okazję przekazać kapitanowi wskazówki admirała.

–I jeszcze jedna sprawa, sir. Czy nie należałoby zwrócić się do CIA o rozpoznanie kwestii irackich pieniędzy ulokowanych w Chile? Jeśli ta Kilo rzeczywiście płynie tam, gdzie sugeruje notatka, to w pobliżu Punta Arenas musi istnieć jakiś duży bank z pokaźną iracką lokatą. Chyba że łódź wyładowana jest studolarówkami.

–Na razie nie. Skoncentrujmy się na rozwaleniu łodzi podwodnej, która zatopiła nasz lotniskowiec. Powiadomię prezydenta.

*

W czwartek dziesiątego września o godzinie czternastej trzy amerykańskie atomowe łodzie podwodne, każda o długości stu dwudziestu metrów, wyporności w zanurzeniu siedmiu tysięcy ton, z załogą składającą się ze stu trzydziestu trzech ludzi, w tym trzynastu oficerów, wyszły z portu marynarki wojennej Norfolk na bezkresny Atlantyk i jedna po drugiej – USS „Asheville”, USS „Springfield”, USS „Charlotte” – wzięły kurs na południowy wschód. Wszystkie były klasy Los Angeles, wszystkie uzbrojone w torpedy i pociski kierowane Tomahawk oraz Harpoon. Wszystkie rozwijały trzydzieści węzłów. Były w przybliżeniu dwukrotnie szybsze i ponaddwukrotnie większe od rosyjskiej Kilo, której szukały.

USS „Columbia”, najnowsza z czterech łodzi podwodnych przydzielonych do tego zadania, miała wyjść z portu cztery godziny później, o dziewiętnastej, i skierować się do Porto Rico, a dopiero stamtąd popłynąć ku Falklandom. Zbudowana została w stoczni General Dynamics w Grotom w stanie Connecticut i zwodowana w roku dziewięćdziesiątym czwartym. Tę dużą, jednomałową jednostkę napędzały dwie zasilane z reaktora atomowego turbiny o łącznej mocy trzydziestu pięciu tysięcy koni mechanicznych. Łódź mogła operować na głębokości do trzystu metrów.

„Columbią” dowodził komandor Cale „Boomer” Dunning, czterdziestoletni zawodowy oficer z Cape Cod w Massachusetts. W latach osiemdziesiątych, w ramach programu Polaris, ukończył dwuletni kurs w Holy Loch w Szkocji, a na dowódcę promowany został w roku dziewięćdziesiątym siódmym.

Komandor Dunning był krzepkim mężczyzną o jasnej karnacji i aparycji bardziej pasującej do uczestnika regat żeglarskich America's Cup. Miał potężne bary, muskularne ramiona i mocarne nogi. Był świetnym żeglarzem regatowym, nadal przy każdej sposobności uprawiał ten sport i w domu rodziców w Cape, do którego planował przenieść się kiedyś wraz z żoną, trzymał piękny, drewniany skiff.

Żoną Boomera była śliczna, niezrealizowana aktorka telewizyjna imieniem Jo, której ojciec prowadził stocznię jachtową w New Hampshire. Stanowili rodzinę wilków morskich w dosłownym tego określenia znaczeniu. Boomer potrafił poprowadzić każdą łódź, od małego skiffa poczynając, a na dużym jachcie regatowym kończąc. Jako dowódca atomowej łodzi podwodnej był podobno jeszcze lepszy.

Służyć pod Boomerem Dunningiem, ekspertem od taktyki, ekspertem od sonaru, ekspertem od systemów broni, nawigacji i techniki jądrowej, znaczyło służyć pod rozkazami najlepszego z najlepszych. Stu trzydziestu dwóch ludzi, którymi, dowodził na „Columbii”, z każdym miesiącem nabierało coraz większej pewności, że są najlepszą atomową łodzią podwodną w całej flocie. Wiadomość, że bezpośrednim rozkazem dowództwa marynarki wojennej zostali wyznaczeni do udziału w tajnej misji na południowym Atlantyku, przyjęli ze stoickim spokojem, przeświadczeni, że dowództwo wie, co robi.

Komandor Boomer jak zawsze miał na swojej łodzi nienaganny porządek. Wszystkie elektroniczne systemy bojowe były już wielokrotnie sprawdzone. Jednostka miała na pokładzie czternaście starych, ale niezawodnych, kierowanych przewodowo torped Gould Mk48 typu ADCAP odpalanych z wyrzutni. Ponadto uzbrojona była w osiem pocisków kierowanych Tomahawk o zasięgu tysiąca czterystu mil, plus cztery pociski Harpoon z aktywnymi samonaprowadzającymi się na cel głowicami bojowymi.

Na wypadek, gdyby Kilo oddała pod wodą salwę w ich kierunku, „Columbia” dysponowała całym arsenałem wabików – Emerson Electric Mk 2s oraz Mk 48 na bazie MOSS z hałasnikiem

przeznaczonych do odciążenia każdego rodzaju broni zbliżającej się od łodzi podwodnej. Łódź wyposażona była ponadto w pa-sywno-aktywne sonary przeszukująco-szturmowe typu BQQ 5D/E firmy IBM. Po zajęciu pozycji „Columbia” rozpostrze na niskich częstotliwościach pasywną sieć holowaną przeznaczoną do wychwytywania bicia serca każdego nadpływającego okrętu, który komandor Boomer Dunning ze swoją obsługą sonaru zidentyfikują następnie jako nieszkodliwy bądź wrogi.

Oficerem systemów bojowych był na „Columbii” komandor porucznik Jerry Curran, wysoki, lekko przygarbiony okularnik z Connecticut, absolwent wydziału elektroniki i techniki komputerowej Fordham University. Zdaniem komandora Dunninga Jerry był najlepszym brydżystą w marynarce.

Na cztery godziny przed wyjściem „Columbii” w morze komandor porucznik Curran rozmawiał pod pokładem z szefem sonarowców. Nawigator, dwudziestodwuletni porucznik David Wingate, ślęczał nad mapami południowoatlantyckich głębin w rejonie Wysp Falklandzkich.

W przedziale siłowni nuklearnej na rufie trwała wciąż gorączkowa krzątanina. Pierwszy mechanik, komandor porucznik Lee O'Brien ze swoim zespołem od kilku godzin prowadził tam rozruch reaktora nuklearnego, czyli w ich żargonie tak zwane „wyciąganie prętów”. Doprowadzenie siłowni jądrowej do temperatury i ciśnienia, przy których będzie ona w stanie zaspokoić całe zapotrzebowanie łodzi podwodnej na energię – czyli dostarczyć jej tyle, ile pobiera małe miasteczko w zimie – to proces powolny i wymagający precyzji.

Komandor porucznik O'Brien, wychowanek Annapolis, absolwent wydziału techniki jądrowej z Massachusetts Institute of Technology, był teraz najbardziej zapracowanym człowiekiem na okręcie. Komandor Dunning zajrzał do niego parę razy po lunchu, ale nie rozpraszał skupionego Irlandczyka z Bostonu jałowymi ponagleniami.

–Co mu będę stał nad głową – powiedział do porucznika Wingate'a. – Człowiekowi należy się trochę spokoju. Ma w domu sześcioro drobiazgu, w tym pięciu chłopców. Jest dobry pod presją.

O godzinie osiemnastej trzydzieści po raz ostatni przetestowano systemy przekazujące sygnały telegrafu z mostka do sterowni. O osiemnastej pięćdziesiąt komandor Dunning sprawdził łączność z technikami.

Załoga pokładowa przygotowała się do odcumowania.

–Zwolnić wszystkie liny – zakomenderował oficer pokładowy -odbijamy.

–Okręt w drodze – warknął krótko komandor Dunning stojący obok swojego nawigatora na mostku. – Zmienić barwy.

Na rufie wciągnięto pasiasto-gwiazdzistą banderę, a na dziobie opuszczono proporzec z samymi gwiazdami na niebieskim tle, tak zwanego Jacka. Kiedy holowniki wyprowadzały „Columbię” z basenu, na maszt nad mostkiem wciągnięto flagę Stanów Zjednoczonych Ameryki. Pośrodku portu komandor Dunning odprawił holowniki, uruchomił własne motory i wydał komendę: „Jedna trzecia naprzód”.

Wielki, czarny jak smoła okręt ruszył powoli, już o własnych siłach, przez port. Jego widok w najśnieczniejszy dzień wzbudzał grozę i przyprawiał widza o gęsią skórę.

Zmierzchało się już, kiedy „Columbia” wyszła z Hampton Roads i skierowała się ku Atlantykwowi. Komandor Dunning pozostał z porucznikiem Wingate'em na mostku. 'Oddalali się z szybkością dwunastu węzłów od Norfolk i centrum łączności przesłało na brzeg ostateczną wersję uaktualnionej listy załogi.

Obrali kurs jeden-trzy-zero, kierując się na południowy wschód ku odległemu o pięćset mil Grzbietowi Bermudzkiemu. Ale nie on był ich celem. Boomer Dunning zamierzał wkrótce zanurzyć łódź i na wysokości przylądka Hatteras skrócić bardziej na południe. Na razie jednak płynęli jeszcze kanałem.

–Standardowa szybkość, piętnaście-szesnaście węzłów – polecił Boomer.

102200WRZE02. Na pokładzie USS „Fletcher”, Morze Egejskie na północny wschód od Aten.

W centrali łączności okrętu odebrano rozkazy dla Billa Baldrige'a: Ateny-Londyn-Miami-Porto Rico, zaokrętować się na „Columbię” płynącą na południowy Atlantyk.

Bill wyjaśnił sytuację admirałowi MacLeanowi, którego ubawiło zupełne nieliczenie się marynarki Stanów Zjednoczonych z odległościami – samoloty, okręty, żaden problem. Oni potrafili przerzucić każdego wszędzie i zawsze.

Kiedy Bill wymienił przypuszczalną pozycję, na jakiej dwudziestego piątego września miała się znaleźć Kilo, emerytowany admirał popadł w zadumę.

–A więc płynie do Ameryki Południowej, tak? – mruknął po chwili. – Pewnie spróbujecie ją przydybać na południe od Falklandów, hmm? Jeśli tak, to nie będziecie mieli łatwego zadania.

–Może mi pan wymienić główne utrudnienia?

–Owszem. Słyszałeś o wzniesieniu Burdwood?

–Nie.

–Wzniesienie Burdwood to rozległy obszar bardzo płytkiej wody na skraju szelfu kontynentalnego Ameryki Południowej. Ciągnie się dwieście mil ze wschodu na zachód, mijając w odległości stu mil Falkland Wschodni. Jej szerokość, mierzona z północy na południe, wynosi tam sześćdziesiąt mil.

Nieco dalej na południe Atlantyk ma dwie mile głębokości, lecz na wzniesieniu wynosi ona zaledwie pięćdziesiąt metrów. Ta płycizna jest dosyć dokładnie odwzorowana na mapie. Stanowi jednak śmiertelne zagrożenie dla dużej atomowej łodzi podwodnej, która potrzebuje co najmniej siedemdziesięciu metrów, żeby nie pozostawiać śladu na powierzchni.

Ale to jeszcze nie problem. Bo waszym przeciwnikiem nie jest okręt nawodny. Wasz problem to hałas. To cholerne wzniesienie jest najhałaśliwszym miejscem na całym oceanie. Roi się tam od ryb, krewetek, wielorybów i Bóg jeden wie, od czego jeszcze. W tym ogólnym harmidrze nie sposób wyłowić szumu nadpływającej łodzi podwodnej. A już na pewno nie tak cichej, jak Kilo.

–Z pańskich słów wynika, sir, że nasza Kilo prawdopodobnie nie przejdzie nad wzniesieniem. Najwyraźniej płynie od wybrzeży południowej Afryki prosto na zachód, żeby okrążyć przylądek Horn.

–Tak, Bill. Ale weź pod uwagę, że najdalej wysunięty na południe punkt Afryki jest względem przylądka Horn przesunięty o mniej więcej siedemnaście stopni na północ. A zatem Kilo płynie kursem wschodnio-południowo-wschodnim. Podejrzewam, że celowo będzie chciała ominąć wzniesienie Burdwood, ale nie dlatego że tam płytko, lecz przez wzgląd na brytyjskie lotnictwo wojskowe, które metodycznie patroluje tamten rejon. Musicie być na pozycji pierwsi.

Radzę wam zająć ją blisko wzniesienia, skierować sonary ku głębszej wodzie i przeczesywać nimi łuk wschód-południe. Ona gdzieś stamtąd na was wyjdzie. Na tym kierunku panuje względna

cisza. Zakłóci ją dopiero Ben Adnam. Prawdopodobnie do ostatniej chwili będziecie prowadzili nasłuch sonarem pasywnym. Przeczescujcie nim jak najszerszą strefę.

–Dobrze, sir. Myśli pan, że to niebezpieczne?

–Bardzo, kiedy ma się do czynienia z przeciwnikiem tak przebiegłym i inteligentnym jak Ben Adnam. Ale macie wspaniałą łódź podwodną, doskonale wyszkolonych ludzi i mam taką nadzieję, będziecie już na niego czekali. Jego główny atut to cisza. Jak wiemy, przy szybkości poniżej pięciu węzłów Kilo jest praktycznie niesłyszalna. Ale on nie będzie się was spodziewał, a to zapewnia wam dużą przewagę.

Jeśli jednak dacie mu najmniejszą po temu sposobność, podejmie walkę. Nie ma co do tego wątpliwości. Benjamin Adnam będzie walczył tak jak go tego uczono... tak jak, niestety, ja go nauczyłem. W momencie kiedy przełączycie sonary w tryb pracy aktywnej, odpali w waszym kierunku którąś z tych rosyjskich torped. Wasi ludzie od wabików muszą pozostawać przez cały czas w najwyższym pogotowiu. Ani na chwilę nie wolno im poniechać czujności. Tam, pod wodą, wszystko dzieje się szybko. A nie chcę, żebyś zginął. Podejrzewam, że nie chciałaby też tego moja córka. Nie jestem już tego taki pewien co do żony, której podpadłeś za wyciągnięcie mnie na te małe wakacje do Turcji.

–Między nami mówiąc, sir, mnie również nie śpieszno umierać.

*

130700WRZE02. USS „Columbia”. 18.22N, 65.38W. Na pozycji wyczekiwania przy Roosevelt Roads, w pobliżu najdalej wysuniętego na wschód cypla karaibskiej wyspy Porto Rico.

Komandor Boomer Dunning stał w samej koszuli na skąpanym w słońcu mostku i obserwował helikopter US Navy nadlatujący z warkotem od północy. Oto przybywał komandor porucznik z Waszyngtonu, który miał im towarzyszyć w tej długiej podróży na południe. Powiedziano mu, że gość jest członkiem zespołu prowadzącego dochodzenie i od dnia pierwszego bierze w nim czynny udział. Komandor Dunning znał jego brata, kapitana Jacka Baldrige'a, który zginął na „Thomasie Jeffersonie”.

Bill Baldrige spłynął z błękitnego nieba nad Indiami Zachodnimi i został opuszczony z helikoptera na pokład łodzi pod-

wodnej. Odebrał swoją torbę, która zjechała na osobnej linii i zniknął w luku. Czekaający tam na niego młody oficer zaprowadził przybysza do przydzielonej mu kajuty.

Dowódca przekazał okręt swojemu zastępcy, komandorowi porucznikowi Mike'owi Karusemu z Vermont, i zszedł na dół przywitać się z gościem z Pentagonu.

Komandor porucznik Karuse skierował tymczasem „Columbię” na północ, by szerokim łukiem opłynąć od wschodu Wyspy Dziewicze i Anguille. O zmierzchu będą już na pełnym Atlantyku, nad Rowem Portorykańskim. Tam, mając trzy i trzy czwarte mili pod kilem, zanurzą się na sto trzydzieści metrów i skierują szybko na południe.

Boomer Dunning i Bill Baldrige mieli wiele do omówienia. Usiedli w małej kabinie kapitana i dowódca łodzi podwodnej wyraził swoje obawy co do eliminowania wroga, którego nikt nie zna, nigdy nie widział, i któremu nie udowodniono żadnej winy.

Bill Baldrige szybko rozwiął wątpliwości Boomera.

–Bez obaw, sir – powiedział, uznając starszeństwo dowódcy, mimo że sam obracał się ostatnio w tak wysokich kręgach. – Wiele tygodni zajęło nam ustalenie, że ze wszystkich łodzi podwodnych świata tylko ta jedna mogła zatopić „Thomasa Jeffersona”. A sprawdziliśmy po wielokroć każdą zdolną do poruszania się czy to na powierzchni, czy w zanurzeniu.

Lotniskowiec zatopila rosyjska Kilo 630. Przyznaje to1 nawet szef wywiadu rosyjskiej marynarki wojennej. Jednostka została „wynajęta” przez Irakijczyków za ogromną sumę, przypuszczamy, że za dziesięć milionów dolarów płatnych kapitanowi. Prawdopodobnie większość tych pieniędzy znajduje się teraz na jej pokładzie. Ustaliliśmy nawet, z którego z genewskich kont Saddama Husseina pochodzą. Wiemy, jak przerzucono je do Sewastopola na kilka dni przed wyjściem tej Kilo w morze. Mozolnie gromadziliśmy elementy całej układanki i teraz mamy już wszystkie. Informacja, gdzie pojawi się ta Kilo, również pochodzi z pewnego źródła.

Szkoda czasu i energii na debatowanie nad winą tej Kilo, sir. My wiemy, że ona to zrobiła i kto nią dowodził. Ten człowiek może nam przysporzyć problemów. To Irakijczyk, ale przez wiele lat służył jako dowódca łodzi podwodnej w izraelskiej marynarce wojennej. Był szkolony w Szkocji przez Royal Navy. Miał za nauczyciela najlepszego brytyjskiego podwodniaka i był najlepszym

potencjalnym dowódcą łodzi podwodnej, jakiego kiedykolwiek szkolił ten człowiek.

–Jezu – mruknął komandor Dunning. – Skąd, u diabła, to wszystko wiesz?

–Tak się składa, że od samego początku biorę udział w dochodzeniu. Do zespołu powołano mnie początkowo jako eksperta od broni jądrowej, i już w nim zostałem. Byłem dumny, że obdarzono mnie takim zaufaniem. Wie pan zapewne, że na tym lotniskowcu zginął mój brat Jack.

–Wiem, Bill. Wiadomość o jego śmierci bardzo mną wstrząsnęła. Znałem Jacka. Równy był z niego gość. I wzorowy oficer. Pod każdym względem.

–Bardzo go nam brakuje – przyznał Bill.

–Skontaktowaliście się z nauczycielem tego sukinsyna?

–A jakże. Długo z nim rozmawiałem. Udzielił mi też paru rad na temat rejonu, w który się teraz udajemy. Służył jako oficer sonaru na łodzi podwodnej, która dwadzieścia lat temu, podczas wojny o Falklandy, zatopiła na południe od wysp krążownik „General Belgrano”. Nie twierdzę, że trzeba panu podpowiadać, ale kilka jego praktycznych uwag może się panu przydać. Zamierzałem je spisać lecąc z Londynu do Miami, ale byłem bardzo zmęczony i zasnąłem. Zabiorę się do tego za parę dni.

–Byłbym wdzięczny. Nie zaszkodzi chyba dobrze się przygotować, skoro mamy walczyć z jakimś genialnym podwodniakiem.

–Owszem, on jest genialny – powiedział Bill. – Po opuszczeniu Sewastopola przepłynął w zanurzeniu Bosfor.

–Żartujesz? Przecież, o ile wiem, nikt jeszcze tego nie dokonał.

–Owszem, dokonał. I to nie raz. Sam to zrobiłem w zeszłym tygodniu.

Bill wyjaśnił Boomerowi, że Prezydent uzależnił swą zgodę na podjęcie przez Marynarkę Wojenną Stanów Zjednoczonych akcji przeciwko podejrzanej łodzi podwodnej od powtórzenia przez kogoś tego wyczynu.

–Było to przed przekazaniem nam tej informacji przez Mossad i zanosilo się na wielomiesięczne poszukiwania, które pochłoną ogromne sumy. Prezydent chciał się zabezpieczyć na wypadek, gdyby nie przyniosły rezultatu, i uniknąć oskarżenia o zmarnowanie miliardów dolarów na akcję przeprowadzoną na podstawie scenariusza, który, jak wówczas sądzono, był wyssany z palca.

potencjalnym dowódcą łodzi podwodnej, jakiego kiedykolwiek szkolił ten człowiek.

–Jezu – mruknął komandor Dunning. – Skąd, u diabła, to wszystko wiesz?

–Tak się składa, że od samego początku biorę udział w dochodzeniu. Do zespołu powołano mnie początkowo jako eksperta od broni jądrowej, i już w nim zostałem. Byłem dumny, że obdarzono mnie takim zaufaniem. Wie pan zapewne, że na tym lotniskowcu zginął mój brat Jack.

–Wiem, Bill. Wiadomość o jego śmierci bardzo mną wstrząsnęła. Znałem Jacka. Równy był z niego gość. I wzorowy oficer. Pod każdym względem.

–Bardzo go nam brakuje – przyznał Bill.

–Skontaktowaliście się z nauczycielem tego sukinsyna?

–A jakże. Długo z nim rozmawiałem. Udzielił mi też paru rad na temat rejonu, w który się teraz udajemy. Służył jako oficer sonaru na łodzi podwodnej, która dwadzieścia lat temu, podczas wojny o Falklandy, zatopiła na południe od wysp krążownik „General Belgrano”. Nie twierdzę, że trzeba panu podpowiadać, ale kilka jego praktycznych uwag może się panu przydać. Zamierzałem je spisać lecąc z Londynu do Miami, ale byłem bardzo zmęczony i zasnąłem. Zabiorę się do tego za parę dni.

–Byłbym wdzięczny. Nie zaszkodzi chyba dobrze się przygotować, skoro mamy walczyć z jakimś genialnym podwodniakiem.

–Owszem, on jest genialny – powiedział Bill. – Po opuszczeniu Sewastopola przepłynął w zanurzeniu Bosfor.

–Żartujesz? Przecież, o ile wiem, nikt jeszcze tego nie dokonał.

–Owszem, dokonał. I to nie raz. Sam to zrobiłem w zeszłym tygodniu.

Bill wyjaśnił Boomerowi, że Prezydent uzależnił swą zgodę na podjęcie przez Marynarkę Wojenną Stanów Zjednoczonych akcji przeciwko podejrzaną łodzi podwodnej od powtórzenia przez kogoś tego wyczynu.

–Było to przed przekazaniem nam tej informacji przez Mossad i zanosilo się na wielomiesięczne poszukiwania, które pochłoną ogromne sumy. Prezydent chciał się zabezpieczyć na wypadek, gdyby nie przyniosły rezultatu, i uniknąć oskarżenia o zmarnowanie miliardów dolarów na akcję przeprowadzoną na podstawie scenariusza, który, jak wówczas sądzono, był wyssany z palca.

–I kazał wam przepłynąć z Morza Czarnego przez Bosfor atomową łodzią podwodną?

–Nie. Dokonaliśmy tego przejścia dieslem Royal Navy z brytyjską załogą i z tym emerytowanym admirałem, który szkolił Irakijczyka, na pokładzie.

–I jak było?

–Z początku szło jak po maśle. Potem zrobiło się gorąco. W ciągu dziesięciu minut dwa razy byliśmy o włos od śmierci. Za każdym myślałem, że już po nas. Za tym drugim o mało nie skoślił nas dwudziestotysięcznik. Zastępcy dowódcy ręce tak się potem trzęsły, że jeszcze dziesięć minut po fakcie nie mógł sobie przypalić papierosa.

–Ale temu Irakijczykowi się udało?

–Tak. Udało się. A potem przy jednej z greckich wysepek stracili człowieka. Wypadł za burtę i utopił się. Ustalono, że wchodził w skład załogi Kilo 630. W parę dni później, dokładnie tyle, ile zajęłoby dotarcie tam łodzi podwodnej płynącej przez Morze Śródziemne z szybkością ośmiu węzłów, usłyszeliśmy ich, jak przyśpieszają w Cieśninie Gibraltarskiej. Potem jeden z naszych samolotów transportowych zauważył „pióropusz” peryskopu na Oceanie Indyjskim. I znowu dokładnie o godzinie i w dniu, kiedy dotarłaby tam z Gibraltaru łódź podwodna pokonująca dwieście mil morskich dziennie.

Potem uchwyciliśmy przelotny kontakt sonarowy w pobliżu Grupy Uderzeniowej. Wysłano na patrol helikoptery, postawiono barierę sonarową. Ale nic jej nie przecięło. Następnego dnia „Jefferson” został zatopiony.

–Jezu. Ten facet to rzeczywiście geniusz. Naprawdę przeszedł w zanurzeniu Bosfor, zmylił kosztującą miliardy dolarów obronę Grupy Uderzeniowej i zatopił lotniskowiec?

–Tak. To geniusz.

–No cóż, Bill, chyba najważniejsze, żebyśmy dopłynęli na miejsce przed tą Kilo, zajęli pozycję i czekali. Jesteś pewien, że jeśli znajdziemy tam jakąś Kilo rosyjskiej produkcji, to będzie to na pewno ta?

–Komandorze, ja wiem na pewno, że w promieniu trzech tysięcy mil od Falklandów nie ma żadnej innej Kilo rosyjskiej produkcji. Jest tam tylko ta, na którą polujemy. Rosjanie ściśle z nami współpracują. Potwierdzili, że wszystkie inne Kilo są w ba-

zach. Jedyna Kilo, która idzie na nas, ma numer 630 i dowodzi nią Irakijczyk.

–No to mnie trochę uspokoiłeś. Wolałbym nie stawać przed Stwórcą z sześćdziesiątką niewinnych ludzi na sumieniu. Reguły gry są proste. Mamy pozwolenie na przeprowadzenie ataku dopiero po jednoznacznym zidentyfikowaniu tej Kilo. Kiedy już uchwycimy kontakt z jej silnikami i stwierdzimy, że to jednowa-łowy pięcioskrzydłowiec, będziemy jeszcze musieli wyjrzeć na powierzchnię i upewnić się, czy to czasem nie jakiś japoński trawler albo coś takiego. Dopiero kiedy okaże się, że nie, identyfikację będzie można uznać za pewną. A zaraz potem Kilo przestanie istnieć.

–Rozumiem, sir. Wygląda na to, że nie powinno być większych trudności, prawda? I myślę, że ich nie napotkamy, nie licząc tego irackiego szaleńca za sterem.

Komandor Dunning roześmiał się.

–Coś ci powiem. Nikt nie da wiary, że czailiśmy się na jakimś pustkowiu, żeby zaatakować ostrą bronią przepływającą tamtędy łódź podwodną, dowodem na istnienie której był tylko jakiś dziwaczny list z Kairu.

–Tak. Trudno będzie w to uwierzyć. Ale taka jest prawda. Zresztą Ameryka Południowa to idealny azyl dla uciekinierów, jeśli się dobrze zastanowić. Chroni się tam każdy, kto ma coś na sumieniu. Naziści, gangsterzy i lichy wie kto jeszcze. A jeśli płynie się do niej przez południowy Atlantyk z Oceanu Indyjskiego, to po drodze mija się Falklandy.

–Wierzysz, że znajdziemy tę Kilo, Bill?

–Tak, sir. Wierzę. Jestem przekonany, że informacja, którą dostaliśmy, jest na wagę złota. Podobno kosztowała życie izraelskiego agenta, który ją zdobył. Nie wnikałem w szczegóły. Pewnych rzeczy lepiej nie wiedzieć.

Przez pięć następnych dni „Columbia” parła w zanurzeniu przez Basen Gujański na południowy wschód, wzdłuż północnego wybrzeża Brazylii, pokonując sześćset mil na dobę. Im dalej na południe się zapuszczali, tym bardziej prażące stawało się słońce nad tropikalnymi wodami. Ale załoga go nie oglądała. Tam, gdzie się przemieszczali, panowały tylko smoliste ciemności rozcinane przez rozpędzony czarny kadłub szturmowej atomowej łodzi podwodnej z Norfolk.

We wtorek siedemnastego września o dziewiętnastej „Columbia” przecięła równik. Jeszcze trzysta mil i była już gdzieś na wysokości przylądka Sao Rogue. Tam komandor Dunning i porucznik David Wingate zmienili kurs na południowy, by dotrzeć nim do odległych o tysiąc sześćset mil jasnych wód Rio i Sao Paulo, wielkich południowoamerykańskich miast, które „Columbia” miała minąć w odległości ośmiuset mil.

Jedynym człowiekiem, który od czasu do czasu oglądał światło dzienne, choć i on za każdym razem przez zaledwie kilka sekund, był sam dowódca. Co dwanaście godzin nakazywał zmniejszenie szybkości i wynurzał się na głębokość peryskopową, by przeprowadzić rutynową dla wszystkich szybkich przejść procedurę -połączyć się bazą. Podnosili wtedy maszt radiowy, centrum łączności w kilka sekund ściągało z satelity wszystkie kierowane do nich rozkazy i informacje, po czym zanurzali się znowu w nieprzeniknionej czerni i parli dalej na południe, na spotkanie ze zbójcejką Kilo, która zadała Ameryce tak bolesny cios.

Przez całą tę pośpieszną podróż ku Falklandom oficerowie nadganiiali zaległą papierkową robotę, a marynarze kończący wachtę siadali do kart albo oglądali filmy na wideo. Bill Baldrige śleczął zaś nad długim, szczegółowym raportem z przejścia przez Bosfor. Czasami, kiedy dowodzenie przejmował porucznik Karu-se, Bill jadał kolacje z komandorem Dunningiem. Chociaż starali się tego wystrzegać, rozmowa nieodmiennie schodziła w końcu na Kilo, na trudności związane z prowadzeniem nasłuchu sonarowego w pobliżu wzniesienia Burdwood i na przyprawiającą o dreszcz niepokoju możliwość, że iracki komandor Benjamin Adnam usłyszy ich tam pierwszy.

Dwudziestego września o 23.00, na wysokości Sao Paulo, zmienili kurs na dwa-jeden-pięć i rozpoczęli ostatni, południowo-zachodni etap podróży prowadzący wzdłuż wybrzeży Urugwaju i Argentyny. Komandor Dunning odbił od kontynentu o dodatkowe sto mil na wschód, żeby ominąć głęboką wodą wzniesienie Rio Grande. Stamtąd do Falklandów mieli już prosto jak strzelił, i na miejsce powinni dopłynąć w cztery dni.

Do wschodnich wybrzeży wysp dotarli dwudziestego czwartego września nad ranem, z jednodniowym wyprzedzeniem. Komandor Dunning minął z dala, w głębokim zanurzeniu, brytyjskie terytorium, o które garstka ludzi Margaret Thatcher gotowa była stoczyć w osiemdziesiątym drugim roku bój na śmierć i życie.

BARIERA AMERYKAŃSKICH ŁODZI PODWODNYCH Z»tok«Dan Jorgc CZEKAJĄCYCH NA KILO NA POŁUDNIOWY ZACHÓD OD FALKLANDÓW.

Południowy Atlantyk

FALKLANDY

Przylądek Virgencs

CHILE

Wzniesienie Burdwood. q...

407

–Niewiele sobie robię z ludzi rozdrażnionych moimi poczynaniami – wyjaśnił komandor Dunning. – Ale wolałbym nie wkurzać Angoli, przepływając łodzią podwodną obok ich wyspy bez pozwolenia. Są cholernie niebezpieczni. Lepiej trzymać się od nich z dala.

Bill Baldrige, który pił z nim akurat kawę, zachichotał.

–Oni wiedzą dokładnie, gdzie pan jest, sir. Współpracują z nami w tej sprawie niemal od samego początku. To oni zidentyfikowali Adnama.

–Ja tam wolę dmuchać na zimne – odparł ze śmiechem Boomer.

I po raz pierwszy polecił zmniejszyć szybkość. Szli na południe ze standardową szybkością piętnastu węzłów nad liczącym sobie w tym miejscu sześćdziesiąt mil zachodnim krańcem wzniesienia Burdwood. Hałas odbierany przez obsługę sonaru na tych płytkich, rojących się od ryb wodach narósł do takiego poziomu, że wszyscy uwierzyli wreszcie w beznadziejność prób wykrycia tu kogokolwiek.

Przejście zajęło im cztery godziny. Komandor Dunning dwa razy wynurzał się na głębokość peryskopową. Za pierwszym, żeby zorientować się w sytuacji na powierzchni. Pogoda była pod psem, mglista i wietrzna jednocześnie. Ze wzburzonego południowego zachodu, gdzie przy nagim, udręczonym czole przylądka Horn spotykają się Atlantyk z Pacyfikiem, nadciągały wielkie oceaniczne fale. Za drugim, żeby połączyć się z satelitą.

Żałoga rozpostarła holowaną sieć, wielki elektroniczny ogon, nieważki w wodzie, który ciągnęła za sobą podczas patrolu i który zapewniał sonarom „widoczność” we wszystkich kierunkach, z wyjątkiem wąskiego stożka wody za rufą, na przedłużeniu osi okrętu.

Tę „martwą” strefę eliminuje się w rutynowy sposób. Co kilka godzin, ale ze ściśle przestrzeganą nieregularnością, łódź podwodna robi zwrot na prawą lub na lewą burzę, żeby rozpoznać sytuację w stożku rufowym. Jeśli coś się za nią skrada, sonary szybko to coś wykryją. Manewr ten nazywa się usuwaniem białej plamy.

Po rozpostarciu pasywnej sieci sonarowej „Columbia” skręciła na wschód i zaczęła sunąć przed siebie z szybkością siedmiu węzłów, mając po lewej burcie gigantyczne podwodne klify wzniesienia Burdwood. Komandor Dunning, który dysponował już

kopią zaleceń admirała MacLeana, planował przemierzyć tak całą długość wzniesienia, a potem zasadzić się gdzieś w mrocznych

cieniach jego urwisk. I czekać tam na rosyjską Kilo.

*

Dwudziestego czwartego września po południu komandor Dunning jeszcze raz połączył się z satelitą, żeby podać swoją pozycję oraz odebrać ewentualne nowe rozkazy i informacje. Dowiedział się między innymi, że „Springfield” zajął już pozycję u wschodniego wejścia do Cieśniny Magellana, sto dwadzieścia mil na wschód od Przylądka Virgenes, postrzępionego cypla, przy którym wybrzeże Argentyny rozstępuje się umożliwiając swobodne przejście przez cieśninę statkom wszystkich bander.

„Charlotte” czatowała dokładnie na 54 równoleżniku, na północ od przylądka San Juan, strzegąc podejścia do Ziemi Ognistej od północnego wschodu. „Asheville” warował na głębszej wodzie, dwadzieścia mil na południowy wschód od przylądka Horn. Wszystkie trzy amerykańskie łodzie podwodne stanowiły odwód na wypadek, gdyby „Columbii” się nie udało. Kilo 630 nie miała szans przedostać się na drugą stronę Ameryki Południowej w jednym kawałku.

Ale największe napięcie na tym etapie operacji dawało się wyczuć na „Columbii”, której dowódca przewidywał, że Kilo znajduje się teraz o dzień drogi na wschód od wzniesienia i idzie w ich kierunku z szybkością siedmiu węzłów, wynurzając się od czasu do czasu na głębokość peryskopową, żeby się rozejrzeć i doładować ogromne akumulatory.

„Columbia” dotarła do wschodniego skraju wzniesienia dwudziestego piątego września tuż po trzeciej nad ranem. Komandor Dunning nie przypuszczał, żeby Kilo zdołała im się wymknąć, a gdyby nawet, to z pewnością przechwyci ją i zniszczy któryś z jego trzech kolegów. Zawrócił i popłynął z powrotem na zachód.

Bill Baldrige wierzył niezachwianie w rzetelność informacji z Kairu i nie spodziewał się Kilo przed wymienioną w notatce datą: 25 września, 12.00, szerokość geograficzna 54.40S, długość 60.00W. Dokładnie tam, gdzie się teraz znajdowali, sunąc wolno przez ciemne wody.

Zmieniały się wachty. Przez całą noc i poranek wielkie elektroniczne ucho pasywnego sonaru nastawione na cichą głębię, w kie-

runku przeciwnym do jazgotu samego wzniesienia, przeczesywało niepostrzeżenie lodowatą otchłań. Nadchodziły kolejne raporty o „gotowości bojowej”.

Co sześć godzin meldowano o poziomie szumu własnego sieci. „Columbia” czekała w zasadzce, mając za sobą zgiełk wzniesienia, co dawało jej znaczną przewagę nad przeciwnikiem.

Byli kryci. Łódź podwodna płynąca na zachód zmuszona była kierować swoje sonary na najhałaśliwszą część oceanu, i ten hałas zagłuszał skutecznie wszelkie odgłosy wydawane przez inną łódź podwodną.

Boomer Dunning i Bill Baldrige, teraz już podwodni towarzysze broni, zdawali sobie sprawę ze swej przewagi w tej ponurej, śmiertelnej grze w chowanego.

Minęło środowe południe dwudziestego piątego września. Minęło południe dwudziestego szóstego września. I wciąż nic. Płynęły godziny, a sonar nie wykrywał niczego, co przypominałoby szum obracającego się cicho pojedynczego wału z pięcioskrzydłową śrubą. Przez cały wieczór trwali w pełnej gotowości. O północy zmieniła się wachta. O czwartej kapitan Dunning wynurzył się po raz kolejny na głębokość peryskopową, żeby nawiązać łączność z satelitą. Nie było dla nich żadnych nowych informacji. Wszystkie cztery amerykańskie łodzie podwodne czekały, każda samotna na swojej pozycji, na zaginioną Kilo. Ale to „Columbia” wysunięta była na szpicę ich szyku szturmowego.

Rozpoczynała się już druga tej doby wachta, kiedy Boomer nakazał ponowne zejście w lodowato zimne głębie, w których nic się nie działo.

O szóstej wśród obsługi sonaru zapanowało pewne ożywienie. Podporucznik Skip Gowans wymruczał, że chyba wychwycił lekki wzrost szumu tła.

–... poziom jakby podskoczył... może to tylko deszcz siekący powierzchnię. Ale chyba coś słyszałem... dajcie mi parę minut.

O szóstej zero cztery Gowans odezwał się znowu.

–Mam wzrost poziomu – powiedział. – Trudno go wyjaśnić inaczej niż warunkami pogodowymi.

O szóstej czternaście całą łódź podwodną zelektryzował kolejny meldunek.

–Kapitanie, tu sonar... Mam z sieci słabiutkie linie zbliżającego się silnika. Namiar względny dziewięćdziesiąt dwa. Proszę

zmienić na sto trzydzieści pięć celem rozwiania wątpliwości. Pasują do wzorca, sir.

–Sonar, tu kapitan... Już do was idę.

Komandor porucznik Curran podszedł do ekranu, na którym widać już było wyraźnie, że są to zdecydowanie linie jakiegoś silnika. Komputer porównał je z przechowywanym w pamięci wzorcem silnika Kilo.

–Pasują, sir, nie ma wątpliwości.

Boomer Dunning wszedł do kabiny.

–Nie było niczego więcej na tej wachcie? – spytał.

–Nie, sir, niczego poza tym zoo na wzniesieniu za nami.

–Odległość?

–Spora, sir. To chyba granica zasięgu. Ale zamiar się nie zmienia. Chyba idzie prosto na nas.

Komandor Dunning wyszedł z centrali sonaru, żeby porozmawiać z Baldrige'em.

–Co doradziłby teraz twój admirał, Bill?

–Powiedział, żeby wycofać się dalej na północ, kryjąc się przez cały czas w szumie wzniesienia na wypadek, gdyby Kilo szła na nas w kompletnej ciszy.

–W tej chwili ona idzie kursem zachodnim pochrupując, jak na możliwości takiej łodzi, co niemiara. Ale wycofamy się na północ, jak sugerujesz.

Czas włókł się niemiłosiernie. Po trzech kwadransach Bill usłyszał kolejny meldunek sonaru.

–Wygląda nieźle, sir. Jest wciąż daleko na wschód, ale idzie na nas. Wciąż pochrupuje, kawitacji brak. Czyli nie rozwija więcej jak dziewięć węzłów.

–Wyrzutnie jeden i dwa gotowe, sir... jesteśmy trzy tysiące metrów w bok od przewidywanego kursu Kilo.

–Okay – mruknął cicho Boomer, jakby obawiał się, że nawet • jego głos może ich zdradzić. – Zatrzymamy się tutaj... przepuścimy ją i zaatakujemy z martwej strefy za rufą, żeby nie usłyszała momentu odpalenia.

–Tak jest, sir.

–A teraz się upewnimy. Chcieli mieć „jednoznaczną identyfikację”, będą mieli „jednoznaczną identyfikację”.

Piętnaście minut później Kilo była już o siedem mil bliżej niż w chwili uchwycenia pierwszego kontaktu, w odległości dwóch mil na południe od „Columbii”.

411

–Peryskop w górę... Chodź tu, Bill, jesteś oficjalnym obserwatorem. Musisz zeznać przed szefem operacji morskich, że to była prawdziwa, żywa Kilo. Patrz.

Bill Baldrige spojrział przez okular na wierzchołki przewalających się gór szarej wody.

–Tak... Zupełnie jak w podręczniku. Czy to Kilo, pewności nie ma, ale trawler to na pewno nie jest.

–Peryskop w dół. Za pięć minut atakujemy. Sonar, nie zapomnij o pełnej dokumentacji.

–Sonar, tak jest.

Trzy minuty później...

–Kapitanie, tu sonar... cel wykonał dynamiczny stop, sir. Nie słychać już chrapania. Odbieram na tym kierunku stany nieustalone w szerokim paśmie, ale wszystkie linie silnika zniknęły. Za minutę wszystko całkiem ścichnie.

–Cholera!

Odgłosy wydawane przez Kilo zupełnie zamarły. Minutę później Boomer Dunning podjął decyzję przeprowadzenia ataku z odległości trzech tysięcy metrów, odpalając na podstawie danych z ostatniego zdjętego namiaru torpedę Mk 48, która pomknie cicho z szybkością trzydziestu węzłów i do ostatniej chwili pozostanie pasywna. Dopiero na sześćdziesiąt sekund przed osiągnięciem celu kierujący nią oficer „Columbii” uaktywni sonar, który naprowadzi torpedę dokładnie na cel, i zwiększy jednocześnie szybkość pocisku, nie dając nieszczęsnemu przeciwnikowi żadnych szans na przetrwanie ani nawet czasu na przeprowadzenie uderzenia odwetowego.

–Wyrzutnia jeden, przygotować się.

–Kontrola ostatniego namiaru...

–Pal!

W centrali sonaru dało się słyszeć głuche, metaliczne tąpnięcie, z jakim wielka, kierowana przewodowo torpeda opuściła wyrzutnię. „Columbia” zadrżała lekko.

–Pocisk pod kontrolą, sir...

–Uzbroić pocisk.

–Pocisk uzbrojony, sir.

Minęła minuta...

–Pocisk dwa tysiące metrów od celu.

–Sonar, przejść w tryb aktywny. Pojedynczy ping.

–Tak jest, sir – zawołał oficer sonaru, waląc w przycisk, by wysłać potężną wiązkę naprowadzającą prosto w punkt o współrzędnych przewidywanej pozycji Kilo. Powracające echo pozwoli na ostateczną weryfikację nastaw sterowania ogniem.

270714WRZE02. 54.40S, 60.00W. Kurs 255. Szybkość 5. Na wschód od wzniesienia Burdwood. Głębokość 16 metrów.

–Kapitanie, tu sonar... jedna aktywna transmisja... g ł o ś-n a... namiar Zielony 135... Na pewno atomowa łódź podwodna Stanów Zjednoczonych. Bardzo blisko,

–Wyrzutnia numer dwa, przygotować się. Nastawić namiar celu Zielony 135. Odległość trzy tysiące metrów. Głębokość sto metrów. Odpalać, jak tylko będziecie gotowi.

–Ostro w prawo. Ster zero-trzy-pięć. Gotowość na kontratak. Cała naprzód... dziesięć w dół... dwieście metrów.

–Wyrzutnia dwa odpalona, kapitanie.

–Kapitanie, tu sonar... aktywna transmisja torpedy... możliwość kontaktu. Dokładnie przed dziobe m... odległość dziewięćset metrów...

Szarżując z maksymalną szybkością wprost na przeciwnika w brawurowym, klasycznym rosyjskim manewrze unik przed atakiem torpedowym, kapitan Gieorgij Kokoszin wydał swą ostatnią komendę:

–Wab i ki... trzydzieści w dół.

A amerykańska torpeda wyrznięła w górną część dziobu jego

okrętu i eksplodując z potężną siłą wyrwała ogromną dziurę w kadłubie. Woda wdarła się do wnętrza, taranując grodzie.

Kapitan Kokoszin spojrział na chroniące go wysokie na półtora metra, grube na osiem centymetrów stalowe drzwi w momencie, gdy te, wyrwane z zamocowań przez napierający z siłą osiemdziesięciu sześciu ton żywioł, runęły na niego niczym wystrzelone z katapulty. Poległ na służbie w mundurze marynarki wojennej. Ale nie za matuszkę Rosję, nie za kraj, któremu jeszcze pięć miesięcy temu służył.

Na „Columbii” uchwycono już kontakt ze zbliżającą się rosyjską torpedą, którą na moment przed trafieniem zdążyła odpalić Kilo.

–Kapitanie, tu sonar... Stan nieustalony, przypuszczalnie torpeda na kursie.

–Tak jest, sir – zawołał oficer sonaru, waląc w przycisk, by wysłać potężną wiązkę naprowadzającą prosto w punkt o współrzędnych przewidywanej pozycji Kilo. Powracające echo pozwoli na ostateczną weryfikację nastaw sterowania ogniem.

270714WRZE02. 54.40S, 60.00W. Kurs 255. Szybkość 5. Na wschód od wzniesienia Burdwood. Głębokość 16 metrów.

–Kapitanie, tu sonar... jedna aktywna transmisja... g ł o ś-n a... namiar Zielony 135... Na pewno atomowa łódź podwodna Stanów Zjednoczonych. Bardzo blisko,

–Wyrzutnia numer dwa, przygotować się. Nastawić namiar celu Zielony 135. Odległość trzy tysiące metrów. Głębokość sto metrów. Odpalać, jak tylko będziecie gotowi.

–Ostro w prawo. Ster zero-trzy-pięć. Gotowość na kontratak. Cała naprzód... dziesięć w dół... dwieście metrów.

–Wyrzutnia dwa odpalona, kapitanie.

–Kapitanie, tu sonar... aktywna transmisja torpedy... możliwość kontaktu. Dokładnie przed dziobe m... odległość dziewięćset metrów...

Szarżując z maksymalną szybkością wprost na przeciwnika w brawurowym, klasycznym rosyjskim manewrze unik przed atakiem torpedowym, kapitan Gieorgij Kokoszin wydał swą ostatnią komendę:

–W a b i k i... trzydzieści w dół.

Amerykańska torpeda wyrznęła w górną część dziobu jego

okrętu i eksplodując z potężną siłą wyrwała ogromną dziurę w kadłubie. Woda wdarła się do wnętrza, taranując grodzie.

Kapitan Kokoszin spojrział na chroniące go wysokie na półtora metra, grube na osiem centymetrów stalowe drzwi w momencie, gdy te, wyrwane z zamocowań przez napierający z siłą, osiemdziesięciu sześciu ton żywoł, runęły na niego niczym wystrzelone z katapulty. Poległ na służbie w mundurze marynarki wojennej. Ale nie za matuszkę Rosję, nie za kraj, któremu jeszcze pięć miesięcy temu służył.

Na „Columbii” uchwycono już kontakt ze zbliżającą się rosyjską torpedą, którą na moment przed trafieniem zdążyła odpalić Kilo.

–Kapitanie, tu sonar... Stan nieustalony, przypuszczalnie torpeda na kursie.

Boomer Dunning nie stracił zimnej krwi.

–Tu kapitan, zrozumiałem... Dziobem do niej. Ster prawo na burt... trzydzieści w dół... trzysta metrów... Wabiki jeden i dwa.

–Torped a... namiar dwieście sześćdziesiąt... tryb przemia-tania... idzie od lewej. S z y b k o... nadal w trybie przemieszania.

–Ster na wprost – rzucił kapitan.

–Słysząc ją wciąż od lewej... ale coraz słabiej, sir. Chybiła.

–Tak, chybiła – potwierdził kapitan Dunning. I odwracając się do Billa Baldrige'a dorzucił: – Za cholere nie pojmuje, jak zdążył ją w ogóle odpalić.

Wynurzyli się na powierzchnię i ze zdziwieniem stwierdzili, że ocean znacznie się uspokoił. A najspokojniejszy obszar rozciąga się jakąś milę na zachód od nich. „Columbia”, zupełnie teraz sama w tym ponurym, odludnym rejonie południowego Atlantyku, skierowała się poprzez szare wody w tamtą stronę, by formalnie zidentyfikować szczątki swej ofiary.

Niewiele tego było. Plama oleju, trochę małych odprysków drewna i niezabezpieczonych obiektów, przypominających marynarskie kurtki i inne części garderoby, które wybuch wyrzucił z wnętrza okrętu. Reszta – ciężka stalowa konstrukcja, torpedy i pociski, silniki i załoga statku – spoczywała teraz na dnie oceanu, dwie i pół mili pod powierzchnią.

Komandor Dunning, Bill Baldrige i porucznik Wingate stali na mostku i patrzyli na te pozostałości po Kilo.

Kilku członków załogi wypatrywało z pokładu dziobowego ciał. Ciał Rosjan, jak należało przypuszczać. Ale bezskutecznie.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał, być może z podświadomego szacunku dla nieznanych poległych. I naraz jeden z młodych marynarzy krzyknął:

–Hej, a co tam pływa? O, fam, gdzie pokazuję?

Ale oprócz niego nikt we wskazywanym przez niego miejscu niczego nie dostrzegł. Marynarz dał w końcu za wygraną, zadarł głowę i spojrział na mostek, zawstydzony, że tak się zbłądził na oczach kapitana.

–Przepraszam, sir – bąknął. – Przysięgłbym, że widziałem dwie studolarówki pływające w tamtej plamie oleju.

Uśmiechnął się tylko komandor porucznik Baldrige.

EPILOG

PENTAGON Czwartek, 10 października, 11.00 Biura Sekretarza Obrony

trzecie piętro, Pierścień E r

Tej szczególnej odprawie przewodniczył osobiście sam Robert MacPherson. Przy stole w sali konferencyjnej zasiedli z nim sekretarz stanu Harcourt Travis, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów Połączonych generał Josh Paul, szef operacji morskich admirał Scott Dunsmore, dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego wiceadmirał Arnold Morgan oraz człowiek, który tropił rosyjską Kilo od pierwszego dnia aż do jej zatopienia, komandor porucznik Bill Baldrige. Zaproszono również majora Teda Lyncha z CIA, który gromadził dossier finansowych machinacji Irakijczyków przygotowujących się do terrorystycznego ataku na „Jeffersona”. O godzinie jedenastej piętnaście grono to miało się powiększyć o osobę Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Zebrali się, żeby omówić treść formalnego raportu w sprawie potajemnego wyeliminowania rosyjskiej Kilo. W sali tej, za zamkniętymi i strzeżonymi drzwiami, ludzie piastujący trzy najwyższe w Ameryce stanowiska państwowe porozmawiają w końcu otwarcie z najwyższymi rangą oficerami Pentagonu i podejmą decyzję o nieprzyznawaniu się do niczego. Irańczycy milczeli na temat swych skasowanych łodzi podwodnych, Rosjanie już zapowiedzieli, że będą milczeć na temat Kilo, a Izraelczycy nie zamierzali wyciągać na światło dzienne sprawy komandora Benjamin Adnama. Ani oficera operacyjnego swego wywiadu, prawdopodobnie zamordowanego w Kairze.

Rządy lubią tuszować takie sprawy. Stany Zjednoczone Ameryki gotowe były spuścić kurtynę na tragedię „Thomasa Jefferso-

415

na”. Chyba że Prezydent postawi sobie za punkt honoru ukaranie Bagdadu na oczach całego świata.

Robert MacPherson sugerował, że Prezydent nie nosi się z takim zamiarem; podobno zadowolalo go w zupełności, że Kilo, jej załoga i Benjamin Adnam spoczywają teraz na dnie południowego Atlantyku.

Wszyscy siedzący przy stole czytali już podsumowanie operacji polowania i „eliminacji”, którego autorem był komandor porucznik Baldrige, a redaktorem merytorycznym admirał Arnold Morgan. Raport finansowy przygotowany przez majora Lyncha dostarczył do tej układanki krytycznych elementów, a generał Gavron w osobistej notatce dołączonej do sprawozdania admirała Morgana potwierdzał, że komandor Adnam był irackim agentem, przebywającym w Izraelu od osiemnastego roku życia.

Mossad przeprowadził komputerowe badanie porównawcze głosów osób prowadzących rozmowę telefoniczną, którą zarejestrowano w położonej nad jeziorem rezydencji Barzana al-Tikriti. Na początku ustalono tylko, że obaj rozmówcy pochodzą z tego samego miasteczka Tikrit położonego nad rzeką Tygrys na północ od Bagdadu..

Ale technicy Mossadu zidentyfikowali już drugiego rozmówcę. Był nim bez wątpienia Benjamin... również, podobnie jak Saddam Hussein i większość członków irackiego rządu, pochodzący z Tikrit. Mossad zidentyfikował Adnama w pięć dni po jego śmierci, porównując genewską rozmowę z taśmą instruktażową wykorzystywaną do szkolenia izraelskich oficerów podwodniaków, którą Ben pomagał nagrywać.

Prezydent przybył właściwie na gotowe. Przywitał się ciepło z zebranymi, zwracając się do każdego, jak to miał w zwyczaju, po imieniu, zapewnił, że naturalnie, czytał wszystkie raporty bardzo wnikliwie i doszedł do wniosku, że sprawa jest właściwie załatwiona, chyba żeby wypowiedzieć jeszcze wojnę Irakowi, co po zastanowieniu uznał za niezbyt fortunny pomysł.

Prezydent chciał porozmawiać o operacyjnych usprawnieniach, jakie można by zastosować w przyszłych patrolach Grup Uderzeniowych Lotniskowców, zwłaszcza zaś interesowała go drobiazgowa relacja komandora Boomera Dunninga z zatopienia Kilo. Ale ogólnie rzecz biorąc, był tego dnia dziwnie rozkojarzony, tak jakby chciał zamknąć raz na zawsze sprawę „Jeffersona”. Odnosiło się

wrażenie, że wystarczy mu sama pewność, że za tym aktem terroru rzeczywiście stał Irak.

–Panowie – powiedział. – Chciałbym podziękować wszystkim członkom zespołu dochodzeniowego za wspaniałą pracę. Dobrze by też było, gdyby ktoś przekazał wyrazy naszej wdzięczności temu szkockiemu admirałowi. Wiele mu zawdzięczamy. Jeśli to możliwe, bardzo chciałbym go poznać.

Póki co, zgadzamy się naturalnie na politykę zachowania milczenia. Jeśli nikt nie ma już nic ważnego do dodania, chyba na tym zakończymy. Na razie. – Powiódł wzrokiem po twarzach obecnych, uśmiechnął się i dorzucił: – Coś jeszcze?

–Panie prezydencie – odezwał się komandor porucznik Baldrige – nie ujęliśmy jeszcze komandora Adnama. Na łodzi podwodnej go nie było. On wciąż żyje. I pozostaje tylko mieć nadzieję, że nie knuje czegoś nowego.

Głowy wszystkich zwróciły się jak na komendę w stronę Billa. Prezydent zaniemówił na chwilę, ale szybko się opanował.

–Bill! – powiedział z żartobliwą przyganą w głosie. – Czy my już czegoś podobnego nie przerabialiśmy?

–Owszem, sir.

–Cóż, wtedy miałeś rację. Chyba lepiej będzie, jeśli i teraz cię wysłucham.

–Komandorze – wtrącił admirał Dunsmore. – Pan prezydent jest bardzo zajęty. Nie mogliście mi powiedzieć wcześniej o tej nowej hipotezie.

–Nie mogłem, sir. Dopiero teraz wpadła mi do głowy.

–O czym ty mówisz? – spytał Prezydent. – Fakt, jestem zajęty, ale nie aż tak, żeby nie wyjaśnić tego do końca.

–Okay, panowie – podjął Bill. – Jeśli otworzycie raport komandora Dunninga na stronie czternastej, dowiecie się, że odpaliliśmy torpedę kierowaną przewodowo, która pokonała dwa tysiące metrów z szybkością trzydziestu węzłów. Potem, na ostatnie tysiąc metrów, uaktywniliśmy jej sonar, żeby mogła dokładnie na- * mierzyć cel, i zwiększyliśmy jej szybkość. Z meldunku centrum sonarowego „Columbii” wynika, że trzydzieści sekund później uderzyła w cel. To by znaczyło, że Kilo wykonała klasyczny manewr uniku, czyli zrobiła tak zwanego Szalonego Iwana.

–Szalone co? – zainteresował się Prezydent.

–Szalonego Iwana. W żargonie podwodniaków jest to stosowana powszechnie przez Rosjan metoda schodzenia z drogi torpe-

dzie. Skręcają i szarżują prosto na zbliżający się pocisk, gwałtownie zwiększając przy tym zanurzenie. Sądzą, że w ten sposób zbijają z tropu sonar torpedy i unikają trafienia. I tak też się dzieje. Czasami. Ale tego rodzaju manewr nie przyszedłby do głowy żadnemu dowódcy łodzi podwodnej szkolonemu na Zachodzie.

My zazwyczaj uciekamy przed torpedą. Czyli jeśli torpeda rozwija, dajmy na to, czterdzieści węzłów, a my dwadzieścia, to dochodzi nas ona ze względną szybkością tylko dwudziestu węzłów i w ten sposób zyskujemy trochę czasu na reakcję: wypuszczenie wabików, jakiś przemyślany unik. Ale na pewno nie popędzimy jej na spotkanie.

Przy stole zaległa cisza. Pierwszy przerwał ją Bill Baldrige.

–Kilo 630 zasłużyła sobie na miejsce w Czarnym Muzeum Marynarki Wojennej – podjął – bo dowiedzona była przez mistrza. Zginęła, bo tego mistrza nie było już na pokładzie. Człowiekiem, który na niej został i dowodził, był Rosjanin, kapitan Gieorgij Kokozin. Nie Ben Adnam.

–Chcesz nam wmówić, że Ben Adnam wyskoczył za burtę? – spytał z przekąsem Prezydent.

–Nie, sir. Zszedł z pokładu, kiedy tankowali paliwo. Według moich obliczeń było to gdzieś na Oceanie Indyjskim, jeszcze przed rozpoczęciem trawersu przez południowy Atlantyk. Drugi raz tankowali na Atlantyku, u zachodnich wybrzeży Afryki. Ben zszedł z pokładu na którymsz z tych dwóch przystanków. To dlatego wykończyła ich pierwsza torpeda, jaką odpaliliśmy w ich kierunku.

Prezydent wstał.

–Dziękuję, 'Bill. Bardzo interesujące. Arnoldzie, na pewno zajmiesz się wyjaśnieniem tej sprawy. Nie zaniedbujmy czujności. Ja muszę to jeszcze przemyśleć.

*

BURDETT, KANSAS, 30 października

Komandor porucznik Bill Baldrige wystąpił z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych i wrócił na rodzinne ranczo. Dwa dni później odbyła się celebrowana przez kapelana marynarki wojennej uroczystość poświęcenia brązowej tablicy przytwierdzonej do nadrzecznego kamienia, upamiętniającej brata Billa, kapitana Jacka Baldrige'a. Wśród trzystu osób, które uczestniczy-

ły w ceremonii, znajdował się szef operacji morskich, admirał Scott Dunsmore z żoną Grace.

*

CAMP DAVID, 12 listopada, 11.30

Admirał sir Iain MacLean i Prezydent Stanów Zjednoczonych szli wolno przez studwudziestopięcioakrowe prezydenckie ustronie w górach Blue Ridge, pokryte przepysznyimi barwami jesieni. Ścieżka biegła wśród klonów, orzechów i drzew świętojańskich, których czerwone i złociste liście pławiły się w porannym słońcu. Była tak kręta, że obecności podążających za nimi agentów Secret Service i eskorty z marynarki praktycznie się nie wyczuwało.

–Panie prezydencie – powiedział admirał. – Dziękuję za zaproszenie w tak piękne miejsce. v

–Za to, co pan dla nas zrobił, podarowałbym je panu, gdybym tylko mógł, admirale – odparł Prezydent. – Jestem niezmiernie rad, że zgodził się pan spędzić tu kilka dni. Zaprosiłem dzisiaj na kolację Scotta Dunsmore'a z żoną, będziemy więc mogli pogawędzić sobie na mój ulubiony temat wojny na morzu.

–Tak. Nie mogę się już doczekać wieczoru. Mamy z admirałem Dunsmore'em wielu wspólnych znajomych. Kiedy byłem attache morskim przy ambasadzie Wielkiej Brytanii w Waszyngtonie, przyjaźniłem się z poprzednim szefem operacji morskich.

–Ach, to było, zanim objąłem urząd. Polubi pan Scotta. To bardzo dobry oficer i o wiele bardziej bezpośredni, niżby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać. A do tego facet o cholernie szerokich horyzontach, jak wy wszyscy ze starej gwardii.

–Pochlebia nam pan, sir. Dobrze znamy się tylko na swoim fachu.

–To samo może powiedzieć o sobie futbolista – odparował Prezydent. – Ale co innego ganiać za piłką, a co innego dowodzić atomową łodzią podwodną albo lotniskowcem.

–Być może, sir, ale pamiętam, że kiedy byłem tu na placówce, w drużynie Redskins grał jeden taki niesamowity chłopak...

Prezydent roześmiał się.

–Pozwoli pan, admirale, że zanim wrócimy na lunch, zadam panu jedno proste pytanie.

–Oczywiście.

–Jest pan na pokładzie atomowej łodzi podwodnej. Wróg kryjący się w martwej strefie za

rufą odpala w pana kierunku z

odległości trzech tysięcy metrów sterowaną przewodowo torpedę z sonarem nastawionym na tryb pasywny. Tysiąc metrów przed celem sonar torpedy zostaje przełączony na tryb pracy aktywnej, namierza cel, torpeda przyśpiesza i mknie prosto na pana. Co pan robi?

–Daję całą naprzód, odwracam się do torpedy kitą i zmykam, żeby zyskać na czasie. Będzie mnie musiała gonić o minutę dłużej. Jednocześnie rozrzucam trzy albo cztery wabiki, żeby odciągnęły ją ode mnie. Zadzieram dziób w górę i z maksymalną szybkością pruję ku powierzchni. Torpeda traci tam w górze orientację. Dziesięć metrów od powierzchni na sygnał jej sonaru zaczynają się nakładać echa odbite od fal. Mogą też ją zmylić turbulencje wody powstające tuż za moją śrubą. Niemal na pewno jej się urwę.

–Czy tego uczył pan Benjamina Adnama, admirale?

–Tak. Właśnie tego.

–Dziękuję panu bardzo, admirale.

Kolacja przygotowana została w prezydenckim Aspen Lodge, domu najwspanialszym spośród wielu rezydencji rozsianych z rzadka po tej zalesionej posiadłości. Upodobało sobie to miejsce wielu prezydentów, poczynając od Roosevelta, który je założył, poprzez Eisenhowera, który nadał mu imię swojego wnuka, po Jimmy'ego Cartera, który negocjował tu warunki środkowowschodniego traktatu pokojowego.

Sir Iaina MacLeana ulokowano w Dogwood Lodge, gdzie w 1978 roku mieszkał Anwar Sadat. Większa część popołudnia zeszła mu na czytaniu raportów z wypadku „Jeffersona”. O godzinie dziewiętnastej trzydzieści wybrał się pieszo do Aspen. Trafił na gorącą dyskusję, której temat nietrudno było przewidzieć. Prezydent i admirał Dunsmore łamali sobie głowy nad pytaniem, czy Adnam był na zatopionej Kilo.

Po prezentacji rozmowa nadal toczyła się wokół człowieka, który zniszczył amerykański lotniskowiec. Sir Iain, dowiedziawszy się, że torpeda dosięgła Kilo szybciej, niż przewidywano, mruknął:

–Mhm. „Szalony Iwan”.

–Czy według pana Adnam był na pokładzie? – spytał wprost Scott Dunsmore szkockiego admirała.

–Wykluczone. I „Szalony Iwan” utwierdza mnie w tym przekonaniu. Moim zdaniem tylko jeden człowiek na świecie mógł wam przysłać ten czterowerszowy cynk. I sądzę, że był nim Adnam.

Panowie, ja znam tego człowieka. Jest zimny jak lód, obdarzony silnym instynktem samozachowawczym i cholernie inteligentny. Niemożliwe, żeby został na łodzi podwodnej. Zdawał sobie doskonale sprawę, że to dla niego jednoznaczne z samobójstwem. Zszedł z niej uciekając się albo do perswazji, albo do groźby, albo do użycia siły. Ale na pewno nie został. Zresztą musiał z niej zejść. Żeby doprowadzić do końca swoją misję.

–I doprowadził? – spytał Prezydent.

–A pewnie. Irakijczycy ani myśleli dobijać tą Kilo do jakiegokolwiek brzegu. Od początku podejrzewałem, że pozbędą się jej gdzieś na pełnym morzu i jeśli w ogóle coś znajdziemy, to tylko wrak. Jednak Adnam poszedł o krok dalej. Nie pozbył* się jej. Nie musiał. Zorganizował to tak, że go w tym wyręczyliście. Wystarczył krótki liścik nadany pocztą lotniczą z Kairu do Fort Meade.

–Jezu – zachnął się Prezydent. – A to sukinsyn. Ale nas okpił!

–Nie tylko was. Wszystkich. Okpił tych, którzy go, nieświadomi niczego, szkolili. Okpił Mossad, Rosjan... jeszcze bardziej Irań-czyków, zażartych wrogów jego kraju. No i Stany Zjednoczone. Mała podstępna wesz, nieprawdaż?

–Genialna, mała podstępna wesz.

–A najbardziej niepokoi fakt, sir, że na takich terrorystów nie ma mocnych. Może pan, rzecz jasna, wypowiedzieć im wojnę albo przeprowadzić prewencyjne uderzenie nuklearne na Irak. Ale to raczej barbarzyńskie rozwiązanie. Połowa międzynarodowej społeczności wyskoczyłaby ze skóry z oburzenia. W mediach zaroiliby się od zdjęć obróconych w gruzy irackich szpitali i szkół. Sam pan zresztą wie, jak by było.

–Niestety wiem, admirale. Aż za dobrze. Chyba nie pozostaje nam nic innego, jak pogodzić się z tym, że pełniąc rolę światowej policji dysponującej tuzinem grup uderzeniowych lotniskowców, musieliśmy w końcu kiedyś gdzieś jedną z nich stracić. Straszna to cena, ale alternatywą jest świat pogrążony w chaosie. A obawiam się, że przekleństwem dwudziestego pierwszego wieku może się stać broń masowego rażenia w rękach fanatyków. Szaleńców.

–Zgadza się z panem, sir. Chociaż całkiem bezsilni nie jesteśmy. Możemy nakłonić do współpracy Rosję, wyperswadować jej sprzedawanie tych przeklętych Kilo krajom o niestabilnych rządach. Jednak nie wyobrażam sobie jakoś, żeby pan, panie prezydencie, obrał generalną politykę niszczenia każdej flotyli łodzi

podwodnych obcego państwa, którą uzna pan za zagrożenie dla wolnego świata.

–Nie. Tego nie wolno nam robić. Ale, jak pan się pewnie domyśla, rozwiązaliśmy już częściowo ten problem.

–Domyśliłem się, sir. Jak tylko usłyszałem.

–Na razie niewiele więcej możemy zwojować militarnie, nie przyznając przedtem oficjalnie, co naprawdę stało się z naszym lotniskowcem, a tego nie zrobimy.

–Można się jeszcze zastanowić nad tamami.

–Jakimi tamami?

–Na Tygrysie. Tymi, które próbowali wysadzić Irańczycy tocząc wojnę z Irakiem.

–Pamiętam – powiedział Prezydent. – Jedna z nich to zapora Sammara, zgadza się?

–Właśnie, sir – przytaknął admirał MacLean. – Polowałem niedawno u siebie, w Szkocji, na kuropatwy z kolegą, który pracuje w Foreign Office w departamencie Iraku. Opowiadał mi o nich.

Tu admirał przytoczył zapamiętane fakty dotyczące dwóch wielkich irackich zapór wodnych – Sammary wzniesionej sto piętnaście mil na północ od Bagdadu i mającej pojemność osiemdziesięciu pięciu miliardów metrów sześciennych wody oraz drugiej, pięć razy większej zapory Darband-I-Khan mieszczącej trzy kilometry sześciennych wody. Ta ostatnia usytuowana jest u ujścia Tygrysu, sto trzydzieści mil na północny wschód od stolicy, niedaleko górskiego miasteczka Halabja, tuż przy granicy z Iranem, gdzie zlewają się trzy rzeki.

–Irańczycy próbowali wysadzić zaporę na ogromnym zalewie Darband – ciągnął admirał. – Ale Irakijczycy przejrzeni ich plany i przeprowadzili kontratak... była to sławetna bitwa pod Halabja. Później wyszło na jaw, że Irańczycy szli również na zaporę Sammara, ale nie udało im się tam dotrzeć.

–Tak – mruknął Prezydent. – Przypominam sobie, że podczas wojny w Zatoce była nawet mowa o zniszczeniu jednej z tych zapór, ale pomysł zarzucono, bo nikt nie miał sumienia topić kilku milionów Irakijczyków. Szczerze mówiąc, ja również bym się na to nie zdecydował.

–Wcale się nie dziwię, panie prezydencie – odparł sir Iain. – Ale ten mój kolega z Foreign Office twierdzi, że ostatnio przeanalizowano sprawę bardziej naukowo. Okazuje się, że w przypadku wysadzenia tych ofiar w ludziach nie byłoby wcale tak dużo, jak

zakładali Irańczycy. Za to gospodarka Iraku nie podniosłaby się po takiej katastrofie przez wiele lat.

–A trudno byłoby to przeprowadzić? – spytał Prezydent.

–Nie tak bardzo. Pod względem stopnia trudności operacja byłaby porównywalna ze zniszczeniem ajatollahowych łodzi podwodnych. Ważniejsza jest synchronizacja czasowa. Mój kolega twierdzi, że aby całkowicie wyeliminować Bagdad z gry, trzeba by wysadzić obie zapory jednocześnie. I przeprowadzić akcję w porze roku, kiedy w górach topnieją śniegi i w zbiornikach jest najwięcej wody. Irak na wiele lat zostałby usunięty z równania światowych problemów. Okaleczyłoby ich to finansowo i prawdopodobnie emocjonalnie. %,

–A zatem mamy trzy miesiące na zdecydowanie, czy ludzie z „Thomasa Jeffersona” zostali dostatecznie pomszczeni...

–Tak, sir. Z tym że ja na nic się wam już nie zdam. Tam nie będzie wam potrzebny podwodniak...

Prezydent zadumał się.

–Wie pan, sir – podjął po chwili milczenia admirał MacLean. – Na waszym miejscu przemyślałbym jeszcze raz całą koncepcję Grup Uderzeniowych Lotniskowców. Spójrzmy prawdzie w oczy, wykazano nam niezbicie, że w tych niebezpiecznych czasach wielki amerykański policjant patrolujący świat może zostać unieszkodliwiony przez stosunkowo prymitywnego nożownika. Bowiem wszystkie środki obrony mają swoje słabe punkty. Nie istnieje stuprocentowo niezawodny system zabezpieczeń.

Może należałoby wysłać na pierwszą linię mniejsze, tańsze jednostki, co pozwoliłoby nam prowadzić militarny nadzór przy obniżonych kosztach.

Jeśli jakiś fanatyczny partyzant zechce nas zaatakować, to proszę, podsuwamy mu mniejszy cel... a nie wart miliardy lotniskowiec z sześcioma tysiącami ludzi na pokładzie. Takie duże okręty lepiej byłoby chyba trzymać bezpiecznie w odwodzie, gotowe wejść do akcji, kiedy uznamy, że trzeba ukarać agresora.

Pewnie czytał pan, że w czasach Imperium my, Brytyjczycy, wysyłaliśmy zawsze na pierwszy ogień niepozorną kanonierkę jako „przejaw naszego zainteresowania”. Okręty wojenne z prawdziwego zdarzenia pojawiały się dopiero wtedy, kiedy ta kanonierka została zaatakowana.

Panie prezydencie, toż mając w mieście jakąś niespokojną dzielnicę, nie posyłamy tam od razu komendanta policji, lecz patrole.

Prezydentowi rozjaśniła się twarz, kiedy uzmysłowił sobie polityczne zalety tego rodzaju nowej strategii.

–Tak – odezwał się admirał Dunsmore. – To interesująca i ostatnio poważnie rozważana propozycja. Przed kilkoma laty sam krytykowałem zamiar posłania ogromnego lotniskowca między Tajwan a Chiny...

W tym momencie do pokoju zajrzał umundurowany wartownik, żeby przekazać admirałowi MacLeanowi prośbę córki, Laury, o telefon jutro o dziesiątej rano.

–Całe szczęście, że to w zasadzie lokalna rozmowa – mruknął admirał, którego lata utrzymywania się ze skromnego żołdu Royal Navy nauczyły oszczędności. – Bo wiecie, panowie, córka wzięła kilka dni urlopu i przyjechała z wizytą do mieszkającej w Nowym Jorku przyjaciółki – wyjaśnił. – Obie są miłośniczkami opery. Ale widzę, że zatrzymała się gdzieś poza miastem. Numer kierunkowy trzysta szesnaście. To chyba Connecticut albo New Jersey.

–Zgadza się, trzysta szesnaście to poza miastem, admirale -odparł Prezydent. – Kawalek na zachód od Nowego Jorku. Jakies półtora tysiąca mil, moje strony, południowa połowa wielkiego amerykańskiego stanu Kansas.

–A to ci dopiero – jęknął admirał. – Tego się właśnie obawiałem. Matka jej da.

*

FORT MEADE, MARYLAND, 14 grudnia

Admirał Morgan rozciął ostrożnie przesyłkę dostarczoną na jego biurko pocztą kurierską. Koperta zawierała arkusz czerpanego papieru z nadrukiem ambasady Izraela, na który naklejono mały wycinek z gazety:

KAIR. Poniedziałek. Dziś rano w rejonie Cytadeli kairska policja znalazła zwłoki czterdziestokilkuletniego mężczyzny w arabskim stroju.

Od szefa policji Hamdiego dowiedzieliśmy się, że mężczyzna zginął od strzału w głowę. O zabójstwie policja została powiadomiona telefonicznie przez anonimowego informatora tuż po północy. Jak dotąd, nie znaleziono narzędzia zbrodni, ale policja nadal przeszukuje okolice meczetu Mohammeda Ali, gdzie znaleziono ciało.

424

Szef Hamadi twierdzi, że zabójstwo „nosi wszelkie znamiona profesjonalnej roboty”. Ofiara nie miała przy sobie żadnych dokumentów tożsamości ani kart kredytowych. Znaleziono jednak przy niej pokaźną sumę pieniędzy. Śledztwo trwa.

Admirał Morgan wsunął rękę głębiej do koperty i wyciągnął stamtąd płaską skórkową papierośnicę. Znalazł w niej małą wojskową odznakę w kształcie kotwicy oplecionej heraldyczną winoroślą, osadzonej na srebrnej sylwetce łodzi podwodnej. Była to odznaka izraelskich podwodniaków. Przyjrząwszy się bliżej papierośnicy, admirał Morgan rozróżnił wytłoczone w skórze, ale mocno już zatarte inicjały: BA.

Słowa skreślone na załączonej karteczce wywołały na jego wargi uśmiech: „Zatrzymał to sobie na pamiątkę, że jest wciąż komandorem! Ależ był z niego arogancki gnojek, prawda? Z pozdrowieniami, DG”.

Admirał Morgan zamyślił się. Skórkową papierośnicę zachowa i umieści w swoim osobistym małym muzeum' pamiątek z prowadzonych i pomyślnie zakończonych spraw.

Odznakę zaś podaruje Prezydentowi jako dowód ukarania człowieka, który posłał na dno „Thomasa Jeffersona”. Torpeda Boomera Dunninga i pocisk Mossadu stanowiły ekstremalnie brutalną formę wymierzania sprawiedliwości. Ale jednak sprawiedliwości.

BIAŁY DOM, 20 grudnia, wczesne popołudnie.

Dwaj wartownicy z marines cicho zamknęli za sobą drzwi Gabinetu Ovalnego, pozostawiając Billa Baldrige'a sam na sam z Prezydentem.

–Czołem, Bill. Cieszę się, że cię widzę – powiedział Prezydent, wychodząc zza biurka, żeby podać mu rękę. – Zjemy zaraz lunch z admirałami Dunsmore'em i Morganem. Będę miał okazję podziękować prywatnie wam trzem za superprofesjonalne wywiązanie się z tak piekielnie trudnego zadania.

–Dziękuję, sir – wybąkał Bill. – Jest mi bardzo miło. Naprawdę dziękuję.

Prezydent milczał przez chwilę, a potem powiedział:

425

–Jak wiesz, operacja miała ściśle tajny charakter i nie mogę was w żaden sposób wynagrodzić. Awansować cię nie mogę, bo oszczędzę z marynarki, nie mogę też nikogo z was odznaczyć za udział w tego rodzaju misji. – Uśmiechnął się i dodał: – Wychodzi więc na to, że będziecie się chyba musieli zadowolić moimi płynącymi z głębi serca podziękowaniami.

–To w zupełności wystarczy, sir.

Prezydent wskazał Billowi fotel, a sam zajął z powrotem swoje miejsce za biurkiem.

–Bill – podjął. – Nie jestem wcale taki głupi, jak się niektórym wydaje. Wiem, że to ty zaprotestowałeś przeciwko przyjęciu hipotezy nieszczęśliwego wypadku.

–Tak, sir. I byłem wtedy bardzo osamotniony w swych poglądach.

–Wiem o tym. Wiem również, że to ty upierałeś się, że ten arabski dowódca Kilo musiał zostawić jakiś ślad. Wszcząłeś poszukiwania i znalazłeś go. Gdyby nie ty, być może do tej pory drapalibyśmy się w głowę.

–Poszczyło mi się w Northwood, sir.

–Pamiętam też, że to ty wydedukowałeś, że Adnama nie było na pokładzie zatopionej Kilo.

–Tak, „Szalony Iwan”.

–„Szalony Iwan”. Tych samych słów użył ten wspaniały szkocki admirał. Jego też dla nas pozyskałeś. I byłeś na „Columbii”, kiedy wykańczaliśmy ostatecznie tę rosyjską łódź. Bill, najchętniej zrobiłbym cię najmłodszym admirałem w naszej marynarce wojennej. Ale nie mogę.

–Nie szkodzi, sir. Na prerii nie ma okrętów wojennych.

Prezydent uśmiechnął się. A potem wyjął z szuflady biurka

małą paczuszkę i wręczył ją kansaskiemu ranczerowi.

–Otwórz to. Wychodzę na chwilę do sąsiedniego pokoju. Zaraz wracam i idziemy do Scotta i Arnolda. Już na nas czekają.

Prezydent wyszedł i Bill został w Gabinetcie Ovalnym sam. Odwinął paczuszkę i znalazł w niej płaskie, czarne pudełeczko. W środku znajdował się arkusz firmowego papieru z nadrukiem Białego Domu, na którym widniały wykaligrafowane starannie ręką Prezydenta słowa:

„Billowi. Który miał odwagę mnie ostrzec. I którego uważam za swojego przyjaciela”

Pod arkuszem, na wyściółce z czerwonego aksamitu, którym wymoszczone było pudełeczko, leżała wojskowa odznaka – kotwica opleciona heraldyczną winoroślą, osadzona na srebrnej sylwetce łodzi podwodnej.

POSŁOWIE

Na wstępie przyznam od razu, że mam do tej książki stosunek bardzo osobisty, choćby dlatego, że jej autor, Patrick Robinson, pomagał mi swego czasu pisać moją własną autobiografię.

Siadając do pracy nad Klasą Nimitz, Patrick poprosił mnie o konsultacje z zakresu specyfiki działań łodzi podwodnych. Zgadzaając się musiałem zapomnieć, że byłem ostatnio dowódcą Falklandzkiej Grupy Bojowej i wcielić się znowu w oficera flagowego Sił Podwodnych.

Patrick uprzedził mnie, że na kartach Klasy Nimitz występuje starszy, emerytowany admirał, który może przypominać kogoś zarówno mnie, jak i ludziom służącym kiedyś pod moimi rozkazami. Niniejszym śpieszę poinformować, że ów fikcyjny admirał nijak się ma na szczęście do tego, jak ja sam widzę siebie i jak, żywią taką nadzieję widzą mnie inni.

Tak czy owak, piszę te słowa, by pochwalić samą powieść oraz potwierdzić realność przerażających, nie waham się tak ich nazwać, kwestii, jakie są w niej poruszane.

W ciągu dwóch lat pracy nad powieścią Patrick Robinson zasięgał języka u kilku konsultantów zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i ze Stanów Zjednoczonych, i wiem, że każdy z nich był w pełni świadom wagi poruszanego tematu oraz rzeczywistych zagrożeń, w jakich działa Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych.

Autor przyjął „najgorszy scenariusz” wydarzeń i przekuł go w pasjonujący thriller. Nie odbiega jednak od rzeczywistości, kreśląc w nim ponury obraz terroryzmu na światową skalę i opisując bezradność współczesnego dowódcy w konfrontacji z bezwzględny, przebiegłym nożownikiem.

To, co się dzieje w Klasie Nimitz, może się zdarzyć w świecie rzeczywistym, a konsekwencje odczuje wtedy każdy z nas. Zagro-

żeń tych świadome są marynarki Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. A mimo to pewni politycy z obu stron Atlantyku, lekceważąc ostrzeżenia płynące z kół wojskowych, gotowi są beztrąsko obcinać budżety na obronę.

Należałoby chyba uzmysłwić im, że państwa takie jak Wielka Brytania czy Stany

Zjednoczone obniżając w jakikolwiek sposób swój potencjał obronny płacą za to w rezultacie krwią, żałobą i łzami.

Dalekowzrocznym politykiem zupełnie innej klasy pozostaje nadal, chociaż odeszła już dawno z urzędu, Margaret Thatcher. W swoim historycznym wykładzie wygłoszonym 9 marca 1996 roku w Westminster College w Fulton w stanie Missouri, zwróciła się do amerykańskiego audytorium w te słowa:

Rozpad Związku Radzieckiego pociągnął za sobą, między innymi, spotęgowanie najstraszniejszego zagrożenia współczesności, jakim jest niekontrolowane rozprzestrzenianie broni masowej zagłady. Bronie takie – oraz technologie ich wytwarzania – są teraz dostępne dla średniozamożnych państw o niewielkich populacjach, takich jak Irak, Iran, Libia, Syria... Łatwo je kupić od Chin i Korei Północnej, ale głównym źródłem stały się obecnie arsenały byłego Związku Radzieckiego...

Przypomniała słuchaczom, że pod koniec dekady pociskami balistycznymi dysponować może już dwadzieścia krajów. Bronią nuklearną – dziewięć. Bronią biologiczną – dziesięć. Bronią chemiczną – trzydzieści.

„Przy obecnych tendencjach – mówiła – na początku następnego stulecia całkiem realne stać się może bezpośrednie zagrożenie amerykańskich wybrzeży”.

„Dać broń masowej zagłady agresywnym krajom – powiedziała Margaret Thatcher – a otrzymamy bardzo wybuchową mieszankę”

Podkreśliła, że na czele wielu takich krajów stoją „megalo- t maniacy i twardziele o dowiedzionym braku jakichkolwiek ludzkich cech albo słabe, niestabilne bądź też samozwańcze rządy”. Dodała, że potencjalne działania przedsięwzięte przez te nieprzewidywalne postaci „mogą być bardziej destrukcyjne od zagrożenia, jakie w latach sześćdziesiątych stanowił dla Zachodu Związek Radziecki”.

zeń tych świadome są marynarki Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. A mimo to pewni politycy z obu stron Atlantyku, lekceważąc ostrzeżenia płynące z kół wojskowych, gotowi są beztrzesko obcinać budżety na obronę.

Należałoby chyba uzmysłwić im, że państwa takie jak Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone obniżając w jakikolwiek sposób swój potencjał obronny płacą za to w rezultacie krwią, żałobą i łzami.

Dalekowzrocznym politykiem zupełnie innej klasy pozostaje nadal, chociaż odeszła już dawno z urzędu, Margaret Thatcher. W swoim historycznym wykładzie wygłoszonym 9 marca 1996 roku w Westminster College w Fulton w stanie Missouri, zwróciła się do amerykańskiego audytorium w te słowa:

Rozpad Związku Radzieckiego pociągnął za sobą, między innymi, spotęgowanie najstraszniejszego zagrożenia współczesności, jakim jest niekontrolowane rozprzestrzenianie broni masowej zagłady. Bronie takie – oraz technologie ich wytwarzania – są teraz dostępne dla średniozamożnych państw o niewielkich populacjach, takich jak Irak, Iran, Libia, Syria... Łatwo je kupić od Chin i Korei Północnej, ale głównym źródłem stały się obecnie arsenały byłego Związku Radzieckiego...

Przypomniała słuchaczom, że pod koniec dekady pociskami balistycznymi dysponować może już dwadzieścia krajów. Bronią nuklearną – dziewięć. Bronią biologiczną – dziesięć. Bronią chemiczną – trzydzieści.

„Przy obecnych tendencjach – mówiła – na początku następnego stulecia całkiem realne stać się może bezpośrednie zagrożenie amerykańskich wybrzeży”.

„Dać broń masowej zagłady agresywnym krajom – powiedziała Margaret Thatcher – a otrzymamy bardzo wybuchową mieszankę”

Podkreśliła, że na czele wielu takich krajów stoją „megalo-maniacy i twardziele o dowiedzionym braku jakichkolwiek ludzkich cech albo słabe, niestabilne bądź też samozwańcze rządy”. Dodała, że potencjalne działania przedsięwzięte przez te nieprzewidywalne postaci „mogą być bardziej destrukcyjne od zagrożenia, jakie w latach sześćdziesiątych stanowił dla Zachodu Związek Radziecki”.

Powieść Patricka Robinsona ilustruje obrazowo to właśnie, co miała na myśli Margaret Thatcher. Na kartach książki pojawia się też pytanie, jak w tym pełnym zawirowań, niebezpiecznym świecie rozwiązywać problemy bez ponoszenia nadmiernych kosztów materialnych, a co ważniejsze, bez ofiar w ludziach.

Moja rola w powstawaniu powieści polegała na utrzymywaniu autora w granicach prawdopodobieństwa.

Klasa Nimitz zapozna, mam nadzieje, szeroką opinie publiczną z ekstremalną presją, pod jaką przychodzi działać siłom zbrojnym. Polecam jej lekturę oficerom marynarki wojennej, zwłaszcza zaś tym kadetom szkół morskich, których ambicją jest służba na łodziach podwodnych.

admirał „Sandy” John Woodward

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-20

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/